

Robert Shea

ŚWIATEŁOŚĆ SERCA



ALFA

Średniowiecze. Czas ognia i miecza. Młody rycerz-trubadur Roland kocha dwie piękne kobiety szlacheckich rodów: Dianę, która ślubowała czystość do końca życia, wyznając ideały wolnomysłnych i prześladowanych katarów oraz Nicolette, która zostaje zmuszona do małżeństwa z okrutnym hrabią Amalrykiem. Gniew Inkwizycji spada na Dianę, a król Ludwik wzywa Rolanda na świętą wojnę. Zawierucha nowej krucjaty porwuje bohaterów do Afryki, w rozpalone piaski Egiptu, gdzie ścierają się całe armie i prowadzą sekretną działalność templariusze.

Nawet podczas najgwałtowniejszych bitew Roland nie przestaje myśleć o obronie przed Świętą Inkwizycją swojej ukochanej Diany, próbuje uwolnić Nicolette z ramion tyrana Amalryka.

Jak potoczą się ich losy, kto zwycięży, czy przebiegły i mściwy Amalryk, czy też szlachetny Roland? Odpowiedź znajdzie Czytelnik na kartach tej obszernej i wstrząsającej powieści, którą przenika światłość serca.

Robert Shea

ŚWIATŁOŚĆ SERCA

Przełożyła

Ewa Mikina

WYDAWNICTWO ALFA

WARSZAWA 1994

Tytuł oryginału *All Things Are lights*

Copyright © 1986 by Robert Shea

Projekt typograficzny serii

Jacek Tofil

Ilustracja na okładce

Spiak

Copyright © Agentur Luserkv

Redaktor

Elżbieta Libańska

Redaktor techniczny

Teresa Jędra

For the Polish translation Copyright © 1994 by Ewa Mikina

For the Polish edition Copyright © 1994 by Wydawnictwo ALFA - WERO Sp. z o.o.

ISBN 83-7001-799-1

WYDAWNICTWO ALFA - WERO Sp. z o.o. - WARSZAWA 1994

Wydanie I

Skład „VARIA”

Druk i oprawa: Drukarnia WN ALFA - WERO Sp. z o.o.

Zam. 313/94

Dla Yvonne

Prawdziwy świat to ten,
w którym żyłem z Tobą

Część pierwsza

FRANCJA

Anno Domini 1244-1248

I

Roland mrużąc oczy w ciemnościach spoglądał w górę, ku fortecy katarów na szczycie Mont Ségur. Stał na wysokim pomoście z drewnianych bali za ostrokołem małego fortu krzyżowców, słyszał odległe głosy i widział światła pochodni na wałach katarskiej twierdzy. Dwóch ludzi, którzy trzymali z nim straż owej nocy, sierżant z Szampanii i młody żołnierz z Bretonii, rozmawiało ściszonymi głosami o kobietach do wzięcia, daleko stąd, u podnóża góry. Zdawali się nie zauważać poruszenia w twierdzy katarów na szczycie góry, naprzeciw ich fortu, ale Roland, który wiedział, że Diana jest w obleganej twierdzy, nie mógł oderwać od niej oczu.

Rozumiał, że musi działać szybko. Z każdym dniem krzyżowcy zyskiwali na przewadze, siły katarów tymczasem słabły. Po upadku warowni krzyżowcy wymordują wszystkich, nie oszczędzając Diany. Sierżant chichocząc podawał właśnie buklak z winem swojemu młodemu towarzyszowi, ale Bretończyk nigdy już nie miał go odebrać. Zza katarskich obwarowań rozległ się potężny grzmot, jakby olbrzymia pięść uderzyła w Mont Ségur. Roland rozpoznał ten dźwięk. W panice wyrzucił przed siebie ramiona, usiłując pchnąć obydwu żołnierzy ku drabinie. Nie zdążyli już zbiec na dół w poszukiwaniu schronienia. Był to huk miotacza kamieni, po nim zaś dał się słyszeć świst pocisku.

Kształt wielki jak baryłka wina przesłona gwiazdy. Kamień uderzył w parapet obok Rolanda, aż zatrzęsa się cała palisada. Przez moment mignęła mu przerażona twarz sierżanta, po czym usłyszał krzyk przywalanego głazem. Roland i Bretończyk przywarli do drewnianej ściany, ratując się przed upadkiem z wysokości siedmiu

metrów. Obok nich ziała czarna dziura wyrwana przez kamienny pocisk. Roland wiedział, że za chwilę posypią się następne kamienie i rozpaczliwie pragnął dopaść drabiny. Zmusił się jednak, żeby zostać jeszcze przez moment i zobaczyć, co się dzieje w warowni katarów. Dojrzał, że otwiera się szeroka brama. Błysk czerwonej pochodni zalśnił na hełmach i grotach kopii, wybiegali zbrojni. Począł chwilę, licząc do stu albo więcej.

Jego oddech stał się szybszy, serce łomotało. Czekał na taki obrót spraw. Krzyknął w roztaczającą się w dole ciemność, a jego krzyk złączył się z głosami przebudzonych krzyżowców. „Do bronii! Katarowie atakują!”

Popychając stojącego przed nim żołnierza, zsunął się szybko po drabinie. Młody Bretończyk pochlipywał.

- Alain. Przekłęci Bugresi dostali Alaina.

- Później będziesz go oplakiwał - poradził Roland. - Troszcz się teraz o swoje życie.

Zawahał się u stóp schodów. Kamień rozbił drewniane bale, czyniąc wyłom na tyle duży, że mógł przedostać się przezeń człowiek.

- Wychodzę, żeby zobaczyć, co się dzieje - powiedział wyciągając z pochwy długi miecz. - Zamelduj się u dowódcy.

- Niech was Bóg prowadzi, panie Orlando - odpowiedział żołnierz.

Wybiegł w ciemność, sam ze swoim podnieceniem i strachem.

Ziemia zatrzęsała się od uderzenia drugiego głazu, który spadł gdzieś w forcie. Usłyszał trzask łamanego drewna, okrzyki bólu i przerażenia. Znowu rozległ się potężny huk, tym razem miotacza krzyżowców, i świst kamienia posłanego w odpowiedzi na pocisk heretyków. Z tyłu dobiegł go szczęk przywdziewanych pospiesznie przez francuskich rycerzy kolczug i przypasywanych mieczy. Słychać było imiona patronów, których wzywali, i bojowy okrzyk krzyżowców: „Bóg tak chce!”

Okrutny Bóg, którego taka jest wola, pomyślał Roland.

Katarowie musieli przejść wąską górską percią, na której mogło się pomieścić zaledwie dwóch ludzi naraz, łączącą ich twierdzę na najwyższym wierzchołku Mont Ségur z niższym szczytem, gdzie oblegający krzyżowcy wzniesli naprędce swój warowny obóz. Nawet jeśli katarowie zauważyli jego wyjście z fortu, zanim tu dotrą,

on będzie już bezpiecznie ukryty wśród skał na stoku poniżej. Nie miał zamiaru walczyć z żadnym z nich. Schował miecz do pochwy i przytroczył ją do pasa przeluconego przez pierś i bark, tak że i miecz, i szyplet znalazły się na plecach.

Końcami palców dotknął czerwonego jedwabnego krzyża naszytego na czarnym kaftanie, jakby chciał zerwać zniechęcony symbol. Tylko przyłączając się do krzyżowców, mógł się tu dostać. Tej nocy umrze albo uratuje Dianę.

Stał w ciemnościach oddychając głęboko, gotując się na pokonanie czekających go trudności. Pomimo kolczugi i hełmu czuł się wydany na ciosy, słaby.

Skulony przemknął chyłkiem na lewo. Poniżej wąskiej ścieżki zbocze opadało stromo, jeden nieuważny krok i mógł stoczyć się w dół. Schodził ostrożnie, przez długie minuty z wysiłkiem stąpając po wielkich głazach, aż dotarł do wąskiego występu skalnego, jakieś dziesięć metrów poniżej grzbietu. Ukrył się za spalonymi, szalasami, w których przed oblężeniem mieszkali katarscy pustelnicy. Cała góra zdawała się przesycona zapachem spalonego drewna. Kiedy zaczął wspinać się na drugi szczyt, dobiegły go z tyłu langwedockie okrzyki wojenne katarów. Musieli być już przy warowni krzyżowców. Gdybyż udało im się wyprzeć krzyżowców ze szczytu!

Ostre odłamki skalne przebijały skórzane podeszwy butów raniąc stopy. Jego zbroja była tak niepełna, jak tylko pozwalała na to odwaga. Wspinaczka w Pirenejach z obciążeniem dodatkowych dwudziestu pięciu kilogramów szybko by go wyczerpała. Miał nadzieję, że najlepszym zabezpieczeniem będzie czarna opończa osłaniająca jego górskie manewry przed oczyma obydwu stron.

Okrzyki krzyżowców z północy i langwedocki dialekt katarów zmieszały się teraz ze sobą tak, że nie potrafił ich już rozróżnić. Miecze uderzały o drewniane tarcze, dzwoniły o hełmy. Słychać było krzyki walących się z górskiego szczytu w przepaść ofiar.

Odgłosy bitwy cichły, w miarę jak posuwał się skalnym występem na północ. Wapienne mury twierdzy połyskiwały słabo w świetle gwiazd, wznosiły się nad głową Rolanda niczym kadłub okrętu. Jak arka na szczycie góry Ararat, pomyślał. Tylko że ta nie mogła przynieść ratunku tym, którzy się w niej schronili. Na jasnym tle muru wyrastał zarys wielkiego głazu. Ojciec Rolanda, który odwiedził to miejsce

wiele lat temu, pisał mu: „Wielki kamień sięga trzy metry poniżej parapetu i zwinny człowiek może przedostać się tą drogą przez mur. Powinno ci się udać, jeśli francuskie wino i kobiety nie zrujnowały jeszcze twojego ciała”.

Macając szczeliny i pęknięcia w stuletnim murze, szukał oparcia dla dłoni i stóp. Wspinaczka okazała się znacznie bardziej niebezpieczna, niż zapowiadał to ojcowski opis. Z rozbiegu wdrapał się na głaz. Na jego szczycie przywarł płasko do muru i sięgnąwszy wysoko ręką, natrafił na występ, którego się uchwycił. Potem namacał palcami lewej stopy szczelinę między kamieniami. Mógł się teraz podciągnąć w górę. Bolały go wszystkie członki, posuwał się powoli, cal po calu. Nie miał odwagi spojrzeć w dół. Wiedział, że pod nim i za nim rozwiera się czarna czeluść. Prawa ręka, prawa noga, lewa ręka, lewa noga. Pełził w górę, dopóki dłoń nie natrafiła na błogosławiony parapet u szczytu. Westchnął z ulgą, uświadamiając sobie, że do tej pory mimowolnie wstrzymywał oddech. Posunął się jeszcze odrobinę, uchwycił za występ muru, podciągnął na rękach i znalazł się na parapecie.

Spojrzał w otchłań. W obozie krzyżowców u stóp góry migotały setki świateł. Jasne punkciki tańczyły mu przed oczami. Poczuł zawrót głowy, serce waliło mu jak młotem, z całych sił wbił ręce w mur, łamiąc paznokcie. Musiał zebrać resztki sił, żeby uklęknąć. Nie próbował się kryć.

Usłyszał przesywający, alarmujący krzyk dobiegający z ciemności wewnątrz murów. Kobięcy krzyk. W dole, około półtora metra poniżej, dostrzegł majaczący zarys drewnianej platformy. Skoczył tam, po czym podniósł w górę puste ręce na widok trzech zbliżających się ku niemu postaci.

- Pani, nie jestem armią krzyżowców, przychodzę sam, w uczciwych zamiarach.

Usłyszał kobiece szepty. Wytężał wzrok, usiłując dojrzeć coś wokół siebie, ale nie widać było nic oprócz światła dobywającego się z pionowej szczeliny w kamiennej ścianie stojącego nie opodal budynku. Podmuch wiatru przyniósł obrzydliwy zwierzęcy fetor. Ileż ci ludzie musieli wycierpieć, pomyślał zdjęty nagłym współczuciem, bliski mdłości z powodu smrodu. Oblegani od ponad roku katarowie nie mieli wody do mycia.

- Czy pozwolicie mi zejść - krzyknął w stronę zbitych w grupkę postaci, których sylwetki ledwo odróżniał w ciemnościach poniżej.

- Rzuć broń, a uratujesz życie, przynajmniej na razie - odpowiedziała jedna z kobiet.

Roland odpaszał ciężki miecz, sztylet i zawiesił je z boku platformy. Jedna z postaci wysunęła się do przodu i odebrała broń. Znalazł drabinę i zaczął ostrożnie schodzić, dopóki nie poczuł pod stopami kamieni bruku. Odwrócił się plecami do muru. Przed sobą w odległości kilku metrów, miał rząd niskich, drewnianych budynków.

Otoczyły go trzy wychudzone kobiety. Końce dwu kopii znalazły się o centymetry od jego twarzy. Trzecia z kobiet wycelowała w niego kuszę. Jeden ruch a strzała przebije koleczugię, jakby to była bawełniana koszula. Bardziej było tu niebezpiecznie, niż gdy wisiał zaczepiony paznokciami nad skalną przepaścią.

Stał spokojnie, spoglądając z góry na kobiety. Wyglądały staro, prawdopodobnie starzej, niżby wskazywał na to ich wiek. W ich oczach błyszczała nienawiść.

- Jeśli jesteś przyjacielem - przemówiła ta z kuszą - dlaczego nie walczysz teraz razem z naszymi mężczyznami? Dlaczego nosisz znak krzyżowców? - ostatnie słowo wyszczała.

- Jest tu ktoś, komu przychodzę na ratunek.

- Na ratunek? Nonsens - powiedziała druga z przyganą. - Czekaj nas śmierć. Ktokolwiek myślał o ucieczce stąd, porzucił myśl o niej wiele miesięcy temu. Naszą ucieczką jest śmierć - ucieczką spod władzy Złego.

- A jednak chcę spróbować.

Zgaśnił siebie w duchu. Wyobrażał sobie, że powitają go jak bohatera. Powinien się domyślić, co mogą czuć.

- Kłamca - splunęła jedna z kobiet. - Szpieg. - Koniec jej kopii dotykał niemal jego prawego oka. Siłą woli powstrzymał się, żeby nie szarpnąć się w tył. Czy wszystkie wysiłki, żeby uratować Dianę, miały znaleźć teraz, tutaj, swój absurdalny koniec?

- Skąd możemy wiedzieć, że mówisz prawdę? - zapytała kobieta z kuszą.

- Wejrzyjcie w siebie - odpowiedział Roland starając się, aby jego głos brzmiał spokojnie, chociaż wszystko w nim wrzało.

- Wszystko co jest, jest światłością. Światło jest w każdej kobiecie i mężczyźnie.

Zauważył, że koniec kopii lekko drgnął. Uczuł głęboką wdzięczność dla Diany, która dawno temu nauczyła go tych słów.

- Sam szatan może wypowiedzieć natchnione słowa - powiedziała pierwsza z kobiet. - Co możesz wiedzieć o prawdziwym sensie słów, które wypowiadasz?

Roland wzruszył ramionami. - Wiem, że wyrażają one najgłębszą prawdę waszej wiary.

- A wiec to nie twoja wiara? - zapytała kobieta. - Nie jesteś jednym z nas?

- Gdybym, jak powiadasz, był kłamcą i szpiegiem, zapewniłbym was, że jestem. Ponieważ jednak jestem uczciwym człowiekiem i przyjacielem, mówię wam, że zostałem wychowany w nauce Kościoła powszechnego. Jestem Roland de Vency, urodzony tu, w Langwedocji. Może słyszałyście o moim ojcu Arnoldzie de Vency.

- De Vency? Jaśnie wielmożny Arnold? Pamiętam go. Katolik, ale zawzięty wróg krzyżowców jak my wszyscy. - Kobieta opuściła kuszę.

Roland odetchnął z ulgą.

- Mój ojciec kocha Langwedocję, ja także. Krzyżowcy są i naszymi wrogami. Jestem tutaj, bo kocham kobietę, która jest z wami.

- Prowadźmy go do Doskonałych, Corbo - powiedziała druga kobieta. - Niech oni zadecydują. Ale, panie de Vency, jeśli zrobisz jeden ruch, który każe nam wątpić o twoich zamiarach, źle będzie z tobą.

Poszli wąskim zaułkiem pomiędzy pociemniałymi, drewnianymi domami Duszący smród i niesamowita cisza mówiły Rolandowi, że za zamkniętymi drzwiami nasłuchują w oczekiwaniu jaćy ludzie.

Nie dostrzegł straży przy wejściu do wieży. Zapewne każdy, kto czuł się na siłach, ruszył przeciwko krzyżowcom. Eskorta Rolanda dożyła bron obok wysokich dwuskrzydłowych drzwi, które zaraz też otwarły się na oścież. Wchodząc zmrużył oczy. Tylko kilka świec oświetlało pomieszczenie, ale jego wzrok przywykł już do panujących na zewnątrz ciemności.

Strażnica na Mont Ségur, wiedział o tym, była najświętszym miejscem kościoła katarów. Pomimo to, kiedy rozglądał się po dużym pomieszczeniu, nie mógł nigdzie dostrzec żadnych ozdób oprócz białych świec w kandelabrze z kutego żelaza. Jak na miejsce kultu było tu dziwnie pusto. Był przyzwyczajony do kościołów bogato zdobionych jaskrawo polichromowanymi rzeźbami, panująca tutaj prostota świadczyła o pokorze i spokoju ducha.

Pomieszczenie pełne było mężczyzn i kobiet, którzy w pomieszonym tłumie stali z pochylonymi głowami. Część modliła się głośno, część po cichu. Wszyscy mieli odkryte głowy i odziani byli w czarne szaty. Strwożyło go to. Wiele razy wcześniej widział Doskonałych, ale nigdy jeszcze tak wielu zebranych razem w jednym miejscu. Rodzice, choć katolicy, nauczyli go podziwu dla świętości innych religii, szacunku dla heroicznych cnót innych świętych, dla prostoty ich życia. Widok tylu dobrych kobiet i mężczyzn zebranych razem wywierał olbrzymie wrażenie.

Mimo że sala pełna była ludzi, zapach niemytych ciał był tu słabszy. Roland nie miał wątpliwości, że Doskonali dzielili z Wierzącymi wszystkie trudy życia w twierdzy, a jednak surowość ich życia zdawała się oczyszczać ciała.

Spojrzał przez tłum w drugi koniec sali, gdzie na kamiennym podwyższeniu siedział siwowłosy starzec. Domyślił się, że musi być to ich duchowy przywódca, biskup Bertran Marti, zwany czasem papieżem kościoła katarów.

Pomyślał, że nie znajdzie tu Diany. Być może była w jednym z drewnianych budynków z innymi Wierzącymi, którzy nie złożyli świętych ślubów i którzy bronili warowni. Wiedział, że Doskonali nigdy nie brali bronii do ręki.

Zbliżył się młody człowiek w czarnej sukni, która spowijała ciało tak wychudzone, że zdawało się jakby drzewce kopii. Kobieta zwana Corbą opowiedziała mu o wspinaczce Rolanda. Doskonali spojrzeli na krzyż na jego piersi.

Roland wyczuł jego odrazę. - Wybacz zniewagę. Musiałem przyjąć ten znak, żeby przedostać się do was.

Sięgnął połamanymi paznokciami pod czerwony jedwab i zerwał krzyż. W ciszy panującej w sali odgłos dartej tkaniny sprawił, że wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Roland rzucił strzęp jedwabiu na podłogę.

- Któż to? - zapytał Bertran Marti cichym, acz niosącym się po całej sali głosem. - Czy przynosi jakieś wieści?

Przemierzył pomieszczenie, zanim ktokolwiek zdążył go zatrzymać i ukląkł u stóp biskupa. Sięgnął po dłoń starca. Była lekka i drobna jak skrzydło ptaka. Ująwszy ją delikatnie przycisnął wargi do połyskującej na kłykciach skóry. Kiedy był chłopcem, słyszał często opowieści o biskupie Bertranie, szczególnie w czasach kiedy ten, wiele lat temu, podjął dysputę ze świętym Dominikiem, w której pokonał sławnego katolickiego kaznodzieję. Pomyślał, że biskup musi mieć teraz ponad dziewięćdziesiąt lat. Jego twarz wyglądała jak obciągnięta skórą czaszka, okolona kosmykami białych włosów. Ciemne brązowe oczy jarzyły się światłem wewnętrznej iluminacji.

- Nie powinienesz być potraktować krzyża z taką pogardą, młodzieńcze. - Głos biskupa Bertrana brzmiał jak szelest pergaminu. - Naszą największą ułomnością jest brak poszanowania dla religii przeciwników. Nie możemy wznosić godnego Kościoła na nienawiści. Kim jesteś synu?

- Roland de Vency, Wasza Świątobliwość. Trubadur i rycerz. Byłem też banitą, zbiegiem na wygnaniu. Rodzice, siostra i ja uciekliśmy przed wyrokiem wydanym na nasze głowy. Teraz wracam do Langwedocji.

Biskup spojrział przenikliwie w oczy Rolanda.

- Jesteś ciemny i masz rzymską twarz jak południowcy, aleś wysoki i niebieskooki niczym ludzie z północy. Domyślał się, że jesteś owocem połączenia południa z północą, Franków i Galów. Połączenia pełnego bólu, jako że kraj ten jest dręczony bratobójczą wojną Francuzów z północy i południa. Jesteś smutny, nosisz ponure jak na trubadura kolory. Masz kłopoty z samym sobą mój synu, nie wiesz, kim jesteś.

Pierś Rolanda przeszły ból na wspomnienie wstydliwego sekretu jego pochodzenia. Poczul lęk wobec mocy umysłu, który z taką łatwością potrafił wejrzeć w jego serce.

- Nosisz zapewne imię na pamiątkę dawnego bohatera, o którym *Pieśń o Rolandzie* powiada, że zginął walcząc z Saracenami w tych tu górach - mówił dalej biskup - i imię twoje daje ci zapewne natchnienie do spełniania niebezpiecznych czynów. Dlaczegoś tu przybył Rolandzie de Vency?

- Wasza Świątobliwość, szukam kobiety, którą kocham, Diany de Combret. - Usłyszał za sobą szmer głosów. Biskup szeroko otworzył oczy. - Diana wyznaje waszą wiarę, Wasza Świątobliwość, ja zostałem wychowany na katolika. Zanim poszedłem na wygnanie, pokochaliśmy się i zaręczyli. Wojna nas rozdzieliła. Powróciłem pod przybranym imieniem, aby jej szukać ale ślad po niej zaginął. Dowiedziałem się w końcu, że jest tutaj i umyślnie przyłączyłem do krzyżowców. Tak trafiłem do obozu wrogów, żeby ją przed nimi ratować. - Szeroko rozłożył ramiona. - Jeśli mógłbym uratować wszystkich, którzy są tutaj, uczyniłbym to, ale jestem tylko samotnym rycerzem. Jeśli wszyscy szlachetni żołnierze, którzy bronią tego miejsca, nie mogą pokonać przeciwnika, czyż mógłbym dokonać tego ja sam? Ale może będę mógł uratować chociaż to jedno życie droższe mi nade wszystko.

Biskup patrzył na niego łagodnie i smutno.

- Diana jest tutaj, mój synu. Słyszała twoje odważne słowa - wykonał nieznaczny gest dłonią. Roland uczył, że zaczyna drżeć. Diana tu, w tej sali? Niepewnie podniósł się z klęczek i odwrócił.

Ujrzał ją przed sobą, wysoką, bladą, w długich czarnych sukniach. Zdało się, że światło świec nagle pojaśniało. Delikatny rumieniec na jej policzkach, jej długie lśniące włosy, jej wielkie oczy... Diana się pojawiła i świat odzyskał utraconą barwę.

- Rolandzie, jak się tu dostałeś? Taka jestem szczęśliwa, że cię widzę.

Słuchał jej głosu jak najpiękniejszej pieśni granej na szlachetnej lutni. Nie mógł mówić. Był niczym skamieniały, a przy tym świadom wszystkiego jak nigdy dotąd.

Diana płakała, łzy płynęły jej po policzkach. Wyciągnęła ramiona, żeby go objąć, i opanowała się w tej samej chwili. Z widocznym wysiłkiem opuściła ręce i cofnęła z utkwionymi w nim oczami, które teraz przepelniał ból. Padł na kolana.

- Kocham się, Dianio. - Tłum Doskonałych przyglądał się im, ale on nie zważał na nich.

- To niemożliwe - potrząsnęła głową - nie możesz tak już do mnie mówić.

Kłęczał tam, osamotniony, pogrążony w smutku. Pojął wreszcie to, o czym wiedziało już jego serce.

Potwierdziło się, co podejrzewał, kiedy ją tu ujrzał. Przyjęła *consolamentum*. Jest Doskonałą. Nie mogła już zaznać ludzkiej miłości. Poczuł, że serce cięży niczym gruda żelazna. Ból cierpienia przeniknął ciało. Powstał.

- Wasz pocisk niedawno minął mnie o włos. Szkoda, że tak się stało.

- Och, Rolandzie, gdybym tylko potrafiła dzielić z tobą swoją radość - rzekła łagodnie. - Nikt by mnie wówczas tobie nie odebrał. Każdego dnia twój głos śpiewał w moim sercu, ale nawet on nie mógł równać się z najśłodsza muzyką Boga.

Diana nie nosiła żadnych ozdób, jej długie złocistorude włosy spływające w luźnych lokach na ramiona zdobiły ją pyszniej niż jakikolwiek klejnot. Oczy, ani niebieskie, ani piwne, miały zielonkawy, koci odcień. Na jej twarzy o pięknym jak dawniej rysunku miesiące dyscypliny rzuciły cień, który sprawiał, że przypominała teraz anioła z portalu katedry.

- Chylę głowę przed tym, coś uczyniła, Dianu. Jeśli nie chcesz iść ze mną jako ukochana, idź jako Doskonała. Przemkniemy się przez linie krzyżowców. Pozwól uratować ci życie.

Zanim zdołała odpowiedzieć, otworzyły się z hukiem drzwi. Rozległy się krzyki i zawołanie kobiet. Z daleka dochodziły odgłosy bitwy. Podłoga drżała, słyszał trzask drewna łamanego uderzeniami kamieni.

Kilka kobiet wniosło ciało rannego mężczyzny owinięte błękitną opończę. Roland usunął się na bok, przepuszczając kobiety z ich ciężarem, który złożyły u stóp biskupa. Opończa zsunęła się i ujrzał, że miecz rozplątał bark mężczyzny, ramię wisiało na kawałku skóry. Kobiety usiłowały zatamować krwotok z rany.

- Wasza Świątobliwość - wyszeptał umierający młodzieniec - proszę o *consolamentum*.

- Będiesz zbawiony, Arnaldzie, mój synu, powracasz do Światłości.

Biskup wstał ze swego stolca z zaskakującą sprężystością, potem ukląkł. Położył dłoń na czole umierającego, szepcząc nad nim jakieś słowa.

Rolanda wzruszyła prostota obrzędu. A przecież to ten sam sakrament - pomyślał z goryczą - który zabrał mi Dianę.

- Arnald de Lantar - szepnęła Diana do Rolanda. - Jeden z najdzielniejszych.

Żał mu było umierającego młodzieńca. Mógłbym to ja być na jego miejscu. Mógłbym przyłączyć się do tych ludzi, wspierać ich w słusznej sprawie. Mógłbym zabijać krzyżowców i robiłbym to z radością. Jednakże więcej dobrego uczyniłbym, gdybym uratował tę jedną damę. Kiedy ucichły łagodne słowa biskupa, odezwał się, Arnald pokonując ból: - Wyrzucam sobie Wasza Świątobliwość, że Was zawiedliśmy. Bernart Roainh i Peire Ferrer... polegli. Nasi ludzie... wielu poległo. Spadli ze skały, kiedy się cofaliśmy. Zbyt wielu krzyżowców... wielka siła. - Powieki mu opadły.

Jedna z kobiet położyła mu dłoń na sercu. Potem, płacząc, te, które wniosły ciało, wstały i wyniosły je z sali.

Biskup Bertran zwrócił się do Diany z westchnieniem: - Moje dziecko, czy chcesz iść z sire Rolandem? Boję się, że to ostatnie chwile naszej wolności.

- Nie, Wasza Świątobliwość - odparła zdecydowanie.

Roland słuchał zrozpaczony.

- Proszę, drogi biskupie Bertranie - mówiła dalej - pozwól mi tu zostać. Jakże myśleć mi o własnym bezpieczeństwie, kiedy umierają moi bracia? Zniszczyłoby mnie to. Bolałoby jak najcięższy z grzechów.

- Jakże chęć życia może być grzechem? - dopytywał Roland.

- Dla nas śmierć jest zwycięstwem - odrzekła Diana. Jej zielone oczy błyszczwały. - Ale jeśli można uratować czyjeś życie, to jest tu wielu więcej wartych niż ja. Twoja mowa o przeprowadzeniu mnie przez linie krzyżowców to tylko lekkomyślna fantazja trubadura. - Odwróciła się, drzwi otwarły się ponownie.

Stał samotnie, płonąc ze wstydu i złości.

Wnoszono następnych rannych, których układano rzędem na podłodze. Cicho, z oddaniem, czarno odziane Doskonałe, Diana wśród nich, krzątały się wokół pokonanych. Za nimi powoli posuwał się biskup Bertran, udzielając wskazówek. - Opatrz zaraz tę ranę - mówił - ten człowiek niedługo wydobrzeje.

Tym, którzy wydawali się bliscy śmierci, udzielał sakramentu pocieszenia, po czym szedł dalej. Każdy z Doskonałych miał prawo udzielić *consolamentum*, ale Roland czuł, że otrzymany z rąk biskupa Bertrana dawał umierającym specjalną radość.

Zamyślił się, spoglądając na zajętą rannymi Dianę. Przebył długą drogę z Paryża, ryzykował po wielokroć życie dla niej, dla niej rezygnował z innych kobiet- nawet z

pięknej hrabiny Nicoletty - a ona wzgardziła tym wszystkim. Jak mogła odrzucić jego plan tylko dlatego, że wymyślił go trubadur? Tak, był trubadurem, pieśniarzem dumnym ze swej sztuki. Kiedyś kochała te pieśni.

Ile miał lat, gdy Peire Cardenal pojawił się na zamku Combret?

Było to w sierpniu następnego roku po śmierci ósmego króla Ludwika i koronacji dziewiątego. A zatem zdarzyło się to roku tysiąc dwóchsetnego dwudziestego siódmego. Siedemnaście lat temu, kiedy miał lat dziesięć - o dwa lata mniej niż młody król. Rodzina Rolanda uciekając przed krzyżowcami, którzy zajęli Langwedocję, przyjęła na wiele miesięcy gościnę Combretów, bogatego katarskiego rodu. Ich zamek leżał w Prowansji, na wschód od Langwedocji, gdzie nie sięgnęła jeszcze krucjata i prześladowania. Ze dwa tuziny albo i więcej ludzi Combretowie i de Vency, ich lennicy, kilku szlachty z okolicy, siadali przy wspólnym stole w wielkiej sali biesiadnej. Zapalano przy takich okazjach dziesiątki świec, które bogato iluminowały zamkowe komnaty.

Diana siadywała zwykle obok siostry Rolanda, Fioreli, ale tego wieczoru z jakiegoś powodu zajęła miejsce obok Rolanda. Poczul wtedy, jak jego ciało poddaje się miłemu podnieceniu.

Było to po części wywołane oczekiwaniem na pieśni wielkiego trubadura Cardenala, ale Roland wiedział, że ogarniające go uczucie ma także związek z siedzącą obok smukłą, wtedy zaledwie dziewięcioletnią panienką o włosach tak rudych, iż wydawało się, że płoną.

- Czy zaśpiewacie dla pana Cardenala? - zapytała.

Pytanie trafiło go niczym kamienny pocisk.

- Dlaczego największy trubadur w kraju miałby ochotę mnie słuchać? - skulił się za stołem, jakby ktoś rzeczywiście kazał mu już śpiewać. - Jestem szczęśliwy, że mogę go słuchać.

Żongler Combretów Guacelm, który nauczył go gry na lutni i obiecał wtajemniczyć w grę na wioli, orzekł, że Roland ma dar boży do muzyki. Co jednak wiedział mały Guacelm? Był tylko żonglerem, muzykantem, nie trubadurem.

Roland, jak mógł, przykładał się do nauki pod okiem dworaka, nigdy jednak nie zdradził się, nawet swojemu nauczycielowi, że kiedy czasami, sam jeden pośród

wzgórz, śpiewał drzewom i skałom, marzył o tym, żeby zostać trubadurem. Oczy ma wyobraźni widział, jak włada słowami i wersami niczym król swoimi baronami, jak panuje samą siłą swego głosu nad szlachetnymi panami i paniami, a ci słuchają urzeczeni, kiedy jego zręczne palce wydobywają muzyczne bogactwa z liry albo lutni. Czasami, zapomniawszy, że jest synem ściganego człowieka, wyobrażał sobie, że wszędzie spotykają go zaszczyty i dobre przyjęcie.

- Twoja muzyka jest śliczna - oczy Diany wpatrywały się w niego.

Kochał ją równie mocno jak Fiorelę. Była mu drugą siostrą, siostrą, której kruche piękno domagało się jego opieki. Więcej nawet, gdy patrzył na Dianę, zaczynał rozumieć, dlaczego mężczyźni chcą być rycerzami.

Jego siostra dorośnie, wyjdzie za mąż i opuści go. Diana nigdy go nie zostawi.

Służba zaczęła uprzętać chleb i mięsiwa, wnoszono srebrne misy do obmycia rąk po wieczerzy.

Sire Etienne de Combret zapytał Peire Cardenala, który siedział po jego prawej stronie u szczytu stołu, czy wyświadczy im tę łaskę i zaśpiewa.

Cardenal wyszedł na środek sali. Był krępyim mężczyzną, o szpakowatych włosach, ze spłaszczonym nosem na pokierszowanej twarzy. Skinął na Guacelma, który zasiadł obok ze swoją wiołą. W sali zaległa cisza, a Cardenal zaśpiewał żalobną pieśń o pięknej dziewczynie, co umarła w kwiecie lat. Słodki dźwięk jego głosu wznosił się ponad pełen nieśmiałej unizoności akompaniament Guacelma. Kiedy przebrzmiały ostatnie tony pieśni, Roland spojrzął na Dianę i zobaczył łzy w jej oczach.

Cardenal, widząc z jakim aplauzem przyjęto jego śpiew, uśmiechnął się, odchrząknął i powiedział: - Czasu mamy jeszcze dość, a ja obiecuję, że dalej będzie mniej smutno. - Wszyscy słuchacze przyjęli te słowa ze śmiechem.

Dotrzymał słowa. Śpiewał pieśni o czynach mężnych i piosnki żartobliwe. Ktoś ze służby postawił obok niego na stole srebrny kielich wysadzany klejnotami i pilnował, by nie brakło w nim wina. Cardenal wychylał go do dna po każdej pieśni. Zaczął śpiewać sirwenty o wydarzeniach dnia powszedniego, o plotce, jakoby matka panującego Króla Francji wzięła sobie za kochanka hrabiego Szampanii, o papieżu,

który groził ekskomuniką Fryderykowi, cesarzowi Świętego Cesarstwa Rzymskiego, za to, że nie poszedł z krucjatą do Ziemi Świętej. Zaśpiewał razem z Guacelmem tenson, w którym spierali się, czy mężczyzna może prawdziwie kochać dwie kobiety jednocześnie. Cardenal wziął na siebie rolę obrońcy tej tezy, i aplauz gości zamku Combret jemu przyznał zwycięstwo. Mimo podziwu dla Cardenala, Roland, który w swojej nieśmiałości nie ważył się nagradzać żadnej ze stron, był pewien, że mężczyzna może kochać - kochać prawdziwie - tylko jedną kobietę. Wiedział przecież, że ojciec nie kochał nigdy nikogo oprócz jego matki.

Wino w niczym nie odmieniło śpiewu Cardenala, co najwyżej sprawiło, że jego baryton stał się jeszcze słodszy. Zaśpiewał w duecie z matką Diany, panią Maretą, która sama składała wiersze i uczyła Rolanda czym jest wersyfikacja i metrum.

Potem Cardenal śpiewał pieśni o miłości, własnej kompozycji. Śpiewał o miłości, co trwalsza jest nad czas, miłości, co sprzeciwia się ludzkim prawom, a nawet i przykazaniom bożym, miłości, w której spalają się jak w ogniu szlachetne panie i piękni panowie, miłości, która oślepia istotę ludzką swoim światłem.

Roland spostrzegł, że jego dłoń zaciska się na delikatnych palcach Diany.

Kiedy Cardenal dośpiewał do końca ostatnią pieśń, zaległa głucha cisza, tak wszyscy byli poruszeni. Roland czuł się słaby wyczerpany. Jego dłoń, ciągle spoczywająca na dłoni Diany, drżała. Cofnął ją niechętnie, zdjęty obawą, że ktoś zakpi sobie z niego.

Ciszę przerwał sire Etienne, pchnąwszy w stronę Cardenala przez stół zdobny kielich.

- Pijże z niego dzisiaj i zatrzymaj na zawsze, mistrzu Peire. Rzecz to błaha wobec twojej muzyki, chociaż przypomina mi jeden z najpiękniejszych wieczorów w moim życiu.

Cardenal skłonił się.

- To szlachetny dar, panie.

Jaką władzę posiada ten człowiek - myślał Roland. Śpiewał godzinami, a wszyscy pragną, żeby czynił to przez resztę nocy. Nigdy tak nie zawładną ludźmi. Muszę być głupcem, że porywam się na muzykowanie.

Biesiadnicy ruszyli się. Sire Etienne, sire Arnold i Cardenal stali przy stole rozmawiając, dołączył do nich zongler Guacelm.

I wtedy właśnie Roland zobaczył, że Guacelm wskazuje na niego. Wróciło przeżenie, miał ochotę uciec z sali.

Arnold de Vency przytakiwał z uśmiechem. Roland siedział jak sparaliżowany.

- Idź, Rolandzie - szepnęła Diana - musisz iść.

Powłócząc nogami skierował się do miejsca, gdzie stali mężczyźni. Peire Cardenal jakby hipnotyzował go ognistym wzrokiem.

- Słyszę, że uczysz się śpiewać i grać. Czyś w tym dobry?

- Nie wiem, panie - odparł cicho.

- Żadne „panie”, mój chłopcze - burknął Cardenal. - Jestem tylko synem piekarza, niczym więcej. Szacunek, jakiego oczekuję, idzie stąd i stąd. - Dotknął dłonią czoła i gardła.

- Dla mnie to wiele więcej niż szlachetne urodzenie - powiedział Arnold de Vency. Zmieszany Roland nie śmiał spojrzeć na ojca.

- Zbyt wielu naszych obdarzonych talentem trubadurów przepędza życie, i często je traci walcząc z, jak ich zwą, krzyżowcami, którzy najechali Langwedocję - mówił Cardenal. - Zaledwie dwóch czy trzech uprawia swoją sztukę. Trzeba nam nowej krwi. Posłuchajmy, co potrafisz, chłopcze.

Matka Rolanda, pani Adaliz, przyłączyła się do grupy.

- Rolandzie, zaśpiewaj swoją piosnkę o sosnach.

Rolandowi przemknęło przez myśl, że wołałby raczej natknąć się na oddział frankońskich krzyżowców z obnażonymi mieczami. Sire Etienne nakazał ciszę, wszyscy usiedli, gotowi słuchać. Guacelm wręczył Rolandowi lutnię i plektrum, ojciec lekko go pchnął na środek sali. Musiał obejść stół. Musiał przejść koło Diany.

Ścisnęła jego ramię i szepnęła: - Będziesz wspaniały.

Jak w półśnie wyszedł na środek, lutnia wydawała mu się zbyt duża i za ciężka. Uniósłszy głowę, jak to uczynił przed chwilą Cardenal, stał przez chwilę w milczeniu, usiłując zebrać się na odwagę. Modlił się, żeby nie zapomnieć słów własnej pieśni. Śpiewał ją niemal zawsze bez publiczności, wiele razy, ale mimo to nie czuł się zbyt pewnie. Poczekał, aż melodia zadźwięczy w umyśle, po czym trzymając plektrum pewnie między kciukiem a palcem wskazującym, podjął pierwszą nutę.

Spojrzał na Dianę, jej zielone oczy błyszczały w świetle świec. Wziął głęboki oddech i zaczął śpiewać. Palce mimowiednie uderzały w lutnię, z gardła wydobywał się wibrujący sopran. Wzrok błędził po całej sali, ale śpiewał tylko dla Diany.

*Zielone latem w górach są drzewa,
lecz jesień pozbawia je sukien.
Kiedy śnieg wzgórza kryje całunem,
świat cały jakby umierał,
i sosny się tylko zielenią
na przekór życia obrotom.*

Była to krótka piosenka, ledwie trzy zwrotki. Bał się, że Cardenalowi wyda się pospolita, lecz kiedy spojrzał na Dianę, nabrał pewności siebie.

Dłużej i żywiej wyrażano mu uznanie, niżby się mógł spodziewać. Są dla mnie mili, bo jestem synem Arnolda, pomyślał. Skłonił się wszystkim głęboko.

Zostawił lutnię i plektrum na stole, zbyt onieśmielony, żeby spojrzeć bodaj na Guacelma. Goście wrócili do rozmów. Szczęśliwie zapomniano o jego piosence.

Szybko wy dostał się bocznymi drzwiami na kręte schody, które prowadziły do jednej z warownych wież zamku, dwa piętra powyżej głównej sali. Dobiegłszy tam zaczerpnął głęboko przesyconego zapachem morza zimnego powietrza. Oparł się o krenelaż. Zaskrzypiały dębowe drzwi. W świetle gwiazd pojawiła się przysadzista postać.

- Czemuż, u diabła, tak uciekałeś od nas, chłopcze? Myślisz, że jesteś dla nas za dobry?

Roland się obruszył.

- Nigdy nie będę tak dobry jak wy, mistrzu Peire.

- Do diaska z porównaniami. Nie wiem, jak jestem dobry, nie wiesz tego i ty. Rzecz w tym, by wiedzieć, że jest się na tyle dobrym żeby zostać trubadurem.

- Ale jak mam to wiedzieć?

Cardenal zbliżył swoją twarz do twarzy Rolanda tak blisko, że ten poczuł zapach wina w jego oddechu.

- Wiesz, że jesteś, bo ja ci to mówię. Tylko trubadur rozpozna drugiego trubadura.

Poklepał go po ramieniu. Silne uderzenie zabolalo, sprawilo jednak, ze pomyslal o chwili, kiedy za dotknienciem miecza giermek staje sie rycerzem.

- Mógłbym być trubadurem? - Poczul się tak lekki, jakby za chwile miał uniesć się ponad zamkiem i poszybować ku gwiazdom.

Cardenal prychnął.

- Nie tak szybko, nie raduj się za prędko, chłopcze. To nietatwe życie. Kończy się zwykle na wyśpiewywaniu sobie kolacji.

- Tak - potwierdzil Roland cichutko, mając ochotę, a jednocześnie lękając się, zaprzeczyć.

- Jest coś ważniejszego dla trubadura niż śpiew i przygrywanie na instrumentach - mowil dalej Cardenal.

- Cóż takiego?

- Miłość. Trubadur bardziej niż mistrzem układania pieśni jest tym, który kocha. Za młodyś jeszcze, żeby wiedzieć, czym jest miłość. Dowiesz się przecież, i twoja miłość będzie niezmierna jak ocean. Czasami sprawi ból większy niż męki piekielne, ale wyzwala całą głębię serca. Trzeba ci będzie twojej pani, bogini, która daje natchnienie. Bez niej będziesz niczym.

Roland słyszał wiele pieśni miłosnych, sam je śpiewał. Przeczuwał, czym może być wzajemny magnetyzm, co przyciąga ku sobie kobiety i mężczyznę. Mowa Cardenala sprawila jednak, że się speszył. Nic nie odrzekł.

- W miłości jest najwyższe szczęście, dane człowiekowi - mowil Cardenal. Trubadurzy, jedyni spośród wszystkich mężczyzn, potrafią wejrzeć w głąb tajemnicy, której od niepamiętnych czasów strzegą kobiety. Bacz, com ci rzekł, ale nie myśl o tym na razie. Ojciec ci powie kiedyś, że twój czas nadszedł.

W chwile później Roland wracał na spoczynek przez ciemną już, wielką salę zamku. W głowie kłębiły się dziwne, nowe, radosne myśli. Muszę zawsze kochać - myślał. Tak, tyle rozumiem, trubadur to człowiek zakochany.

Ujrzał w myślach rudowłosą dziewczynkę o przezroczyściej cerze, która spoglądając na niego, mowila: - Będziesz wspinała.

Tak - pomyslal - to Diana. Może jestem za młody, ale kocham ją, i powiem jej o tym, kiedy będziemy trochę starsi. Zostanę jej trubadurem i będę ją kochał do końca życia.

Ale oto Diana nie należy do niego, postanowiła przyłączyć się do tych, których życie zawieszono jest między niebem a ziemią. Zamiast pieśni trubadura wybrała *consolamentum*. Gdy patrzył, jak nachyla się nad ostatnim z rannych, uświadomił sobie, o ile szlachetniejszego dokonała wyboru. Nie miał teraz prawa niczego od niej żądać.

Jego uwagę zwrócił z kolei biskup, który skończywszy udzielać sakramentów, powrócił na swoje miejsce. Wyciągnął ramiona i przywoływał zebranych, kwiat jego Kościoła.

- Dzieci moje, bitwa, którą dzisiaj przegraliśmy, musi być naszą ostatnią. Skończył się czas walki, jeśli w ogóle był. Nie powinniśmy nigdy brać broni do ręki. Tym samym wydaliśmy się na większe okrucieństwo wroga. Chcę nakazać naszym rycerzom, aby się poddali.

Do uszu Rolanda zewsząd dochodziły westchnienia, jęki, cichy płacz. Nie usłyszał jednak słów protestu. Ci ludzie pogodzili się ze swoim losem - pomyślał - może nawet przyjęli go z ulgą.

Biskup Bertran rozejrzał się ze smutnym uśmiechem po sali.

- Diano, moje dziecko, podejdź tutaj.

Zbliżyła się z takim wdziękiem i dostojeństwem, że Rolandowi ścisnęło się serce. Pochyliła głowę, rude włosy załśniły w świetle.

- Diano - mówił miękko - być może Bóg specjalnie zesłał nam tego młodzieńca. Są wiadomości, które musimy przekazać w świat. Wiele skarbów naszego Kościoła zostało ukrytych i trzeba by wieść o tym dotarła do naszych braci, którzy nas przeżyją. Ty ją zanieś, Diano.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Bertran powstrzymał ją delikatnym gestem dłoni.

- Weźmiesz też ze sobą Święty Kielich i starożytne księgi przywiezione ze Wschodu. Przygotuj się, moje dziecko.

Diana ponownie pochyliła głowę.

- Stanie się Wasza wola, ale pozbawiacie mnie męczeństwa, którego wam zazdrościcie, a że go zazdrościcie, więc może nie godnam śmierci.

Serce Rolanda drgnęło radośnie. Diana z nim pójdzie.

* * *

II

Serce ciążyło jak ołów. Wiedziała, że każdą twarz, na którą spogląda, widzi po raz ostatni. Czowała się tak jakby to ona miała umrzeć, a nie oni. Dlaczego muszę ich opuścić właśnie teraz, kiedy na każdego czeka palma męczeństwa? Jak mogliście tak łatwo wykluczyć mnie spośród siebie? Pragnę umrzeć razem z wami, nie chcę żyć sama na tym świecie.

Przez lata żyła wśród nich jak w rodzinie. Kiedy była dzieckiem, jej wiara mogła być wyznawana i praktykowana otwarcie. Od dwudziestu lat trwała już krucjata, ale Doskonali ciągle nauczali tłumy zbierające się na ulicach wielkich miast jak Tuluza czy Béziers, ciągle zyskiwali nowych Wierzących, którzy dla nich porzucali Kościół rzymski. Prawie połowa ludu południowej Francji - począwszy od szlachejnych pań i panów rezydujących w swoich zamkach po wieśniaków z gór - to katarowie. I oto rok tysięczny dwóchsetny czterdziesty czwarty może stać się rokiem, który upamiętni się zniknięciem we Francji katarów. Od tej chwili pozostaną tu zaledwie jakieś ukrywające się resztki, tropione i prześladowane. Nie, nie chciała tak żyć! Pragnęła rzucić się do stóp biskupowi Bertranowi i błagać raz jeszcze, by pozwolił jej zostać. Obowiązek, który krępował jak żelazny gorset, nakazywał poddać się jego poleceniom. Przystała na nie z oporami, wiedziała jednak, że biskup chroni ją przed popełnieniem błędu. W milczeniu gotowała się do drogi.

Wkrótce Diana i Roland stali już przy północno-wschodniej ścianie murów otoczeni przez grupę Doskonałych. Od jednej z rodzin, która schroniła się na Mont Ségur, otrzymała paradny strój konny, mający z niej uczynić bogatego młodzieńca.

Obcięte przed chwilą włosy osłaniał beret przystrojony piórem kuropatwy. Do czarnego kaftana Rolanda na powrót przyszyto czerwony krzyż, taki sam, zrobiony ze szkarłatnej chusty, znalazł się na tunice, którą nosiła Diana. Talię i nogi przewięzano obojgu rzemieniami.

- Czuję się bezbronny jak małe dziecko - wyszeptał Roland z grymasem na twarzy, który znała tak dobrze.

Z trudem powstrzymywała łzy, kiedy patrzyła na czarno odzianych mężczyzn i kobiety, którzy zebrali się tutaj, żeby ją pożegnać, nim ruszy w drogę. Zbliżył się biskup Bertran. Ukłękła ucałować jego dłoń, którą zrosiła gorącymi łzami.

- Nie chcę odchodzić, pozwólcie umrzeć tutaj, razem z wami.

- Śmierć ci jeszcze niepisana, przyjdzie na nią pora, kiedy będzie ci to przeznaczone, i oby była to śmierć szczęśliwa, a teraz niech łaska boska cię prowadzi, moje dziecko.

Poczuła, że Roland ściska jej dłoń. Jego siła i pewność były pociechą, ale ten dotył sprzeciwiał się prawom, wedle których żyła. Ogarnął ją na powrót niepokój. Była teraz pod jego opieką. Co ją czeka? Czym stanie się ta bliskość między nimi? Tak bardzo go kochała. Gdyby nie uciekł, nie został banitą, może nigdy nie przyjęłaby *consolamentum*. Musi być czujna.

Roland poprawił wiązania rzemieni, sprawdzając, czy wytrzymają po czym delikatnie popchnął Dianę. Uczuła przejmujący strach, znalazła się nagle w ciemnościach i pustce z uśmierającą przerażeniem modlitwą na ustach. Nie mogła dojrzeć światła w dole, nie potrafiła określić, jaka odległość dzieli ją od podnóża murów.

Jej życie było teraz w rękach tych, którzy trzymali w górze końce rzemiennych lin. Wiązania wrzynały się w ciało. Chcąc złagodzić ból, podciągnęła się na rękach osłoniętych jelonkowymi rękawicami zabezpieczającymi przed otarciem dłoni. Bolały ją ramiona. Pomyślała, że szczęśliwie jej tobolek jest lekki. Ledwie małe zawiątko ze szczerozłotym kielichem zwanym Świętym Naczyniem, przytroczone na plecach. Najświętszy przedmiot, do którego mógł się zbliżyć tylko jeden wybrany Doskonały.

Spojrzała w górę i w świetle przyświecających im pochodni zobaczyła zsuwające się w dół Rolanda z bronią, w zbroi i z dwoma pakunkami, w których znajdowały się wielkie księgi.

Cierpiał zapewne znacznie większy ból niż ona, a przy tym, jakim ciężarem musiał być dla tych na górze, osłabionych długim głodem. Modliła się, żeby nie puścili lin, prosiła Boga, by dał im obojgu dość siły do pokonania nieznanymi niebezpieczeństw, jakie ich czekały.

Zsuwała się ciągle w dół, teraz ledwie już mogła dojrzeć Rolanda. Zapragnęła być bliżej niego, kilka razy cicho zawołała go po imieniu i jego niski głos dodał jej otuchy.

Wzrok stopniowo oswoił się z ciemnością, mogła już dostrzec wznoszące się wysoko ponad ich głowami kontury górskich szczytów okalających Mont Ségur rysujące się na tle rozgwieżdżonego nieba. Czowała się tak, jakby opadała w czeluści piekieł.

Niczym ktoś spoglądający z boku ujrzała siebie zawieszoną w powietrzu, setki metrów nad kotłiną. Poczwała dziwny ucisk w żołądku. Zakołysała się lekko i w nagłym odruchu przerażenia uchwyciła linę. Przeszywający ból w nadgarstkach i ramionach kazał jej zwątpić, czy zdoła wytrzymać.

Słyszała dobiegające z góry dźwięki - loskot, szcęk broni, krzyki, nawoływania. W każdej chwili krzyżowcy mogli wdrzeć się do twierdzy, zaskakując Doskonałych, którzy trzymali liny z dwójgiem bezbronnych uciekinierów.

Wyobraziła sobie, jak pod ciosami mieczy wroga giną jej bracia, a ich krew płynie po świętych kamieniach. Załkała w głos. Usłyszała, że Roland coś mówi po cichu, że wypowiada najpewniej skierowane do niej słowa pocieszenia, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Straciła poczucie czasu. Wydawało się, że zaledwie kilka minut temu zęgnęła się z bliskimi, a jednocześnie czuła, że wieki minęły od tamtej chwili. Czy nigdy nie dotrą na dół? Lina, którą była owiązana w pasie, niemal przecinała ciało na pół.

Nagle poczuła pod nogami jakieś kamienie, a po chwili stały grunt. Nie mogła ustać na nogach, jakby przestała krążyć w nich krew. Upadła na kolana, ale nie poczuła bólu. Tak wspaniale było mieć znowu ziemię pod stopami. Roland, który jak ona upadł na kolana, podczołgał się i przykleknął obok niej. Chciała, żeby ją podtrzymał, wzdragając się jednak na myśl o jego uścisku.

Spojrzała w górę i zobaczyła, że szczyt góry otoczony jest koroną płomieni.

- O, dobry Boże, nie - wyszeptwała. Zapalające strzały krzyżowców musiały wzniecić ogień trawiący teraz drewniane budynki. - Nazywaliśmy Mont Ségur Bezpieczną Górą - powiedziała do Rolanda. - Myśleliśmy, że Bóg ustrzeże nas tam w górze od wszelkiego zła. Powinniśmy byli pamiętać, że Bóg - Bóg prawdziwy - nie rządzi tym światem, że rządzi nim jego wielki Adwersarz.

Bezwiednie spojrzała ponownie w górę. Płomienie pożaru przygasły, a niebo z czarnego stało się fioletowe. Różowy poblask, już nie ognia, lecz nadchodzącego świtu, pojawił się ponad szczytami na wschód od Mont Ségur. Uświadomiła sobie, że ich niezwykła podróż z wierzchołka góry trwała niemal całą noc.

Cienka, jedwabna tunika nie dawała ochrony przed chłodem. Zacierała ręce, chcąc je trochę ogrzać, a kiedy chuchnęła w dłonie, poczuła, jaki lodowaty jest jej oddech. Za kilka tygodni nadejdzie wiosna, której ludzie ze szczytu góry nigdy już nie mieli zobaczyć.

Zdrętwiałymi palcami zaczęła rozplątywać wiązania lin wokół talii i kolan. Roland pomógł jej i znowu zadrżała, czując jego dotyk.

- Dajże spokój, Diano. Nie patrz w górę. Będziemy potrzebowali twoich oczu w czasie wędrówki.

Wyprostowała się z trudem. Spojrzała na Rolanda. W słabym świetle wstającego dnia mogła dostrzec, że i on wyglądał na wyczerpanego. Wiedziała jednak, że byłoby nierozsądnie, gdyby pozostali tutaj, bez ruchu, w chłodzie, spoceni.

- Znasz te lasy - powiedział. - Obóz krzyżowców jest nie opodal wioski u podnóża góry. Poprowadzisz nas.

Westchnęła i dała ręką znak, by szedł za nią.

Kiedy odwrócili się plecami do szczytu, z którego zeszli, z góry spadły ze świstem ubezpieczające liny. Było mało prawdopodobne, żeby krzyżowcy mogli się na nie natknąć. Zapewne nigdy się nie dowiedzą, że ktoś uciekł z Mont Ségur. Przepeliła ją wdzięczność dla Wierzących, którzy otwarli im drogę ku wolności.

Weszli w gęsty sosnowy las. Spojrzała na Rolanda. Jego twarz była ciemniejsza i bardziej koścista od tej, którą zachowała w pamięci. Nos rysował się ostrą linią. Ściągnął hełm i głowę okalały mu teraz czarne loki. Odwrócił się ku niej, zadrżała

pod przenikliwym spojrzeniem jego błękitnych oczu. Myśląc z desperacją o oczekujących ich niebezpieczeństwach, wezwała w myślach bożej pomocy.

- Dlaczego musimy iść do obozu krzyżowców, Rolandzie?

- Jest tam mój giermek i mój namiot. Musiałem się do nich przyłączyć. Inaczej nie dotarłbym do was - wskazał dłonią w stronę szczytu.

Zdjęło ją przerażenie na myśl, że idzie między wrogów.

- Nie mogę, Rolandzie.

- Będziesz tam bezpieczna. Nikomu ani postanie w głowie szukać katarów w obozie. - W jego głosie raptem zabrzmiała gorycz. - A już na pewno nie Doskonalej.

Pomyślała ze smutkiem, że Roland nigdy nie zrozumie czym jest dla niej wiara.

Szli dalej w milczeniu. Powietrze przesycił zapach sosen. Po roku zamknięcia w twierdzy z trudem przypominała sobie słodką woń czystego powietrza. Myśl, że ci, których opuściła, nigdy nie podzielią z nią nawet tak prostej radości, zwiększała jeszcze jej ból.

Posuwała się naprzód, przytrzymując gałęzie, żeby nie uderzały w twarz idącego za nią Rolanda. Zwinnie stąpała po korzeniach i kamieniach. Poruszała się zwinnie, ale w duszy czuła przygniatający ciężar.

- Stąpasz tak pewnie - odezwał się nieoczekiwanie Roland - jak sarna. Niewiele kobiet podolałoby trudowi, jakim jest schodzenie po górskim stoku. Kiedy widziałem cię po raz ostatni, byłaś delikatną damą, teraz jesteś człowiekiem gór.

Jego słowa przyprawiły ją o rumieniec. Odpowiedziała dumnie:

- Nie ma dam wśród nas. Kobiety pracują tak jak mężczyźni, tak samo spełniają święte powinności. Przed obłężeniem podróżowałam po całej Langwedocji, głosiłam słowo Boże, Rolandzie. Udzielałam świętych sakramentów tym, którzy ich potrzebowali.

Spojrzał na nią z podziwem.

- Co twoja matka i ojciec mówią na to?

Zatrzymała się gwałtownie, zaskoczony Roland niemal wpadł na nią.

- Są szczęśliwi. Obydwoje zmarli zeszłego roku. Inkwizytorzy kazali im nosić żółty krzyż heretyków i zmusili do żebrania po drogach. Byli zbyt starzy, żeby przeżyć

zimę. Mieli dobrą śmierć. Zdążyłam jeszcze ich widzieć i udzielić *consolamentum*.

- Och, Diano! - wyciągnął ku niej ramiona.

Pomimo smutku opanowała się i cofnęła o krok, z ostrzegawczym gestem.

Odwrócił się od niej, kryjąc twarz w dłoniach.

- Nie pozwolisz mi nawet pocieszyć cię! - wykrzyknął.

- Już dobrze - poczuła, że coś ścisną ją za gardło - już dobrze, chodźmy dalej.

Szła przodem, prowadząc co najmniej przez godzinę. Gałęzie uderzały ją po twarzy, ślizgała się na śniegu, który miejscami zachował się jeszcze w chłodnych i cieniistych partiach lasu. Jej skórzane ciżmy były zupełnie przemoczone, stopy zdrętwiały z zimna. Kiedy pomyślała właśnie, że chyba już nie zrobi ani kroku dalej, poczuła lekkie uderzenie w ramię. Roland, równie zmęczony jak ona, wskazywał gestem na zwalony pień. Usiedli, by chwilę odpocząć.

Zdjęła kaptur, otarła pot z czoła, potrząsnęła czupryną, jaka pozostała po przszytych. Głowa wydała się jej dziwnie odmieniona i lekka. Zdjęła z pleców tobolek i z pełną poszanowania delikatnością położyła na ziemi. Roland uczynił to samo.

Spojrzała na niego. W jego oczach dojrzała pragnienie, które przyprawilo ją o lęk. Przypomniała sobie dni, kiedy obydwójce byli znacznie młodszy. Powróciło wspomnienie górskiej polany, białych maków, smaku jego ust, wiersza, który ułożył specjalnie dla niej:

*Niewiastę i męża jednako zachwyca
chwalić Pana, co tchnął w nich życie...*

Poddała się fali nagłej tęsknoty, a wraz z nią przyszła nieproszona myśl: gdybym tylko mogła raz jeszcze być piętnastoletnią dziewczyną. Siła tego uczucia zaskoczyła ją. Zawsze dumna ze swojej dojrzałości, czuła się błogosławiona przez sam fakt, że mogła pojąć wewnętrzną prawdę swojej wiary i odwrócić od spraw tego świata. Czyżby za sprawą Rolanda miała znowu poddać się ułudzie?

Pomyślała, że byłoby z pewnością lepiej, gdyby pozostała w warowni i tam wraz z innymi czekała na śmierć. Oparła głowę na splecionych ramionach, zastanawiając

się, jaki los spotka tych, których kochała i których zostawiła na Mont Ségur. Być może teraz właśnie wleczono ich na stosy, na których mieli spłonąć. Łzy bólu pociekły po policzkach, ale zaraz zganiała się za to. Przecież ci, którzy umierali, byli uprzywilejowani, szczęśliwi. Ciało jest jak gliniane naczynie, w którym uwięziono promień czystego światła. Śmierć rozbija glinianą skorupę i uwalnia światło.

- Dlaczego płaczesz? - łagodnie zapytał Roland.

- Płacę nad tymi, którzy muszą umrzeć tam, na szczycie góry - odrzekła ze ściśniętym gardłem - i nad sobą, bo nie mogę dzielić z nimi śmierci.

Spojrzała na Rolanda i ujrzała rozdrażnienie na jego twarzy. To prawda, on tego nie może pojąć, pomyślała ze smutkiem. Nigdy nie pojmie. Muszę go opuścić tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

- Dlaczego tak bardzo chcesz się poświęcić?

To było beznadziejne. Wierzył, że skoro Bóg dał ludziom ciało, to jest ono czymś cennym. Był trubadurem - człowiekiem oddanym miłości zmysłowej. Wydawało się, że lata wygnania nic go nie zmieniły.

- Nie ma we mnie poświęcenia. Rolandzie. Wszystko co czynię, czynię dla siebie. Śmierć to tylko powrót do Światłości, z której wszyscy zostaliśmy zrodzeni. Kiedy zdarza mi się czasem widzieć ową Światłość czuję najwyższe szczęście, jakie dane jest człowiekowi odczuwać. Takie szczęście... przeczuć nawet nie potrafisz jak ogromne.

- Większe niż Miłość?

Przypomniała sobie, że zanim poszedł na wygnanie, usiłował uczyć ją prawideł *l'amour courtois*, religii Miłości. Zastanawiała się, kim byłaby teraz, gdyby wtedy pozostał. Myślała o tym, jakim szczęściem było, że mogła odkryć dla siebie Święte Światło.

- Tak, szczęście, które znalazłam w wierze, przewyższa to, które nazywasz Miłością.

- Nie wierzę - potrząsnął ze złością głową. - Zwąć się Doskonałą, próbujesz udawać, że nie jesteś człowiekiem.

- Wiem, jak bardzo jestem człowiekiem, wiem, że świat jest dla mnie ciężarem, jak dla każdego z nas - odpowiedziała z powagą. - Nie mówimy, że jesteśmy doskonali,

próbujemy jedynie żyć tak, by wyzwolić się od okowów materialnego świata. I jeśli takiemu życiu nie potrafimy sprostać, to nie ma dla nas przebaczenia, nie ma łaski.

Zamknął oczy, ponownie je otworzył i spojrzął na nią wzrokiem, który palił.

- Nie wierzę, żeby Bóg chciał, by ludzie żyli jak, bezcielesne duchy. Życie, które wybrałaś, jest życiem w ciągłym lęku, w ukryciu, z myślą, że te bydlęta kiedyś cię pochwycą, by spalić żywcem na stosie. Diano, zabiorę cię, dokądkolwiek zechcesz. Będiesz przy mnie bezpieczna. Zostawimy za sobą tę wojnę, pojedziemy do Włoch. Pięknie jest we Włoszech. Są tam miejsca, gdzie nie sięga władza Inkwizycji. Będziesz żyła tak, jak zechcesz. Pomyśl o dzieciach, które moglibyśmy mieć.

Znowu zapragnęła otworzyć przed nim ramiona. Pojawiły się kolejne wspomnienia: jak słucha jego gry i śpiewu w wielkiej sali ojcowskiego zamku, jak wędruje z nim po lesistej okolicy domu rodzinnego, przesiąkniętej zapachem sosen, jak całują się nad górskim potokiem. Odtrąciła z wysiłkiem napływającą falę słodkiej czułości.

- Nie, Rolandzie, nigdy. Złożyłam ślub, że nigdy nie dotknę mężczyzny, chyba że będzie to konieczne dla ratowania jego życia bądź duszy.

Jego błękitne oczy wpatrywały się w nią, jasne jak płonący płomień. Bała się, że jeśli dłużej będzie w nie spoglądać, jej pewność stopi się w ich żarze. Bała się o własną duszę.

- Czyniłaś te śluby, kiedy myślałaś, że nigdy się już nie spotkamy.

- Nawet gdybym mogła zmienić postanowienie, nie zrobiłabym tego. - Włożyła w to zdanie całą determinację na jaką mogła się zdobyć.

Zobaczyła, że zacisnął usta i zaszkliły mu się oczy. Wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć jego ramienia w geście pocieszenia, ale natychmiast ją cofnęła.

- To prawda. Nie myślałam, że jeszcze kiedykolwiek cię spotkam. Wierz mi, Rolandzie, że kiedy ujrzałam cię w twierdzy, poczułam radość równą niemal tej, kiedy spływa na mnie Światłość. Ostatnia wiadomość o tobie przysłała z Awinionu. Co było potem?

- Byłem we Włoszech, najdłużej na Sycylii. - Jego głos brzmiał tak, jakby do-
bywał się z otchłani smutku. - Inkwizycja trafiła na nasz ślad w Awinionie. Ojciec,
matka, siostra i ja uciekliśmy wtedy, wędrując wybrzeżem na grzbietach osiołków,
do Lombardii. Stamtąd morzem do Palermo, gdzie ojciec znalazł schronienie na
dworze cesarza Fryderyka.

Na twarzy Rolanda pojawił się pełen czułości uśmiech.

- Cesarz potrzebuje ludzi biegłych w czytaniu i w piśmie, którzy przy tym nie
należą do Kościoła i mogą być mu użyteczni w nie kończących się sporach z papie-
żem. Ojciec szybko zaskarbił sobie zaufanie i pozycję na dworze. Teraz ma urząd w
cesarskiej kancelarii. Choć zajęty ponad miarę, często do mnie pisze.

- Cieszy mnie to, co słyszę - powiedziała Diana z czułością, przypominając so-
bie swojego ojca, który umierał gdzieś w pasterskim szalasie.

- Co z twoją siostrą, drogą Fiorelą?

- Po moim wyjeździe wyszła szczęśliwie za mąż za szlachcica z dworu Frydery-
ka, pana Lorenzo Celino, rycerza Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Matka mi pisze,
że jest człowiekiem pełnym cnót, a to rzadkość pośród cesarskich dworzan.

Słyszała tyle samo złego co i dobrego o cesarzu Fryderyku, powiadano, że jest
człowiekiem rozwiązyłych obyczajów, ale że pozwala ludziom wypowiadać swobod-
nie, co myślą.

- A ty? - zapytała z uśmiechem. - Czy i ty byłeś człowiekiem pełnym cnót, kiedy
przebywałeś na cesarskim dworze?

Również się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

- Zajmowałem się tym, co ukochałem najbardziej. Miałem ze sobą moją starą,
drogą lutnię, tę samą, na której grałem przed Peire Cardenalem. Chciałem zostać
mistrzem. Cesarz otacza się największymi poetami i pieśniarzami naszego czasu, a
ja byłem ich skromnym terminatorem. Zgodzili się być mi nauczycielami i już
wkrótce mogłem pokazać moje rzemiosło przed samym cesarzem. Musiałem mu się
spodobać, bo od tego czasu wieczerałem z nim częściej nawet niż mój ojciec.

Diana pamiętała, że kiedy Roland śpiewał tylko dla niej, jego pieśni zdawały się
na wskroś przenikać jej duszę. Tak więc nie była to tylko miłość - pomyślała. Jeśli
spodobał się samemu cesarzowi Fryderykowi, musiał być naprawdę dobrym pie-
śniarzem.

- Było ci trudno ćwiczyć się w twoim rzemiośle w czasie ciągłej tułaczki? Wzruszył ponownie ramionami.
- Wędrownik jest losem trubadura. Gdzie tylko przyszło nam stanąć na dłużej, tam zawsze szukałem jakiegoś trubadura, który przebywał akurat w okolicy, i od którego mógłbym się czegoś nauczyć.
- I tak wreszcie stałeś się częścią dworu Fryderyka? Twarz Rolanda zachmurzyła się.
- Miał dla mnie i inne zajęcia. Teraz, kiedy panuje nad południowymi Włochami i krainami niemieckimi, chciałby mieć w swojej władzy również północne Włochy, czemu sprzeciwia się papież. Walczyłem w różnych miastach włoskich po stronie cesarskich gibelinów przeciwko papieskim gwelfom. Fryderyk pasował mnie w dowód łaski na rycerza. Ale nawet w samym sercu bitwy głowę miałem pełną wierszy. Byłbym szczęśliwszy, gdybym mógł oddać się tylko swojej muzyce i śpiewaniu. Świat nie pozwolił. Tak jak tobie nie pozwala wyznawać twej wiary.
- Ale przecież było ci na pewno lepiej na cesarskim dworze niż tutaj. Dlaczegoś tam nie pozostał?
- Ponieważ cię kocham - odparł ponuro. Serce się krajało na myśl o jego bólu.
- Kocham swój kraj - mówił dalej - marzyłem nieustannie o tobie i o Langwedocji. Powróciłem i zacząłem cię szukać, ale wszyscy przyjaciele albo już nie żyli, albo poszli na wygnanie, ludzie powiadali nawet, że i ty nie żyjesz.
- Chcieli mnie ochronić - rzekła - tu na południu Francji Inkwizycja jest wszędzie, wyłapuje nas jak zwierzynę. Przytaknął.
- Nie było sposobu dowiedzieć się czy żyjesz, a przy tym ludzie Inkwizycji mogli w każdej chwili odkryć, że syn Arnolda de Vency powrócił do Langwedocji, ruszyłem więc do Paryża, gdzie inkwizytorzy nie zaczęli jeszcze swego dzieła. Pojawiłem się tam jako Orlando z Perugii, rycerz włoski. Próbowałem rzemiosła trubadura. Nadszedł kolejny list od ojca. Do cesarza posłano wezwanie o pomoc dla Mont Ségur. Wymieniało się tam imiona obłożonych. Ojciec, który dobrze zna nasz kraj pisał też w jaki sposób mogę dostać się do twierdzy. Dla ciebie przyłączyłem się do

wyprawy krzyżowej przeciw albigensom. Odnalazłem cię po to, by utracić. Zostały mi tylko moje pieśni - Wstał raptownie. - Jeśli jakiś krzyżowiec natknie się na nas tutaj w lesie i zacznie przepytywać, trudno będzie o dobrą odpowiedź. Musimy iść do obozu, a to niemal cały dzień drogi.

Diana pomyślała, że głos Rolanda jest głuchy jak głos człowieka, który usiłuje ukryć, także przed samym sobą, swoje uczucia.

Przerażona, że trzeba będzie znaleźć się raptem wśród tysięcy nieprzyjaciół, czuła nieprzepatą ochotę, by uciec od Rolanda i skryć się gdzieś samotnie w leśnej głuszy. W obronie przed niebezpieczeństwem powtórzyła w myślach: „Bóg jest ze mną i niczego nie powinnam się lękać”.

Wiele godzin później, kiedy wędrowali przed siebie doliną spowitą w cieniu późnego popołudnia, Diana spojrzała ku szczytom na zachód od Mont Ségur. Na tle nieba rysowały się ich czarne sylwetki, ale wierzchołek obleganej Mont Ségur połyskiwał złotem w świetle zachodzącego słońca. Teraz pierwszy szedł Roland, a droga, którą wybrał, wiodła brzegiem małego górskiego strumienia. Ostatnim razem, kiedy tu szła, był czysty jak świeże wiosenne wody, teraz z odrazą patrzyła na płynącą brunatną ciecz, która przypominała miejski ściek.

Dostrzegła jakieś postaci wśród drzew i zamarła.

- Nie bój się - powiedział Roland. - To obóz łotrzyków, wędrowni kramarze, nierządnicze i złodziejaszki. Trzymają się wojska jak pchły psa.

Czując się tylko odrobinę pewniej, zatrzymała się, schyliła i umazała twarz grudką ziemi, sądząc, że dzięki temu nabierze męskiego wyglądu. Uparła się, że weźmie od Rolanda ciężki tobolek. Rycerz nie powinien nieść nic oprócz broni.

Po kilku krokach natknęli się na gładkowłosą dziewczynę stojącą po kostki w strumieniu i spoglądającą na Dianę szklanym wzrokiem. Diana uświadomiła sobie, że tamta patrzy na nią jak na mężczyznę. Dziewczynka nie mogła mieć więcej niż trzynaście lat, ale pod podartą sukienczyną rysował się mocno zaokrąglony brzuch. Odchyliła stanik sukni, pokazując w jakimś teatralnym, zapraszającym geście, nabrzmiałe piersi ciężarnej kobiety. Diana odwróciła głowę, nie mogąc znieść tego

widoku. Życie złamało jej duszę, czyniąc z niej nie więcej niż zwierzątko. Czy mogła być większa zbrodnia, niż skazanie tego dziecka na to, by dało życie nowej istocie, która znajdzie na tym świecie tylko cierpienie? Usłyszała brzęk i odwróciła głowę. To Roland dobył liwra i rzucił go małej.

Przeszli kawalek drogi, nim się odezwał.

- Taki los mógł spotkać moją matkę, gdyby nie uratował jej Arnold de Vency, z bękartem jakiegoś krzyżowca w łonie.

Usłyszała w jego głosie mękę i poczuła serdeczny żal. Znała źródło tego bólu. W dawnych czasach, kiedy zalecał się do niej, wyznał, że jego naturalnym ojcem nie był Arnold de Vency, lecz jakiś rycerz-krzyżowiec, który zniewolił Adaliz, matkę Rolanda, i opuścił ciężarną. Pełen nienawiści do własnego pochodzenia, Roland czasami zdawał się nienawidzić także siebie.

- Nie mów tak o sobie, Rolandzie, wszyscy mamy sromotny początek niezależnie od tego, czy nasi rodzice byli małżonkami, czy nie.

Roland popatrzył na nią ze złością.

- I dlatego wy, Doskonali, pogardzacie ziemską miłością. Czasami nie dziwię się, że prawowierni chrześcijanie was prześladują.

Poczuła się tak, jakby ją uderzył. Szła za nim w milczeniu, z niepokojem łowiąc uchem wzbierające w oddali dźwięki, szorstkie głosy ludzkie, rżenie koni, brzęk stali. Kiedy pozostawili za sobą osłonę drzew, zatrzymała się, serce waliło z przerażenia.

Miała przed sobą widomą oznakę władzy szatana.

Oto wznosiła się przed nią wysoka ściana ostrokołu. Las sztandarów z pysznych materii powiewał nad nią i za nią. Na wielu widniały krzyże w kolorze krwistej czerwieni, o ramionach cienkich i wydłużonych, szerokich i zamkniętych w kwadracie, inne oznaczone ornamentem. Były tu sztandary armii różnych krajów i baronii, które przyłączyły się do ogłoszonej przez papieża krucjaty przeciwko albigensom, oznaczającej wojnę z wiarą, którą wyznawała Diana.

Przed ostrokołem krzatali się mężczyźni w hełmach i herbowych barwach, niektórzy ćwiczyli wielkie konie bojowe okryte kolorowymi derkami. Palisada zdawała się otaczać niezmierną pagórkowatą przestrzeń. Ciągające się w nieskończoność

wzgórza usiane były tysiącami namiotów o szpiczastych dachach. Największe górowały nad szczytami wzgórz, poniżej rozpościerały się mniejsze, należące do ostatnich z rycerstwa.

W czyste górskie powietrze wzbijał się dym z ognisk, przy których warzono strawę. Diana poczuła, że wywraca się jej żołądek, gdy doszedł ją zapach pieczonej baraniny. Śluby, które złożyła, zabraniały spożywania mięsa, przyzwyczajona była do innego stołu, zdjęło ją obrzydzenie.

Hałas był przeraźliwy. Tysiące głosów niesło się echem po dolinie straszliwym, ogłuszającym wrzaskiem. Jak zdoła wejść do tego obozu?

Roland ruszył w stronę głównej bramy a ona, przemagając opór, poszła za nim. Wyszedł im naprzeciw wartownik z długim czarnym wąsem.

- Jestem sire Orlando z Perugii - rzekł Roland.

Wartownik gestem dłoni, która powędrowała w stronę hełmu i napierśnika, wyraził szacunek dla rycerskiego stanu Rolanda.

- A ten młodzieniec, który jest z wami, panie? - mówił w szorstkim języku północy.

- Mój giermek - lekko odparł Roland. - Guibert de Saint-Fleur.

- Dlaczegoście się oddalili, panie, z obozu? - zapytał wartownik. - Czy nie słyszeliście, że wielmożny hrabia Gobignon rozkazał wszystkim w obozie stanąć do broni? - Mierzył Rolanda zwięzonymi oczami.

Dianie zdawało się, że serce wyskoczy jej z piersi. Modliła się, by żołnierz nie przyjrzał się jej zbyt dokładnie. Cały obezwładniający strach, jaki czuła przed wszystkimi krzyżowcami, uosabiał teraz ten jeden wąsacz.

- Jakiż powód alarmu? - Głos Rolanda był niewiarygodnie spokojny.

- Coś dzieje się na szczycie góry, panie. - Żołnierz wskazał na Mont Ségur, górującą ponad ich głowami. - Nikt dobrze nie wie co. Może zwyciężamy, a może bugresi nacierają.

Diana powstrzymała grymas bólu. Zawsze te wyzwiska - pomyślała. A dlaczego takie obrzydliwe! Bugresi, bo nasza wiara przysłała do nas od bogomilów z Bułgarii, albo albigeni, bo pierwszym ośrodkiem naszej wiary w Langwedocji było Albi.

Wymyślają dla nas nazwy, tak jakby miały one dać im nad nami władzę. Nie podoba się im, że nazywamy siebie katarami - czystymi.

- Sam hrabia jest tam, na szczycie, ale nie mamy żadnych wieści od niego, to pół dnia drogi.

Wiemy o tym aż za dobrze, odpowiedziała mu zgryźliwie w myślach, walcząc z ogarniającym ją zmęczeniem.

- Dopiero co o tym słyszę - odparł Roland z uśmiechem. - Byłem w takim miejscu, gdzie nie trafiły za mną żaden posłaniec ani herold, składałem wyrazy szacunku córce jednego z tutejszych lenników. Straciła na wojnie wszystkich konkurentów. Minął jej już wiek zamęścia i głodna jest bardzo mężczyzn, musiałem trochę ją pocieszyć. Złóż raport, jeśli trzeba, poniosę karę. Honor nie pozwala mi wypowiedzieć jej imienia.

Jak łatwo przychodzi mu kłamstwo, pomyślała Diana. Czy wartownik uwierzy, czy też odprowadzi ich do aresztu? Ale ten tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wasze rycerskie zajęcia, panie, niech zostaną między wami a waszym spowiednikiem. Co wasz giermek niesie w tych zawiniątkach?

- Błahe, zbytłowne przedmioty, które moja pani przemocą kazała mi przyjąć - Roland znowu się uśmiechnął. - Tak się dzieje, że niezamężne białogłowy, kiedy już posuną się w latach, bardzo są wdzięczne i szczodre nad miarę.

Dobry Boże - pomyślała Diana - co mam robić, jeśli każe rozwiązać pakunki?

Wartownik rechotał. - Raźniej człowiekowi na sercu, kiedy widzi, że naszym galantym panom rycerzom dobrze się wiedzie. Nie dziwota, że tutejsze niewiasty potrzebują mężczyzny, co się zowie. Ci przeklęci Bugresi nie wiedzą co to dupa.

Diana poczuła, że robi jej się gorąco z wściekłości.

Wartownik cofnął się i z pokracznym ukłonem przepuścił Rolanda przez bramę.

- Wybacz - odezwał się Roland, kiedy tamten nie mógł ich już słyszeć - ale usłyszysz tu jeszcze wiele nikiemnych uwag wypowiedzanych pod adresem waszej wiary i obyczaju.

Roland prowadził ją krętą, błotnistą ścieżką pomiędzy namiotami. Szczyt każdego wieńczył proporzec z herbem mieszkającego w nim rycerza. Widać było, że

stawiano je bez porządku, wedle uznania każdego z obozujących. Na odgłos pieśni Roland chwycił Dianę za ramię i odciągnął ze ścieżki. Zobaczyła grupę księży ubranych w czerwone suknie, z pozłacanymi krzyżami i sztandarami. Za nimi postępowali chłopcy z dzwonekami i kadzielnicami. Wyzywająco jaskrawe szaty księży, wydały się Dianie odpychające.

Czuła, że dławi ją nienawiść. To właśnie tacy księża od czterdziestu lat podzegli do rozlewu krwi i zbrodni w Langwedocji. Byli pewni, że służą Bogu, ale ona miała wrażenie, że pozostają na służbie szatana. Śpiewali *Salve Regina*. Wznosili modły do Najświętszej Panny o zwycięstwo nad ludem, do którego należała. Jakże Bóg miałby mieć ziemską matkę? Bluźniercy!

Poczuła, że Roland ciągnie ją za rękę, by uklękli. Opierała się. Nigdy nie ugnie kolan przed takimi kapłanami. Jeśli jednak tego nie zrobi, ryzykuje, że ją zdemaskują. Gdyby tylko mogła pójść na śmierć jawnie jako wyznawczyni swojej religii! Z trudem przelękając ślinę, uklękała i uczyniła znak krzyża.

Kiedy procesja przeszła, wstała, zarzuciła na ramię pakunki i powlokła się za Rolandem krętą uliczką. Nie mogła zapanować nad przerażeniem, wydawało się jej cały czas, że każdy człowiek w obozie z łatwością odgaduje, kto kryje się pod przebraniem. Roland wskazywał po drodze miejsca obozowania różnych drużyn - Bretończycy, Normandowie, rycerze z Ille de France, Anglii, Flandrii, Niemiec. Oczy utkwiała w ziemi, nie mając odwagi spojrzeć w okrutne twarze krzyżowców. Następowala mu niemal na pięty, przerażona, że coś może ich rozdzielić.

- Wielu z nich jest krzyżowcami w drugim pokoleniu - cicho poinformował Roland. Wyczuła, że usiłuje jakoś wyrwać ją z tego stanu przerażenia, zajmując czymkolwiek jej myśli. - Ich ojcowie pojawili się tutaj, kiedy papież wezwał do pierwszej krucjaty, teraz są tu ich synowie. Hrabia Almaryk de Gabignon jest jednym z nich.

- Kto? - udało się jej zapytać przez ściśnięte gardło.

- Wyglądasz na śmiertelnie przerażoną. Spróbuj iść tak, jakbyś była tu zadowolona. De Gabignon dowodzi tą armią. Spójrz, tutaj rozbili swoje namioty rycerze z Italii i Aragonii. Jest tu nawet kilku rycerzy z samej Langwedocji...

Czyjś śpiew przerwał Rolandowi. Był to mocny, dojrzały głos, w którym słychać było radość i śmiech. Nawet przy całym jej pograżeniu sprawił, że Diana poczuła się nieco raźniej.

Minęli krąg ciasno zbitych namiotów i zobaczyli przed sobą otwartą przestrzeń, niskie wzgórze pełne mężczyźni siedzących na wydeptanej trawie. Palono niewielkie ogniska, łagodzące nieco luty chłód. Wszyscy mieli miecze u boku i hełmy w pogotowiu. Nagle zdała sobie sprawę, że tylko niewielka część tej armii wyruszyła na szczyt Mont Ségur. Tłum był olbrzymi, ten Gobignon nawet nie zaczął jeszcze korzystać z potężnej siły, jaką dysponował. Sprawa wydawała się od początku stracona.

Wypatrzyła śpiewaka, niskiego, krępego młodzieńca o kręconych jasnych włosach. Złociste drewno jego lutni połyskiwało w zachodzącym popołudniowym słońcu. Stał przed prostym, czarnym namiotem, nad którym powiewał czarny proporzec ze srebrnym gryfem, który darł pazurami powietrze.

Śpiewał swawolną, radosną piosenkę:

*Krzyczy Król Kocur: „gdzie jest ten szczur,
co kraj nasz z dziewic całkiem wytrzebił”?
Na to Księżniczka Kotka mruczy muur-muur:
„w pałacu, ręką jak Onan, grzeszy zbereźny”.*

Tłum ryknął radośnie, ale ich wrzaski przypomniały tylko Dianie o jej przerażeniu, a ciężki odór wina sprawił, że zrobiło się jej niedobrze.

Roland stał na skraju gromady, przyglądając się śpiewakowi.

Dlaczego tu stoimy, pomyślała. Dlaczego nie idziemy gdzieś, gdzie byłoby bezpiecznie? Ktoś z tłumu podał wesołkowi bukłak z winem i czerwony strumień popłynął wprost do gardła. Diana zobaczyła, że muzykant rzucił wzrokiem w ich stronę, spojrział najpierw na Rolanda, potem na nią. Twarz waganta straciła radosny wyraz, przemknął przez nią cień lęku.

Diana pośpieszyła za Rolandem, który znów ruszył przed siebie. Ludzie skwapliwie ustępowali mu z drogi. Pomyślała, że coś im każe lękać się go. Być może to jego wzrost, albo długa czarna opończa, którą nosił. Mężczyźni odchodzili w stronę ognisk rozpalonych na zboczu wzgórza, a on szedł dalej.

Śpiewak pokłonił się Rolandowi.

- Myślałem, że będzie grzecznie, panie, jeśli trochę zabawię ludzi, kiedy czekamy na wieści - spojrział ciekawie na Dianę.

- Czy żądam od ciebie tłumaczeń? - uciął Roland. - Wchodź do środka, szybko.

Diana wsunęła się za Rolandem do czarnego namiotu. Był tak samo surowy wewnątrz jak na zewnątrz. Za całe wyposażenie służyła skrzynia z jakiegoś drewna w kolorze ciepłego brązu, nabijana mosiężnymi ćwiekami.

Mimo że nie jest katarzem, żyje w podobnej jak my prostocie, pomyślała.

Roland w milczeniu wyciągnął dłoń, śpiewak podał mu lutnię. Uśmiechnął się, uderzył lekko w struny, pogładził wypolerowane drewno, po czym owinął ją w miękki biały atlas. Diana nie mogła oderwać oczu od jego dłoni, były nadal tak piękne, jakimi je zapamiętała.

Śpiewak padł na kolana.

- Panie! Niech Bogu będą dzięki za wasz szczęśliwy powrót. Spać nie mogłem z troski o was. Dlatego wyszedłem zaśpiewać tej hołocie, żeby zapomnieć o moim lęku - znowu spojrzął na Dianę.

Zastanawiała się, czy wie, kim ona jest, czy powinna się go obawiać, czy też jest przyjacielem?

Roland objął młodego człowieka z czułością.

- Cieszę się, że znowu cię widzę. Ale czemuś się o mnie lękał? Nie masz do mnie zaufania? - Zanim młodzieniec zdążył odpowiedzieć, Roland zwrócił się do Diany. - To Perrin, rzeczywiście pochodzi z Saint-Fleur. Czasami mi przygrywa, kiedy śpiewam, jest też moim giermkim, ale niewielka z niego pociecha. Teraz chociażby, powinien przecież pomyśleć, że całą noc schodziliśmy z gór, a potem wędrowaliśmy cały dzień i że należałoby czym prędzej przygotować posłanie dla ciebie.

Perrin uśmiechnął się do niej niepewnie: - Czy to...?

- Tak Perrinie, to pani, której oczekiwaliśmy, pani Diana de Combret.

- Wyborne przebranie, pani. - Perrin uśmiechnął się, przygotowując posłanie. - Zechciej pani, proszę, spocząć i wybaczyć, jeśli moja piosenka obraziła twe uszy.

Roland się roześmiał.

- To lojalne, że bierzesz winę na siebie.

Ja napisałem tę piosenkę, Dianio.

Nie dostrzegła zażenowania w jego oczach. Pomyślała, że bawią go takie sprośności, że dobrze mu na tym świecie i we własnym ciele.

- Jak to wspaniale, panie. - Perrin w zachwycie potrząsnął głową. - Przeszedłeś przez linie walk, dostałeś się do twierdzy katarów, wydostałeś stamtąd panią twego serca. Cóż za pieśń z tych czynów powstanie!

Diana poczuła, że palą ją policzki, kiedy usłyszała słowa Perrina. Nazywa ją panią serca Rolanda! I w tej samej chwili ogarnął ją wstyd na myśl, jak bardzo pomniejszyła jego czyn wychwalany tak zapalczywie przez tego młodzika.

- Jeśli trzeba będzie, oddasz za nią życie, Perrinie.

Zauważyła, że był o głowę wyższy od giermka i patrzył teraz na niego z góry, z powagą w oczach. Roland jest wyższy niż ktokolwiek inny na świecie - pomyślała.

- Pani - skłonił się Perrin - pozwól, że powiem od serca. Nie mam zrozumienia dla herezji, ale dla tego tu człowieka oddałbym życie, a i on wystawiał się na śmierć, by cię tutaj przywieść. Nie tylko umrę, ale swoją nieśmiertelną duszę oddam, za ciebie pani, jeśli tak będzie trzeba.

Poczuła, że jej ciało tężeje ze złości. Skazać się na wieczne potępienie, żeby jej pomóc? Jak on śmie? Herezja, doprawdy. To Rzym błądzi.

Bez słowa zdjęła beret i położyła obok siebie na skrzyni. Przeczesła palcami to, co zostało po jej długich włosach. Teraz ledwie sięgały ramion jak u mężczyzny. Usłyszała, że Perrin głośno westchnął i kiedy spojrzała w jego stronę, zobaczyła, że się jej przygląda. Wiedziała, że mężczyźni uważali jej włosy za piękne, ale nie sprawiało jej to już przyjemności.

- Trudno mi pojąć taką mowę o potępieniu duszy - rzuciła zimno.

Perrin zaczerwienił się i odwrócił na pięcie. Roland spojrział na nią ze złością.

- Kiedy człowiek składa u twych stóp swoją duszę, nie wzgardzaj nią tak łacno. Ten, kto ma znaleźć zbawienie dla swej duszy, musi ją najpierw stracić. To prawda, która i ciebie może dotyczyć.

Diana zaczerwieniła się, w oczach pojawiły się łzy. Zawstydzila się. Jak mogła być tak bezwzględna wobec tych dwóch młodych ludzi, którzy narażali dla niej życie? Jestem nazbyt dumna, nie zasługuję, by nazywano mnie Doskonałą.

Roland stanął z wyciągniętymi ramionami przed Perrinem, który pomógł mu zdjąć kaftan i zaczął rozpinąć koleczugę. Giermek powiesił zbroję na koźle stojącym obok skrzyni. Roland westchnął głęboko i z ulgą rozprostował ramiona.

Przeraziła się nagle na myśl, że zdejmie również koszulę i zaraz stropiła, pytając siebie, czego właściwie miałyby się obawiać. Przeżyła długi czas w zamknięciu i nieraz widziała na wpół odzianych mężczyzn. Znała jednak przyczynę swojego lęka. Gdzieś w głębi duszy tęskniła przecież za widokiem jego ciała. Wstała i odwróciła się, zawstydzona, plecami do Rolanda.

- Wiem, Diano, jaki ból i smutek musisz odczuwać - Roland przemówił łagodnie. - Nie wypowiedziałaś dotychczas ani słowa skargi jakbyś była ze stali. Przebaczone moje ostre słowa!

- Nie ma nic do przebaczenia, zasłużyłam na nie. - Powstrzymała się od płaczu.

Usłyszała, że na zewnątrz zapanowało nagle ożywienie, ludzie wznosili radosne okrzyki. Dobry Boże, musiało stać się najgorsze.

- To chyba głosy heroldów - odezwał się Roland. - Zobacz, Perrinie.

Kiedy młody śpiewak wyszedł, Roland powiedział:

- Diano, możesz ufać temu człowiekowi jak własnemu bratu. Nie myśl o nim źle dlatego, że śpiewał sprośną piosenkę. Ma sumienie niezłomne i silne jak koń bitewny.

- Jeśli powiadasz, że mogę mu ufać, będę mu ufać.

- To dobrze. Będziesz musiała mu zaufać, bo chcę was obydwój natychmiast wyprawić w drogę do Paryża. Mam tam mały dom, pod murami miasta, na przedmieściach. Będziesz tam bezpieczna. Im prędy uciekniesz stąd, gdzie wszyscy spragnieni są katarskiej krwi, tym lepiej. Ja muszę zostać, inaczej oskarżyliby mnie o dezercję.

Dostrzegła ból w jego oczach i zrozumiała, jak bardzo nie chciał się z nią rozstać.

Roland odwrócił się i począł rozwiązywać troki koszuli. Kiedy ją zdejmował, nakazała sobie odwrócić oczy, lecz nie zrobiła tego. Pochłaniała wzrokiem grę muskułów pod śniadą skórą, gdy podchodził do koźła, na którym miał powiesić koszulę.

Ponownie odwrócił się ku niej. Biała blizna jak zygzak pioruna biegła od prawego ramienia przez pierś i brzuch. Westchnęła lekko. Uśmiechnął się do niej, unosząc lewy kącik ust. Uśmiech, który tak dobrze знаła.

I kochała.

Tak. Ciało jej przeniknął chłód, serce załomotało. Próbowwała wyobrazić sobie piekielne otchłanie zamieszkane przez Wielkiego Adwersarza. Jeśli złamię śluby, będę zgubiona na wieki.

- Diano - rzekł miękko.

- Rolandzie, proszę - brakło jej tchu - nie gub mnie. - Odwróciła się do niego plecami.

Zapanowała długa cisza. Drżała, lękając się i pragnąc jego dotyku.

- Nic ci nie uczyniłem i nie uczynię - powiedział.

- Jestem słaba, nie wiedziałam nawet jak bardzo słaba. Jestem zdana na twoją łaskę.

Usłyszała, że poruszył się gdzieś za jej plecami i zeszywniała.

- Spójrz na mnie, Diano.

Powoli odwróciła się ku niemu. Narzucił na ramiona opończę. Jego twarz naznaczona była cierpieniem.

- I ja mam swoje zasady. Dopóki będę cię kochał, dopóty twoja wola będzie moją wolą. Jeśli sądzisz, że skłonność ku mnie będzie oznaką twojej słabości, że przyjęcie mojej miłości miałyby cię zniszczyć, nie dotknę cię. Musisz mnie chcieć całą sobą, albo wcale.

Ulga - i rozczarowanie. Ponownie przysiadła na skrzyni. Do namiotu wrócił Per-rin.

- Przyszły wieści z góry. - Spojrzał na Dianę z serdecznym współczuciem. - Katarowie wysłali dziś rano parlamentariuszy, ustalono warunki, Mont Ségur się poddało.

Diana skryła twarz w dłoniach i zaczęła się modlić. Wiedziała, opuszczając twierdzę, że będą na nią czekać okrutne wieści.

Uczuła na ramieniu pocieszającą dłoń Rolanda, nie wzbraniała się, potrzebowała w bóleści poczucia takiej ludzkiej bliskości.

Doszła w swojej modlitwie do słów: „I nie wódz nas na pokuszenie” - które wyszeptwała z całą żarliwością.

Potem zapłakała, nie tylko nad upadkiem Mont Ségur, płakała w pomieszaniu i rozpaczny nad własnymi ślubami.

* * *

III

Roland stał przed twierdzą katarów, kiedy otwarły się jej drewniane wrota. Wiedział teraz, że w ostatecznej, przesądzającej bitwie, która rozegrała się piętnaście dni temu, ogień strawił wszystkie budynki z wyjątkiem kamiennej wartowni. Wewnątrz, za murami z wapienia, stały opuszczone szałas, zrobione na prędcie z namiotowego płótna rozciągniętego pomiędzy poczerniałymi palami.

Okrzyki pożegnań i głośnie lamenty dobiegały z górnych umocnień i z bramy, przez którą opuszczali twierdzę skazani obrońcy - długi szereg odzianych w czerń kobiet i mężczyzn. Serce Rolanda biło nierówno.

Te piętnaście dni łaski przyznanej jako warunek poddania twierdzy odczekał w obozie razem z innymi krzyżowcami. Teraz jednak, kiedy Diana z Perrinem była już w drodze do Paryża, czuł, że powinien być z katarami w tej decydującej chwili, być jej świadkiem. Zgłosił się na ochotnika do oddziału, który miał eskortować więźniów na miejsce egzekucji. Ci, którzy nawrócili się na wiarę Kościoła rzymskiego, mogli odejść w pokoju, chociaż na jego rzecz musieli pozbyć się wszystkiego, co posiadali, mieli też do końca życia nosić żółty krzyż naszyty na wierzchnie suknie. Tych, którzy pozostali wierni swojej religii, czekała śmierć.

Zbrojni zatrzymywali wychodzących katarów i kierowali pojedynczo w stronę ustawionego przy wrotach stołu, przy którym siedziało kilku dominikanów zaopatrzonych w zwoje pergaminów. Zakonnicy zapisywali imiona skazanych. Roland pomyślał, że ta drobiazgowość w sporządzaniu wszelkiego rodzaju dokumentów stanowiła o sile Inkwizycji.

Na czele procesji szedł biskup katarów. Niskie promienie zachodzącego słońca tworzyły wokół jego głowy złotą aureolę, połyskującą na siwych włosach, tak jakby już ogarniały go płomień stosu.

- Otoczyć ich - krzyknął dowódca oddziału.

Roland z ociąganiem postąpił do przodu razem z innymi krzyżowcami. Miecz i sztylet ciążyły u pasa. Przypasał je, bo rycerz nie powinien rozstawać się z bronią, hełm i napierśnik zostawił jednak w namiocie. Wiedział, że eskortując Doskonałych, nie będzie potrzebował broni ani zbroi, a tu byli już tylko Doskonali i Wierzący, którzy postanowili zostać do końca i umrzeć po przyjęciu *consolamentum*.

Roland z pozostałymi krzyżowcami szedł obok skazanych, którzy zaczęli zstępować zachodnim zboczem. Z początku szedł ze spuszczonego wzrokiem. Nie mógł patrzeć na tych ludzi. Był z nimi, cierpiał z nimi, trudno mu było się pogodzić, że ma żyć, podczas gdy jego współplemieńcy skazani są na śmierć.

Nie słyszał nic oprócz odgłosu setek stóp stąpających po kamieniach i skałach. Kiedy zaczął uważniej nasłuchiwać, mógł od czasu do czasu wyłowić słowa modlitwy czy cicho śpiewanego hymnu.

Gdy w końcu podniósł wzrok, na procesję, zadrzał natrafiwszy na znajome spojrzenie. Patrzył w oczy Corby, kobiety, która powitała go z kuszą, po tym, gdy sforsował mury twierdzy. Szła obok jakiejś staruszki i mocno utykającej dziewczynki o twarzy przesłoniętej długimi włosami. Przypomnił sobie matkę i siostrę, poczuł, że do oczu napływają mu palące łzy.

Zapytywał siebie w duchu, czy to mają być ci okrutni wrogowie, przeciwko którym papież wzywał do krucjat rycerstwo całego chrześcijańskiego świata? Przyglądał się Doskonałym, bezbronnym, odzianym w czerń, wśród których wiele było kobiet i starców. Wiara katarów za łagodna jest na te czasy.

Obserwując więźniów schodzących stromą, skalistą ścieżką, biegnącą od jednej skalnej półki do następnej, podziwiał, jak wzajemnie sobie pomagali. Jakiś silny młodzieniec wziął na ręce utykającą dziewczynkę. I jemu i jej niewiele zostało już życia. Pytał Boga, dlaczego muszą złożyć swoje młode ciała na stosie Inkwizycji.

Spojrzał w dół, ku dolinie, w której wkrótce już mieli znaleźć się wszyscy Doskonali. W ostatnich dniach moratorium patrzył z odrazą na krzyżowców wznoszących na skraju łąki wysoki na sześć stóp stos i gromadzących ścinane w lesie konary. Mimo że drewno po zimie było ciągle jeszcze wilgotne, pomyślał z goryczą, że utykane pomiędzy nie wiązki smołowanej słomy pozwolą przecież na rozniecenie solidnego ognia.

Spoglądał w dół na sylwetki zbrojnych i księży, którzy zebrali się koło stosu na stoku poniżej. Są szczęśliwi powiedział do siebie. Oto spełnienie, wieńczące trudy rocznego obłężenia.

Od tłumu odłączyła się niewielka grupa ludzi ubranych w jednakowe tuniki i kaptury, błękitne, purpurowe i czerwone, która ruszyła pod górę, wychodząc na spotkanie procesji. Wielcy włodarze, pomyślał Roland, panowie tego widowiska. Niech piekło ich pochłonie za to, co mają dzisiaj uczynić.

Jeden człowiek ze zbliżającej się grupy znacznie górował wzrostem nad pozostałymi. Mimo że mocno zbudowany, tęgi niemal, wspinał się lekko krętą ścieżką. Rolandowi, kiedy go rozpoznał, włosy zjeżyły się ze strachu. Poczł, jak nagle przeżalenie wykręca mu palce, jak mięśnie ściąga paniczny skurcz. Hrabia de Gobignon, wódz tej armii, która przyniosła zagładę Langwedocji.

Rycerz dowodzący oddziałem Rolanda spieszenie zbiegłszy w dół na spotkanie hrabiego, przyklęknął przed nim na znak powitania.

Almaryk zatrzymał się, zatknął kciuki za wysadzany klejnotami pas, zamienił kilka słów z dowódcą. Miał piękne jak u kobiety popielatoblond włosy spływające puklami na ramiona, a prosty, długi nos i kwadratowa szczęka znamionowały męską siłę.

Wysłuchawszy tego, co miał mu do powiedzenia de Gobignon, rycerz wycofał się, a Almaryk i jego towarzysze ponowili niespieszny marsz. Powróciwszy do swego oddziału, oficer zatrzymał procesję katarów i eskortujących ją rycerzy.

- Hrabia nakazuje powiązać więźniów, skrępować im ręce i nogi.

Rolanda ogarnęła fala gniewu.

- Wielu z nich - rzekł z mocą - to chorzy i starcy. Wszyscy są osłabieni z braku jadła. Ścieżka jest stroma. Jak pójdą dalej, jeśli ich powiążemy?

Czuł na sobie pytający wzrok swoich towarzyszy, tylko oficer odwrócił oczy.

- Mamy powieść ich dalej związanych.

Roland stał jak ogłuszony. Spojrzał ku katarom stojącym cierpliwie długim szeregiem na górskim zboczu. Napotkał wzrokiem oczy biskupa Bertrana. Czyżby kryła się w nich jakaś przestroga? Nieważne, nie może się już wycofać.

- To niepotrzebne, niegodziwe okrucieństwo! - Raz jeszcze zaprotestował głośno.

Słowa sprzeciwu dotarły do Almaryka, budząc jego gwałtowny gniew. Jakże ten zwykły, prosty rycerz śmie krytykować jego rozkaz!

Wiedział jednak, że doświadczony wódz nie powinien reagować spontanicznie. Działaj rozważnie. Rozpatrz się roztropnie w tym co się tu dzieje, za nim cokolwiek postanowisz w obliczu całej swojej armii.

Nie przerywając powolnej wspinaczki po zboczu, zapytał niemal przyjaźnie:

- Kto zacz, ten co mój rozkaz nazwał niegodziwym?

Choć trzymał swe uczucia na wodzy, czuł, że burzy się w nim krew i radował tym uczuciem, które towarzyszyło mu przed każdym, bodaj najbliższym starciem.

Ujrzał właśnie rycerza postępującego do przodu przed swoich towarzyszy z eskorty. Almaryk zmierzył go wzrokiem. Wysoki. Może nawet taki wysoki jak ja. Ale żylasty. Wagą mam nad nim przewagę. Smągła twarz tak pociągła, że duży, orli nos wydawał się wprost ogromny. Pewnie Hiszpan albo Włoch, zresztą równie dobrze mógłby pochodzić z tych stron.

Almaryk chętnie się tym, że zna tylu swoich podkomendnych, ilu tylko może pomieścić jego pamięć. Był jednak pewien, że tego tutaj nie widział jeszcze nigdy. Kimkolwiek był, nie był nikim znaczącym. Mówiła o tym jego mizerna czarna kapota, nie zdobny niczym pas, znoszona, zakurzona czarna tunika i prosta pochwa miecza. Śniady chudzina bez grosza przy duszy, cień rycerza, pomyślał Almaryk i dalej uważnie studiował postawę tamtego.

Głowę nosił dumnie, plecy trzymał prosto, miał odwagę mierzyć się z Almarykiem jak z równym sobie. I te oczy - niezwykle. Jasnoblękitne. Tak błękitne jak moje. Jak oczy innego człowieka, oczy z innej twarzy, jakby ktoś inny spoglądał na Almaryka spoza maski. A w oczach tych było coś więcej niż tylko wyzwanie, czyżby nienawiść?

- Kim jesteście, panie? - zapytał starając się nie podnosić głosu.

- Jestem Orlando z Perugii - odrzekł rycerz pewnie i spokojnie, bez unizoności, pokłonu. Zwracał się do niego jak równy mu stanem. Almaryk poczuł, że zalewa go fala gorąca. Słyszał o rycerzu-trubadurze Orlandzie. Klął w duchu, że nie przeglądał ostatnio rejestru swoich oddziałów. Gdyby wiedział, rozprawiłby się z tym człowiekiem przed dzisiejszym dniem.

Człowiekiem, który miał czelność ofiarować pieśń jego żonie.

Almaryk przypomniał sobie piekący ból, jaki sprawił mu list, który kilka miesięcy wcześniej nadszedł do obozu u podnóża Mont Ségur, pisany przez jego paryskiego majordomusa. Dowiedział się z niego, że któregoś dnia na początku zimy, tuż przed świtem, pod murem ogrodu pojawił się jakiś śpiewak. Kiedy służba wybiegła, żeby go przepędzić, już go nie było. Potem w domu zjawił się posłaniec z tekstem piosenki dla hrabiny Nicoletty. Rękopis wpadł w ręce wiernego ochmistrza, a ten natychmiast wysłał za posłańcem swoich pachołków.

Ślad prowadził do Orlanda z Perugii, dopiero co przybyłego do Paryża trubadura. Majordom wysłał piosenkę „Ku chwale nadobnej Nicoletty” Almarykowi, który nie przeczytawszy jej nawet, podarł tekst w strzępy.

Postanowił ukarać śmiałka po skończonej wyprawie wojennej. I oto tenże Orlando stoi tu przed nim, kpiąc z jego poleceń.

- Nie rzucam rozkazów na wiatr, Orlandzie z Perugii. Jakie to masz zastrzeżenia do moich rozporządzeń?

- Ci ludzie w spokoju idą na spotkanie śmierci. To ich ostatnie chwile, czemu przysparzać im niepotrzebnych cierpień?

Almaryk spojrział na długi szereg heretyków ciągnący się niemal od bram twierdzy, która była im tak długo schronieniem, do miejsca, gdzie właśnie się zatrzymał. Na świętego Dominika, jakże nienawidził tych albigensów! Byli jak stado sępów z

tymi swoimi wyostrozonymi rysami, odziani w czerń. Znosił ich widok tylko dlatego, że wiedział, iż za chwilę położy kres życiu tych istot. Gdybyż teraz mógł pójść między nich i kosić ich mieczem jak żniwiarz kosi pszeniczny plon, samopas położyć ich wszystkich pokotem, każdą kobietę i każdego mężczyznę! Nie ma cierpienia, którym mogliby odplacić za krzywdy, jakie wyrządzili chrześcijaństwu.

I mnie. To podobne im istoty zadały śmierć mojemu ojcu.

- Miłosierdzie przystoi szlachetnemu rycerzowi, sire Orlando, ale ci tutaj nie są godni twojego współczucia. Większość z nich to tak zwani Doskonali, którzy przewodząc innym, przywiekli wielkie rzesze ludzkie do sprzeniewierzenia się wierze prawdziwej. Gorszi są od morderców, bo nastają na ludzkie dusze. Pozwolić im umierać z godnością, to dać im jeszcze na koniec sposobność zwodzenia szaleńców, którzy idą w ich ślady. Czyż chcemy, aby po Langwedocji poszła wieść, że ci Bugresi zesli bez oporu w dolinę, wstąpili na stosy i oddali ducha tak spokojnie jak mężczyźni chrześcijanie? Nie, niech powiadają, że trzeba ich było ciągnąć na śmierć siłą i rzucać w płomienie przemocą.

- Człowiek często jest okrutny w zawziętym gniewie - odparł Orlando drżącym głosem, tak jakby i jego ogarnęła furia - ale najgłupsze jest okrucieństwo rozmyślane.

- Miałeś, panie trubadurze, swoje słowo, a to więcej niżli zasługujesz. Skąd taka czuła troska dla tych pomiotów szatana? - Almaryk uśmiechnął się z przyganą. - Co to za człowiek, co woli stroić przy lutni grymasy, niż władać mieczem? Doszły mnie słuchy o twoich słodkich piosneczkach, alem nic nie słyszał o twych czynach walecznych. A może czujesz jakie pobratymstwo z tym tam sprośnym staruchem? - Wskazał na stojącego na czele szeregu biskupa. Tak jak zamierzał, jego słowa wywołały rechot wśród słuchających rycerzy.

- Co to za człowiek - odpowiedział Orlando powoli i wyraźnie - dla którego rozkoszą są męczarnie bezbronnych starców, kobiet, istot chorych i zagłodzonych, niezdolnych stawić żadnego oporu? Może napiszę pieśń o tym, jakeś ty się dziś mężnie i walecznie sprawił.

Almaryk czuł, że ponosi go pasja. Rozwarł wargi, ukazując we wściekłym grymasie zaciśnięte zęby, uniósł do góry pięść w rękawicy i zamierzył się na Orlanda.

Trubadur czyniąc wrażenie, że wystawia się na cios, który przeszedł obok, ledwie muskając policzek, oburącz chwycił Almaryka za nadgarstek i łokieć. Zwrot ciała i trzymał przeciwnika w mocnym uścisku, wykręcając mu przedramię.

Hrabia zdjęty paniką, czując, że jeszcze moment i kość nie wytrzyma, padł na kolana, uścisk raptownie ustąpił, trubadur szybko cofnął się kilka kroków.

Almaryk wstał powoli, spoglądając na reakcje zaskoczonych rycerzy. Twarz paliła go wstydem.

- Czy mamy go zabić, panie? - dopytywał się Guy d'Etampes, jeden z jego przybocznych.

- Potrzebujesz wyręki innych ludzi, żeby kończyli za ciebie twoje zwady? - szydził trubadur.

- Nikt tak nigdy do mnie nie przemawiał - odparł Almaryk - niech się rzecz rozsądzi w walce. Stoję na czele tej armii i na mocy nadanej władzy wymierzę niechybną i ostateczną sprawiedliwość. - Wyciągnął sztylet z tolekańskiej stali, długi na dziesięć cali od trójkątnej nasady do szpikulca i począł zbliżać się do trubadura, zachodząc go z lewej strony i oczekując, że tamten odsłoni się, wyciągając z prawej własny sztylet. Posuwał się po porośniętym trawą zboczku tak, żeby być wyżej niż przeciwnik.

Czuł dobrze własną siłę i zręczność.

Ujrzał słoneczną plamkę, odbitą od ostrza swojego sztyletu, tańczącą na czarnej pelerynie trubadura. Poruszył sztyletem tak, żeby refleks słoneczny poraził oczy Orlanda. Trubadur zamrugnął i cofnął się, Almaryk oślepił go ponownie. Sprężył się do skoku. Przekładając sztylet z ręki do ręki, gotował się do ostatecznej rozprawy z przeciwnikiem. Trubadur, który miał za plecami zachodzące słońce, wydawał się tylko bezimiennym cieniem.

Ujrzał, jak tamten odpina fibulę spinającą pelerynę, zdejmując ją i owija wokół prawej ręki.

- Dobądź miecza lub sztyletu panie, nie dbam, co wybierzesz - krzyknął Almaryk - nie uderzę na człowieka bezbronnego.

- Tak samo dobrze jestem teraz uzbrojony, mając puste ręce jak ty z tym swoim szpikulcem - pokpiwał trubadur.

Almaryk gotował się z wściekłości. Skoczył na Orlanda.

Trubadur podniósł prawą rękę z owiniętą wokół peleryną, ale Almaryk zmienił gwałtownie kierunek ciosu i mierząc w pierś przeciwnika, skierował sztylet poniżej jego prawego ramienia. Trubadur usiłował osłonić się lewą ręką.

Almaryk, zacharczał z zadowolenia, czując że stał jego sztyletu zatapia się głęboko w ciele Orlanda i jak pies warczał, wyszarpując z wysiłkiem swój sztylet z ramienia trubadura.

Orlando, z twarzą wykrzywioną bólem, potknął się o kamień i padł na kolana. Jakby w poszukiwaniu przyjaznej twarzy, rozejrzał się wokół po krzyżowcach, którzy oglądali pojedynek, otoczywszy walczących zwartym kołem. Nikt się jednak nie odezwał, nie rzekł jednego słowa otuchy, nikt mu nie ruszył na pomoc. Jego miecz i sztylet ciągle tkwiły na swoim miejscu.

- Dobądź miecza, na Boga! - ryknął Almaryk tak, by usłyszeli go wszyscy zebrani.

Zamiast sięgnąć do broni, trubadur rozwinął oponczę.

Almaryk rzucił się w jego stronę.

Dojrzał błyskawiczny wyrzut ręki puszczającej w ruch pelerynę. Poczul, że coś owija mu się wokół kostek i w tej samej chwili, bezbronny i przerażony, padł na ziemię. Unikając samookaleczenia, zdołał jeszcze odwrócić własny sztylet.

Na świętego Dominika, oponcza była bronią, miała wszyte dołem ciężarki! Ból przeniknął całe ciało, kiedy przeciwnik przygniótł go do ziemi, wbijając kolano między łopatki.

Podniósł rękę, usiłując zadać cios sztyletem, poczul, że trubadur chwyta go za nadgarstek, ale że dłoń tamtego śliska była od krwi, zdołał wyswobodzić rękę i zaraz uczul w niej przesywający ból. Z piersi wyrwał się rozdzierający jęk. Wielki kamień, który trubadur trzymał w drugiej dłoni, miażdżył mu knykcie.

Dłoń Almaryka była pusta, czuł na gardle ostrze swojego sztyletu.

- Mógłbym cię teraz zabić - usłyszał głos nad sobą.

- Dalejże!

- Nie chcę - odpowiedział trubadur. - Twoi towarzysze niechybnie odpłaciliby mi za to po swojemu. Jeśli się tylko ruszysz, poderżnę ci gardło. Uwolnię cię pod jednym warunkiem. Pozwolisz, by katarowie poszli na śmierć bez pęt na nogach i rękach, jak ludzkie istoty. Dasz mi swoje słowo honoru.

Almaryk odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Orlanda. Nie miał wyboru, jeśli nie chciał umrzeć. Czuł zimną stal na gardle. Nienawiść wypalała w pamięci obraz jastrzębiej twarzy wroga.

- Masz moje słowo, ale wiedz, że to nie koniec na tym. Jeszcze się spotkamy!

Almaryk poczuł, że tamten uwalnia go od swojego ciężaru. Powoli uniósł się z ziemi, pamiętając o prawej ręce, którą przesywał potworny ból.

Trubadur odwrócił się już od niego, odchodził brocząc krwią.

Nie oglądając się na Almaryka, odrzucił jego sztylet, który upadł z brzękiem na kamienisty grunt. D'Etampes podniósł go pospiesznie i podał hrabiemu.

Mógłbym go teraz zabić, pomyślał Almaryk, ważąc sztylet w dłoni. Nie, nie tutaj, wobec tych wszystkich ludzi, to nie po rycersku. Spoglądał na oddalającego się trubadura. Pewnego dnia, myślał, obedrę go żywcem ze skóry. Powoli wsunął sztylet do pochwy. Ale jakieś deprymujące pytanie, drażące zakamarki mózgu, nie dawało mu spokoju. Dlaczego tak bardzo chciał, żebym go znenawidził? Kim jest ten człowiek?

Roland szedł powoli, lewe ramie było drętwe, krew kapła z dłoni na kamienie. Ludzie cofali się przed nim z niechętnym pomrukiem, z rękoma wspartymi na rękojeściach mieczy, gotowi ciąć go na jedno słowo Almaryka. Wyczuwał ich nienawiść dla rycerza-przybłądy, który ważył się na Almaryka i pokonał go jakimś cudzoziemskim sposobem. Nigdy w życiu nie czuł się tak osamotniony.

Szedł dalej pośród przygniatającej ciszy, oczekując w napięciu ataku, wypatrując spod oka jakiegoś gwałtowniejszego ruchu. Nic jednak nie zaszło. Słyszał, że Almaryk mówi coś ściszym głosem, zaraz potem doszły go rozkazy powtarzane w głos przez przybocznych, nakazujące, by procesja ponownie ruszyła do miejsca przeznaczenia. Nie było w nich już mowy o wwiązaniu więźniów.

Czarno odziani mężczyźni i kobiety omijali wzrokiem Rolanda, kiedy przechodzili obok niego górską ścieżką. Rozumieli, że jakikolwiek przejaw wdzięczności pogorszy tylko jego położenie. Czuł miłość tych ludzi, idących na stracenie, tak dojmująco, jak przed chwilą czuł nienawiść krzyżowców.

Powiniennem zejść teraz w dół do obozu, osiodłać konia i odejść stąd, pomyślał Roland. Jestem ciężko ranny, potrzebuję pomocy, której tutaj nikt mi nie da. Kiedy Almaryk skończy z tymi biedakami, zwróci się przeciwko mnie.

Pomimo to nie mógł się zdecydować. Musi opowiedzieć Dianie, jak umierali jej bracia. Co więcej, czuł, że powinni mieć tu przyjaciela, który będzie im towarzyszył w ostatnich chwilach, nawet jeśli jego miłość i boleść pozostanie skryta głęboko w sercu.

Odciął sztyletem dwa pasy materii z opończy, jednym obwiązał ranę, a drugim ścisnął rękę powyżej, by zatamować upływ krwi. Pulsujący ból promieniował od barku do nadgarstka.

Spojrzał w dół, ku miejscu kaźni. Długi szereg ciemnych sylwetek ciągnął się teraz niemal do palisady. Zsunął się niezdarnie po zboczach, uważając przy tym, żeby nie urazić zranionego ramienia o skalne występy. W obozie tłum był pochłonięty tym, co się miało za chwilę rozegrać, nie zważano więc na niego. Znalazł dla siebie miejsce pod ostrokołem, blisko głównej bramy obozu.

Nie więcej niż trzy metry od niego rozpalono ogień pod wielkimi polanami. Czuł bijący stamtąd żar. Wokół ogniska zbierali się ludzie z gotowymi do zapalenia pochodniami.

Procesja katarów doszła do bramy i tu się zatrzymała, skazańcy zbili się w zwartą grupę. Roland widział biskupa Bertrana, ciągle na czele swojego ludu. Na niewielkim wzgórzu stał szereg ludzi odzianych w jaskrawe szaty, kilku z nich miało na głowach wysokie, pozłacane infuły. Wiedział, że to dostojnicy Kościoła. Grubas we wspaniale haftowanej purpurze, z dwoma czy trzema pierścieniami na każdym palcu był zapewne biskupem Albi, z którego rozkazu oddziały krzyżowców oblegały twierdzę. Musiał być to dla niego dzień szczególnego triumfu nad herezją, która tak się pleniła w jego mieście.

Pośród tego purpurowego i szkarłatnego przepychu jeden człowiek zwrócił uwagę Rolanda. Jego czarna, wełniana opończa i biała tunika były niemal tak proste jak odzienie Doskonałych. Roland rozpoznał dominikański habit, habit zakonu wyróżniającego się w dziele inkwizycji. Szczupłą twarz dominikanina okalały jasnoblonde, lśniące włosy, z wygoloną na czubku czaszki tonsura. Zbliżył się do katarów, zatrzymał na chwilę w niemej modlitwie, z oczyma zwróconymi ku niebu. Roland widział go już kiedyś, mówiono, że to Hugon, młodszy brat Almaryka de Gobignon.

Kiedy młody dominikanin przemówił do katarów, Roland na nich przeniósł całą uwagę. Czy byli mu wdzięczni za te kilka dodatkowych chwil, o które kazanie przedłużało ich życie, czy też było to tylko przeciąganie cierpień?

- Chociaż wyparliście się Boga, On nie przestał was miłować - mówił brat Hugon tonem sędziego.

Ciągnął dalej, dowodząc, jak wybornym jest kaznodzieją, ryczał jak lew, szemrał jak łagodny wietrzyk. Był tak porywający, że Roland zapomniał o bólu w ramieniu i cierpieniu serca.

Zapadała już ciemność, słońce skryło się za szczyty na zachodzie, kiedy brat Hugon, którego twarz oświetlały płomienie ogniska, kończył:

- Czeka was śmierć w boleściach. Wiecie zapewne, że to nie Kościół was karze. To Święta Inkwizycja orzekła, że jesteście wini herezji, a władza ziemską osądziła, że powinniście być spaleni.

Jak Piłat umywający ręce z krwi Chrystusa, pomyślał Roland.

- A przecież ta śmierć przez całopalenie nie bierze się z okrucieństwa - mówił dalej Hugon. - Dozwalamy, byście oddali wasze doczesne życie na stosie na znak, że Kościół powinien być oczyszczony z wszelkiej fałszywej nauki. Pomyślcie raz jeszcze o waszym przeniwierstwie. Wejrzyjcie w swoje serca. Czy pewni jesteście, że dobrze czynicie, wybierając płomienie? Czy nie ma wśród was nikogo, kto by nie zwątpił? Nie lękajcie się. Zwątpienie jest głosem Boga w waszym sercu. On chce waszego zbawienia. Nawróćcie się, zbliżcie się do Boga! Uczynicie to dla zbawienia waszych dusz i na większą chwałę Bożą. To ostatnia sposobność. Zaklinam was! Jezus Chrystus was zaklina!

Łkając i powtarzając swoje błagania, brat Hugon osunął się na kolana.

Żaden z katarów nie poruszył się, ani nie przemówił.

Dreszcz przebiegł Rolandowi po plecach. Cóż to za ludzie, którzy potrafili się oprzeć takiemu kazaniu, mając przed oczyma widok pochodni, a w nozdrzach ciężki swąd smoły.

Brat Hugon padł na twarz, szlochając.

Teraz dał się słyszeć pośród trzasku ognia inny głos.

- Rzekłeś, że trzeba oczyścić Kościół.

Głos dobiegł z tłumu katarów. Roland spojrział w tamtą stronę i zobaczył, że to mówi biskup Bertran. Jego głos nie był tak słaby jak wówczas, gdy Roland widział

biskupa po raz ostatni na Mont Ségur, brzmiał mocno, czysto, jak brzmieć musiał czterdzieści lat temu, kiedy Bertran prowadził dysputy ze świętym Dominikiem.

- Zaprawdę, Kościół powinien być oczyszczony - mówił dalej biskup katarów. - Z płomieni, dzisiaj przez ciebie zażeganych, pójdą iskry, które rozniecą wielki ogień czyśćcowy. Wypali się odstępstwo, tyrania i rzymski zabobon.

Biskup Albi zamachał grubymi paluchami zdobnymi w pierścienie.

- Nie przybyliśmy tu, by wysłuchiwać heretyckich kazań. Straciłeś ostatnią sposobność penitencji, oddajemy cię przeto władzom ziemskim. - Zwrócił się w stronę młodego zakonnika, który pracowicie wypisywał coś na pergaminowym zwoju.

- Niech będzie zapisane, że oskarżony nie chce się pokajać.

Biskup wyciągnął upierścienioną dłoń. Roland dostrzegł po chwili Almartyka na kasztanie, ze zwojem pergaminu w dłoni. Srebrny diadem, purpura i złoto szat świadczyły o jego władzy, władzy, która miała przesądzić o śmierci dwu setek ludzi skazanych na stos.

Almartyk w imieniu Ludwika, króla Franków, odczytał wyrok śmierci wydany na wszystkich Doskonałych z chłodnym spokojem, który gorszy był niż wybuch nienawiści.

Ludzie z kopiami zaczęli popychać skazanych ku wejściu na plac otoczony palisadą. Serce Rolanda łomotało w oczekiwaniu tego, co się za chwilę miało dokonać. Nawet wówczas kiedy jego życiu groziło bezpośrednio niebezpieczeństwo, kiedy stawał oko w oko z uzbrojonym wrogiem, nigdy nie czuł tak panicznego strachu.

Spojrzał w górę ku Mont Ségur. Zniszczona twierdza katarów i opustoszały teraz drewniany fort krzyżowców skąpane były w promieniach zachodzącego słońca, podczas gdy wierzchołki pobliskich gór cieniem okryły dolinę. Dojrzał małe figurki ludzi trzymających wartę na murach twierdzy. To byli ci, którzy wyrzekli się swej wiary, którzy mieli tam teraz pozostać. Dla nich musi to być jeszcze gorsze niż dla mnie, pomyślał ze współczuciem.

Odwrócił się na powrót w stronę katarów zebranych przy ostrokołe. Pomagali sobie wzajemnie, gotując się na śmierć. Wewnątrz palisady zbudowano wysokie

stosy, wyższe niż rosły mężczyzna. Biskup Bertran i starszyzna zostali wciągnięci na samą ich górę przez młodszych Doskonałych. Ci, którzy już byli na stosach, usiłovali, stojąc na osuwających się i trzeszczących pod ich ciężarem polanach, zrobić miejsce dla reszty. Krzyżowcy, mając spalić tylu ludzi równocześnie, nie zatroszczyli się, by wznieść stosowną liczbę stosów.

Roland z trudem mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Słyszał wprawdzie, że giną tysiące ludzkich istnień, ale działo się to w czasie oblężeń, gdy ludzi opanowywała żądza krwi. Tutaj i teraz był czas odpuszczenia winy. Krzyżowcy i inkwizytorzy mieli dość sposobności do namysłu, i oto co zdecydowali. To morderstwo rozmyślne, którego był świadkiem, kazało mu wątpić w gatunek ludzki.

Widział kobietę, zwaną Corbą, z czułością prowadzącą staruszkę, z którą przebyła całą drogę, na szczyt stosu. Potem Corba i jakiś młodzieniec o żołnierskiej postawie zajęli się kulejącą dziewczynką. Między tymi trzema kobietami było pewne podobieństwo. Czyżby była to babka, matka i wnuczka? Roland poczuł pod powiekami palące łzy, za gardło chwytał go szloch. Własna bezradność przyprawiała go o rozpacz.

Powinien był zabić Almaryka.

Nic by to nie zmieniło.

Kiedy już wszyscy Doskonali znaleźli się wewnątrz ostrokołu, sześciu zbrojnych zamknęło wrota z drewnianych bali, umacniając je jeszcze kilkoma kłodami. Ludzie z zapalonymi pochodniami zanurzonymi w smole wspinali się po drabinach wspartych o stos. Czerwone płomienie migotały w półmroku. Zza ostrokołu podniosło się unisono ponad dwustu głosów odmawiających *Ojcze Nasz*.

Spojrzał na de Gobignona. Z kamienną twarzą Almaryk dał znak prawą ręką. Nawet z tej odległości Roland mógł dojrzeć z niejaką satysfakcją, że ręka hrabiego była czerwona i spuchnięta. Almaryk opuścił rękę w zdecydowanym geście. Ludzie na drabinach rzucili pochodnie na stos.

Jeszcze przez chwilę dało się słyszeć *Ojcze Nasz*, po czym Płomienie buchnęły krzykiem, bo mimo iż zwano ich Doskonałymi, byli to przecież tylko ludzie, którzy umierali, krzycząc z bólu. ĩpote języki ognia sięgały szczytu Mont Ségur. Okrzyki

cierpienia tonęły w ogłuszającym, narastającym huku ognia, przypominającym odgłosy przetaczającego się z niepohamowaną gwałtownością wodogrzmotu. W ciemnobłękitne niebo wzbijała się chmura gęstego dymu, unosząc ze sobą swąd palonych ciał.

Ludzie stojący obok Rolanda nie odzywali się ani słowem. Kiedy zajęła się pali-sada, zaczęli się powoli cofać. Rolanda palił na twarzy i dłoniach żar płomieni, wiedział jednak, że jego ból jest niczym w porównaniu z tym, który cierpieli w tej chwili katarowie.

Spojrzał na Hugona. Twarz zakonnika mokra była od łez. Czy rzeczywiście żałował tych w jego mniemaniu straconych dusz?

Biskup Bertran, Corba, wszyscy ci dobrzy ludzie, których Roland spotkał ledwie przelotnie, musieli już oddać ducha. Pełen smutku osunął się na ziemię i tak siedząc, zaszlochał z twarzą ukrytą w dłoniach. Ból w ramieniu, o którym niemal zapomniawszy w chwilach trwogi, powrócił teraz z nową siłą, paraliżując całą lewą stronę ciała, jakby ktoś ją przeszył ciosem kopii.

- Jeśli tak ci ich piekielnie żal, dlaczego nie pójdziesz za nimi w płomienie? - posłyszał nad sobą cierpki głos. Podniósł się z trudem. Poczł nagle nieprzepatą ochotę, by dobyć miecza i uderzyć, ale minęła ona równie gwałtownie, jak przyszła, stłumiona kolejną falą żalu.

Wyciągnął zranioną rękę, chcąc dotknąć ramienia tego, który przemówił.

- Nie wiecie, coście uczynili.

Rozmówca wzdrygnął się przed jego gestem.

Roland odwrócił się plecami do stosów i wolno powlókł przed siebie. Nie mógł dalej oglądać tego widoku. Czy będę mógł radować się jeszcze kiedykolwiek w życiu? Jakże pokochać inną ludzką istotę, wiedząc, jaki los ludzie mogą sobie wzajemnie zgotować?

Kiedy schodził po zboczu do głównego obozu, miał przed oczami obraz trzech powykręcanych, zwęglonych szkieletów - Corby, jej matki i córki - i ten przejmujący wstrętem obraz przyprawił go niemal o omdlenie. Ból w ramieniu przyprawiał o zawroty głowy. Wiedział, że może stracić rękę, a nawet umrzeć, jeśli nikt zaraz nie zajmie się raną, ale w obozie nie było nikogo, komu mógłby zaufać.

Muszę dosiąść konia i poszukać ratunku gdzieś w drodze. Może natrafię na ludzi pamiętających jeszcze ojca. Muszę się śpieszyć, nim Almaryk rozpocznie poszukiwanie.

Przygnębiony, włókł się jednak ospale, jakby nie umiał zdecydować, czy ma umrzeć na skutek dokuczającej rany, czy też oczekiwać śmierci z rozkazu wodza.

Diana chciała tu pozostać, żeby umrzeć. Nie rozumiałem cię, Diano, ale teraz już pojmuję.

Przemawiał też do zmarłych: przysięgam na waszą pamięć, że uczynię wszystko co w mojej mocy, by położyć kres podobnym niegodziwościom. Być może bezna-
dziejne to zadanie, ale jeśli nie mogę żyć dla Diany, a mam żyć dalej, nie najgorszy to przecież cel.

Zastąpił mu drogę jakiś zbrojny. Roland zeszytniał w odruchu obrony. Żołnierz wyglądał jak inni krzyżowcy, ale odezwał się w *langue d'oc*.

- Ktoś musi opatrzyć waszą ranę, panie Rolandzie. Są ludzie, którzy pragną ci pomóc, jak ty pomogłeś tym, których miłowali. Czy pójdziesz za mną?

- Mam wielu wrogów - odparł Roland, zdając sobie sprawę, że tamten nazwał go jego prawdziwym imieniem.

- Masz i przyjaciół. Wszystko jest Światłością.

Spojrzał uważniej i zobaczył, że po policzkach tamtego spływają łzy. Musiał być duchowym dzieckiem Doskonałych, osieroconym w tym straszliwym dniu.

Mimo ogarniającego duszę mroku, rozpacz jakby nieco zelżała. Tak. Były armie przewodzone przez baronów podobnych Almarykowi, bezlitośnie mordujące ludzi, i kapłani jak Hugon, ale byli też tacy ludzie jak ten tutaj i jak ci, którzy dopiero co spłonęli na stosie. Teraz, Diano, i ja będę żył po to, by wypełniać śluby.

Nieco podniesiony na duchu odparł:

- Pójdę z tobą.

* * *

IV

Hrabina Nicoletta de Gobignon przyłożyła zwilżoną chustkę do królewskiej skroni. Mimo, że leżał tutaj bezbronny, to przecież odczuwała lęk przed tą groźną postacią, przywodzącą na myśl obaloną wieżycę katedry.

Jest tylko dwóch ludzi równie wysokich, pomyślała, Almaryk i Orlando.

Poczuła nagle ukłucie wyrzutów sumienia. Jakże może myśleć o jakimś trubadurze, kiedy jej władca leży tu, powoli oddając ducha.

Utkwiła oczy w Ludwiku, a właściwie w inkrustowanym kością słoniową drewnianym krucyfiksie, który unosił się na jego piersi w rytm słabnącego oddechu.

Nicoletcie zdało się, że i ona zaczyna oddychać z trudem. W drugim końcu komnaty huczał ogień na wielkim kominku. Powietrze było duszne, a ją drażniło wszystko, co się do tego przyczyniało: wełniane draperie, zawieszane na ścianach tkaniny, grube dywany. Wiedziała jednak, że ten północny zamek, Pontoise-les-Noyons, położony o dzień drogi od Paryża, tak był zbudowany i wyposażony, by oprzeć się chłodom. Grube mury i małe okna w niczym nie przypominały jasnego, pełnego światła langwedockiego dworzyszczka, gdzie się wychowała.

Pot spływał jej z czoła i zalewał oczy. Chwytała gwałtownie powietrze. Wydawało się, że zemdleje, jeśli nie wyjdzie stąd za chwilę.

Gromada ludzi, rodzina królewska i zbici w tłum dworzanie, cisnęli się bez potrzeby w komnacie, zwiększając tylko panującą duchotę. Ich szepty jak brzęczenie much doprowadzały Nicolettę do irytacji.

Była pewna, że większość z nich trafiła tu wiedziona troską o własny los, a nie o zdrowie króla. Nawet królowa i królowa-matka zbyt były rozkojarzone, by ulżyć jego cierpieniom.

Zobaczyła, że poruszył wargami i szybko nachyliła się ku niemu. Ostatnie słowa mogły mieć olbrzymią wagę.

- Jerozolima - mamrotał niewyraźnie - wieże... złote, bramy... perłowe, wody kryształowe - oddychał z trudem.

- Cicho, Wasza Wysokość - szepnęła - odpoczywajcie, sire.

Podniósł lekko obrzmiałe powieki, spod których błysnęły białka oczu. Wydawało się, że kona. Majaczy, pomyślała.

- Drzewa rodzą owoce przez cały rok - powiedział wyraźnie, po czym dało się słyszeć nieartykułowane pomruki, później już tylko ciszę.

Wzięła świeżo zwilżoną chustkę ze srebrnego naczynia, wycisnęła letnią wodę i przyłożyła okład do królewskiego czoła.

Czemu Jerozolima? Wiedziała, że Jerozolima, o której bełkotał, była tylko wytworem maligny. Słyszała opowieści krzyżowców, którzy tam byli. Nie było tam wież ze złotą ani perłowych bram. Nie było tam w ogóle wież ani bram, które zburzyli przecież bisurmanie. Zaczepnęła powietrza. Może nie o ziemską Jerozolimę tu idzie. Czyżby widział już Jerozolimę niebiańską?

Ciałem Nicoletty wstrząsnął zimny dreszcz, wyobraziła sobie, że Ludwik za chwilę odejdzie na zawsze. Dzieckiem jeszcze będąc, widziała, jak maruderzy spalili do szczętu wieś w okolicy ojcowskich włości. Teraz znowu widziała te płomienie, słyszała krzyki rannych, wrzaski przerażonych dzieci, gwałconych kobiet. To, co działo się wtedy w Langwedocji, ogarnie teraz całą Francję. Wojna. Wojna zabiła jej ojca, zmusiła do małżeństwa z wrogiem. Jakie okropności przyjdzie jej jeszcze przeżyć?

Ludzie będą sobie wrogami, a ona będzie musiała zdecydować, komu powinna sprzyjać. Po której stronie opowie się Almaryk? Nie miała najmniejszego pojęcia. Gdzie się wtedy udać - zostać tutaj, w Paryżu, uciekać na północ, do zamku Gobi-gnon, czy też próbować wracać do domu do Langwedocji?

Chciało jej się zapłakać nad Ludwikiem, jakby już był martwy. Tak bardzo go lubiła. Kiedy po raz pierwszy pojawiła się na dworze, obca, niemal cudzoziemka, zachował się jak ktoś, kto bliski był naruszenia ceremoniału, taki był dla niej dobry, a jaki czuły okazał się dla swojej Małgorzaty.

Dobry nie tylko dla swoich najbliższych, ale dla wszystkich - kupców, mieszczan, wieśniaków. Jakże serdecznie go pozdrawiali, kiedy przejeżdżał przez ich okolice! Co stanie się z tymi wszystkimi ludźmi, jeśli on umrze?

Almaryk powinien być tutaj w takiej chwili.

Ale dla niego ważniejsze było wizytowanie domen, które Kościół nadał mu po zwycięstwie nad katarami, sporządzanie w nich spisów inwentarzowych, zaprowadzanie ładu wszędzie tam, gdzie wybuchały niepokoje, mianowanie swoich ludzi po kasztelach i miastach. Całą wiosnę, lato i jesień podróżował po Langwedocji. W razie nagłej śmierci króla oddalenie od Paryża mogło być groźne dla niego i jego posiadłości. Równie przecież niebezpieczne byłoby wszelkie zaniedbanie własnych włości. Stapał wąską ścieżką nad przepaścią, zawsze zonglując niebezpieczeństwami. I jakże to lubił!

Ale nie wszyscy byli tacy jak Almaryk.

Poczuła, że ogarnia ją fala żalości czarniejsza niżli żal nad umierającym królem Ludwikiem. Ileż nadziei wiązała z Orlandem, jak bardzo go pokochała. Teraz ta miłość była martwa.

Myślenie o nim sprawiało ból, lecz może lepiej było odczuwać ból niż pustkę. Król leżał bez przytomności, ale oddychał spokojnie, jakby pogrążony we śnie. Siedziała u wezglowia jego łoża, błędząc daleko myślami. Marzyła.

* * *

Jakie drzenie przejęło ją, kiedy po raz pierwszy ujrzała trubadura. Jego błękitne jak niebo oczy, tak niesamowite przy ciemnej cerze, przyciągnęły jej uwagę, jakby ktoś rzucił na nią znienacka czar. Działo się to na początku września, ponad rok temu, kiedy król i królowa przebywali z dworem w okolicach zamku Chinon. Almaryk był wtedy daleko, zaczynało się właśnie oblężenie Mont Ségur.

Pierwsze słowa trubadur zaadresował nie do niej, lecz do króla.

- Panie, jeśli sprawi ci to radość, pragnąłbym zaśpiewać jedną z pieśni Peirre'a Cardenala.

Kiedy to mówił, spoglądał na nią tak, jakby ją właśnie pytał o pozwolenie. Uśmiechnęła się i skinęła głową, zanim zdała sobie sprawę, co czyni.

Zaśpiewał i jego głos popłynął ciepłym, pełnym barytonem. Poczula słodkie pomieszanie, pewna, że w rzeczywistości pieśń skierowana jest do niej. Obserwowała jego delikatne, długie palce, potrącające struny lutni, i zdało się jej, że te palce przytrzymują jej dłoń i na niej to wygrywają melodię.

Zatrzymała wzrok na jego ciemnych, lśniących włosach, starała się zachować w pamięci wysokie, wąskie czoło, błyszczące błękitne oczy, wydatny, orli nos i mocno zarysowaną szczękę. Nie jest to, pomyślała, co wedle powszechnego sądu czyni przystojnego mężczyznę, ale kiedy go ujrzała, jej mniemanie o męskiej urodzie uległo radykalnej zmianie.

W uniesieniu nie odrywała od niego wzroku, dopóki nie przebrzmiała pieśń, serce uderzało mocniej za każdym razem, kiedy spotykały się ich oczy.

Przepeniała ją dziwna tęsknota, a jednak mimo to od dawna nie czuła się tak szczęśliwa, jakby raptem ocknęła się z długiego snu, który zdawał się trwać całe życie i teraz pragnęła w tym szczęściu przygarnąć do serca cały świat. Słuchając jego śpiewu, wyobraziła sobie, że śpiewa tylko dla niej, że tworzył te pieśni tylko po to, by ona mogła ich wysłuchać. Jego ballady miały wskazać jej drogę do tajemnego królestwa miłości, w którym ona będzie władczynią a on najwierniejszym z poddanych. Widziała się już w jego ramionach, gdzieś w sekretnych zakątkach tej nowej krainy.

Za szybko jak na bieg jej marzeń skończył swoją piosnkę. Skłonił się głęboko - z wielką gracją - królowi i królowej Małgorzacie, przyjmując ich pochwały i podziękowania, po czym odszedł dumnie, jak stąpa ogier arabskiej krwi po łące i przyłączył do dworzan.

Wtedy to właśnie, uświadomiwszy sobie, że nie zna jego imienia, szepnęła do Małgorzaty.

- Któż to?

Małgorzata spojrzała najpierw w stronę trubadura, potem na Nicolettę i z uśmiechem odpowiedziała:

- Wygląda jak nasz krajan, nieprawdaż? Jak człowiek z Langwedocji. Bardzo przystojny. Gdybym nie kochała tak bardzo Ludwika, chyba niełatwo byłoby mi się mu oprzeć.

- Ale kimże on jest? - dopytywała się Nicoletta.

- Zwią go Orlandem z Perugia - odparła Małgorzata z westchnieniem.

- Gdzie ta Perugia? Czy nie w północnej Italii? Szkoda, że nie jest prawdziwym trubadurem z Langwedocji.

Od tej chwili przez całą ucztę Nicoletta nie spuszczała już z niego oczu.

Wielekroć tego popołudnia powtarzała cichutko - „Orlando” - i odkryła, że kiedy jej wargi wypowiadają jego imię, to jakby składała pocałunek na jego ustach.

Nie odważyła się przecież przemówić do niego. Wśród uczujących byli krewni, lenni i dworscy Almaryka. Ktoś z nich doniósłby mu niechybnie, gdyby tylko okazała najmniejsze zainteresowanie obcemu mężczyźnie. Tyle bodaj dobrego, że matka Ludwika, królowa Blanka, która nie spuszczała nigdy oka z młodych dworów, niczym sokół wypatrujący zajęcy, była dziś nieobecna.

Nicoletta była też rada, że i Almaryk jest daleko.

Gdy dzień ucztowania miał się ku końcowi, a król i królowa gotowali się opuścić biesiadników, trubadur posłał jej ostatnie gorące spojrzenie, po czym i on odszedł.

Była jak zaczarowana. Po osiemnastu latach samotności w małżeństwie zawartym dla ratowania matki i siostr wydawało się, że znalazła prawdziwą miłość.

Czy dostanie od niego jaką wiadomość?

Gdy już następnego dnia doncella Agnes wręczyła jej welinowy zwój przewiązany czarną wstążką, nie mogła powstrzymać okrzyku radości. Czerni to jego kolor.

Zerwała wstążkę i zaczęła zachłannie czytać:

*Kiedym wczora za dnia cię dojrzał,
nicem krom onej postaci nie widział.
Tako twa piękność wszech jaśniała,
że zamek bogdaj w jej blasku żrzał.
I jakby czarów cudnych siła nakazała,
zdało się, żeś Pani ze mną już ostala.*

Sześć wersów. Chciwie czytała je jeszcze i jeszcze raz. Jaką słodką radość sprawiło jej to, że zostały napisane w jej własnym, rodzimym języku południa, *langue d'oc*.

* * *

Teraz, siedząc u wezłowia umierającego króla, wspominała, jak Orlando śpiewał pierwszy raz dla niej tylko. Było to rok temu, na samym początku zimy, zaraz potem, gdy król z królową powrócili do Paryża. Leżała w łóżku, w miejskim domu de Gobignona na rive droite. Zasnęła, marząc o swoim trubadurze, i śniła o nim, jak to często się jej zdarzało.

Kiedy usłyszała jego głos, myślała, że nadal jeszcze śni. Przebudziła się, pojawiwszy, że śpiew dochodzi z ogrodu za oknem.

Śpiewał aubade, langwedocką piosnkę brzasku, opowiadającą o smutku kochanków, którzy muszą rozstać się z nadejściem świtu. Wstała z łóża i na palcach zbliżyła do okna. Mimo że bosa, w koszuli tylko, nie czuła grudniowego chłodu. Kiedy zmagła się z okiennicą, którą usiłowała uchylić, by go ujrzeć, posłyszała na dole zagniżwane głosy służby i zamarła ze strachu.

- Oby uszedł bezpiecznie - wyszeptala.

Doszedł ją tupot szybkich kroków i szczeł zbroi, przycisnęła dłoń do serca, po czym zaległa cisza.

Wróciła do łóżka i rozszlochała się, przerażona, że coś straszego spotkało jej trubadura.

Później tego samego ranka Agnes z chochlikiem w oczach doniosła jej, że czeladni usiłowali pojmać w ogrodzie jakiegoś śmiałka, który zdołał zbiec.

Nieomal nie zemdlala z ulgi, jaką sprawiły jej te słowa.

W tydzień później Agnes przyniosła jej złożony we czworo pergamin i Nicoletta znowu zapłonęła z podniecenia. Była to, jak przeczuwała, prośba o schadzkę:

Do pani moich myśli,

Jesteśmy jak dwa promienie, które wysyła jedno słońce, a bogini, której obydwójce służymy, nie dozwala, aby cokolwiek nas rozdzielało. Błagam cię, Pani, połączmy się, byśmy oboje mogli jaśnieć pięknieszym światłem.

Zawierz swą odpowiedź oddawcy tego listu.

Żadnego podpisu.

- Posłaniec pyta, czy będzie odpowiedź, madame - mówiła Agnes z filuternym uśmiechem.

Nicoletta ufała jej, miała ją u swego boku od czasów dzieciństwa. Agnes, rówieśniczka pani, dowiodła swojego oddania, porzucając dom, rodzinę i zostając z Nicolettą, gdy ta z musu szła za Almaryka. Obydwie czuły się obco tu na północy i obie

jednako wierną miłością darzyły cudny obyczaj, który kazał każdej damie mieć swego trubadura.

- Nie teraz, muszę to przemyśleć.

Cały dzień łamała sobie głowę, jaką odpowiedź ma ułożyć. Wzięła kawałek pergaminu, zaczynała list na świstku, wycierała pumeksem, zaczynała od początku, i tak chyba z tuzin razy.

Mówiła sobie, że za wcześnie na spotkanie. Gdyby był biegły w dwornych zalotach, wiedziałby o tym równie dobrze jak ja. Nie, wpierv musi ubiegać się o mnie z dala, zdobywać pieśniami i wdzięcznymi liścikami. Dopiero potem, kiedy rok przejdzie, wyznaczę mu króciuteńką potajemną schadzkę. Tak okaże się, czy będzie czynił, czego pragnę i co dozwalam. Po tym czasie pozwolę na pocałunek, a potem pozwoli miesiącami i latami będziemy się zbliżać przez pocałunki, dotknięcia, zlegnięcie pospołu w łożu w odzieniu i bez odzienia aż do sakramentu Miłości, który spełni się, gdy poddam już mojego zalotnika wszystkim próbom.

Na myśl o tej komunii ciał poczuła uścisk jego ramion, jak przywiera do niej cała, szczupła i prężna. Napięła ramiona, jakby pragnęła przygarnąć go ku sobie.

Dlaczego muszę czekać tak długo? Dlaczego mam zwlekać jak w dawnych romansach? On za tydzień albo miesiąc może zginąć i nigdy nie doświadczę, co znaczy znaleźć się w jego ramionach.

Jakie to okropne!

Sięgnęła po nowy kawałek pergaminu i zaczęła pisać list zachęcający do spotkania. Nagle usłyszała napominający głos zmarłej trzy lata wcześniej matki.

- Chcesz mu być powolna, bo zlec z mężczyzną, którego się miłuje, jest rzeczą najbliższą rozkoszom niebiańskim daną nam tu na ziemi. - Matka uniosła palec w ostrzegawczym geście. - Wszelako nie wolno ci tego uczynić. Jeśli pofolgujesz mu teraz, jego miłość pierzchnie pierwej, niżli myślisz. Musisz użyć całej mocy niezaspokojonych pragnień - swoich i jego - i stać się jego preceptorką. W świecie mężczyzna włada nad kobietą, ale w królestwie Miłości mężczyzna zwać musi swoją panią, *mi dons*, „swego władcę”, bo jest w jej władaniu. Tak mówiła moja matka i tak wedle naszych obyczajów wszystkie matki prawią swoim córkom, przekazując im sekret starszy niżli nauka Chrystusowa. I wiem, że prawdę mówią, bom sama jej

doświadczyła. Pamiętaj, że nie jesteś pierwszą kobietą, której się to przydarzyło - chociaż zapewne tak czujesz. To wiedza przeszła próbę licznych pokoleń. Nigdy nie zaznasz prawdziwej magii miłości, jeśli nie będziesz posłuszna jej prawom.

Od chwili swojego zamążpójścia trzynastoletnia Nicoletta, wiedziała, czym jest cielesne obcowanie z mężczyzną. Pamiętała nawet pewną wiosenną noc, dwa lata po ślubie, kiedy po wieczornych, radosnych tańcach potrafiła zapomnieć jak nienawistny był jej własny mąż, zapomnieć, kim był i cieszyć się jego ciałem do głębi, aż drżała cała, od czubka głowy po koniuszki palców, wyczerpana rozkoszą.

W głębi serca wiedziała jednak, że miłość to znacznie więcej. Z tego, co mówiła matka, co szeptały przyjaciółki, co wyczytała w bezliku wierszy, domyślała się wspaniałości, jakie obiecuje Miłość. Ona wznosiła kochanków na wyżyny objawień, o których kapłani powiadali, że są wyłącznie udziałem świętych w niebiosach.

Zacisnęła pięść tak mocno, że złamała pióro gęsie, które zostawiło wielkiego kleksa na pergaminie.

Być może to jedyna okazja w całym życiu. Dwadzieścia cztery lata oznaczały, że młodość już przeminęła, ale czyż szczęście, którego w końcu obydwójce zaznąją, nie jest warte zwłoki? Napisała:

Panie,

Nie przymuszaj mnie, abym skłonność mą ci okazała. Trzeba mi się przekonać, czy twe zamiary są uczciwe, a to tylko czas osądzi sprawiedliwie. Żądza jest prędką, lecz miłość cierpliwa.

Dni płynęły, przechodząc w długie samotne tygodnie, a odpowiedź nie nadchodziła. Czowała smutek, potem gorycz. Dlaczego nie zachowała się tak, jak pragnęła w pierwszym odruchu i nie naznaczyła mii sekretnej schadzki? W domu i na dworze postępowała, jak kazał zwyczaj i codzienna rutyna, ale w duszy doskwierała bolesna rana. Dręczyła się myślą, że popsuka wszystko swoim postępowaniem.

Podzieliła się swoją udręką z Małgorzatą, która zapewniała ją ze wszystkich sił o słuszności jej postępku. Cóż to wszystko było warte, skoro miała już na zawsze utracić Orlanda?

Z całych sił przekonywała samą siebie, że jeśli zależało mu na niej, to ten krótki list umocniłby go tylko w miłosnych zapalach. Przepowiadała sobie dziesiątki razy to, co napisała, zastanawiając się, czy nie zrozumiał źle reprimendy, jakiej mu udzieliła, i nie uznał jej za obrazę.

Pewnego dnia zobaczyła, że lód na Sekwanie puszcza. Zima miała się ku końcowi. Z południa nadchodziły pogłoski, że Mont Ségur wkrótce padnie, a to oznaczało, że Almaryk powróci niebawem i spotkanie będzie niemożliwe. Tymczasem nadal nie było żadnej wieści od jej trubadura. Stojąc na brzegu rzeki, modliła się do bogini miłości, by nadeszło od niego bodaj słowo.

Kiedy na drzewach pojawiły się pąki, usłyszała plotkę krążącą na dworze. Trubadur był w Langwedocji. Czuli się, jakby inkwizytor obwieścił jej wyrok śmierci.

Dlaczego? Czyżby uciekł z Paryża, szukając zapomnienia? Czy był jak podejrzała, człowiekiem z jej stron, podającym się tylko za Italczyka, i wyprawił się tam, by walczyć z krzyżowcami?

Czuli nieustannie, jak bardzo było jej go brak, ale, o dziwo, ten ból sprawiał, że była szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem od czasu zamążpójścia.

Nie traciła przecież nadziei. Pewnego dnia on powróci ze swojej tajemniczej wyprawy. Pewnego dnia będzie go mogła znowu ujrzeć. Cokolwiek złego uczyniła, cokolwiek odstręczyło go od niej, nie powtórzy tego samego błędu po raz drugi.

Latem jako dama dworu Małgorzaty towarzyszyła królewskiej parze i dworowi w podróży po królestwie. Jako że Ludwik niechętnie nakładał na swoich poddanych niepotrzebne ciężary, orszak był niewielki jak na taką okazję - król, królowa, dwunastu panów szlachty, dwa tuziny jazdy i paziów, około dwudziestu przedstawicieli kleru (dbających, by Ludwikowi nie zbywało na towarzyszach do prowadzenia dysput teologicznych, w których tak gustował) i pięćdziesięciu służby, na czele z dworskim kucharzem Isambertem. Ludwik tak ufał swoim poddanym, że towarzyszyło mu tylko stu rycerzy eskorty. W każdym zamku i opactwie, gdzie zatrzymywała się królewska para, dwór podejmowany był wystawnie, doglądano, by nie zabrakło ani jadła, ani umilających czas rozrywek. Każdy członek orszaku miał trzy konie pod siodło, szły też muły z lekytkami dla dam, ale Nicoletta i Małgorzata wołały jechać konno.

Podróżowano po północno-wschodnich domenach - przez Szampanię, Pikardię, Artois, Flandrię. Wśród innych zamków odwiedziono także Château Gobignon.

Almaryk, rozpierany dumą po zwycięstwie pod Mont Ségur, wyjechał specjalnie na spotkanie królewskiego orszaku, śpiesząc złożyć hołd swemu władcy. Prywatne spotkanie Nicoletty z mężem nie było ani radosne, ani przepełnione uczuciem. Kiedy król i królowa podjęli na nowo podróż, odczuła ulgę na myśl, że udaje się z nimi w dalszą drogę. Podejrzewała, że podobnie czuł Almaryk, gotujący się wracać do Langwedocji, gdzie spieszo mu było doglądać nowych posiadłości.

Lato było dla Nicoletty najpiękniejszą porą roku w północnej Francji, czuła się wtedy trochę jak w rodzinnych stronach. Ale tego lata, niemal rok po tym, gdy pierwszy raz ujrzała trubadura, oddzielał ją od słonecznego ciepła i zieleni pól oraz lasów welon smutku.

- Są wieści z Paryża, Nicolette - powiedziała z powagą Małgorzata pewnego poranka w Troyes, gdy Nicolette weszła do jej komnaty, by pomóc królowej w toalecie - powrócił pewien trubadur.

Nicolette zrobiło się gorąco, potem zimno. Dlaczego Małgorzata przekazywała jej tę dobrą wiadomość takim ponurym tonem?

- Powiedz mi, pani, wszystko co wiesz! - wykrzyknęła.

- Wieści nie są pomyślne. I tylko przyjaciółka, która dzieli z tobą sekrety, mogłaby poważyć się je powtarzać.

- Czemuż to? - Cień, który pojawił się na owalnej twarzy Małgorzaty, spłoszył Nicolette. Stało się coś strasznego.

- Tyczy to twojego małżonka.

Zaskoczona Nicolette upuściła naszyjnik, który próbowała zapiąć na szyi królowej.

- Almaryk! Czy coś wie?

- To podobna - odparła Małgorzata, pochwycawszy koliaż zsuwającą się po staniu jej sukni i zapinając ją ponownie.

- Siadajże, tu obok.

Nicolette wpatrywała się w jej duże brązowe oczy, chcąc odgadnąć, co Małgorzata ma do powiedzenia.

- Posłaniec, który przybył z Paryża z listami do Ludwika, powiada, że Orlando powrócił do swego domu na przedmieściach ciężko ranny, śmiertelnie chory. Ranny

odbył samotnie całą drogę z Pirenejów do Paryża.

Nicoletta poczuła, że kręci się jej w głowie.

Człowiek, którego pokochała, chory, śmiertelnie chory! Czyżby miał umrzeć? Czyżby miała go już więcej nie ujrzeć. Ta myśl była ponad jej siły.

- Co mu się przytrafiło? Jak otrzymał ranę? Mów mi prędko.

- Był z armią oblegającą Mont Ségur, pod rozkazami twego męża. - Małgorzata położyła dłoń na dłoni Nicoletty.

Jej trubadur, przeciw Ludowi Langwedocji? Jakby kto ugodził ją sztyletem.

- Nie wiem, co zaszło, ale to Almaryk zadał mu ranę. Walczyli na sztylety, na oczach całej armii.

Komnata zawirowała.

Almaryk walczący z Orlandem? Czyżby Orlando wystąpił przeciw krzyżowcom? Czy to może z jej powodu? Czy dlatego właśnie nie dostawała od niego żadnych wieści? Ścisnęła dłońmi pulsujące skronie.

A Almaryk. Słowa o niczym nie rzekł w Château Gobignon, nic.

- Ale czemu się potykali? - zapytała drżącym głosem.

- Szło o rozkaz, którego trubadur nie chciał wypełnić, coś takiego. Może była to tylko wymówka, może dobyli broni, bo twój mąż wie o atencji, jaką ma dla ciebie trubadur.

Rozkaz Almaryka? A więc Orlando zaciągnął się do armii krzyżowców. Jak mógł!

- Jak groźna jest ta rana? - wyszeptała Nicoletta.

- Powiadają, że ciał go w ramię. Ale twój Orlando dzielnie się sprawił, powalił Almaryka i przyłożył mu sztylet do gardła. Mógł go zabić, lecz miał dość rozumu, by powstrzymać rękę.

Nicoletta zamknęła oczy, wydało się jej, że pogrąża się w nieznanym ciemnościach. Czuła się jak gliniana figurka, którą ktoś rozbił jednym uderzeniem na drobne kawałki. To pewne, że Orlando był teraz dla niej stracony bezpowrotnie. Almaryk nie spocznie, póki się nie zemści. I jakżeby ona i Orlando mieli się kiedykolwiek spotkać, teraz, kiedy Almaryk nie spuści z niego oka, nie przestanie ścigać w nienawiści? Jeśli trubadur umknął śmierci pod Mont Ségur, to krótkie to było odroczenie.

Potem jej nastrój uległ raptownej zmianie. Zapłonęła gniewem. Jak Orlando mógł jej uczynić coś takiego? Żalność ustąpiła miejsca złości. Zacisnęła pięści.

Cóż to za człowiek, który się najpierw zaleca, potem odwraca do niej plecami i idzie na wojnę przeciwko jej ojczyźnie? Jak mógł być takim szaleńcem, żeby wyzwąć jej męża? Nie, nie, nie, niewart jest Miłości, mówiła sobie. I zaraz potem pojawiała się pociągła, oliwkowa twarz, błyszczące błękitne oczy i przesywające duszę spojrzenie, a złość ustępowała bolesnej tęsknocie.

Małgorzata usiłowała pocieszyć jakoś Nicolettę.

- Orlando to szaleniec, będzie lepiej, jeśli o nim zapomnisz. Wszyscy trubadury to pomyleńcy.

Nicoletta udawała, że słucha jej słów z uwagą, ale w głębi duszy zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby się z nim zobaczyć.

Nieco później zdała sobie sprawę, ku własnemu zaskoczeniu, że gdyby potyczka przyjęła inny obrót, byłaby teraz wdową. Na myśl o tak nieoczekiwanej wolności przeszedł ją dreszcz podniecenia. Zawstydziała się. To nieludzkie życzyć śmierci małżonkowi, ojcu jej dzieci. Jakże by żyła, wdowa z trzema córkami, zdana na łaskę rodziny Almaryka? Czy byłoby to wyzwolenie, czy raczej pułapka, gorsza jeszcze niż samo małżeństwo?

Perspektywa śmierci...

To przywiodło jej myśli do postaci spoczywającej na łożu na wprost niej. Ludwik miał zaledwie trzydzieści lat. Jaka szkoda. Nicoletcie wydawało się niesprawiedliwe, że król musi umrzeć tak młodo. Francja go potrzebuje, nie ma nikogo innego godnego na jego miejsce.

Jutro Wilia Bożego Narodzenia, myślała, Boże Narodzenie roku tysięcznego dwóchsetnego czterdziestego czwartego. Ale nie było świątecznej radości w Pontoise wśród tych, którzy zebrali się przy królewskim łożu. Ludzie cisnęli się wokół, spoglądali na króla w przeczucie najgorszego, popatrywali po sobie podejrzliwie. Nicoletta źle się czuła wśród nich. Ich obecność kładła się niemal fizycznym ciężarem na jej ramiona. Wdychali powietrze, którego król potrzebował, którego ona potrzebowała.

Najbliżej łoża stała królowa Małgorzata, którą Nicoletta kochała i której współczuła i królowa Blanka Kastylijska, której Nicoletta się bała. Obok obydwu królowych

stało trzech młodszych braci Ludwika; Robert, Karol i Alfons. Byli to silni młodzi ludzie, ale Nicoletta wiedziała, że żaden z nich nie mógł dorównać najstarszemu bratu. Nieco dalej cisnęła się grupa dworskich dostojników, obok biskupi, baronowie, opaci. Reszta tworzyła zewnętrzny krąg żegnających. Zebrało się ich tu więcej, niż mogła pomieścić komnata, byli wszyscy wielcy królestwa. Wszyscy chcieli złożyć hołd królowi, być przy nim, gdy odda ostatnie tchnienie. Król - powiadano - nigdy nie umiera w samotności.

Zdała sobie sprawę, że konający się poruszył. Otworzył wielkie oczy i spojrzał w jej stronę. Łapiąc z wysiłkiem oddech, odtrącił dłoń, którą wyciągnęła mu z pomocą, podniósł się do pozycji siedzącej. Czoło błyszczało mu od potu, drżał cały, zacisnął dłonie na drewnianym krucyfiksie.

Szmer tłumy ucichł, w komnacie zaległa cisza.

- Jerozolima stracona - wyrzekł głośnym i mocnym głosem, tak różnym od szeptu w malignie. - Jerozolima stracona - powtórzył - a ja ujrzałem swą powinność.

Wydawało się teraz, że spogląda w płomienie na wielkim kominku w drugim końcu komnaty.

Dlaczego mówi cały czas o Jerozolimie, dziwiła się Nicoletta. Słyszała, jak ludzie za jej plecami zadają sobie na wzajem szeptem to samo pytanie. Opadły ją złe przeczucia, że nadchodzi coś niepojętego i straszego.

- Spokojnie, mój synu, spokojnie - powiedziała królowa Blanka, przysuwając się do wezłowia łoża. Odziana była w biel, żałobny kolor królowych, który nosiła od chwili śmierci ojca Ludwika. Ludzie nazywali ją Białą Królową. Władza samotnie Francją przez dziesięć lat, póki Ludwik nie dorósł.

Nicoletta lękała się Blanki. Nigdy nie zapomni, co wydarzyło się rok temu, kiedy urodził się pierwszy syn Ludwika. Ciężki poród omal nie zabił wówczas Małgorzaty. Ludwik odwiedził właśnie położnicę, kiedy Nicoletta była w komnacie. Nagle do pokoju wtargnęła Blanka, domagając się, by król szedł z nią zaraz, gdyż czekają na nich niecierpiące zwłoki sprawy państwa.

- Czyż nie mogę mieć go przy sobie bodaj przez chwilę, nawet teraz, kiedy umieram? - zaszlochała Małgorzata.

Blanka zakręciła się i spojrzała zimno na swoją synową.

- Dałaś nam królewskiego potomka, jużes niepotrzebna mojemu synowi.
- Większość dworaków lękała się Blanki. Była szorstką kobietą, o twardych sądach, skorą do szukania we wszystkich winy, nieznającą wybaczenia.
- O jakiej powinności mówisz, panie? - dopytywała się Małgorzata, pochylając się nad chorym.
- Dość będzie czasu prawić o powinnościach, kiedy odzyskasz siły - ucięła królowa Blanka, rzucając synowej spojrzenie spod silnie zarysowanych brwi.
- Jerozolima - raz jeszcze zaczął król, utkwivszy bładniebieskie oczy w płomieniach na kominku, jakby w ich świetle dostrzegał złote węże i wody kryształowe. Nicoletta zastanawiała się, czy ciągle jeszcze bredzi w gorączce.
- Ludwiku, proszę - zwróciła się doń matka.
- Pozwólcie mu mówić, pani - wykrzyknęła Małgorzata.
- Spór tych dwóch najbliższych mu kobiet wydawał się studzić gorączkowe podniecenie Ludwika. Przemówił teraz nieco spokojniej.
- Wezmę na siebie krzyż rycerzy krzyżowych, Matko. Tu, na łożu śmierci, poprzysiągłem Bogu, że jeśli ocali moje życie, poprowadzę wyprawę krzyżową, która oswobodzi Jerozolimę.
- Nicoletta usłyszała, że w komnacie podnosi się szmer. Szeptano, że król ma się lepiej, że ślubował Bogu pójść na wyprawę, a teraz siedzi na łożu i rozmawia. Usłyszała słowo „cud” powtarzane z ust do ust.
- Ktoś powiedział ponurym głosem, że ci, których złożyła gorączka, często czują się lepiej przed samym końcem.
- Ale to nie był koniec.
- Siedząca blisko króla Nicoletta ze zdumieniem obserwowowała, że bliżsi byli prawdy ci, którzy mówili o cudzie. Powracały mu kolory i oczy błyszcząły. Nie był już na krawędzi śmierci, z każdą chwilą oddalał się od niej coraz bardziej. Zmiana była tak nagła! Ozdrowienie zaczęło się w momencie, gdy począł mówić o Jerozolimie.
- Jerozolima. Mimo duchoty panującej w komnacie Nicoletcie zdało się, że doznała jakby uderzenia lodowatego wiatru. Otrząsnęła się. Kiedy była ostatnia wyprawa?

Prawdziwa wyprawa krzyżowa, nie taka jak ta przeciw albigensom, wojna chrześcijan przeciw chrześcijanom w Langwedocji. Dzięki Bogu, nie za jej życia mężowie, wzięwszy krzyż na siebie, ruszyli do Ziemi Świętej - Ziemi Zamorskiej. Słyszała opowieści starych wojów o wielkich armiach, z których powracały garstki ocalańców, o plagach, głodzie, suszy. O zapięłości Saracenów, wyrzynających tysiące rycerzy. Krucjaty do Ziemi Świętej, zwykł mawiać jej ojciec, to przynajmniej jedno szaleństwo, które wyszło z mody. - I Bogu niech za to będą dzięki - dodawał zawsze Wilhelm de Lumel.

Kiedyś jednak powiedział o najeźdźcach wojujących w Langwedocji, przeciwko którym walczył całe życie: - W Bogu nadzieja, że zanim oddam ducha, ci, którzy uzurpują sobie imię Krzyżowców, będą żalowali, że nie poszli na Saracena, zamiast powstawać przeciw ludziom we własnym kraju.

W kilka tygodni później padł w bitwie przeciwko „tym, którzy uzurpowali sobie imię krzyżowców”.

W miesiąc po tym, jak rycerze powrócili do domu z ciałem ojca złożonym na jego koniu bitewnym, w jej życiu pojawił się Almaryk. Był wszystkim, czym w jej wyobrażeniu miał być krzyżowiec - pyszny, świętoszkowaty, żądny rozlewu krwi. Żeby ocalić włości rodzinne przed zagarnięciem przez Kościół, postanowiła go poślubić, ale czuła się nie lepiej niż pierwszy lepszy jeniec wojenny. Nic dziwnego, że samo słowo krucjata przejmowało ją wstrętem.

A teraz i król? Boże uchowaj!

Blanka potrząsnęła głową, szukając wzrokiem pomocy u młodszych synów.

- To gorączka przez niego przemawia.

Małgorzata także wydawała się wstrząśnięta.

- Krucjata. Nie, Ludwiku, nie powinieneś wypowiadać tego słowa.

Król przemówił teraz z dostojną powagą, w jego słowach nie było śladu majaczenia.

- Spójrz na mnie, Matko, Czyż nie widzisz, że mam się lepiej? Bóg mnie oszczędził. Chce, bym oswobodził Jerozolimę.

- Prawda - wykrzyknął brat królewski Robert - gorączka ustąpiła!

- Chwała niech będzie Panu! - krzyczał arcybiskup Sens, unosząc w geście podziękui upierścienione dłonie.

Przez komnatę przeszedł pomruk zdumienia i radości. Niektórzy z obecnych padali na kolana.

Mimo smutku i obaw Nicoletta także odczuła, że spływa na nią ulga podobna górskiemu źródłu. To rzeczywiście przypomina cud, pomyślała. Nie umrze, królestwo będzie zachowane.

Blanka przyjrzała się uważniej pierworodnemu. W jej rozszerzonych oczach zabłysła radość, rozświetlająca pobladłą twarz. Nerwowo uderzyła w dłoń.

- Bogu niech będą dzięki - wyszeptła.

Zbliżyła się do niego z wyciągniętymi ramionami, ale zaraz je cofnęła raptownie, nim zdołała go objąć. Nicoletta zrozumiała, że nie chciała okazać matczynej miłości wobec tyłu zebranych.

Kiedy przemówiła znowu, jej głos brzmiał pewnie i zdecydowanie.

- Masz rację, Ludwiku. Bóg cię oszczędził. Ale służyć będziesz mu najlepiej, walcząc z heretykami tu, w ojczyźnie.

Nie dość jeszcze zbrodni w Langwedocji? - pomyślała ze złością Nicoletta.

- Z katarami już koniec, Matko - odparł Ludwik. - Ich ostatni przywódca oddali życie na Mont Ségur. Chcę, by w Langwedocji zapanował pokój.

- Amen - powiedziała z uczuciem Małgorzata.

Nicoletta poczuła tyle ciepła dla Małgorzaty, że łzy napłynęły jej do oczu. Jesteśmy dziećmi Langwedocji, bardziej siostrami niż przyjaciółkami, pomyślała.

- Trzeba nam celu, który zjednoczy wszystkich Francuzów, tych z północy i południa - mówił Ludwik. - Niech młodzi zaprzestaną walczyć ze sobą wzajem i staną do bitwy o wolną Jerozolimę.

Nicoletta pytała w myślach, czy śmierć w Ziemi Świętej jest lepszą od śmierci w ojczystym kraju? Blanka westchnęła.

- Jeśli byłoby życzeniem Boga, by Jerozolima była nasza, nie dopuściłby, by wpadła w ręce Saracenów. Cóż zyskało chrześcijaństwo, tracąc bogactwa i przelewając krew w walce o Jerozolimę?

- Matko, wódz egipski Bajbars zwany Panterą zdobył miasto w czerwcu. Czy myślisz, że jest Bożym zamysłem, by na zawsze pozostało pod jego panowaniem? Jeśli odstąpimy od wyzwolenia Jerozolimy, więcej chrześcijan zachwieje się w swojej wierze niż kiedykolwiek przeszło na stronę katarów.

Blanka odwróciła się i odeszła, kręcąc głową.

Nicoletta zauważyła, że nastrój w komnacie uległ zmianie. Nie było to już czuwanie przy łożu konającego. Król siedział, rozprawiał w podnieceniu. Doprawdy, wydawało się, że decyzja poprowadzenia krucjaty przywróciła mu zdrowie.

Serce Nicoletty znowu przeniknął chłód. Jeśli mężczyźni ruszą na wschód, co stanie się ze mną? Czy Almaryk pójdzie z nimi, czy będę musiała iść za nim? Przypomniała sobie opowieści o tym, że wielcy baronowie królestwa, idąc na krucjatę, zwykle zabierali ze sobą żony. Jak przeżyje na tych gorących pustkowiach, pełnych dzikich muzułmanów?

Ale strach ten wyparł ból jeszcze głębszy. Utraciła Orlanda, jedyną swoją nadzieję na szczęście. Cóż to ma za znaczenie, że umrze w Ziemi Zamorskiej.

Małgorzata podeszła do łoża i ujęła dłonie Ludwika.

- Ludwiku, Ludwiku, gdybyś umarł, ja też bym śmierć wybrała. Bogu dziękuję za twoje życie, jakiegokolwiek są Jego zamysły. Jeśli ocaliło cię przyrzeczenie poniesienia krzyża, ocaliło ono i mnie. Lecz zważ dobrze, mogę wszak sprzeciwić się krucjacie. - Rzekała to z uśmiechem. Król odpowiedział jej także czułym uśmiechem.

Nicoletta, patrząc na ich miłość, poczuła ukłucie zazdrości. Dostrzegła, że Ludwikowi poróżowiły policzki. Jakże potężna jest Miłość, pomyślała.

- Sprzeciwisz się królowi? - zapytał.

- Tak panie, chyba że przyrzekniesz zabrać mnie ze sobą do Ziemi Świętej.

W odpowiedzi Ludwik nachylił się ku niej i przytulił do piersi. Biała Królowa poczerwieniała niczym burak.

- To szaleństwo - prychnęła - raczej wolałabym widzieć cię tu martwym, mój synu, niż słyszeć, że skazujesz siebie i królestwo na zatracenie w Ziemi Zamorskiej.

Nicoletta wiedziała, że tak naprawdę to poruszył ją widok Ludwika obejmującego Małgorzatę.

Blanka wymaszerowała z komnaty z gorejącymi oczami. Panowie, damy i dostojnicy Kościoła usuwali się przed nią, po czym odwracali ponownie w stronę króla, chcąc zobaczyć, jak przyjął wybuch matki. Ludwik potrząsnął tylko głową i zawsze podać sobie mapy, które zawsze trzymał w pobliżu, zaczął pospołu z braćmi

czynić pierwsze plany.

Nicoletta widząc, że nie będzie już potrzebna, powróciła do małej komnaty w przyziemiu zamku, którą dzieliła z Agnes.

Doncella czekała na nią z tajemniczym uśmiechem na ustach.

- Agnes, król ogłosił krucjatę.

- Wiem, pani. Cała służba już o tym rozprawia. Ale wszyscy powiadają, że lata przejdą, nim król i wojsko gotowi będą ruszyć w drogę, a i przody wiele może być trafunków, które odmienia jego plany. Mam właśnie coś, co chcę wam pokazać, pani - wyciągnęła dłoń. Nicoletta zobaczyła pergaminowy zwój przewiązany czarną wstążką.

Serce w piersi skoczyło z radości. Napisał. Czuł się na tyle dobrze, że mógł pisać. Miłość żyła.

Czuła taką słabość, że wątpiła, czy utrzyma w ręku pergamin. Wyciągnęła dłoń i szepnęła cicho:

- Proszę.

Agnes pojęła i zostawiła ją samą.

Nicoletta przysiadła na krawędzi łoża i zaczęła czytać:

Rozłączony z tobą, samotnie usycham.

*Jako kwiat, co mu światła zbywa,
za niebiańskim blaskiem wzdycham.*

Ozdrowienie króla - czyżby był to znak, zastanawiała się Nicoletta, kończąc ostatnią linijkę. Myślałam, że będziesz musiał umrzeć, a przecież żyjesz. Myślałam też, że Miłość umarła, ale może nie. Jego miłość do mnie musi być ciągle żywa, inaczej nie pisałby tak.

Usiłowała trzymać uczucia na wodzy. Nie, nie może mu wierzyć. To szaleniec, który długo nie pożyje. Z pewnością go utraci, a tak wielkiego cierpienia nie zniesie. Nie jest głupią dziewczeczką. Ma troje dzieci, jest hrabiną. Drogo zapłaciła za swój tytuł. Jej mąż jest jednym z największych panów królestwa. Czy ma ryzykować, że to wszystko może stracić?

Jakiś wewnętrzny głos szeptał - tak.

Spojrzała na zwój rozpostarty na kolanach i zapragnęła trzymać w ramionach mężczyznę, który to napisał. Bez niego nic nie było ważne.

Jeśli umrze - jeśli Almaryk ją zabije, bo związała się z Orlandem - czy będzie to gorsze, niż życie bez niego? To, co powiedziała jej dawno temu matka, było prawdą - życie bez Miłości jest niczym śmierć za życia. Potrzebuje go tak, jak człowiek potrzebuje powietrza.

Nie ma dość siły, by kazać odejść Miłości. Miłość nią owładnęła, a ona jest za słaba, żeby być nieposłuszną jej rozkazom.

Oddychała ciężko, piersi falowały podnieceniem. Czula wyraźnie, jak ocierają się o materię sukni.

Wstała, zwinęła wiersze i wsunęła je w kieszeń ukrytą w szkarłatnym pasie okalającym biodra.

Nie popełni dwakroć tego samego błędu. Tym razem spotka się z nim.

Serce tłukło się niespokojnie.

Kiedy Ludwik poczuje się lepiej, dwór ruszy w powrotną drogę do Paryża. Stamtąd pośle mu wiadomość.

* * *

V

Mimo kaptura i opończy Nicoletta trzęsła się z zimna. Chłód styczniowego popołudnia był dokuczliwy, ale bardziej jeszcze niż chłód strach sprawiał, że drżała na całym ciele. Przeszła właśnie na rive gauche i spojrzawszy przez ramię, ujrzała za sobą, na drugim brzegu Sekwany, wieże i iglice królewskiego pałacu. Wydawało jej się, że śledzą ją z ukrycia czyjeś oczy. Czy ktoś z pałacowych murów mógł ją dojrzeć, gdy przechodziła przez Petit Pont?

Nie Almaryk. Ciągłe był na południu, król mianował go właśnie seneszalem Béziers i okolicznych dziedzin. Miał jednak wiele agentów i popleczników na dworze. Z wyjątkiem Agnes cała służba w paryskim domku hrabiego Gobignona była mu ślepo oddana. Jego ciotka, królowa Blanka, nie ustawała w pochwałach dla swego bratanka wygłaszanych do każdego, kto tylko chciał słuchać. Jeśli Nicoletta wda się w skandal, doprowadzi do furii Białą Królową, która już zadba, żeby wieść o tym doszła natychmiast do Almaryka. A gdyby rzeczywiście dowiedział się o jej spotkaniu z trubadurem? Jeden list, pieśń, nie mówiąć już o schadzce jak ta, oznaczały śmierć dla niej i dla Orlanda.

Powinam zawrócić, przejść przez most i pobiec z powrotem do pałacu. Ulice Dzielnicy Łacińskiej pełne były łotrzyków i złoczyńców - szaleństwem było wędrować po nich samej po zachodzie słońca. Widok małego sztyleciku, który kryła pod opończą, może powstrzymać napastnika, ale zdemaskuje ją.

Gdybym krzyknęła, wzywając pomocy, dowie się o tym cały pałac. Blanka żądać będzie wyjaśnień. Nie, pomyślała, a krew ścieło jej lodem, ona będzie wiedziała, dlaczego się tu znalazłam.

Ale czy jego oczy, sposobność spojrzenia w nie raz jeszcze, czyż nie warte to było każdego ryzyka?

Stała, wahając się, w podcieniach drewnianego domu na rue Saint-Jacques. Muszę zobaczyć Orlanda. Minął już ponad rok, a ja nie umiem go zapomnieć. Tęskniła do chwili, gdy będzie z nim sama, będzie mogła wziąć go w ramiona.

Najpierw jednak będzie musiał odpowiedzieć na pytania, które były dla niej męką. Czemu został krzyżowcem? Dlaczego wystąpił przeciwko Almarykowi? Czemu zaleca się do niej, jednocześnie tak ją raniąc?

Musi to wyjaśnić. Nawet jeśli jego tłumaczenia okażą się w pełni zadowolające, musi pozostać niezłomna i nie dać mu tej ostatecznej satysfakcji.

Słodka bogini, pomyślała raptem, przecież nigdy z nim nie rozmawiałam, nic o nim nie wiem, zupełnie nic.

Co się stanie, jeśli zawiedzie mnie do jakiejś obskurnej izby i tam będzie chciał pojąć przemocą, jak zwierzę? Jakże sobie poradzę? Sama jedna, niezdolna wezwać znikąd pomocy.

Nie, to niemożliwe. Wiedziałabym, gdyby był tego rodzaju człowiekiem. Odepchnęło by mnie to od niego. Nie mógłby pisać i śpiewać tak cudnych strof, wyglądać tak nadobnie, nie będąc człowiekiem wedle moich oczekiwań. Tak, kiedy się spotkamy, wszystko będzie tak jak w jego pieśniach. Będzie mi powolny, będzie czynił wszystko podług moich życzeń i nic ponadto. Tak długo na to czekałam. Bogini Miłości, spraw, by wszystko było piękne.

Droga, którą szła, była przeciwieństwem piękna. W wąskich, krętych uliczkach na każdym kroku zdawało się czaić nowe niebezpieczeństwo. Z trudem widziała, gdzie idzie, teraz, gdy słońce niemal już zaszło. Wysunięte nad uliczki wyższe piętra budynków pogrążyły je niemal w całkowitych ciemnościach. Bała się, czy nie zmyli drogi, którą jej opisał. Ocierała się w pośpiechu o ściany domów, usiłując ominąć błoto pokrywające środek ulicy. Szła po drewnianych kładkach ułożonych przez ludzi z uniwersytetu, ale kilka razy zapadła się po kostki w kałuże. Moje skórzane cizemki będą na nic. Co powiem, jeśli ktoś je zobaczy, nim zdążę się ich pozbyć?

Spod okolonego futrem kaptura rzucała przelotne spojrzenia na grupki swawolących studentów z całego chrześcijańskiego świata. Mieli na głowach klesze tonsury, ale nosili sztylety zawadiacko przytroczone u pasa, mimo że studentom nie wolno było nosić broni. Choć przygotowywali się do stanu kapłańskiego, każdy z nich wyglądał na ladaco gotowe wciągnąć ją w pierwszy ciemny zaułek i tam potraktować jak mu się spodoba. A bakałarze, uczeni w czarnych togach, przechadzający się parami, rozmawiający szybko po łacinie, nie pomogliby jej wcale.

Bardzo to podobne do Orlanda wyznaczyć mi spotkanie w Dzielnicy Łacińskiej. Powinien wiedzieć, że nigdy tu przedtem nie bywałam. Mogę zgubić drogę. Spojrzała w górę na budynki górujące nad nią jak nieprzyjazne olbrzymy. Już się zgubiłam.

Myśl ta wywołała gwałtowny przypływ gniewu. Małgorzata miała rację. Wszyscy trubadurzy są niespełna rozumu; składają hołdy swoim damom i wystawiają je na niebezpieczeństwa! I ja jestem niespełna rozumu, że się tu znalazłam.

Ale jak teraz znaleźć drogę powrotną do pałacu? Domy wyglądają tak podobnie. Na ulicach już ciemno. Nawet gdyby ośmieliła się podejść do któregoś z przechodniów, żaden z ich nie wyglądał na to, że przemówi zrozumiałym dla niej językiem. A przecież nie może tu tak stać. W każdej chwili ktoś może ją zacząć nagabywać.

Nienawidziła tego zimnego, błotnistej miasta.

Zbierając się na odwagę, cofnęła się, skąd przyszła. Odszuka ulicę Saint-Jacques. Wydawało się jej, że ją rozpozna, ponieważ była szersza niż inne, miejscami brukowana kamieniami i, jak pamiętała, prowadziła prosto do mostu.

Stopy zaczęły ją już boleć. Szła spiesźnie, niepewnie rozglądając się na rogach ulic. Spojrzała przed siebie i zobaczyła wyboisty bruk. Nigdy żaden kawałek kamienia nie wywołał w niej takiego uczucia ulgi.,

A teraz, w którą stronę do mostu?

Wyszła na środek ulicy i spojrzała w obydwie strony. Ponad dachami dojrzała, Bogu dzięki, złocącą się w ostatnich promieniach zachodzącego słońca sygnaturkę Notre Dame. Dzięki ci, Przenajświętsza Panienko! Ruszyła w kierunku Petit Pont.

Raptem coś usłyszała. Piękny tenor przedarł się przez uliczny zgiełk i kazał jej stanąć bez ruchu.

*Chroń, Boże, panią Alienorę królową,
co jest wszystkim wzorem mądrości,
cnoty i urody, a ręki hojnej, a serca wiernego.
Tyś w szczęsnej godzinie zrodzona
króla Henryka żona.*

Poczuła mrowienie przebiegające od czubka głowy w dół po plecach, zaczerpnęła głęboko powietrza. Nie rozpoznawała głosu, ale uroda i piękno melodii, splecionej tak dobrze ze słowami, głęboko ją poruszyły. Była to pieśń o Eleonorze Akwitańskiej, która była jej wzorem, od kiedy pierwszy raz, jeszcze na kolanach matki, posłyszała opowieści o tej wielkiej monarchini. To Alienora, pochodząca z Langwedocji, zaszczepiła obyczaj *l'amour courtois*, kult Miłości, miłość dworną w królewskich pałacach i stała się natchnieniem dla pokoleń trubadurów.

Słuchała oczarowana, niepomna niebezpieczeństw ze strony przechodniów. Kolejne strofy przeniosły ją w inny świat, w którym rządy sprawowało piękno, z którego wygnano strach i grozę. Świat, w którym mężczyźni kochali kobiety i służyli im wiernie. Jeśli dokonywali krwawych czynów, to tylko z najgłębszego oddania swoim damom.

Kiedy pieśń przebrzmiała, Nicoletta poczuła się trochę silniejsza i spokojniejsza. Ciągłe jeszcze na dnie umysłu leżały się strachy, ale już nie obezwładniały jej tak jak przed chwilą.

Zobaczyła, że stoi przed karczmą, która w szyldzie ma dwa skrzyżowane złote miecze na czerwonym polu. Przypomniała sobie, że Dwa Miecze to znak, o którym wspominał Orlando. Ciągłe będąc pod wrażeniem, słysząc ponownie pieśń rozbrzmiewającą w głowie, Nicoletta zapytywała siebie, czy Alienora uciekłyby przed taką schadzka niczym spłoszona gęsiareczka? Czy ona poślubiona najpierw królowi Francji, a potem Anglii, umiejąca przeciwstawić się im, dopuściłaby, by mężowski gniew powstrzymał ją przed spotkaniem z kochankiem?

Nicoletta poczuła nowy przypływ sił.

Przypomniała sobie wskazówki Orlando. Od Dwóch Mieczów skręcić w pierwszą ulicę na lewo. Po minięciu drzwi zdobnych figurą świętego Juliana Szpitalnika w

łodzi, znowu w lewo i będziesz na ulicy Siennej. Tłumiąc strach ruszyła w drogę. Po chwili dojrzała świętego Juliana.

Zakapturzona postać zastąpiła jej drogę.

Krzyknęła.

Silna dłoń pochwyciła ją za ramię.

Palce usiłowały dobyć małego noża ukrytego w pasie.

- Cicho, pani, jesteś bezpieczna, to tylko ja.

Ten głos! To jego głos! Na ten dźwięk serce skoczyło z radości. Niespodziewane światło pochodni narysowało ich cienie na białej ścianie, pod którą stali. Minął ich jakiś zamożny student poprzedzany przez chłopca z pochodnią, oświetlającego drogę i drugiego służącego, który niósł wielkie, oprawne w skórę księgi.

Czerwony blask pozwolił Nicoletcie dojrzeć skrywającą się głęboko pod kapturem twarz. Przenikliwe oczy, haczykowaty nos, który nadawał mu wygląd drapieżnego ptaka.

- Sire Orlando.

- Idę za tobą pani, od kiedy przeszłaś przez most, Jesteśmy blisko miejsca przeznaczenia, pomyślałem więc, że mogą się ujawnić. - Mówił niskim, aksamitnym głosem, który przywodził na myśl jego pieśni.

Zadrżała i uświadomiła sobie, że nadal trzyma ją za ramię, że dotyka jej po raz pierwszy.

- Miałaś pani chęć zawrócić, nieprawdaż?

- Tak - odpowiedziała mechanicznie, zanim zdążyła pomyśleć. Cały czas, gdy błakałam się tu bezradnie, on mnie obserwował. Dlaczego nie przyszedł mi z pomocą? Znowu poczuła, że rośnie w niej gniew.

- A gdybym zechciała opuścić tę uroczą dzielnicę - postanowiła mu się przeciwstawić - czy zatrzymałbyś mnie?

Nic nie odpowiedział, tylko popatrzył głęboko w jej oczy i podał ramię.

Przyjęła je i ruszyli w dół Siennej. Oszołomiona, że wreszcie jest z nim, wsparła się na nim ciężko. Siła promieniująca od niego podbiła ją całkowicie.

- Było moim pragnieniem zatrzymać cię, paść przed tobą na kolana i błagać, byś nie odchodziła.

Ta odpowiedź usunęła resztki gniewu. Zdała sobie nagle sprawę, że mówił w *langue d'oc*.

Jakże tedy miałby być Włochem?

- Nie uczyniłem jednak podług pragnienia - mówił dalej w zamyśleniu. - Wiem, pani, na co się narażasz. Chciałem wiedzieć, czy przyjdiesz bez przymuszenia i wbrew wszelkim przeciwnościom.

Zadrżała na wspomnienie niebezpieczeństwa. Była przed chwilą w opałach. Teraz, kiedy szli razem, wiedziała, że przekroczyła dozwolony próg. Jeśli zobaczą ich tutaj, będzie to oznaczało jej koniec.

Czuła, że ogarnia ją dziwne podniecenie na myśl o niebezpieczeństwie. Ucisk w żołądku i zimne dłonie nie sprawiały, że czuła się nieszczęśliwa, wręcz przeciwnie, wybrać niebezpieczeństwo, zmierzyć się z nim, miast tylko odeń uciec, było uczuciem porywającym. Teraz pojmuję chyba odrobinę, dlaczego mężczyźni idą na wojnę, pomyślała.

Zatrzymali się przed porządnie wyglądającym trzypiętrowym domem o krytej tynkiem, drewnianej fasadzie.

- To dom Wilhelma Księgarza - poinformował Orlando. - Tu przy winie gawędzą ci, którzy miłują książki.

- Słyszałam o nim - odrzekła Nicoletta. O Wilhelmie szeptali między sobą młodszy dworacy. Tutaj zbierali się co bardziej wolnomyślni studenci i śmiało wygłaszali heretyckie poglądy. W jej dzisiejszym nastroju do przygód było to bardzo stosowne miejsce. Otworzył przed nią drzwi. Wzięła głęboki oddech i weszła do wnętrza.

Oślepiło ją światło licznych świec. Kiedy oczy przywykły już do jasności, ujrzała złożone na stołach setki tomów. Dwóch krzepkich pomocników księgarza pilnowało drogich woluminów. Szybko spuściła oczy i naciągnęła głębiej kaptur.

Orlando prowadził do następnych drzwi, weszli do nieco słabiej oświetlonej izby bez okien. W mroku, przy małych stolikach siedzieli, popijając i rozmawiając półgłosem, goście. Nicoletta słyszała, że ludzie przychodzący do Wilhelma mieli śmiałość rozprawiać o magii, a nawet oskarżać baronów i biskupów o łupienie biedoty. Taka mowa mogła się skończyć dla śmiałka w lochach Inkwizycji.

W głębi izby stał oparty o ścianę jakiś młodzieniec przygrywający na irlandzkiej harfie. Miał mocno skręcone jasne włosy.

Z figlarną miną skłonił się niemal niewidocznie Orlandowi, gdy oboje szybko szli do stołu w mrocznym zakątku. Zastanawiała się, czy ten młody człowiek był jednym z tych celujących w sprośnościach, wyklętych poetów Dzielnicy Łacińskiej znanych jako *les Chiens Enragés*, Wściekłe Psy?

Młodzieniec uderzył w struny i w izbie zaległa cisza.

Nicoletta, drżąc z podniecenia, słuchała uważnie.

*Nasz Pan dla siebie nie miał nic,
i żył z jałmużny dobrych ludzi.
Nasz Papież myli dziś tę myśl
i żyje z tego, co wyłudzi.*

Nicoletta przyłączyła się niespodzianie dla siebie do gromkich śmiechów, które gruchnęły po izbie. Pieśniarz na pewno był jednym z Wściekłych Psów.

Co za radość, nie słyszałam niczego podobnego, od kiedy poślubiłam Almaryka. Nikt nie poważyłby się na coś takiego w Château Gobignon, a tym bardziej w królewskim pałacu.

Ta izba na tyłach domu księgarza przywodziła jej na myśl dom rodzinny, dzieciństwo, swobodne rozmowy prowadzone przy ojcowskim stole. Odwróciła się z uśmiechem do Orlanda. Odpowiedział na jej uśmiech.

Nie mogę dać się ponieść uczuciom. Jeszcze nie teraz.

- Co byś powiedziała, gdybym rzekł, że to mój giermek i moja piosnka? - zapytał Orlando.

W tym momencie przysadzisty, brodaty mężczyzna wniósł dwa gliniane naczynia wypełnione złocistym winem z Ille de France, które bez słowa postawił na stole, po czym natychmiast zostawił ich samych. Pomyślała, że szanowano tu samotność Orlanda.

Muszę mu teraz zadać kilka pytań postanowiła. Wahala się jednak. Od chwili, kiedy wyłonił się nagle z mroku ulicy, wszystko było tak cudownie podniecające. Jeśli teraz jego odpowiedzi okażą się kłamliwe, cała jej miłość obróci się w proch.

Zobaczyła w jego oczach ciepło, które dodało jej odwagi, żeby zacząć.

- Dziwne to dla mnie, że człowiek, który pisze szydercze piosnki o papieżu, idzie z krzyżowcami przeciw katarom. Po której stronie jest twa wierność, panie Orlando?

- Pozwól rzec od razu, że nie nazywam się Orlando, ale Roland, Roland de Vency. Jak ty, rodem z Langwedocji.

Była zaskoczona. A może nie? W gardle uwiązał jej nerwowy chichot. Położyła dłoń na sercu.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Oddaję swoje życie w twoje ręce, *mi dons*.

Mi dons! Ogarnęła ją fala radości. Tymi słowami trubadur oznajmiał swe całkowite posłuszeństwo wobec wybranki serca. Natychmiast jednak pojawiło się ziarenko nieufności.

- Dlaczego używasz fałszywego imienia?

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Jestem banitą. Mój ojciec, Arnold de Vency, podobnie jak większość rycerzy z Langwedocji, walczył o swój kraj przeciw krzyżowcom i inkwizytorom. I ja to czyniłem, kiedy dorósł. Groziło nam, że nas pojماją. Za każdym razem, kiedy któryś z nich ginął z naszej ręki wieszali dziesięciu wieśniaków. Dalej już nie sposób było walczyć, nie mogliśmy pozostać w Langwedocji. Imię de Vency znajduje się na liście wyjętych spod prawa. Gdybym go używał, musiałbym cierpieć za swoje i za ojcowskie czyny.

Ojciec Orlanda-Rolanda był więc taki, jak mój, pomyślała i poczuła, że łączy ją z trubadurem pokrewieństwo dusz. Gdybym była mężczyzną, moja historia mogłaby brzmieć podobnie.

- Czemuś powrócił do Francji?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się smutno.

- Wiele jest powodów - spojrzał na nią i nagle na jego twarzy odmalował się ból.

- Wiem teraz, że nie dość to dla mnie być trubadurem. Gdy ujrzałem, jak umierają dobrzy ludzie z Mont Ségur, ślubowałem, że będę czynić wszystko co w mojej mocy przeciw takim niegodziwościom.

Zaczynała boleć ją głowa. Odpowiadając na jej pytania, tylko je mnożył. Był na Mont Ségur, nosił wszak krzyż, i to wbrew wszystkiemu co jej przed chwilą powiedział. Czy bawił się z nią, cieszył jej pomieszaniem?

- A więc raz jeszcze, panie. Co robiłeś na Mont Ségur? - rzekła ostro. - Jeśli krzyżowcy są twoimi wrogami, czemuś poszedł z nimi?

Opróżnił swój kubek, odstawił gwałtownie i spojrzał na nią.

- Zaufasz mi?

Utkwił w niej wzrok. Poczwała, że ma ochotę pogłodzić go po policzku. Czy może mu zaufać?

- Czego żądasz? - zapytała i zawstydziła się niepewnością, którą usłyszała w swoim głosie.

- Chodźmy tam, gdzie będziemy mogli rozmawiać swobodniej. Kazalem przygotować izbę na górze. Czy *mi dons* pójdzie ze mną?

Oczekiwała takiego zaproszenia. Kiedy usłyszała, że wypowiada te słowa, poczuła nagły żar w łydźwiach. Oszołomiła ją nagła gotowość jej ciała. Obudziły się jednak podejrzenia. Rzekł mi tak niewiele, a teraz, kiedy napieram na odpowiedź, czyni unik. Czyżby chciał znaleźć się ze mną sam na sam i wykorzystać moją słabość?

- Już więcej ci ofiarowałam, niż się godzi podług praw Miłości, którą sam wzbudziłeś - odpowiedziała, usiłując panować nad głosem. - Teraz muszę cię opuścić. Proszę zatem, byś towarzyszył mi do mostu.

Dostrzegła ból w jego niebieskich oczach. Patrzył na nią bez słowa.

Powiedźże coś, co każe mi zostać! - dopominała się w głębi serca.

Sklonił głowę i powiedział stłumionym głosem.

- Jeśli takie jest twoje życzenie.

Już żałowała tego, co powiedziała.

Nie, nie, tak bardzo tego pragnęłam. Nie mogę się odwrócić teraz plecami do niego i powrócić do życia, jakim żyłam dotychczas. Mogę go już nigdy nie ujrzeć.

Nie ruszyła się od stołu.

- Jak mogę wiedzieć, czy postąpisz ze mną obyczajnie?

Nachylił się ku niej, oczy zabłyśły w świetle świec.

- Zaryzykuj.

Wpatrywała się w pełną powagi twarz przed sobą.

Nie, nie była to twarz kłamcy. Czuł tak samo jak ona, kiedy mówił o Mont Ségur. Tak, heretycy, ale to nasz lud, lud Langwedocji.

Czyż to nie Almaryk skazał ich na stos? Skazałby i mnie, gdyby wejrzał w moje serce.

Czuła dziwne drżenie, kiedy Roland spoglądał w jej oczy. Czy mam pozwolić, by strach przed Almarykiem naznaczał całe moje życie?

Dłoń Rolanda powędrowała przez stół i spoczęła na jej dłoni.

Jego czelność nie zna granic!

Ale czyż nie pozostawiła ręki na stole po to, by mógł ją ująć? Czyż nie dostrzegł w jej oczach przyzwolenia?

Wnętrze jego dłoni było gorące i suche. Żar promieniował na całą rękę. Myśl o wzajemnej bliskości była kusząca. Czuła się tak, jakby na galopującym koniu pędziła przez nieznanne knieje.

Wstała raptownie i powiedziała półgłosem

- Pójdę z tobą.

Ich dłonie nadal były złączone.

Kiedy podeszli ku schodom, grajek uderzył w struny i zaśpiewał

Niech wino spływa do mych warg

aż po żywota kres

i niech anieli miast swych skarg

radosny wzniosł śpiew:

„Racz opojowi, Panie, dać

oznakę miłosierdzia”.

Nicoletta obejrzała się, kiedy opuszczali izbę, jakby chciała sprawdzić, czy nikt nie zauważył ich wyjścia, ale wszyscy zasłuchani byli w śpiew grajka. Roland wskazał gestem drogę i podążył za nią.

Na drugim piętrze otworzył ciężkie drzwi. Wewnątrz na niewielkim kominku płonął ogień. Wszedł pierwszy, zapalił stoczek, który przytknął do świec osadzonych w dużym mosiężnym świeczniku stojącym na stole. Drżały jej nogi, kiedy przechodziła przez próg. Teraz dowie się, jaki jest naprawdę. W miarę jak zapalały się świece, mogła dojrzeć wygląd izby. Przez moment zdawało się jej, że znalazła się w wyłożonej atlasami alkwie. Żadnych okien, ściany i sufit zawieszono bogatą materią w wymyślne saraceńskie wzory, purpura, zieleń i złoto. W głębi, zarzucone poduszkami w jaskrawych kolorach, stojące na zasłanym dywanem podwyższeniu, olbrzymie łoża, na widok którego serce zabiło jej żywiej. Nie wiedziała - z lęku czy pożądania.

Roland podszedł znowu do drzwi i wsunął gruby drewniany kołek w żelazne klamry.

- W dniach wielkości Langwedocji takie spotkania odbywały się w sekretnych komnatach potężnych zamków, teraz musimy kryć się w kupieckim domu - powiedział wykrzywiając twarz w gorzkim uśmiechu.

Wziął ją za rękę i począł prowadzić w stronę łoża. Ogarnęła ją panika. Wszystko działo się zbyt szybko. W Miłości dama musi być *dons*, władcą. Wyrwała dłoń z jego uścisku.

- Kupiecki dom czy nie, panie, ta izba przecież dość jest ładna. Ile płacisz Wilhelmowi, żeby mieć ją zawsze gotową na swój użytek? - zapytała lekko.

- Nie było w moim życiu kobiet, od kiedy spotkałem ciebie. Żadnej kobiety, którą kochałbym, jak kocham ciebie.

Dziwne - „żadnej kobiety, którą kochałbym, jak kocham ciebie” - jakby się poprawił.

- Boję się, że nie pojmujesz, panie Rolandzie, co oznacza dla mnie Miłość. Nie może ona być jak niespokojny wiosenny strumień, który spływa w dzikim porywie i wszystko niszczy. Musi płynąć jak spokojna rozlewista rzeka, karmiąca wszystko wokół. To związek między duszami, ku któremu zmiierzają dama i miłujący ją rycerz, na który trzeba zapracować.

- Twoja dusza mnie zachwyca - powiedział Roland, zagładając jej głęboko w oczy. Zawirowało jej w głowie. - Filozofowie - prawili dalej - powiadają, że dusza jest formą dla ciała. Wielbię twą duszę, która objawia się w tym pięknym ciele.

- Jeśli chcesz mnie kochać, musisz poddać się mej władzy

- Poddam się, *mi dons* - skłonił głowę. - Oddam ci swoją sztukę. Zrymuję i wyśpiewam setki pieśni na twą cześć - przyklęknął przed nią.

Miała ochotę zatopić palce w jego gęstych włosach, przytulić go do łona, ale powstrzymała pragnienie. Musi utrzymywał przewagę, której wymagał kodeks Miłości.

- Będziesz miał sposobność, żeby wypełnić swe obietnice panie Rolandzie. Pierwszego dnia maja, z woli królowej, radej z ozdrowienia naszego władcy, odbędą się popisy śpiewacze. Przybędą wszyscy truverzy i trubadurzy mający jaką sławę w

chrześcijańskim świecie. Dopatrzę byś stawił się i ty. Będziesz moim wybrańcem.

Roland uśmiechnął się, unosząc lekko lewą brew.

- Z rozkoszą, *mi dons*, to bitwy, które staczam najchętniej.

Bitwa. Mont Ségur. Ciągłe nie wiedziała, dlaczego się tam znalazł. Śmiało nie dać odpowiedzi na jej pytania; postanowiła dalej je stawiać.

- Skoroś, panie, nie zadbał o miejsca do siedzenia, gdyś gotował tę izbę, siędę na łożu, a ty zostań tam gdzie jesteś.

Odrzuciła się od niego z furkotem spódnicy i usiadła skromnie na skraju ogromnego łoża.

- Jak sobie życzysz, *mi dons*. Nadal klęczał.

- Wstań, panie, przez wzgląd na wygodę.

Wstał bez słowa, z poważną miną, ale w jego oczach dostrzegła rozbawienie.

- Tuszę, że nie chciałaś odwrócić mych myśli, prowadząc do tego tureckiego rajju. Nadal pragnę wiedzieć, czemuś znalazł się na Mont Ségur i cóż to cię opętało, żeby wyzwąć mojego męża do walki na sztylety?

- A, wasz mąż... - uśmiechnął się tak szeroko, iż nie było żadnych wątpliwości, że nie tylko nie poczuł się dotknięty, ale też dobrze pojmuję, że bierze udział w dwornym rytuale.

- Tak, mój mąż. Cud, że stoisz tu cały i zdrowy. Czy wiesz, ilu ludzi padło z jego ręki, co ci przyszło do głowy, mój panie?

- Nie o mnie szło, *mi dons* - wzruszył ramionami i wyraźnie posmutniał. - Hrabia de Gobignon rozkazał, by wszystkich Doskonałych - starców, kobiety, ludzi wyczerpanych głodem - jak zwierzęta wlec w łańcuchach ze skalistego zbocza góry. Wstawiłem się za nimi, nie pozywałem go anim nie dobył przeciw niemu broni. Gdybyś zapytała, pani, kogoś, kto widział walkę, wiedziałabyś. W końcu pozbawiłem go sztyletu i zmusiłem by cofnął rozkaz.

- Co mówisz, zgadza się z tym, com słyszała. Czyś musiał przecie tak go pohańbić?

Trubadur rozłożył ręce, jakby dziwił się bezradnie jej pytaniu.

- Pani, kiedy człowiek walczy o życie, nie myśli o dumie tego drugiego.

- Musi nienawidzić cię bardziej niż kogokolwiek innego na świecie, pomyślałeś o tym?

Trubadur ponownie wzruszył ramionami.

- Rok prawie minął od tego zdarzenia, pani, a twój mąż przez ten czas nie szukał odwetu.

Jego pozorna tępota mogła doprowadzić do furii. Był jak ten przysłowiowy głupiec, który ma szczęście. Po prostu.

- Najwidoczniej nie masz pojęcia, jakiego człowieka uczyniłeś swoim wrogiem. Dość ma ziem, żeby być królem sam dla się. Od jego słowa waży tysiące spraw wielkich i małych. Nie jest to człowiek, co zapomni potwarzy. Dostanie cię kiedyś.

- Znam, pani, hrabiego Gobignona lepiej, niż myślisz - trubadur spoglądał na nią z mogącym do pasji doprowadzić spokojnym rozbawieniem. - Cóż mam wedle ciebie czynić, znowu zbiec z kraju?

- Cóż masz wedle mnie czynić? - zacisnęła zęby. - Nic nie możesz uczynić. Już za późno. Już było za późno, kiedyś sprzeciwił się jego rozkazom. Dlaczegoś tak go judził, skoroś zamierzał składać mi dworne hołdy?

- Prawdę mówisz - skinął głową - polityczniej by było, gdybym język trzymał na wodzy. Ale nie po ludzku.

Wzięła głęboki oddech.

- Jeśli tacy ci drodzy katarowie, cóżes porabiał w armii krzyżowców? Jaka kryje się za tym tajemnica, że już trzy razy uchyliłeś się od dania odpowiedzi?

Jęknął cicho.

Czekała.

Po długiej chwili milczenia rzekł:

- Nie mogę ci powiedzieć.

Poczuła jak sztywnieje każdy mięsień jej ciała.

- Nazywasz mnie swoją *dons*, a jednak masz przede mną jakieś sekrety. Żartujesz sobie ze mnie, panie. - Wstała. - Pozwól, że cię opuszczę.

Uniósł rękę w pojednawczym geście.

- Zaczekaj, proszę, postaraj się zrozumieć.

Gotowała się z wściekłości. Zrozumieć? Wymierzał jej policzek i prosił o wyrozumiałość. Czyż ma ją za idiotkę?

- Narazam swoje życie po to, by wysłuchiwać twych łągarstw. Prosisz o zaufanie, kiedy sam nie potrafisz zaufać.

Ściągnął brwi, w oczach zabłysnął błękitny ogień.

- Gdybym pragnął kłamać przed tobą, czy nie sądzisz, że mógłbym wymyślić jakiś koncept, którym zbyłbym pytania? Kiedy powiadam, że nie mogę nic rzec, jest to uczciwa prawda. To nie jest rzecz wzajemnego zaufania - od mego milczenia zależy życie innych ludzi. Gdybyś znała całą prawdę o Mont Ségur i ty byłabyś w niebezpieczeństwie.

- Z czyjej strony?

- Ze strony Inkwizycji - wycedził przez zęby.

Te słowa sprawiły, że gniew zmieszał się z lękiem. Całe życie obawiała się odzianych w białe habity zakonników o bladych, zawziętych twarzach, o oczach zawsze niesytych zła, które dostrzegali wszędzie wokół siebie. Ich bezimienni donosiciele, sekretne izby tortur, ich władza posyłania ludzi na stos. Kiedy była dzieckiem, w jej snach koszmary Inkwizycji pojawiały się częściej niż smoki i wilki.

- Teraz już rozumiesz? - napierał Roland. - Powiedziałem ci, że ślubowałem uczynić wszystko, co w mojej mocy, by położyć kres takim przerażającym niegodziwościom jak masakra na Mont Ségur. Czy myślisz, że nosiłem krzyż krucjatowy, żeby stawać do walki przeciw swoim współplemięcom? Ja, wygnaniec i syn wygnańca. Jak myślisz, dlaczego przybrał inne imię? Znasz mnie już na tyle, by odgadnąć, co mogłem robić na Mont Ségur, i to musi wystarczyć. Wiesz dość, żeby posłać mnie na stos. Jestem w twojej władzy.

Jego uśmiech pozbawiony był radości, zaledwie lekko uniół lewy kącik górnej wargi.

Pytała siebie, co próbował jej powiedzieć. Że jego krucjatowy krzyż był tylko pozorem, podobnie jak imię Orlanda z Perugii? „Znasz mnie już na tyle, żeby odgadnąć co mogłem robić na Mont Ségur”. Daje mi do zrozumienia, że był po stronie katarów. Czy szedł z jakimś posłaniem dla obłądzonych? Czy miał przekazać coś od nich na zewnątrz? Życie innych zawisło od jego milczenia? Czyżby ktoś uratował się z masakry?

Niepewność i rozpacz na myśl, czy kiedykolwiek będzie jej dane dowiedzieć się, kim naprawdę jest Roland, rozszarpywały serce jak szpony krogulca. Mógł powiedzieć, co

tylko chciał, skądże miała wiedzieć, co jest prawdą. A jeśli się wreszcie dowie, może być już za późno. Najlepiej zrobi, jeśli się stąd zabierze. Zaraz.

- Od chwili kiedy cię ujrzała w Chinon, pokładałam w tobie wiarę, a tyś mi odplacił, znikając bez słowa. Na rok bez mała. Nie miałam najmniejszego bodaj dowodu, że myślisz o mnie. A potem usłyszeć - nie od ciebie wszak, lecz od obcych - o tych szalonych czynach, przyłączeniu się do najeźdźców Langwedocji, potykanii z mym mężem. A teraz oczekujesz, że przyjmę cię jak kochanka, mimo że nie kwapisz się z wyjaśnieniami? Czyż myślisz, że jestem aż tak głupia, panie Orlandzie - Rolandzie - jakie tam twoje imię?

I znowu ten sam krzywy uśmiech.

- Nie myślę, że jesteś głupia, *mi dons*, myślę, że wiesz, iż mówię prawdę - uczynił krok w jej stronę - i przyjmiesz mnie jak kochanka, bo mnie kochasz.

Stała sparaliżowana, jakby pod jego wygłodniałym wzrokiem obróciła się w kamień, pod tym wzrokiem, który przywodził na myśl potwora z bestiariuszy - bazyliuszka.

- Zostań, panie, gdzie stoisz. Nie, otwórz mi drzwi. Nie Kocham cię, bo nie mogę ci ufać.

- *Mi dons*, nie potrafisz oprzeć się miłości, kimkolwiek bym był. Przejrzałem cię, poznałem. Miłość jest zarówno twoją panią, jak i moją.

Nicoletta poczuła, że gorąco rozlewa się po jej ciele. Zaczęła oddychać szybciej.

- Będę z tobą walczyła. Jeśli nie będę ciebie pewna, będę wiedziała, jak się ciebie pozbyć. - Wydawało się, że upadnie na łoże, zacisnęła mocno dłonie na jego krawędzi.

Roland uśmiechając się, postąpił jeszcze krok w jej kierunku.

- Czym ja prosił wyjaśnić, dlaczego jesteś poślubiona wrogowi?

Pytanie zabolalo jak cios wymierzony w splot słoneczny. Najpierw nią wstrząsnęło, potem wywołało wściekłość. Jakie to okrutne! Niegodziwe! Nie miałam wyboru. Skoczyła i zebrawszy wszystkie siły, wymierzyła policzek.

Z zadowoleniem dostrzegła, że się zachwiał. Twarz mu poczerwieniała, ale ręce zwiślały bezwładnie.

Nagle łzy jej napłynęły do oczu.

- Wybacz, Rolandzie, proszę. - Rzuciła się ku niemu ponownie, tym razem, żeby pochwycić go w ramiona.

Odpowiedział najpierw delikatnym uściskiem, który stawał się silniejszy, im żarliwiej go tuliła. Wypłakiwała mu się na piersi.

- Masz rację, zdradziłam nasz kraj, poślubiając Almaryka, nie mam prawa stawiać ci żadnych pytań.

- Wiem, że musiałaś mieć powody, skoro za niego wyszłaś - powiedział łagodnie - i wiem, że musiały to być ważne powody. Wybacz, że wspomniałem o nim. Jeśli o mnie idzie, to prawda, że wiele przed tobą taję. Uwierz we mnie, a pewnego dnia, kiedy będzie już bezpiecznie, powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Przyłgnęła do niego całym ciałem.

- Jest jak rzekłeś, kocham cię, kimkolwiek jesteś.

Ku jej zaskoczeniu cofnął się.

- Wiesz, że cię pragnę, *mi dons*, ale nie było w twych zamiarach zlec dziś ze mną. Kiedy tu weszłaś - uśmiechnął się - do tego „tureckiego raję”, napomniałaś mnie, jaki obrót winna przyjąć nasza miłość. Wiem, że miałaś rację. Chcę zaskarbić sobie prawo do twojego obnażonego ciała i obnażonej duszy. Kiedy nasza miłość dojrzeje, nasza żądza tym będzie silniejsza i słodsze złączenie.

I ona się cofnęła, dysząc ciężko, jakby pokonała właśnie kręte schody wiodące na wysoką zamkową wieżę.

- Jestem twoja teraz i twoją będę - wyszeptęła.

Padł przed nią na kolana, ujmując jej dłoń.

- I jam twój, *mi dons*. Jestem twoim trubadurem, teraz i na zawsze. Rozkazuj, co zechcesz. Od tej chwili będę żył wedle twych życzeń. Klnę się na Miłość.

Jej serce zmieniało się w płynne złoto. Łzy spływały po policzkach.

Wyciągnął ku niej dłoń, a ona ją ujęła.

- Zawsze będę twoją damą, oddaję ci życie i wieczystą miłość. I ja klnę się na Miłość.

Delikatnie pomogła mu powstać i otwarła ramiona. Jego pocałunek palił niczym rozżarzone węgle.

* * *

VI

Roland czuł ucisk w żołądku. Wyjechał z miasta przez bramę Saint-Denis i zbliżał się właśnie do domu. Ból był tak silny, że doprowadzał go niemal do szaleństwa. Powtarzał ciągle w myślach przysięgę, którą złożył Nicoletcie. „Jestem twoim trubadurem, teraz i na zawsze.” Jak cios zadany nożem. Kocham ją, jak nie kochałem nigdy nikogo - wyjąwszy Dianę.

Pocił się w podbitej futrem opończy pomimo dojmującego mrozu styczniowej nocy.

Czy moja przysięga była kłamstwem?

Nie, nie teraz, kiedy Diana złożyła śluby przed Bogiem.

Zawsze wierzył, że kochać można tylko jednego człowieka. Przez te wszystkie lata, kiedy kochał Dianę, przyjmował to za święte prawo Miłości. Tak się powinny toczyć sprawy, ale tak się nie potoczyły. Nie w jego przypadku.

Jakby to było, gdybym wtedy, kiedy ujrzałem Nicolettę po raz pierwszy w Chinon, wiedział już, że Diana żyje? Pragnąłbym jej tak samo, ale nie zacząłbym tego wszystkiego. Nie byłoby liścików, śpiewów w jej ogrodzie. Ale wtedy byłem pewien, że Diana nie żyje. Nie było nic tylko czas, który miał być sprawdzianem moich uczuć do Nicoletty.

A potem, kiedy odnalazłem Dianę, straciłem ją na zawsze. Napisałem więc znowu do Nicoletty. I dziś wieczorem, kiedy chciała się ze mną kochać - jak ja jej pragnąłem - nie mogłem posunąć się dalej niż uściski i pocałunki.

I tak będzie, dopóki będę kochał Dianę.

Kiedy opuszczał dzielnicę uniwersytecką, księżyc w pełni wisiał nisko nad dachami, teraz srebrna tarcza była wysoko i w jej świetle mógł dojrzeć mały dom, który

kupił dwa lata temu za pieniądze przywiezione z Sycylii. Mój zameczek - pomyślał z dumą - otoczony topolami i drzewami owocowymi. Szczególnie lubił wysoki na trzy kondygnacje donżon, pobudowany w czasie najazdów normańskich na Paryż, gdzie w okrągłej komnacie mieszkała Diana, której obecność przysparzała tyleż radości co mąk.

Pod nagimi gałęziami drzew dostrzegł zarys sylwetki przemykającej przez bramę jego domostwa. Osadził raptownie w miejscu swojego wierzchowca. Zaraz potem ujrzał prostokąt żółtego światła otwieranych drzwiach frontowych, przez które wśliznął się przybysz, po czym na podwórku znowu zapadły ciemności. Poczul, że strach podchodzi mu do gardła. De Gobignon? „Dostanie cię kiedyś”, powiedziała Nicoletta. Tej właśnie nocy?

Zsunął się z konia i spieszenie przywiązał go do pnia drzewa. Przemknął przez tę samą bramę, przez którą dostał się nieznajomy, i poszedł na tyły domostwa. Bezszelstnie otworzył kuchenne drzwi, wsunął się szybko do wnętrza z ręką na rękojści sztyletu.

Przy kuchennym palenisku siedzieli kucharz Lucjan, jego żona Adriana i syn Marcin. Skoczyli na jego widok. Adriana z krzykiem chwyciła się za serce. Poczul ulgę, widząc, że ci chociaż są bezpieczni.

- Czy słyszeliście, żeby ktoś wchodził głównym wejściem? - zapytał, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie.

- To wasza siostra, panie - odrzekł kucharz - rozmawia w sieni z mistrzem Perrinem.

Odetchnął, napięcie ustąpiło, ale jednocześnie zdał sobie sprawę, że nie chce się spotkać twarzą w twarz z Dianą. Czul jeszcze na wargach pocałunek Nicoletty, w sercu kołatało poczucie winy. Chciał być sam, chciał spać, jeśli mógłby usunąć.

Nie było jednak sposobu uniknąć spotkania, chyba żeby wyszedł z domu. Wziął głęboki oddech i pchnął drzwi.

Perrin siedział przy stole naprzeciwko Diany. Jego jasna głowa obróciła się w stronę wchodzącego Rolanda, na delikatnych ustach Diany pojawił się ledwie zauważalny uśmiech. Roland poczul, że wszystko się w nim przewraca na nice. Ta twarz, która kiedyś była dla niego rozkoszą, teraz stała się wyrzutem.

- Powiedz mu to - zwróciła się do Perrina. Stała wyprostowana, owinięta w opończę z surowej wełny stanowiącą wątpliwą ochronę przed zimowymi mrozami.

Odmówiła przyjęcia podbitej futrem peleryny, jak odmówiła przyjęcia jego miłości.

Perrin posapywał ze złości.

- Wybornie, pani - jego zatroskane oczy zwróciły się w stronę Rolanda. - Powiniennem mówić szeptem, panie, żeby oni nie słyszeli - wskazał ruchem głowy w stronę kuchni.

- Cóż to takiego, u licha?

- Pani powiada - mamrotał Perrin ledwie słyszalnie - że ma wasze przyzwolenie na tajne spotkanie z katarami, tu w Paryżu.

Zdjął go prawdziwy lęk. Pamiętał jeszcze języki ognia u stóp Mont Ségur. Prawda, Diana uprzedzała go, że ukryje się w Paryżu, jeśli będzie mogła nadal czynić coś dla wiary katarów, a on zamartwiał się za każdym razem, kiedy wymykała się bezszelestnie z domu po zachodzie słońca. Teraz wpatrywała się w niego. Stał bez ruchu z uczuciem, jakby ktoś paznokciami orał mu skronie.

- Diano, braciszkanie nie popuszczą tylko dlatego, że pokonali Mont Ségur. Działają teraz znacznie żwawiej w Paryżu. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu stanął stos przed Notre Dame, zginęła kobieta i dwóch mężczyzn. Pewnego dnia dostaniesz wiadomość, że ktoś potrzebuje *consolamentum* i zamiast konającego napotkasz dominikanina.

- Tak, znalazłam ludzi, których spalili - powiedziała opuszczając ze smutkiem głowę.

Kiedy podniosła ją znowu, zobaczył w jej oczach bunt.

- Dlatego właśnie muszę po dwakroć więcej zrobić. Oni nie odstąpią, póki nie wypełnią naszej religii, ale i my nie ustąpimy.

Zwróciła się teraz do Perrina z łagodnym uśmiechem.

- Mistrz Perrin ma rację. Sprowadzam niebezpieczeństwo na was i na niewinną służbę. Powinnam odejść, powinnam była zrobić to już dawno.

Nie, krzyczało serce Rolanda.

Perrin wyglądał tak, jakby to, co powiedziała, i jemu sprawiło ból.

- Nie, pani, nie mówcie, że odejdziecie. Nie tylko dlatego chciałem dziś wieczór mówić z wami. Jest tak, jak nasz pan mówi. Jeśli będziecie spotykać się z katarami, dominikanie dostaną was, a ja tego nie zdzierzę.

- Czy oddałbyś wszystko za swoją wiarę, Perrinie? - zapytała.

Muzykant opuścił oczy.

- Nie mam tyle wiary.

Jest ze szlachetniejszego kruszcu, bardziej uduchowiona niż jakikolwiek inny znany mi człowiek, a przy tym taka piękna.

Znowu poczuł pulsowanie w skroniach, paznokcie wpiły się jeszcze głębiej.

- Chodźmy, Diano, do ogrodu.

Dostrzegł wahanie w jej wzroku. Nadal nie przestała się go lękać.

Przechylając głowę, ruszyła w stronę drzwi prowadzących do kuchni.

- Środek nocy, powinniście być już dawno w łóżkach - burknął Roland na rodzinę siedzącą w kuchni i nie czekając na odpowiedź, wyszedł za Dianą do ogrodu. Otulił się szczerzej opończą podbitą wiewiórczym futrem.

- Jedyne miejsce, gdzie człowiek czuje się swobodnie, to dom, w którym mieszka się samotnie. Mimo że Perrin ma się na baczności, myślę, że służba wie o tobie wszystko.

- Wyglądają na zacnych ludzi - odparła - nie z tych co pobiegną z językiem. Ale jeśli wiedzą, kim jestem, to bardzo muszą być wylęknieni.

Tak, pomyślał Roland, jeśli cokolwiek im się przytrafi, będzie to także moja wina.

Zbyt było zimno, by siadać na kamiennych ławach. Stanęli więc koło starej jabłoni o sękaty, czarnych gałęziach.

- Jak mniemam, uważasz, że nic mi do twoich nocnych wypraw.

- Nieprawda. Jeśli mnie dostaną, spędzisz resztę życia w lochu. Taka jest dziś kara za chronienie przestępców. Nie lękasz się?

Próbował sobie wyobrazić siebie w ciasnym kamiennym lochu, bez światła, bez możliwości ruchu, bez nikogo do kogo można przemówić, pogrzebany na miesiące, lata, do śmierci. Oszałałby. Raczej by się obwiesił, albo i nawet poszedł na stos.

Ale za całą odpowiedź oświadczył: - Rycerz musi być gotów na niebezpieczeństwo.

- Odeślij mnie, Rolandzie, każ odejść przez wzgląd na was wszystkich tutaj, proszę.

- Tak bardzo chcesz być z dala ode mnie? Dlaczego po prostu nas nie opuścisz? Nie mogę cię zatrzymać.

- Nakazano mi tu pozostać.

Zabolala go ta odpowiedź. Nic o tym nie wiedział Spojrzał uważnie w jej twarz, która w świetle księżycy wyglądała jak wykuta z marmuru.

Czy zostałaby, gdyby wiedziała, że składam holdy innej kobiecie?

- Chciałbym, żebyś wiedziała, gdzie byłem dzisiejszego wieczoru - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Miałem potajemną schadzke z Nicolettą de Gobignon.

Rzuciła mu szybkie, zalęknione spojrzenie spłoszonej łani.

- Hrabina de Gobignon, żoną hrabiego Almaryka, który ranil cię pod Mont Ségur?

Roland zaśmiał się gorzko.

- Ejże, Diano, bądź trochę sprawiedliwa, przecież to ja mogłem go zabić, gdyby tylko o to mi szło.

- Rolandzie - powiedziała miękko - wszystko, co czynisz, czynisz, jak rozumem, z miłości do mnie. Narazałeś życie, żeby mnie ratować, narazałeś je, żeby oszczędzić mym braciom bólu i może stało się tak trochę przez wzgląd na mnie. Ale zakuty w łańcuchy po kres życia? Tego nie chcę być przyczyną.

- Nie spotkałem się z hrabiną de Gobignon przez wzgląd na twoje bezpieczeństwo - odparł ze złością.

- Pewien jesteś tego?

Zastanowił się przez moment, zapominając o złości.

- Czy myślisz, że wieczór z Nicolettą de Gobignon jest sposobem okazywania ci wzglądów?

- Myślę że nie, Rolandzie - dostrzegł w jej oczach łzy. - Musisz znaleźć kogoś, kogo będziesz szczerze, całym sercem miłował.

- Rozumiem - obruszył się - mogę zatem zalecać się do Nicoletty z twoim błogoslawieństwem?

- Jesteś trubadurem. Musisz mieć damę, której ofiarujesz serce. Wiem, co znaczy *l'amour courtois* - w jej głosie była nuta czułości - boś ty mnie jej uczył. Ale

dla czego Nicoletta de Gobignon, Rolandzie? Hrabiemu jesteś z całą pewnością nienawistny. Pragnąć jego żony, oznacza pewną niemal śmierć. Ale to nie dlatego chyba skłaniasz się ku niej? Czy aż tak bardzo cię zawiodłam? Do hrabiny się zalecasz czy do śmierci?

Tak, tak bardzo mnie zawiodłaś, chciał krzyknąć.

- Gdybym szukał śmierci, dla czego ciebie miałoby to przerażać? Jak myślisz, co czuję, kiedy wychodzisz na jedną z tych swoich wypraw, a ja zastanawiam się, czy wrócisz?

- Rolandzie, drogi, nie widzisz różnicy? Ja wierzę z całego serca, że jeśli umrę, jeśli Inkwizycja pojmie mnie i spali, będę szczęśliwsza, przeniosę się do lepszego świata, połączę z Bogiem. Ale ty tak nie myślisz. Dla ciebie śmierć jest najgorszym, co może cię spotkać. Proszę przeto, żebyś jej nie szukał. Nie wolno ci, nie wolno dopuścić, żeby moje śluby miały być powodem, abyś lekce sobie ważył własne życie. Nie zniosłabym tego.

- Diano, wierzę, że kocham Nicolettę de Gobignon i wierzę, że Miłość jest jedyną rzeczą, dla której warto żyć. Miłować ją, może oznaczać śmierć. Ale jeśli umrę dla Miłości, będzie to słodsza śmierć niż ta, która jest udziałem większości ludzi.

Powiał zimny wiatr, zaskrzypiały czarne, bezlistne gałęzie. Diana szczelniej owinęła się opończą.

Kiedy odezwała się znowu, jej głos drżał.

- Jak możesz mówić, że kochasz Nicolettę de Gobignon! Mówiłeś mi, że kochasz mnie. Skłoniłeś się ku niej, bo ja nie będę... nie mogę... cię kochać.

Roland odwrócił się i zaczął powoli spacerować po ogrodzie, wracając myślami do dnia w Chinon, w którym po raz pierwszy zobaczył Nicolettę.

Nawet wówczas gdy przyklęknął przed królewską parą, jego oczy wędrowały w stronę młodej, ciemnowłosej kobiety stojącej u boku królowej. Miała na głowie koronę hrabiowską i zdawała się promieniować jakimś szczególnym blaskiem, który pogrążał w cieniu wszystko wokół.

Śpiewał dla króla i królowej, ale w głębi serca była to pieśń dla ciemnowłosej pani, której imienia nie znał. Serce mu wezbrało radością, gdy spostrzegł, że i ona spogląda na niego równie często jak on na nią.

Diana, z tego co wiedział wtedy, nie żyła. Szukał jej po całej Langwedocji. Zniknęła i ona, i cała jej rodzina. Wielu z tych, których rozpytywał, oznajmiało z całą stanowczością, że nie żyje. Nie było żadnego dowodu, ale tysiące ludzi ginęło bez śladu w nękanym wojną kraju. Zdjęty boleścią jakiś czas zatrzymał się w Awinionie, po czym wrócił do Paryża, gdzie zatopił się w studiach, układaniu muzyki, śpiewie i rozglądaniu za jakim mecenasem. Żalność powoli ucichła i jego serce znowu było wolne - mimo że pozostała w nim pustka po Dianie.

Teraz, po raz pierwszy od chwili, kiedy pogodził się ze stratą, poczuł, że pociąga go jakaś kobieta. Pociąga bardzo mocno.

Później tego samego dnia w Chinon, kiedy przyłączył się do tłumu dworzan, spytał o młodą ciemnowłosą kobietę Jeana de Joinville'a, gładkiego rycerza ze świty królewskiej.

- Ach ta, jest bardzo piękna, ale lepiej o niej zapomnij, przyjacielu.
- Wysłucham twojej rady, jeśli poznam jej imię, panie de Joinville.
- Skoro jesteś rycerzem z Italii, powiedz, czy znane jest w twoim kraju imię de Gobignon?

De Gobignon. Najbardziej nienawistne mu imię. Zaskoczony Roland poszukał wzrokiem kobiety, która go tak urzekła. Przechadzała się nie opodal, dotrzymując towarzystwa królowej. Kiedy ich spojrzenia znowu się spotkały, dojrzał w jej oczach błysk wyzwania. Odwrócił głowę.

To nie córka. Jeśli dobrze pamiętał, de Gobignon byli raczej wysocy, jasnowłosi i niebieskoocy. Może jakaś daleka krewna. Modlił się, oby tak było.

- A więc ta dama jest z rodu Gobignon - dopytywał Joinville'a.
- Przez małżeństwo. Wiadomo ci może, że hrabia Almaryk posiada więcej ziem, więcej ma wojska i więcej ludzi na sumieniu niż jakikolwiek inny baron Francji. Mądrzej będzie nie zwracać uwagi na hrabinę Nicolette, mój panie.

Ale zamiast lęku wzbierała w nim chęć stawienia czoła wyzwaniu.

Nicoletta, Nicoletta de Gobignon. Nie mógł przez cały dzień oderwać od niej myśli, teraz fascynacja nią, żoną Almaryka, stała się wręcz obsesyjna. Czuł się jak rycerz,

któremu rzucono do stóp rękawicę.

Rozejrzył się po łące pełnej strojnych dworzan. W zachodzącym słońcu zamkowe wieże kładły na nią długie cienie. Hrabina i królowa zanurzyły się w ich mroku.

Teraz, ponad rok później, stojąc w swoim ogrodzie, mówił do Diany:

- Zwróciłem się ku Nicoletcie de Gobignon wtedy, kiedy myślałem, że już cię nigdy nie zobaczę. Opuściłem ją, żeby cię ratować, ale kiedyś odrzuciła moją miłość, znowu zacząłem o niej myśleć. Mówiłem z nią, widziałem jej odwagę i roztropność, trzymałem ją w ramionach, całowałem, myślał. Miłość dla niej nigdy by się nie narodziła, gdybyś ty pozostała w moim sercu, Diano. Ale teraz moja miłość umocniła się i nic już nie wydrze jej z serca.

- Co z jej mężem? - zapytała Diana. - Czy dlatego zwróciłeś się ku niej, że chcesz zranić hrabiego?

Jakże zawile są związki między nim i de Gobignonem. Na myśl o tym, że tamten może trzymać ją w ramionach, miałbym ochotę zabić go, ale kocham ją dla niej samej.

- Czulem jak budzi się miłość nim się jeszcze dowiedział, kim ona jest. Ona jest pełna życia i wzniosłości. Kiedy byłem z nią dzisiaj wieczorem, Diano, świat wydawał się lepszy i pełen szczęścia. Nie, nie chcę jej miłować, aby czynić wbrew mężowi, będę ją miłował wbrew jej małżeństwu.

- A twoja miłość do mnie, porzuciłeś myśl o niej? Wiem, że honor ci nie pozwoli pożądać dwóch kobiet jednocześnie.

Roland popatrzył na nią i znowu poczuł ból w skroniach. Ciągle - nawet teraz - pragnął wziąć Dianę w ramiona.

- Tak, Diano, od tej chwili Nicoletta de Gobignon jest damą moich myśli. To, co czuję teraz do ciebie, jest uczuciem brata do siostry.

Słowa te nie brzmiały w jego ustach zbyt przekonywająco. Stał spoglądając w nocne niebo, w duszy kłębiły się wątpliwości.

- Ciesz się, Rolandzie - mówiła tak cicho, że niemal niesłyszalnie.

- Chciałaś tego, czyż nie tak?
 - Nie chcę, żeby cokolwiek ci się przytrafiło. - Jej zielone oczy błyszczały w mroku. - Jeśli już masz się do niej zalecać, bądź ostrożny. Nie obnoś się ze swoimi uczuciami.

- To może być trudne. Chce, bym przybył na turniej śpiewaczy królowej w Dniu Majowym.

- Zrobisz, jak uznasz. Nie mogę ci radzić, jednak odeślij mnie stąd, bo i ja narażam cię na niebezpieczeństwo.

Może byłoby mi łatwiej, gdybym pozwolił Dianie odejść, ale tego zrobić nie mogę, dominikanie znajdują ją w ciągu kilku dni.

- Nie ma potrzeby, żebyś mnie opuszczała. Świat myśli że jesteś moją owdowiałą siostrą, a ja kocham cię jak siostrę. Czy miałbym odtrącić siostrę?

- Rolandzie - odwróciła się tyłem do niego, jej ramiona wstrząsało łkanie.

- Diano, czy to przeze mnie jesteś nieszczęśliwa? - położył dłoń na jej ramieniu, ale szarpnęła się gwałtownie.

- Nie dotykaj mnie! - niemal krzyknęła. Ukryła twarz w dłoniach i odskoczyła od niego.

Cofnął się oszołomiony. Nie do zniesienia było słyszeć w jej głosie taki lęk przed nim.

- Zostaw mnie, chcę się pomodlić.

- Zatem dobrej nocy, Diano.

Drżał z wyczerpania, kiedy wrócił do domu. W kuchni panował mrok. Czeladź już spała, Perrin również.

W głowie pulsowało, objął ją dłońmi i z całej siły ucisnął palcami skronie.

Dokonałem wyboru. Teraz muszę nań zasłużyć, jeśli podołam.

Czekając na spotkanie ze Starszym, Diana rozmyślała o swoich niepokojach. Były momenty, kiedy kochała Rolanda, żeby już za moment nienawidzić go za to, jak z nią postąpił. Zanim pojawił się na powrót w moim życiu, czułam spokój w duszy. Ścigana przez inkwizytorów, osaczona przez krzyżowców, mimo to wiodłam życie, jakiego pragnęłam, cieszyłam się każdym dniem. Teraz każda godzina zamienia się w torturę. Gdyby tylko pozwolił mi - pomyślała po raz tysięczny - umrzeć na Mont Ségur.

Była późna noc, a ją skrywały głębokie ciemności. Stała tak, dręczona niepewnością, wśród rusztowań i kamiennych bloków przy nieukończonym jeszcze południowym portalu Notre-Dame. Z człowiekiem, na którego czekała, spotkała się przedtem zaledwie dwa razy. Nie miała pojęcia, kim jest. Za każdym razem spotkanie odbywało się w nocy, a on pojawiał się w płaszczu z kapturem skrywającym jego twarz. W ten sposób nawet na torturach nie mogłaby wyjawić, kim był.

Musi pojąć, co przeżywam. Musi pozwolić mi odejść z domu Rolanda.

Od zaprzeszłej nocy, kiedy to Roland powiedział jej o Nicoletcie de Gobignon, czuła dojmujący ból. Im bardziej pożerała ją zazdrość, tym bardziej pragnęła Rolanda, tym pragnienie stawało się żarliwsze, tak że w końcu miała wrażenie, że pali jej skórę.

Wiele się wydarzyło, od kiedy zamieszkała pod jego dachem. Ciało płatało jej niespodzianki i nieustannie zdradzało, przenikane namiętnymi uczuciami, jak wtedy gdy doglądała go w chorobie. Męką było żyć tuż obok niego, wiedzieć, że dzieli ich od siebie ledwie kilka stopni schodów. Co noc musiała strzec się miłości, powtarzając: „I nie wódź nas na pokuszenie”.

Kiedy, wkrótce po przybyciu do Paryża, pierwszy raz spotkała człowieka, na którego teraz czekała, błagała, by odesłał ją w jakieś inne bezpieczne miejsce. Sprzeciwił się tłumacząc, że niebezpieczeństwo jest zbyt wielkie i że nie ma pewniejszego miejsca. Musiała go usłuchać i pozostać. Próbowwała zająć myśli czymś innym. Uparła się pomagać służbie w domowych zajęciach. Całe dni przepędzała na kopiowaniu katarskich tekstów, które potem rozprawiała wśród paryskich Wierzących. Co noc opuszczała dom, wędrując czasami przez całe miasto i niosąc słowo prawdy grupkom tłoczącym się w małych izdebkach, odpowiadając na ich pytania, idąc im z pomocą w ich kłopotach. Ze dwadzieścia albo i więcej razy spieszyła do łóżka umierającego, by udzielić *consolamentum*. Czyniła to wszystko, doprowadzając się z rozmysłem do granic wyczerpania. Pościła więcej, niż tego od niej wymagano, aż w końcu opiekun nakazał jej zaprzestać postów, przypominając, że katarowie znani są ze swego ascetyzmu i nazbyt wymizerowany wygląd może wzbudzić podejrzania.

Rzeczywiście, pragnęła czasami, by pojmą ją Inkwizycja, kusilo, by na nic nie zważać, ułatwić im zadanie. Sumienie powstrzymywało ją jednak. Mimo niespełnionych tęsknot i wyniszczającej surowości wobec siebie wytrzymała. Pozostała w domu Rolanda, nie popadając w grzech. Teraz jednak, kiedy wiedziała już o Nicoletcie de Gobignon, męka była tysiackroć dotkliwsza.

Muszę sprawić, żeby mój opiekun mnie zrozumiał.

Własna reakcja na wiadomość o Nicoletcie wprawiła ją w przerażenie. Odczuła coś, czego nie doświadczyła nigdy wcześniej - gniew i zazdrość. Nienawidziła Nicoletty de Gobignon, mimo że nigdy jej nie spotkała. Nienawidziła Rolanda.

Musiała pogodzić się z tym, o czym od miesiący usiłowała nie myśleć - nie potrafiła przestać go kochać.

* * *

Kiedy pozostawił ją tamtej nocy w ogrodzie, długo leżała na zimnej ziemi, szlochając. Wydawało jej się, że upłynęły całe godziny, nim wstała i wróciła do swojej wieży. Nie zmrużyła przez całą noc oka, bezgłośnie płacząc.

Nie zraniło by jej bardziej, gdyby własna matka i ojciec odwrócili się od niej. Czy bardziej czułaby się zagubiona, gdyby biskup Bertran kazał jej odejść z ich Kościoła?

Potrafiła kontrolować swoją tęsknotę za Rolandem tylko dlatego, że w jakimś sensie ciągle jeszcze do niej należał. Mogła go mieć i mogła się wstrzymać. Teraz odchodził do innej kobiety. Traciła go i nie potrafiła się z tym pogodzić.

Drżąc pod dwoma derkami, przez które przenikało zimno, kręcąc się niespokojnie na sienniku, z wdzięcznością powitała szare światło brzasku. Mogła już wstać i zająć się rozpaleniem porannego ognia.

Tego dnia przesłała wiadomość przez Wierzącego, który załatwiał jej korespondencję. Musiała jak najszybciej zobaczyć się osobiście ze swoim opiekunem. Następnego dnia przyszła odpowiedź przez posłańca. Miała czekać przy południowym portalu katedry Notre Dame. Pomyślała, że to najdziwniejsze miejsce na spotkanie dwojga katarów, ale dlatego zapewne jej opiekun właśnie je wybrał.

Wyrwał ją z zamyślenia widok dwóch mężczyzn w ciężkich ciemnobłękitnych, futrzanych płaszczach wyszywanych w złote lilie, idących wolno koło katedry. Szedł przed nimi człowiek z pochodnią, której blask tańczył groźnie na niesionych przez nich halabardach. Straż królewska. Może pewnego dnia tacy ludzie przyjdą po nią i powiodą na stos. Skryła się głębiej w cieniu kamieni przy odrzwiach nowego portalu.

- Wszystko jest Światłością - posłyszała cichy szept, który tak ją zaskoczył, że na chwilę serce przestało bić.

- Jedno jest Światło, które opromienia każdą niewiastę i każdego męża - odpowiedziała automatycznie.

Obróciła się i spojrzała na swojego opiekuna. Chociaż jej oczy zdążyły już przywyknąć do ciemności, mogła zaledwie dojrzeć cień nieco ciemniejszy od ciemności wokół. Złodowaciała para oddechu zamigotała słabiutko w świetle gwiazd.

- Jesteśmy tu dość bezpieczni, Diano - powiedział szeptem, jak zawsze kiedy się do niej zwracał. - Budowniczy katedry są nam przyjaźni. Ale i tak nie jest bezpiecznie, że w ogóle się spotykamy. Nie tylko niebezpieczne dla ciebie i dla mnie, ale i dla naszej pracy. Dlaczegoś po mnie posyłała?

Drżała z zimna i z tego samego lęku, który przejął ją, gdy pierwszy raz przemawiała do obcych. Czy będzie umiała sprawić, by jej wysłuchał? Jak przekonać człowieka, którego nie znała, którego nawet nie widziała? Zebrała myśli, jakby miała rozpocząć kazanie. Wzięła głęboki oddech.

- Powiedziałeś, że mam pozostać w domu Rolanda de Vency, bo tam jestem bezpieczna. Wiem teraz, że grozi mi tam większe niebezpieczeństwo niż gdziekolwiek indziej na świecie.

- Co mówisz, moje dziecko?

Opowiedziała mu o sobie, o tym, że Roland skłania się ku Nicoletcie de Gobi-gnon.

- Wiesz, Diano, że musisz pohamować swą miłość ku niemu. Co się zmieniło?

- Nie wiedziałam, że jego miłość do innej kobiety tak bardzo mnie zrani. Tak bardzo go miłuję. Nie wierzę, że będę mogła to znieść. Poniechał mnie, ale wiem, że wróci, jeśli dam mu nadzieję. I teraz chcę, by powrócił. Musisz pozwolić mi odejść albo będę na wieki potępiona.

Opanowała ją szalona myśl. Jeśli mi nie pomoże, utopię się w Sekwanie. Lecz gdy spojrzała w stronę rzeki, zobaczyła światło księżyca połyskujące na grubej lodowej skorupie. Cóż za głupota! Byłby to grzech równie wielki, jak paść w ramiona Rolanda.

- Tak więc zaleca się do hrabiny de Gobignon! - rzekła zakapturzona postać u jej boku. - Wysoko mierzy ten pan Roland de Vency. Najpierw poniża Almaryka, teraz zaleca się do jego żony. Gobignon to nasi najwięksi wrogowie, Diano. Jeśli pozostaniesz blisko Rolanda, będziesz mogła przekazywać nam bezcenne informacje o nich.

Wezbrał w niej gwałtowny gniew na tego człowieka bez twarzy. Błaga go o ratunek, a on śle ją na zatracenie dla kilku wieści.

- Mam wydać swoją duszę na zgubę dla paru wieści?

- Wiem, Diano, jak lękasz się o swą duszę. Nie wystawiałabyś się na niebezpieczeństwo spotkania ze mną, gdyby nie szło o coś, czego boisz się bardziej od śmierci. Jak myślisz, dziecko, ilu Doskonałych pozostało w Paryżu? Nie będę cię kłopotał dokładnymi cyframi, mniej niż dziesięciu. A gdybym rzekł ci, jak niewiele w całej Francji, rozpacz by cię zdjęła. Nasi wrogowie nie spoczną. Prześladowują nas od czterdziestu lat i nikogo z nas nie pozostawią przy życiu.

Dzwony Notre Dame rozdzwoniły się, obwieszczając północ. Spojrzała w górę na wielką katedrę wznoszoną już od stu niemal lat. Pomyślała o tych trojgu, którzy spłonęli tu na stosie, w męce płomieni, na oczach setek gapiów, ledwie tydzień temu. Przypomniała sobie Mont Ségur. Padła nasza ostatnia warowania, a w całej Europie wznosi się takie jak ta budowle. Zanim przybyła do Paryża, nigdy nie widziała kościoła równie ogromnego, o tak olbrzymich, przypominających drogie klejnoty, oknach. Była pewna, że gdyby była prawowierną córką Kościoła rzymskiego, widziałaby w tym piękno. Ale moc zdolna wznosić takie budowle przerażała ją. Jak garstka ludzi jej podobnych może przeciwstawić się takiej potędze?

Kiedy dzwony ucichły, zapytała:

- Dlaczego muszę zostać z Rolandem?

- To, że uchodzisz za siostrę obcego rycerza nieznanego rodu, niełatwo podać w wątplenie. Nie ma drugiego domu w Paryżu, gdzie byłabyś równie wolna od podejrzeń. Roland de Vency jest najlepszą ochroną, jaką możesz mieć. A i my chcemy

mieć na niego baczenie. Jego ojciec ma posłuch u cesarza Fryderyka, a teraz jeszcze i hrabina de Gobignon. Możesz wiele dla nas uczynić, jeśli pozostaniesz.

- A jeśli popełnię grzech, czy nie będzie on ujmą dla Kościoła?

Przysunął się do niej tak blisko, że mogła ujrzeć białą maskę zasłaniającą usta i nos. Trzymał ręce przy sobie, wyczuła, że uważa, by jej nie dotknąć, ale czuła w nim także jakieś napięcie.

- Wierzę, Diano, że istnieje przebaczenie.

Odskoczyła. Jego słowa wstrząsnęły nią.

- Jak możesz mówić mi coś przeciwnego do tego, czego uczono mnie, kiedy byłam jeszcze dzieckiem?

- Wiesz, Diano, że ludzie mogą różnie wierzyć i różnie nauczać i nadal należeć do naszego Kościoła.

- Naszego Kościoła? Nigdy przecież nie słyszała nauk jak te.

- Mówiąc nasz Kościół, myślę o większym, niewidzialnym stowarzyszeniu, którego my, katarowie, jesteśmy tylko częścią. Są różne stopnie wtajemniczenia, z różnymi naukami przypisanymi do każdego z nich. Jedyne owce, które uchodzą z życiem, moje dziecko, to te, które przywdziewają na się wilczą skórę. Ci z nas, którzy nie mogą żyć jawnym życiem Doskonałych, muszą kryć się pod różnymi niezwykłymi pozorami. Gdybym ci wyjawiał, jaka jest moja pozycja w świecie, nigdy byś nie uwierzyła. Żeby zwodzić naszych wrogów, musimy pokazywać się kimś całkiem innym, niż jesteśmy naprawdę. Niekiedy trzeba nawet, abyśmy grzeszyli. To, co robię, żyjąc wśród ludzi, jest grzechem właśnie.

- Otrzymałeś przecież *consolamentum* - obruszyła się.

- Kiedy masz już sakramenty, nie ma przebaczenia za popełnione grzechy. Ty się z nas oddały życie, bo w to uwierzyły.

- Tysiące oddały życie - jej głos przepelniony był szczerym przekonaniem - nie dlatego, że akurat w to uwierzyły, ale dlatego, że nasza wiara jest inna od tego, co nakazuje Rzym. A przecież nie mogą uwierzyć, że będzie dla mnie wybaczenie, jeśli przyjmę miłość Rolanda.

Westchnął.

- No dobrze, głos, który słyszysz w swoim sercu, jest głosem Boga, nawet jeśli On przemawia inaczej do ciebie a inaczej do mnie.

Odwrócił się i począł spoglądać ku skutej lodem rzece.

- Wiele jest bożych światów, dziwniejszych niż moglibyśmy w ogóle pomyśleć.

Odczuła ciężar ogromnego gmachu za jej plecami, który wydawało się, że za chwilę ją przygniecie. Myśl o zmaganiach, jakie miała prowadzić sama ze sobą, zdała się jej bardziej niż kiedykolwiek obezwładniająca. Nie podolałam! - chciała wykrzyknąć całą piersią.

Ale przecież bardzo możliwe, że chcę opuścić Rolanda nie dlatego, że lękam się o swoją duszę, ale dlatego, że zmagania z pokusą grzechu są zbyt trudne. Jeśli nie mogę znieść bólu, jakie mam prawo, zwać się Doskonałą?

Westchnęła jeszcze przeciąglej niż on.

- Zostanę.

Poczuła zmęczenie tak ogromne, że miała ochotę paść na zimne kamienie i nigdy już nie powstać.

- Dobrze - rzekł łagodnie opiekun - i zważ, proszę, gdybyś miała upaść na duchu, com ci powiedział o przebaczeniu.

- Może będzie ono dane tobie, bo w nie wierzysz, ale nie mnie.

- Bóg czyni niespodzianki.

Zaczęła zbierać się do odejścia, z trudem mogła stawiać kroki. Czekają ją piekło albo na tym, albo na tamtym świecie.

- Będę szedł za tobą przynajmniej do murów. W tej części miasta pełno najgorszych zbirów.

Szła szybko przez dzielnicę burdeli sąsiadujących niemal z katedrą. Strach gnał ją przed siebie w stronę Grand Pont, łączącego Cite z rive droite. Czowała za plecami obecność opiekuna, przemykającego mrocznymi ulicami jej tropem. Szła środkiem drogi, omijając ciemności pod ścianami stojących tu domów. Zdążyła wejść na most, gdy usłyszała uniesione gniewem głosy. Zdjęta strachem zaczęła biec. Głosy jednak brzmiały znajomo. Jeden należał do jej opiekuna, a i drugi wydawało się, że rozpoznaje. Zawahała się i zawróciła.

Na skraju mostu stało dwóch mężczyzn. Jasna czupryna Perrina połyskiwała w świetle księżycy. Serce jej załomotało. W dłoni ścisnął obnażony szyćlet.

- Perrinie, na Boga, co czynisz?

- Pani, ten człowiek szedł za tobą.

- Wiem.

Jej opiekun wtrącił się.

- Znasz go, Diano?

Spojrzała na zakapturzoną postać i zamarła. Nie wierzyła własnym oczom. Trzymał dłoń na rękojeści miecza wystającej spod szat.

- To giermek Rolanda de Vency, Perrin - odpowiedziała. - Skądś się tu wziął, Perrinie?

- Szedłem za tobą, pani, dla twojego bezpieczeństwa. Zobaczyłem, że ten człowiek cię śledzi, tom go zatrzymał.

- A w tej samej chwili i ja go zaczepiłem - odpowiedział zakapturzony człowiek, tłumiąc śmiech. - Lepiej już pójdę, zdaje się że już jesteś w pewnych rękach, może nawet za dużo tu o dwie.

- Chwilę, panie - odezwał się rozszłoszczony Perrin.

- Zapewniam cię, że na pewno nie chcesz wiedzieć o mnie nic więcej - odpowiedział kaptur.

Ton był uprzejmy, ale Diana usłyszała w nim nutę pogróżki.

- Ani słowa, Perrinie, proszę.

Jej opiekun zniknął niczym czarnoksiężnik. Kimże on jest naprawdę? Taka jestem samotna. Jedyny człowiek, który wie o mnie wszystko, a ja nie wiem o nim nic. Bóg mnie zna i ja znam Boga, napomniała siebie. Dopóki grzech mnie nie dosięgnie.

- Perrinie, wiesz, że to niebezpieczne dla ciebie i dla pana Rolanda - była zła na niego pomimo drogi, jaką odbył, aby ją ochraniać. - Jeśli zatrzymaliby mnie na ulicy zbrojni nasłani przez braciszków, czy też groziłbyś im sztyletem, jak groziłeś temu człowiekowi?

- Uczyniłbym tak, bo nie śmiałybym spojrzeć w twarz mojemu panu, gdybym pozwolił, by cię pojmali.

Dobry Boże, co to za pocziwa dusza!

- Gdyby przystąpili do ciebie, Perrinie, i odkryli że jesteś człowiekiem Rolanda de Vency, i ty, i Roland mielibyście do czynienia z Inkwizycją.

Irytacja była w głosie, ale nie w sercu. Lubiała tego młodzika, tak prawego i uczciwego. I odwagi w nim dość za tuzin innych.

- Ty, pani, nie lękasz się Inkwizycji - ton brzmiał niemal oskarży cielsko.

- Owszem, bardzo się jej boję - odpowiedziała - ale wierzę, że muszę czynić, co czynię.

- Twoja wiara uczyniła z mego pana nieszczęśliwego człowieka, pani.

Poczuła ogromny ciężar na sercu.

- Nie chcąc i on uczynił ze mnie nieszczęśliwą kobietę.

Szli przez jakiś czas w milczeniu, nagle Perrin przemówił.

- Cała Langwedocja zniszczona pożogą, tysiące ludzi straciło życie. Czy to warte takich cierpień?

- Z pewnością.

- Jak możecie być tak pewni swojej wiary, że dajecie się mordować setkami, tysiącami?

Przypomniała sobie, co mówił jej opiekun o śmierci raczej niż daniu posłuchu rzymskim nakazom.

- Nie zawsze tacyśmy pewni tego, w co wierzymy, ale wiemy, w co wierzyć nie powinniśmy.

- W co, pani?

Diana zdała sobie sprawę, że Perrin stał się dociekliwy. Tak zaczynało się z każdym, kto był kiedyś katolikiem, a potem zostawał katarem. Od pytań. Jeśli odpowiedzi były trafne, pytający zostawali Wierzącymi.

- Przed nami długa droga, panie Perrin. Jeśliś naprawdę ciekaw, spróbuję ci powiedzieć, czym różni się nasza wiara od rzymskiej.

- Nie daję posłuchu heretyckim kazaniom, ale chciałbym cię pani lepiej rozumieć.

Rosła w niej gotowość pozyskania Bogu jeszcze jednej duszy. Jeśli ciekawość tego człowieka okaże się dość głęboka, będę musiała być mu przykładem i nie wolno mi będzie ulec uczuciom do Rolanda. Może będzie dla niej ratunkiem.

- Pierwsza rzecz, którą powinienes zrozumieć, to że nie myślimy o sobie jak o heretykach. Jesteśmy prawdziwymi chrześcijanami.

* * *

VII

Roland wręczył pergaminowy zwój królewskiemu żołnierzowi stojącemu przy wielkich drzwiach sali audiencyjnej. Czekał w napięciu, aż tamten przeczyta zaproszenie, bacząc, by nie drżały mu ręce. Usłyszał właśnie, że dzwon w kaplicy pałacowej wydzwonił nonę. Był zdenerwowany nie tylko czekającym go występem, ale i tym, że spóźnił się o trzy godziny. Królewski turniej rozpoczął się w południe.

Żołnierz spojrzął na Rolanda pytająco.

- Wiem. Powinienem być tu wczoraj wieczorem na królewskiej uczcie. Przybywam jednak, widzisz, z daleka.

- Królowej będziecie się, panie, opowiadać, nie mnie.

Pstryknął palcami i dwóch paziów w długich błękitnych tunikach w złote lilie otworzyło odrzwia. Roland wyprostował się i wszedł, Perrin za nim.

Nigdy jeszcze nie widział komnaty równie wielkiej. Belki ciemnego dębowego stropu przystrojono na Dzień Majowy białym, żółtym, niebieskim i różowym kwieciami wiosennym, tak jak opowiadała mu Nicoletta. Dworzanie w jedwabiach i atłasach siedzieli po obydwu stronach sali przy stołach zasłanych białymi obrusami. Kobiety miały na głowach przepaski ze srebra i złotem przetykane *couvre-chefs*, mężczyźni żółte i fioletowe, strojne w długie pióra birety. Za siedzącymi cisnęli się pod ścianami ludzie pośledniejszego stanu odziani w różnokolorowe suknie.

Przez wysokie okna o szybach z prawdziwego szkła, a nie z rogowych płytek, jak to często jeszcze bywało w okazałych nawet siedzibach, wpadało światło słoneczne. Było tak jasno, że grube, żółte świece w mosiężnych świecznikach niemal nie były potrzebne.

Na ścianach pomiędzy oknami wisiały jedwabne sztandary z herbami największych baronów Francji. Roland nie mógł się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na purpurowo-złoty sztandar hrabiów Gobignon, widoczny w głębi sali. Obok wisiał sztandar z herbem Blanki Kastylijskiej, zamek o sześciu wieżach.

W końcu sali, na podwyższeniu, w koronie z kwiatu czereśni, siedziała królowa.

A u jej boku Nicoletta.

Rozjaśnił się cały wewnętrznie na jej widok.

Musi być zagniewana, że przychodzi tak późno.

Pośrodku sali nieprawdopodobnie gruby trubadur kłaniał się właśnie, dziękując za burzliwe oklaski, jakimi nagrodzono jego pieśń. Akompaniowało mu trzech grajków. I on nosił na głowie wianek z różowych róż damasceńskich. Miał rozcinany po bokach purpurowy kaftan, zielone ciżmy z długimi zakręconymi nosami. Strój nieco przesadny, pomyślał Roland, ale szkoda że nie słyszałem, jak śpiewał, uzupełnił.

Domyślił się, że grubas nie jest nikim innym niż Tybaldem, hrabią Szampanii. To on sprowadził damasceńskie róże z Ziemi Zamorskiej. Bardziej był jednak znany jako trubadur, który przez wiele lat po śmierci króla pocieszał swą miłością Blankę.

A oto i stara tygrysyca we własnej osobie. Roland dostrzegł ją właśnie u boku Małgorzaty. Nosila jak zawsze białe żałobne szaty i w odróżnieniu od innych dam żadnych kwiatów. Trudno wyobrazić sobie tego grubasa i tę starą wysuszoną kobietę w roli kochanków. Ale kto wie, jak ja będę wyglądał, kiedy będę stary, jeżeli dożyję tych lat.

Zdał sobie sprawę, że na podwyższeniu właśnie zwrócono na niego uwagę. Królowa Małgorzata przyglądała mu się, szepcząc coś do Nicoletty. I Nicoletta spoglądała w jego stronę, ale jej twarz, o ile mógł ocenić z tej odległości, nie wyrażała żadnych szczególnych uczuć. Inni także spostrzegli, gdzie patrzy królowa, i skierowali wzrok w jego stronę. Roland usłyszał, że Perrin cicho pochrząkuje z niezadowolenia.

Ucichły oklaski po występie Tybalda. Baryłkowaty hrabia, któremu wejście Rolanda skróciło chwile sławy, potoczył się chmurnie na swoje miejsce za stołem, gdzie siedzieli rządem wszyscy trubadurzy. Roland pomyślał, że wyglądają jak ptasi sejmik, każdy upierzony barwniej od sąsiada. Za ich plecami, tyłem do stołów, siedzieli

grajkowie z lutniami, lirami, harfami irlandzkimi, wiolami, rebekami, gitarami, trąbkami. Za lepiej urodzonymi zawodnikami stali paziowie noszący kolory swoich panów. Roland ze zdziwieniem zauważył, że jeden z trubadurów ma na sobie niepokalanie biały płaszcz templariuszy.

Miał właśnie ruszyć w stronę zawodników, kiedy dobiegł go donośny głos królowej Małgorzaty, rozbrzmiewający wśród ciszy.

- Postąpcze tu, panie, powiedz nam, kim jesteś.
- Święci pańscy - zamruczał cichutko Perrin.

Roland zapragnął nagle znaleźć się znów na Sycylii. Zrobił dzielną minę i pomaszerował przed siebie.

- Pani - skłonił się nisko, zamiatając marmurową posadzkę czarną peleryną.

Idąc w jej stronę, rozglądał się na prawo i lewo. Może to jedyna sposobność, żeby ujrzeć wszystkich tych możliwych, o których tak wiele słyszał. Ten blondyn o pociągłej twarzy i ogromnych oczach, w prostych sukniach, siedzący pomiędzy dworzaczkami, to musi być król Ludwik. Tak, powiadają że nie lubi się stroić. Co powinienem uczynić? Zatrzymać się i pokłonić mu? Nie, to dzień królowej a i on wygląda, jakby nie chciał, żeby zwracano na niego uwagę. Król Ludwik leciutko się uśmiechnął i skinął głową Rolandowi, kiedy ten go mijal. Twarz Nicoletty zastygła, zaciskała kurczowo dłonie na poręczy krzesła.

Jakże bym chciał, żeby moja pieśń na tyle się jej spodobała, żeby potrafiła wybaczyć mi wszystkim ból, jaki jej zadałem swoimi postępkami. Na świętego Michała, tylko ona wie, że dla niej jednej będę śpiewał.

Podszedł do podwyższenia i przykleknął na jedno kolano. Spoglądał ukradkiem, spod oka, na Nicolette. Wierzchnią jasnoblękitną, odrzuconą do tyłu kapę spinała pod szyją złota fibula w kształcie węzła miłości. Pod kapą nosiła głęboko wyciętą fioletową suknię. Na szyi zawieszony miała naszyjnik zdobiony zielonymi klejnotami odbijającymi od białej skóry. Falujące ciemne włosy zebrane były pod złotą siatką, w którą wpięła koronę z kwiatu jabłoni.

Z trudem usiłował skupić myśli. Królowa zadała pytanie, należy jej odpowiedzieć.

- Pani, jestem Orlando z Perugii, rycerz i trubadur. Zechciej wybaczyć późne przybycie, a jeśli cię obraził, każ mi natychmiast stąd odejść. Raczej pójdę na kraj

świata, niżbym miał ci w czym uchybić.

- Ot, zuchwalec - doszedł go z podniesienia cichy, ale dobrze słyszalny komentarz.

Podniósł wzrok i zobaczył srogie oczy królowej Blanki. Słyszał, że to ona właśnie domagała się zniszczenia Mont Ségur. Jeśli ktoś w tej sali miał być jego wrogiem, była nim Blanka Kastylijska.

- Wybaczamy ci, sire Orlando - powiedziała Małgorzata. - Z Perugii do Paryża daleka droga.

- Rzeczywiście, pani, ale przebyłem ją dwa lata temu - odpowiedział uśmiechając się do królowej. Jej brązowe oczy spoglądały przyjaźnie. Choć szczuplejsza i starsza trochę przypominała Nicolette. Dwie kobiety z Langwedocji, razem na paryskim dworze. Nie trudno zrozumieć, dlaczego były sobie bliskie. - To Miłość sprawiła, że się dzisiaj spóźniłem. Chciałem z całego serca ułożyć na tę okazję pieśń dla pani, której służę. Wyznaję, że aż do dzisiejszego ranka zawodziła mnie biegłość w wierszach, a nie mogłem przybyć, pókim nie ukończył pieśni.

Czekał wstrzymując oddech. Tygodniami siedział, wpatrując się w pergamin, chwytając za lutnię, zaczynając ciągle od nowa i ciągle źle. Melodie, które przychodziły do głowy, przypominały mu o Dianie. Obrazy, które się rodziły, były Światłością. Ale to katarska idea, która znów mówiła o Dianie, a nie o Nicoletcie. A on szukał pieśni, która byłaby tylko i wyłącznie dla niej.

Wiedział, jakie to dla niej ważne być jego pierwszą i jedyną miłością. Nieustannie w czasie ich potajemnych spotkań w izbie u księgarza zadawała mu pytania. Czy jest ktoś jeszcze? Czy jest pewien tego, że nie ma nikogo innego?

Nieustannie powracała do jego pobytu na Mont Ségur. Dlaczego tak nagle, nie mówiąc jej ani słowa, opuścił Paryż? Czy chodziło o kobietę? Nienawidził się za to, że nie mógł powiedzieć jej całej prawdy.

Poniechał wszak swej miłości do Diany, nie byłż to zatem prosta prawda, że Nicoletta jest jedyną kobietą w jego życiu?

Wiedział jednak, że nie była to wcale prosta prawda. I wiedza ta sprawiała, że diabelnie ciężko było napisać pieśń.

Kiedy myślał o Nicoletcie, nie przychodziło mu do głowy nic, co byłoby jej godne. Rozumiał, że to właśnie pragnienie napisania pieśni dla niej sprawia, że czcze są

jego twórcze wysiłki. Ale wiedzieć, nie oznaczało przełamać opory. Pocił się, walił pięścią w stół, coraz bardziej zdesperowany, im bliżej było Majowego Dnia. Dopiero dzisiejszego ranka, kiedy po nieprzespanej nocy uświadomił sobie, że musi napisać pieśń albo w ogóle nie stanie do turnieju, poddał się i pozwolił, by pieśń sama się narodziła.

O ile byłoby prościej wydobyć z zapomnienia jakieś wiersze, które napisał dawno temu. Ale ona zamówiła pieśń specjalnie na dzisiejszy dzień, a jej rozkazy były święte. Jak święta była jego sztuka. Tam, gdzie chodziło o jedno albo drugie, nie mógł kłamać. Tak więc, na wpół w udręce, jako że pieśń czyniąca aluzje do wiary Diany, nie była w pełni i wyłącznie pieśnią dla Nicoletty, na wpół w uniesieniu, bo tworzył coś nowego i pięknego, spisał pieśń tak, jak zabrzmiała w jego głowie. Ale nawet to zajęło mu pół dnia. Modlił się, by znalazła uznanie w jej oczach.

Mówiąc o pani, której służy, pomyślał, że lepiej będzie nie spoglądać w jej stronę.

- Spóźnić się z powodu miłości jest rzeczą zaszczytną, sire Orlando - powiedziała Małgorzata z uśmiechem - ale musisz zapłacić za twe spóźnienie. Będziesz śpiewał ostatni.

Teraz spojrzął na Nicolettę i zobaczył, że jej oczy rozszerzyły się niemal niedostrzegalnie. Zrozumiała od razu, jak i on, jakim darem obdarzyła go Małgorzata. To, że będzie śpiewał ostatni, dawało mu przewagę. Nieznany w tej świetnej kompanii, pozostawi po sobie najświeższe wrażenia, kiedy przyjdzie do ogłoszenia wyników.

Przez ciało przebiegł dreszcz podniecenia. Mógł wygrać, wygrać dla Nicoletty.

Sklonił się nisko i odrzekł:

- Jak rozkażesz, pani. To łaska, że w ogóle dozwalamz mi stawać w zawody.

Wycofał się do stołu dla trubadurów i usiadł w jego końcu, obok młodego, jasnowłosego rycerza.

- Wyciągnąłem w losowaniu ostatnie miejsce, aleś mi je zabrał - powiedział blondyn żartobliwie.

- Wybaczcie, panie.

Za rycerzem stał paż z proporcem, na którym widniało sześć biało-czerwonych poziomych pasów, herb rodu Coucy. Musi być to Raul de Coucy, znany trubadur i

baron, którego rodzina posiadała włości niemal równie rozległe jak de Gobignon.

De Coucy poklepał go po ramieniu.

- Lepiej, żeby pieśń, z powodu której się spóźniłeś, warta była tego całego zamieszania.

Zamilkli i zaczęli się przysłuchiwać innym.

Z początku czas mijał Rolandowi przyjemnie. W trosce o rozrywkę dla gości Małgorzata sprowadziła tancerzy, kuglarzy, akrobatów, którzy popisywali się w przerwach między pieśniami. Roland od czasu do czasu spoglądał ku Nicoletcie. Ilekroć ich oczy się spotykały, czuł w sercu słodką, smutną tęsknotę.

Usiłował się nie gorączkować, ale po pierwszych dwóch godzinach każda minuta dalszego czekania była nie do zniesienia. Służba wносиła ciągle dzbany czerwonego wina, półmiski mięsiwa i serów. Odmawiał. Przed nim i de Coucym stanął wspólny kielich, ilekroć jednak młody baron podsuwał mu go, kręcił głową. Żołądek ściśnięty miał jak pięść. Czy może mu się powieść? Zapewne nie, chociaż wygrał dwa turnieje w Neapolu i w obydwu stawał przeciw samemu cesarzowi. Ale tu będzie śpiewał w *langue d'oc*, a ci ludzie są z Północy.

Chciał, by pieśń była darem ofiarowanym tej jednej jedynej, złożonym publicznie, jak czynili to langwedoccy trubadurzy w wielkich dniach dwornej miłości.

Słuchał uważnie rond, sirwentów, kancon, w sali zapadał coraz głębszy mrok, służba zapalała kolejne świece. Biegłość rywali w składaniu poezji i komponowaniu melodii bardziej go interesowała niż sam śpiew i muzykowanie. Często bywało, że ten, kto pieśń stworzył, później jej nie wykonywał. Giermek-muzykant mógł śpiewać pieśń swego mistrza, ale jeśli temu głosu stawało, giermek już tylko akompaniował.

Każdy trubadur czy truver zdawał się mieć tu swoją partię, która ku rozbawieniu Rolanda gorąco go oklaskiwała. Zawodnicy śpiewali we wszystkich językach, najczęściej w *langue d'oïl*, ale także w *langue d'oc*, po hiszpańsku, włosku, łacinie, nawet po niemiecku. Roland mógł pojąć treść wszystkich tych pieśni. Trubadur wędrowiec musi być biegły w wielu językach.

Łacińską pieśń śpiewał najbardziej niezwykły człowiek obecny na turnieju. Roland zauważył go już wcześniej. Był to rycerz templariusz z Werony zwany,

Gwidonem Bruchesi. Jak wszyscy templariusze, a przeciwnie niż wszyscy rycerze, nosił długą, sięgającą pasa brodę. Na płaszczu z przodu i z tyłu widniał znak czerwonego krzyża. Co tu robił? Roland słyszał o księżach i zakonnikach, którzy byli także trubadurami, ale śpiewający członek zakonu rycerskiego był doprawdy zjawiskiem niezwykłym.

Podobała mu się ballada brata Gwidona. Był to dość świątobliwy hymn do Dziewicy Maryi, ale Roland z rozbawieniem wychwytał ukryte aluzje do Miłości. Templariusz miał wspaniałą tenor i kiedy skończył wysoką nutą, część słuchaczy zgottała mu stojąc owację.

Węgierski uchodźca zbiegły przed Tatarami, sire Cosmas, śpiewał coś we własnym języku, którego nikt nie rozumiał. Roland, choć nauczył się nawet arabskiego od sycylijskich maurów na dworze Fryderyka, język węgierski słyszał po raz pierwszy. Niemniej Cosmas otrzymał grzeczne oklaski. Potem Raul de Coucy zaśpiewał prostą, piękną kanconę. Roland ciągle jeszcze bił brawo, kiedy de Coucy wrócił na miejsce.

- Muszę zdradzić ci sekret - odezwał się de Coucy z przekornym uśmiechem - nie jestem prawdziwym truwerem. Ułożyłem to dla mojej żony.

Przyszła kolej Rolanda. Serce biło mu tak mocno, że wydawało mu się, iż wszyscy widzą, jak drga mu pierś. Odrzucił na plecy czarną pelerynę, odsłaniając srebrnego gryfa, insygnium nadane jego rodzinie przez cesarza. Był pewien, że nikt spośród zebranych nie rozpozna tego znaku ani tym bardziej nie skojarzy go z nieznaną tu nikomu rodziną de Vency. Na srebrnym łańcuchu zawieszonym na piersi widniała inna oznaka łask Fryderyka, starożytny brązowy medalion wyobrażający Apolla grającego na lirze. Miał nadzieję, że się godnie prezentuje. Rano tak długo szorował zarost pumeksem, aż poczuł pod opuszkami palców, że skóra na policzkach jest jedwabista.

Wyszedł powoli w towarzystwie Perrina, podążającego ze zdobną lutnią o krok za nim, na środek sali.

Stał spokojnie, czekając, aż zapanuje idealna cisza. Perrin stroił lutnię. Wszyscy zebrani w oczekiwaniu na pieśń przestali jeść, pić, rozmawiać.

Małgorzata jest po naszej stronie, czuję to, ale reszta? Była to wymagająca, znająca się na rzeczy publiczność, od dziecka kształcona w muzyce i biegła w jej ocenianiu. Wielu spośród nich mogłoby się tu popisać na równi z zawodnikami.

Perrin podał ton.

Roland wziął głęboki oddech.

Spojrzał w stronę Nicoletty.

Odpowiedziała spojrzeniem i zamknęła oczy.

Zaczął.

*Co sprawia, że złoto słońca lśni marniej?
Czemu mniej czysta srebrna luny poświata?
Wejrzyj, pani, nocą w mego serca tajnie,
Najdziesz lek od wszystkiego zia świata:
Jedno jest światło na wysokości,
światło serdeczne, światło Miłości.*

Melodię wybrał powolną, niemal omdlewającą. Kiedy ją komponował, w głowie pojawiał się obraz łodzi dryfującej spokojnie z biegiem skapanej w księżycowej poświacie rzeki. Łagodnie promieniujące dźwięki miały być odbłaskiem miłości.

Słyszał, jak jego baryton wypełnia salę, odbija się o kamienne ściany i drewniany strop. Ojczysty język brzmiał, jak wyzwanie rzucone ludziom Północy, którzy zgottowali krucjatę przeciw albigensom i przynieśli zniszczenie jego ojczyźnie. Słowami i melodią wygrywaną na lutni pragnął przekazać jednak coś innego, sekretne uniesienia *l'amour courtois*. Nicoletta powinna usłyszeć w nich echo słów, które jej szeptał do ucha w czasie ich schadzek. Ta pieśń jest dla ciebie, Nicoletto.

*Bezsennie zlegam w łożę nocy,
Dzień jasny przepędzam marzeniem.
Ta, co ma duszę mą w swej mocy,
Jest prawdą, świat cały zmyśleniem.
Jedno jest światło na wysokości,
światło serdeczne, światło Miłości.*

Roland skończył swoją pieśń, w sali na moment zaległa zupełna cisza, po czym rozległ się grzmot oklasków. Poczul, że oblewa go fala gorąca. Wiedział wprawdzie, że ten aplauz był także podzięką dla wszystkich zawodników, podzięką za cały turniej, czul jednak, że przede wszystkim to jego oklaskiwano. Sklonił się i wycofał na swoje miejsce. Niemal połowa jego towarzyszy nadal biła brawo, reszta co prawda także klaskała, ale z mniejszym zapalem. Opadł na krzesło podsunięte przez Perrina.

De Coucy ścisnął mu ramię.

- Nie wiem czy slyszalem lepsze spiewanie w moim zyciu. Byles najlepszy, przyjacielu, bez watpienia najlepszy.

Milo bylo slyszec te slowa, ale jeszcze milsza byla ulga, jaka czul. Siedzial bezwladnie na krzesle, dziukujac swietemu Michalowi, ze nie uczynil swojej pani dyshonoru i ze bylo juz po wszystkim.

- A teraz szlachetne panie i zacni panowie - zaczela królowa Małgorzata, powstajac ze swojego miejsca - zapraszamy was na uczte, my zas bedziemy sie biedzic nad przerastajacym nasze sily sadem, ktory z tych wspanialych artystow zasluzył na nagrode.

Uniosla do gory blykitna szarfę Palermo ozdobiona zlotymi polkolami. Roland przylaczył się do oklasków. Król rozdawal ukłony, reszta panów poszla za jego przykladem. Małgorzata w towarzystwie swoich dam ruszyla do wyjścia.

Mogl się teraz napić. Wyciagnal pusty kielich stojacy między nim i de Coucym w stronę pazia, ktory usluźnie napełnil go czerwonym winem. Wychylinl wszystko jednym haustem, kazal lac raz jeszcze, po czym zwrócił się do Perrina.

- Cóz myslisz?

- Niezle mój mistrzu, całkiem niezle.

- A niech cię diabli.

Perrin zachichotal.

Wydawalo się, ze minelo wiele godzin, nim uslyszeli fanfary uciszajace biesiadnikow. Damy powrócily na swoje miejsca. W sali zalegla martwa cisza.

Roland slyszal, jak lomoce mu serce. Nie powinien się przejmowac. Wazne jest tylko to, ze wobec wszystkich w tej sali wyspiewal miłość do swojej pani i ze ona o tym wie.

Zauważył, że gdy Małgorzata gotowała się do ogłoszenia wyroku, Blanka stanęła po drugiej stronie stołu, jakby dla zaznaczenia, że nie godzi się z powziętymi decyzjami.

Przeszedł go dreszcz. Nie tyle o siebie się lękał, ile o Nicolettę. Wiedział, jak niebezpieczna potrafi być królowa matka i miał nadzieję, że to nie jemu w udziale przypadnie wygrana, że niezadowolenie Blanki tyczy kogo innego.

Napotkał wzrok Nicoletty i poczuł, że robi mu się słabo.

Małgorzata przemówiła.

- Oto wyrok wydany przez damy dworu Francji obwieszcza, że słusznie i zasłużenie nagroda przypada rycerzowi z Perugii, panu Orlando.

Serce chyba stanęło na dobre, twarz mu pałała niczym kowalskie palenisko. Zewsząd rozległy się oklaski i okrzyki, które dochodziły do niego jakby zza ściany. Czuł, że wyciągają się ku niemu ręce sąsiadów, dopominających się, by powstał.

- Zbudź się, panie - mówił Perrin - wstań i przyjm nagrodę.

- Zuch - krzyczał de Coucy, poklepując go po plecach - wiedziałem, że to będziesz ty.

Jak we mgłę Roland pozbierał członki i wyszedł na środek sali, Perrin za nim, wiskając mu lutnię w dłoń. Kierował się do podwyższenia, prąc jakby pod prąd zalewającej go fali ogłuszającego aplauzu.

Dojrzał jaśniejsze oczy Nicoletty, siedzącej obok Małgorzaty.

Gdybym mógł cię teraz wziąć w ramiona.

Ukląkł, składając lutnię u stóp królowej.

- Panie Orlando - rzekła Małgorzata - chcemy wierzyć, że zawsze będziesz tak śpiewał - a twój muzykant grał - jakeście to czynili dzisiejszego wieczoru, oddając honor nagrodzie i damom, które wam ją przyznały. Rozwinęła błękitno-złoty jedwabny kwadrat tak, żeby każdy mógł go widzieć, po czym puściła go, by opadł w wyciągnięte dłonie Rolanda.

- Będę czynił wszystko, abyście nigdy nie żalowali nadanego mi wyróżnienia, pani.

Ponownie spojrzął na Nicolettę, walcząc z pragnieniem wyjawienia wszystkim zgromadzonym, ile dla niego znaczy.

Kiedy powstał, otoczył go tłum dam i trubadurów, pragnących poznać go i pogratulować zwycięstwa. Trzymając jedwabną szarfę tak delikatnie, jakby była utkana

z pajęczej przędzy, spoglądał ponad głowami cisnących się wokół niego ludzi, szukając wzrokiem Nicoletty.

Po ramieniu poklepywał go właśnie templariusz.

- Wyśmienicie, panie Orlando, śpiewasz w *langue d'oc*, bez śladu akcentu - rozprawiał po włosku - kiedy ja mówię albo śpiewam w tym języku, od razu wszyscy wiedzą, że jestem Włochem.

Roland zeszywniał, jakby tamten nakrył go na gorącym uczynku. Musiał się opanować, by nie zacisnąć dłoni na błękitnej szarfie. Z miejsca poczuł nieufność do templariusza. Krzyż na białym płaszczu zakonnika natrętnie przypominał, że templariusze byli krzyżowcami, aczkolwiek ich reguła trzymała się z dala od rzezi dokonywanych w Langwedocji.

- *Langue d'oc* - odpowiedział Roland po włosku - to język wszystkich wielkich trubadurów, dlatego przedkładał go nad inne.

A oto u jego boku stała już Nicoletta.

To zarówno mój, jak i twój triumf, chciał jej powiedzieć.

Zwróciła się ku niemu w jakimś niemal opiekuńczym geście, jakby i ona czuła, że w otaczającym ich tłumie mogą być wrogowie.

Jego wargi złożyły się w ledwie dostrzegalnym *mi dons*. Otaczający ich krąg otworzył się, przepuszczając Małgorzatę, która włączyła się do rozmowy.

- Zgadzam się z tym, co mówisz o *langue d'oc*, panie Orlando, i ja nigdy nie przestanę kochać prowansalskiej mowy mojego dzieciństwa. Ale teraz, kiedy Północ święci triumfy, boję się, że już zawsze będziemy musieli mówić w *oïl* zamiast w *oc*, kiedy będzie trzeba czemuś przytaknąć.

Roland skłonił się przed Małgorzatą.

- Kiedy dama mówi „tak”, brzmi to jednako słodko w każdym języku, pani.

- Prawisz jak trubadur, panie - roześmiała się Małgorzata - prawda, boję się, że pochodnię poezji przejęliście od Prowansalczyków - skłoniła lekko głowę - wy Włosi, i że nigdy już w Langwedocji nie usłyszymy nic, co dorówna Arnaldowi Danielowi czy Bertranowi de Ventadour.

- Ależ z pewnością - włączył się nowy głos - piękno języka rodzi się z poezji. Jeśli będzie się śpiewać piękne pieśni w *langue d'oc*, pozostanie wielki.

Wszyscy się odwrócili. Przed Rolandem stał król odziany w proste, ciemne szaty, z czerwonym krzyżem krzyżowców naszytym na ramieniu. Ludwik górował na wszystkich.

Roland przyklęknął na jedno kolano.

- Powstań, mój panie - powiedział król, poklepując go po ramieniu - chciałem ci podziękować za wyborną pieśń i pogratulować miłej sercu nagrody.

Wstał, wpatrując się uważnie w twarz króla. Jaki niewinny się wydawał. Trzydzieści jeden lat, a z powroźeniem mógłby uchodzić za dwudziestolatka. Nicoletta opowiadała mu, że krzyż na ramieniu wziął się z szalonego pomysłu króla wyzwolenia Jerozolimy z rąk Turków.

Nagle uderzyła go pewna myśl. Gdybym był w domu, nie zawahałbym się złożyć *mi dons* publicznie hołdu. Czemu nie tu? Królowa z pewnością, by mnie zrozumiała, może król także.

Cóż więc mnie powstrzymuje? Almaryk de Gobignon? Wzbierał w nim gniew. Czyż mam pozwolić, żeby jego osoba hamowała mnie przed okazaniem *mi dons* szacunku, na jaki zasługuje? Poza wszystkim zda się to niczym więcej jak zwyczajowym hołdem, jaki trubadur składa dalekiej mu nawet damie, która była mu natchnieniem. Wiem, że Nicoletta dość ma bystrości i odwagi, żeby odpowiedzieć, jak tego wymaga obyczaj w obecności króla, królowej i dworu. Tylko my dwoje będziemy znali prawdziwy sens tego postępku. Uczynię to.

Roland zwrócił się do Ludwika.

- Pozwólcie mi, panie, postawić pytanie. Kto bardziej zasługuje na nagrodę, ten, kto złożył pieśń, czy ta, co była dla niej natchnieniem?

Ludwik uśmiechnął się, uważnie przypatrując się Rolandowi swoimi ogromnymi niebieskimi oczami.

- Ciekawe pytanie, panie Orlando. Cóż, wedle mnie wielu jest biegłych w składaniu pieśni, ale nieliczni na tyle mają natchnienia, by uczynić ze swej biegłości najlepszy użytek.

- Zgadza się, sire, chciałbym zatem ofiarować mą nagrodę damie, której poświęciłem swoje talenty. - I tu z uśmiechem zwrócił się ku Nicoletcie.

Nagle król, królowa, Blanka Kastylijska, suwereni i damy, nawet kamienna sala, wszystko zniknęło, pozostała tylko młoda kobieta w fioletach. Przyklęknął przed

nią, wyciągając w jej stronę błękitno-złoty jedwab.

Jej palce dotknęły jego dłoni, gdy odbierała szarfę, na której zaraz złożyła ceremonialny pocałunek. Roland słyszał, jak przez salę przebiega szmer nagany. Ale odezwały się też przyjazne śmiechy i przyklaskiwania.

Jakiś męski głos, który mógł należeć równie dobrze do Raula de Coucy jak i do Gwidona Bruchesi wyraźnie powiedział: - Urocze!

Jednak szmer nagany zachwiał jego pewnością. Czyżby postąpił zbyt pochopnie, naraził Nicolettę?

Nie było już odwrotu. Trzeba grać dalej.

- Pani - skłonił się z uśmiechem - racz wybaczyć nieobytemu włoskiemu *trovatore*. Być może, jak powiada Najjaśniejsza Pani, Italia przejęła pochodnię poezji i co u nas ciągle jest przestrzegany obyczajem, zarzucono już w Paryżu. Jeślim był nazbyt śmiały, jeślim ci uchybił, błagam o przebaczenie.

- W żadnym razie, sire Orlando - odparła Nicoletta swobodnie i dość głośno, by wszędzie ją usłyszano. - Cokolwiek czyni się w Paryżu, lub czego się nie czyni, ja urodziłam się w Langwedocji i miło mi przyjąć ten hołd trubadura.

Spojrzała pytająco na Małgorzatę, jakby szukając potwierdzenia, czy jej odpowiedź zabrzmiała właściwie. Królowa aprobująco skinęła głową.

Roland raczej wyczuł, niż dostrzegł jakieś poruszenie na zewnątrz otaczającego ich kręgu. Błysk bieli i nagle obok stała Blanka Kastylijska.

Anioł zemsty zwrócił się wpierw do Nicoletty.

- To nieobyczajność. Masz natychmiast oddać szarfę temu zuchwałemu rycerzowi.

- Oddać szarfę, pani - odpowiedziała Nicoletta tak cicho, że Roland ledwie mógł ją słyszeć - będzie postępkem przeczącym dworności.

- On ci uwłacza, wystawiasz na szwank honor swego dobrego męża.

O czym jej dobry mąż bez wątpienia usłyszy, pomyślał Roland. Znowu zaczął żałować swojej czelności. Byłoby najlepiej, gdyby Nicoletta usłuchała Blanki i oddała mu szarfę. Ona tymczasem zwróciła się do Małgorzaty z prośbą w oczach.

Królowa drżała w pohamowywanej złości. Ujęła mocno dłoń Ludwika.

- Któż jest lepszym sędzią honoru niż król? - zapytała.

- Powiedz, sire, czy honor hrabiego de Gobignon jest w niebezpieczeństwie, czy hrabina powinna zwrócić szarfę?

- Rozważ rzecz, droga Matko - król mówił łagodnie, lecz zdecydowanie - kiedy trubadur ofiarowuje swe trofea wybranej damie, czyni tak podług dawnego i pięknego zwyczaju i nie to jest nieobyčajne, jeno spory o jego postępek, który mnie się zdaje niewinny.

Roland w skrytości ducha błogosławił Ludwika za okazaną dobrą wolę.

- Takie z pozoru niewinne postęпки szerzą zepsucie - odparowała Blanka. - Kiedy ja rządziłam na tym dworze, chroniłam cię przed podobnym złem - spojrzała znacząco na Małgorzatę.

- Ależ, Matko - zaprotestował Ludwik - nie minęło aż tak wiele lat od czasu, kiedy to nasz przyjaciel hrabia Szampanii, który dziś tak świetnie śpiewał, pisał pieśni na twą cześć i niczym ci w tym nie uchybił.

Czyżby?, pomyślał Roland z rozbawieniem. A więc król nie słyszał tego, co do mnie doszło.

Słabsza kobieta wycofałaby się skonfundowana, ale nie Blanka, która nie dawała za wygraną.

- To było zupełnie co innego i inne były wtedy pieśni.

- Wybacz, Matko - mówił król z powagą - piękne damy nadal są natchnieniem dla poetów. Wiele dobrego wynika z takiej rycerskości.

- Ludwiku, jesteś... - Roland odgadywał, że chciała powiedzieć „głupcem”, ale nawet Blanka, mimo przez lata dzierżonej władzy, nie mogła się tak odezwać do króla. Zacisnęła pięści, usiłując zapanować nad sobą.

- ...zbyt łatwowierny - ciągnęła dalej. - To wielki wstyd, mój synu. Nie powinieneś pozwolić.

Zacisnąwszy usta, Biała Królowa odwróciła się i wyszła z kręgu otaczającego Rolanda. Dworzanie rozstępowali się przed nią.

Zaraz ruszy w drogę posłaniec do de Gobignona, pomyślał Roland.

Nicoletta stała spokojnie, bawiąc się szarfą. Jeśli Blanka wytrąciła ją z równowagi, to szybko wróciła do siebie. Ale to nie znaczy, że nie powinien jej bronić.

Ponownie uklęknął, wyciągając ramiona w stylizowanym geście trubadura.

- Pani, wyświadczasz mi wielką łaskę, przyjmując ten niegodny ciebie hołd, ale nie śmiem być przyczyną waśni między tobą a zacną królową Blanką. Nie wahaj się go zwrócić, jeśli jest ci najmniejszą niewygodą.

Obdarzyła go spojrzeniem, w którym zawierała się właściwa, starannie obliczona miara pogardy.

- Czyś nie słyszał, panie trubadurze, że król i królowa nie widzą w tym zła nijakiego?

Zachwycony przedstawieniem, jakie dała, schylił głowę. Dość ma wzięcia i przytomności, by być cesarzową, a odwagi starczyłoby za armię. Cóż to za pani!

* * *

VIII

Almaryk wstrzymał oddech na widok pośpiesznie wchodzącej przez otwarte drzwi kobiety. Miała na sobie ciemnozieloną pelerynę z głęboko nasuniętym na twarz kapturem, ale rozpoznał ją od razu.

Wyszedł ku niej z cienia pałacowej sieni zagradzając drogę. Jeszcze zadyszana, zbladła na jego widok.

- Panie, myślałam że jesteś w Langwedocji. Co cię sprowadza?

Z tyłu pojawiła się jej doncella Agnes, a za przerażoną Agnes dojrzał pazia niosącego niewielką książkę.

Rok minął, od kiedy widział Nicolettę po raz ostatni, i teraz czuł się oszołomiony widokiem jej ciemnych, błyszczących oczu, białych zębów kontrastujących z oliwkową cerą, gdy się uśmiechała, jak chociażby teraz, kiedy próbowała przywołać na twarz niepewny powitalny grymas. Ciągle była najładniejszą kobietą w królestwie. Miał ochotę wziąć ją w ramiona, powstrzymał się jednak, pamiętając, co go tu sprowadziło.

Trudno mu było mówić. Tęsknota za nią walczyła w nim z podejrzeniami, które kazały mu przebyć drogę z Béziers do Paryża w ciągu pięciu dni, zajeżdżając w drodze trzy konie - i wykańczając siebie samego.

- Niewielkie są twoje obowiązki w pałacu, skoro zostawiają ci czas na wędrówki po ulicach miasta.

Już oskarżenia, strofował siebie mimo słusznego gniewu.

Wiedział, kiedy go poślubiła, że nic dla niej nie znaczy, że może go nawet nie nawidzi. Ale jak wielką miał wtedy nadzieję, że to się zmieni! Chłód, na jaki natrafiała jego miłość, sprawiał, że czuł, jakby wolno, miarowo, uchodziła z niego krew.

* * *

...Rana, którą odniósł czerwcowego popołudnia trzynaście lat temu w nędznej langwedockiej wiosce. Stał u szczytu schodów wiodących do kościoła, gdy zbliżyła się ku niemu jadąca na gniadoszu młoda kobieta w ciemnych szatach.

Spoglądała mu prosto w twarz. Wziął głęboki oddech. Na Boga, jakaż ona piękna! Owalna twarz okolona białym barbetem, krótki nos, wydatne usta i oliwkowa cera obiecująca śródziemnomorski temperament. Była młodziutka, dziewicza, nie mogła mieć pewnie więcej niż trzynaście lat.

- Jak się zwiecie, panie?

Władczość w jej głosie mówiła o szlachetnym urodzeniu. Ale co dziewczyna zanego rodu robi na drodze sama, o zmierzchu? Spiesznie zbiegł ze schodów i skłonił się panience.

- Hrabia Almaryk de Gobignon, do usług, pani - wyciągnął dłoń, chcąc jej pomóc zsiąść z konia.

Zwracał się do niej w jej własnym języku, w *langue d'oc*, którego nauczył się jako tako w ciągu pięciu lat okupowania tego nawiedzzonego herezją kraju.

Zignorowała ofiarowaną dłoń i zsunęła ze swojego wielkiego wierzchowca z chłopięcą zwinnością. Zdażył zauważyć, że pod aksamitną spódnicą kryją się szczupłe, zgrabne nogi. Dlaczego odziewa się w czerń? Kogo oplakuje? Dostrzegł też przepasany u wiotkiej talii mały sztylecik w kunsztownej pochwie, rzucającej złote blaski.

Posłała Almarykowi gniewne spojrzenie.

- Pojmałeś jednego z mojej czeladzi, przyjechałam po niego.

Rozbawił go u tego prawie jeszcze dziecka stanowczy ton dorosłej kobiety.

- Jednego z czeladzi? Ależ, pani, nie raczyłaś jeszcze rzec mi swego imienia - przemawiał z przemyślną galanterią.

- Jestem Nicoletta de Lumel, córka Wilhelma de Lumel, pana i opiekuna tej wioski.

- Pojmuję. - Mogło być to coś poważnego w zależności od tego, kim był ów Wilhelm de Lumel i jakich miał protektorów. Imię brzmiało znajomo. Usiłował przypomnieć sobie, kiedy i gdzie przedtem je słyszał.

Jakby wbrew jego życzeniom zbliżyło się kilku podróżujących z nim rycerzy, podczas gdy on chciał zostać sam na sam z dziewczyną.

- Pozwolisz, pani? - podał jej ramię, ale ona nie wykonała żadnego ruchu.

- Czyś pojmał młodzieńca imieniem Dode Perella? Jeśli tak, musisz go natychmiast uwolnić.

- Muszę? - zapytał powstrzymując rozbawienie. - Nie przejdiesz się, pani, ze mną, żebyśmy mogli omówić tę sprawę, jak się godzi między osobami tak wysokiej jak my obydwójce pozycji?

Przysłuchujący się skwitowali pytanie śmiechem. Oczy jej błysnęły.

- Nie żartuj sobie ze mnie, przekłety kpie.

Almaryk spoglądał na rozgniewaną twarzyczkę, myśląc, że powinien poczuć się znieważony, szczególnie w obecności swoich ludzi. Mężczyzna, który powiedziałby mu, że z niego kiep, już by nie żył. Zamiast tego myślał, że, na świętego Dominika, odważna jest ta mała. Dziecko ledwie, jedzie sama do wioski zajętej przez rycerzy i ich oddziały, żeby domagać się uwolnienia jakiegoś sługi. I na dodatek przeklina mnie, kiedy nie daję jej posłuchu.

- Wybacz, pani - odpowiedział lekko i usłyszał, że któryś z jego ludzi cicho chrząka na znak zdziwienia. - Pójdź ze mną i powiedz mi na osobności, czemu ten człowiek zasługuje, by puścić go wolno, a ja wysłucham cię z należytą uwagą.

Przez moment przyglądała mu się bacznie. Starał się ze wszystkich sił nadać swojej postaci wygląd dworny i przystępny.

Skinęła.

Oddalali się od chat przycupniętych po bokach krętej drogi niczym przyzmy szarych kamieni. Doszli do winnicy, przez którą prowadziła ścieżka pomiędzy krzewami winorośli, puszczającymi właśnie młode zielone liście. Celowo trzymał się z dala od kamiennej stodoły, gdzie przetrzymywał dwudziestu miejscowych wieśniaków, którzy mieli o świcie zawisnąć na szubienicy.

Nie chciał mówić z nią o skazanych. Pragnął dowiedzieć się, gdzie mieszka, czy może złożyć wizytę w jej domu.

Co się ze mną dzieje? Nie powinienem zadawać się z kobietami z Langwedocji, szczególnie z tymi, które mówią do mnie „kpie”.

- Powiedz mi, pani, kim jest ten Perella?

- Może powinniśmy zacząć od tego, co złego ci uczynił hrabio, że go u siebie uwięziłeś?

Zawahał się. Była dzieckiem Langwedocji. Nigdy nie zrozumie. Jakże jej to wytłumaczyć?

- Posłuchaj, Nicoletto... - Jestem hrabia de Gobignon i będę mówił jej po imieniu, czy zezwoli mi, czy nie. - ...tydzień temu trzech godnych ludzi zabito zaraz tu za wsią. Był wśród nich dominikanin...

- Inkwizytor - wpadła mu w słowo.

- Tak, inkwizytor, wypełniający boże zadanie. Dwaj pozostali to była jego eskorta - rycerz i sierżant. Wpadli w zasadzkę, podziurawiono ich strzałami. Haniebny, tchórzliwy postęp.

- Tak - przerwała niecierpliwie - wiem o tym. Dode był w zamku, kiedy to się stało. Jest synem naszego stajennego. Jego siostra Agnes jest moją doncellą. Mogę za niego poręczyć, ja i tuzin innych osób.

- To nie ma nic do rzeczy.

Myślał, że jeden szubienicznik mniej czy więcej nie czyni różnicy. Przerwała jego rozmyślenia.

- A więc Dode ma zginąć, chociaż nie zawinił? Powiadają, że trzymasz u siebie dwudziestu więźniów. Czy myślisz powiesić ich wszystkich w odwet za mord na twoich ziomkach?

- Ci, co oddali ducha, byli także twoimi ziomkami, Nicoletto - napomniał ją. - Istnieją pakta między waszym hrabią Tuluzy i królem Francji. Skończyła się wojna między Północą a Południem.

- Nie dla wszystkich - odparła cierpko.

Teraz przypomniał sobie, kim był Wilhem de Lumel. W Montauban grupa rycerzy wznieciła rebelię, jedno z tych małych, niekontrolowanych powstań, które nieustannie naruszały niełatwy pokój w Langwedocji. Zaledwie miesiąc temu miasto zostało odbite przez armię królewską. Wilhelm de Lumel - Almaryk uświadomił sobie teraz, że widział jego nazwisko w raportach - był wśród poległych. Tak zatem pana i opiekuna tej wioski nie było wśród żywych. Umarł jako człowiek wyjęty spod prawa.

- Pamiętam rebelię wznieconą przez twojego ojca. - Patrzył na nią zdumiony. - Jakże masz śmiałość przychodzić do mnie i domagać się czegokolwiek, gdy twój

ojciec zaledwie miesiąc temu poległ, stając zbrojnie przeciwko naszemu królowi.

Jakby się trochę skuliła na jego słowa.

Tu ją mam. Potrzeba jej znacznie więcej pomocy, niż wymaga tego uwolnienie jednego z jej ludzi. Włości jej ojca z pewnością obłożone są sekwestrem.

Serce się kroilo, z jaką desperacją na niego spojrziała.

- Musiałam przyjść. Nie mogłam zostać w domu, wiedząc, że Dode Perella jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- I nie ma nikogo, kto mógłby tu przyjść zamiast ciebie? - zapytał łagodnie.

Potrząsnęła głową.

- Matka zaniemogła od śmierci ojca. Zostałam ja i młodsze siostry.

Almaryk myślał i mówił szybko.

- Nicoletto, jeśli puszczyć twego sługę wolno, czy będę mógł zawitać do waszego domu?

Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Targujesz moje przyzwolenie za życie tego młodzieńca?

- Przyzwolenie? Nie, nie myślę źle, Nicoletto. Jestem człowiekiem honoru, rycerzem, hrabią. Może będę mógł ci pomóc. Wiesz, że twoja rodzina jest w niebezpieczeństwie?

- Ale po co chcesz przybyć do mojego domu?

Rozłożył bezradnie ręce, mając ochotę objąć jej drobne ramiona i nie ważyć się jej dotknąć. Miał dwadzieścia jeden lat, czas żeby myśleć o małżeństwie. Lecz zabiegać o córkę rebelianta byłoby niewątpliwie błędem. Mimo to nie mógł pogodzić się z myślą, że miałby już jej więcej nie zobaczyć. Szukał gwałtownie właściwych słów.

- Chciałbym cię poznać, być ci przyjacielem.

Zmagala się najwyraźniej z jakąś decyzją.

- Puść ich wszystkich wolno. Uwolnij tych wszystkich, których chcesz powiesić, a będziesz miał wstęp do zamku Lumel. Przyjmę cię i niech Bóg ma mnie w swej opiece.

- Ale... - Jak miał to wytłumaczyć swoim ludziom? Co powie swojemu dowódcy, konetablowi Francji Eudesowi d'Arcis?

- Nie wiesz, o jak wiele prosisz.

- To ty, panie nie wiesz, ile żądasz - odparowała zapalczywie. - Twoi ludzie zabili miesiąc temu mojego ojca. Jesteście najeźdźcami. Nienawidzę was. Nie mogę

dać tak wiele za jedno życie. Nawet Dode, którego przyjechałam wybawić, gardziłby mną. Nie, panie, uwolnisz wszystkich. Dwudziestu.

Potrząsnął przecząco głową.

- Jakże położymy kres tym zbrodniom, jeśli będziemy puszczali wolno zakładników?

- Nigdy tym sposobem nie położycie kresu zbrodniom. Ludzie będą was jeszcze goręcej nienawidzić, jeszcze więcej waszych zginie.

Była piękna w tej swojej zapalczywości. Była bystra i dzielna. Jaka też byłaby w łóżu? Była taka namiętna i pełna życia, że kobiety z jego kraju wydawały się przy niej nudne i nijakie.

- Nie wiesz, jakie gotujesz mi kłopoty, zrobię wszak to, o co prosisz. Dla ciebie. Możesz wziąć swojego pachółka, inni też wrócą do swoich domów. My będziemy ścigać morderców. Jednak tydzień nie minie, a będziesz mnie podejmować w swoim zamku.

Po raz pierwszy się uśmiechnęła.

- Uszczęśliwia mnie twoja łaskawość. Przyjmę cię, hrabio Almaryku. Powinam cię jednak ostrzec, że niełatwo mi będzie przestać cię nienawidzić.

A ja myślę, że niełatwo przyjdzie mi przestać cię miłować - pomyślał w duchu, kiedy odchodziła.

Teraz jednak siła miłości i ból, jaki zadawała, czyniły możliwymi długie podróże, kiedy nie widział jej całymi miesiącami.

- Byłam u księgarzy koło Notre Dame, żeby kupić tę książkę dla Izabelli - mówiła Nicoletta, biorąc książkę z rąk pazia i podając Almarykowi. Gestem dłoni odeśłała pazika.

Almaryk nie zareagował.

- To *Reynard Lis*, bardzo uciechająca opowieść. Czy nie masz nic przeciwko?

Była to prawdziwa męka. Mówiła prawdę, czy też pod zmyśleniem kryła się tajna schadzka z trubadurem?

Kiedy tak stał milcząc, odwróciła się ze wzruszeniem ramion ku Agnes. Doncella wzięła książkę i pomogła zdjąć Nicoletcie płaszcz.

Zbliżył się do nich pokój owiec w błękitnej tunice haftowanej w złote lilie.

- Najjaśniejsza pani prosi powiedzieć, że pokoje dla was, panie już gotowe. Czy pójdziecie, panie za mną?

Almaryk i Nicoletta zaczęli wchodzić po schodach.

- Jakże to, królowa Małgorzata wiedziała, że przybywasz, a ja nic nie wiedziałam?

- Pokojowiec mówił o królowej Blance.

- Och! - powiedziała Nicoletta, jakby to wszystko miało tłumaczyć.

Ujął ją pod ramię, zrazu ostrożnie, później zdecydowanie. Nie oponowała.

Nigdy nie oponowała, pomyślał ze złością, ale też nigdy naprawdę nie ulegała.

- Przybywasz, panie, w wielkim pośpiechu - zaczęła Nicoletta na tyle cicho, żeby nie mógł jej słyszeć idący przed nimi pokojowiec. Wpatrywała się uważnie w Almaryka. - Czy to dlatego, że cię doszły jakie złe wieści o mnie? Lękam się, że królowa matka chce cię przeciw mnie obrócić.

Gdybym tylko mógł zaufać tym niewinnym oczom.

Otworzyły się dębowe drzwi i weszli do przestronnej komnaty, w której główne miejsce zajmowało wielkie łoże pod baldachimem. Ściany zawieszono jedwabnymi haftowanymi draperiami. Cztery duże okna zostawiono szeroko otwarte, dopuszczając wiosenne powietrze. Almaryk wyjrzał przez najbliższe, spoglądając na jasne liście rosnącego w pałacowym ogrodzie płątana.

- Królowa życzy sobie, żebyście wy, panie, i hrabina siedli dziś do kolacji przy królewskim stole - zakomunikował pokojowiec.

Blanka napomknęła o tym zaraz po jego przyjeździe, dodając, że chciałaby odwieść króla od wyprawy do Ziemi Świętej. Może to jest prawdziwy powód mojej obecności tutaj?

Almaryk również zamierzał porozmawiać z Ludwikiem. Po Mont Ségur on i Hugon spędzili wiele godzin na rozważaniach, jak by jeszcze uświetnić sławę domu Gobignon. Następny krok zależał od królewskiej przychylności.

- To prawdziwy honor wieczerzać razem z królem - odrzekł Almaryk pokojowcowi.

- Zatem, Almaryku - Nicoletta odwróciła się w jego stronę - co cię do nas sprowadza?

- Zdajesz się odgadywać, że królowa Blanka pisała mi, iż powinienem mieć na ciebie baczenie. Donosi, że pozwoliłaś niejakiemu Orlandowi z Perugii obdarować się nagrodą, którą wziął w turnieju śpiewaczym królowej, i że zezwoliłaś na publiczne hołdy. To prawda?

Była o wiele niższa od męża, a jednak jakimś sposobem potrafiła spoglądać na niego wyniośle. Tak samo jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy.

- Panie, od dawna jest w zwyczaju wśród ludzi mających ogładę, że dama przyjmuje hołd trubadura. To nie znaczy że z nim zległam.

- Zamilcz - parsknął Almaryk wstrząśnięty i wściekły na myśl, że miałby być nieogładzony - to bezwstydną mowa.

- Czy nie takie są twoje myśli? Jak inaczej mam się bronić?

Nie śmiał wierzyć w najgorsze, wtedy nie miałby innego wyboru, niż ją zabić.

- Nie wątpię w twoją cnotę, Nicoletto.

- Skąd zatem ten gniew? - zapytała zimno. Patrzył na jej czerwone wargi, które chciałyby ucałować.

- Czynisz mi obrazę, okazując najmniejsze nawet łaski temu italskiemu psu.

- Jestże on ci wrogiem, panie?

I znowu kiedy spojrzął w jej wielkie brązowe oczy, zdawały się zupełnie niewinne. Jak ładnie wyglądała. Czuł ucisk w żołądku i przyspieszone bicie serca. Do diabła z kłótniami! Musi jej jednak powiedzieć, co zdarzyło się na Mont Ségur.

- Ten człowiek nawet nie jest godny być moim wrogiem, a jednak ważył się obrazić mnie wobec moich ludzi. Wątpił w moją odwagę, więc walczyliśmy. Użył niegodnych, bandyckich sztuczek, żeby mnie pokonać. Poniżył mnie, o mało nie zabił. I takiemu człowiekowi okazujesz swoje łaski.

- Słyszałam, że walczył z tobą - powiedziała ponuro. - Ale, czy wszyscy, z którymi walczyłeś, mają być przez całe życie twoimi wrogami?

- Wielu oddało życie - odparł z zadowoleniem - a ci, których poniechałem, tak, wielu z nich chciałoby mnie widzieć martwym. Ale o co innego idzie. On walczył niegodnie, więc musi spłacić dług honoru, ginąc z mojej ręki. Nie wolno ci go więc

widzieć. Na znak twojej wzgardy masz mu zaraz odesłać cokolwiek ci podarował.

- A jeśli odmówię?

To go zagniewało. Stała się harda przez ten czas, kiedy jej nie widział. Ruszył ku niej z uniesioną ręką, patrzyła na niego, nie mrugnawszy powieką. Uderzył z rozmachem.

- Będziesz okazywała mi respekt i strzegła mojego honoru.

Na bladym policzku pokazał się czerwony ślad po uderzeniu.

- Nigdy więcej nie śmieję podnieść na mnie ręki.

- Jestem twoim mężem. To moje prawo.

Spoglądała na niego jadownicie.

- Tak, twoje prawo, ale nigdy już nie próbuj go dochodzić.

- Grozisz mi?

- To nie była groźba. Żądam tylko, żebyś traktował mnie z szacunkiem. To wszystko.

- Wszystko?

Zaskakiwała go jak kiedyś odwaga i hardość drobnej młodej kobiety, która śmiała przeciwstawić się najznamienitszemu rycerzowi Francji. Znał tylko jeden sposób wyrażania tego co, do niej czuł. Położył delikatnie dłonie na jej ramionach i łagodnie popchnął w stronę łoża.

- Nie uderzę cię już, ale są inne małżeńskie powinności.

- Naturalnie, panie.

Nie było w jej głosie nuty zainteresowania, jeszcze mniej miłości. Wyłącznie powolność. Nawet po tak długiej rozłące. Pragnął jej tak bardzo, że postanowił na to nie zważać.

Leżała na wielkim miękkim łożu z oczami utkwionymi gdzieś ponad nim. Żeby nie poczuć się dotkniętym taką obojętnością, wpatrywał się w jej piersi falujące pod jedwabiem sukni. Miała chłopięce niemal ciało, gdyby nie te piersi, których krągłości lubił dotykać.

Położył się obok niej, rozpinając pas i odrzucając go precz. Sztylet, który ranił trubadura, ze szczękiem uderzył o dębową podłogę. Przysunął się, zaciskając dłoń na jej piersi. Tak długo jej nie dotykał, że poczuł ból w łędźwiach.

Rozbierał się spieszenie, podciągając do góry jej suknie. Zatrzymał się i pogładził ją czule po policzku.

Gdyby zechciała się bodaj do niego uśmiechnąć, ale ona ciągle wpatrywała się gdzieś w przestrzeń, w okalającą ich ciemność.

Pocałunki przypominały wgrzyzanie się w piękny, pozbawiony smaku owoc. Jej usta ulegały, ale pozostawały bierne.

Zamknęła oczy, oddychała głęboko jak we śnie. Ręce i nogi rozluźnione nie stawały oporu.

Zległ na niej. Była zamknięta, sucha. Dysząc, wciskał się w nią powoli. Zobaczył grymas bólu na jej twarzy i szybko zamknął oczy.

Kiedy wreszcie był już w niej, wysilek, który w to włożył, doprowadził go niemal do szczytu. Och, dlaczego ich pierwszy uścisk po tak długim czasie nie mógł trwać dłużej? Spazm spełnienia, tyleż bolesny co rozkoszny, wydarł mu z gardła długi jęk.

Leżał na niej przez chwilę, ciężko dysząc, czując, jak wiotczeje całe ciało. W komnacie było tak ciemno, że musiał wyteżać wzrok, żeby dojrzeć jej twarz. Oczy miała ciągle zamknięte, na twarzy nie pozostał żaden ślad bólu, który jej zadał. Była tak cicha i spokojna, jakby nie miała świadomości, co się przed chwilą stało.

Wyszedł z niej i położył po swojej stronie, odwrócony plecami, smutny i zły. Czemu leży tam jak na marach? Pokładał się z wiejskimi dziewczuchami, ze szlacheczkimi żonami i córkami. Potrafił doprowadzić kobietę do szczytów rozkoszy, dając niektórym tyle satysfakcji, że kończyły z histerycznym łkaniem. Dlaczego więc nie mógł dać przyjemności tej jednej, która więcej dla niego znaczyła niż cała reszta?

Jak bardzo chciał mówić z nią o tym, ale jakimi słowami? Tak jak mówi do swoich kompanów, do wiejskich dziewczek? Prostacka mowa niewiele by zdziałała. Jedyne język, jaki znał, to język, którym właśnie usiłował przemówić, a którego ona nie słyszała.

Gdybym był trubadurem, mówił sobie, który ma zawsze na podorędziu słodkie piosnki i giętki język, może zrozumiałaby i zdobyłbym jej serce. Boże, jak ja nienawidzę tych gładkich frantów, którzy potrafią znaleźć słowo na każdą sposobność - kłamliwe słowo.

Leżał na plecach, wpatrując się w ciemności, wyobrażając sobie turniej śpiewaczy, umizgi i paplaninę czarujących damy błaznów. Zaciskał i rozwierał pięści.

Ten Orlando, podstępem nastający na mój honor. Powinienem był go zabić pod Mont Ségur albo wysłać za nim ludzi, gdy wyruszył sam na północ. Ciągle jeszcze

mogę to zrobić, tu w Paryżu.

Ale ona domyśli się przecież, że to ja.

Na świętego Dominika, niechże wie!

Nie! Będzie mną gardziła, jeśli tak się to stanie. Powiniennem zabić go na oczach ludzi, wobec tych wszystkich, którzy okazali mu względy - króla, królowej, Nicoletty, całego dworu. To musi stać się podczas... turnieju.

Nie mogę przecież wyzwać go, za niskiego jest stanu. To on musi wystąpić przeciwko mnie. Tak, muszę go sprowokować. Obrazić go, zranić tak bardzo, by zapłonął chęcią zemsty.

Dam mu zatem sposobność, ale zadbam, żeby nie miał najmniejszej szansy. Wiele jest sposobów, żeby zabić człowieka w czasie turnieju, a znam je wszystkie.

- Nicoletto.

- Tak, panie - słaby głos doszedł go niby gdzies z oddali.

- Stroń od tego człowieka. Rozdrażnił mnie, nim ten rok minie, pošę go do piekła za jego heretyckimi pobratymcami. Poczul, że jej ciało sztywnieje, ale nic nie odrzekła.

W czasie kolacji z Ludwikiem i królewską rodziną Almaryk, który wyjeżdżając w pośpiechu, nie zabrał ze sobą żadnych strojów, musiał się zadowolić zdobną szatą z czerwonego adamaszku, pożyczoną dla niego przez Nicolettę od najstarszego brata królewskiego, hrabiego Roberta d'Artois. Ludwik jak zwykle przywdział proste suknie z naszytym na ramieniu krucjatownym krzyżem. Czemu król nie ubiera się, jak przystało jego pozycji?

Almaryka posadzono po jego prawej stronie, przy długim na biało nakrytym stole ustawionym w komnacie na górnym piętrze pałacu. Małgorzata siedziała po drugiej stronie, Nicoletta po prawej ręce Almaryka. Dalej zasiedli: królowa Blanka, brat królewski Robert d'Artois i hrabina d'Artois.

Krzesło z wysokim zapieckiem, na którym siedział Almaryk, dawało poczucie komfortu. Przy stołach francuskich, nawet u wielkich baronów tego kraju, siadywało się na ławach, ale królewskie bogactwa oznaczały osobne krzesło dla każdego biesiadnika. Pomiędzy uczującymi stały srebrne ze złotym damaskiną kielichy na wino, z których pito samowtór. Od niższego stołu dobiegał gwar rozmów- zasiadła

tam zwykła zbieranina księży, zakonnych braciszków, ubożego rycerstwa, których Ludwik najwyraźniej upatrzył sobie za kompanię. Zapachy pieczystego dochodzące z położonej piętro niżej kuchni sprawiały, że Almarykowi, który mało co popasał w podróży, ślina napływała do ust. Ludwik zwrócił w jego stronę ogromne okrągłe oczy i nachylił ku niemu wydłużoną twarz, wznosząc jednocześnie dzielony z Małgorzatą kielich.

- Drogi kuzynie, na długo nas osamotniłeś. Pragnąłbym coś usłyszeć o Béziers i Minervois, którymi w naszym imieniu zarządzasz, ale teraz chcę rozmawiać o czymś, co leży mi na sercu.

- Jeśli to ważne dla ciebie, sire, tak samo będzie ważne dla mnie - odpowiedział Almaryk z rezygnacją.

Odwrócił się, by obmyć dłonie w srebrnej misie, którą podsuwał mu pokojowiec. Był pewien, że Ludwik zaraz zacznie mówić o swoim świątobliwym wariactwie.

- Mówię o Jeruzalem - prawil Ludwik, a oczy mu płonęły - przyłącz się do nas, kuzynie.

Czuł, że wściekłość podchodzi mu do gardła. Mam rzucić wszystko, o co walczyłem, za co przelewałem krew i iść z tobą na szaloną wyprawę do Ziemi Zamorskiej, bo chcesz być świętym zamiast królem jak należy? Ułamał kawałek kosztownego białego chleba i napchał nim usta, by ukryć uczucia, które mogłyby odbić się na jego twarzy.

- Ludwiku, Ludwiku, poniechaj tych niekończących się opowieści o Jerozolimie - wtrąciła Blanka.

Oto wielka kobieta. Gdybyż ona rządziła tym królestwem.

- Proszę, Matko - cicho odpowiedział Ludwik - kuzyn Almaryk nic jeszcze nie słyszał.

- Mam wielkie obowiązki, sire. Sumienie mówi mi, że powinienem zostać w domu.

- Tak, twoje obowiązki są ogromne - odparł Ludwik z tym swoim przeklętym łagodnym uśmiechem. - Czy nie jesteś jednym z największych panów, parem korony? Pociągniesz za sobą setki rycerstwa, wspierając niepomniernie nasze siły. Jeśli z nami nie pójdziesz, dobry kuzynie, nasza pielgrzymka będzie niczym koń o trzech nogach.

Służba wniosła homary i gotowaną w mleku fasolę, które zaczęto zaraz podawać na stoły. Wśród zajętych jedzeniem biesiadników zaległa cisza. Królewski kucharz

Isambert uchodził powszechnie za najlepszego we Francji.

Almaryk zdawał sobie sprawę, że Blanka, Małgorzata, Nicoletta i reszta zgromadzonych u wysokiego stołu czeka, by przemówił. Jakże jednak przekonać Ludwika, że wojna przeciwko herezji w Europie ważniejsza jest daleko bardziej niż to jego pielgrzymowanie do Ziemi Świętej?

Myślał o planie, który ułożył pospołu z Hugonem. Jeśli nakłoniłby Ludwika do wojny przeciwko cesarzowi Fryderykowi, wrogowi papieskiemu, to potrzeba zjednoczenia Francji mogłaby oznaczać wielką kampanię przeciwko heretykom. On zaś jako wódz, który wziął Mont Ségur, miałby prawo żądać nieograniczonej władzy, koniecznej do ścigania i tępienia przelniewierców w całym królestwie. Działając ramię w ramię z Inkwizycją, stałby się najpotężniejszym panem Francji.

- Almaryku - odezwała się Blanka - powiedz mojemu synowi, dlaczego jego krucjata jest pomyłką.

Almaryk zwrócił się do Ludwika.

- Czy wolno mi mówić otwarcie, panie?

- Zawsze.

- Panie, jest inne święte miasto, bliższe nam, które również wpadło w ręce niewiernych - Rzym. Czy mamy przystać na to, że cesarz Fryderyk wygnał papieża z Rzymu do Lionu?

Ludwik ponuro pokiwał głową.

- Trudno na to przystać, ale równie trudno przystać na to, że papieżowi nie dość pozostawać naszym Świętym Ojcem, chce być nadto królem Italii. O to walczą między sobą. Powiadam, niech papież będzie papieżem, królowie królami.

- Sire, Jego Świątobliwość zwołuje krucjatę przeciwko Fryderykowi, naszą powinnością jest odpowiedzieć.

Wojna w Ziemi Zamorskiej nic nie przyniesie rodowi Gobignon. Będzie oznaczała straty majątności, śmierć nawet, ale gdyby Ludwik stanął do wojny przeciwko Fryderykowi, Almaryk mógłby zdobyć dość ziem niemieckich, by stać się suwerenem.

- Fryderyk nie występuje przeciw nam - odparł Ludwik krótko.

- Ani Turcy na nas nie napadają - odparowała Blanka.

- Matko - westchnął Ludwik - Jerozolima była chrześcijańskim królestwem przez co najmniej sto lat, od kiedy zdobyli ją pierwsi krzyżowcy. To nasze święte

miasto od czasów Pana Jezusa. - Skłonił głowę z szacunkiem. - Kiedy Bajbars Pante-
ra zajął Jerozolimę przeszłego roku, zwrócił się przeciw całemu światu chrześcijań-
skiemu.

- Przeciw chrześcijańskiemu światu zwraca się cesarz, kiedy atakuje papieża -
odpowiedział Almaryk.

- Papież może nazywać swoją wojnę z cesarzem krucjatą, jeśli tak chce - mówił
Ludwik - ale to tylko spór między dwoma monarchami chrześcijaństwa.

- Cesarz nie jest chrześcijaninem - nastawała Blanka.

- To szczerą prawdą - wtrącił Almaryk, wdzięczny ciotce za poparcie - z pewno-
ścią słyszałeś, panie, o testimonium papieskim na soborze lionńskim. Nazywa się go
tam, sędzę, że słusznie, Antychrystem. Fryderyk może czynić pozory, że jest katoli-
kiem, ale sprzymierza się z heretykami i muzułmanami. Ma za sobą całą armię Sa-
racenów, podpisał pakt z sułtanem Kairu.

- Te układy przywróciły Jerozolimę chrześcijaństwu na szesnaście lat - odparł
Ludwik.

- Tak, ale muzułmanie wzięli ją z powrotem - wszedł w słowo brat królewski. -
Zły to był pakt, nie można ufać Saracenom.

Robert był niemal równy Ludwikowi wzrostem, szerszy jednak dużo w ramio-
nach. Była to prosta dusza, tęskniąca za wojaczką. Almaryk dość go lubił.

Odezwała się królowa Małgorzata.

- Myślałam, że to Turcy wzięli Jerozolimę.

Niech trzyma swoją ignorancję dla siebie. Nie znosił jej prawie tak samo, jak nie
lubił Ludwika.

- To to samo, moja droga - cierpliwie wyjaśniał Ludwik

- Turcy to Saraceni, i Turcy władają Egiptem od setek lat.

W każdym razie Fryderyk nie ma nic wspólnego z zerwaniem paktów. Nie myślę
żeby był wrogiem religii. Po prostu nie chce pozwolić zawładnąć papieżowi obsza-
rami Włoch, na które tamten ma ochotę.

Spokojny upór Ludwika doprowadzał Almaryka do furii.

- Cesarz nie jest wrogiem religii? - wykrzyknął Gobignon, aż odwrócili się w ich
stronę wieczorzający przy niższym stole, nastawiając ucha na to, co miał do powie-
dzenia hrabia. - Daje schronienie heretykom i buntownikom, pozwała, by z jego

dworu dalej szerzyła się zaraza. Przenikają do Francji i zarażają naszych ludzi, Fryderyk ma swoich agentów w całym królestwie. Zauważył, że Nicoletta nerwowo wykręca palce.

- W Béziers - ciągnął Almaryk - znalazłem dowody, że heretyckie związki, jak pajęczna sieć omotały całą Europę.

Blanka dyszała.

Almaryk miał nadzieję, że nie każą mu przedstawić tych dowodów. Dla niego były dość przekonujące, ale Ludwik, przy swoich obecnych poglądach, gotów je odrzucić jako zwykłe domysły. A było tego przecież dość: katarowie i inni heretycy, trubadurzy z ich dworną miłością, którą zarazili Nicolettę, idee popierane przez Fryderyka, ataki na papieża, hardość studentów i nieposłuszeństwo pospólstwa. Coś przeżera fundament świata. Wszystko tworzy logiczny wzór, wszystko się zgadza. Musi stać za tym jeden łączący wszystkich spisek.

To oni przecież zabili mojego ojca, pomyślał, odczuwając tę samą zimną nienawiść, która towarzyszyła mu od dzieciństwa. Nie spoczne, póki ostatni heretyk nie spłonie na stosie.

- Almaryku, Almaryku - Ludwik położył mu na ramieniu dłoń o długich palcach. - Trzeba się lękać zbytnej zapalczowości, wierz mi. Czyś nie pokonał sam ostatniego zbrojnego heretyka na Mont Ségur? W przyszłości herezję zajmą się dominikanie, dobrzy kaznodzieje jak twój brat Hugon.

Świętobliwy hipokryta! Nie jemu przeniwiercy zamordowali ojca.

- Ci heretycy, którzy błędzą najbardziej, przeżyli i działają z ukrycia. Bardziej są niebezpieczni niż kiedykolwiek, panie. Słowo boże nie zwycięży bez wsparcia twych rycerzy.

- Ku czemu zmierzasz Almaryku? - zapytał Ludwik miękko.

- Jeśli chcesz, bym szedł dla ciebie na wyprawę, pójdę z ochotą. Tutaj, we Francji. Daj mi dość władzy, zaklinam cię, panie, a odkryję i zniszczę wrogów Kościoła i królestwa, gdziekolwiek są.

Ludwik spoglądał w zamyśleniu na Almaryka. Służba zaczęła podawać półmiski z dziczyzną i królikiem.

Almaryk zdawszy sobie sprawę, że może być to zwrotny punkt w jego życiu, stracił apetyt, a że zaschło mu w gardle, sięgnął po kielich stojący między nim a Nicolettą.

- Domagasz się władzy, by występować przeciwko własnemu ludowi - powiedział wreszcie król.

On nic nie pojmuje. Nie warto mówić z tym mnichem, bardziej zdałby się tu Hugon.

- Nie przeciw naszemu ludowi. Mówię o tych, którzy przewodzą heretykom. Wielu z nich działa z ukrycia. Kiedy pili się chwasty, trzeba je wyrwać z korzeniami, inaczej na powrót odrosną. Nie pozbyliśmy się korzeni herezji, jej ukryci przywódcy ciągle działają wspólnie z innymi szerzycielami fałszywych idei rozpełzających się po całym królestwie, studentami uniwersytetu, ludźmi różnych rzemiosł, trubadurami. - Kątem oka dostrzegł, że Nicoletta wpatruje się w niego, ale brnął dalej.

- I wszyscy oni wedle niego pracują dla cesarza Fryderyka, który jest tworem samego szatana.

Gdyby Ludwik dał mu posłuch, trybunały Inkwizycji byłyby wszędzie, nie tylko w Langwedocji. Działając razem, on i Hugon, mogliby zastraszyć wszystkich odszczepieńców i oczyścić to królestwo. Nikt by nie uszedł spod jego ręki, błagaliby o łaskę. Dodać do tego ziemie, które mógłby posiadać, walcząc przeciwko Niemcom, i pewnego dnia dom Gobignonów mógłby sięgnąć po koronę, którą nosili kiedyś jego przodkowie.

- Wszyscy mieszkańcy Francji są moim ludem - odpowiedział Ludwik.

- Chcę uczynić to królestwo takim, by każdy mężczyzna i każda kobieta mogli tu żyć jak dobrzy chrześcijanie.

- To królestwo musi zostać dokładnie oczyszczone, jeśli chcesz, panie, dojść swojego celu - odrzekł mu Almaryk.

Był wyczerpany. Wyłożył swoje racje, a tymczasem Ludwik zdawał się błądzić myślami w innym świecie. Tak, trzeba by tu Hugona. Duchowny przemówiłby do niego lepiej niż ja.

- Wiele jest do naprawienia - odezwał się znowu Ludwik.

- Nim ruszę na krucjatę, położę kres wszystkim nieprawościom, jakie dojrzę w kraju. Nie tylko tym, które popełnili moi przodkowie, ale i tym, których dopuściłem się ja sam i ci, którzy władają w moim imieniu.

On oszalał, pomyślał Almaryk, wszystkie te modlitwy przyćmiły mu umysł.

- Sprawiedliwe rządy oznaczają także, że należy palić więcej heretyków.

Ludwik wyglądał, jakby sprawiło mu to ból.

- Czy moje rządy mają się upamiętnić tylko takimi okropnościami jak Mont Ségur?

Almaryk czuł, że krew rozsadza mu skronie.

Przepędziłem morderczy rok pod twierdzą tych heretyków, niemal nie zginąłem z ręki jakiegoś trubadura, a on nie ma do powiedzenia więcej niż „okropności”. Jak się waży!

- Nie okropności, lecz święta powinność, mój synu - poprawiła go Blanka.

Wściekłość Almaryka nieco opadła, gdy dojrzał w jej szczupłej twarzy zapalczawy błysk. Blanka mówiła dalej.

- Powiadają, że po całopaleniu albigensów pod Mont Ségur nie został nawet ślad kości, jeszcze jeden dowód, że to dzieło szatana. Zabrał swoje dziateczki z duszą i ciałem.

- Wierzący katarscy zebrali zapewne kości jak relikwie - odezwała się Małgorzata. - Im ci ludzie zdają się świętymi męczennikami.

Almaryk dostrzegł, że Małgorzata patrzy na niego z obrzydzeniem. Ponownie zalała go gorąca fala gniewu. Zarówno dla niej, jak i dla Ludwika całopalenie to „okropności”.

- Może i wierni zebrali kości, pani. - Usiłował nadać głosowi rzeczowy ton, by tym bardziej obrazić królową. - Zaraz po tym, gdy skończyliśmy z nimi, wróciliśmy do obozu, nie kłopotąc się o kości. Moje uchybienie, że nie wystawiłem straży. Mieilibyśmy więcej heretyków i tych, co im sprzyjają.

Almaryk miał nadzieję, że to, co powiedział, było wystarczająco jasne. Małgorzata może być sobie królową Francji, ale kiedy przemawia tak jak przed chwilą, i ona może być podejrzaną. Nie żeby istniało jakieś domniemanie, że jest heretyczką, ale wszyscy ci południowcy mają tyle tolerancji dla przენiewierstwa.

- A przecież mam współczucie dla heretyków - odezwał się Ludwik - musimy spojrzeć w ich serca, modlić się za nich. Almaryku, trzeba, żebym ci to powiedział. Wiem, jak drogie ci jest dobro naszego królestwa, ale chcę już położyć kres waśniom, a nie budzić nowe.

- Kiedy pożegłujesz do Ziemi Zamorskiej, panie - odpowiedział Almaryk, nie kryjąc już gniewu w głosie - wystawisz swe bezbronne plecy na uderzenie wrogów,

wrogów Francji, wrogów Kościoła

- Rzekłem ci już, że nie myślę, by herezja była dla nas jeszcze jakimś niebezpieczeństwem. Nie chcę więcej cierpień dla mojego ludu. Dozwalam, by Inkwizycja czyniła tu we Francji swe zadanie. To dosyć - skończył Ludwik.

- Sire, Inkwizycji trzeba zbrojnego ramienia dla przesłuchań, aresztowań i karaniania heretyków. Proszę, rozważ, czy nie potrzebujemy takiego oficjum.

Wstrzymał oddech. Czy Ludwik ulegnie pod tym ostatnim atakiem?

- Nie - powiedział król, ucinając sprawę - nie, Almaryku. Nawet gdybym przychylił się do pomysłu, odciągnęłoby to ludzi od celu, jakim jest Jerozolima. Wybacz, że sprawiam ci zawód.

Szarpnęło nim. Musiał zapanować nad sobą z wysiłkiem, jakiego trzeba do osadzenia w miejscu szarżującego konia bitewnego, ale udało się.

- Dzięki, panie, bodaj za wysłuchanie mojej rady - z gardła wydobył się jakiś ochryply szept.

- Obaj pragniemy dla Francji tego, co się godzi z bożą wolą - odparł Ludwik. - A cóż z Jerozolimą, drogi Almaryku? Jesteś mi wiernym wasalem, ale nigdy nie nakazę ci przyłączyć się do krucjaty. Musisz iść z nami z własnej woli, dla zbawienia własnej duszy.

Zakipiał z wściekłości. Na świętego Dominika! Niszczy wszystkie moje plany i jakby tego nie dość, chce mnie jeszcze pociągnąć za sobą na Wschód.

- Zostaw mi, panie, czas do namysłu. Moja rodzina przez lata żyła w rozproszeniu, służąc tobie i Kościołowi. Nicoletta i ja jedziemy do zamku Gobignon. Tam naradzę się z krewniakami, za twym pozwoleniem.

Zauważył, że Nicoletta wylała kroplę wina i wpatruje się w różową plamę na obrusie.

- Masz więc moje przyzwolenie. Co z Béziers?

- Zostawiłem tam ludzi, którym można ufać. Dobrze wiem, jak zarządzać miastem, prowincją albo i królestwem, jeśli o to idzie.

- Brak mi będzie Nicoletty - odezwała się Małgorzata - ale nie mogę być samolubna, bo dość długo dozwalałeś jej być przy mnie. Nakazuję ci jednak zwrócić mi ją z końcem lata.

Poczuł, jakby ktoś wsącał mu w gardło gryzący kwas. Małgorzata będzie mu mówić, kiedy ma się cieszyć towarzystwem własnej żony, a kiedy nie. To ona, oczywiście, była odpowiedzialna za ten przeklęty turniej śpiewaczy, a i przyzwoity król powinien spędzać czas na bardziej męskich zajęciach niż zawody w pieśniach.

Nie mógł nie widzieć miłości łączącej Małgorzatę i Ludwika. Może być szczęśliwe małżeństwo między ludźmi Południa i Północy. Dlaczego nie nasze?

Myśl o męskich zajęciach przypomniawszy Almarykowi, że miał jeszcze jakieś sprawy do króla - turniej.

Ludwik przerwał mu rozmyślenia.

- Kiedy do nas wrócisz, żeby powiedzieć nam o swoim postanowieniu, kuzynie?

Dobry początek, pomyślał.

- Panie, słyszałem, że Najjaśniejsza Pani zabawiła was ostatnio turniejem śpiewaczym. To bardzo pięknie, ale twoim wasalom należą się bardziej męskie sposoby zdobywania honorów. Co powiesz na turniej rycerski tej jesieni? Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł zbrojnie się przed tobą okazać.

Ludwik otrząsnął się.

- Nienawistne mi jest sprawiać ci kolejny zawód, kuzynie, ale nigdy nie pochwalał turniejów.

Almaryk, czuł, jak chodzą mu szczęki. Nigdy w życiu nie był tak wściekły i nigdy bardziej zniewolony do ukrywania swojego gniewu.

Wypił do dna, nim znowu przemówił. Służący pospiesznie napełnił ponownie kielich.

- Słyszałem to już od ciebie, panie, ale nigdy nie pojął przyczyny. Obok bitwy, rzeczą, która cieszy najbardziej każdego rycerza godnego ostróg, jest wszak turniej.

Ludwik pokręcił głową.

- Zbyt wielu ginie w turniejach, jeszcze więcej wychodzi z nich okaleczonymi, a nienawiść, jaka rodzi się w potyczce, jest obrazą dla Boga.

Odezwał się Robert d'Artois, postukując o stół swoim kielichem.

- Bracie, mnie się pomysł Almaryka zdaje przedni. Mrowi mnie już z podniecenia i wiem, że wielu spośród twojego rycerstwa czuje tak samo. Na krucjatę

przyjdzie jeszcze parę lat czekać. Pokój korzystny jest dla królestwa, ale źle czyni tym, którzy wojują mieczem.

Dobrze, pomyślał Almaryk z nową nadzieją, ale Ludwik znowu pokręcił głową.

- Rzykować życie i zdrowie w słusznej walce jest rzeczą konieczną, lecz robić to z czystej próżności, zdaje mi się grzechem.

- To nie próżność, sire - wtrącił się Almaryk - rycerz musi się ćwiczyć w wojennym rzemiośle, by nie wyjść z wprawy. Kiedy nie ma wojny, nie ma sposobności innej niż turnieje. Prawda, trafiają się rany. Ale pomyśl, panie, ile więcej ich będzie, śmierci nawet, w prawdziwej wojnie, gdy zabraknie zaprawy. Jeśli chcesz poprowadzić francuskie rycerstwo do Ziemi Świętej, oswobodzić Jerozolimę, zapragniesz, by dobrze wojowali.

- Jeden turniej - odpowiedział Ludwik, ważąc słowa - nie czyni wszak różnicy.

- Jeden turniej królewski pchnie do miecza rycerstwo w całej monarchii. Przysporzy ci tylu co wojna bitnych rycerzy, których ci potrzeba.

Ale Ludwik ciągle kręcił głową.

- Tak, dałbym przykład, zły przykład.

Almaryk stracił już nadzieję, ale Robert d'Artois ciągle nastawał.

- Przesadzasz w tych sprawach, bracie.

- Mój synu - odezwała się Blanka - turniej królewski więcej uczyni dla potęgi tego królestwa niż zawody śpiewacze. Spytaj jakiego świątobliwego ojca, a pewna jestem, że powie, jaką jest korzyścią dla rycerzy taka próba broni.

Ludwik milczał. Almaryk wstrzymał oddech. Spojrzał na Nicolette, która przypatrywała mu się pytająco. Zastanawia się, czemu tak ku temu prę. Pojmie wkrótce. Gdyby tylko Ludwik podjął decyzję, którą podjąć powinien, którą podjąć musi.

- Przybyliby najprzedniejsi rycerze, pierwsi baronowie Francji, a może i całego chrześcijańskiego świata - mówił Ludwik - a ja miałbym sposobność powiedzieć im o krucjacie.

- Tak, tak, bracie - na wpół zapalczywie na wpół niecierpliwie potakiwał Robert

- będą aż nazbyt skorzy do walki, będziesz mógł do nich przemówić, sprawisz, że przyjmą z gotowością krzyż wyprawy.

Ludwik przytaknął

- Mogłoby tak być - uśmiechnął się uszczęśliwiony w stronę Almaryka. - Zgoda zatem, niech będzie turniej. Cieszę się, że mogłem przyjąć twą radę kuzynie. Czekam, że tej jesieni pokażesz nam swoją biegłość we władaniu bronią.

- Nie mniej niż ty panie będę wyglądał onej sposobności. - Almaryk skłonił głowę. Triumfował Będzie miał swój odwet.

Teraz tylko trzeba się upewnić, że Orlando stanie do turnieju i będzie się potykał przeciw mnie. Musi to być niezapomniane wyzwanie.

Pociągnął solidny łyk wina, tym razem z prawdziwą przyjemnością. Oparł się o wysoki zapiecek krzesła i zaczął wyobrażać sobie tę scenę: dosiada wielkiego bojowego konia, przed nim trubadur w marnej zbroi biednego rycerza. Mierzy kopią w pierś tamtego, leje się krew. Ach, wziąłem przez nieuwagę ostrą kopię. Jak mogłem się tak strasznie pomylić? Niech mi Bóg wybaczy!

Niemal zaśmiał się w głos.

Nicoletta dowie się wreszcie o moich uczuciach do niej. Nie mogę ofiarować jej pieśni, ale mogę złożyć przed nią życie ludzkie. Wiele kobiet nabiera chęci do miłości na widok przelanej krwi. Wyobraził sobie, jak Nicoletta z oczami przepęnlionymi żądzą idzie ku niemu.

Spraw Boże, by rzeczy tak się potoczyły. I z tą miłą mu myślą sięgnął ponownie po kielich.

* * *

IX

Mimo że słońce zaszło już od kilku godzin, sierpniowy skwar wypełniał cały dom i Roland schronił się w ogrodzie. Po głowie kołatała mu na wpół ukończona fraza jakiejś melodii, którą usiłował pochwycić, brzdąkając na lutni. Obok, wyjątkowo w domu tego wieczoru, siedziała Diana, słuchając jego grania.

Kuchenne drzwi otwarły się gwałtownie, Roland dojrzał w ich świetle sylwetkę kucharza Lucjana.

- Panie, raniono Perrina!

Ton głosu bardziej był alarmujący niż wypowiedziane słowa.

- Czy jakaś groźna rana? - Roland odłożył lutnię i pospieszył za Lucjanem przez kuchnię do pomieszczeń od frontu, gdzie na wielkim stole leżał okryty derką od pasa w dół Perrin.

Kiedy wszedł, muzykant jęknął, obracając ku niemu głowę. Czoło zroszone miał potem. Roland widział już przedtem ten wyraz męki i niemej prośby czający się w oczach ludzi umierających od straszliwych ran. Perrin spojrział na Rolanda i zamknął oczy, jakby tracił przytomność. Boże, nie pozwól mu umrzeć!

Adriana, Lucja i Marcin stali w nocnym przyodziewku obok stołu. W migotliwym świetle dojrzał wyraz przerażenia na ich twarzach. Po drugiej stronie stołu stał wysoki mężczyzna o ptasiej posturze. Twarz okolona długą czarną brodą, różowa tunika. Chwilę zabrało Rolandowi, nim go rozpoznał, a wtedy w głowie błysnęło ostrzegawcze światelko, nakazujące czujność. Przybyszem był Gwidon Bruchesi, templariusz, który na turnieju królowej Małgorzaty wystąpił w białym płaszczu z naszytym czerwonym krzyżem.

Święty Michale! Co tu robi ten templariusz?

Bruchesi skinął mu na powitanie, w jego oczach widać było sympatię.

- Co się stało? Czy rana groźna? - zapytał Roland bez zbędnych wstępów.

Gwidon w milczeniu uniósł derkę.

- Jezusie! - krzyknęła Adrianna, kryjąc twarz w dłoniach.

Perrin był nagi od pasa w dół, brzuch i uda miał okrwawione, sztywne i splątane od krwi włosy łonowe, pasek nasiąkniętego krwią materiału silnie owiązany wokół nasady członka. Ciemnoczerwona krew kapiała na stół.

Roland poczuł, jakby ktoś wraził mu nóż w brzuch i obracał nim. Zabije tego, kto to zrobił, zabije niechybnie.

Mały Martin wybiegł z izby, zataczając się, bliski wymiotów.

- Musimy szybko rozluźnić opatrunek - odezwał się Gwidon - zrobiłem, co potrafiłem.

Obrócił się w stronę templariusza. Jego ręce, jakby obdarzone własnym życiem, pochwytywały rąb tuniki, z której oddał czysty kawałek płótna.

- Kto to zrobił? - wykrztusił Roland.

- Później będzie czas o tym mówić, mój panie - uciął krótko templariusz. - Pozwól mi go zabrać do Temple. My templariusze znamy się równie dobrze na leczeniu ran, jak na ich zadawaniu. Chciałem wziąć go tam od razu, ale upierał się, że bym tu go przyniósł.

Perrin nawet w takim bólu próbuje mnie ochraniać. Wie, że mającąc, mógłby zdradzić moje sekrety. Boże, kocham tego człowieka. I to przydarzyło mu się w mojej służbie, z mojego powodu, wiem o tym. Jakże mu się odpłacę?

Poczucie winy szarpało mu serce.

- Sami możemy się o niego zatroszczyć - dał się słyszeć cichy, lecz zdecydowany głos Diany.

Roland gwałtownie się obrócił. W udręce zapomniał o jej obecności.

Zdjął go inny lęk - zbiegła heretyczka i katolicki mnich najpotężniejszego z chrześcijańskich zakonów. Nie wolno jej tu zostać, to zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Próbował dawać jej znaki oczami, ale nie patrzyła w jego stronę.

- Diano - powiedział ostro - pozwól mi przedstawić ci sire Gwidona Bruchesiego, brata zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa od Świątyni Salomona. Sire Gwidonie, to moja siostra Diana.

- Pani, jestem zaszczycony, że cię poznałem.

- I ja, panie, ale pozwól, żebym zajęła się tym biedakiem. - Odwróciła się do kucharza. - Lucjanie, rozpal ogień i zagrzej wodę. Napełnij kosz węglami i trzymaj w nich nóż, dopóki ostrze nie rozgrzeje się do czerwoności. Adrianno, daj czyste płótno, a Marcin niech przyniesie trzy pełne dzbany wina. - Zignorowała proszący wzrok Rolanda. - To okrutna rana, ale nie śmiertelna. Muszę iść do siebie, przynieść co potrzeba.

Krople zimnego potu spływały Rolandowi po plecach. Demaskowała się zupełnie, znajomość medycyny zaraz zdradzi w niej Doskonałą.

- Czy mąż młodej pani też tu mieszka? - zapytał Gwidon jakby mimochodem.

- Ze smutkiem muszę ci powiedzieć, że od kilku lat jest wdową. Przybyła tu z Perugii pomagać mi w gospodarstwie.

Piekące łzy napłynęły mu do oczu, gdy spojrział znowu na Perrina. Wiedział, że templariusz obserwuje go, ale nie czuł wstydu.

Przypomniał sobie, jak dwa lata temu Perrin wrócił któregoś dnia do domu, tyle że wtedy działo się to nad ranem i wesołek radośnie sobie podśpiewywał.

- Gdzieżeś bywał, u diabła? - zaatakował wtedy z udaną surowością.

Twarz Perrina promieniała czystym szczęściem.

- Nigdzie blisko diablego pomieszkania, panie. Całą noc bawiłem na pastwiskach niebieskich. Pośród całego bożego stworzenia nie ma radośniejszej rzeczy, niż pokazać młódce, której to pierwszozna, jakich uciech może przysporzyć jej własne ciało a i moje także.

Zatopiony wtedy we własnej samotności Roland raczył go jakąś cierpką uwagą o niestosowności uwodzenia dziewic, ale w głębi serca, przypominał sobie teraz, bardzo go ujęło proste szczęście Perrina.

Szczęście, którego więcej już nie zazna.

Perrinie, Perrinie cóż ci uczynili? Czemuż tak okrutnie się z tobą obeszli?

- Wdowa - powiedział zamyślony Gwidon - to dlatego nosi się czarno.

Dreszcz przerażenia przeszedł Rolandowi wzdłuż kręgosłupa. Tylko z jednego powodu Gwidona mogły zaciekawić czarne suknie Diany - z powodu skojarzenia z Doskonałymi.

Wróg tutaj, w moim domu. Czy dlatego tu przyszedł, na przeszpiegi? Czyżby Kościół zauważył już potajemne spotkania Diany?

Położył czule dłoń na zimnym, spoconym czole Perrina.

Więszym dobrodziejstwem byłoby go zabić. Kto to mógł uczynić?

De Gobignon, błysnęła odpowiedź kryjąca się dotychczas gdzieś w zakamarkach mózgu. To na pewno on. Prędzej czy później musiał we mnie uderzyć, wiedziałem o tym. Ale to tchórzostwo atakować przez Perrina.

Diana powróciła z cedrową szkatułką. Otworła ją i zaczęła dobywać słoiczki, buteleczki i pachnące ziołem białe woreczki.

Obserwował, jak szorowała dłonie w brązowej misie z gorącą wodą, aż stały się purpurowe. Nie mógł jej powstrzymać, lękał się na przemian o nią i o Perrina.

- Zdajesz się dobrze wiedzieć, pani, jak przystępować do rzeczy - skomentował Gwidon z zainteresowaniem i podziwem w głosie.

Nagle Rolandowi przyszło do głowy, że mógłby zabić templariusza. Nogi zadrżały, serce załomotało. Zakonny rycerz miał u pasa miecz i sztylet. On sam był bez broni. Miecz był na górze.

Przy tym wszystkim nie czuł żadnego zagrożenia ze strony tego człowieka, który spoglądał na Dianę z rozumnym zainteresowaniem kolegi w medycznym fachu. To on przecież uratował Perrinowi życie, przynosząc go tutaj. Roland pragnął czuć dla niego wdzięczność, ale jeszcze się nie ważył.

- Nie ma żadnej tajemnicy w leczeniu ran, sire Gwidonie, o czym zapewne musisz wiedzieć. Jeśli opatrzeć je czysto, Bóg ze swej woli zadba o resztę.

Roland z zachwytem podziwiał jej spokój. Wiedział, że Perrin był jej równie drogi jak i jemu, a przecież krzątała się koło niego z pełną rzeczowości energią i mówiła tak spokojnie, jakby prowadziła medyczny wykład na uniwersytecie.

- Jak rzekłaś, pani - zgodził się templariusz.

Przynajmniej na tyle miała przezorności, by wspomnieć Boga, pomyślał Roland z niewielką ulgą.

Przykryła Perrina derką, podłożyła dłoń pod głowę i uniosła ją tak, by mógł upić nieco wina z kubka, który podsunęła mu do ust.

Kiedy wypił wszystko, jeszcze raz podała mu na nowo napełniony kubek.

- Co za ból, na Boga - wydyszał Perrin. - Co się stało, brzuch mi rozplatali?

- On nic nie wie - Diana samymi wargami powiedziała do Rolanda.

Poczuł tępy ból w sercu, łzy spływały mu po policzkach. Ujął Perrina za ramię i spojrzał w jego szkliste od bólu oczy.

- Kto cię napadł, Perrinie?

- Musieli iść za mną od Wilhelma. Śpiewałem tę piosnkę o papieżu. Była ze mną dziewczyna. Jeden był wysoki, przygarbiony, Wstrętna twarz, dziobata. Powiedział, że lżę papieża. Zaczęli kopać. Nie pamiętam nic więcej, panie. Czy bardzo ze mną źle? Umrę?

- Nie, nie umrzesz - powiedziała Diana. - Wypij tyle wina, ile możesz, ulży ci w bólu.

Gwidon pociągnął Rolanda w kąt izby i wyszeptał:

- Byłem też u księgarza. Rozpoznałem twojego muzykanta. Rozpoznałem ludzi, którzy za nim wyszli. Paskudna kompania. Ruszyłem za nimi, ale nim zdążyłem, twój człowiek leżał już na ziemi, dziewczyna krzyczała, tamci uciekali. Kilku ze Wściekłych Psów pogoniło za nimi, ale tamci mieli konie w zaułku.

Jego opowiadanie było krótkie niczym dobry raport z pola bitwy. Mówił jak rycerz przekazujący drugiemu ważne wiadomości. Ale jak to się dzieje, że był u królowej, potem u Wilhelma, a teraz znów znalazł się tutaj. U księgarza spotykał się ludek z podejrzaną opinią, dziwne to miejsce dla templariusza.

- Kto oni?

- Dziobaty nazywa się Didier Długa Ręka. Włóczęga. Dobrze go znają w Dzielnicy Łacińskiej. Często okrada studentów. Powiadają, że ma swoją norę w ruinach opactwa Saint-Germain.

Perrin poruszył się, szukał ręką po ciele miejsca, skąd promieniował ból.

- Nie, Perrin - Diana usiłowała ująć jego dłoń, ale było za późno. Perrin trzymał rękę w pachwinie, dotykając rany zrazu z ożywionym zainteresowaniem, potem spazmatycznie zaciskając palce. Wrzeszczał, walił głową w stół, skowyczał.

Diana opasała go ramionami, mocno przyciskając do piersi. Jej spokój prysł, płacz mieszał się z krzykami gajka.

Stojący obok Diany Lucjan zamknął oczy, zasłonił uszy. I on płakał.

Każdy krzyk Perrina była dla Rolanda niczym smagnięcie bata. Cierpi z mojego powodu, myślał trubadur. Krzyki stopniowo przeszły w urywany szloch.

Diana po wielu namowach zmusiła go, by wypił jeszcze trochę wina.

- Nic nie można zrobić? - zajączał. - Nie będę już mężczyzną?

- Jesteś nadal mężczyzną, Perrinie - wyszeptła. - Zawsze będziesz, ale twoje ciało pozostanie już okaleczone.

- Przecież wy wiecie, jak położyć kres ludzkiemu cierpieniu - odpowiedział zapalczywie. - Jak sprawić, by zakończyli życie ci, których nie można uzdrowić. Uczynicie to ze mną, jeśli mnie nie wyleczycie.

Na świętego Michała! Roland poczuł lód w sercu. Tu, wobec tego templariusza! Równie dobrze Perrin od razu mógłby nazwać Dianę katarką.

- Wino zaczęło działać - powiedziała Diana. - Nie wie już nawet, kim jestem.

Roland się zastanawiał, czy templariuszowi wystarczy to tłumaczenie.

Gwidon postąpił w stronę Perrina.

- Jestem mnichem, mój synu.

Roland gorączkowo myślał, że musi coś zrobić. Jeśli Gwidon domyślił się prawdy, powinienem go zabić. Nie sprawiał wrażenia kogoś, z kim łatwo by poszło. Jak się dostać do miecza?

- Zostałeś okrutnie raniony - ciągnął Gwidon - ale nie powinieneś myśleć o śmierci. Rozpacz jest wielkim grzechem. Przyszła na ciebie chwila cierpienia. Bóg musi cię bardzo kochać, skoro wystawia cię na taką próbę.

Roland pochwycił napominające spojrzenie, które Diana posłała mnichowi, i w którym była prośba, by nie spierał się z rannym.

Perrin spoglądał z przerażeniem na Gwidona. Roland domyślił się, że tamten zrozumiał, iż powiedział zbyt wiele. Pokonany bólem i lękiem zamknął oczy i ponownie stracił przytomność w ramionach Diany.

- Lucjanie, nóż - zadysponowała.

Znowu wydawała się opanowana. Roland nie umiał powiedzieć, czy jej spokój bardziej godny jest podziwu, czy bardziej niehumaniczny i przerażający.

Co robić? Zabić templariusza, opatrzyć Perrina najlepiej jak można i umyć z Paryża jeszcze dzisiejszej nocy? Wiem, że Adriana i Lucjan nie zdradzą.

Nie, morderstwo zbyt wielkim ciężarem legnie im na sumieniu, nie będą potrafili milczeć.

Lucjan szybko dobył z węgli długi, rozżarzony do czerwoności nóż o szerokim ostrzu i podał go Dianie. Bez wahania przyłożyła go do krocza Perrina. Roland usłyszał syk wypalanego ciała.

Nieprzytomny muzykant wydał przeciągły, niesamowity jęk.

Ręka Rolanda niecierpliwie dopominała się miecza. Pierwsza rzecz, którą powinien uczynić, to znaleźć tych ludzi.

- Idź i przyszykuj mi Alezana do drogi - nakazał małemu, któremu znowu zbierało się na wymioty. Marcin wybiegł, krztusząc się, zasłaniając usta ręką.

- Rana oczyszczona - odezwała się Diana, bandażując wypalone miejsce. - Ludzie, którzy to zrobili, będą na ciebie czekać.

- To prawda, pani - rzekł Gwidon - wszyscy wiedzą, że ten nieszczęsny muzykant jest na służbie u sire Orlanda. Z łatwością przyjdzie rozpoznać tych zbójców. Czy pozwolisz, panie, że pojedę z tobą? Prawa naszego zakonu pozwalają walki tam, gdzie trzech i więcej staje przeciw jednemu. Ich jest bodaj sześciu, tak że nas dwóch to nie za wiele.

- Nie chcę pomocy - odpowiedział Roland. - To nie wasza sprawa, panie.

Mówiąc to czuł, że ogarnia go furia, tak jakby własna niewiedza pętała go jakimiś niewidzialnymi okowami. Słyszał o Długorękim Didierze, ale nie wiedział, gdzie go szukać. Mimo że jeszcze przed chwilą myślał o zabiciu templariusza, potrzebował przecież jego pomocy.

- Od kiedy spotkałem cię na turnieju królowej, żywię dla ciebie podziw i sympatię, panie Orlando. Poza tym jesteście krajanami.

W jego brązowych oczach migotało jednocześnie ciepło i ironia, jakby myślał coś przeciwnego, niż mówił, jakby wiedział, że Roland nie jest Włochem i jakby mu to wcale nie przeszkadzało. - Gdybym szybciej myślał i działał, mógłbym uratować tego młodzieńca. Pozwól mi naprawić błąd i dopomóc ci w ukaraniu tych łotrów, którzy go wytrzebili.

Roland chciał, potrzebował pomocy, ale Gwidon Bruchesi należał do wojujących rycerzy Kościoła, czy mógł mu więc ufać?

- Skąd wiesz o tych zbójcach? - nadal był sparaliżowany niepewnością i podejrzeniami.

- Jak zapewne wiesz, naszym pierwszym obowiązkiem jest dbać o bezpieczeństwo traktów podróży - odpowiedział Gwidon. - Dawno już mieliśmy baczenie na tę kompanię, jeszcze miesiąc, a mielibyśmy ich.

- W jaki sposób mogę odnaleźć i rozprawić się z bandą zbirów, którzy ukrywają się w nieznaney mi okolicy, którzy spodziewają się, że będę ich ścigał? Nie mam żadnych szans. Jedź zatem ze mną, jeśli chcesz - wypowiadał te słowa z oporem, wpatrując się w oczy Gwidona - ale narażasz się na ryzyko, stając przeciw ludziom, których naprawdę nie znasz.

- Każ przynieść łuk a jeszcze lepiej dwa, sire Orlando - odpowiedział Gwidon, puszczając mimo uszu ostrzeżenie. - To broń, która nie przystoi rycerzowi, ale od Turków nauczyłem się ją cenić.

- Ja żadnej nie lekceważę. - Roland kazał kucharzowi przynieść łuki, miecz i sztylet.

- Przyda się też bukłak oliwy i trochę gałganów - zawołał Gwidon za wychodzącym kucharzem.

Gotów do drogi Roland spojrział w zielone oczy Diany wypełnione teraz już nie-ukrywanym smutkiem i lękiem. Nie wypowiedzieli słów pożegnania, a jego znów ogarnęła męka na myśl, co też by się z nią stało, gdyby zginął dzisiejszej nocy. Czy przeżyłaby bez jego opieki?

Co z Nicolettą, o której nic nie wiedział od początku lata, zamkniętą daleko stąd, w zamku Gobignon? Nigdy nie dowiedziałyby się, że wpadł w ręce bandytów albo poległ z ręki Gwidona.

Chyba żeby Almaryk, chcąc ją ukarać, dopilnował, by doszła ją ta nowina.

Roland miał dość czasu, nazbyt wiele, żeby rozmyślać o swoich lękach, gdy jechał z Gwidonem przez Paryż. Wziął swojego najlepszego rumaka, kasztanka Alezana, który mógł pokonywać całe mile lekkim kłusem. Hełm i skórzany bukłaczek na oliwę uderzały monotennie o siodło. Ciemna klacz Gwidona nie była ani tak duża, ani nie wyglądała na tak silną jak Alezan, ale pomimo to bez wysiłku dotrzymywała mu kroku.

Minęli mury miejskie koło wieży Luwru i przemierzali teraz rive droite. Na krętych uliczkach miasta napotykali z rzadka zbrojne w halabardy patrole, które przepuszczaly ich na wieść, że mają do czynienia z rycerzami. Roland, pełen złych przeczuć co do losu Diany, Nicoletty i Perrina, nie zwracał uwagi na drogę, minęli właśnie Grand-Pont i wjechali na Cité.

Próbował dowiedzieć się czegoś o Gwidonie.

- Dlaczego wdajesz się w tę awanturę? Jak to jest, że ty - templariusz składasz pieśni niczym trubadur i zadajesz się z niebezpieczną kompanią w winiarni księgarza?

- Mogę tylko odpowiedzieć, że nasze zainteresowania znacznie są różnorodniejsze, niż to sobie ludzie zazwyczaj wyobrażają, sire Orlando.

Roland usiłował zgłębić, co tamten miał na myśli. Gwidon chyba dawał do zrozumienia, że templariusze nie opowiadali się po tej samej stronie co Almaryk i jego brat inkwizytor. Mimo całej potęgi - zamki rozciągające się od Anglii po Hiszpanię i dalej na Wschód - zakon nigdy nie walczył w Langwedocji ani nie stawał przeciwko katarom. Wielcy baronowie nienawidzili ich, ponieważ nie uznawali granic ani żadnego władcy nad sobą. Utrzymywali, że służą papieżowi, ale w rezultacie rządzą się, jak chcieli. I oni, i Roland mogli mieć rzeczywiście wspólne interesy, co mogło oznaczać, że wolno mu liczyć na Gwidona. Pomimo to wątpił, czy wiele się dowie od tego gładkiego, lecz oszczędnego w mowie towarzysza.

Przejechali przez Petit Pont, minęli Dzielnicę Łacińską i mury miejskie. Byli teraz na rue Saint Jacques, starej drodze rzymskiej prowadzącej do Paryża z południa. Minęli opactwo Świętego Gerwazego. W świetle księżyca Roland spoglądał na pola uprawiane przez mnichów, ciągnące się do granic ciemnego lasu w oddali. Muszą gdzieś tutaj na nich czekać, może któryś mierzy właśnie z łuku w jego stronę.

Dlaczego nie włożyłem kolczugi? Dlaczego Gwidon mi nie przypomniał? Uświadomił sobie, że tamten również nie nosił zbroi. Dla tak doświadczonego rycerza nie mogło być to przeoczenie. Musiał zatem uznać, że będzie nam poręczniej bez tej zawady, zdecydował Roland. Gdy przypomniał sobie, jakim ciężarem mu była, kiedy szedł uwolnić Dianę, uznał, że dobrze się stało.

W miejscu, gdzie droga przechodziła w leśny trakt, Gwidon podniósł rękę, Roland zatrzymał Alezana. Zsiedli i spętali konie. Na znak Gwidona odwiązał flaszkę z oliwą i gałgany. Nałożył hełm i zapiął pod brodą. Czuł niewygodny ciężar, mimo że hełm wysłany był wewnątrz skórą.

- Myślą, że skoro jesteś rycerzem, będziesz galopował tą drogą bez zatrzymywania - mówił Gwidon nakładając swój hełm. - Moim nieszczęsnym obowiązkiem było walczyć z wieloma podobnymi do tych. Pewien jestem, że czają się gdzieś w zasadzce niedaleko stąd. Widzisz to wzgórze na horyzoncie? To tam Didier i jego ludzie mają swój „kasztel”.

Roland zaczynał lubić Gwidona, podobało mu się jego poczucie humoru, inteligencja, znajomość rzeczy. Przyzwoliłem, myślał, by przejął dowodzenie tą małą wyprawą wojenną i nawet tego nie zauważyłem. Nosi się władczo, obym tylko nie mylił się w uczuciach, jakie do niego żywię.

Stąpając ostrożnie, z lukami w dłoniach zamiast na ramionach, żeby nie zaczęły o gałęzie, szli przez zarośla wśród starych dębów o olbrzymich pniach.

Doskonałe miejsce na zasadzkę. Mrowie przeszło Rolandowi po plecach. Powietrze było spokojne i ciężkie. Nawet teraz, późno w nocy, tunika lepiła się do ciała.

Po kilku chwilach, które wlokły się niczym godziny, zaczęli się wspinać na wskazane przez Gwidona wzgórze. Pomiędzy drzewami mógł dostrzec nagi szczyt wzniesienia.

Gdzieś za jego plecami dzwony od Świętego Gerwazego wydzwoniły swój srebrzysty nokturn. Trzy godziny po północy. Zanim braciszkwowie wstaną rankiem śpiewać laudy, on będzie już może martwy.

Jeśli jednak szczęście dopisze, złapie te psy.

Kiedy wspięli się wyżej, ciągle jeszcze pod osłoną drzew, Roland spojrzął w górę i zobaczył, że tarcza księżycy świeci wprost nad ich głowami. Na szczycie wzgórza

dojrzał kilka wznoszących się ponad kamiennym rumowiskiem kolumn, zrujnowanych, ale ciągle jeszcze pełnych uroku, kiedy blado połyskiwały w świetle księżyca. Widział, że w dawnych czasach Rzymianie wznosili tutaj swoje domy. Pomiędzy marmurowymi kolumnami zobaczył drewnianą chatę.

- Zostawili bez opieki swoje kobiety i konie - powiedział cicho Gwidon. - Zatakujemy nie tak, jak się godzi rycerzom.

Przycupnęli na skraju lasu, oblali gałgany oliwą, po czym przymocowali je do ostrzy strzał. Gwidon potarł hubkę, zapalił świecę, osadził ją w ziemi. Przez moment w jej świetle Roland dojrzał pośród trawy jakąś twarz, fragment posągu, nos i uśmiechnięte chłopięce usta. Poczul się dziwnie, jakby obserwowali ich dawno temu zmarli ludzie. Zapalili strzały w płomieniu świecy. Rolandowi zdawało się, że w każdej chwili napadną na nich kryjący się gdzieś w pobliżu zbójcy. Napiął strzałę i wycelował, wstrzymując oddech, dopóki nie zwolnił cięciwy. Zamrugał i kiedy spojrzął ponownie, ognista kula spadła na dach chałupy.

Wierzyć się nie chce, że udał mi się tak celny strzał. Tak dawno nie miałem łuku w rękę. Poczul nagły przyływ radości. Zadzźwięczała cięciwa łuku Gwidona, tymczasem Roland zapalał już następną strzałę. Jeden po drugim płomienne pociski pomykały w stronę chaty wśród ruin. Lato było suche a schronienie bandytów wyglądało na sklecone ze starego drewna. Niemal natychmiast migotliwa poświata zalała kolumny pomarańczowym blaskiem. Kobiety podniosły krzyk, rżały związane konie. Po krótkiej chwili usłyszeli przekleństwa i nawoływania, jacyś ludzie biegli do lasu po drugiej stronie wzgórza.

- Przepędziliśmy ich - odezwał się Gwidon.

Pod osłoną ruin podczołgali się bliżej ognia. W upiornym świetle Roland dostrzegł zarysy ludzkich sylwetek, nagie kobiety, tak jak się zerwały ze snu, mężczyźni mocujących się z wystraszonymi końmi.

- Patrzcie, wygląda na to, że to rycerska robota! - krzyknął jeden z nich.

To oni! Ci, którzy okaleczyli Perrina. Przy świetle ognia i księżyca nie widział ich zbyt wyraźnie, ale nienawiść rozsadyła pierś, paliła w gardle. Chciał ruszyć na nich z mieczem.

Jakby czytając w myślach Rolanda, Gwidon chwycił go za ramię w powstrzymującym geście. Ciemne postacie biegały wokół chałupy w poszukiwaniu napastników.

Roland dobył następną strzałę i napiął luk. Ze swojego miejsca za zrujnowanym murem mierzył, klęcząc w człowieka trzymającego za uzdy dwa konie. Puścił strzałę, mężczyzna padł z krzykiem. Roland zaklął, gdyż strzała, która poszła nieco bokiem, zaledwie zraniła przeciwnika. Uwolnione konie pogalopowały w las. Ponośnie zadźwięczała cięciwa łuku Gwidona i ten, którego trafił przed chwilą Roland, szarpnął się, po czym znieruchomiał. Pozostali rozpierchli się w pośpiechu po okalających chatę zaroślach.

- Musimy teraz iść za nimi - powiedział cicho Gwidon.

Roland skinął głową, koniecznie chciał się z nimi spotkać. Twarzą w twarz. Wstali, Roland dobył miecza, usłyszał, że Gwidon czyni to samo. Ogromny ciężar broni równoważyła metalowa kula u nasady rękojeści, miecz dobrze leżał w dłoni. Zaczął nim wywijać dla rozluźnienia ramion i pleców.

- Napijesz się teraz krwi - przemówił do miecza.

- Tam są, dwaj! - krzyczał jeden ze zbirów, wskazując w ich stronę, gdy wyszli zza rumowiska. Jakaś kobieta pisnęła przerażona.

- Precz stąd, suki! - wrzasnął inny. - Do lasu! - Blade, nagie postacie zniknęły między drzewami. Bandyci nawoływali się pokazując na Rolanda i Gwidona. Pomimo siły, jaką dawał mu gniew, Roland poczuł dziwny ucisk w żołądku. Pięciu przeciwko dwóm. Zaszlachtują nas jak barany.

Posuwali się obydwoj równocześnie, jak na komendę, miecz Gwidona odchyłony lekko w lewo, Rolanda w prawo.

Pięciu zbójów stanęło w szeregu. Dwóch miało długie błyszczące miecze. Rozstępowali się powoli na boki, próbując oflankować nacierających. Roland miał wrażenie, że jest nagi bez swojej kolczugi. Jeden z bandytów postąpił nieco do przodu, w rękę trzymał wielki kij. Światło księżyca błysnęło na zębach wyostrzonych wideł, w które uzbroidł się inny. W środku stał najwyższy, wywijając drwalskim toporem tak wielkim, jak te używane w walce.

Roland zatrzymał się, żeby ocenić sytuację, Gwidon zrobił to samo. Rośli, silni, młodzi mężczyźni o zawziętych, pełnych determinacji i pewności siebie twarzach.

- Przychodzisz z pomocnikiem, panie Brzęczylutnio? - zawołał mężczyzna z toporem. - Dobrze, będzie przed świtem dwóch mniej rycerzy na świecie.

Roland nic nie odpowiedział, ale pomyślał: obyście wy, sobacze nasienie, nie musieli skowyczeć o łaskę do Boga, że podnieśliście rękę na Perrina, kiedy was dostanę.

Zaczął się znowu powoli posuwać, stąpając ostrożnie. Na szczycie pełno było kamieni, o które łatwo było się potknąć.

Gdy Roland zbliżył się dostatecznie blisko, zobaczył, że twarz najwyższego ze zbójów oszpecona jest bliznami po ospie. To ten, którego Bruchesi opisał jako Długorękiego Didiera.

Ostrożnie! Muszę uważać, dopóki nie zaczną mówić.

Rozmyślnie skierował się w stronę Didiera.

- Chodź tu, panie Brzęczy lutnio, podejdź no - pokpiwał Didier, potrząsając toporem. - Więcej jeszcze stracisz niż twój pacholek.

Nagle ruszył na niego człowiek ze sztyletem, korzystając, że Roland skupił uwagę na Didierze. Poczul, że ostrze rozcina mu tunikę i tnie po żebrach.

Odskoczył w tył, zaparł się i wkładając całą siłę w ciężar żelastwa, zamachnął oburącz mieczem. Człowiek ze sztyletem usiłował się uchylić, ale Roland zrobił wypad całym ciałem i miecz trafił w ramię u nasady szyi, tnąc przez głowę, bark i ramię. Miecz był tak ostry i ciężki, że ledwo czuło się opór ustępujących pod ciosem mięśni i kości.

Usłyszał z oddali lament kobiet obserwujących walkę zza drzew.

Poczul nagle silny cios z tyłu w okolicach lewego barku. Ból tak dojmujący, że omal nie wypuścił z rąk miecza.

- Dobrze uderzenie, Janie - krzyknął Didier. - Skończ go. Rozwal mu leb!

Prawe ramię zdrętwiało. Pomyślał, że pewnie ma złamany bark, ale wściekłość ciągle była silniejsza niż ból.

Chwiejąc się na nogach, z mieczem w lewej ręce, odwrócił się w stronę napastnika. Z trudem uniósł broń jedną ręką, akurat na czas, by odparować drugie uderzenie olbrzymiego kija. Słyszał, że Gwidon ściera się z właścicielem widel.

Kij wybił ostrze miecza w dół. Dźwięk stali zabrzmiał jak okrzyk rozpacz. Pomyślał przez moment, że uderzenie złamało miecz, ale jego koniec uderzył o ziemię, zagłębiając się pośród traw.

Poczuł przejmujący ból w lewym ramieniu, ciągle jednak mógł utrzymać rękojeść miecza.

Bandyta natarł ponownie, oburącz wywijając drągiem. Roland wiedział, że żaden hełm nie ochroni czaszki przed takim ciosem, prędzej zmiażdży mu głowę jak skorupkę jajka.

Usiłował rozpaczliwie unieść miecz, chcąc się osłonić.

W tym momencie bandyta zawył z bólu i puścił kij.

W jego brzuchu błysnęło stalowe ostrze. Zbój raz jeszcze zaskowyczał, pochylił do przodu i padł u stóp Rolanda. Gwidon wyciągnął swój miecz z pleców tamtego.

Roland czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Zdążył uśmiechnąć się do Gwidona na znak podzięki, gdy zobaczył, że Didier naciera na niego z toporem uniesionym wysoko nad głową. Pochwyił ponownie miecz oburącz i stwierdził, niech świętemu Michałowi będą dzięki, że ma jeszcze dość siły w ramieniu. Plecy dokuczały okrutnie, ale próbował zapomnieć o bólu. Uniósł miecz, powoli cofając się przed Didierem. Tamten z nieartykułowanym rykiem skoczył ku niemu, mierząc w głowę. Uniesionym mieczem z całej siły odparował uderzenie topora, siekąc w jego trzon. Rozległ się głośny trzask, topór poszybował w powietrze. Roland usłyszał, jak łamie gałęzie krzaków, padając gdzieś w ciemnościach. Rozbrojony Didier cofał się flankowany przez dwóch pozostałych kompanów. Dyszeli niczym zajeżdżone konie. Roland i Gwidon też sapali z wysiłku, ale ani myśleli zaprzestawać walki.

Oczy bandytów wypełniło przerażenie.

- Teraz wiecie, co znaczy stawać przeciw rycerzom - szydził Roland.

Didier rzucił w trawę ułamaną rękojeść topora. - Dopraszam się łaski, dobrzy panowie - rzekł potulnie.

Dwóch pozostałych odrzuciło na te słowa widły i sztylet.

Roland spojrział w ciemności skrywające las poniżej szczytu wzgórze, ale nie dojrzał już śladu kobiet, które tam umknęły.

Zwrócił ponownie wzrok na bezbronnych mężczyzn.

- Tak lepiej - powiedział zmuszając się do uśmiechu, chociaż ciągle jeszcze wzbierała w nim nienawiść do łotrów. - Nie o was jednak mi idzie. Powiedzcie tylko, kto wam zapłacił, byście wytrzebili mojego muzykanta.

- Przysięgłem, że będę milczał - odpowiedział Didier.

- Zapewne poprzysiągłeś i zapewne słowny z ciebie człek, czyż nie tak? - mówił Roland starając się, by to, co mówi, brzmiało przyjaźnie. Zbliżył się do niego tak, że czuł cuchnący pot tamtego.

- Nazywają cię Długoręki, tak? Didier Długoręki. Zobaczymy, czy mówią prawdę. Wyciągnij prawą rękę, niech zobaczę, jaka ona jest.

Didier zawahał się, Roland z uśmiechem szturchnął go w żebra końcem miecza. Tamten powoli podniósł ramię, patrząc lękliwie na Rolanda.

- Na świętego Mikołaja - wykrzyknął Roland w udanym podziwieniu - ależ jest długa!

Błyskawicznie podniósł miecz i ciał nadgarstek wyciągniętej ręki. Siła uderzenia rzuciła Didiera na kolana. Roland stał nad nim z mieczem skierowanym w pierś tamtego.

- Powiesz mi, co chcę wiedzieć, albo będziesz miał krótszą zaraz i drugą rękę, potem nogi.

- Powiem wam, panie - łkał Didier - to rządcą hrabiego de Gobignona. Panie, proszę, miejcie litość nade mną. Nie pozwól, żebym się wykrwawił. Oddam całe srebro, które dostaliśmy jako zapłatę.

Almaryk. Roland widział niemal bladą, butną twarz hrabiego de Gobignon. Więc on, ale dlaczego w ten sposób? Nie jest tchórzem, żeby uderzać przez wynajętych zbirów. I dlaczego ci biedni, głupi prostacy? Są przecież bieglejsi mordercy w królestwie Francji.

- A więc hrabia was wynajął, żebyście okaleczyli mojego muzykanta?

Ale Didier za całą odpowiedź jęczał, wijąc się z bólu.

- Rządcą mówił, że mamy się na was panie przyczaić i czekać - odezwał się z wahaniem drugi zbrojny - bo niechybnie pospieszycie pomścić waszego człowieka. Mówił, że chcecie stawać przeciwko hrabiemu w królewskim turnieju za miesiąc. Hrabia uważa, że jesteście niegodni, panie, aby się z nim potykać i umyślił wcześniej się was pozbyć.

Przecież nawet nie pomyślałem jeszcze o turnieju. Serce paliło, krew wrzała. Pojmuję. Zaplanował, że albo zginę tutaj niechlubnie w lesie, albo jeśli przeżyję, sprowokuje mnie tylko, bym go wyzwiał. Tak czy inaczej zastawił na mnie pułapkę. Pokazał swoje pazury. Pazury, które na zawsze okaleczyły Perrina.

- Nie wykrwawisz się na śmierć - odezwał się do Didiera Długorękiego.

Na wykrzywionej bólem twarzy zbója na chwilę błysnęła cień nadziei. Roland zadał cios.

Ten, który opowiedział o planach Almoryka, wrzasnął przerażony.

- Czyście myśleli, że was puszcze żywcem po tym, coście uczynili Perrinowi? - opuścił miecz i rozplątał na pół głowę krzyczącego.

Ostatni ze zbójów rzucił się do ucieczki.

Roland schował miecz i dobył sztyletu. W jasnym świetle księżycy uciekający stanął łatwy cel. Zamierzył się, uważnie celując w środek pleców biegnącego i rzucił sztyletem, gdy zbior dobiegał do pierwszych drzew. Tamten padł z przeraźliwym krzykiem. Leżał jęcząc, kiedy Roland zbliżył się do niego. Stał, wyciągnął sztylet z rany. Obrócił ciało stopą. W oczach umierającego widział refleks księżycy i tę samą mękę, którą zobaczył wcześniej w oczach Perrina.

- Proszę... - zbój dławił się własną krwią.

- Proś Boga, by ci wybaczył, kiedy go ujrzysz - odpowiedział Roland - ja nie mogę.

Ukląkł i przeciągnął sztyletem po szyi umierającego. Pragnął, by żyły, które otwiera, były żyłami Almoryka.

Kilkakrotnie wbił sztylet w ziemię, żeby go oczyścić, po czym schował do pochwy. Odszedł spiesźnie, nie chcąc być świadkiem walki tamtego ze śmiercią.

Gwidon czekał na niego koło zwęglonej chaty. Powietrze wokół wypełniał ciężki zaduch spalenizny.

- Niech ich Jezus Chrystus przyjmie miłosiernie - powiedział Gwidon. - To bezrozumne dusze, które w życiu nie zaznały nic dobrego. Możemy chyba zdać pochówek na kobiety. Bardziej jesteś okrutny, niż myślałem, sire Orlando.

- Nie - odpowiedział Roland czując, że ścisza mu się żołądek na samą myśl, że właśnie zabił czterech ludzi i że jednego z nich najpierw tortuował. - Gdybym był naprawdę okrutny, zrobiłbym to, co uczynili mojemu Perrinowi.

Odwrócił się, czując, że nie potrafi spojrzeć Gwidonowi prosto w twarz, i poszedł pierwszy lasem w kierunku drogi, którą przybyli.

- Naprawdę myślisz, że wytrzebić człowieka to gorsze niż śmierć? - zapytał Gwidon. - Ślubowałem czystość dla Jezusa i moje życie jest radosne. Przeważnie.

- Wybrałeś życie w czystości - odpowiedział Roland ze złością - ale ciągle jesteś mężczyzną. Możesz złamać śluby, kiedy zechcesz, jak czyni większość duchowieństwa. Nie praw mi tedy kazań.

Zaczynał jednak czuć wstręt do siebie za to, co właśnie zrobił.

- Myślisz więc, że Perrin miał rację, chcąc umrzeć? - nastawał Gwidon.

Roland znieruchomiał, po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Gwidon wystawiał go na próbę. Pamiętał, co mówił Perrin i co zdradziło Dianę. Prawda, że Gwidon przed chwilą walczył u jego boku, ocalił mu życie, był jednak katolickim mnichem i Roland ciągle mu nie ufał. Czy nie lepiej byłoby rozstrzygnąć to teraz, gdy obaj są przy broni i kiedy nie ma świadków?

Obrócił się raptownie w stronę Gwidona z dłonią na rękojeści miecza.

- Czekaj że, próbujesz dowiedzieć się, czy ze mnie heretyk?

Gwidon też przystanął i spoglądał na Rolanda, ale nie wykonał żadnego ruchu, by dobyć broni.

- Wiem dokładnie, kim jesteś, Orlando - odpowiedział cicho. - Twoją prawdziwą religią jest *l'amour courtois*. Jesteś wedle chrztu katolikiem, ale więcej wątpisz, niż wierzysz. Nic mi do tego wszystkiego. Ważne dla mnie, że jesteś dobrym człowiekiem i wiernym tym, których kochasz. Próbowałem dzisiaj w nocy być ci przyjacielem i nadal będę próbował, jeśli mi zaufasz.

Roland zdjął dłoń z miecza. Mógł w świetle księżyca dojrzeć oczy Gwidona. Kryła się w nich tajemnicza głębia, ale była w nich również uczciwość. Poczul sympatię dla templariusza. To, co przeżyli dzisiejszej nocy, było jakby zawarciem braterstwa krwi.

Ciągle pozostawało tyle pytań. Pytań, na które - wiedział o tym - templariusz nie odpowie.

Wzruszył bezradnie ramionami.

- Chcę ci ufać, Gwidonie, ale to trudne.

- Wiem - przytaknął Gwidon. - My, templariusze, mamy swoje tajemnice i dlatego ludzie są podejrzliwi. Wszystko, o co mogę cię prosić, to byś sądził mnie podług tego, co czynię, a nie co podejrzewasz. Poznasz nas po owocach naszych. Klnę ci się

na moje śluby Ubogiego Rycerza Chrystusa od Świątyni Salomona, że nigdy cię nie zdradzę i będę ci wierny do śmierci.

Wyciągnął prawą dłoń, którą Roland ujął i mocno uściśnął. Poczł tak silną sympatię dla tego człowieka, że odwrócił się zaambarasowany.

- Pomówmy o twojej przyszłości - odezwał się Gwidon, gdy dalej schodzili ze wzgórze. - Czy zdajesz sobie sprawę, że te łotry to była tylko pierwsza ze śmiertelnych zasadzek, które gotuje ci twój wróg? Teraz będzie oczekiwał, że go wyzwiesz.

- Hrabia Almaryk popełnił błąd - odpowiedział Roland. - Walczyłem już z nim i oszczędziłem go. Tym razem tego nie uczynię.

- Chce, żebyś stawał w turnieju przeciw niemu. Chce ci zadać śmierć na oczach ludzi, wobec hrabiny. Wiesz o tym?

- Tak, jestem tego pewien.

- Wieleś się potykał? - dopytywał Gwidon.

- Trochę.

- Trochę. - Powtórzył Gwidon z przekąsem.

- Mniej niż inni rycerze. Szczerze mówiąc, zawsze zdawało mi się to nierozumnym zajęciem. Od dziecka walczę o swoje życie i nie widzę potrzeby czynić z walki zabawy.

- Niezłe sobie radzisz w walce, ale do turnieju trzeba innego rzemiosła, a Gobi-gnon uchodzi w całym chrześcijańskim świecie za jednego z najtęższych przeciwników. Wielu rycerzy pokonał w turniejach po całej Europie. Wielu zabił. Wbrew regułom, ale jest mistrzem w czynieniu tego jakby wypadkiem. I ty chcesz stawać przeciw niemu, z twoim mizernym doświadczeniem? Przecież on na to tylko czeka. Sprawił, że tracisz rozum z nienawiści do niego.

- Tak, zmusił mnie do walki. - Czuł silne pragnienie pokonania Almaryka. - Chyba bardziej jeszcze go nienawidzę niż on mnie.

Gwidon coś mruknął.

- Jak przepędzasz czas, sire Orlando?

- Układam pieśni. Śpiewam w domach wielkich baronów i możnych. Z pomocą paryskich magistrów badam tajemnice filozofii naturalnej. No i ćwiczę się w robieniu broni.

Dość mizernie zabrzmiało mu to zdawanie sprawy z własnych zajęć. Tak mało czynił, co mogło być ważne. Wydawało mu się, że ten wspaniały człowiek gotów nim wzgardzić.

- Jeśli chcesz żyć dalej, rzuć lepiej wszystko inne i ćwicz dzień i noc. Królewski turniej wypada na dwa dni przed końcem września, miesiąc z okładem od dzisiaj. Jeśli chcesz, zajmę się tobą, udzielię kilku wskazówek z książki doświadczeń templariuszy. Może nawet będziesz mógł korzystać z naszego placu ćwiczeń. - W głosie Gwidona zabrzmiała ojcowska niemal nuta.

Roland popatrzył na swojego nowego przyjaciela, jak na człowieka, na którego mógł teraz liczyć w najczarniejszej nawet godzinie.

- Będę ci wdzięczny.
- Nie myśl o zabijaniu. Zwycięstwem będzie, jeśli wyjdiesz z tej potyczki z życiem, a najlepsza rada, jaką mogę ci dać, to byś w ogóle zapomniał o turnieju.

Roland się roześmiał.

- Taka przezorna przestroga w ustach templariusza? Myślałem, że templariusze nigdy nie ustępują pola.

- Walczymy dla Boga, mój panie. Czy masz równie znaczny powód?
- Mam - odpowiedział, widząc w ciemnościach błyszczące oczy Nicoletty - walczę dla Miłości.

* * *

X

Z kopią wniesioną ku niebu Roland na Alezanie zbliżał się do areny. Jechał powoli wzdłuż różnokolorowych namiotów, które niczym kwiaty rozkwitły na skraju wielkiej łąki na północny-zachód od Paryża. Obok szedł Perrin, prowadząc za uzdę bojowego rumaka. Przez szpary w przyłbicy widział długie, sięgające piersi ogrodzenie otaczające arenę długą na dwieście i szeroką na pięćdziesiąt kroków.

Duży cylindryczny hełm obracał się niezgrabnie, kiedy ruszał głową. Widział przez jego szpary tysiące paryżan zebranych na wzniesieniach wokół areny. Gapie usadowili się nawet na pobliskich drzewach. W centralnym miejscu ustawiono drewnianą, malowaną na zielono i czerwono galerię. Przyglądał się zasiadającym tam setkom szlachty i bogatych mieszczan w kolorowych, bogatych strojach zdobionych złotem i klejnotami.

Wdychał głęboko czyste, chłodne jesienne powietrze, w którym unosił się zapach oliwionej stali, końskiego potu i trawy. Święty Michale, dzisiaj twoje święto, dopomóż mi pokonać Almaryka, a napiszę dla ciebie pieśń, modlił się w duchu.

Czuł siłę przenikającą ramiona i uda. Po ranach zadanych ponad miesiąc temu przez zbirów nie pozostało już śladu.

- Zadaj cios za mnie, panie - zawołał Perrin.

Roland pomyślał, że jego muzykant ciągle cierpi, że jego rana nigdy się nie wygoi, ale pomału odzyskiwał dawny humor. Niech go Bóg błogosławi. Dzisiaj jest twój dzień, mój biedny Perrinie. Dla ciebie zabiję de Gobignona. Wbrew tej obietnicy wiedział, że nie może być niczego pewien, nawet tego, czy ujdzie z życiem.

Otwarto przed nim wrota w zachodniej stronie ogrodzenia. Rozległ się tętent kopyt Alezana uderzających o ubitą ziemię zjeżdżoną przez dziesiątki potykających

się tu poprzedniego dnia. Jak nakazywał zwyczaj, Roland podjechał sto kroków, na środek pola, w stronę galerii i stamtąd pozdrowił króla.

Ludwik siedzący na krześle z wysokim zapiekiem, z Małgorzatą u boku uśmiechnął się i odpowiedział gestem dłoni. Na jego widok Rolandowi zrobiło się cieplej i raźniej na sercu. Pomyślał, że langwedocki banita nie powinien żywić żadnych ciepłych uczuć dla króla Francji, a jednak nie mógł zapomnieć, jak miły był dla niego Ludwik w czasie turnieju śpiewaczego Małgorzaty.

Nicoletta siedziała pomiędzy damami z tyłu za królową. Na jej widok poczuł się niepewnie jak łupina na wezbranym morzu. Uśmiechała się promiennie w jego stronę. Ileż w niej odwagi, pomyślał. Wie, że przyjdzie jej dzisiaj utracić albo jego, albo mnie a przecież się uśmiecha.

Słyszał głosy ludzi dopytujących się wzajemnie o niego. Kim jest ten rycerz w rudym surkocie, który to ród ma w herbie srebrnego gryfa na czarnym polu?

Po chwili posłyszał nowy pomruk zdziwienia idący z galerii. Ach tak, dostrzegli szarfę. Zapewne wielu z nich zna jej historię.

Dotknął z czułością błękitnej materii w złote półkola owiązanej wokół prawego ramienia, na naramienniku zbroi. Z delikatnego jedwabiu zdawała się promieniować jakaś siła przenikająca koniuszki palców i wypełniająca całe ciało.

Jakiś tydzień temu oddała mu szarfę, by nosił ją na znak miłości. Trzymał Nicolettę w ramionach o zmierzchu na cmentarzu na północ od murów miejskich. Było to ich pierwsze spotkanie po lecie, które spędziła w zamku Gobignon. Radość prysła, gdy powiedział o Perrinie i zemście, jaką poprzysięgli hrabiemu razem z Gwidonem.

Nie odezwała się. Stała patrząc w przestrzeń, brązowe oczy płonęły gniewem. Potem sięgnęła ku stanikowi sukni i dobyte szarfę.

- Nakazał mi, bym ci ją zwróciła. Noś ją dumnie w czasie turnieju.

Te słowa przyprawiły go o dreszcz. Będzie się dla niej potykał, dla niej i dla Perrina. Zbyt się narażała.

- Wiesz lepiej niż ktokolwiek, jakim człowiekiem jest Almaryk. Wiesz, co gotów uczynić, jeśli przyjmę szarfę.

- Jeśli będzie mi groził, świat dowie się, jak bardzo skrzywdził niewinnego człowieka, a wtedy zobaczymy, czy król będzie chciał mieć w nim konetabla Francji.

Słyszając te słowa, był tak zaskoczony, że zapomniał na chwilę, jak bardzo się lęka o nią.

- Konetabl Francji, a wiec aż tak wysoko Almaryk mierzy?

- Sięgnąłby i po koronę, gdyby mógł - odpowiedziała kiwając ze smutkiem głową. - Bliski jest tej myśli. Eudes d'Arcis jest już za stary, żeby dalej dzierżyć buławę. Almaryk mówił mi, że jest pierwszym spośród jego następców.

Wściekły, mroczny gniew porwał Rolanda. Almaryk na czele wojsk całej Francji? Niedoczekanie!

Teraz, sam pośrodku areny, czuł ucisk w żołądku i dziwił się własnej popędliwości. Czyż nie widział dzisiaj rano, jak Almaryk pobił po kolei dziesięciu rycerzy? Trzech zniesiono z pola nieprzytomnych. Później doszła go wiadomość, że jednemu z pokonanych trzeba było płatnerza, by rozciął zgruchotany hełm. I z tym człowiekiem chcę się nie tylko potykać, ale jeszcze go pokonać?

Cóż, najprzód muszę mieć prawo wyzwąć go.

Ponownie pokłonił się królowi odzianemu w ten sam błękitny surkot i tę samą zbroję co w czasie prezentacji rycerstwa, którą przyjmował dzisiejszego rana w towarzystwie starego konetabla d'Arcisa.

Spośród grupy muzyków i dworskich kancelistów zebranych poniżej galerii wystąpił herold w żółto-niebieskich barwach króla i zapytał o imię Rolanda.

Kiedy umilkła fanfara odtrąbiona przez trzech trębaczy, herold okrzyknął: - Sire Orlando z Perugii pozywa sire Enguerranda de Coucy!

Roland odwrócił się, by spojrzeć na człowieka, którego wyzwiał. Sire de Coucy, który właśnie pokonał ostatniego przeciwnika, siedział w siodle, oczekując na wyzwanie, po wschodniej stronie pola. Roland z niepokojem czekał jego odpowiedzi. Co będzie, jeśli nie zechce stanąć do walki ze mną? De Coucy to wszak jeden z najpotężniejszych rodów w królestwie, a ja jestem tylko rycerzem znikąd. Nie, nie może

odrzuć wyzwania. Jest tylko młodszym synem głowy rodu, bez tytułu i ziemi.

Przed Coucym na ubitej ziemi stawali tylko baronowie noszący stare i sławne nazwiska. Zwyczaj dozwalał im odrzucić wyzwanie nieznanego człowieka. Enguerrand de Coucy był pierwszym przeciwnikiem, z którym Roland mógł się wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mierzyć.

Pamiętał jego starszego brata, Raula de Coucy, głowę rodu, tak dla niego grzecznego w czasie turnieju śpiewaczego. Wiedział o Enguerrandzie tylko tyle, że cieszy się sławą tego rycerza, który ma na swoim koncie wiele zwycięskich turniejów. Dzisiaj też pokonał w polu dwóch zawodników.

De Coucy powoli nachylił kopię, kierując ją w stronę Rolanda. Przyjął wyzwanie.

Po raz ostatni spojrzął na Nicolettę i podjechał na swoje miejsce. Alezan niecierpliwie parskał i bił kopytami.

- Spokojnie, mój przyjacielu - przemówił Roland.

Uniósł w lewej ręce ciężką tarczę, osłaniając się od kolan po brodę. Potrząsnął głową, poprawiając hełm.

Na galerii zaległa cisza. Setki pospólstwa cisnęły się przy ogrodzeniu. Roland spojrzął w drugi koniec pola, ku wąskiej drewnianej platformie, gdzie stawali rozdzieleni ze zbroi rycerze, którzy złamali reguły turnieju, wystawieni na publiczne pohańbienie. Przed nimi górą do dołu wieszano ich tarcze. W tej chwili platforma hańby była pusta. Święty Michale, nie dozwól, bym popełnił jakiś błąd i miał tam trafić!

- Ciąć sznury! Do walki! - krzyknął herold ze środka pola, po czym wrócił na miejsce koło galerii. Sześciu muzykantów w królewskich barwach uniosło do ust trąbki z porporcami.

Roland zniżył kopię, mierząc w de Coucy'ego znajdującego się w odległości dwustu kroków, po drugiej stronie pola.

Na dźwięk trąbek poprawił się w siodle i spiął Alezana do galopu. Utkwił wzrok, spoglądając zza przyłbicy, w czerwono-białych polach tarczy Enguerranda.

Pochylił się nad karkiem pędzącego Alezana.

Środek pasiastej tarczy przeciwnika jakby runął ku niemu. Pędził przed siebie z sercem bijącym głośniejsz, niż dudniły kopyta wierzchowca. Wiatr świszczwał w otworach hełmu.

Kiedy pomalowana w czerwone pasy tarcza de Coucy'ego zajęła prawie całe pole widzenia, wspomniawszy na instrukcje Gwidona i tak ustawił swoją tarczę, by przyjąć uderzenie kopii de Coucy'ego pod kątem, sam natomiast utkwiał wzrok i koniec kopii w samym środku tarczy przeciwnika. Napięte mięśnie klatki piersiowej, ramienia i ręki zamieniły się w jedną bryłę z żelaza.

Koniec kopii Enguerranda ześliznął się bokiem po tarczy Rolanda, jego własny grot uderzył z całą siłą. Wstrząs uderzenia o mało nie wysadził go z siodła, ale wysoki zapiecek utrzymał go w miejscu, osadzając gwałtownie odrzucone do przodu ciało mocno na grzbiecie gniewnie parskającego konia.

Co się stało? Szukał gorączkowo odpowiedzi, gdy rozpęd niósł ich ku granicy pola. Hełm nie pozwalał spojrzeć za siebie. Usłyszał z tyłu jeno szcęk metalu. Obrócił w miejscu Alezana i popatrzył na środek pola. Zobaczył Enguerranda leżącego w kurzu, z jedną nogą w strzemieniu, wleczonego po ziemi przez wystraszonego wierzchowca.

Dobry Boże! Udało się! Krzyknął uszczęśliwiony, głos zadudnił w hełmie. Zrzucił go z konia.

Koń de Coucy'ego poniósł, przerywając drewniane bariery. Ludzie rozpierzchli się na wszystkie strony. Gromada pachołków osadziła wierzchowca, próbując uwolnić de Coucy'ego. Siwek stanął dęba, posyłając dwu z nich w powietrze.

To pewne, że potyczka zakończona. Jego przeciwnik nie tylko dotknął barier, ale wręcz je rozniósł. Zakuty w hełm, kolczugę, obciążony kilkudziesięcioma kilogramami zbroi poczuł gwałtowną ulgę. Uniósł przyłbicę, żeby zaczerpnąć powietrza.

Źle ułożony koń. Dobry turniejowy wierzchowiec zatrzymałby się natychmiast po upadku jeźdźca.

- Ty wiedziałbyś, co robić - powiedział Roland do Alezana, podjeżdżając na środek pola. Tłum wiwatował.

Spojrzał w stronę galerii, gdzie siedziała Nicoletta, potem w stronę de Coucy'ego, który właśnie się podniósł i teraz płazował mieczem grzbiet konia. Prędkiej z niego zwierzę niż z jego wierzchowca, pomyślał Roland z odrazą.

Po chwili heroldzi okrzyknęli imię zwycięzcy, ogłaszając, że z racji zakończenia pojedynku wypadkiem Roland nie dostanie w nagrodę, jak to było w zwyczaju, konia i zbroi swego przeciwnika.

Kiedy indziej, przy mojej pustej sakiewce, pewnie bym się tym zmartwił, ale dzisiaj nie chcę innych nagród jeno Almaryka.

Herold nakazał mu gestem, by podjechał do bariery. Zbliżył się de Coucy, już bez hełmu, i Roland po raz pierwszy mógł dojrzeć jego szeroką i smagłą twarz pokrytą ciemnym kilkudniowym zarostem, twarz, w której nie było śladu podobieństwa do starszego de Coucy, Raula.

- Jeszczem z tobą nie skończył, przyjacielu. Włoscy rycerze nie warci są splucnięcia Francuza.

- Do twojej dyspozycji. Podług mnie ciągleś mi winien zbroję i rumaka - odparł grzecznie Roland.

Teraz Roland czekał na wyzwanie. Patrzył, jak na ubitą ziemię wyjeżdża rycerz z czerwono-błękitną tarczą i nastawił uszu ciekaw, jakie imię okrzyknie herold. Z Salisbury? Angielski rycerz? Dopiero teraz dojrzał czerwony krzyż na jego kapie. A zatem jeden z krzyżowców, który ruszy na wyprawę Ludwika.

Nigdy nie walczył z Anglikiem, ale słyszał, że dzielni i trudni z nich przeciwnicy. Na myśl o spotkaniu z nieznanym żywiej zabiło mu serce.

W pierwszym starciu połamali obaj kopie. Roland przyjrzał się z namysłem ułamkowi, który został mu w dłoni. Podjechał do bariery, gdzie Perrin czekał już z nową kopią.

- Na kości Chrystusa, wspaniali jesteście, panie!

- Cicho bądź - odpowiedział ze śmiechem, odbierając kopię. - Nie wiesz, że nie wolno tak mówić do rycerza w turnieju?

Nie było mu wcale do śmiechu, jakby na to wskazywało przekomarzanie się z Perrinem. Wiedział, że najdrobniejszy błąd może mu przynieść sromotną przegraną. Święty Michale, miej mnie w opiece!

Przy drugim starciu z Anglikiem celował kopią w hełm tamtego. Kiedy przeciwnik uniósł swoją, gotów parować spodziewane uderzenie, spiął z całych sił Alezana i błyskawicznie pochylił kopię, uderzając w dolną krawędź czerwono-błękitnej tarczy.

Wysadzony z siodła rycerz wypuścił z ręki kopię. Roland zeskoczył z grzbietu konia. Dalsza walka miała się już rozegrać bez wierzchowców. Dobyli mieczy, rozległ się szcęk uderzeń przyjmowanych to na głownie, to na tarcze.

Anglik był tęgim przeciwnikiem i Roland zaczynał już desperować, że mu nie podoba. Prawe ramię utrudzone bolało. Barki drżały pod gradem ciosów angielskiego miecza.

W rozpaczliwym pragnieniu zakończenia walki Roland rąbnął tarczą w przyłbicę hełmu Anglika. Rycerz zachwiał się, padł na kolana i ze szczękiem zbroi poleciał na twarz.

Stał nad nim, dysząc, podbiegło dwóch koniuszy, którzy pomogli pozbierać się pokonanemu. Współczuł mu, gdy patrzył, jak wsparty na giernkach, schodzi z pola. Przed wyruszeniem na krucjatę nie bardzo mógł sobie pozwolić na utratę tak kosztownej zbroi.

Roland zwrócił się w stronę, gdzie siedział król, uniósł przyłbicę i przemówił do Ludwika.

- Sire, zwróćę angielskiemu rycerzowi konia i zbroję, kiedy będzie ruszał z wami na wyprawę.

Publiczność wiwatami nagrodziła gest Rolanda, a Ludwik podniósł dłonie w geście błogosławieństwa.

Poczuł, że oblewa go fala gorąca. To nonsens, by uszczęśliwiała mnie przychylność króla, który włada pogromcami Langwedocji. I żebym pomagał krzyżowcowi.

W tejsze chwili dostrzegł opartego o barierę, wpatzonego w niego Almaryka. Jego oczy czy nic nie wyrażały, zdawały się nie rozpoznawać Rolanda. Jakbym już był trupem.

Godzinę później tłum wiwatował na cześć nieznanego włoskiego rycerza. Bliski wyczerpania, oszołomiony podnieceniem, Roland ledwo mógł uwierzyć w to, czego dokonał. Po Angliku dziewięciu kolejnych rycerzy. Teraz, gdy czekał przy ogrodzeniu na Perrina, który miał napić i wytrzeć spoconego Alezana, nie umiał już sobie przypomnieć, jak mu się to udało. Dwóch - a może trzech? - zniesiono z pola nieprzytomnych. Z kilkoma walczył spieszony, nacierając z furją, póki nie oparli się o ogrodzenie, co automatycznie oznaczało ich przegraną. Innych zmusił do poddania się.

Dziewięć koni bojowych, każdy wart fortunę. Dziewięć hełmów, tarcz, mieczy, kolczug. Zatrzymam wszystkiego po dwie sztuki, resztę spieniężę. Starczy na domowe wydatki przez rok, bez pomocy od ojca. Jeżeli przeżyję.

Przy zachodniej bramce dojrzał Gwidona w białym płaszczu z czerwonym krzyżem. Pokiwał mu i Roland radośnie odpowiedział na jego pozdrowienie. Mój Boże,

bez miesiąca ćwiczeń u templariuszy nigdy bym tego nie dokonał. Są bogatym zakonem, ale należy im się jakiś godny podarunek.

Jestem lepszy od Almaryka. Trzeba mi go wyzwać teraz, nim będę zupełnie wyczerpany. Przez ciało przebiegł dreszcz oczekiwania.

Dosiadł Alezana i nachylił do Perrina.

Po chwili pierwszy herold okrzykiwał już: - Sire Orlando z Perugii wyzywa wielmożnego hrabiego Almaryka, pana na Gobignon, by się z nim spróbował na ubitej ziemi.

Tłum wrzeszczał w podnieceniu. Pomyślał, że czekali cały dzień, by zobaczyć, jak staje przeciw sobie dwóch najlepszych dziś rycerzy.

Spojrzał na Nicolettę i dojrzał, że na wpół uniosła się z miejsca, blada i wystraszona.

Nie lękaj się, moja miłości. Może już za chwilę będziesz wolna. Dotknął delikatnie błękitnej szarfy.

Za barierą, po drugiej stronie pola widział płowego perszerona w purpurowo-złotej kapie, podprowadzanego do żółto-fioletowego namiotu. W tej samej chwili z wnętrza wysunęła się wysoka, jasnowłosa postać.

Zażywszy odpoczynku po porannych zmaganiach, Almaryk mógł walczyć z nowymi siłami, tymczasem Roland czuł ból w każdym mięśniu. Koleczuga hrabiego błyszczała, jakby dzisiaj w ogóle nie walczył. Mimo ciężkiej zbroi lekko dosiadł konia. Każdy jego ruch wydawał się Rolandowi pełen straszliwej, spokojnej siły - sposób w jaki mocował na głowie hełm zdobiony srebrnym wilczym łbem, jak odbierał od giermka kopię, jak spinał wierzchowca.

Czy naprawdę podołam? Kiedy tak patrzył na swojego błyszczącego wroga, zajmującego właśnie miejsce po drugiej stronie pola, zaczęły ogarniać go wątpliwości.

Zaległa taka cisza, że słyszał, jak dzwoni mu w uszach.

Z uczuciem bolesnej czczości w żołądku zaczął obmyślać plan walki. W pierwszym starciu powinien złamać kopię na tarczy Almaryka, wtedy gwałtownie, całym naporem siły własnej i Alezana, trzaśnie złamanym drzewcem kopii w przyłbicę tamtego. Niejeden rycerz już tak zginął ze zmiażdżoną twarzą.

Ręce miał lodowate i wilgotne. Nie ma żadnej pewności, że mój plan się powiedzie. A jeśli kopia się nie złamie, jak trzeba? Jeśli Almaryk uniesie tarczę, osłaniając

twarz? Zmuszał się, by nie myśleć o możliwych niepowodzeniach.

Zagrały trąby. - Nie zawieźdź mnie, Alezanie - wyszeptał w ucho kasztankowi, gdy ruszyli do galopu.

Postać Almarya, mała z odległości, nagle ogromna wyrosła na wprost niego. Roland zapomniał o wszystkim, myślał tylko o Nicoletcie i Perrinie. Oczy i broń same muszą dopiąć celu. Z szerokim zamachem osłonił się tarczą przed uderzeniem kopii Almarya, odtrącając jej ostrze w bok. Jego kopia trafiła prosto w środek tarczy przeciwnika i pękła z trzaskiem. Odłamana część świsnęła mu koło głowy. Uderzenie było potężne, a jednak Roland ze zdumieniem zobaczył, że Almaryk utrzymał się w siodle - ze zdumieniem, ale i z zadowoleniem, że na razie wszystko idzie, jak zamierzył.

Trzymał w ręku pozornie bezużyteczny kawałek drzewca, długi jak oburęczny miecz. Spiał ostro Alezana, mierząc w twarz Almarya.

Przed oczami wyrosła mu czerwonobrazowa ściana końskiego ciała. Pchnął drzewce, poczuł mocne, jak maczugą uderzenie w hełm. Koń wydał przeraźliwe, bolesne rżenie. Poczuł, że spada z siodła i - tak jak uczyli go templariusze - zwinął się w kłębek. Uderzył o ziemię z siłą kamienia wyrzuconego z miotacza. Przed oczami zatańczyły mu wszystkie gwiazdy, ramiona i pierś przeszył porażający ból. Ogarnęła go panika. Uderzenie może spaść z każdej strony.

Zdesperowany poderwał się i dopiero teraz zobaczył, co się stało. Zamiast osłonić się tarczą, Almaryk poderwał konia, który stając dęba przyjął na siebie cały impet uderzenia. Kopia utkwiała w podgardlu zwierzęcia, kopyto walnęło Rolanda w hełm. Koń dogorywał, leżąc na boku, z pyska płynęła krew.

Przez tłum przeszedł pomruk współczucia.

Nie udało się, nie zabiłem go. Teraz on zabije mnie.

Almaryk szedł w jego stronę z obnażonym mieczem. Dobył swojego i pochylił się, by podnieść tarczę.

Klinga Almarykowego miecza spadła na ramię, przeraźliwy ból przeszył całe ciało. Z galerii doszły go okrzyki oburzenia. Wiedział jednak, że to nie ma żadnego znaczenia. Cios mógł być nierycerski, ale zgodny z regułami.

Uniósł tarczę i z całych sił uderzył nią Almaryka w pierś, odrzucając go do tyłu. Czuł, że kaftan pod koczugą nasiąka krwią.

Serce mu zamarło. Almaryk zamiast turniejowego miecza miał w rękę śmiertelnie ostry miecz bitewny. To stary chwyt w turniejach, starszy jeszcze niż próba zabicia przeciwnika złamaną kopią. Kiedy już Roland zginie, Almaryk zawsze będzie mógł powiedzieć, że sięgnął po niewłaściwy miecz przez pomyłkę.

Plecy przeszywał ognisty ból. Święty Michale, jaki ten miecz musi być ostry i ciężki, jeśli przeciął koczugę.

Almaryk nacierał z prawej.

Był tak blisko, że Roland widział jego niebieskie oczy, błyskające w otworach hełmu. Cofał się, parując ciosy.

Czy powinienem przerwać walkę? Heroldzi ogłoszą go zwycięzcą, gdy zobaczą nieprzepisowy miecz Almaryka.

Nienawiść umocniła go w przeciwnym postanowieniu. Nie! Nie chcę, by tak się to skończyło.

Ale czy wytrzymam ból?

Uświadomił sobie, że wszystkie ciosy Almaryka wymierzone były w jego prawe ramię. Chciał odciąć błękitną szarfę.

Zazdrość go zaślepia. Powinien robić wszystko, żeby mnie zabić, a tymczasem skupił cały wysiłek na tym dowodzie miłości. Jeśli rozum mu się mąci, to mam szansę. Próbował nie myśleć o pulsującej ranie i o krwi spływającej po plecach, ale ból przenikał całe ciało, osłabiał.

Almaryk ponownie wziął zamach, mierząc w ramię. Roland uniósł wysoko tarczę, obrócił się na piętach i ostrym trójkątnym zakończeniem uderzył w nadgarstek. Uderzenie tarczy wybiło Almarykowi broń z ręki, miecz zakreślił w powietrzu szeroki łuk.

Roland obrócił się i pobiegł w tamtą stronę. Kiedy broń upadła, rzucił swój miecz i sięgnął po tamten. Almaryk natarł, Roland uskoczył i padł na ziemię. Podniecenie dodało mu sił, gdy zacisnął palce na rękojeści śmiercionośnego oręża. Tak szybko, jak mógł, skoczył na równe nogi. Almaryk nachylił się po porzucony miecz Rolanda i natychmiast wyprostował, unosząc wysoko tępą głownię. Roland natarł.

Teraz mam miecz, który może zabić.

Z furią mierzyl w głowę, szyję, pierś. Almaryk parował ciosy z taką siłą, że Roland musiał cofać się za każdym uderzeniem.

Krew huczała mu w uszach, zagłuszając krzyk widzów.

Almaryk mógłby się ratować, żądając zaprzestania walki, ale wtedy przyznałby, że świadomie użył niedozwolonego miecza. Nacierał więc cały czas. Szaleńcze ciosy spadały na tarczę Rolanda, na hełm, na barki i ramiona. Mimo że było to wbrew regułom, usiłował nawet celować w otwory w hełmie. Roland musiał osłaniać twarz tarczą, nie widział, gdzie uderza.

Raz jeszcze użył tarczy, by odepchnąć Almaryka. Cofnął się o krok dla zebrania sił i dojrzał na zbroi Gobignona czerwone strużki krwi. Zraniłem go. Zadałem mu więcej ran niż on mnie.

Zamachnął się, mierząc w głowę, ale ostrze uderzyło w tarczę.

Niech się raz pomyli, wtedy go mam.

Wysokie, przenikliwe dźwięki trąbki wdarły się do jego świadomości. Wezwanie do przerwania walki.

- Nie! - krzyknął Roland ogarnięty furją.

Po raz ostatni złożył się do nieprzepisowego ciosu w szyję. Miecze zwarły się z uderzeniem przypominającym dźwięk kościelnego dzwonu.

Ktoś zawołał.

Roland i Almaryk spojrzeli ku galerii. Król Ludwik wstał ze swojego stolca.

- Każdy z was zdobył dziś wielkie zaszczyty. Dopraszamy się, byście nie psuli radości, jaką daje nam widok waszej siły i biegłości w walce, zbędnymi ranami. Wasz król wam nakazuje, poprzestańcie!

Po tłumie przeszedł gniewny pomruk. Łaknęli jeszcze krwi i walki.

Plecy bolały, jakby Roland miał otwarte rany po biczu. Przypominały o porażce i to przypomnienie czyniło ból jeszcze dotkliwszym.

- Niech wszyscy dzielni rycerze na powrót się uzbroją i staną pośród ogrodzenia. Ogłaszamy wielką potyczkę.

Zewsząd dały się słyszeć entuzjastyczne krzyki.

Roland wbił miecz Almaryka w udeptaną ziemię. Almaryk rzucił jego miecz, wziął własny i odszedł, nie unosząc przyłbicy.

Roland odprowadził go wzrokiem, walcząc z pragnieniem, by podbiec za nim i obalić.

Para wołów ściągała trupa konia Almaryka. Dwanaście rodzin biedaków wskazanych przez Ludwika będzie miało przez najbliższe dni mięso na stole.

Za ogrodzenie wszedł Perrin, podniósł miecz i podał go Rolandowi. Wspólnie sprowadzili Alezana z pola. Kasztanek przewracał oczami i prychał, spłoszony śmiercią drugiego wierzchowca.

Szli koło namiotów rozbitych wzdłuż ogrodzenia. Wszędzie wokół słyhać było okrzyki podniecenia i szczęk oręża. Ponad setka biorących udział w turnieju rycerzy gotowała się do wielkiej potyczki.

- Dziewięć wierzchowców! - zachwycił się Perrin. - Za tyle koni można kupić zamek. Gdzie będziesz trzymać dziewięć rumaków, panie?

- Nie zabieraj ich jeszcze, Perrinie. Niech zostaną u swoich panów, póki nie będę wiedział, co z nimi zrobić.

- Czy nie dość już, panie? Nie moglibyśmy wziąć nagród i odejść? Bardzo się dzisiaj zasłużyliście.

Roland wrósł w ziemię, spoglądając ze zdumieniem na Perrina.

- Co, u diabła, masz na myśli? Nie słyszałeś, że król ogłosił wielką potyczkę?

- Słyszałem, panie, ale myślę, że nie powinniście do niej stawać. Na kości Chrystusa, hrabia de Gobignon zamysła was zabić. Po co dawać mu jeszcze jedną sposobność.

- Jemu sposobność? - wściekał się Roland. - A nie pomyślałeś, że to ja jego mogę zabić?

- Zabić go? A po co? - pytał rozzłoszczony Perrin. - Dość już go zraniliście hołdami, jakie składacie jego żonie. Potykanie się to głupota, panie.

Ach, Perrinie, nie wiesz o tym, ale to właśnie ty za sprawą Almaryka jesteś skrzywdzony i żeby ciebie pomścić, chce go zabić.

Jak dobrze widzieć znowu błyszczące oczy Perrina i rumieńce podniecenia na jego policzkach. Gdyby wiedział, jaką rolę Almaryk odegrał w jego okaleczeniu, pożerałaby go teraz żądza zemsty. Jego dusza nie ozdrowiałaby wtedy tak łatwo. Niech myśli dalej, że ci złoczyńcy uczynili to pod wpływem złośliwego impulsu. Nie ma ich już na świecie, może żyć wolny od chęci odwetu.

Ale nie ja.

- Dość mam powodów, by go zabić - odezwał się Roland, ściskając ramię Perrina. - Zaufaj mi, a ja ci je wyjawię, wyjawię, kiedy będę mógł.

Roland, odszukawszy swój namiot w czarno-białe pasy, kazał Perrinowi oporządzić Alezana i wszedł do środka.

Ku jego zaskoczeniu w cienistym wnętrzu przywitała go para zielonych oczu.

- Diano, co tu robisz? - Zawsze drżał o nią, kiedy wychodziła z domu.

- Myślałeś, że będę spokojnie czekać, wiedząc, iż mogę cię już nigdy nie zobaczyć? Jesteś ranny? Zdejmij koleczugę, opatrzę ci ranę.

Roland ostrożnie rozwiązał szarfę. Trzymał ją chwilę czule w dłoni, potem zwinął i położył na wieku skrzyni. Diana pomogła mu zdjąć koleczugę. Kiedy uniósł ramiona, wydało mu się, że rana otwiera się na powrót. Siadł na podłodze i zdjął z siebie spodni kaftan.

- To tylko płytkie ciecie. Ten pies walczył ostrym mieczem.

- Mógł cię zabić - powiedziała z drżeniem w głosie. - Co by to dało Perrinowi albo hrabinie? - Położyła mu zimne dłonie na ramionach.

Nie odpowiedział, ciesząc się ulgą, jaką przynosiło opatrywanie rany.

Wejście do namiotu uniosło się, na chwilę oślepiło go światło słoneczne. Roland kątem oka dojrzał postać w długim białym surkocie.

- Ach, czuła chwila między siostrą a bratem, wybaczenie, że przeszkadzam.

Usłyszał kpinę w głosie Gwidona Bruchesi, ale była to kpina życzliwa, tak jakby Gwidon znał ich tajemnicę i godził się jej dochować. Zrobił w ostatnich tygodniach dla Rolanda wszystko, co było w jego mocy, ćwiczył z nim codziennie w Tempie. Teraz nic już nie mógł pomóc, ale sam jego widok sprawiał Rolandowi prawdziwą radość. Nawet krwistoczerwony krzyż na jego surkocie nie wydawał się już groźny.

Diana jednak zadrżała i spuściła wzrok. Na jej policzkach pojawił się ciemny rumieniec. Szybko skończyła wiązać bandażę.

Roland wstał i odsunął się od niej.

- Nie masz dość, Orlando? - zapytał Gwidon. - Muszę przyznać że jesteś lepszy w zawodach, niż się spodziewałem, ale na ubitej ziemi Almaryk ciągle cię przewyższa. Wszystko zrobiłeś, żeby położyć go trupem, a jednak go nie dostałeś.

W Rolandzie znowu zaczęła narastać złość.

- Nie wszystko, jeszcze nie.

Gwidon mruknął powątpiewająco: - Przeszedłem się koło namiotu hrabiego. Ma tam koło siebie z tuzin rycerzy, to turniejowi zawodowcy. Tacy, którzy jeżdżą z turnieju na turniej po całym chrześcijańskim świecie i żyją z wygranych. Znają więcej sztuczek niż ty, przyjacielu. Almaryk mówi z Enguerrandem de Coucy, który bardzo ci jest niechętny. My, templariusze, nie uważamy za dyshonor dawać pola tam, gdzie jest więcej niż trzech na jednego.

Wszystko prawda, ale Gwidon nie bierze jednego pod rozważę. Sięgnął po błękitną szarfę, którą przed chwilą odłożył na ciemną, dębową skrzynię, i przycisnął ją do serca. Człowiek, który walczy dla siebie, może przegrać. Ten, kto walczy za Miłość, powinien być niezwyciężony.

- Jesteś mnichem - zwrócił się do Gwidona. - Niewiele wiesz o Miłości. Nie wiesz, jaką daje mi siłę.

Ledwie Gwidon wyszedł, wszedł Perrin z jakimś papierem w rękę.

- Dała mi to panna, zwana Agnes, panie.

Nie było podpisu, ale Roland rozpoznał pochyle pismo Nicoletty.

Że mnie zwiecie „mi dons”, przeto wam nakazuję odstąpić i więcej na życie tego, co was skrzywdził, nie nastawać, ojca dzieciom nie odbierać. I wy życia długo nie zachowacie, kiedy rodzina przeciw wam zemsty zacząć szukać, i ja was utracić nie chcę, boście mi nade wszystko w życiu drodzy. Gdyby się to stało, życie moje męką będzie. Przeto nakazuję wam, strzymajcie się, w imię Miłości.

Kiedy dotarło do niego znaczenie onego pisanania, precz odeszła cała odwaga, którą czuł jeszcze przed chwilą. Szukając oparcia, przysiadł na dębowej skrzyni, kartka wypadła mu z dłoni i sfrunęła na dywan.

Czuł się tak, jakby mu kto nałożył pęta na dłonie. Jeszcze chwilę wcześniej gotował się do wygranej, a teraz?

Muszę usłuchać. Kląłem się na Miłość, że we wszystkim będę jej posłuszny, i jeśli teraz nie usłucham, całe moje życie kłamstwem się wyda.

Nie zabroniła mi wszak stawać w wielkiej potyczce. Może jest jakiś sposób i usłuchać i wziąć pomstę na Almaryku. Jaki?

- Co to, Rolandzie? - zapytała zaniepokojona Diana.
- Nic, nic. - Podniósł kartkę i podarł ją na drobne kawałki.
- Perrinie, pomóż mi wdziać zbroję.

Uczuł chłód koło serca. Może powinien po prostu zabrać się stąd. Ryzykowanie życia w wielkiej potyczce nie było zbyt roztropne.

Jeśli zniknie, wyjdzie na tchórza. Nie weźmie pomsty za krzywdę Perrina, a Almaryk nadal będzie go prześladował.

Wyciągnął prawą rękę, by Perrin mógł ponownie przewiązać ramię szarfą. Kiedy była już na swoim miejscu, ucałował gładki jedwab.

Z pustką w głowie, z rękami spętanymi podartym listem, przyłączył się do rycerzy, którzy zbierali się już na środku areny, na wprost galerii.

Pierwszy herold ogłosił, że rycerze mają uformować dwa zastępy; tych, którzy są szczęśliwi w miłości, i tych, którym szczęście nie dopisało. Roland uśmiechnął się kwaśno. Zwykły koncept na turniejach, pewnie pomysł Małgorzaty, płytkie zapożyczenie z tradycji i obyczaju dwornej miłości. To, który obóz wybierzemy, nie zależy od tego, jak się komu wiedzie z damami, ale kto będzie przewodził której kompanii.

- Monseigneur hrabia Robert d'Artois poprowadzi szczęśliwych w miłości - dobrze ustawiony głos herolda niósł się gromko po turniejowym polu.

Najstarszy brat Ludwika. Przeciwnicy pozwolą im wygrać bodaj przez wzgląd na króla. Przyłączę do nich.

- Ci, którzy nie zaznali szczęścia w miłości - krzyczał dalej herold - ruszą pod wodzą wielmożnego hrabiego Almaryka de Gobignon.

Jak na ironię - ale prawdziwie.

- De Gobignon nieszczęśliwy w miłości? - śmiał się jakiś gaskoński rycerz obok Rolanda. - Przecie jego hrabina to śliczna pani.

- Musi być jakaś inna dama, która go zawiodła, nie hrabina - odpowiedział inny. - Niemożliwe, by mężczyzna kochał się we własnej żonie.

- Nigdy bym nie spojrział na inną, gdyby moją żonką była nadobna Nicoletta - odparł Gaskończyk.

Pomny na rozkaz Nicoletty Roland podjechał do herolda.

- Chcę walczyć w partii hrabiego de Gobignon.

Herold zdziwiony zamrugał oczami, ale bez słowa podał mu wstążkę z czarnego jedwabiu do owiązania wokół hełmu.

Tumany kurzu lśniły w przesuwającym się ku zachodowi słońcu. Pole stanowiło teraz jedną płataninę wierzchowców, zbrojnych, rozkołysanych kopii, czarnych i białych wstążek z jedwabiu, powiewających u hełmów.

Roland podprowadził Alezana w szeregi, uśmiechając się do siebie na widok jasnowłosego hrabiego. Almaryk odwrócił się zdziwiony i rozczłoszony jego widokiem.

Wskazując na Rolanda, mówił coś do Enguerranda de Coucy i innych jeźdźców stojących obok niego. Roland poczuł zimny dreszcz na plecach. Rozejrzał się za przyjaciółmi, ale nie dojrzał nikogo ani w pobliżu, ani po drugiej stronie pola, gdzie Robert d'Artois na narowistym siwku, z błękitną tarczą w złote lilie, komenderował swoją drużyną.

- Formować szeregi! - krzyknął de Gobignon.

Roland zajął miejsce w drugim szeregu. Na polu zaległa cisza.

Zagrały trąby.

Ziemia zadrżała, gdy ruszył z kopyta pierwszy szereg rycerzy. W środku pola w jednej chwili wszystko się zakotłowało. Mógł tylko dojrzeć wielki tuman kurzu, kruszenie kopii, kłębowisko zakutych w zbroje mężów. Nad wszystkim unosił się ogłuszający szczeł oręża i krzyk tłumu.

Teraz kurz opadł na tyle, że Roland mógł dojrzeć ścierających się rycerzy. Podziwiał biegłość, z jaką panowali nad swoimi wierzchowcami. Olbrzymie bojowe rumaki zdawały się stąpać z wdziękiem i precyzją tancerzy. Konie i jeźdźcy zespolili się w jedno niczym centaury z greckich legend.

Roland ruszył z drugim szeregiem i niemal natychmiast skierowały się ku niemu cztery kopie z jego własnej drużyny.

Oszłomiła go nagłość tego ataku. Oczekiwał go, ale nie przypuszczał, że nastąpi tak szybko i jawnie.

Gwałtownie osadził w miejscu Alezana. Koń zarżał w głos, gdy on tymczasem, kreśląc w powietrzu łuk kopią, odparował atak przeciwników, wyrzucając tym

jednym zamachem dwóch z nich z siodła.

Otaczał go jednak zwarty krąg jeźdźców, noszących jak on czarne wstążki na hełmach. Kiedy Almaryk zobaczył, jak się potykam, uznał, że trzeba mu pomocy innych. Kim, u diabła, są ci ludzie?

Niektórzy z nich mieli nieokreślone hełmy i tarcze bez znaków rodowych. Inni nosili bogate, drogie zbroje, bez wątplenia zdobyczne. Pośród kręgu dojrzał srebrny wilczy łeb z przytroczoną do niego czarną jedwabną wstążką, a wśród tarcz jedną pomalowaną w biało-czerwone pasy, herb domu de Coucy.

Nie było wątpliwości, wszystko stało się jasne. Chcieli go zabić. Mógł uczynić tylko jedno, próbować pokonać tylu napastników, ilu zdoła. Jeśli Almaryk przyłączył się do atakujących, to rozkaz Nicoletty nie oznaczał przecież, że raczej mam zginąć, niż się bronić.

Z prawej mierzyły w niego trzy kopie. Jedna przeszła mimo, ale dwie mocno raziły w bok. Udało mu się uderzyć kopią jednego z napastników na tyle mocno, że zrzucił go z konia, sam tracąc równowagę. Wypadł z siodła, ale się nie przewrócił. Dobył tępego turniejowego miecza. Ciał po drzewcach mierzących w niego kopii i pęcinach gotowych stratować go koni.

„*Beausèant!*” Bojowe zawołanie templariuszy wzniosło się ponad zgłęk walki. Nadjeżdżał Gwidon Bruchesi, torując sobie drogę ku Rolandowi mieczem. Na hełmie nosił białą wstążkę szczęśliwych. Wynajęci zawodnicy Almaryka ustępowali mu z drogi. Serce Rolanda zabiło z wdzięczności.

Na Gwidona natarł teraz Enguerrand de Coucy. Roland oddzielony od obydwu przez napierających rycerzy znowu musiał samotnie stawić im czoła, ale już jeźdźcy z białymi wstążkami nacierali na drużynę Almaryka. Pośród nacierających dojrzał tarczę Anglika, któremu zwrócił zbroję. Najęci napastnicy nawet nie zauważyli ataku zajęci Rolandem.

Słyszał dochodzące z tłumu widzów okrzyki oburzenia, zrozumiano już, że coś się dzieje nie tak. Dojrzał za żelaznym kręgiem zaciskającym się wokół niego Roberta d'Artois nacierającego na Almaryka, zamach maczugi i Robert zniknął mu z pola widzenia.

Znajdowali się teraz na skraju pola turniejowego. Wiedział, że wystarczy, by dotknął ogrodzenia, a będzie mógł wycofać się bezpiecznie z walki. Pewien był jednak,

że ludzie Almoryka nie pozwolą mu ująć tak łatwo. Był na tyle blisko widzów, że mógł słyszeć okrzyki zachęty pod swoim adresem i gniewne komentarze kierowane przeciw napastnikom.

Poczucie, że tłum jest z nim, dodało mu sił. Ruszył z furią przed siebie, zmuszając swoich prześladowców do cofnięcia się.

Ogłuszający cios spadł na osłonięty hełmem kark. Na moment zamroczyło go, gdy się ocknął, leżał jak długi na ziemi. Ze wszystkich stron spadały na niego razy nie dość mocne, by mogły ciąć przez zbroję, ale na tyle silne, żeby pogruchotać kości.

Na wpół przytomny próbował usiąść mimo deszczu spadających na niego razów.

Przez moment mógł dojrzeć galerię. Poszukał wzrokiem Nicoletty - może już po raz ostatni - ale zobaczył tylko króla Ludwika gestykującego i przedzierającego się przez tłum w dół po stopniach galerii. Po chwili zamknął się nad nim na powrót las nóg.

Tłum krzyczał, domagał się, by zabójcy odstępili od pokonanego.

Ponad krzyki wzniósł się głos trąbki, herold ogłaszał koniec wielkiej potyczki. Jestem uratowany!

- Walczyć! Walczcie! Koniec z nim! - grzmiał Almoryk.

Roland usiłował się podnieść, widział heroldów, którzy wjechali pomiędzy ludzi Almoryka, próbując położyć kres walce. Raz jeszcze odezwały się na próżno trąbki.

Wyrosła przed nim para zakutych w stal nóg. Uniósł głowę i przez wąskie szpary w hełmie dojrzał górującego nad nim Almoryka z maczugą w ręku. Gruba rękojęść zakończona najeżoną żelaznymi kolcami kulą nieubłaganie opadała w dół na głowę Rolanda. Rozpaczliwie usiłował się uchylić, wiedząc jednak, że już nie zdąży.

Skądś wypadła jakaś postać, która rzuciła się do nóg Almoryka.

- Dość, jest pokonany! - usłyszał i mignął mu Perrin, bez zbroi i broni, próbujący obalić Almoryka.

Maczuga spadła na ramię. Poczul śmiertelny ból miażdżonych kości.

Upadł. Ból, słodki Jezu! Ból w ramieniu przenikał całe ciało. Ledwie był świadom, co się dzieje.

Dojrzał, że Enguerrand de Coucy pchnął z całych sił Perrina swoją tarczą.

Almaryk ponownie uniósł oburącz maczugę.

Po raz trzeci odezwały się trąbki nakazujące zaprzestać walki.

Nad Rolandem nagle stanęła jakaś osłaniająca go postać, maczuga Almaryka zawisa nad odsłoniętą, jasnowłosą głową przybysza. Roland usłyszał krzyk grozy, który przeszedł wśród widzów. O dziwo, Enguerrand de Coucy rzucił się między obu mężczyzn z uniesionymi w górę ramionami.

Roland obrócił głowę. Jak przez mgłę rozpoznał króla.

Końcem miecza skierowanym w pierś Almaryka Ludwik odpychał go od Rolanda.

Podparł się na lewej ręce, prawa była bezużyteczna, bez czucia od barku po końce palców.

Mógł teraz widzieć, co się dzieje za ogrodzeniem. Stało tam kilkunastu zbrojnych Ludwika z kuszami wycelowanymi w Almaryka.

- Zawiodłeś mnie, hrabio, bardzo zawiodłeś - powiedział Ludwik szeptem, który niósł się pośród nagłej, śmiertelnej ciszy na arenie.

Almaryk uniósł przyłbicę. Roland zobaczyło jego czerwoną, zaciętą w nienawiści twarz.

- Wybaczcie, sire, porwany gniewem nie dojrzałem, że to wy stanęliście mi na drodze.

- Doprawdy, porwany gniewem. Gdybyś ważył się na mnie, byłby to nieszczęsny traf, ale to, co uczyniłeś temu człowiekowi, nie stało się trafunkiem.

- Jest moim prawem bronić honoru wedle uznania, sire.

- Jak śmiesz prawić o honorze. Namówiłeś mnie do turnieju, żeby ukryć swoją zbrodnię. Zrobiłeś głupca z króla i obróciłeś rycerskie prawa w kpinę. Zdejmą z ciebie zbroję i stać będziesz do nieszporów tu na pohańbienie jak i inni rycerze, którzy złamali zasady gry.

- Jestem hrabią de Gobignon, parem królestwa. Nie traktujcie mnie jak prostego rycerza.

W polu widzenia Rolanda pojawiła się następna postać, jak przez mgłę rozpoznał Enguerranda de Coucy.

- Sire, jeśli uczynicie to panu de Gobignon, obrazicie nas wszystkich, szlachetnie urodzonych. - Jego twarz była równie czerwona jak pasy na jego tarczy.

- Boża sprawiedliwość jednaka jest dla wszystkich, nisko czy wysoko urodzonych - odparł Ludwik. - Za usiłowanie morderstwa winienem ukarać hrabiego z większą surowością. - Powinienem mu dozwolić spuścić wam na głowę maczugę - wymamrotał de Coucy.

- Milcz, de Coucy! - rozległ się krzyk Roberta d'Artois. - Jak ważysz się, tak przemawiać do swojego króla.

Fale bólu obejmowały całe ciało Rolanda, nasilały się i opadały w rytm uderzeń serca. Z każdym uderzeniem zdawało się, że wzrok, i słuch na moment odmawiają posłuszeństwa i wracają ponownie. Żadna jeszcze rana nie sprawiała mu takiego bólu. Może już nigdy nie będę mógł posługiwać się tą ręką.

Usłyszał, że król mówi:

- Almaryku, czy przyjmiesz karę jak powolny rozkazom rycerz, czy mam kazać cię spętać?

Trzeba, żebym był świadom wszystkiego, co się tu dzieje. Z największym wysiłkiem uniósł nieco głowę. Widział, jak Ludwik i Almaryk mierzą się wzrokiem. Obydwaj mieli jasne, złote włosy, Ludwik proste i jedwabiste, Almaryka przypominały lwią grzywę. Król był szczupły, Almaryk mocny i szeroki w ramionach. Drżąc z gniewu, Ludwik zdawał się gotów własnymi rękami obezwładnić Almaryka, tamten dyszał w pohamowywanej wściekłości.

W końcu zimnym, opanowanym głosem odpowiedział:

- Usłucham, bom zmuszony. Wyrządzenie mi wielkie zło, sire, i nie tylko mnie. Podkopujecie fundament królestwa. Wystawiając mnie na publiczne pohańbienie, powiadacie ludziom godnym, że nie mogą na was polegać. To nie ja będę się wstydził kiedyś na wspomnienie tego dnia. - Almaryk odwrócił się i zniknął z pola widzenia Rolanda.

Pojawiła się teraz przed jego oczami umazana ziemią twarz Perrina, strużki krwi spływały z rozbitego nosa. Delikatnie uniósł mu głowę i zdjął hełm. Roland westchnął w nowym przyplwywie bólu. Perrin popatrzył na niego zaniepokojony.

- Czy mam jeszcze szarfę? - wyszeptał Roland.

- Tak, panie.

Obok przyklęknął Ludwik.

- Jakże wam, panie Orlando?

Przez zaciśnięte zęby odparł:

- Żyję, dzięki wam, sire.

Ludwik uśmiechnął się i położył dłoń na jego czole.

- Bóg zechce, wyzdrowiejesz i będziesz jeszcze walczył tak wspaniale, jakieś walczył dzisiaj.

Pod dotknięciem dłoni Ludwika straszliwy ból jakby nieco zelżał. Powiadają, że pomazańcy mają moc uzdrawiania, pomyślał Roland z trwogą.

- Sire, czy mógłbym się doproszać jakiej pomocy, żeby zanieść go do namiotu - jękał się Perrin drżącym głosem.

Nie co dzień muzykant może przemawiać do króla.

- Ja go wezmę pod swoją opiekę, zajmie się nim mój medyk. Orlandzie z Perugii, powinieneś być mi towarzyszem broni. - Wstał i skinął na królewskich pachółków. - Weźcie go do pałacu. - Zwrócił się do zbitych w grupkę, stojących nie opodal heroldów. - Ogłóście, że turniej skończony. I król zniknął z pola widzenia Rolanda.

Słyszał tylko wiwaty na cześć Ludwika. Nie wiedzą jeszcze, że nakazał zakończyć potyczki, pomyślał. Boże, co z moim ramieniem? Jak to możliwe, że nie straciłem świadomości? Bodaj umrzeć, niż cierpieć taki ból. Nagle serce zamarło mu ze strachu. Towarzysz króla? Co u Boga... To moje życie i do mnie należy, nie do niego. Święty Michale, czyżby on chciał, żebym poszedł na krucjatę? Cóż, jeśli przeżyję, i tak już nie będę mógł walczyć. Jeśli przeżyję.

Na pół przytomny z bólu ledwie czuł, że go unoszą jakieś ręce. Zemdlał.

* * *

XI

Roziskrzony październikowy dzień napełniał Rolanda przerażeniem, tak jakby nigdy przedtem nie widział słońca, błękitnego nieba i drzew. Po raz pierwszy był na powietrzu od dnia turnieju. Spacerował z Perrinem po ogrodzie wiejskiej rezydencji królewskiej w Vincennes, niepewnie stawiając kroki na piaszczystej ścieżce. Wsparty na ramieniu muzykanta starał się trzymać prosto mimo ciężaru drewnianej konstrukcji i bandaży, którymi królewski medyk opatrzył jego ramię. Po tygodniach leżenia w łóżku, gdzie nie miał na sobie nic z wyjątkiem koszuli, zdawało mu się, że szaty boleśnie drażnią skórę, a jednak podbita niedźwiedzim futrem peleryna zarzucona na plecy dawała miłą ochronę przed jesiennym chłodem. Światło porannego słońca sączyło nową siłę w jego członki.

- Witaj, panie Orlando!

Odwrócił się na dźwięk znajomego głosu. W jego stronę szedł król.

Próbował przyklęknąć na jedno kolano, Ludwik powstrzymał go ruchem dłoni. Szukał oznak królewskiego dostojęstwa w wyglądzie władcy, ale wielki suweren miał na sobie tylko czarny jedwabny płaszcz lamowany rudym wiewiórczym futrem, jaki mógł nosić byle szlachcic.

Wie, kim jest i nie musi się z tym obnosić.

Na świętego Michała, czy to naprawdę mnie się przydarza? Przed chwilą kiedy spacerował z Perrinem, czuł, że ten królewski ogród i piękny dzień są równie prawdziwe, jak rwący ból w ramieniu, ale teraz, gdy spoglądał na wysokiego, wielkookiego mężczyznę, pytał siebie, czy to nie jeszcze jeden z gorączkowych majaków, jakie

prześladowały go od dnia turnieju. Pojawiał się w nich często Ludwik, obok Nicoletty, Almeryka i wielkiej maczugi, która zawsze opadała, ale nigdy nie zadawała ciosu. Czy to możliwe, żebym naprawdę był gościem króla Francji?

- Drogi Orlando, usłyszałem że już wstałeś. Bogu niech będą dzięki, że ci zdrowie wraca. Choć ze mną, nacieszyć się jesiennymi kolorami lasu.

- Sire, on się szybko męczy - zaniepokoił się Perrin.

- Nonsens, Perrinie - zaprzeczył Roland z animuszem.

- Wesprze się na mnie, jeśli będzie trzeba, przyjacielu. Doglądasz go dzień i noc od miesiąca. Odpocznij przy dzbanie wina z czeladzią, a ja się tymczasem zajmuję twoim panem.

Idąc powoli u boku króla, ze zdziwieniem zdawał sobie sprawę, że przy Ludwiku nie ma nikogo ze świty. Zaledwie dwóch kręciło się gdzieś z dala po ogrodzie. Roland obejrzał się i zobaczył, że Perrin stoi na progu kamiennego dworu i z niepokojem spogląda w ich stronę. Z irytacją machnął mu zdrową ręką na znak, by zajął się już sobą.

- Lubię spacerować sam jeden, samowtór najwyżej, nigdy nie dość mi odosobnienia, dlatego lubię Vincennes - powiedział Ludwik.

Roland głęboko wciągał powietrze w płuca, rozkosznie czyste jak źródłana woda.

Ludwik cieszył się kolorami czerwieni i złota jesiennych liści.

- Kiedyście mnie tu sprowadzili, sire?

- Dwie niedziele po turnieju, kiedy braciszkwowie powiedzieli, że jesteście już dość mocni, żeby podróżować. Pomyślałem, że z dala od paryskiego zgiełku i kurzu łatwiej dojdziecie do zdrowia. - Twarz mu posmutniała. - Potem pomyślałem, że się może strasznie omyliłem, bo droga niewygodna. Pogorszyło się wam, a królowa bardzo się na mnie zagniewała.

A Nicoletta? Gdybym mógł zapytać o Nicolettę. Gdzie ona teraz? Jak się jej wie-dzie? Czy Małgorzata da jej znać, że już ze mną lepiej?

Doszli ścieżką do polany, przy której Ludwik pokazał mu stary, powykręcany dąb.

- To moje ulubione drzewo. Lubię pod nim siadywać. Bywa, że ludzie mieszkający niedaleko przychodzą tu do mnie uzalić się na swoje troski, a ja próbuję im pomóc.

Ludwik ujął Rolanda pod lewe ramię i pomógł mu usiąść pod starym drzewem. Trubadur poczerwieniał z zakłopotania. Król pomaga mi usiąść?

- A więc, mój Orlando - zagadnął Ludwik z krzywym uśmiechem - chciałbym was przekonać do przyjęcia krzyża krucjatowego, jeno mi nie odpowiadajcie mową paryskiego ulicznika...

Krucjata? Roland poczuł się tak nieswojo, że miał ochotę czmychnąć w mysią dziurę.

- Nie rozumiem, sire... z tą mową.

Ludwik uśmiechnął się, na policzkach wykwitł mu lekki rumieniec.

- Kiedy byłeś bardzo chory, położyłem ci na piersi krucyfiks i opowiadałem o tym, jak Bóg uratował mi życie, kiedym obiecał ruszyć na krucjatę. Myślałem, że i ty powinienes uczynić to samo, a ty... ty... - Ludwik zawahał się, odwrócił wzrok. Resztę opowieści wyrzucił z siebie z taką szybkością i tak cichutko, że Roland ledwie mógł go zrozumieć. - Rzuciłeś krucyfiksem o podłogę, wykrzykując, żebym w zadek sobie wsadził swoją krucjatę.

Roland z trudem pohamował wybuch śmiechu, ale nie było się z czego śmiać. Zimno mu się zrobiło z upokorzenia - i lęku. Każde podejrzenie o brak wiary może sprowokować dochodzenie Inkwizycji i doprowadzić do Diany. Na świętego Michała, więc aż tak byłem chory. Nic dziwnego, że Perrin bał się zostawić mnie samego z królem. Dobry Boże, miejmy nadzieję, że nie mówiłem nic o Nicoletcie.

- Sire, nie wiem, jak się tłumaczyć, błagam o wasze wybaczenie.

Ludwik z uśmiechem potrząsnął głową.

- Jakby powiedziała moja dobra matka, to tylko bredzenie w gorączce. Żartem ci o tym rzekłem, nie po to, żebyś miał się konfundować. To ty wybacz.

Co za dziwny człowiek. Roland był coraz bardziej zaintrygowany. Może i chciał zażartować, ale naprawdę spłonął się, powtarzając moje słowa. A przecież potrafi doprowadzić rycerzy do bitwy.

- Sire, jakże mnie wam wybaczać, toż to nie przystoi, życie wam zawdzięczam.

- Widziałem, co zaszło w wielkiej potyczce i uczyniłem jedyną rzecz, którą mogłem uczynić, mówił Ludwik. - Nie mogłem stracić takiego człowieka jak ty. Widziałem, jak kładłeś jedynego rycerza po drugim, broniłeś się przed tuzinem napastników. Jeruzalem potrzebuje takich ludzi.

Zrobiło mu się zimno mimo słońca. Jakby mu kto serce rozpoławał. Chciał ofiarować temu człowiekowi, który uratował mu życie, wszystko, o co tylko by poprosił, a przecież był to ten sam król, którego armie plądrowały Langwedocję.

Nosił krzyż krucjatowy, żeby ratować Dianę, ale przyjąć go szczerze?

Spojrzał w las i zobaczył stojącą pośród drzew postać. Promienie słoneczne połykiwały na helmie. Obejrzał się w drugą stronę. Za rudziejącym krzakiem mignęła mu niebieska tunika królewskiego sierżanta. Las pełen był straży, które trzymały się z dala, żeby nie zakłócać prywatności króla. Ich widok wzbudził w Rolandzie dreszcz lęku, przypominając, że człowiek siedzący obok niego, jak dobry towarzysz, dysponuje naprawdę olbrzymią władzą.

Oto król, który nasłał na mój biedny kraj inkwizytorów. W jego imieniu Almaryk posłał setki ludzi na stos pod Mont Ségur.

Gdybym tylko mógł mu powiedzieć po prostu: „Nie, nigdy z tobą nie pójdę na wyprawę”. Kiedy nie śmiem.

- Sire, z tym ramieniem nigdy już chyba nie będę wojował. - Uniósł rękę jakby na dowód i od stóp do głów przeszył go przeraźliwy ból. Opuścił ramię.

Przez twarz Ludwika przemknął cień.

- Cierpisz z mojej winy. Almaryk przekonał mnie i pozwoliłem użyć maczug w wielkiej potyczce. Wiem, że jako dobry chrześcijanin winienem przebaczyć Almarykowi, ale jemu nie w głowie poczucie winy. Tych kilka godzin pohańbienia sprawiło tylko, że serce mu stwardniało. I pomyśleć, że zamierzałem dać mu największe dostojęstwa królestwa!

„Zamierzałem!” Rolandowi drgnęło serce. Przynajmniej tyle dokonałem, że Almaryk nie będzie konetabłem Francji. Tylem uczynił dla męczenników z Mont Ségur.

Co z Nicolettą? Almaryk musi teraz szaleć. Oby nie mścił się na niej. Gdybym mógł o nią zapytać, ale to tylko wystawiłoby ją na jeszcze większą sromotę.

- Sire, jeśli turniej odmienił wasze mniemanie o hrabim de Gobignon, może dobrze będzie, byście zbytnio już mu nie ufali.

- Chytrze powiedziane - odparł Ludwik z lekkim uśmiechem - ale nie obejdę się bez Almaryka. To dobry, mężny wódz. Trzeba ci go było widzieć, jak stawał przeciw Anglikom pod Taillebourgiem. Jakże mam się zbyć jego wojsk, wszystkich wasali domu Gobignon? Jego majątności?

Dla Rolanda ciągle było to niepojęte. On mówiący z królem Francji o pozycji Almaryka.

Spojrzał poprzez złote liście starego dębu w niebo. Boże, jak dobrze jest żyć.

- Sire, jakże możecie mieć u boku człowieka, któremu nie sposób zaufać ze wszystkim?

- Będzie dobrze - w głosie Ludwika brzmiało przekonanie. - Nakazałem mu przez sześć miesięcy trzymać się z dala od Paryża, póki mój gniew nie minie, a wtedy i on będzie inaczej czuł. Jego rodzina służy mojej od setek lat.

I od setek lat sarkają na tę służbę, dodał w myślach Roland. Czy Almaryk wziął ze sobą Nicolette? Muszę jej posłać wieści o sobie.

- Bardzoś mi potrzebny, Orlandzie. Może Bóg będzie łaskaw i przywróci ci władzę w ręce. Pójdiesz wtedy na krucjatę?

Jakże się wymówić temu królowi? Pod gładkimi manierami tyle w nim żelaznego uporu!

Próbował sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby znowu mógł władać prawą ręką. Ból odzywał się już na samą myśl o każdym ruchu. Nigdy nie wydobrzeję na tyle, by ruszyć na krucjatę i nie będę mu czynił próżnych obietnic.

- Sire, rycerzowi krzyżowemu trzeba koni, zbroi, broni, zbrojnej drużyny, a ja nie mam nic. Moja sakiewka jest tak pusta, że nie opłaciłbym nawet swojej drogi do Ziemi Zamorskiej, a co dopiero całej drużyny.

- Rycerz krzyżowy ma być tylko tęgim wojownikiem - odparł Ludwik cicho. - Bez tego reszta niewiele jest warta. Umiesz walczyć, widziałem. Nie zapominaj o koniach i zbrojach, któreś wygrał w turnieju. Twój muzykant powiada, że masz dom pod murami Paryża. Masz zatem jakieś pieniądze.

- Ojciec śle trochę, własnych nie mam.

Ucisk w żołądku ostrzegł Rolanda, że zbliża się do skrajnej przepaści. Jeśli król zapyta, kim jest jego ojciec, albo będzie musiał skłamać, albo wyznać, że jego rodzina należy do wrogów Franków.

Ale też w prawdzie wybawienie. Jeśli Ludwik dowie się, że jestem banitą, nie będzie przecież chciał mnie koło siebie.

Niepokój przerodził się w niemal fizyczny ból. Zastanawiał się, czy może zaufać królowi na tyle, by wyjawić mu prawdę.

Jeśli powiem, może mnie wydać w ręce Inkwizycji.

Nie, nie jest przecież takim człowiekiem.

- Sire, muszę wam coś wyznać. Zdaję się na waszą łaskę. - Czuł się, jak jeździec galopujący do niebezpiecznej przeszkody, zdeterminowany, by ją wziąć.

Ludwik spojrział na niego zaskoczony. Nie było już odwrotu.

- Nie jestem tym, za którego się podawałem.

- Zaciekawiasz mnie. Kimże więc jesteś?

- Moje imię jest Roland de Vency, pochodzę z Langwedocji. - Zaczął opowiadać historię swojej rodziny. - Mój ojciec ma zajęcie w kancelarii cesarza. Gdyby wrócił do Francji, czekałaby go śmierć.

Skończył i czekał na reakcję Ludwika. Ramię rwało. Na pobliskiej gałęzi krzyczała kawka, jakby jemu na pośmiewisko. Ludwik spoglądał na niego uważnie.

- Czyś dobrym katolikiem, messire? Wiesz, że otrzymałeś ostatnie sakramenty, kiedyś był chory?

- A więc moja dusza jest teraz tak czysta, jak nie była od wielu lat. Nie, nie jestem heretykiem. Mój ojciec nie walczył przeciw katolikom, jeno za ojczyznę.

Ludwik milczał przez dłuższą chwilę.

- Muszę cię jeszcze o wiele rzeczy wypytać - rzekł wreszcie.

Oparł się o pień potężnego dębu i zapatrzył w błękitne niebo.

- A więc twój ojciec jest w służbie u Fryderyka. Nie wiesz nawet, jak bardzo chciałbym się zaprzyjaźnić z cesarzem. Moja Francja i jego ziemie germańskie to dwa największe królestwa w całym chrześcijańskim świecie. Powinniśmy być sobie braćmi. Ta jego walka z papieżem - jakże mi to nienawistne! Gdybym mógł ich pogodzić. Wszyscy, wszędzie, cierpią od tej wojny i nikt nie myśli o Jerozolimie.

Z wyjątkiem mnie. Twoje związki z cesarzem mogłyby nam być użyteczne, a i mnie sprawiłoby radość mieć na swojej służbie syna jednego z naszych dawnych nieprzyjaciół. Da ci to dość pieniędzy, żebyś mógł się wyposażyć na krucjatę.

Rolandowi ścisnęło się serce. Piękny dzień stawał się coraz mroczniejszy.

- Sire, nie jestem człowiekiem, jakiego wam trzeba. Nie wierzę w krucjaty do Ziemi Świętej. Nie chcę stawać przeciw Turkowi.

- Ale - mówił Ludwik z błyszczącymi oczami - czy nie nosisz imienia po palatynie Karola Wielkiego, który poległ w chwale, walcząc z Saracenami?

- Sire, wspomnijcie, że Roland zginął, stawając przeciw Arabom, którzy najechali Francję. Przysięgam, że jeśli sułtan Egiptu napadnie na ten kraj, będę wśród pierwszych, którzy pójda na wojnę przeciw niemu. Jeśli będę mógł jeszcze utrzymać miecz w ręce.

- Jerozolima to nasza ziemia - odparł Ludwik. Należy do świata chrześcijańskiego.

- Sire, muzułmanie na dworze cesarza też mówili, że Jerozolima jest ich świętym miastem.

- Wierzą w to - spierał się nie zbity z tropu Ludwik - ale się mylą. Islam nie jest prawdziwą religią.

Rolanda piekły oczy, czuł ból w skroniach. Za długo jak na pierwszy dzień na powietrzu, pomyślał.

- Sire, Jerozolima jest za daleko, byśmy mogli ją utrzymać.

O dziwo, Ludwik tylko się roześmiał.

- Masz dobre towarzystwo, moja matka i bracia mówią mi to samo. Z bożą pomocą może odmienię ich myśli. Wierzę, że możemy oswobodzić Jerozolimę, warta jest każdego poświęcenia.

Ból głowy wzrastał się, w piersi narastał głuchy gniew. Ten człowiek jest niemożliwy. Wykończy mnie tą słodką, pełną cierpliwości determinacją. To jak walczyć z przypliwem. Każda następna fala zdaje się taka sama jak poprzednia, aż w końcu, powoli, nieodwracalnie człowiek zostaje przez nie pokonany.

- Krucjata zniszczyła moją ojczyznę, zdradziłbym mój lud, przyjmując krzyż.

Ludwik ciągle spoglądał na niego z sympatią. Roland czuł, że przepadł.

- O to właśnie idzie, Rolandzie, nie pojmujesz? Teraz, kiedy wiem, że jesteś synem Langwedocji, muszę, muszę cię przekonać. Krucjata przeciw albigensom - nie powiem, żeby to było zło, ponieważ papież ją ogłosił, a mój dziad i ojciec go poparli, ale teraz trzeba położyć już temu kres. Chcę jednej Francji, połączenia Południa z Północą. - Oczy płonęły mu gorączkowo. Uniósł zaciśnięte pięści. - Pomyśl tylko, Lagwedoccy i Frankowie walczący ramię w ramię o przywrócenie Jerozolimy chrześcijaństwu. Bóg tego chce, chce uzdrowienia Francji.

Rozpacz ciążyła Rolandowi bardziej niż drewniana konstrukcja na ramieniu.

Co mam jeszcze rzec? Czy ja dbam, w czyich rękach będzie Jerozolima? Niech ją sobie sultan zatrzyma. Powinienem to powiedzieć królowi, niech da mi wreszcie spokój.

Nie chcę go przecież obrazić, lubię go.

Przyjął mnie takiego, jakim jestem, wie że go zwodziłem, że pochodzę z rodziny banitów.

Ludwik przerwał jego rozmyślenia.

- Widzę, że rozmyślasz nad tym, co powiedziałem. To już dobrze. Umęczyłem cię tą rozmową. Wybacz, czasami się zapominam. Nie powinienem wygłaszać kazań, kiedy jeszcze takiś słaby.

Jeśli będzie tak dalej rozprawiał, gotów mnie przekonać.

Ludwik podniósł się raptownie i wyciągnął ręce do Rolanda, by pomóc mu wstać. Rozdzierający ból przeszył całą prawą stronę ciała. Zaciśnął zęby, żeby nie krzyknąć w głos.

Ludwik podał mu ramię.

- Wesprzyj się na mnie. Pójdziemy razem z powrotem.

Ból dawał mu wymówkę do milczenia w drodze powrotnej.

Wkrótce pojawiło się przed nim solidne, prostopadłościennne królewskie dworzyszcze, zbudowane przez dziada Ludwika, Filipa Augusta. Jego surowość rozbijała tylko lekka wieża kaplicy dobudowana kilka lat temu z rozkazu Ludwika.

Król zagadnął go raz jeszcze, dopiero gdy doszli do furty ogrodu.

- Jeśli twoja ręka nie pozwoli ci powrócić do życia wojownika, wiele jest przecież innych zajęć dla rycerza, który umie pisać i czytać. Znajdziesz u mnie zajęcie,

czy pójdiesz na krucjatę, czy nie. Trzeba mi ludzi twoich zalet, Rolandzie de Vency.

W słowach Ludwika tyle było afektu, że Rolandowi zrobiło się ciepło na sercu.

Przybył do Francji w poszukiwaniu patrona i oto masz, sam król Francji ofiarowuje się wziąć go na służbę, wręcz żąda, żeby przyjął jego propozycję. Prawda, że nie chce go za trubadura, ale czy nie lepiej zająć się czymś poważnym? Zawsze będzie mógł układać pieśni. Nawet król to czyni.

Nicoletta przepędza większość czasu z królową Małgorzatą. Służba u króla pozwoli mu być bliżej niej.

Lubi króla. Oto człowiek tak wolny od zbędnej dumy, że gotów niemal nieść rannego, nieznanego nikomu rycerza-chudopachołka przez swój królewski ogród. Szczery, szczodry, dbały o swój lud. Prawda, kiedy przychodzi do krucjaty, mówi, jakby umysł mu się mącił, ale teraz, kiedy mu się przysłuchał, trochę lepiej pojął jego zamiary.

Jest jak czarodziej, pomyślał Roland z podziwem. Byłem taki pewien, że wiem, czego chcę, a przecież udało mu się odmienić moje zdanie. Kiedy zacznę mu służyć, może i ja będę potrafił nieco go odmienić.

Jeśli jednak wojna w Langwedocji będzie się przeciągać? Co na to powie Diana?

Chcę być wolnym człowiekiem, ale nie ma wolnych ludzi na tym świecie. Przy Ludwiku będę miał bodaj trochę władzy, by coś czynić.

Tak, ale przyjąć krzyż?

Roland rzadko rozmyślał o swojej duszy, jednak tego dnia uczuł lęk, że mógłby ją utracić.

* * *

XII

Ze ściśniętym gardłem Nicoletta stała pośrodku pustej sieni zamku Gobignon. Tylko rzędy starych, lekko falujących chorągwi przesłaniały widok na szerokie schody prowadzące do głównej wieży zamku.

Na górze zamknęły się drzwi, ktoś szedł w stronę schodów.

U ich szczytu pojawiła się biała postać przypominająca zjawę oświetloną światłem pochodni umocowanych do szarych kamiennych ścian. Podzwaniając zawiązanym wokół pasa różańcem, schodził w dół Hugo de Gobignon.

Nicoletta skłoniła się grzecznie.

- Dobry wieczór, bracie Hugo.

Hugo posłał jej niechętnie spojrzenie. Skłonił się i szybko odszedł w kierunku swojej izby.

Nienawidzi mnie, bo pochodzę z Langwedocji. Uradowałoby go, gdyby Almaryk zamknął mnie w klasztorze - albo w lochu. Ród Gobignon ma mnie za wielką pomyłkę Almaryka. Tym więcej, że urodziłam trzy córki i żadnego syna. Almaryk szczęśliwie nie dawał im posłuchu - przynajmniej do tej pory.

Wiedziała, że Almaryk jest teraz sam w głównej sali zamku. Wzięła głęboki oddech i zaczęła wchodzić po schodach. Kolana uginały się pod nią ze strachu i zdenerwowania.

Przygotowała się starannie do tej rozmowy, spędziła godzinę przed lustrem, zaplatując długie czarne włosy w warkocze, bo Almaryk lubił ją tak uczesaną. Z lustra spoglądała na nią wystraszona i blada twarz, mimo że wyszczypała policzki, by nadać im rumieńców. Jeszcze raz powtórzyła teraz ten zabieg kosmetyczny. Miała na sobie zieloną, obcisłą, aksamitną suknię ze złotym pasem podkreślającym

szczupłość jej talii. Chciała pokazać mu się jak najlepiej, chociaż wiedziała, że całe to uwodzenie pójdzie na próżno. Nie dlatego, żeby jej nie pragnął, ale że wiedział, iż ona nie pragnie jego.

Przez te siedem miesięcy, które tu przepędziliśmy, nie wiem, czy zległ ze mną w łożu wszystkiego siedem razy. Tyle dobrego, że nie muszę za często pić tego przebrzydłego wywaru z ziół, który chroni przed poczęciem. Pewnam, że dość ma wiejskich dziewczek i chłopskich córek.

Nie dbam, z iloma kobietami Almaryk się zadaje, ale umarłabym, gdybym się dowiedziała o jakiejś kobiecie Rolanda.

Słodka bogini, wydostać się stąd, taka jestem tu nieszczęśliwa.

Dotknęła pergaminu, który chowała w dłoni. Musi ulec. Nie odrzuci przecież królewskiego rozkazu. Jeśli jednak nie pozwoli mi pojechać? Wezmę najlepszego konia z jego stajni i nie spocznię, póki nie ujrzę Morza Śródziemnego.

Doszła do szczytu schodów i stanęła przed dębowymi drzwiami wielkiej sali opatrzonymi kołatką w kształcie wilczego łba. Zapukała zgiętymi knykciami, nie chciała dotykać odrażającego kształtu. Poczekala, aż się odezwie i weszła. Kiedy szła po schodach, drżała, ale na jego widok strach ustąpił rozbawieniu. Wydawał się tak nie na miejscu za długim stołem zasłanym pergaminami i papierami, na wpół rozwiniętymi zwojami pism i nawet kilkoma księgami. Czytał coś przy świetle świec. Okna były pozamykane, w powietrzu unosił się ciężki zapach wosku.

- Czym mogę służyć nadobnej pani? - zapytał nie wstając.

W jego głosie pobrzmiwał ciężki sarkazm.

Serce jej zadrżało. Ciągle jeszcze pełno w nim było goryczy po poniżeniu, jakie go spotkało na turnieju, i o które ją winił. Nienawidzi króla i królowej, nienawidzi Paryża, nienawidzi Rolanda. Nigdy nie pozwoli mi tam wrócić.

- Dzisiaj to dostałam, panie - podała mu pergamin.

- Czytaj więc, jeśli to coś, o czym mam wiedzieć. Na wpół oślepiłem od czytania przez cały wieczór.

No tak, nienawidzi i tego. Robi to tylko dlatego, że musi zarządzać swoją domeną. Ludziom takim jak ja i Roland czytanie sprawia przyjemność. Szczęśliwa jestem, że nauczyłam się czytać. Niewiele kobiet tutaj na północy to potrafi.

List był od królowej Małgorzaty:

Zima zdała się nam dwa razy dłuższa i dwakroć zimniejsza, jako że cię tu ubyło. Nie masz tu śmiać się komu z tych samych co my zbytków, nie masz z kim słówka w mowie dziecięctwa zamienić. Król jest naszym druhem najwierniejszym, ale mowa jego północna, a zawždy głowę ma zajętą rządami i religią. Miła Nicoletto, pusto nam bez ciebie, boś nam jak siostra, co nigdy się nam frasować nie dozwoliła. Proś tedy męża swego, żeby cię królowej laskawie użyczył. Sześć miesięcy już wszak przeszło.

Przy słowach mówiących o jego zesłaniu zerknęła niepewnie na Almaryka.

Od dnia kiedy król przerwał turniej i uratował Rolandowi życie, miała dla niego jeszcze większy szacunek i jeszcze goręcej go pokochała. Nigdy nie zapomni tego, co uczynił.

Ale i Almaryk dobrze to zachowa w pamięci.

Nigdy nie wybaczy Ludwikowi tych godzin, podczas których musiał stać z kamienną twarzą wystawiony na pohańbienie. Obok tarcza rodu, z której był tak dumny, odwrócona do góry nogami. Zastanawiała się, stojąc przed nim, jaką też zemstę obmyśla w głowie?

Zaraz po turnieju, w czasie dwutygodniowej podróży z Paryża do włości Gobignon położonych w północno-wschodnim zakątku Francji, obserwowała go, jak zmagął się z ogarniającą go wściekłością, gwałtowniejszą niż jakakolwiek, której była świadkiem do tej pory.

Dopiero gdy minęli szczyt wzgórza, za którym ujrzeli zamek Gobignon, ciągle jeszcze oddalony o cały dzień drogi, na twarzy Almaryka pojawił się ponury uśmiech. Jej zaś serce się ścisnęło na widok okrągłych wież i flankowanych murów górujących na szczycie dalekiego skalistego wzniesienia. Przez wszystkie lata małżeństwa spędzała możliwie jak najmniej czasu w tym kasztelu. Była przy Małgorzacie albo objeżdżała z Almarykiem jego dobra na południu. Zamek przerażał ją i przynębiał, teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Była to budowla wzniesiona na chwałę potęgi rodu Gobignon, tak jak wznosi się katredrę na chwałę bożą. Jej jednak zdawała się więzieniem.

Następnego dnia, kiedy byli już bliżej, dostrzegła, że zamek udekorowano na powitanie pana. Na wieżach wywieszono dziesiątki purpurowo-złotych chorągwi w kolorach Gobignonów. Może być, że Almaryk opuścił Paryż w niełasce, ale jego rodzina i wasale potraktowali powrót seniora niczym triumf.

Przez Gobignon-la-ville, otoczone murami miasteczko przytulone do stóp zamkowego wzgórza, przejechali wśród tłumu wiwatujących mieszczan, rzemieślników, zbrojnych i chłopów. Dojrzała na twarzy Almaryka pozdrawiającego swoich poddanych wyraz bliski szczęścia. Wiwatowali i na jej cześć, ale im bliżej była zamkowych murów, tym bardziej czuła się samotna.

Kiedy minąwszy barbakan, wjechali na dziedziniec, gdzie zebrała się cała rodzina Almaryka gotowa do powitań, poczuła na sercu jeszcze większy ciężar. Nikt na nią nawet nie spojrział. Spędziła właśnie z nimi lato i teraz dreszcz ją przejmował na myśl o wspólnej zimie. Hrabina Maria, matka Almaryka, córka Filipa Augusta i siostra króla Ludwika VIII nie dawała nigdy nikomu zapomnieć o swoim pochodzeniu. Był tu też, a jakże, brat Almaryka, Hugon ze swoimi przewiercającymi ją na wylot oczami. Była w końcu gromada ambitnych i władczych krewnych oraz wasale, którzy klękli na widok Almaryka.

Pomyślała, że ich powitanie powinno poprawić mu humor. W Paryżu musiał podporządkowywać się królowi, tu sam był królem.

Uniósł ich najstarszą córkę Izabellę i posadził przed sobą na koniu. Dała mu małą poduszeczkę, którą wyhaftowała dla niego, i Nicoletta zobaczyła, że się wzruszył.

Kiedy dwie młodsze, Alix i Blanka, przywitały ojca, ledwie patrząc na nią spod wstydliwie spuszczonej oczu, ukłuło ją poczucie winy. Zrodzone z niego, niewiele dawały jej radości. Pamiętała dobrze, jak bardzo kochała swoją matkę. To straszne, że taki mur wyrósł między nią a jej dziećmi. Taki mój los, że spotkałam i poślubiłam ich ojca, one temu niewinne. Zła ze mnie matka. Żal i smutek legł jej kamieniem na sercu.

Jak długo tu wytrzymam?

List od Małgorzaty mógł być kluczem, który otworzy jej drzwi do ucieczki. Rzucił go na stół, nawet nań nie spojrzawszy.

- Mowy nie ma o wizytowaniu królowej - rzucił szorstko. - Tu cię potrzebuję.
Ogarnął ją gniew i bunt

- Dobry Boże, a na com ci tu potrzebna? - wybuchnęła. - Dostałeś wszystko, czego potrzebowałeś, kiedyś wziął moje dobra rodzinne.

- Nie żeniłem się z tobą dla ziemi, Nicoletto.

Na jego twarzy malowało się cierpienie i tęsknota. Dojrzała je, ale nie chciała się do tego przyznać.

- Król zamierzał uczynić mnie konetablem Francji, a niczego na świecie bardziej nie pragnąłem. Straciłem tę sposobność z powodu jakiegoś przekłętego trubadura. Czy myślisz, że wytrzymałbym takie poświęcenie, gdyby nie ty?

Zgódź się z nim. Powiedz mu, jak to doceniasz.

Ale nim zdążyła się pohamować, już mówiła: - Nigdyś niczego w życiu nie poświęcił. Chciałeś zabić tego człowieka tak, by nie wyglądało to na twoją winę i straciłeś głowę, gdy się okazało, że nie taka z niego łatwa ofiara jak jego biedny muzykant.

- Na świętego Dominika, pani. Twój niewinny włoski trubadur szykował się mnie zabić.

- Twoje okrucieństwo i zazdrość były tego przyczyną.

Nagle oczy mu się zwięzły.

- A ty skąd wiesz o muzykancie.

Złodowaciła.

Boże, przepadłam.

Almaryk podniósł się, obszedł stół i chwycił ją za nadgarstek. Usiłowała się wyrwać, serce jej waliło. Zbliżył twarz, ledwie mogła oddychać. - Tylko on wiedział o muzykancie.

Musiła zebrać myśli. Od tego, co powie może zależeć jej życie, inaczej gotów ją tu zadusić.

- Wszyscy jego domownicy o tym wiedzieli i nie czynili z tego tajemnicy. Służba zwykła plotkować, i tak w końcu dochodzą do nas różne wieści. - Z całych sił starała się zachować pozory spokoju.

- Jak dostał szarfę? - Almaryk przypominał wilka, który wpił zęby w podgardle jelenia i nie popuści, póki ofiara nie padnie martwa.

- Tyś mi kazał ją oddać i uczyniłam, jak powiedziałaś. Nigdy nie myślałam, że będzie taki szalony, by ją nosić, co dopiero na turnieju. Tyle razy ci już powtarzałam,

że ten człowiek nie uczynił nic poza tym, że złożył mi niewinny hołd należny damie wybranej przez trubadura. Trubadur nie rozmawia ze swoją panią, wielbi ją z oddali. Nigdy mu nie przyzwoliłam nawet na słowo.

Oddychał ciężko, ciągle jeszcze zaciskał dłoń na jej nadgarstku. Jego oczy były dziwnie ciemne, tak jakby wściekłość odmieniła ich kolor.

Odezwał się po chwili milczenia.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie spotkałaś się z nim nigdy potajemnie, że nie znasz tego człowieka?

- Nie znam - zapewniła pospiesznie.

- Naturalnie, że nie, madame - z dłonią ciągle zaciśniętą na jej nadgarstku pociągnął ją ku drzwiom sali, po krętych schodach na najniższy poziom wieży.

Nie śmiała się opierać. Ręka jej drętwiała, czuła ból w całym ciele. Ledwie mogła za nim nadążyć na stromych schodach.

Weszli do małej kapliczki, tak mrocznej, że ledwie widać było jej beczkowe sklepienie. Jedyne światło dawała mała świeca migocąca na ołtarzu. Hostia w tabernakulum. Nie odważy się zabić mnie tutaj, przed Chrystusem.

Oczy przywykły już do panującego mroku, tak że mogła dojrzeć pod ścianami siedem sarkofagów ze szczątkami Gobignonów. Największym lękiem napawała ją rzeźbiona w czarnym marmurze postać ojca Almaryka, hrabiego Stefana. Nogi skrzyżowane na znak, że był krzyżowcem. Kamienne oczy, sprawiające wrażenie otwartych, patrzyły w sklepienie kaplicy, orla twarz ciągle nosiła ślady zawziętości. Pospiesznie odwróciła wzrok.

Dobra bogini, Almaryk każe mi przysięgać przed ołtarzem, że się nigdy nie spotkałam z Rolandem!

Przejął ją teraz lęk przed Bogiem Wszechmocnym. Wstrząsnęła się na myśl o Jego karze. Jeśli umrze krzywoprzysięgając? A może Bóg pokarze Rolanda?

Jeśli nie przysięgnę, Almaryk gotów mnie zabić.

- Przysięgaj! - jego ryk zadudnił pośród kamiennych ścian. - Przysięgnij przed Panem Jezusem, że nie rozmawiałaś z tym człowiekiem, że nie spotykałaś się z nim potajemnie, że z nim - wydusił z siebie z trudem - nie zleżał w łóżu, że go nie miłujesz.

Czekał z płonącymi złym ogniem oczami.

Spojrzała na polichromowaną figurę Ukrzyżowanego nad ołtarzem, krwawiącą, z oczami wywróconymi ku górze w śmiertelnym bólu konania. Poczowała bliskość Chrystusa, jakiej nie odczuwała nigdy wcześniej. Jak On był opuszczony i zapomniany w dniu swojej śmierci, tak ona w tej chwili czuła się całkiem sama na świecie.

Powiem mu prawdę, czemu nie? Nigdy już przecież nie zobaczę Rolanda. Czemu mam spędzić resztę życia uwięziona? Jeśli mnie teraz zabije, wszystko się wreszcie skończy.

Nie! Odezwał się gniew i nieposłuszeństwo. Jestem córką Wilhelma de Lumel, a ten tu człowiek zniszczył mój kraj, mój lud. Nie oddam się w jego ręce, nie pozwolę, żeby mnie zabił.

Złożyła dłonie: - Przysięgam przed Jezusem Chrystusem, że nie uczyniłam żadnych z tych rzeczy, przysięgam.

Almaryk milczał przez chwilę, po czym zamknął oczy i głęboko westchnął.

- Dzięki ci, Boże - wyszeptał.

Uczuła wyrzuty sumienia, widząc jego serdeczną ulgę.

Wyciągnął ku niej ramiona, a ona pozwoliła się objąć. Złote nitki na haftowanej tunice ocierały jej policzki. Mogła słyszeć szybkie, głośne bicie jego serca.

Wierzy mi, bo z całych sił chce mi wierzyć. Chce mi wierzyć, bo mnie kocha, a ja nic nie mogę dla niego uczynić.

- Choć ze mną, Nicoletto - powiedział miękko, rozluźniając rozpaczliwy uścisk.

Spojrzała raz jeszcze na krucyfik i pozwoliła wyprowadzić się z kaplicy. Może będę potępiona na całą wieczność. Nie wiedziała, czego bardziej się lękać - sądu bożego czy furii męża.

Kiedy wrócili do wielkiej sali, podał jej krzesło, sam też usiadł. Gniew minął, Almaryk sprawiał wrażenie wyczerpanego. W jego zachowaniu było coś przeproszącego, jakkolwiek Almaryk de Gobignon nie zwykł nigdy nikogo przeproszać.

- Sprawilem ci ból?

- Żadnego, panie.

- Tak się cieszę, Nicoletto. Wiele mogę ci dać, dam jeszcze więcej w latach, które nadejdą. Chcę cię mieć obok siebie. Bądźmy sobie lepszymi przyjaciółmi.

Cierpiała słysząc te słowa. Kochała Rolanda, a to wykluczało jakąkolwiek zażyłość z Almarykiem. Chciała go jakoś pocieszyć - nie wszystko zło stało się z jego

winy - ale nie była w stanie wypowiadać kolejnych kłamstw.

- Powinam być wam lepszą żoną, panie.

Uśmiechnął się ciepło.

- Będziesz miała sposobność po temu. Udamy się w długą podróż, razem, ty i ja.

Na dźwięk tych słów serce jej zamarło.

- Dokąd, panie?

- Nazwij to pielgrzymką, jeśli chcesz. Tak nazywa ją nasz król-psalmista. Pielgrzymką do Ziemi Zamorskiej. Mówiłem na ten temat z Hugonem dzisiejszego wieczoru, ty jesteś drugą, która się o tym dowiaduje. Zdecydowałem się ruszyć z Ludwikiem na tę jego przeklętą krucjatę.

- Dlaczego? - zapytała zaskoczona.

- Turniej wszystko odmienił. Rozmyślałem przez całą zimę. Radziłem się mądrych ludzi - de Coucy'ego, Tybalda z Szampanii i innych wielkich baronów.

Przeszedł ją dreszcz strachu. Almaryk nigdy nie darzył sympatią króla, ale od czasu turnieju pałał do niego nieskrywaną, pełną jadu nienawiścią. Wiedziała, że wielcy baronowie także nienawidzą Ludwika za jego próby roztaczania kontroli nad ich rządami i chęć ulżenia niedoli ludu.

- Jakiej ci rady udzielili?

- Byłoby naprawdę lepiej, gdyby Ludwik ruszył do Ziemi Zamorskiej. Królowa Blanka przejęłaby wówczas rządy jako regentka, tak jak wtedy, gdy Ludwik był jeszcze dzieckiem. Wiesz, że Ludwik chciałby się wtrącać w to, jak baronowie władają swoimi lennami?

Przypomniała sobie, jak słuchała zafascynowana króla, który mówił o powołaniu nadzorców królewskich. Spisowych, jak ich nazywał. Pomysł wydał się jej wtedy śmiały i wspaniały.

- Tak, coś o tym słyszałam.

- Moja królewska ciotka uważa, że to niebezpieczna nowinka. Nie dojdzie do tego, gdy Ludwik wyjedzie. Jest nam przyjazna, przeciwnie niż on. Zakazał baronom prowadzić wojny między sobą, powiada, że sam będzie rozsądzał nasze waśnie, jakby we wszystkim chciał być panem. Królestwo będzie w lepszych rękach, gdy go tu nie będzie.

Nicoletta powstrzymała odruch sprzeciwu. To, co mu się roilo oznaczało, że ci sami maruderzy, którzy plądrowali Langwedocję, będą mogli swobodnie łupić cały kraj z przyzwoleniem Blanki. Co jednak miałyby zyskać Almaryk?

- Ale wy pójdziecie z krucjatą, panie.
- Zostanie tu godny zaufania człowiek, który będzie pilnował moich spraw. Naszych spraw, bo ty ruszysz przecież ze mną.

Znowu przeszedł ją lodowaty dreszcz jak wtedy, kiedy dowiedziała się o okaleczeniu Perrina. A więc o tym myślał, kiedy mówił o długiej wspólnej podróży.

Ziemia Zamorska, cmentarzysko niezliczonych chrześcijan, kobiet i mężczyzn! Przypomniała sobie, jakie przerażenie ją zdjęło, gdy po raz pierwszy usłyszała Ludwika ogłaszającego krucjatę. Wtedy jednak lękała się o innych, o tych, którzy padną ofiarą „szaleństwa”, jak nazywał je jej ojciec. Nigdy, aż do dzisiejszego wieczora, nie myślała, że Almaryk przyłączy się do wyprawy. Tak bardzo był przeciwny tej idei, próbował nawet klócić się z królem. Nic nie wydawało się jej dotąd bardziej odległe niż perspektywa, że i ona ruszy razem z innymi.

Tyle lat z musu przebywała na zimnej, nieprzyjaznej północy. Teraz musi towarzyszyć temu człowiekowi na wojnę w Ziemi Zamorskiej, znosić skwar, choroby, głód i pragnienie. Narazić się na śmierć, niewolę wśród tureckiej dziczy, jeśli - jak się często trafiało - wojna obróci się na niekorzyść krzyżowców.

Jakże może przeciwstawić się Almarykowi? Jaki powód swojej niechęci miałyby podać? Król i baronowie zwykli raczej zabierać ze sobą żony, niż cierpieć trwającą latami rozłąkę. A ona właśnie obiecała, że będzie się starała być lepszą żoną.

Jeszcze przed chwilą był gotów ją zabić. Nie sposób wystawiać się ponownie na jego wściekłość.

- Jestem gotowa, panie - odpowiedziała zrezygnowanym głosem.
- Rad jestem to słyszeć... - przerwał i uśmiechnął się do niej. - Postanowiłem, że wracasz do Małgorzaty.

Zawirowało jej w głowie z radości i zadziwienia. Zrozumiała, jak czuje się więzień niespodzianie uwolniony z lochu. Perspektywa była oszałamiająca, z trudem mogła uwierzyć jego słowom. Zdawało się, że świece w sali zapłonęły jaśniejszym płomieniem.

A zatem zobaczę Rolanda! Starala się zachować nadal wdzięczną pozę, słuchała ze spuszczonej oczami, co senior ma jeszcze do powiedzenia.

- To, że przystanę na prośbę królowej, będzie krokiem do zakończenia waśni między mną a Ludwikiem - mówił dalej. - I ja otrzymałem list z pałacu, zobacz. - Przerzucił papiery na stole, aż natrafił na pergamin opatrzone wielką, ozdobną królewską pieczęcią. - Wyciągnął do mnie rękę. Kiedy dowie się, że idę na krucjatę, odzyskam wiele z utraconych łask.

- Dołożę starań, by między wami a królem zapanowała zgoda - powiedziała, wiedząc, że to właśnie chciałby usłyszeć. Jednak król wołałby sprowadzić zmię do pałacu, niżli odnowić przyjaźń z Almarykiem, pomyślała. - To znaczy, że pojedziemy do Paryża razem, panie?

- Ciągle jeszcze jestem królewskim seneszalem w Béziers. Czas, żebym podjął na nowo swoje obowiązki. Nie zdzierzyłbym teraz widoku Ludwika, nawet po tych sześciu miesiącach. Już na samą myśl o tym bigocie, z jego kazaniami, żałuję, że Enguerrand powstrzymał moją maczugę. Cóż, Wschód jest daleki i pełen niebezpieczeństw. Kto wie, co może tam spotkać króla?

Usłyszała w jego śmiechu dziką wściekłość. Przeraziła się, jakby nagle przebudziła się z głębokiego snu na krawędzi stromego dachu. Zrozumiała teraz, dlaczego Almaryk chciał ruszyć na krucjatę.

Co zyska? To, że doprowadzi do śmierci króla. Jej życie, a może i życie Ludwika, zależało, by nie dała po sobie poznać, że rozumiała jego zamysły.

- Módlmy się, aby szczęśliwie powrócił - odparła cichym głosem, w którym miał zabrznieć spokój.

Almaryk spoglądał na nią uważnie przez dłuższą chwilę. Żółte światło ze świeczników rzucało głębokie cienie na jego twarz, mogła jednak dojrzeć słaby uśmiech igrający wokół ust.

- Módlmy się - powiedział w końcu. - Może utknąć tam na wiele lat. Da to ludziom, którzy myślą jak my, czas na uporządkowanie spraw królestwa.

- Nie rozumiem, czemu źle się teraz dzieje w państwie francuskim, panie? - Natychmiast pożałowała swoich słów.

- Nicoletto, twój ojciec zginął z naszej winy, to wielka twoja krzywda. - Jego nastrój uległ zmianie, słyszała teraz w jego głosie melancholijną zadumę. - Ale dlatego,

że straciłaś ojca, wiesz co to znaczy mieć pięć lat - dość żeby znać i kochać swojego ojca - i usłyszeć, że został zamordowany. To tak jakby ten zamek - mój dom i moje życie - nagle runął. Spojrzał na nią, na jego twarzy malował się ból. Niemal widziała małego chłopca, o którym mówił.

- Kiedy byłem trochę starszy dowiedziałem się, że to heretycy go zabili. - Zaciśnął pięści. - Zaskoczyli go we śnie i porąbali na kawałki. Przekłęci, przebiegli Bugresi.

Śpiącego w cudzym łóżu, w złupionym zamku, w kraju, który najechał. Zagryzła wargi i nic nie odrzekła. Pojmowała, że ta opowieść jest dla niego święta. Choć od dawna wiedziała, że jego ojca zamordowano w Langwedocji, nigdy z nią o tym nie mówił. Teraz lepiej rozumiała, co czuł.

Rozłożył ręce. - Poznawałem powoli powody, dla których powinniśmy zniszczyć heretyków, dowiedziałem się, że oddają cześć dwóm bogom, wierzą, że ten świat i nasze ciała są tworem złego boga, zabijają starców i chorych, obcuja między sobą, mężczyzna z mężczyzną, niewiasta z niewiastą. To od nich pospólstwo bierze pomysły zakładania gmin i żądania statutów. To przez nich szerzy się pogaństwo pod przykrywką dwornej miłości. To oni podżegają do buntu studentów. Baronowie, rycerze, biskupi tu mają o nich wiedzę - popukał się palcem w czoło - ale moja znajomość heretyków wypalona jest w moim sercu - uderzył się pięścią w pierś. - Moja krew mi mówi, że to królestwo nie będzie bezpieczne, póki herezja i wszelkie zło od niej idące nie zostaną całkiem wyplenione. Czekam wyjazdu do Béziers, do Langwedocji, gdzie są korzenie całego nieszczęścia. Hugon i ja rozpalimy tam stosy.

Jakby kto pochwycił jej ciało w żelazne kleszcze. Jakże fałszywe, zniekształcone były jego wyobrażenia o katarach i dwornej miłości. I o Langwedocji. Ja też należę do tych, których zamierza zniszczyć. A jeśli chce mnie zniszczyć dlatego, że obraziłam Boga swoim krzywoprzysięstwem?

- Chcecie więc oczyścić ogniem i mieczem całe królestwo? Żeby to uczynić, musielibyście być bez mała królem, panie.

Uniósł dumnie kwadratową szczękę.

- Jestem bez mała królem. Czy wiesz Nicoletto, że wśród moich przodków był jeden z siedmiu wielkich baronów, którzy pomogli Hugonowi Kapetowi sięgnąć po

koronę? To czyni mnie parem królestwa. Skąd, jak myślisz, król bierze prawo do władania krajem? Od parów, potomków tamtych siedmiu baronów, dzięki którym przodek Ludwika zasiadł na tronie. Za każdym razem, kiedy przychodzi do koronacji nowego króla, musi się to dziać za naszym przyzwoleniem. Czyś wiedziała o tym?

- Nie, panie, nie wiedziałam - odpowiedziała powątpiewająco.
- To prawda - przytaknął uroczyście - ustanawiamy królów i możemy ich obalać.

I ty chcesz obalić króla. Wzdrygnęła się wewnątrz. Kiedy Almaryk unosił się nad tym, co może przytrafić się królowi w czasie wyprawy, czuła się tak, jakby stała na skraju stromego dachu, ale teraz nie widziała już w dole ziemi, jeno rozwierające się czeluści piekła. Piekła z płonącymi miastami, masakrowanymi ludźmi, kobietami i mężczyznami umierającymi w mękach na stosach, krzykami niewinnych ofiar. Piekło stworzone przez ludzi podobnych Almarykowi.

„Rozpalimy tam stosy” - tak powiedział.

Muszę powstrzymać tego człowieka. Muszę znaleźć sposób, żeby go powstrzymać.

* * *

XIII

Nicoletta drżała z niecierpliwości. Spojrzała ku słońcu, ale było już zbyt nisko, by mogła je dojrzeć, chociaż popołudniowe światło przeświałało sklepienie z liści i gałęzi nad jej głową. Jeśli Roland miał dotrzymać obietnicy danej w liście, powinien zjawić się lada chwila. Czarna klacz uwiązana u młodego buka biła mocno kopytami.

Siedziała między splątanymi korzeniami rozłożystego dębu z głową wspartą na dłoniach, starając się zachować spokój. Po sierpniowym skwarze i kurzu drogi na polanie było chłodno niczym we wnętrzu katedry. Wyciągnęła przed siebie nogi w czerwonych pończochach, ściągnęła z głowy skrywający długie loki chłopięcy kapturek. Jakiś paż z otoczenia królowej miał szczęście, skoro Agnes zapłaciła mu za jego strój dwa razy więcej, niż kosztowałoby nowe odzienie. Wyjęła szpilki spinające włosy, ciesząc się poczuciem odzyskanej swobody. Nie mogła uwierzyć, że minął niemal rok od chwili, gdy po raz ostatni widziała Rolanda. Czy spotkają się dzisiaj, po tak długim czasie? Napięcie stawało się coraz bardziej nieznośne. Wytrzymała tyle miesięcy, a teraz nie mogła znieść ani minuty wyczekiwania.

Miał do przebycia długą drogę. Czyżby zatrzymał go jakiś niefortunny traf - burza, wypadek z koniem, może spotkanie z bandytami?

A jeśli czeka przez głupie nieporozumienie, nie na tej polanie, pod innym dębem? Jeszcze raz przeczytała niepodpisany list Rolanda, który Agnes dała jej zaledwie wczoraj, gdy pojechały do katedry Najświętszej Marii Panny w Chartres. Postąpiła ściśle według wszystkich jego wskazówek.

Kiedy nareszcie tu będzie? A jak już będzie, jeśli będzie, to jaki się okaże, osłabiony i schorowany po tak długiej rekonwalescencji? Jego klerkowskie zajęcia niewiele się pewnie przyczyniły do uzdrowienia.

Zanim przybyła w maju do królewskiego pałacu, wysłała naprzód Agnes, by zapytała o Rolanda. Jakże czekała na choćby jedno słowo. Nie zawsze lubiła Paryż, ale dzisiaj miasto zdawało się promieniować nowym życiem. Jakże wspaniale było znaleźć się z dala od ponurego zamku Gobignon. Rozpakowywała jeszcze swoje suknie nućąc, kiedy jej doncella wróciła strapiona. Nicoletta zaczęła potrząsać nią za ramiona.

- Mów, mów co z nim?

- Dobrze, pani - odpowiedziała Agnes ze słabym uśmiechem - ale kłopot w tym, że go tu nie ma. Rozmawiałam z klerkiem z królewskiej kancelarii. Wasz trubadur zaciągnął się na służbę u króla jako spisowy i teraz właśnie podróżuje po Gaskonii. Nie będzie go prawie przez całe lato.

- Boże! - zawiedziona Nicoletta przysiadła na łożu, płacząc.

- Trzeba, żebyś coś jeszcze wiedziała, pani - mówiła dalej Agnes, siadając u jej boku i ujmując za rękę - nie jest już Orlandem z Perugii, to Roland de Vency.

Zatem wrócił do swojego prawdziwego imienia? Zdziwiła się na tę wiadomość, ale była zbyt nieszczęśliwa, by o tym myśleć. Z płaczem rzuciła się na łóżko.

Teraz znowu zapytywała siebie, tak jak przez cały czas od tamtego nieszczęsnego dnia, co będzie, gdy okaże się, że już jej nie kocha? Co będzie, jeśli rana okazała się zbyt poważna? Powinniśmy należeć do siebie ciałem i duszą w izbie u Wilhelma, kiedy była po temu sposobność. A jeśli spotkał kogoś, kogo pokochał bardziej niż mnie? Ręka powędrowała do rękonoży sztyletu, który nosiła dla obrony w czasie podróży. Kiedy zdała sobie sprawę, co robi, puściła rękonoż, jakby paliła. Co się ze mną dzieje? To przez to czekanie.

Nie mogła już dłużej odpoczywać pod drzewem. Niecierpliwiła się. Wstała, by lepiej widzieć, czy nadchodzi.

Usłyszała stąpanie konia gdzieś pomiędzy drzewami, wstrzymała oddech na widok mężczyzny prowadzącego wierzchowca.

To Roland. Nie znała innego człowieka równie wysokiego i równie ciemnego. Uwiązał swojego konia nie opodal jej klaczy, odwrócił się i podszedł do niej. Dobra bogini, a więc nareszcie jest. Ta piękna sokola twarz.

- Moja miłości! - wyciągnęła ku niemu ramiona.

- Nicoletto.

Przytuliła się do niego całym ciałem. Objął ją tak mocno, że nie mogła oddychać, ale nie dbała o to. Umarłaby z radością w jego ramionach.

Kiedy wreszcie ją uwolnił, postąpiła krok w tył, by lepiej mu się przyjrzeć. Był szczupły jak dawniej, wydawało się, że wszystko z nim dobrze, z wyjątkiem sposobu, w jaki się teraz trzymał. Prawe ramię wysunięte było niezgrabnie ku przodowi. To Almaryk go okaleczył. Ujrzała ponownie arenę, gdzie odbywał się turniej, maczugę Almaryka miażdżącą ramię Rolanda. Znowu ogarnęła ją nienawiść do męża.

- Siądźmy - pomógł jej usiąść i sam usiadł obok. Jego ruchy nie były niezgrabne, choć widziała, jak bardzo ma zniekształcone to nieszczęsne ramię.

Nieśmiało wyciągnęła dłoń, by go dotknąć.

Roland zaśmiał się lekko, ale z jego oczu wyzierał ból.

- Królewski medyk miał niełatwe zadanie, tak jakby przyszło mu składać rozbity garnek ukryty w poduszce. Mam nadzieję, że ten widok nie... odstręcza cię.

Wyczuła niepewność w jego głosie.

- Rolandzie, nigdy sobie nie wybaczę. Kazałam ci poniechać Almaryka i ucierpiałeś za to, że mnie usłuchałeś, i że się potykałeś w jego drużynie.

- Jego ludzie i tak by mnie dostali, w której nie byłbym partii.

- Tak, ale byliby z tobą rycerze walczący po słusznej stronie.

Pogładził ją po policzku. Skóra mrowiła pod dotknięciem jego palców.

- Wszystko obróciło się na moją korzyść. Almaryk utracił tego dnia łaski Ludwika, a ja zostałam przyjacielem króla. Prawda, że już nigdy nie zagram na wioli, na to trzeba pełnej władzy w prawej ręce. Ale ciągle sobie radzę z irlandzką harfą i lutnią, a jeśli kiedykolwiek jeszcze miałbym stawać do walki, musiałbym się nauczyć władać lewą ręką.

- Rolandzie - wyszochała jego imię, tuląc twarz na jego piersi.
 - Nie żałuj mnie. Królewskiemu spiskowemu nie trzeba biegłości w walce. Teraz wojuję pergaminem i inkaustem i mogę użyć swojego kalectwa, by wykipić się od krucjaty.

Usłyszała w jego głosie skrywaną gorycz i poczuła ogromny żal. Oddałaby życie, by przywrócić mu władzę w prawej ręce. Cierpiał to wszystko z miłości do niej.

- Nienawidzę Almaryka za to, co ci uczynił.

Pokręcił głową i delikatnie dotknął jej warg opuszkami palców. Ujęła jego dłoń i ucałowała. - I co uczynił Perrinowi - ciągnęła dalej. - Czy Perrin jest z tobą?

- Czekaj nie opodal drogi. Czuwa nad nami. Na tyle daleko stąd, by nie słyszeć, co mówimy i robimy.

Spojrzała na niego. Wymizerowaną twarz pokrywał cień, ale to, co mówił, było dość jasne.

Tak, pragnę go, pragnęłam go przez cały czas, tak długo. Nie sposób już dłużej odmawiać sobie ani jemu.

- Zapomnij o Almaryku - odezwał się niespodziewanie - zapomnij o nienawiści, ta chwila należy do nas, cóż obchodzi nas świat.

Wiedziała, że ma rację. Piękna tej chwili i ich pragnienia siebie nie należało niszczyć.

Usłyszała gdzieś w oddali dzwony wiejskiego kościoła wzywające na Anioł Pański Światło nie dochodziło już na polanę, niebo nabrało barwy jasnego fioletu. Czuli, że jego dłoń zaciska się na jej dłoniach. Zarysy wielkich dębów rozmywały się powoli w mroku. Chór leśnych stworzeń śpiewał swój nieszpór. Ten dębowy las to nasza katedra miłości.

- Kiedy musisz być w Paryżu? - zapytał.

- Jutro. Dwór królowej będzie wracał z Chartres, gdzie ich zostawiłam. Połączę się z nimi w Rambouillet. Jeśli ktoś chciałby jechać moim śladem, dość zmyliłam pogonie.

- Mamy dla siebie całą noc?

- Tak - wyszeptwała, czując wzbierające w niej pragnienie.

Roland uniósł jej dłoń do ust i ucałował.

- Czy *mi dons* zechce poczekać chwilę?

Wstał i podszedł do spętanego konia, który pasł się pomiędzy drzewami. Wrócił z mandoliną. Usiadł obok niej i wziął pierwszy akord. Zamknęła oczy, głowę oparła

o pień drzewa. Jak wspaniale było słuchać po tak długim czasie jego śpiewu przeznaczonego tylko dla niej!

Spróbował kilka razy tonu i zaczął, miękkim i mocnym jak dawniej głosem:

*Stoję w obliczu mojej pani
Zdjęty głębokim jej oddaniem.
Ze złożonymi ręce ku niej
Idę przejęty miłowaniem.
W skrytości ducha ją uwielbiam
i niemo proszę łask.*

Rozpoznała pieśń Bertrana de Ventadour, pieśń, którą pokochała będąc jeszcze dzieckiem. Z każdą nutą bardziej się nim radowała. Kiedy doszedł do ostatniej strofy, płakała ze szczęścia. Spojrzała w górę ku czarnym liściom i dojrzała małą błękitno-srebrną gwiazdę migocącą pośród drzew, tam skąd jeszcze niedawno dochodziło światło słoneczne.

- To było piękne, ale dlaczego nie zaśpiewałeś własnej pieśni?
- Przez wiele miesięcy nie przychodziło natchnienie.
- Dość go będzie dzisiejszej nocy.

Odłożył mandolinę i obrócił ku niej. Przytuliła się do niego, objęła za szyję i pociągnęła za sobą na ziemię.

Jej usta złączyły się z jego, gorącymi i wilgotnymi, język był delikatny jak aksamit i twardy jednocześnie. Objął ją, ale nawet zatopiona w niezgłębionym pragnieniu czuła, że ucisk lewego ramienia silniejszy jest niż prawego.

Roland mnie pragnie i ja go pragnę, chyba jeszcze mocniej. Kiedy to sobie uświadomiła, żarem niczym od ogniska zapłonęło jej ciało.

- Będę cię tej nocy miłować i niech to będzie kres małżeństwa z Almarykiem - wyszeptwała.

Ręce poruszały się jakby żyły własnym życiem, błędząc wokół wiązań tuniki. Ściągnęła ją przez głowę. Pod spodem nosiła tylko lnianą koszulę.

Roland uwolnił się z uścisku, wstał, zrzucił czarną pelerynę, tunikę i spodnią koszulę obnażając pierś. W świetle księżycy jego tors o mięśniach napiętych jak węzły

lin połyskiwał niczym kość słoniowa.

Podniosła się, podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Przez pierś i brzuch biegła długa blizna, druga trójkątna, widoczna była na prawym przedramieniu. Pochyliła się i ucałowała to miejsce.

Usiadła na powrót, opierając się o pień olbrzymiego dębu. Przyklęknął przed nią i zaczął zdejmować jej trzewiki i czerwone pończochy. Zadrżała, kiedy końce jego palców dotknęły jej kostki.

Znowu wstała, odwróciła do niego plecami i uniosła ramiona. Zdjął z niej koszulę tak delikatnie, że niemal tego nie poczuła.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak bezpieczna, tak swobodna. Nocą, w tym wielkim lesie i cała armia by ich nie odnalazła.

Cofnął się w mrok i szybko zdjął resztę odzienia, potem zbliżył się do niej nagi jak ona. Był piękny - śniady, silny. Stał skupiony, z opuszczonymi rękoma, pozwalając jej napatrzeć się do woli. Przysunął się bliżej.

Nagle zdała sobie sprawę, że wszystko dzieje się zbyt szybko.

- Rolandzie, boję się.

Stał spokojnie.

- Cokolwiek się tu zdarzy, zdarzy się podług twojej woli, *mi dons*. Jeśli chcesz, byśmy się powstrzymali, uczynimy to. Dałaś mi już więcej radości, niż człowiek ma prawo oczekiwać na ziemi.

Jego pełne uwielbienia słowa usunęły ostatnie obawy.

- Chcę, by było pięknie. Chcę, żeby Miłość okazała, co ma dla nas najpiękniejszego - tłumaczyła, z trudem chwytając oddech.

- Gdy spoglądam na twoje ciało *mi dons*, to jakbym widział Boga.

- Pójdź do mnie - powiedziała, osuwając się na ziemię.

Legli koło siebie. Dotknięcie jego nagiego ciała sprawiło, że jej członki omdlewały, topniały niczym wosk w płomieniach. Czuła jego pierś na własnej. Delikatnie dotknęła mięśniów na jego ramieniu. Błądziła tak długo dłonią po prawym ramieniu, póki nie dotknęła barku. Podciągnęła się trochę wyżej. Jak klacz liże nowo narodzone źrebki, tak ona lizała okaleczone ramię.

Zamruczał cicho, ręka zaczęła przesuwać się po jej ciele, wyzwalając w nim falę rozkoszy. Po chwili uniosła się delikatnie i usiadła, opierając plecami o pień drzewa.

I on się podniósł, podciągając kolana i krzyżując nogi.

Ten widok przejął ją zachwytem. Zna więc tajemną pozycję Miłości. Musi znać zatem i cały rytuał. Wejdziemy dzisiaj w bramy raju.

Przysunęła się do niego, a on podsunął pod nią wielkie dłonie. Pomogła mu, by unieść ją lekko i opuścił na swoje łono. Wszedł w nią z przeciągłym jękiem. Odpowiedziała na tę słodką, ostateczną bliskość okrzykiem rozkoszy.

Tak często marzyła o podobnej chwili, a teraz zdawała się ona jeszcze jedną fantazją. Ale to dzieje się naprawdę. On jest tutaj, ciałem i duszą we mnie, widzi mnie, tuli, kocha.

- To najpiękniejsza chwila w moim życiu - usłyszała.
- Mój trubadurze! - przyłgnęła do niego, obejmując nogami jego uda, drżąc z rozkoszy.
- Chciałbym wyśpiewać tę pieśń do końca, *mi dons*, a przecież pragnę, by nigdy się nie skończyła.

Wiedziała o czym myśli. Jak tłumaczyła jej matka, w sakramencie dwornej miłości mężczyzna, choćby to było trudne dla niego powinien odmówić sobie ostatecznego spełnienia. Kobieta zaś nie powinna kłaść tamy swoim pragnieniom. Nicoletta chwilami dochodziła do szczytu uniesienia, krzyczała i kasała kark Rolanda.

Wydawał się jej jak człowiek ogarnięty gorączką. Czowała delikatny pot na jego skórze. Ledwie dostrzegła w ciemnościach grymas bólu na jego twarzy, ale wiedziała, że to męka powstrzymanej rozkoszy.

Przestała liczyć własne uniesienia, dyszała, łkała, wydało się jej wreszcie, że namiętność przyprawi ją o śmierć. Wtedy poczuła, że się przeistacza. Było to coś poza cielesną rozkoszą, choć pozostawało cielesną rozkoszą, czymś utkanym z tej samej materii, a przecież doskonalszym.

Spojrzała w oczy Rolanda połyskujące w świetle gwiazd, niby ją widzące, a spoglądające gdzieś w bezkres. Coś ich unosiło. Rozstąpiły się leśne mroki. Płynęli pośród świetlistego morza. Nie było dna ni powierzchni, ni żadnego brzegu oceanowi złocistego światła, rozbłyskującego się niezliczonymi skrzeniami. A i oni sami promieniowali jakąś poświatą.

Roland mówił: - Wszystko jest światłością. Ty i ja jesteśmy światłem, jesteśmy niczym gwiazdy.

Kiedy tak mówił, światło pojaśniało, przemieniło się ze złotego w srebro roztopionego metalu.

- Jesteś panią wszystkich moich marzeń. Jaśniejszą teraz niżli słońce. - Jesteś moim jestestwem. Jaśniejszą niżli tysiąc słońc. - Jesteśmy przed obliczem Boga.

Teraz ona się odezwała: - Jesteśmy Bogiem.

Światło, które było Rolandem, i światło, które było Nicoletta, stały się jedno, a jego cielesność był bezkresny ocean światła. Nie widzieli go, nie dlatego, że ich oślepiło, ale że sami nim byli.

Dyszcząc przytulił się do niej na powrót, znowu widziała w nim Rolanda, widziała błysk zębów, gdy jego ciałem wstrząsały drgania. Z głębi piersi dobył się jęk. Tulila go mierzwiąc mu włosy, dopóki nie ucichł ostatni spazm. Światło rozprysło się na migocące drobiny i zapadło w ciemność, gdy osunęli się na leśne poszycie.

Uczuła taką radość, że nie mogła powstrzymać łkania.

- Wybacz - wyszeptał.

- Nie ma nic do wybaczenia - odpowiedziała uśmiechając się mimo łez. - Szczęście, które czuję, jest ponad wszelkie opisanie.

- Możesz począć.

- Nie. - Wiedziała jednak, że tak się stać może. Matka kiedyś przekazała jej sekret, którego nie powinien znać żaden mężczyzna, nawet kochanek. Tajemny przepis na miksturę niedozwalającą, by męskie nasienie zapadło w kobiecym łonie. Trzeba ją było wypić nie później niż dzień po obcowaniu, ale przecież nie uda się jej zebrać wszystkich ziół potrzebnych i uwarzyć jak należy. Przyjdzie zdać się na łut szczęścia. Ze stu strzał jedna tylko nie chybia celu.

Była znowu w Chartres, przed Najświętszą Maryją Panną z Krypty. Wiedziała skądś, że rzymski posąg liczy tysiące lat. Nagle pojęła, że to nie Maryja, lecz bogini Miłości.

Uśmiechając się łagodnie, Przenajświętsza Dziewica - a może bogini - przemówiła po łacinie: „*Amor vincit omnia*”.

Obudził ją głos Rolanda.

- Cóż, *mi dons*, czy położyliśmy koniec twojemu małżeństwu?

Otworzyła oczy. Dzięki bogini, jeszcze nie świtało. Nie musieli się jeszcze rozstawać. Była szczęśliwa, że budzi się u jego boku, ale mącił tę radość jakiś żal. Gdyby mogła budzić się tak każdego ranka, do końca dni.

- Na ten raz, ale nie na zawsze - ciążyła jej myśl, że musi opuścić Rolanda, wrócić do swojego zwykłego życia, być może nie widzieć go znowu przez długie miesiące.

- Gdybym go zabił, wtedy w turnieju, skończyłyby się te więzy na zawsze.

Ból w jego głosie sprawił, że wyciągnęła dłoń i dotknęła jego policzka.

- Co ci, Rolandzie?

- Zmusza cię, byś dzieliła z nim łożo.

- Nie mieszkam z nim od wiosny, jestem znowu przy królowej. Pojechał do Béziers przyczyniać kolejnych nieszczęść biednej Langwedocji, ale nawet przedtem rzadko przychodziła mu ochota. Ma inne kobiety. Nie mówmy o tym. Nie ma dla mnie innego wyboru.

Wzbierał w nim gniew.

- Nastaje na twą cześć, jak jego ojciec zabrał cześć mojej matce.

Usiłowała dojrzeć jego twarz w ciemności.

- Twojej matce? - Nigdy wcześniej nie wspominał matki. - Kim jest twoja matka, Rolandzie?

- Moja matka to Adaliz de Vency - teraz. Kiedyś, wiele lat temu była przerażoną, bezbronną dziewczyną we władzy...

Przerwał. Słyszała jego ciężki oddech, niemal tak głośny i szybki jak wtedy, kiedy się kochali. Słyszała, jak wali mu serce.

- Czyjej, Rolandzie?

- Mojego ojca - wyrzucił z siebie - który zginął z ręki Arnolda de Vency.

- Zatem Arnold de Vency nie jest twoim ojcem.

Nic nie odpowiedział. Widziała, że mocuje się ze słowami. W głowie wirowały na wpół sformułowane pytania. Bezskutecznie próbowała pojąć sens usłyszanych słów.

Ojciec Almaryka, hrabia Stefan de Gobignon, stanął na czele zwołanej przez papieża pierwszej krucjaty przeciw Langwedocji. Po kilku latach zdarzyło się, że zajął jakiś zamek i wziął sobie do łoża młodą dziewczynę, osieroconą w wojnie pannę tego zamku.

Któregoś dnia oddział langwedocki, któremu przewodził zaręczony z nią Arnold de Vency, wdarł się do zamku. Stefan zginął, ale Adaliz nosiła już wtedy w swoim łonie dziecko.

Teraz rozjaśniło się jej w głowie, ale była to jasność ponura i przerażająca.

- Mówisz, że Arnold zabił twojego ojca, a zatem...
- Ojciec Almarya był moim ojcem.
- Dobry Boże! - jakby się pod nią ziemia rozstąpiła.

Dłoń Rolanda opadła ciężko na jej ramię.

- Jestem bastardem hrabiego Stefana de Gobignon poczętym z gwałtu. I co ty na to? Powiedz. Muszę wiedzieć. Czy znienawidzisz mnie, że ci o tym wcześniej nie powiedziałem?

Przypomniała sobie, co mówił Almaryk o heretykach, którzy zamordowali jego ojca. Nie miał pojęcia, kim byli ani kim naprawdę był Roland.

Dobry Boże! Kochałam się z bratem przyrodnim Almarya. Serce biło jej jak oszalałe. Była tak przerażona, że z trudem zmusiła się do odpowiedzi.

- Kocham cię, Rolandzie.

Uścisk jego dłoni nieco zelżał.

I on musi być przerażony znaczeniem tej prawdy. Czy to może być prawda - ten sam ojciec? Tak, niebieskie oczy, wzrost.

- Tak - przemówiła starając się, by brzmiało to spokojne - płynie w tobie krew Gobignonów, jeśli człowiek zna ich dość, żeby to dojrzeć.

- Gdybyś zobaczyła moją siostrę Fiorelę, przekonałabyś się, że nie mogliśmy mieć tego samego ojca. Jest twojego wzrostu i ma ciemne oczy. Ludzie w Neapolu dziwnie na mnie patrzyli, ale nikt nie śmiał zadawać kłopotliwych pytań Arnoldowi de Vency.

Powinna mu okazać, że nie ma to dla niej żadnego znaczenia.

- Arnold de Vency musi być bardzo dobrym człowiekiem, skoro otoczył cię prawdziwie ojcowską miłością. Ojcem jest ten, kto nas formuje i wychowuje, kto kształtuje naszą duszę, nie ten, kto nas spłodził.

- Nawet jeśli tak jest, nie zapomnę.

W jego głosie brzmiał ból.

- Czy nie odpycha cię, nie brzydzi, że jestem przyrodnim bratem Almarya?

Szukała odpowiedzi, wiedząc, że musi dać ją natychmiast, jeśli chce zachować jego miłość. Przytuliła się do niego.

- Ojciec, brat przyrodni, to tylko słowa. Nie zmienią tego, którego znam, którego miałam w ramionach przez całą noc. Co znaczą ci, co nas zrodzili, wobec Miłości? Jaka ziemską siłą może rządzić Miłością? Nawet gdybym dowiedziała się teraz, że jesteś moim bratem, nie przestałabym cię miłować. Miłość nam rozkazuje.

Dniało. Mogła teraz dojrzeć grymas uśmiechu na jego twarzy. Niebawem wstanie dzień. Spojrzała w górę na ciemnopurpurowe niebo. Uczuła ból rozstania wszystkich kochanków opiewany w niezliczonych obadach.

- Przemawiasz z równą pewnością co król, kiedy mówi o Bogu, oboje jesteście tacy pewni swego.

Król. Nienawistne jej było to, co miała do powiedzenia, ale powiedzieć trzeba było. Objęła go mocno.

- Rolandzie, drogi mój, musimy się wkrótce pożegnać, ale nim się rozstaniemy, musisz wiedzieć, że niebawem nadejdzie czas o wiele, wiele dłuższej rozłąki.

Spojrzał tak, że ścisnęło się jej z bólu serce.

- Almaryk idzie z Ludwikiem na wyprawę. Chce mnie zabrać ze sobą - słowa przychodziły z trudem.

- Nie - zacisnął pięści. - Czy jest tak szalony, by wystawiać twoje życie na niebezpieczeństwa Ziemi Zamorskiej? Przeklęty człowiek.

- Król i wielcy baronowie zabierają swoje żony.

- Głupcy. Wydaje im się, że to jeszcze jeden turniej. Wszystkie wojska chrześcijańskie, które w ostatnich stu latach ruszały przeciwko Saracenom, były niemal w pień wycinane.

Ujął jej dłoń.

- Nicoletto, nie pozwól ci z nim pójść.

- Król chce wyruszyć wiosną roku tysiąc dwieście czterdziestego ósmego. Pozostają nam jeszcze dwa lata. Almaryk będzie do tego czasu w Béziars, a ty w Paryżu. Będziemy się mogli widywać.

Spoglądał w dal, ciągle jeszcze drżąc z gniewu.

- Czy naprawdę chcesz umrzeć na pustyni? Wiele kobiet, które ruszyły za swoimi mężami do Ziemi Zamorskiej, znalazło tam swój koniec, jeszcze więcej trafiło na tureckie targi niewolnic.

- Nie będę nigdzie tam, gdzie się będą toczyły bitwy.
- Jak możesz być tego pewna? Może walki dotrą i do tych miejsc?

To ją rozzłościło.

- Przestań mnie straszyć. Nie chcę już więcej mówić o krucjacie. Chcę cię tulić, całować, mówić o Miłości.

Gdzieś w oddali rozdzwoniły się dzwony na jutrznię.

- Almaryk wie, na jakie waży się niebezpieczeństwo. Kimkolwiek jest, nie jest głupcem. Dlaczego więc rusza z królem?

- On coś zamierza przeciw królowi. Dlatego idzie na wyprawę. Liczy na to, że tam na Wschodzie, pośród wojny łatwiej będzie o niebezpieczeństwo dla Ludwika. Nie widzi w swoich zamiarach przeniewierstwa, chce korony.

Roland westchnął i nic nie odpowiedział. Po twarzy przemknął mu cień bólu, widać było, że walczy z myślami, których nie potrafiła odgadnąć.

Nagle zakłopotana ją własna nagość. Wstała i zaczęła wdziawać suknie, a on jakby nie zauważał ani jej, ani tego, że siedzi tu rozebrany, pomiędzy konarami drzew, zapatrzony w leśną mgłę.

- Pójdę też, przyjmę krzyż.

Te słowa spadły jak cios.

- Nie wolno ci.

- Ależ tak, pójdę z resztą tych szaleńców. Naszyję krzyż na tunikę choćby miał mi palić ciało.

- Nienawidzisz krzyża wypraw równie mocno jak ja, sam mówiłeś, że ta wyprawa to sen szaleńców.

Uśmiechnął się gorzko, jakby szyderczo.

- Jeśli Almaryk zmienił zamiary, to mogę i ja. Muszę być tam, gdzie i ty. Jakże miałbym tu zostać, gdy on zabiera cię na drugi koniec świata.

Ogarnęła ją fala czułości. Przyklęknęła tuląc twarz do jego nagiej piersi.

- Próbowałem zabić Almaryka i nie udało się. Zamiast zginać, okaleczył mnie. Nie poniecham go. Jeśli idzie na wyprawę z nadzieją, że w Ziemi Zamorskiej uda mu się zabić króla, to pójdę i ja po to, żeby zabić jego. - Przyjęcie krzyża będzie przeniewierstwem samemu sobie, ale uczyni to żeby się zemścić.

* * *

XIV

Diana siedziała ze skrzyżowanymi nogami na swoim posłaniu w komnatce wieży, kołysząc się w przód i w tył. Kula cierpienia zdawała się tkwić w samym środku ciała. Wiem, że ten świat jest miejscem męki doczesnej, ale przez ostatnie dwa lata nigdy jeszcze nie cierpiałam tyle za sprawą Rolanda.

Prawda, były dni, tygodnie nawet, kiedy nieledwie zapominała o swojej rozpacz. Życie stało się lżejsze zeszłego lata, kiedy Roland podróżował w służbie króla. Ale tego wrześnieowego popołudnia, od chwili gdy opuścił dom kilka godzin wcześniej, czuła tęsknotę nie do zniesienia.

W południe przybył posłaniec do Rolanda. Służba była poza domem z dawno planowanymi odwiedzinami u krewnych mieszkających w Marais. Posłańca wpuścił więc Perrin.

Po jego wyjściu usłyszała Rolanda miotającego przekleństwa. Zeszła na dół zobaczyć, co go tak rozzłościło.

- De Joinville - nowy seneszał Szampanii - wzywa mnie do Troyes. Jakieś błędy w rachunkach z letniego jarmarku, który nazywają Gorącym Jarmarkiem. Musimy z Perrinem zaraz ruszać. - Mówił to z zaciśniętymi pięściami i nachmurzonym obliczem.

Nie rozumiała, co go tak zagniewało.

- Podróż niedługa, a miasto miłe - powiedziała uspokajająco.

- Zgoda na to - rzucił niecierpliwie - ale jutro miałem zobaczyć się z Nicolettą, a nie mam sposobu przesłać jej wiadomości.

Nieukrywany wyraz miłosnego zawodu na jego twarzy rozrywał serce. Wiedziała wszak, że nie może przypuścić do siebie zazdrości.

- Czy Marcin nie może pójść z wiadomością, kiedy wróci wieczorem?

Potrząsnął głową.

- Zawsze wyręczałem się w takich razach Perrinem. Im mniej ludzi zna sekrety, tym lepiej, a teraz Perrin musi ruszać ze mną.

- Marcin umie trzymać język za zębami.

Wiedziała, jak bardzo byłby zaskoczony Roland, gdyby się dowiedział, jakim milczkiem potrafi być ten chłopiec. I on, i jego ojciec już rok temu stali się Wierzącymi i nie pisałi o tym ani słowa.

Roland wzruszył ramionami.

- Dobrze więc, napiszę do Nicoletty i wytłumaczę ci, gdzie Martin ma podać wiadomość jej doncelli.

Zatem jestem teraz jego współniczką, pomyślała z goryczą, gdy wyszedł z izby.

Na nonę byli już spakowani i gotowi do drogi. Roland wręczył jej zapieczętowany list. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, przycisnęła do piersi złożony we dwoje pergamin.

Dobry Boże, gdybyż to było do mnie!

Zbliżał się już wieczór, czuła taki ból w członkach, jakby całe ciało ktoś zasupłał w węzły. Pot wystąpił na skronie, odepchnęła od siebie wielką katarską księgę, którą czytała.

Boże, wybacz, muszę panować nad sobą.

Próbowała spokojnie zastanowić się nad własnymi uczuciami. Kocham w Rolandzie to, że tyle rozumie i tworzy, jego odwagę myślenia po swojemu, nawet kiedy wszyscy wokół niego myślą tylko to, co dozwolone. Chciałabym się złączyć z jego duchem, chociaż pragnę ze wszystkich sił złączyć się w jedno z Bogiem, ale moje ciało płata mi niecne figle i przemienia te szlachetne tęsknoty w niecne pragnienia. Płonie moje ciało niczym dusza w piekle. Moja dusza. Bardziej byłaby bezpieczna w rękach katów Inkwizycji niż tu, wydana na tortury miłości. Boże, daj mi siłę, bym mogła zapanować nad swoimi uczuciami w jego obecności.

Strzepnęła źdźbła siana z siennika zaplątane w długą tunikę, wzięła do ręki na powrót oprawną w skórę katarską księgę. Ta książka, ukrywana w schowku w jej

komnatce, była jedynym, co jej pozostało ze świętych przedmiotów, które ponad dwa lata temu uratowali, wychodząc z twierdzy na Mont Ségur. Całą resztę - łącznie z zapiskami o ukrytym majątku kościoła katarskiego - przekazała opiekującemu się nią Starszemu. Próbowała przygotować się do kazania, które miała wygłosić do niewielkiej grupy Wierzących dzisiejszego wieczoru.

Nie mogła się skupić, czuła się niegodna tego, by nauczać innych.

Adrianna wie, jest kobietą i czuje, co się ze mną dzieje. Patrzy na mnie powątpiewająco, gdy mówię jej o wierze, dlatego do tej pory jej nie przekonałam.

Jeśli moja wiara mnie opuści, będę nikim. Jedyne ratunek to odejść stąd. Boże, czemu nie chcesz wysłuchać moich modlitw, czemu mój opiekun nie słyszy moich próśb.

Chcę wrócić do domu, do Langwedocji. Tam już prawie nie ma Doskonałych, chcę wrócić do mojego kraju.

Przygniatał ją smutek, płakała nad własnym bólem, płakała też nad jej konającym kościołem i nad zatraconymi duszami, które nigdy nie poznają prawdy, bo nie będzie jej już komu nauczać.

Zaareztowano Wilhelma Księgarza, przypomniała sobie ze zgrozą. Muszą być już blisko nas. Wzdrygnęła się.

Ledwie dosłyszała pukanie do drzwi domu, trzy pietra niżej.

Kiedy pukanie się powtórzyło, tym razem głośniejsze, serce jej zamarło.

Złożyła ręce, modląc się, by nie byli to ludzie Inkwizycji. Jeśli mają mnie znaleźć, to niech nie stanie się to tutaj. Jeśli pojmagają mnie tu, będzie to koniec dla wszystkich - dla Rolanda, Perrina, dla Lucjana, Adriany i Marcina.

Jeśli to Inkwizycja, niech mnie wezmą teraz, kiedy nikogo nie ma w domu. Ostrzeże to tamtych i może będą mogli się uratować.

Pukanie rozległo się ponownie.

Diana zaniósła księgę do schowka i zasunęła drewnianą płytę. Zeszła szybko na dół, wygładzając po drodze tunikę.

Otworzyła drzwi i we wrześnie mroku ujrzała samotną kobietę ubraną w płaszcz, wokół głowy owinięty miała ciemny welon. Wydała westchnienie ulgi i szerzej otworzyła drzwi. Przy bramie stał uwiązany osiołek.

Kobieta wyglądała na równie zaskoczoną jak Diana. Oddychała ciężko i wpatrywała się w Dianę szeroko rozwartymi oczami. Po chwili podniosła rękę do ust i

potrzęsnęła głową, jakby nie dowierzając temu, co widzi. W czasie tej długiej chwili milczenia Diana wzięła od niej brązowy płaszcz, przewiązywany w talii białym sznurkiem i czarny welon, nałożony na biały czepek.

Teraz dopiero przeraziła się. Kobieta miała na sobie habit klarysek, zakonu założonego przez brata Franciszka z Asyżu. Może być agentem Inkwizycji, tak się dzieje niekiedy w regule franciszkańskiej. Diana wymamrotała słowa powitania.

Przybyła nie odpowiedziała, chwyciła się o framugę, szukając równowagi, po czym postąpiła kilka kroków w głąb sieni.

- Kto wy? - miała niski głos, mówiła przy tym, o dziwo, w *langue d'oc*.

Automatycznie odpowiadając w tej samej mowie, Diana wymamrotała kłamstwa, które powtarzała już tyle razy.

- Jestem siostrą Rolanda, pani. Czym mogę wam służyć?

Była zła na siebie, że tak się wystraszyła. Czemu trzęsę się przed samotną mniszką, jakby to była sama Blanka Kastylijska? Zapewne przychodzi po jałmużnę. Uspokajając tak siebie, zaczęła przyglądać się uważniej dziwnemu gościowi. Wiedziała, że w regule franciszkańskiej nikt nie podróżował samotnie. Tak jak Doskonałych, obowiązywała ich zasada wędrowania dwójkami i pieszo raczej niż na oślim grzbiecie, w dodatku kobieta nie wyglądała wcale na jałmużniczkę. Była młoda i piękna, miała duże brązowe oczy, które zwięzły się, kiedy z gniewem spoglądała na Dianę.

- To kłamstwo. Roland ma siostrę imieniem Fiorela, która mieszka w Neapolu, ciemnonoką i ciemnowłosą.

Oszołomionej Dianie zabrakło słów.

- Gdzie Roland? - warknęła ostro i władczo młoda kobieta. - Gdzie Perrin?

Teraz Diana ją rozpoznała. Nicoletta! W dniu tego okropnego turnieju widziała ją z daleka siedzącą na galerii dla szlachty. Przybyła dziś zobaczyć się z Rolandem i zamiast...

- Mówisz w *langue d'oc*, ale nie jesteś jego siostrą - odezwała się znowu Nicoletta. - Dlaczego się za nią podajesz? Domagam się odpowiedzi.

Diana usiłowała panować nad sobą. Znalazła się w pułapce, która mogła zgotować nieszczęście Rolandowi, Nicoletcie i jej samej.

Przyglądała się tamtej, pięknej, z wielkimi, rzucającymi błyskawice oczami, z niepokalaną oliwkową cerą. Luźna brązowa suknia nie całkiem kryła zarys imponujących piersi.

- Wiem, pani, że jesteś hrabina de Gobignon - zaczęła z wahaniem. - Roland wiele mi o was opowiadał.

Skloniła się, jak przystało wobec damy tej pozycji.

- Doprawdy? - odparowała Nicoletta. - No cóż, mnie o tobie nie powiedział ani słowa. Czemu to czyni tajemnicę z twojej tu obecności? Myślałam, że sprawię mu radość niespodzianą wizytą w przebraniu. Nigdy nie sądziłam, że ukrywa coś przede mną.

- Pani, gdyby Roland tu był, mógłby wytłumaczyć...

- Pewnam, że mógłby - Nicoletta miała zaróżowione od gniewu policzki. - Wszak umie czynić użytek z języka, czy nie tak? Dla tłumaczeń, miłosnych słów, dla innych spraw. Wiesz o tym z pewnością. Gdyby tu nawet był, nie dałabym mu sposobności do wyjaśnień.

Diana wzięła głęboki oddech, jakby dla nabrania siły, i po chwili odpowiedziała.

- Pani, nie powinniście winić w niczym Rolanda. Zawsze był wam wierny. Powiem wam, kim jestem, ale zdam się wtedy na waszą łaskę. Moje życie będzie w waszych rękach.

- Mieszkanie z trubadurem nie oznacza jeszcze kary śmierci - odparła Nicoletta kąśliwie.

- Zechciej mnie wysłuchać, pani. Jestem tutaj, bo Roland ukrywa mnie przed Inkwizycją. Należę do tych, którzy otrzymali święte sakramenty mojego Kościoła zwane *consolamentum*. Jestem z Dobrych Ludzi, chociaż daleko mi do tego, by nazywać siebie Doskonałą. Nie dotykamy mężczyzn. Od dziecka Roland był mi przyjacielem. Nic wam o mnie nie mówił, bo nie chciał czynić z was, pani, współniczki w przestępstwie. Teraz i jego życie jest w waszych rękach.

Przerwała i czekała w napięciu.

Nicoletta cofnęła się o krok, mierząc Dianę od stóp do głów.

- Katarska niewiasta. Tak, wyglądasz na taką - błąda, chuda i pobożna. Domyślałam się, co Roland w tobie widzi. Ta delikatna skóra, włosy rude jak złoto, ale gdzie czarna suknia? Myślałam, że Doskonali zawsze noszą się na czarno.

Mimo lęku Diana uśmiechnęła się na to trywialne pytanie.

- O nie, pani. Nie przestrzegamy tego obowiązku, by chronić nasze życie.

- Rozumiem - odpowiedziała chłodno Nicoletta - bardzo to dla ciebie szczęśliwie, bo dobrze ci w błękicie. Z jakich jeszcze innych reguł możesz się dyspensować dla ratowania życia demoiselle Doskonała? Czy jest dozwolone, żebyś obcowała z mężczyzną, który daje ci schronienie przed Inkwizycją?

Diana otworzyła usta, chcąc zaprotestować, ale Nicoletta brnęła dalej.

- Jak długo z nim mieszkasz?

Chora ze strachu, bardziej o Rolanda i jego domowników niż o siebie, Diana wiedziała przecież że nie może się wycofać. Nic, co powie, nie pogorszy już bardziej sytuacji.

- Przybyłam do tego domu w kwietniu tysiąc dwieście czterdziestego czwartego, pani, więcej niż dwa lata temu - zaczęła.

Nicoletta stała, słuchając z zaciśniętymi pięściami, Diana zaś opowiadała jej powoli o tym, że Roland dostał się do twierdzy katarów i jak ją stamtąd wyprowadził. Po policzkach Nicoletty popłynęły obfite łzy. Diana czuła się coraz bardziej zbита z tropu. Nie takiej reakcji wszak oczekiwała.

- Wreszcie rozumiem to, co zawsze chciałam wiedzieć - odezwała się Nicoletta, szlochając. - Dlaczego był w Langwedocji, dlaczego przyłączył się niespodzianie do wojsk krzyżowców. Pod dowództwem mego męża. - Mówiąc to, spojrzała znacząco na Dianę, ale Diana nie zrozumiała, co miała na myśli. Nicoletta zaś mówiła dalej, połykając łzy. - To wtedy właśnie poprzysiął mi miłość, a ja czekałam pierwszej sposobności, by wyznaczyć mu sekretne spotkanie, ale on zniknął. - Z jękiem zasłoniła twarz dłońmi i zgięła się niemal w pół, po czym gwałtownie wyprostowała. - On cię kocha, czy tak?

Diana była całkiem skonsternowana.

- Mówiłam już, że Doskonałym nie wolno zadawać się z mężczyznami. Przysięgam wam, pani, że dochowuję wiary sakramentom. Zabroniłam mu mówić o miłości.

Omijam jej pytania, a to takie samo zło jak kłamstwa.

- Jeśliś zakazała mu mówić o miłości to znaczy, że cię kocha.

Spod tuniki dobyła sztylet. Drżącą ręką skierowała jego ostrze ku własnej piersi. Diana rzuciła się do niej z krzykiem.

- Nie podchodź bliżej, bo się dźgnę - szepnęła Nicoletta, zaciskając teraz obydwie dłonie na rękojeści - może miło ci będzie widzieć, jak umieram. Dość już zrobiłaś, by doprowadzić mnie do śmierci.

Diana bezradnie rozłożyła dłonie.

- On was kocha, pani, wiem, że tak jest.

- Czy oczekujesz, że uwierzę, iż mnie miłuje, kiedy ty mieszkasz z nim od dwóch lat.

Rzuciła sztylet na podłogę. Upadł, wbijając się w dębowe deski.

- Zechciejcie mnie posłuchać - nalegała Diana. - Kochał mnie kiedyś, dawno temu, kiedyśmy byli nieledwie dziećmi. To dla tej miłości przedarł się na Mont Ségur. Wtedy mu powiedziałam, że między nami nic już być nie może. Nie chciałam nawet szukać ratunku. Możecie to zrozumieć? Chciałam umrzeć, tam na górze z moimi braćmi i siostrami w wierze. Nic nie może być między mną a Rolandem, nic.

Ileż nocy przepędziłam w męce, dlatego że już nic być nie może!

- Dlaczego zatem - dopytywała się Nicoletta - pozostałaś przez dwa lata w domu trubadura, tego układacza rymów do sprośnych piosnek, tego zalotnika? Ty, taka czysta, taka Doskonała?

- Jego dom jest moim jedynym schronieniem. Tylko dlatego.

Nigdy w życiu bardziej nie pragnęła, by jej uwierzono i nigdy jeszcze jej słowa nie brzmiały tak nieprzekonująco. Nicoletta zerknęła na nią.

- Naprawdę oczekujesz, że uwierzę w twoje słowa, w to, że żyłaś pod dachem takiego człowieka jak Roland, i że jedno drugiego nawet nie dotknęło.

- Tak właśnie było, pani. - Dwa długie lata cierpień zabrzmiały w tej odpowiedzi.

Nicoletta spojrzała jej głęboko w oczy bez słowa i dopiero po chwili się odezwała.

- Wszyscy katarowie, jakich znałam, byli bezwzględnie uczciwi. Nie powiedziałybyś, że jesteś katarką, gdybyś chciała mnie okłamać.

Opuściła ramiona w takim geście jakby uszło z niej trochę życia.

- Jeśli to, co mówisz jest prawdą, to tylko pogarsza sprawę, gdyż dowodzi, jak głębokie jest jego uczucie do ciebie - podniosła głowę. - Wyjechał z Paryża bez słowa i pośpieszył tobie na ratunek. Znalazł cię, dowiedział się, że jesteś Doskonałą i że mieć cię nie może. Mimo to przywiózł cię tutaj i trzyma w swoim domu, narażając się na największe niebezpieczeństwo, i nie tykając cię z powodu ślubów, które złożyłaś. Zaczął zatem znowu się zalecać do mnie, tylko dlatego, że nie mógł mieć ciebie. Tak to musiało być. Ty masz pierwsze miejsce w jego sercu, nie ja. Ty jesteś tą, którą kocha naprawdę.

Diana czuła się kompletnie bezradna. Nieszczęście waliło się na nich wszystkich, a ona nic nie mogła uczynić.

- Jak siostrę, Nicoletto. Kocha mnie tylko jak siostrę.

- Nie masz prawa zwracać się do mnie moim imieniem.

Ton głosu Nicoletty był gniewny, ale Diana słyszała kryjącą się w nim desperację.

- Pani, nasza miłość nie jest miłością, jaką żywią do siebie kobieta i mężczyzna, lecz jest to miłość Boga i miłość wzajemna w duchu. Tym właśnie jesteśmy - Duchem. Ciała kobiet i mężczyzn są tylko więzieniem. Kochać ciało człowieka, to jakby kochać lochy, w których jesteśmy zamknięci.

- Przestań kazać przede mną - szarpnęła się Nicoletta.

- Ale to prawda - krzyczała Diana - muszę to mówić!

- To obmierzłe kłamstwo! - W oczach Nicoletty czała się nienawiść. - Powinnaś iść na stos za te słowa. - Wyprostowała się. - Powiedz Rolandowi, że jeśli kiedykolwiek się do mnie zbliży, wydam go w ręce mojego męża i jego rycerzy. Wyznam że cudzołożyłam i niech mój mąż czyni, co zechce ze mną i z Rolandem. Teraz wiem, że to było... - znowu zaczęła szlochać - pospolite cudzołóstwo. Nie Miłość, na pewno nie Miłość.

Rzuciła się ku ciągle jeszcze otwartym drzwiom. Diana wyciągnęła dłoń, by jej pomóc, ale Nicoletta ją odepchnęła i wypadła na dziedziniec. Słysząc było, że męczą ją torsje.

Po chwili usłyszała potykające się kroki i stukot kopyt osiołka. Podeszła do drzwi i zamknęła je cicho. Kiedy się odwróciła, ujrzała ciągle tkwiący w podłodze sztylet.

* * *

XV

Deszcz nie był aż tak dokuczliwy, by powstrzymać Nicolettę od codziennej przejażdżki, przemoczył jednak grubą brązową pelerynę - z której unosił się teraz zapach wilgotnej wełny - i zrosił twarz osłoniętą lamowanym skórą czepcem.

Jej wierzchowiec natomiast zdawał się nie przejmować mżawką. Stara klacz szła spokojnie skalistą górską drogą, zatrzymując się co jakiś czas, żeby skubnąć trawy rosnącej kępkami na nagim zboczu.

Było południe, ale zdawało się, jakby miało zmierzchać. Pomyślała, że jest tu tak samo rozpaczliwie jak w Paryżu. Listopadowa Langwedocja nie jest specjalnie uroczą.

Dzień był równie ponury jak ogarniające ją nastroje. Od straszliwego momentu, gdy poznała tajemnicę Rolanda, cały świat poszarzał, jakby stała się ślepa na jego kolory.

To głupio wyprawiać się w taki dzień z domu. Jeśli się zaziębie, będzie to podwójnie niebezpieczne.

Bo mimo że czuła się jak martwa i że obezwładniał ją smutek mroczny niczym ciężka i gęsta chmura, nosiła w sobie nowe życie i wiedziała o tym prawie od dwóch miesięcy. Nie dbam o to, czy umrę przy połogu - to była jedyna myśl, na którą potrafiła się zdobyć.

Jeśli umrę, zdążę przecież jeszcze wyznać spowiednikowi, com czyniła z Rolandem, w końcu nie muszę iść do piekła.

Po za tym nie wiem, czy tak na pewno wierzę w piekło. W ogóle w cokolwiek. Nawet w Miłość. Szczególnie w Miłość.

Sześciu konnych, którzy z rozkazu Almaryka wszędzie jej towarzyszyli, pewnie klęło ją, że wyciąga ich w taką pogodę z domu, marząc raczej o popijaniu wina przy

ciepłym ogniu. Była to wszak okupowana ziemia i langwedocczycy, bywało, uderzali niespodzianie na najeźdźców. Głupotą byłoby, gdyby żona królewskiego seneszała miała wyprawiać się samopas na przejażdżki po okolicach Béziers. Z musu więc nałożyli ciężkie hełmy i kolczugi, przypasali miecze i ruszyli za nią.

Spojrzała za siebie, ku Béziers górującemu na szczycie wzgórza, u którego podnóża płynął Orb. Po rzece szła mgła od morza, spowijająca teraz prawie całe miasto. Widać było zaledwie wieże miejskie z pokrytymi czerwoną dachówką hełmami i iglice kościołów. Mogła jeszcze dojrzeć lekko żółtawe mury cytadeli, w której mieszkała razem z Almarykiem. Był tam teraz, zajęty pisaniem zamówień na furaz dla gotujących się pomału w drogę krzyżowców Ludwika.

Dziadowie i pradziadowie jej przybocznej drużyny mogli być pośród tych, którzy czterdzieści lat temu masakrowali mieszkańców Béziers. Ludzie z eskorty byli bez wątpienia Frankami, o blond włosach i kwadratowych szczękach. Almaryk miał słabość do takich właśnie.

Sire Guy d'Etampes, młody rycerz dowodzący jego oddziałami, podtrzymywał cały czas konwersację, najwidoczniej przekonany, że zabawianie pani leży w zakresie jego obowiązków. O jednym wszak biedak potrafił tylko mówić - mianowicie o wojnie, czyli zbliżającej się krucjacie. Przypomniała sobie rozmowę z Rolandem o wyprawie i poczuła w sercu ostre dżgnięcie drzemiącego tam cały czas bólu.

- Dobre lata dla wieśniaków - mówił d'Etampes - pełno wszędzie królewskich wysłanników wykupujących plony. Jeszcze dwa razy będą jare zbiory, nim wyruszymy, a oni już zbierają ziarno i siano w Aigues-Mortes. - Wyszczrzył się w uśmiechu. - Dla nas to przynajmniej krótka będzie podróż, gdy przyjdzie ruszać. Aigues-Mortes jest ledwie kilka godzin jazdy stąd.

- Wiem, panie, gdzie jest Aigues-Mortes - odpowiedziała cierpko, przerywając jego perore. - Urodziłam się w tym kraju.

- Wybacz, pani, zapomniałem. - D'Etampes odwrócił się i wytarł krańcem błękitnego płaszcza krople deszczu spływające do oczu z rębu szyszaka. Kiedy już się z tym uporał, naciągnął na głowę kaptur, nie tyle dla ochrony przed deszczem, ile żeby skryć twarz.

Nicoletta widziała, że młody człowiek się spieszył. Chciał chyba by go lubiła, popatrywał za Izabelą, która byłaby świetną partią dla takiego jak on niewiele znaczącego hołysza; nie wie zarozumialec, że moje słowo nie liczy się u Almaryka i że Izabela pójdzie za tego, kogo jej ojciec wybierze. Jeśli zaś Almaryk nie będzie miał męskiego dziedzica, nie da córki komuś, kto nie będzie co najmniej hrabią, bo ten kto ją poślubi, weźmie całe dziedzictwo Gobignonów - rozmyślała dalej.

A jeśli dziecko, które noszę w łonie, jest chłopcem? Ta myśl zabolala niczym niespodziany cios sztyletem w serce.

Rolandowe dziecko.

Bywało, że modliła się, by poronić, to znów z całej mocy pragnęła je nosić, bo było wszystkim, co jej zostało po Rolandzie. Dzisiaj kochała je i pragnęła chronić. Tym razem będzie lepszą matką.

Dojrzała płytką niszę w skalnej ścianie, do której się zbliżali, a w niej małą, na wpół zrujnowaną kapliczkę. Widziała już w tym kraju dziesiątki takich niszczących świątyń. Pomyślała, że Almaryk niezbyt przyczynił popularności wierze kościoła rzymskiego w Langwedocji.

Kiedy zbliżyli się bardziej, zauważyła dwóch ludzi w brązowych sukniach, siedzących u wejścia do kościółka i przypomniała sobie, jak dwa miesiące temu sama wdziwała franciszkański habit.

Och! Rolandzie, utraciliśmy siebie, na zawsze!

Dwóch franciszkanów spieszonym truchcikiem podbiegło na spotkanie jadących, powiewając połami habitów w sposób, który zgoła nie przystoi duchownemu stanowi. Nie ujrysz Doskonałych zabiegających z takim natręctwem o jałmużnę, pomyślała Nicoletta.

- Brudni włóczędzy - powiedział Guy d'Etampes. - Czy każesz ich pani odpędzić?

Zaskoczyło ją to pytanie, w końcu d'Etampes był przecież katolikiem, a ci tu katolickimi mnichami. No tak, ale franciszkanie żyją w ubóstwie. W domagającym się poszanowania, odrażającym ubóstwie.

- Ci ludzie złożyli śluby pokory przez życie z miłosierdzia innych - odpowiedziała. - Miałbyś, panie, dość siły, by żyć w taki sposób?

Młody człowiek zaczerwienił się ze złości.

Braciszkwowie byli już tylko kilka kroków od nich i widać było, że istotnie wygląd mają odstręczający. Zmierzwione włosy, krótkie, przetłuszczone brody, pokryte ranami i ubłocone nagie stopy. Nicoletta z obrzydzeniem pomyślała o wszach i innym robactwie gnieźdzącym się w ich brudnych sukniach. Trzeba charakteru, żeby tak żyć - powiedziała sobie. Wstręt walczył w niej z podziwem.

- Niech Pan nasz, Jezus, pobłogosławi hojną ofiarę - odezwał się wyższy z mnichów.

Na dźwięk tego głosu stanęło jej serce.

Roland.

Musiała przytrzymać się z całej siły siodła, żeby nie spaść. Na wpół przytomna spojrzała ku Béziers, gdzie rezydował Almaryk.

Gdyby wiedział...

Znowu spojrzała na mnicha, jakby chciała się upewnić, czy to nie rozpacz rodzi przywidzenia.

Nie, to on. Pod brudem, nieczesanymi włosami i niechlujnym zarostem odkrywała dobrze znane rysy. Trzy miesiące temu w lasach między Chartres a Paryżem dotykała tej twarzy własnymi dłońmi.

Pod zniszczonym habitem widać było zdeformowane prawe ramię. W ciemnej twarzy błyszczały wpatrujące się w nią błękitne oczy.

Musiał przywdziać habit franciszkański dla przypomnienia jej własnego przebrania. Czyżby chciał ją sprowokować? Przebył całą tę drogę w poszukiwaniu śmierci?

Otworzyła już usta. Wystarczyło tylko powiedzieć d'Etampesowi, że stoi przed nimi Orlando z Perugii. Niemal na pewno Almaryk przestrzegł go o trubadurze, może nakazał zabić Rolanda, gdyby rycerz go ujrzał.

Nie. Nienawidziła Rolanda za to, że się jej sprzeniewierzył, ale nie potrafiłaby skazać go na śmierć.

Ominęła go wzrokiem i spojrzała na drugiego braciszka, w którym rozpoznała Perrina. Na ustach błąkał mu się leciutki uśmiech, w oczach czaiło się jakieś niewypowiedziane pytanie. Na co on się naraża, Roland nie zasłużył na takiego lojalnego towarzysza. Jak chytrze z twojej strony, Rolandzie, że wziąłeś go ze sobą. Nawet gdybym chciała cię zdemaskować, nie miałabym sumienia uczynić krzywdy Perrinowi.

Targało nią podniecenie. Po całym ciele, jak po długim odrętwieniu, przebiegało bolesne mrowienie. Ból, który czuła przez ostatnie miesiące nadal był obecny, ale obok pojawiło się teraz jakieś nowe, niepokojące uczucie. Czuję, że na powrót żyję, pomyślała, zdumiona tym odkryciem.

Musi rozmówić się z Rolandem. Choćby tylko po to, żeby mu powiedzieć, jak bardzo ją zranił i że go nienawidzi. Chciała usłyszeć, co ma jej do powiedzenia. Po tym, gdy odkryła jego przewrotność, po swojej ucieczce z Paryża do Béziers, jedyną rzeczą, jakiej żałowała, było to, że nie spotkała się z nim twarzą w twarz. Cokolwiek zrobię nie dopuszczę, by prosił mnie o przebaczenie.

Zdała sobie raptem sprawę, że wszyscy - Roland, Perrin, Guy d'Etampes i jej konni - spoglądają na nią uważnie.

Przypomniała sobie, że d'Etampes ma jej sakiewkę.

- Dajcie, sire Guy, po srebrnym liwrze tym dobrym mnichom.
 - Niech cię, pani, Bóg po stokroć błogosławi za jej łaskawość dla braci niniejszych od Świętego Franciszka - odpowiedział Roland, sięgając po monety, które podawał mu z lekceważącym gestem d'Etampes, i wsuwając je do skórzanej torby przytroczonej u pasa.

- Z drogi teraz - rzucił krótko d'Etampes.

- Dzięki, panie - rzekł Roland z pokłonem. - Może będę mógł wam służyć duchową zapłatą za waszą dobroć. Z radością wysłucham spowiedzi, jeśli ktoś z zacnej kompanii czułby potrzebę pojednania z Ojcem w niebiesiech.

A więc po to przybył.

- Wybacz, mnichu - odpowiedział d'Etampes z zamierzonym sarkazmem - ale wątpię, czy ktoś z nas chciałby się do ciebie zbliżyć na tyle, by uczynić przed tobą spowiedź. Idźcie w pokoju.

Rycerze z eskorty skwitowali odprawę śmiechem.

- Ci rycerze krzyża może nie potrzebują twego pocieszenia, ale ja wierzę, że Bóg zrząda niekiedy takie spotkania ku naszej naprawie - szybko powiedziała Nicoletta.

Zaskoczony d'Etampes wykręcał opancerzoną głowę, usiłując lepiej się jej przyjrzeć.

- A ja mam specjalne poszanowanie dla reguły franciszkańskiej - kontynuowała Nicoletta, kierując swoje słowa do obdartego mnicha odgrywanego przez Rolanda.

- Czy zechcecie zatem, ojcze, dać mi posłuchanie?

D'Etampes zaniepokoił się: - Pani, nie wiesz przecież, kim jest ten człowiek. Może nawet żaden z niego mnich.

Obawy d'Etampesa nie były całkiem niesłuszne. Wiadomo było, że langwedoccy buntownicy zwykli przebierać się w suknie katolickich duchownych.

- Pewnam, że ci mnisi nie będą mieli nic przeciw, jeśli ich przeszukasz, pozostaniesz też blisko mnie dla ochrony, byleś mnie nie słyszał.

- Przeszukać ich?! - jęknął sire Guy, spoglądając z odrazą na parę brudnych obdartusów.

Lęka się wszy i innego robactwa, pomyślała.

- Czyń, co uznasz za słuszne, a ja poczekam w kaplicy dla schronienia przed deszczem.

Po większej części kaplica została ogołocona z dachu, rozebranego wcześniej przez szukających drewna wieśniaków. Mogła się zatem schronić pod kamiennym sklepieniem, które zachowało się jeszcze nad ołtarzem.

Drżała na myśl o czekającej ich rozmowie, bała się słów nienawiści, jeszcze bardziej tego, co on jej powie.

Czy zdobędzie się, by powiedzieć mu o dziecku? Przeszedł ją lodowaty dreszcz. A on, co uczyni, żeby jego dziecko nie wpadło w ręce Almaryka?

Rytmiczne uderzenia deszczu niosły się echem niczym uderzenia niezliczonych młoteczków. Spoglądała na jednego ze zbrojnych, który z rozkazu Guy d'Etampesa następował niemal Rolandowi na pięty. Pożałowania godna czujność, gdyby Roland miał się okazać langwedockim buntownikiem obmyślającym morderstwo.

Tymczasem Roland stąpał po kamiennej posadzce ze złożonymi jak do modlitwy dłońmi. Sire Guy stał w drzwiach kaplicy, wpatrując się w jego plecy.

Drzał podchodząc do tej drobnej postaci siedzącej koło ołtarza. Chciał biec, klękać, błagać o przebaczenie. Musiał wszak zachować pozory.

Co miałby jej powiedzieć, co by mu ją przywróciło? Nie zdradziła go przecież przy pierwszej sposobności, a to już dobry znak.

Ściągnęła z głowy skórzany kaptur i kiedy spojrzała na niego, ujrzał w jej oczach nienawiść. Pomimo wszystko rozkoszą było znów widzieć jej twarz.

Usiłował się uśmiechnąć.

- Ukłęknij, jeśli ma to wyglądać na prawdziwą spowiedź - powiedział łagodnie.

Z wolna osunęła się na kolana.

- To ty powinienes klęczeć przede mną. Gdybym spotkała cię w Paryżu, nie żył byś już od dwóch miesięcy. I teraz jeszcze mogę cię zabić, mam przy sobie sztylet.

Poczuł przemożną chęć, by sprawdzić prawdziwość jej słów, rozedrzeć habit, odsłonić pierś. Niech umrę tu raczej, spoglądając na nią, niż gdziekolwiek indziej.

Pomyślał o ostrzu ukrytym po wewnętrznej stronie uda, gdzie żaden szanujący się rycerz nie sięgnąłby ręką.

- I ja mam broń. Rycerze twojego męża nie są zbyt doświadczeni.

Na jej ustach na moment pojawił się budzący nadzieję uśmiech.

Usiadł na stopniach ołtarza, w przyzwyczajonej odległości, na tyle jednak blisko, by mogli rozmawiać ściszym głosem. Wiedział, że cuchnie od niego, odległość zatem była zbawienna.

Jak zacząć? W czasie podróży na południe układał w głowie setki takich przemów. Nocą, leżąc gdzieś na skraju drogi i wpatrując się w bezlitosne listopadowe gwiazdy, zastanawiał się nad słowami, które mogły poruszyć jej serce. Teraz, kiedy przyszedł moment, kiedy miał z nią rozmawiać, w głowie panowała zupełna pustka. Dobył wreszcie jakichś słów, płynących z zaciśniętego gardła.

- Ciągłe jesteś *mi dons*. Moje życie należy do ciebie. Przybyłem, żebyś ze mną uczyniła, co zechcesz. W duszy naprawdę klękam przed tobą. W skrytości ducha cię uwielbiam i niemo proszę łask.

W mrocznym świetle sączącym się przez zniszczony dach mógł dostrzec jej czerwone ze złości policzki.

- Jak śmiesz tak mówić? Złamałeś wszystkie nasze przysięgi - w jej oczach zalśniły łzy - kochasz inną kobietę.

Pokręcił głową.

- Kochałem inną kobietę. Kiedy dowiedziałem się, że Diana została Doskonałą, umarła dla mnie. Nie przeczę, że zajmuje w moim sercu specjalne miejsce, ale jest

to jakby niszka na święty posąg. Jesteś jedyna.

Nawet teraz, kiedy to mówił, zaglądał w głąb własnego serca, tak jak to robił już setki razy. Czy naprawdę Diana dla niego umarła? Wiedział przecież - aż nazbyt dobrze - że żyje, mieszka w jego domu. Ból, który czuł, rodził się po części z przekonania, że to wszystko jego wina. Mógł odesłać gdzieś Dianę. Błagała go wszak o to. Nigdy się jednak na to nie zdobył. Lgnął do niej i oto teraz ma tego rezultaty.

- Czuję do ciebie to, co ty, jak utrzymujesz, czujesz do Diany - odparła łamiącym głosem. - Jakbyś już nie żył.

To beznadziejne. Ona nigdy tego nie pojmie. Nigdy mi nie wybaczy.

Coś przecież nie pozwalało mu zrezygnować.

- Musisz uwierzyć, że nigdy nie tknąłem Diany. Nie obcowałem z kobietami od chwili, kiedy spotkaliśmy się w izdebce u Wilhelma. A właściwie dużo wcześniej przed tym spotkaniem.

Patrzył w przestrzeń. Spowiednicy nie spoglądają przecież na penitentów.

- Co się stanie z Wilhelmem?

Zdziwiła go ta raptowna zmiana tematu.

- Miał szczęście. Nie mogli dowieść mu herezji. Inkwizycja może oczywiście, dowieść, czego chce, ale sam król wstawił się za Wilhelmem. Udało mi się powiedzieć za nim słowo. Inkwizycja zabrała mu tylko dom i książki - kilka spalili - i wygnała z Paryża. Jedzie do Anglii. Tam nie ma Inkwizycji.

- A co... z naszą izdebką? - W jej głosie słychać było jakąś żalność.

Zaśmiał się gorzko.

- Domyślam się, że zupełnie inaczej teraz wygląda. Dominikanie używają domu dla nowicjatu.

- Nie ma więc już miejsca, gdzie ślubowaliśmy sobie miłość. - Z trudem powstrzymywała łzy. - Uwierzyłam Dianie, gdy powiedziała, że nigdy ze sobą nie obcowaliście jak mąż z niewiastą, wierzę teraz i tobie. Ale jeśli byłbyś wierny nakazom Miłości, to i Dianie musiałbyś dochować wierności, nawet gdyby nie była twoją. Nie stało ci siły, zwróciłeś się zatem ku mnie. Zwróciłeś! Udałeś, że mam w twoim sercu pierwsze miejsce.

Wyciągnął ku niej dłoń i zaraz ją cofnął. Od drzwi kaplicy dobiegł go szczęk metalu. Dowódca eskorty postąpił krok naprzód z dłonią na rękojeści miecza. Nicoletta uspokoiła go gestem dłoni.

Niech postąpi, z ochotą zginę w walce.

Teraz wszak toczył walkę o jej miłość.

- Przebyłem całą drogę, żeby ci powiedzieć, że Diana była w moim sercu przed tobą. Znałem ją, kochałem od dziecka. Ale teraz tylko ty jesteś w moim sercu. Wierz mi!

Wpatrywał się w nią do bólu oczu. Czy mu uwierzy? Odpowiedziała mu spojrzeniem, w którym odczytał płomień miłości, który zaraz przygasł i znów pojawiło się wątpienie.

- Nawet gdybyś mówił prawdę - powiedziała powoli - to, co było między nami, jest na zawsze skończone.

Domyślał się, że chodzi o coś innego, o coś, czego mu nie powiedziała. Co takiego jeszcze stało między nimi?

- Co masz na myśli? Dlaczego?

- Będę miała dziecko.

Zabrzmiało to tak, jakby mówiła w jakimś niezrozumiałym języku. Nagle zachwiał się. O mało nie spadł ze stopni, na których siedział. Zrobiło mu się czarno przed oczyma.

Almaryk? Ogarnął go niepowstrzymany gniew.

Nie. Ta sierpniowa noc w lesie.

Teraz z kolei poczuł lęk o nią. Co będzie, jeśli Almaryk odkryje prawdę? Zaraz potem pojawił się błysk radości. Będę ojcem. Nicoletta nosi moje dziecko.

Zdał sobie sprawę, że milczy od dłuższej chwili.

- To moje dziecko - odezwał się wreszcie.

Jej oczy zwęziły się ze złości, na twarz wystąpił rumieniec. Zaśmiała się cicho, gorzko.

- To moje dziecko. Ja noszę je w łonie.

- Czy twój mąż wie?

Znowu ponuro zachichotała.

- Mój mąż wie i okazuje radość, nie ma powodów wątpić, że jest ojcem. W smutku, w jakim pograżyła mnie wizyta w twoim domu, ubłagałam królową, by pozwoliła mi tu przyjechać, i niemal natychmiast opuściłam Paryż. Gdzie miałam się udać? To mój kraj, a Almaryk w końcu jest moim mężem.

- Głos jej się załamał.

Nosi moje dziecko przekonana, że ją zdradziłem. Dobry Boże, ile musiała wycierpieć. Gdybym mógł wziąć ją w ramiona.

- Almaryk postanowił dochodzić swoich praw małżeńskich, nim jeszcze wiedziałam, że jestem brzemienna. Chciałam się jakoś z nim ułożyć. Nie było to trudne, bo ciągle mnie na swój sposób kocha. Pojadę do moich siostr do zamku Lumel, kiedy przyjdzie czas połogu. Jeśli będzie trzeba, siostry opóźnią się z wiadomością o urodzeniu dziecka tydzień albo dwa. - Przerwała, dławiąc się płaczem. - Czyż nie okazałam dość roztropności dla dobra dziecka? - dodała z goryczą.

Nie może tego uczynić.

Ono jest moje, nie Almaryka. Z mojej krwi, z krwi mojej matki. Ale także z krwi mojego ojca. Odsunął od siebie tę okropną myśl.

Dziecko Rolanda de Vency w domu Almaryka de Gobignon? Czuję, że wzbiera w nim gniew. Nie, moje dziecko - nigdy!

- Co potem? - zapytał zdławionym głosem. - Po urodzeniu dziecka?

- Cóż, potem będzie się chowało jako czwarty potomek hrabiego i hrabiny de Gobignon. Za dwa lata od dziś ruszy krucjata, w której będę towarzyszyła mojemu panu. Dziecko będzie już na tyle duże, że zostanie tutaj, u rodziny mojej albo Almaryka.

Jakby ziemia zapadała mu się pod nogami.

- Nie możesz przystać na to, by Almaryk dostał nasze dziecko - wyszeptał. - Dobry Boże, czy nie widzisz co czynisz? Jeśli jestem ojcem, a być muszę, to dziecko jest wnukiem mojej matki. I to dziecko, w którego żyłach płynie moja krew, wydane będzie w ręce naszego najgorszego wroga?

- W tym, co mówisz, nie ma krzty logiki. O ludzkim losie nie przesądza krew, która płynie w żyłach.

Przycisnął dłońmi powieki. Stracił nie tylko Nicolettę, ale i dziecko, któremu dał życie pięknej, sierpniowej nocy. Teraz wiem, czym jest piekło.

- Wiem, że to ja jestem przyczyną tego co się stało. Dlatego porzuciłem swoje obowiązki, wędrowałem pieszo z Paryża, ryzykowałem życiem, by rozmawiać z tobą w obecności rycerzy twojego męża.

- Przyznajesz, że mnie skrzywdziłeś?

Rozłożył dłonie.

- Przyznaję, że powinienem powiedzieć ci prawdę na samym początku. Myślałem jednak, że w ten sposób chronię cię przed niebezpieczeństwem. Inaczej byłabyś współniczką w ukrywaniu heretyczki.

Nawet dla niego samego nie brzmiało to przekonywająco. Nawet gdyby nie było niebezpieczeństwa, nie powiedziałby jej o Dianie. Gdyby jednak nie było niebezpieczeństwa, Diana nie ukrywałaby się u niego. Strach, strach przed Inkwizycją był powodem wszystkiego zła.

Strach - czy miłość?

- Nie - odparła - bałeś się, że nie przyjmę twojej miłości, jeśli będę wiedziała o Dianie.

Odczuwał ból od tak dawna, że czuł już w piersi tylko odrętwienie.

- Może było, jak mówisz. - Odpowiedział, pochylając pokornie głowę. - Ukrzywdziłem cię i przyjmę na siebie ból, jakim będzie utrata ciebie. Lecz jakąż sprawiedliwość czeka mojego... czeka dziecko? Dziecko nie ma głosu. Ty przesądzasz o jego losie.

- Na wiele sposobów można na to patrzeć - odrzekła bez litości - ojciec Almaryka począł bastarda twojej matce i teraz ten bastard dał żonie Almaryka innego bastarda. Ród Vency zemścił się na rodzie Gobignon. Nie w polu, lecz w alkwie.

Zamknął oczy, oddychał z trudem, przytłoczony ogromnym ciężarem.

- To najokrutniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałem.

- Łatwo jest być okrutnym, Rolandzie, kiedy zostało się zranionym. Gdy otwały się drzwi twojego domu i ujrzałam tę kobietę, gdy pojęłam w jednej chwili, że zdradziłeś wszystko, co było mi drogie na tym świecie i na drugim... To także było okrucieństwo.

Rozgorączkowany w swoim cierpieniu, nie pozostał jej dłużny.

- To ty zdradzasz Miłość, nie ja. Oddajesz siebie i dziecko, które spłodziliśmy, wrogowi naszej miłości.

- A cóż mam czynić, na Boga? Uciec z Tobą? Dwoje nędzarzy - troje niedługo - przemierzających gościńce chrześcijańskiego świata w oczekiwaniu, aż pojmą nas ludzie Almaryka? Dziecku trzeba opieki, domu, rodziny.

Ujrzał w myślach Almaryka i Hugona de Gobignon, i serce przepełniła mu odrazą.

Rodzina? De Gobignon? Raczej wolałbym widzieć moje dziecko martwe, niż miałoby wyrosnąć na potomka rodu Almaryka. Sprzedasz duszę dziecka i swoją za złoto Gobignonów? Czy Miłość nic dla ciebie nie znaczy?

- Jak śmiesz nauczać mnie o Miłości, kłaść to słowo swoimi wargami.

Wzbierał w nim gniew.

- Winisz mnie za to, że wróciłaś do Almaryka. Powiadasz, że to moja wina, że postanowiłaś, aby nasze dziecko wychowywało się w jego domu. Powiadasz, że to wszystko dlatego, że ukrywałem przed tobą Dianę. Powiedz mi, madame, przypuścimy, że nie byłoby Diany, ty byłabyś wszak brzemienna, prawda? Czy wtedy też uciekłabyś do Almaryka?

Pobladła, opuściła głowę, wpatrując się w posadzkę. Po chwili odparła.

- Nie wiem. Może bym uciekła z tobą. Jaka to teraz różnica? Wiem tylko, że miałam szczęście, dowiedziawszy się wcześniej o jej istnieniu. O ileż byłoby mi to bardziej wstrętne, gdybym odkryła prawdę dopiero wtedy, kiedy byłabym całkiem bez oparcia, zdana tylko na ciebie.

- Będziecie, ty i dziecko, zdani na Almaryka. Czy podług ciebie tak będzie lepiej? - Po chwili dodał: - Nie mogę znieść myśli, że on cię dotyka, obejmuje.

Widział, że toczy się w niej walka między miłością do niego a nienawiścią za jego przeniwierstwo. Dochodził do tego lęk o dziecko i lęk przed miłością, która zraniła ją tak bardzo.

Twarz jej raptem stężała. Zrozumiał, że szuka dla siebie ochrony, dla siebie i dla dziecka.

- Dla mnie to nieważne, jeden Gobignon taki sam dobry jak drugi.

Mimo że przygotował się na cios, poczuł, jakby ugodziła go nożem.

- Jesteś nierozważna, Nicoletto. Są sposoby, żebyście - ani ty, ani dziecko - nie byli we władzy Almaryka. Powiedziałem ci, że twoi strażnicy nie byli zbyt uważni, kiedy mnie przeszukiwali.

- Nie lękam się ciebie, Rolandzie.

Miała rozszerzone oczy, całe ciało napięte, gotowa z nim walczyć o życie swoje i dziecka.

- I mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała się mnie lękać, ale jestem na krawędzi szaleństwa, nie popychaj mnie dalej, nic już nie mów.

Pomyślał, że wszystko stracone. Był bezradny. Nic mu nie pozostało, jak wracać do Paryża. Ich miłość umarła. Dziecko będzie potomkiem Almaryka.

Uczył nad nią znak krzyża, powoli, z namaszczeniem.

- Błogosławię cię krzyżem cierpienia. Bądź błogosławiona w pokucie. Odejdź w pokoju. - Głos załamał mu się przy tych ostatnich słowach, w oczach pojawiły się łzy.

Nadal klęczała w tym samym miejscu.

- Co poczniesz, Rolandzie?

Usiłował spojrzeć na nią po raz ostatni przez łzy. Chciał wyciągnąć dłoń i pogłodzić smagły policzek. Co pocznę? Bóg jeden wie. Znajdę jakiś godny sposób, żeby umrzeć.

- Zapomnij mnie - odrzekł głośno - jeśli potrafisz.

Przeżegnała się drżącą dłonią, dla utrzymania pozorów spowiedzi i podniosła z klęczek.

Roland odwróciwszy głowę, spoglądał w mrok kaplicy.

* * *

Kiedy szła nawą ku wyjściu, deszcz padający przez zniszczony dach mieszał się ze łzami.

Cały czas płakała rozpaczliwie w drodze powrotnej do Béziers. Sire Guy rzucał w jej stronę przeciągłe spojrzenia spod oka, ale nie odezwał się słowem. Zastanawia się, co też wyznałam na spowiedzi, że doprowadziło mnie do takiego płaczu.

Kiedy byli już w pół drogi do miasta, powiedział wreszcie:

- Pani, znam trochę świat. Gdybyście byli wielką grzesznicą, nie płakalibyście tak po spowiedzi.

Łzy raptem ustały. To zacny człowiek - pomyślała - ale ludzie są dla niego zupełną zagadką. Inaczej nie służyłby Almarykowi. Ogarnęła ją ciemna, ołowiana rozpacz. Nie miała żadnego dwornego słowa dla sire Guya.

- Zmilczcie, panie, nic nie rozumiecie.

Resztę drogi do zamku - do jej więzienia - przebyli w milczeniu.

* * *

XVI

Diana w napięciu słuchała kroków schodzącego po schodach Rolanda. Przez całą zimę, od chwili kiedy powrócił z Béziers po spotkaniu z Nicolettą, był jakby innym człowiekiem. Mowa jego była gorzka, pil, chodził smutny. Czasami długo wpatrywał się w nią, nie mówiąc ani słowa.

To ja przyczyniłam mu trosk, zwykła się oskarżać. Wbrew mojemu Starszemu nie powinnam była tu zostać. Okazałam słabość, bo chciałam być bezpieczna, być blisko Rolanda. I tak zrujnowałam jego życie.

Oznaki tej ruiny leżały na stole w sieni - solidny kostur, długi na wysokość człowieka, prosta skórzana torba i krzyż z czerwonego jedwabiu. To, że Roland posiadał te rzeczy, oznaczało, że odwrócił się od wszystkiego, czym żył dotychczas. Tym razem krzyż nie był pozorem jak na Mont Ségur. Zbierało się jej na mdłości, tak jakby rzeczy na stole zanieczyszczały powietrze w sieni. Otworzyła drzwi wejściowe, wpuszczając do wnętrza miły powiew wiosennego powietrza.

Cóż bardziej niewinnego niż to wyposażenie pielgrzyma, skórzany wór, w którym nosi kilka monet i nieco jedzenia? Kto jest spokojniejszym człowiekiem niżli pielgrzym? Co jest większym symbolem miłości niż krzyż, uświęcony przez Chrystusa? Jakim sposobem te niewinne rzeczy przywodzą rycerzy do napadania i mordowania ludzi w dalekich krajach?

Wiedziała, że Roland złożył wczoraj w Dniu Majowym śluby krzyżowe w katedrze Notre Dame. Nie przyniósł jednak do domu rynsztunku krzyżowca. Słyszała, jak głęboką nocą tłucze się po domu. Dzisiaj rano królewski posłaniec przyniósł te rzeczy, mówiąc, że Roland zostawił je w pałacu.

Zobaczyła czarne cizmy schodzącego ze schodów Rolanda. Zatrzymał się na dole, mrużąc oczy w promieniach słońca wpadających przez otwarte drzwi. Jego poplamiony winem brązowy kaftan i pończochy były wygniecione. Widać musiał w nich spać.

- Słońce już po tej stronie domu? To możliwe, że już popołudnie?

- Piękny dziś dzień - odpowiedziała.

Na jego twarzy zamajaczył jakiś gorzki grymas, uniósł lewą wargę.

- Piękne dni są dziełem złego demiurga, czyż nie tak mówią katarowie? Jeśli o mnie idzie, błękitne niebo i promienie słońca sprawiają, że mam ochotę iść na powrót do łóżka.

Twarz miał woskowożółtą i pobrużdżoną po całonocnym pijaństwie. Przemawiała przez niego gorycz głębsza niż zazwyczaj. Dianie zbierało się na płacz z żalu nad nim.

- Król wydał wczorajszego wieczoru ucztę dla nowo zaprzysiężonych krzyżowców - powiedział z uśmiechem, który bardziej przypominał szyderczy grymas. - Dwanaście dań.

Ćwierć niedźwiedzia, głowa dzika, i szczęśliwa wieść, którą miała dla mnie królowa.

To zapewne ta wieść, cokolwiek to było, sprawiła, że tyle wypił wczorajszej nocy. Czekala, co jej powie.

- Nicoletta powiła syna - powiedział szorstko - mojego syna. Mojego syna, który pewnego dnia zostanie hrabią de Gobignon. Pomyśl tylko.

Tak bardzo było jej go żal. Łzy paliły pod powiekami. Biedak. Jedyne jego dziecko znajdowało się w mocy jego najgorszego wroga.

Chciała go pogłodzić po głowie, ukoić jakoś.

- Och, nie! - To było wszystko, co mogła wykrztusić z siebie.

Dlaczego to nie ja, dlaczego nie mnie dał dziecko? Co ja mówię? Boże, przebacz!

- Pić mi się chce. Po tym, co wypilem wczorajszej nocy, sam widok wina przyprowadziłby mnie o mdłości. Wy, Doskonali, jesteście mądrzy, że nigdy nie pijecie wina - westchnął - tylko czym splukujecie swoje smutki?

W ogóle tego nie czynimy. Żyjemy z nimi.

- Mogę dostać trochę tej studziennej wody, którą pijesz?

Diana poszła do kuchni po swój gliniany dzban. Przez uchylone drzwi dojrzała Perrina, który w polu za ogrodem wywijał nad głową wielkim oburęcznym mieczem. Słońce połyskiwało na długiej do kolan koleczudze, którą wdział do ćwiczeń. A zatem i on idzie na wyprawę. Nałoży krzyż i będzie zabijał, bo wierność dla Rolanda silniejsza jest w nim niż wszystko inne, mimo że został jednym z nas.

Nalała wody do cynowego kubka. Roland wypił wszystko jednym haustem i podsunął jeszcze raz naczynie.

- Gdzie się wszyscy podzieli? - Spojrzał na nią tak dziwnie, że nerwowo zaczęła poprawiać błękitną spódnicę.

- Perrin ćwiczy mieczem na łące. Adriana i Lucjan poszli na targ. Chłopiec jest przy koniach. - Wskazała na symbole pielgrzymki i krucjaty. - Przyszli to z pałacu.

- A tak, to.

- Perrin jest w wybornej kondycji. Przebył ze mną pieszo całą drogę do Béziers i z powrotem i ani razu się nie poskarżył. Ani byś pomyślała, że... był ranny.

Spojrzała na okaleczone ramię Rolanda i zmiędko jej serce. Ten człowiek został raniony na ciele i na duszy. Nigdy nie będzie władał dwuręcznym mieczem tak jak Perrin przed chwilą.

- Rolandzie, czy naprawdę myślisz o tym, by walczyć w krucjacie?

Zaśmiał się krótko, chrapliwie.

- A po cóż innego iść na wyprawę, jeśli nie po to, żeby walczyć? Co za pytanie?

- Nie możesz przecież unieść ręki ponad ramię. Jak będziesz walczył?

- Drugą rękę mam dobrą, wiele jest innej broni poza oburęcznym mieczem.

- Rolandzie, postradasz życie, jeśli pójdziesz na wojnę.

Znowu się zaśmiał.

- Mogę robić inne jeszcze rzeczy. Do króla doszło już, że nauczyłem się na Sycylii arabskiego, i myśli, że będę pomocny. Uczę już pałacowych oficjalistów arabskich cyfr. Nie wierzę, że wiele zdziałamy z Saracenami samą rozmową, ale jeśli, to moja wiedza się przyda.

- Ale jeśli ci przyjdzie stawać do walki, pierwszy lepszy mameluk będzie miał nad tobą przewagę.

- Będę lepiej przygotowany, niż myślisz. Czy pamiętasz sire Gwidona, templariusza, który przywiózł Perrina tamtej nocy? Zaprosił mnie, żebym ćwiczył u nich na Marais. Poza tym królewskie wojska nie wyruszają tego lata tylko następnego, w roku tysięcznym dwieście czterdziestym ósmym. Do tego czasu mogą nabrać biegłości. Templariusze więcej wiedzą o sztuce wojennej niż ktokolwiek inny. Wielu z nich postradało ręce lub nogi u Turków, a ciągle potrafią dobrze sprawić się w walce.

Pamiętała Gwidona Bruchesi. Wystraszył ją wtedy, bo zdawało się, że przejrzał jej komedię z udawaniem siostry Rolanda.

- Nigdy nie zapomnę tej nocy, kiedy Gwidon przyniósł do domu biednego Perrina - odezwał się Roland. - Byłaś wtedy wspaniała, Diano - spojrzal jej uważnie w oczy. - Jak możesz być taką medyczką, skoro uważacie, że ciało jest złem?

- Nie uważamy, że jest złem, tylko w pewnym sensie złudzeniem. Ból jest jednak rzeczywistością. Myślimy, że jest naszą powinnością ulżyć braciom i siostram w cierpieniach, skądkolwiek płyną.

Nie była jednak przekonana do tego co mówi. Nie umiem nie dostrzegać piękna cielesnego. Czuję je, niczym siłę Miłości, której ono służy.

A on znowu się uśmiechał tym swoim krzywym uśmiechem, w którym było tyle gniewu co radości.

- Jeśli nie czujesz nienawiści do ciała, jeśli uważasz za swój obowiązek nieść ulgę w cierpieniach - podszedł bliżej - dlaczego nie chcesz być moją?

Przeraziły ją te słowa.

- Rolandzie przyrzekałeś mi nigdy o tym nie mówić. - Stała tak, że dzielił ich teraz stół. - Jesteś poruszony z powodu Nicoletty i dziecka. Ja jej nie zastąpię.

- Nie, i ona nie zastąpi ciebie. Tak się przez czas jakiś wydawało, ale to ona dojrzała prawdę, że nigdy nie przestałem cię kochać. Ukrywałem to w sercu. Miłość jednak ciebie mi przeznaczyła. Ciebie kochałem przedtem, potem i zawsze będę kochał. Dawno temu napisałem: „Niewiastę i męża jednako zachwyca chwalić Pana, co tchnął w nich życie” - dla ciebie. To, co do ciebie czuję, nie jest złe, to dobre uczucie.

Wezbrała w niej cała tęsknota za nim, która tak długo przyczyniała jej tylu mąk. Niczym łaknienie, które czuła w całym ciele, w dłoniach, udach, piersi, brzuchu, w koniuszkach palców, łaknienie, które wołało, by je ugasić, i które tylko mogła ugasić przyciskając wargi do jego warg. To nie Roland ją przeraził, tak że nagle się cofnęła, lecz jej własne ciało.

- Diano, twoja wiara żąda zbyt wiele od istoty ludzkiej. Pod Mont Ségur widziałem młode kobiety i mężczyzn idących w płomienie. I ty dzień po dniu składasz siebie w ofierze, odrzucając Miłość.

Moje ciało teraz ogarniają płomienie, pomyślała. Usiłowała myśleć o wierze, o tym, co powiedziałby jej biskup Bertran, gdyby mógł służyć jej radą.

- Rolandzie, miłość, o której mówisz, jest tylko cielesną radością, która trwa chwilę. Czy mam się przez nią zatracić?

Błado brzmiały te słowa wobec jej pożądania. Okrążał stół. Odsuwała się coraz dalej.

- To, co robisz teraz, jest zatracaniem siebie, nas pospołu.

- Jest inne życie, wieczne, Rolandzie, wiem o tym.

- Jest inne życie dla nas tu, na ziemi. - Ze złością wskazał na kostur, torbę i krzyż. - To ma być moja przyszłość? Stos i płomienie mają być twoją przeszłością? Są miejsca, gdzie obydwójce możemy być bezpieczni. Komuny w Alpach, Anglia. Pójdź ze mną.

Diana ujrzała w myślach dwie drogi. Jedna wiodła ku bezpiecznemu życiu we dwoje, pełnemu wspólnych rozmów, śmiechu, śpiewu, miłości, dzieci, ku prostym ludzkim radościom. Cóż się stanie, jeśli obierze tę drogę? Wydawała się piękna, ale wiązała w okowach zła. Kiedy umrze, jej dusza na zawsze pozostanie uwięziona w mocy Złego, wydana na męki ciemności, wieczystego ognia, okrutnych wiatrów, drwiny demonów i obcowanie z innymi potępionymi duszami. Potępienie wieczne, bez nadziei, bez żadnej nadziei.

Nigdy nie pozna Boga.

Na drugiej drodze, jeśli poniecha Rolanda, czekał ją ustawiczny lęk i prędką zapewne śmierć pisana ofiarom Inkwizycji.

Kiedyś dla sprawdzenia, czy zniesie choćby trochę żar tych płomieni, które ją czekały, włożyła palec w ogień świecy. Skóra zaskwierzała, ból przeszył rękę do ramienia, krzyknęła i szarpnęła się do tyłu. Oparzenie goiło się i bolało przez wiele dni. Próbowwała wyobrazić sobie podobny ból, obejmujący całe ciało, ale nie potrafiła.

Czy będę błagała na stosie, by pozwolili mi zaprzecić się mej wiary? Widziała wiele kobiet i mężczyzn o zeszpeconych twarzach i okaleczonych członkach, ludzi, którzy wypierali się swojej wiary, kiedy poczuli płomienie, i którzy zostali uwolnieni w ostatnim momencie. Kiedyś bolała nad ich słabością, ale po własnej próbie ognia miała dla nich zrozumienie.

Po przejściu przez ogień Inkwizycji zazna wiecznego pojednania z Bogiem. Jeśli umrze jako dobry człowiek, zawsze już będzie tam, gdzie panuje samo dobro i szczęście. Szczęście, przy którym uścisk ramion Rolanda wydaje się kroplą wobec niezmiernego morza. Będzie przechadzała się, mówiła do Boga w jego raju gdzieś ponad gwieździstym nieboskłonem.

- Rolandzie, wiesz, że źle czynisz. Wejrzyj w swoje serce.

- Wejrzeć w serce? - powiedział zaczepnie, sunąc niczym kot w jej stronę wokół stołu. - Serce mi mówi, że cię kochałem od dziecka, że kochałem cię przez te ostatnie trzy lata, kiedy próbowałem poniechać miłości, boś tego żądała. Tak, nakazałaś mi nie mówić o Miłości, a ja byłem ci posłuszny. Ale Kocham cię nadal. Nic na to nie poradzę. Nie jest to duchowa miłość do całego rodzaju ludzkiego, ale prawdziwa namiętność ciała i duszy. Pragnę wziąć cię nagą w ramiona, przeniknąć twoje ciało, złączyć się z tobą w jedno. Wierzę całym sobą, że w moim pragnieniu ciebie nie ma nic złego. Ludzie są do tego stworzeni. Patrząc w serce, a ono mi mówi, że i ty musisz mnie kochać, wiem o tym. - Zbliżał się nieubłaganie ku niej.

Cofając się, oparła się o ścianę. Mogłabym uciec drzwiami. Dlaczego pozwalam się pochwycić? Chcę, żeby mnie pochwycił. Wyciągnął ku niej ramiona.

- Nie! - krzyknęła. I ona wyciągnęła ramiona, żeby go odepchnąć. - Kocham cię, Rolandzie - dyszała, brakło jej tchu - tak, Kocham cię.

Jego twarz jakby zajaśniała. Trudno było oprzeć się pięknu, które się na niej raptem pojawiło.

Z rozświetlonymi oczami podszedł jeszcze bliżej, tak że musiała oprzeć dłoń na jego piersi, by go powstrzymać. Przeniknęło ją drżenie od końców palców po ramiona.

- Zostaw mnie, Rolandzie - rzekła prędko - nie wolno ci, wydasz moją duszę na wieczne potępienie. Nawet za życia, gdybym żyła z tobą, będę niczym, ruiną. Raz

złamanych ślubów nie da się ponowić. Nie będzie dla mnie przebaczenia.

Wyraz szczęścia zniknął z jego twarzy, zdjął ją żal na widok tej zmiany, tego smutku.

- Tyle jest przerażenia w twoich oczach, Diano, nie sposób go znieść. Czy wierzysz, że nigdy cię nie skrzywdzę? Że nigdy cię nie dotknę bez twojego przyzwolenia?

Odsunął się.

Było jednak za późno. Nie mogła się już zatrzymać.

Drżała, ciągle jeszcze czując na dłoniach ciepło jego piersi. Musiała dotknąć go jeszcze raz. Nie mogła znieść dłużej niezaspokojonej tęsknoty.

Ruszyła w jego stronę.

Szła z zamkniętymi oczami, z wyciągniętymi przed siebie rękoma.

Usłyszała ciężkie kroki, ktoś stanął między nimi. Zaskoczona krzyknęła. Zobaczyła Perrina w kolczudze, odwróconego do niej plecami, twarzą do Rolanda. Trzymał przed sobą miecz, który przyciskał do piersi. Spojrzała ponad jego kręconą czupryną i dojrzała ból w twarzy Rolanda.

- Podniósłbyś na mnie miecz? - zapytał cicho.

- Wybacz, panie. - Głos Perrina był pełen cierpienia. Nakazałeś mi kiedyś bronić pani, choćbym miał nawet oddać życie.

- Czy naprawdę myślisz, że mógłbym ją skrzywdzić? Czy tak mało mnie znasz?

Diana słuchała ze zgrozą słów Perrina. Czy naprawdę podniósłby swój miecz na Rolanda w jej obronie?

- Robię tylko to, co nakazuje mi sumienie. - Perrin mówił z trudem.

- Możesz odłożyć swój miecz - odparł Roland szorstko, odwracając się do wyjścia. - Nie miałem zamiaru wymuszać niczego na twojej pani. Myślałem że... nieważne co myślałem.

- Nie zapomniałem, panie, co znaczy kochać - powiedział Perrin cichutko, chowając miecz do pochwy.

- Diano, widziałem przed chwilą strach w twoich oczach. Powiedziałaś, że gdybyś mnie kochała, zniszczyłabyś siebie. Widzę teraz, że twoja wiara jest zbyt silna na moje biedne słowa. Wybacz zarozumiałość. Nigdy już nie będę cię niepokoił.

Nie wie, pomyślała Diana, czując jednocześnie ulgę i powracającą znów mękę, że zwyciężył. Jestem wszak uratowana, nie zламаłam ślubów.

Trzymała się dzielnie. Muszę zapomnieć o tej chwili. Wiedziała jednak, że kiedy zostanie sama, będzie opłakiwała to, co właśnie utraciła.

- I ty mi wybacz, Perrinie - powiedział ochryplym głosem. - Zaslugujesz, żeby być muzykantem u lepszego niż ja trubadura.

Poszedł sztywno, prawe ramię uniesione wyżej, w stronę wyjścia do ogrodu.

- Nie będę miał innego pana! - krzyknął za nim Perrin.

- Na Boga, Perrinie, co ja mu uczyniłam? Zniechęciłam do niego Nicolettę, a teraz stanęłam między nim a tobą.

- Nie ma w tym twojej winy, pani. Nie oskarżaj siebie. To, że hrabina go odrzuciła, że nosiła jego dziecko, doprowadziło go niemal do szaleństwa - uśmiechnął się łagodnie. - Nie myśl też, że stanęłaś między nami. Znam mego pana. Niewiele czasu minie i będę mu towarzyszył na rive gauche, będę przy nim, kiedy będzie pił do zatury jak ostatniej nocy. To jedyne teraz dla niego lekarstwo.

Słyszała Perrina jak przez mgłę. Waliło jej serce, dłonie były lodowate. Żałowała wszystkiego. Czy mam umrzeć, myśląc, dlaczego nie dałam przyzwolenia Rolandowi?

- Myślę, że byłoby dla ciebie najlepiej, pani, gdybyś opuściła ten dom - przemówił Perrin ponuro. - Nienawistne mi to, co mówię. Może nasz Kościół znajdzie dla ciebie inne schronienie w Paryżu. Odejdź, jeśli możesz, kiedy nas nie będzie tu dzisiaj wieczoru. Jak powiadam, odchodzi od zmysłów, od kiedy w Béziers rozmówił się z hrabiną.

- Jest jeszcze gorzej, Perrinie - mówiła próbując otrzeć łzy rękawem błękitnej sukni. Właśnie się dowiedział, że hrabina urodziła syna. Powiedział mi, że jego syn będzie hrabią de Gobignon.

- Dobry Boże! To dość, żeby ze szczętem oszaleć. Wiesz pani, że jego ojciec... - Perrin przerwał i obserwował ją uważnie - czy wiesz?

Dziwne słowa odwróciły myśl od jej własnych smutków.

- Czy wiem co, Perrinie?

- Ach - westchnął - więc nie wiesz. Może nie powinienem nic mówić bez jego pozwolenia, ale skoro zacząłem, zresztą, może zrozumiesz go lepiej. Widzisz, pani,

jego ojcem był poprzedni hrabia de Gobignon, ojciec Almaryka.

Przez chwilę w głowie miała pustkę. To nie miało sensu.

- Znam przecież całą rodzinę Rolanda, znam jego ojca, Arnolda de Vency, jego matkę, panią Adaliz.

- Nie - Perrin pokręcił głową - kiedy matka mojego pana była młodką, została pojmana przez hrabiego Stefana de Gobignon i więziona w zamku, który zdobył. Arnold de Vency z druhami odbił zamek i zabił hrabiego Stefana. To on uwolnił matkę mojego pana, ale była już wtedy brzemienna. Almaryk de Gobignon i Roland de Vency są zatem przyrodnimi braćmi.

Dianie mieszało się w głowie. Rzeźnik z Mont Ségur przyrodnim bratem Rolanda? A więc w żyłach syna Nicoletty płynie krew Gobignonów.

- Rozumiesz, pani, jak bardzo musi nienawidzić rodu de Gobignon. I pomyśleć, że jego syn ma wyrosnąć na jednego z nich.

Lepiej już skończyć jak ja i nigdy nie mieć dzieci. Tak, pani, dlatego wrócił do ciebie. Szaleństwo.

To nieprawda, pomyślała. Prawdziwą przyczyną jest to, że nigdy nie przestał mnie kochać. Perrin jednak ma słuszość. Muszę odejść z jego życia. Muszę rozmówić się ze Starszym. Albo pomoże mi wydostać się stąd, albo odejdę wbrew jego woli. Nie stracę przecież duszy, jeśli go nie usłucham, a stanie się tak na pewno, jeśli zostanę tutaj.

- Masz rację, Perrinie - powiedziała słabo - muszę odejść.

Czy to z ogrodu słyhać daleki krzyk, jakby skowyt rannego zwierzęcia?

- Nie znajdę innego schronienia w Paryżu. Wrócę do Langwedocji, gdzie mnie potrzebują. Powiadają, że nie zostało więcej niż dziesięciu naszych kaznodziejów w całej Tuluzie i Akwitanii.

Może inkwizytorzy szybciej wpadną na mój ślad? Zbyt wiele w tym życiu bólu. Niech przyjdzie śmierć, niech moja dusza wzniesie się niczym iskierka ku Bogu.

* * *

XVII

Stojąc pośród tłumu wieśniaków słuchających obwieszczenia, Diana poczuła złowrogi dreszcz. Zdało się jej, jakby jasne słońce Langwedocji, zalewające mały rynek, nie dawało dość ciepła.

- Ojciec Hugon z Zakonu Kaznodziejów, Wielki Inkwizytor hrabstwa Tuluzy, będzie kazał na mszy w tę niedzielę - ogłaszał herold w czarnym kaftanie z czerwonym krzyżem na piersi. - Wszyscy mieszkańcy Azille niech będą w kościele.

Tłum rozchodził się pomału, ludzie nie rozmawiali i nie patrzyli na siebie. Każdy bał się, że najmniejsza uwaga trafi do Inkwizycji.

Diana szła ulicą, niosąc w koszu jajka, pęczek dymki i trzy niewielkie bochenki chleba. Na skraju miasteczka dojrzała grupę zbrojnych w łuki mężczyzn w błyszczących hełmach, którzy zabierali się do rozbijania namiotu. Żołnierze z Północy, zbrojne ramię Inkwizycji. Rozbijają strażnice przy wszystkich drogach wylotowych z miasta - pomyślała z przygnębieniem - za późno na ucieczkę.

Nie powinna była zatrzymywać się tak długo w Azille, ale stara Alet, wdowa po tkaczu, potrzebowała jej pomocy. Miała okropne bóle w piersiach, mogła umrzeć w każdej chwili. Jeśli Diana odeszłaby, nie udzieliwszy jej *consolamentum*, Alet narodziłaby się po śmierci bez sakramentu, do kolejnego życia pełnego cierpień. Jeśli Diana udzieli jej *consolamentum*, Alet będzie musiała prowadzić od tej chwili surowe życie albo skaże swoją duszę na wieczne potępienie w ogniu piekielnym. A Alet, z temperamentu należąca do tego świata, skłonna była znów błądzić, kiedy tylko stanie z powrotem na nogi. Mimo swego wieku przyznawała radośnie, że od śmierci męża miała czterech kochanków.

Nękana wątpliwościami Diana przez ostatnie tygodnie mieszkała w domu Alet, opiekując się starą panią. Lubiła ją i pragnęła dla niej godnego końca. Teraz zdała sobie sprawę, że popełniła błąd pozostając i narażając się na spotkania z żołnierzami Inkwizycji. Starszy jeszcze w Paryżu przestrzegał ją, by nie igrała ze śmiercią.

Jestem w Langwedocji już od roku i trzy razy o mało nie wpadłam w ich łapy. Gdybym szukała śmierci, już bym nie żyła.

Był to dobry rok i wiele zdziałała od chwili ucieczki z Paryża i z domu Rolanda. Bez przeszkód przemykała z miasta do miasta w Akwitanii i hrabstwie Tuluzy, przysparzając Kościołowi nawróconych, pocieszając Wierzących i udzielając umierającym Sakramentu, który pomagał odchodzącym duszom trafić do Boga. Jej nagrodą była miłość i wdzięczność, którą widziała na twarzach Wierzących w czasie tajnych spotkań. Niekiedy płakała po nocach na wspomnienie Rolanda, ale częściej, wyčerpana, zapadała w ciężki sen bez marzeń. Czas mijał niepostrzeżenie.

Kiedy nadszedł dwunasty dzień maja roku tysiąc dwieście czterdziestego ósmego, z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że rok już minął od jej odejścia z domu Rolanda. Jeszcze bardziej zaskoczona była tym, że tak długo jest w Langwedocji i ciągle jeszcze żyje.

Nigdy jeszcze nie widziała Hugona de Gobignon, słyszała jednak, co kazał do męczenników z Mont Ségur. Jakiś mroczny impuls, którego nie umiała nazwać, sprawiał, że z niecierpliwością czekała, kiedy będzie mogła go ujrzeć i usłyszeć.

Po powrocie do chaty wdowy opowiedziała Alet o inkwizytorach, a ta zaczęła ją błagać by odeszła.

- Co będzie, jeśli ktoś wskaże cię, pani, palcem w kościele? Powinnaś opuścić zaraz miasteczko.

- Za późno. Braciszkwowie zobaczą mnie i odgadną, że umykam, bo jestem katarłą.

W niedzielę Diana obserwowała ludzi śpieszących zająć co lepsze miejsce w kościele. Zewsząd dochodziły ciche, pełne podniecenia szepty. Chociaż obawiano się Inkwizycji, wielu przyszło by nawet bez wyraźnego nakazu. Wiedziała, że okazja wysłuchania sławnego kaznodziei była wielkim wydarzeniem w życiu każdego z nich.

Niewielkie znaczenie miało dla nich i ich wiary, czy był on katarem, czy katolikiem.

Fala tłumu poniosła ją za sobą do wnętrza małego kościółka. Była wiele razy w katolickich świątyniach, ale zawsze odstręczał ją ich nadmierny przepych, ich atmosfera, dziwny obrządek, kult idoli. Kościółek był tak zatłoczony, że nie można było nawet uklęknąć, powietrze duszne, przepelnione zapachem potu. Fran-kijscy łucznicy w hełmach i napierśnikach, pilnujący dróg, stali teraz pod ścianami z bronią w rękę.

Brat, zwany Gerardem, wygłosił krótkie kazanie, w którym przypomniał wier-
nym o obowiązku spowiedzi w nadchodzącym tygodniu.

Na ambonę wszedł ojciec Hugon.

Ludzie od początku milczeli, teraz jednak zaległa martwa cisza. Hugon zaczął ła-
godnie, przyjaźnie. Mówił, że był w tym miasteczku już wiele razy. Wyraził szacunek
tutejszym duchownym, seniorowi, wąsatemu rycerzowi z Północy, zajmującemu
honorowe miejsce po prawej stronie ołtarza, potem innym parafianom, których
pozdrowił niczym starych przyjaciół.

- Wiadomo wam - mówił - że król wzniosł świętą chorągiew wojny, Oriflamme,
i że ciągnie ze swoimi wojskami z Paryża na południe. Za nim postępują błogosła-
wione zastępy krzyżowe, które rosną w siłę, w miarę jak król zbliża się ku połu-
dniowym wybrzeżom.

Diana zastanawiała się, czy Roland jest z królem. Serce bolało z tęsknoty za nim.

- I ja wkrótce przyłączę do rycerzy krzyżowych, tak jak uczynił to mój dobry
brat, hrabia Almaryk, który ma w swej pieczy cały lud tutejszy - mówił dalej Hugon.
- Gdy pójdzie z wyprawą prawie całe duchowieństwo i rycerstwo, któż zajmie się
wami, moje dziatki, kto was ustrzeże przed zarazą herezji?

Musimy oczyścić ten kraj już teraz, byście żyli bezpiecznie, gdy ruszy krucjata.

Powtarzał i przypominał o wszelkim złu płynącym z herezji, o mordowaniu księ-
ży i zakonnic, przyśpieszaniu śmierci ludzi starych i schorowanych, o zachęcaniu do
samobójstw, wzniecaniu buntów przeciw będącym w prawie seniorom, sodomii,
spędzaniu płodów, sposobach przeciw poczęciu, pogardzie dla ślubów małżeńskich.

Wyliczaniu nie było końca. Dianie policzki pały gniewem, chciałyby wstać i zaprzeczyć tym wszystkim kłamstwom. Spojrzała na Hugona i przeraziła się. Jeśli jakaś ludzka istota była dziełem szatana, to ten człowiek był nim na pewno. Miał anielską twarz, szczupłą, piękną i czystą. Sklepienie czaszki, z wygoloną tonsurą, miało szlachetny kształt i zdawało się mówić o sile kryjącego się pod nią umysłu. Dźwięczny głos miał magnetyczne działanie.

Mówił długo, nim wreszcie doszedł do końca swojego kazania: Jeśli jest między wami jakiś człowiek, który chowa w sercu przენiewierczą myśl, niech wstanie i wystąpi, niech wyzna swoje grzechy i prosi Boga o łaskę. Tych, którzy wyznają teraz, że pobłądzili i zaprą się przed nami herezji, czeka łagodna kara. Nasza Święta Matka, Ecclesia, jest pełna przebaczenia.

Czekał. Wodził po tłumie płomiennym wzrokiem, zatrzymał się na moment na Dianie, sunął dalej, jeszcze raz wrócił ku niej. Serce łomotało. Jakże szalona byłam, że nie odeszłam z tego miasta, kiedy jeszcze miałam sposobność. Odwrócił od niej wzrok. Jak bardzo jego oczy przypominają Rolanda. To straszne wiedzieć, że ma się za brata przyrodniego podobnego fanatyka.

Hugon kończył.

- Jeśli ktoś z was zna takich, którzy dają posłuchanie heretyckim naukom, popełnia śmiertelny grzech i wielką zbrodnię, nie mówiąc nam o tym. Jeśli nie chcecie teraz przemówić, możecie przyjść do nas na probostwo o każdej godzinie dnia i nocy. Nie musicie stawać twarzą w twarz z tymi, których wskażecie. Choćby w waszych sercach zatliło się najmniejsze podejrzenie, przyjdźcie z nim do nas. Jeśli się pomylicie i wskażecie na niewinnego, Bóg w swojej łaskowości sprawi, iż nie ujdzie to naszym oczom. Lepiej żeby wielu niewinnych, którzy nie mają nic do ukrycia, poddanych było badaniu, niżby jeden winny przენiewierstwa uszedł nam i nadal zatrwał niewinne dusze.

Kiedy Diana wyszła z kościoła, dyszała ciężko, jakby brakło jej od dawna powietrza. Od lat próbowała nauczyć się walczyć ze strachem, ale teraz ogarnęło ją przerażenie. Ludzie spoglądali na nią. Mężczyźni i kobiety zebrani na placu przed kościołem przyglądali się jej tak, jakby przejrzeni ją od pierwszego wejrzenia i odgadli w niej obcą. Ktoś na pewno powie im o mnie. Może nawet ktoś z tych, do których kazałam, by ocalić siebie. Wiedziałam o tym zawsze, czyż nie tak?

Następnego dnia, w poniedziałek, usłyszała gwałtowne łomotanie do drzwi wdowy Alet. Szepcząc modlitwę, poszła otworzyć. Na progu stało trzech zbrojnych ludzi Inkwizycji. Spędziła bezseną, pełną lęku noc, rozmyślając, kiedy po nią przyjdą i teraz spoglądała na nich niemal z ulgą. Pomyślała, że niepewność jest okrutniej sza niż pewna zagłada. Spojrzała uważnie w ich twarze. Nie było w nich ani łagodności, ani okrucieństwa. Zapytali, czy jest tą kobietą, która przybyła do wdowy Alet, i nakazali iść ze sobą. Nie byli ciekawi, kim jest naprawdę. Spełniali tylko swoją powinność, doprowadzając wskazanych ludzi przed oblicze ojców.

Zgodziła się pójść, ale zaprotestowała, gdy powiedzieli, że Alet musi iść także.

- Jest bardzo chora.

- Nie była wczoraj na mszy - powiedział sierżant. - Wszyscy mieli być. Żadnych tłumaczeń.

- To ją może zabić - tłumaczyła Diana, modląc się, by zostawili w spokoju starą kobietę.

- Nakazano nam przyprowadzić was obie, i obie pójdziecie - odpowiedział sierżant, odwracając się plecami dla zakończenia dyskusji.

Szli zatem do centrum miasteczka, Diana na wpeł niosąc Alet. Staruszka była tęga, Diana cała mokra od potu pod swoim szarym, wieśniaczym przebraniem. Ulice były niemal zupełnie wyludnione. Pomyślała, że o tej porze większość ludzi jest na polach otaczających miasteczko, przy stadach albo przy podorywkach. Pracują, zapewne pod okiem żołnierzy Inkwizycji. Nieliczni, którzy ją mijali, udawali, że nic nie widzą. Spojrzała w górę, na złociste słońce południa, na niebo bardziej błękitne, jak się jej zdawało, niż gdziekolwiek na świecie. Po raz ostatni widzę słońce jako wolny człowiek. Ogarnęła ją fala smutku. Wiem, że istnieje świat lepszy od tego, ale ciężko przecież żegnać się z tym.

Dotarli do małego kamiennego domostwa, gdzie mieściła się plebania. Wyszedł im na spotkanie sam proboszcz, tęgi mężczyzna z czerwoną twarzą opoja.

- Prowadźcie tę kobietę na górę - nakazał, spoglądając zimno na Dianę. - Ojcowie chcą ją zaraz przeprobać.

- Alet, nie widziałem cię w kościele od dawna, od lat bodaj. Mamy wiele do pomówienia. - Przemawiał do niej jak do dziecka, ale w tonie jego głosu kryła się

okrutna insynuacja. Wziął staruszkę pod ramię i poprowadził w głąb domu.

Lęk o Alet przesłonił obawy Diany o własny los. Powinna była udzielić jej *consolamentum*. Czy ten ksiądz przekona ją, by zaparła się swojej wiary?

Strażnicy powiedli Dianę na górę, do długiej pustej izby o bielonych ścianach. Za plecami dwóch dominikanów siedzących przy stole wisiał czarny krucyfiks z Chrystusem z kości słoniowej. Mnichom towarzyszyło pięciu młodszych braciszków. Wszyscy siedzący przy stole mieli na sobie białe szaty. Pod ścianami stało sześciu łuczników w czarnych tunikach z czerwonym krzyżem.

Pomyślała, że ci duchowni wiedzą, jak bardzo znienawidzeni są w Langwedocji i czują lęk.

Hugon popatrzył na nią w milczeniu. I ona spojrzała w przenikliwe, błękitne oczy, usiłując odgadnąć, co powie. W końcu uśmiechnął się serdecznie, podciągnął rękawy nieskazitelnie białej szaty i sięgnął po zwój pergaminu.

- Mam tu spisanych wszystkich heretyckich kaznodziejów w hrabstwie Tuluzy, o których wiadomo, że są jeszcze na wolności - powiedział energicznie i niemal ciepło. - Nie traćmy czasu na twoje kłamstwa. Odeślę staruszkę do domu, jeśli zaraz powiesz, kim jesteś.

- Nie będziecie jej więcej niepokoić?

Hugon uśmiechnął się.

- Nie takich jak ona szukamy. Chcemy szczególnych ludzi, których imiona są tu zapisane. Zauważyłem cię wczoraj w kościele, pani. Osobliwie wyglądałaś. Możesz być jedną z nich. Z tych, którzy niosą heretyckie słowo i udzielają sakramentów, którzy ważą się zwać siebie Doskonałymi. Mów, jesteś jedną z nich?

- Jestem jedną z tych, których szukacie - odpowiedziała spokojnie. Słyszała skrzypiące w szalonym pośpiechu pióra skrybów. Z chwilą gdy przemówiła, poczuła, że ogarnia ją ogromna lekkość. Zdziwiło ją to uczucie. Oddanie się w ich ręce oznaczało prawdopodobnie wyrok śmierci, powinna być więc przerażona. A tymczasem czuła ulgę, przyływ nowej, radosnej siły, jakby do tej pory była więźniem i dopiero teraz się uwolniła z okowów.

Po chwili zrozumiała. Ciągła walka, umykanie pogoni i życie w ukryciu, nieustanna czujność, ciągły, dokuczliwy strach - wszystko to wreszcie się skończyło,

nadszedł kres. Podobnie musiał czuć biskup Bertran i inni, gdy poddało się Mont Ségur. Teraz musi już tylko przygotować się na śmierć i oczekiwać jej ze spokojem.

- Czemuś tu została? - zapytał ojciec Gerard. - Musiałaś się domyślać, że nie ominą cię podejrzenia, jesteś obca w mieście.

- Zostałam, żeby pomóc w miarę moich umiejętności chorej kobiecie. Czy pozwolicie jej teraz odejść?

- Czemuś po prostu nie udzieliła jej Sakramentu, nie przycisnęła poduszką i nie uszła z miasta? - zapytał Hugon lekko, jakby bawiła go perspektywa tego rodzaju morderstwa.

Słuchała go z tym samym oburzeniem, z jakim przyjęła kalumnie, które rzucił wczoraj w kościele.

- Wbrew temu, co utrzymujecie, nie uznajemy morderstwa z miłosierdzia. Sami zabijacie nas dość szybko.

- I w połowie nie dość szybko.

Ogarnęło ją obrzydzenie na jadowitość tej uwagi, nie pojmowała takiej nienawiści. Jak długo będą kazali jej tu jeszcze stać? Czego jeszcze chcą od niej? Chcą, żeby przyznała się do tych wszystkich obrzydliwości, o które oskarżano katarów? Może spodziewają się, że powie coś, co zawiedzie ich do innych katarów, do innych karnodziejów? Wiedziała, że za każdym razem, gdy pojmano kogoś z Dobrych Ludzi, mnisi czynili co w ich mocy, by doszukać się powiązań łączących więźnia z innymi.

Wiem niewiele, próbowała dodać sobie otuchy, i nic nie powiem. Mogę jednak dać świadectwo prawdzie. Zadać kłam ich fałszywym wyobrażeniom o Kościele. Kto wie, może jest w tej izbie bodaj jeden człowiek z dość otwartym umysłem, żeby dać mi posłuch.

Nienawiść jaką wzbudzała jej religia, była tajemnicą, która wyznaczyła koleje życia Diany. Zawsze chciała zapytać, dlaczego ci ludzie przyczyniali tyle cierpienia jej i jej siostram i braciom w wierze. Teraz może miała wreszcie okazję rozwiązać zagadkę, jaką byli dla niej prześladowcy jej Kościoła.

- Czemu tak bardzo nas nienawidzicie? Nigdy nie uczyniliśmy nic przeciw wam. Wiecie zapewne, że nikomu nie czynimy krzywdy.

Dwóch mnichów zaśmiało się, jakby usłyszeli dobry żart.

- O tak - odpowiedział Hugon - wiemy, że dobrzy z was ludzie. Uczciwi, ciężko pracujący, żyjący w skromności, co ma być przyganą dla waszych sąsiadów wyznających wiarę Rzymu, czyż nie tak? To wasz pan, Szatan, takimi was uczynił.

Diana osłupiała. Przecież on nie może w to wierzyć.

- Nikomu nie czynicie krzywdy? - zapytał ojciec Gerard. - Ale przed krucjatą przeciw albigenom wasi ludzie odebrali niemal całe południe Francji Kościołowi. Tysiące dusz smaży się w piekle za waszą przyczyną.

Włączył się Hugon.

- Nie myślisz, iż krzywdą jest nauczać ludzi, że nie trzeba im biskupów ani księży, że mogą wymyślać sobie religię podług własnej wygody?

Ich nieprzejednana wrogość była niczym żar idący z olbrzymiego ognia. Mają zamiar spalić mnie żywcem, myślała z rosnącą trwogą, i będą sądzili, że czynią słusznie.

- Wasz gniew budzi to, że owce, któreście paśli, odeszły od stada - odpowiedziała napastliwie.

- Owce, które błądzą, giną od wilczych kłów - natychmiast odparował Hugon.

Bystry ma umysł, pomyślała z niechęcią. Muszę go przejrzeć albo umrzeć, nie wiedząc, czemu idę na śmierć.

- Ludzie nie są owcami. Potrafią myśleć. Czemu się tego lękacie?

Oczy Hugona zwięzły się.

- Dusze, które pobłądziły, wydane są na pastwę szatana. Kiedy ludziom wydaje się, że myślą, diabeł podszeptuje im swoje słowa. Ci, których zwiedliście, jemu dają posłuch, zamiast prawdziwym pasterzom. Obracacie dzieci przeciw rodzicom, żony przeciw mężom, wieśniaków przeciw seniorom, mieszczan przeciw władzy królewskiej. Przez sto lat wasze nauki szerzyły się po całym królestwie, nawet pośród tych, którzy pozostali wierni Rzymowi. Powstajecie przeciw władzy, oddajecie się pogańskiej filozofii, spekulujecie o naturze. Trubadurzy i ich trujące pieśni. Zepsucie sięga tronu królewskiego, a za tym wszystkim wy się kryjecie.

- Nie myślicie chyba, że mamy aż tak potężne wpływy.

- Nie udawaj, pani, niewinnej. Wiem, jaką siecią oplataliście cały kraj. Kilka lat spędziłem w Paryżu dla zbadania sekretnych spisów, które przeniknęły nawet na

dwór królewski. Pomału tworzyłem własną sieć wywiadowców. Wiemy wszystko o studentach, księgarzach, wagabundach i małych grupkach katarów działających wspólnie w samym sercu królestwa.

Paryż! Ten człowiek już wtedy mógł być na jej tropie. Może szczęśliwie, dla Rolanda i reszty, że stamtąd uciekła.

Muszę uważać.

Spojrzała na skrybów, na ich wygolone głowy połyskujące, gdy pochylali się nad pergaminami, pisząc, pisząc. Każde słowo, które wypowie, będzie zapisane, a potem bez końca odczytywane w poszukiwaniu jakiegoś klucza.

Powinnam odwrócić jego myśli od Paryża.

- Nie obchodzi was, czego nauczamy? Myślicie tylko o tym, że możemy przyciągnąć do siebie ludzi, jakżeście powiedzieli, pomniejszając tym bogactwo i władzę Kościoła rzymskiego.

- Wiesz, że wasza nauka jest fałszywa - powiedział Hugon, wzruszając ramionami - i to wystarczy. Kiedy spalimy ostatnią z waszych ksiąg i ostatniego z waszych kaznodziejów, nikt nie będzie pamiętał, czym była wasza wiara. Wasza religia zniknie.

Jego słowa napełniły ją przerażeniem. Jeśli ma rację? Jeśli ci ostatni spłoną na stosie, co po nas zostanie?

Zaczynały ją boleć stopy. Nie usiadła od chwili, kiedy wyszli z domu Alet. Miała ochotę poprosić o stołek, wiedziała jednak, że odmówią, zadowoleni z okazanej przez nią słabości.

Muszę być silna, muszę dać świadectwo wiary.

- Jesteście w wielkim błędzie, ojcze - odpowiedziała ochrypłym głosem. - Nasza wiara nie bierze się z kazań ani z ksiąg.

Światłość mieszka w sercu każdego człowieka. Nawet w waszym, chociaż nie chcecie jej widzieć. Ludzie zawsze będą potrafili wejrzeć w siebie i dojrzeć prawdę, której nauczamy. Zabijcie nas wszystkich, ale i między waszymi ludźmi znajdą się tacy, którzy zwątpią i opuszczą wasz Kościół. To, co wy zwiecie herezją, będzie powracało ciągle na nowo, aż osiągniecie prawdziwą wolność. Nie powstrzymacie wieści i mężczyzn od poszukiwania w sobie prawdy Bożej.

Zdała sobie sprawę, że drży. Przemawia przeze mnie Duch. Ta oznaka łaski przejęła ją lękiem. Dopięłam już po części tego, co zamierzałam. Dałam świadectwo wiary, ale nigdy do końca nie pojmę tych ludzi. Dwóch mnichów patrzyło na nią tak,

jakby przez moment w coś zwątpili. Wreszcie odezwał się Hugon.

- Jesteś obdarzona specjalnym darem, nie jesteś zwykłą katarką, prawda? Powiedz mi swoje imię.

Przez chwilę uczuła radość, wręcz uniesienie. Jej imię, być może ostatnia moneta przetargowa. Tyle rzeczy jest już dla mnie ostatnimi.

- Nie uwolniliście jeszcze wdowy, jakieście przyrzekli.

- Prawda - Hugon skinął na jednego ze zbrojnych - odeślijcie kobietę do domu.

Nie udzieliłam jej *consolamentum*. Umrze i narodzi na nowo w tym świecie pełnym cierpienia. Oby była szczęśliwsza w następnym żywocie.

- A teraz, jakie jest twoje imię? - zapytał Hugo, wyciągając bladą dłoń w zapraszającym geście.

- Diana de Combret, jeśli to dla was ważne.

- Diana de Combret? - Hugon szeroko otworzył oczy, uśmiechnął się, ukazując idealnie białe zęby. - Myślałem, że to możesz być ty.

- Uderzył wskazującym palcem w leżący przed nim zwój pergaminu. - O tak, twoje imię wiele mi mówi - ciągnął dalej z blaskiem w oczach. - Miałem nadzieję natrafić na ciebie już rok temu w Paryżu. Wielka to dla mnie radość, że się w końcu spotkaliśmy. - Wstał nagle. - Kończymy nasze badania tu, w Azille. Bierzymy tę niewiastę ze sobą, nie zwlekając do Béziers. Jeśli się pośpieszymy, będziemy tam w dwa dni.

Ojciec Gerard i skrybowie popatrzyli na niego zaskoczeni. Nie zwracając na nich uwagi, uśmiechał się triumfująco w stronę Diany.

Czy pojmanie mnie oznacza dla niego tak wiele, że nie chce prowadzić tu dalej dochodzenia?

Jakby odgadując jej pytanie, Hugon powiedział: - Chcę, abyś była bezpieczna w murach Béziers, gdyby twoim braciom przyszło na myśl odbić cię. Tam im się to z pewnością nie uda.

Ostry blask poraził jej oczy. Tak długo była zamknięta w ciemnicy w Béziers, że nie mogła teraz znieść światła. Słoma, na której leżała, śmierdziała ludzkimi odchodami, kości bolały od długiej podróży na grzbiecie muła, była wycieńczona z głodu,

nie miała w ustach nic od tego ranka, kiedy ją pojmano.

Zobaczyła w drzwiach Hugona ze świecą w dłoni. Zdjął ją strach. Czy będzie jej zadawał ból? Podciągnęła się i oparła plecami o ścianę. Postawił lichtarz na kamiennym występie i stał naprzeciw niej ze złożonymi dłońmi. Miała tak osłabione oczy, że raziała ją nawet biel jego szaty.

- Jak wydostałaś się z Mont Ségur? - zapytał niespodzianie.

Dyszała, strach zamienił się w trwogę. Czy może coś o tym wiedzieć? Zaczynała rozumieć, że najgorsze dopiero przed nią. Dobry Boże, daj mi siłę. Nie odezwała się ani słowem.

Po chwili powiedział: - Co stało się z majątkiem i świętymi statkami katarów, które były na Mont Ségur?

Znowu zamilczała.

- Gdzie ukryty jest skarb katarów? Gdzie jest naczynie zwane przez niektórych Świętym Graalem, ukradzione przez gnostyków u zarania chrześcijaństwa?

Nie odpowiadała.

- Pani, w lochach tej wieży znajdują się przerażające narzędzia, może je dostrzegłaś, gdy cię tutaj prowadzono. Okaleczą twoje ciało, ale pozostaniesz przy życiu, na wpół oszalała z bólu. Będziesz miała rozszczeplone na włókna kości, powyrywane ze stawów, ciało skłute, obdarte ze skóry.

Usiłowała nie słuchać, ale za każdym słowem czuła przeszywający ból niczym zapowiedź przysłych tortur.

Drżała gwałtownie, ściskając kolana, chcąc ukryć oznaki lęku.

- Nie mniejszego bólu przyczynią ci męki duszy i wstyd, gdy twoje piękne ciało, które zachowywałaś w czystości i skromności, wydam na zabawę bydłom, specjalnie do tego najętym. - Zwilżył wargi. - Szkoda, boś bardzo powabna.

Poczuła, że jeszcze chwila, a dostanie torsji. W gardle urosła ogromna, dławiąca kula, którą jakoś przełknęła.

- Kiedy pošlemy cię na stos, co najpewniej się stanie, można będzie złagodzić karę, ale możesz też piec się powoli. I trzeba będzie wielu godzin, nim umrzesz w takich mękach, że będziesz miotać przekleństwa na tych, którzy nauczyli cię twojej religii.

Usiłowała za wszelką cenę powstrzymać drżenie i nie dać mu poznać jak bardzo się boi. Wiedziała, że on nie przesadza.

- Chcę ci oszczędzić cierpienia, Diano - po raz pierwszy odezwał się do niej tak poufale, a w jego tonie zabrzmiało coś fałszywego.

- Nic wam nie powiem - odpowiedziała łamiącym się głosem.

- Kiedy uciekałeś z Mont Ségur, jak dotarłaś do swojego Starszego w Paryżu?

Znowu się zatrwożyła. Skąd wiedział o tym? Dobry Boże, czyżby i jego pojмали? Chociaż takie modły były próżne w świecie rządzonym przez szatana, modliła się, by życiu jej Starszego - a co ważniejsze jego pracy - nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo.

Jakim sposobem Hugon wiedział tak wiele? Większość tych, z którymi spotykała się w Paryżu, nie znała nawet jej imienia. Trudniej było ukryć wygląd. Jeśli zapisy braci wykazywały, że nie zginęła na Mont Ségur, jeśli wiedzieli, jak wygląda, mogli ją rozpoznać paryscy donosiciele.

- Gdzie spotykałaś się ze swoim Starszym? - zapytał Hugon ponownie.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Jak długo byłaś w Paryżu? Dlaczego wyjechałaś?

- Nie powiem. Podszedł bliżej.

- Gdzie mieszkałaś w Paryżu?

Nie odpowiedziała. Serce biło tak mocno, że wydawało się, iż zaraz pęknie. Byłoby to największym błogosławieństwem.

- Wymienię kilka imion, powiesz mi, czy znasz tych ludzi, pierwszy z nich to Wilhelm Bourdon, księgarz.

Czuła się tak, jakby spadała gdzieś w otchłań. Boże, tylko nie to! Żadnych imion. Co będzie, jeśli rozpozna jakieś z nich? Jak się powstrzyma, by tego nie okazać? Wbiła paznokcie w dłonie, modląc się, by nikogo nie zdradzić.

Nie.

Wyliczał długą listę. Większość imion należała do ludzi, których nie znała, inne, stwierdzała z przerażeniem, należały do członków jej małej kongregacji w Paryżu. Jak się o nich dowiedział? Czy to ta jego sieć donosicieli? Tak, przecież mówił, że omal jej nie dostał.

Ale co robił w Paryżu? Jego teren to przecież Tuluza.

Na każde wymienione imię opowiadała - nie. Przybliżył świecę do jej twarzy, uważnie obserwując reakcję.

Jestem szalona, jeśli myślę, że go przechytrzę. On jest panem sytuacji. Rozpacz ją osłabiała, sprawiała, że uchodziły z niej resztki sił.

Wtedy powiedział: - Roland de Vency, trubadur.

Mimowolnie poderwała głowę i oto patrzyła mu prosto w oczy. Szybko opuściła wzrok, zmuszając się do przybrania zwykłego wyrazu twarzy. On jednak zauważył i gdy spojrziała na niego ponownie, zobaczyła jego triumfalny uśmiech.

Powoli uśmiech zniknął, a w jego miejsce pojawił się inny, niemal bolesny wyraz. Widziała go już na twarzy mężczyzny, Roland nieraz patrzył na nią w ten sposób.

- Jesteś piękną, mądrą, pełną silnej woli kobietą, Diano. Jesteś stworzeniem bożym, nawet jeśli szatan cię opętał dla swoich niecznych zamiarów. Trudno cię nie podziwiać. - Postąpił i usiadł obok niej.

Odsunęła się po załomie ściany.

- Diano, duchowny nie przestaje być mężczyzną, a Doskonała nadal pozostaje niewiastą, he? Wydawało się, że chce się roześmiać, ale usłyszała tylko kilka chrapiących odgłosów. Zobaczyła, że na czoło wystąpił mu pot. Tracił panowanie nad sobą.

- Wiem, że jesteś czysta, Diano. Czyś jednak nigdy nie kochała mężczyzny? Nie pragnęła żadnego? Nie zastanawiałaś się, jak to jest? Musiało tak być. Chcę cię, dlatego, że jesteś taka czysta, taka niepokalana. Pozwolisz mi uczynić, czego pragnę? Pomogę ci, pomyśl o władzy, jaką posiadam. Wystarczy jedno moje słowo, żeby skończyły się twoje cierpienia. Jeśli będziesz dla mnie dobra, może nawet ocalę ci życie.

Jego głos przypominał syk węża. Czują obrzydzenie, mdłości niemal, tak jakby nagle w słomie swojego posłania znalazła gada.

Czemu tak nagle odmienił się jego nastrój? Czy ta żądza drzemała cały czas pod surową maską inkwizytora? Czy też spodziewał się dowiedzieć czegoś więcej, nastając na jej cnotę? Czy miał nadzieję, że złamanie ślubów osłabi ją na tyle, że zdradzi swoją wiarę i wyda przyjaciół?

- Pójdź, Diano - powiedział przymilnie. - Całe życie dla fałszywych przyczyn stroniłaś od mężczyzn. Dla kogoś jak ty odkrycie cielesnych rozkoszy nie będzie wielkim grzechem. Może cię nawet przybliżyć do Boga.

Gniewała ją to kazuistyczne rozumowanie.

- Bóg nie stworzył rozkoszy cielesnych - odparła napominająco.

Wstał.

- Wy, katarowie, grzeszycie przeciwko Bogu, kiedy powiadacie, że ciało jest złem. Dlatego Bóg wybaczy mi to, co z tobą uczynię.

Zdmuchnął świecę.

Boże wspomóż mnie, jeśli ten klecha ma zamiar wziąć mnie przemocą, daj mi siłę, bym się mogła obronić.

- Nawet jeśli myślicie, że błędzę, wiecie, czym są śluby czystości. Uszanujcie je.

- Uszanować heretyckie przysięgi? - dobiegł z ciemności głos pełen pogardy. - Składałaś śluby przed fałszywym bogiem. Mogę uczynić cokolwiek zechcę z przeniawierzynią. Bóg widzi.

- Prawdziwie, twój Bóg nie obruszy się na gwałt - odparła nie zważając, że może go tym jeszcze bardziej rozwścieczyć.

Kiedy rzucił się przed siebie, zrozumiała, że przynajmniej przez chwilę może mu ujść, jeśli będzie cicho. Zapach potu, wina, mięsa, który niósł się od niego, był obrzydliwy, przyprawiał o mdłości. Poczula na twarzy jego spocony, zarosnięty policzek. Pchnął ją na plecy i przygniótł całym ciężarem ciała. Czula na udzie jego narbrzmiały członek. Dyszał jak zwierzę, jak waląca się na nią padlina.

- Brzydę się, obmierzłyś, obleśny! - Wściekłość i ból uciskały żołądek, zaczęła wymiotować na słomę posłania. Odór wymiotów zmieszany z zapachem potu Hugona przyprawił ją o jeszcze gorsze nudności. Szarpał się z jej suknią, usiłował podciągnąć ją do góry, wypychał kolano między jej uda. Kaszłąc, krztusząc się, zaczęła modlić się o siłę dla stawienia mu czoła.

- *Ojcze nasz, któryś jest w niebie...*

- *Milcz, nie bluźnij!*

- *Święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi...*

Próbował zasłonić jej usta, ale wykręciła głowę.

- *Chleba naszego powszedniego daj nam...*

- *Zamknij te przekłete usta!*

- *Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. Nie wódz nas na pokuszenie, ale...* - Chwyliła go za nadgarstki i resztką sił, zwolnniejszy ucisk jego dłoni na gardle, wykrzyknęła: - *...zbaw nas ode złego!*

Jej modlitwa została wysłuchana, poniechał jej nagle. Była wolna, przepelniła ją ulga i wdzięczność do Boga.

- Cóżes mi uczyniła? - w jego głosie była złość i panika.
- Co ja uczyniłam? - powtórzyła jak echo jego pytanie, oszołomiona, trzęsącym się głosem. Drżała cała, oczekując, że zaraz ponowi atak.
- Nic nie uczyniłam - odpowiedziała po chwili.
- Pozbawiłaś mnie męskości - usłyszała wylękniiony głos. - Rzuciłaś na mnie czar, jesteś gorsza niż wszyscy przენiewiercy, jesteś czarownicą.
- Może bardziej wam wstyd, niż myślicie - odpowiedziała szlochając.
- Potwór! Czarownica! Będziesz żałowała, że nie dostałem od ciebie czego chciałem. Wiele przyjdzie ci wycierpieć, wiele więcej niż gdybyś rozwarła uda dla mężczyzny.

Usłyszała, że gramoli się ze słomy i szuka po omacku drogi do drzwi. Ciężkie drewniane odrzwia otworzyły się i zawarły na powrót. Dobiegł zza nich jego głos nawołujący oprawców.

Wstrząsnęła się z grozy i zwinęła w kłębek, usiłując powstrzymać drżenie.

Przyjdą zadawać ból. Boże, pozwól mi umrzeć, zanim powiem to co oni chcą wiedzieć! Nie pozwól mi zdradzić przyjaciół. Nie pozwól zdradzić Rolanda. Pozwól mi umrzeć. Proszę!

Mały Szymon mocno ścisnął dłoń matki. Nicoletta była dumna, że zaczyna już chodzić, przebierając pulchnymi, nagimi nóżkami po posadzkach cytadeli w Béziers. Był ładnym dzieckiem, z kruczoczarnymi włosami i błękitnymi oczami. Ma oczy Gobignonów, myślała, spoglądając na niego.

Uszczęśliwiała Almarya to dziecko, któremu dał na imię Szymon, na pamiątkę Szymona de Montfort, który stanął na czele pierwszej krucjaty przeciwko albigensom.

Był to czas kładzenia spać małego, wzięła więc go na dobranoc, jak stało się to rodzinnym zwyczajem, do komnaty obrad. Kiedy zbliżała się do dębowych drzwi, usłyszała głos Almarya i Hugona. Nie zechcą, by im przerywać. Obróciła się, żeby wrócić na górę, i wtedy usłyszała, jak Hugo mówi:

- Kiedy tylko przyznała, że jest Dianą de Combret, przywiozłem ją tutaj, do Béziers, gdzie możemy jej lepiej strzec. Jest chyba jedyną Doskonałą, która uszła z Mont Ségur. Zastawiliśmy na nią zasadzkę w Paryżu, ale niespodzianie wyjechała z miasta. Na pewien czas straciliśmy ją z oczu, aż doszło do nas, że jakaś kobieta, podobna do niej, naucza w hrabstwie Tuluzy. Co ważniejsze, ona może mieć związki z twoim śmiertelnym wrogiem, Rolandem de Vency, zwanym inaczej Orlandem z Perugii. Kiedy wypowiedziałem przy niej jego imię, wylękała się niczym spłoszona sarna.

Nicoletcie mocniej zabiło serce, mocniej ujęła rączkę Szymona i podkradła się bliżej drzwi.

- Ten człowiek - głos Almaryka grzmiał przez drzwi - mógł jej pomóc ująć z Mont Ségur. Szatan, patrzy od niego szatanem!

- Ta niewiasta de Combret to czarownica - mówił Hugon tak cicho, że Nicoletta musiała dobrze nastawić uszu - wiem to na pewno.

- Czarownica, jakże?

Szymon zaczął się śmiać, tak śmiesznie słyszeć głos taty dochodzący zza drzwi. Nicoletta pociągnęła go i pośpiesznie pobiegła na górę do alkowy seniora, gdzie spali ona, Almaryk i czwórka ich dzieci. Zostawiła Szymona pod opieką siostr i wróciła na dół.

Już z daleka dochodziły ją gniewne, podniesione głosy.

- Nie rozumiesz, że może cię oskarżyć publicznie? - krzyczał Almaryk.

- Dałbyś jej wiarę? - replikował Hugon. - Skazanej heretyczce?

O co oni się wadzą? Roland, czy wie?

- Każdy jej uwierzy! - grzmiał Almaryk.

Ten ton ją zaniepokoił. Krzyki mogą zwabić służbę, która odkryje, że podsłuchuje. Almaryk ciągnął dalej.

- Każdy wie, że duchowni zawsze gotowi są zadzierać sukienki, dlatego ci przekłęci heretycy mają tyłu po swojej stronie. Myślałem żeś ponad to. Jak możesz narząca swoją przyszłość?

- Co to ma do mojej przyszłości? Biskupi, kardynałowie, nawet papieże mają swoje przyjemności z niewiastami. Miałem ich tuziny, od kiedy noszę suknie

duchowne i jestem Wielkim Inkwizytorem Tuluzy.

Hugon nie mógł zlec z Dianą de Combret. Jeśli nie przypuściła Rolanda, nie dozwoliłaby za nic, by on jej dotknął.

Roland... ciągle jeszcze go kocham. Jakżebym mogła inaczej, gdy widzę jego twarz za każdym razem, kiedy spojrzę na Szymona? Jakże mi go sądzić, po tym, co uczyniłam - zabierając mu syna i oddając go Almarykowi jako jego własne dziecko?

A teraz, co będzie, jeśli Hugon odkryje, że Roland uratował Dianę z Mont Ségur i dał jej schronienie w Paryżu?

- Niedługo będziesz Wielkim Inkwizytorem, jeśli twoi dominikańscy superiorzy odkryją, że próbowałeś gwałtem wziąć uwięzioną - mówił Almaryk.

Nicolette poniosła wściekłość, nie mogła powstrzymać gniewnego pomruku. Ale Almaryk powiedział „próbował”, zatem Hugonowi się nie powiodło.

- Nie będziesz nauczał mnie obyczajności - odparł Hugon posępnie.

- Będziesz się stosował do moich nauk, mój panie. Nie zapominaj, że ja jestem głową rodziny.

- Nie sposób, żebym miał o tym zapomnieć, mój panie. - Hugo zdobył się na sarkazm. - Szczęśliwym zrzędzeniem urodzenia wzięłeś tytuł i ziemię, a ja muszę wydeptywać swoje ścieżki w duchownych sukienkach. Mam poniechać swoich cielesnych pożądań, gdy ty masz piękną żonę, z którą zlegasz w łożu, kiedy ochota.

Nicolette ścierpła skóra, kiedy usłyszała, jak Hugo o niej mówi. Odskoczyła gwałtownie na odgłos wymierzanego policzka, który doszedł ją z komnaty.

- Jak śmiesz podnosić rękę na duchownego? - wrzeszczał Hugon.

- Śmiem, bo więcej mam poważania dla stanu duchownego niż ty. Nie waż się nigdy mówić jednym tchem o mojej żonie i twoich brudnych postępkach.

- Nie staję ci przeszkodą w małżeństwie, może nawet znalazłem sposób na człowieka, który to czyni. Obyś nie żałował, żeś tak się ze mną obszedł.

- Jeśli dość w niej było siły, by cię powstrzymać, kiedyś na nią nastawał, znajdzie dość siły, by milczeć na torturach.

- Nie - odparł Hugon. - Użyła czarów. Nie ma jednak ludzkiej istoty, która zdolna jest oprzeć się moim oprawcom. Już zaczęli swoje dzieło. Za kilka godzin będę wiedział wszystko.

- A jeśli nie powie tego na co czekasz?

- Nie sposób. Mamy miesiąc, żeby ją zmóc.

Nicoletcie zrobiło się niedobrze. Almaryk, rozwścieczony na

Hugona za jego niewczesne zapędy, nie miał nic przeciwko torturom.

- Kiedy będziesz odprawiał *sermo generatise* - zapytał.

- Zazwyczaj trzymamy heretyków przez rok, by dać im czas na nawrócenie, ale że niebawem czekają nas awanturnicze przygody pod wodzą naszego szalonego króla, chciałbym skończyć z tymi, których teraz mamy, zanim ruszymy. Oznaczyłem datę, dwudziestego siódmego dnia lipca. Dobra data, jak myślisz?

- Tak, będziemy odpływać zaraz potem, ale co takiego specjalnego jest w tym dniu?

- Tego dnia, Roku Pańskiego tysiąc dwieście dziewiątego Bóg sprawił, że miasto Béziers dostało się w ręce krzyżowców - odpowiedział Hugon w uniesieniu - a nasz ojciec był pośród zwycięzców.

Dwadzieścia tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci wymordowano jednej nocy, pomyślała Nicoletta. Boże, chroń nas przed takimi ludźmi.

- W połowie lipca król i jego wojska powinni już być w Aigues-Mortes - Almaryk raptownie się rozentuzjzmował. - Możemy poprosić go, żeby był obecny przy ostatnim wielkim całopaleniu przed wyruszeniem na krucjatę. Jakże też jego delikatny żołądek zniesie widok tych wszystkich skwierczących w ogniu heretyków?

- Pomyśl, jaki to będzie dla niego ambaras, jeśli Diana de Combret na stosie wskaże w jego spisowym, królewskim protegowanym, swego opiekuna.

Gdybym była mężczyzną, ucięłabym obydwu głowy.

- Pamiętaj - mówił Almaryk - krzyżowiec otrzymuje absolucję za wszystkie popełnione zbrodnie z chwilą, gdy przyjmuje krzyż, a powiadają, że de Vency przyjął krzyż rok temu w Paryżu.

Bogu dzięki, pomyślała Nicoletta.

- To prawda, ale ujawnienie jego zbrodni położy kres królewskim faworom.

- Jakże mnie złości... - usłyszała Nicoletta słowa Almaryka, na które nałożyły się kroki kogoś schodzącego z pierwszego piętra cytadeli. Szybko ruszyła ku schodom prowadzącym do ich komnaty. Raz jeszcze zatrzymała się na zakręcie, chcąc

posłyszeć coś więcej.

Rozległo się pukanie i Guy d'Etampes wypowiedział swoje imię.

Nicoletta zaczęła na schodach, słuchając, co ma do powiedzenia.

- Król ze swoimi wojskami otoczył zamek La Roche-Glun - mówił sire Guy. - Król oskarża pana Otona de la Roche, że napada pielgrzymów i kupców.

- Nawet we własnym zamku baron nie ma bezpiecznego schronienia przed tym wtrącającym nos we wszystko królem - sarknął Almaryk, stając w drzwiach komnaty.

Nicoletta wróciła do alkowy. Dziewczęta spały na swoim posłaniu, Szymon w kołyszce. Rozebrała się, wsunęła do wielkiego łóża, które dzieliła z Almarykiem i zaciągnęła zasłony dające nieco odosobnienia. Bogini, czy uda mi się zasnąć, nim on wróci? Będę musiała udać, że już śpię.

Ta biedna kobieta.

Poczucie winy piekło jak rozżarzone żelazo. Obracała się z boku na bok, szukając wygodnej pozycji. Leżę tu, w miękkim łóżu, a ona tam cierpi wydana na tortury. Czyżby była w tym moja wina? A jeśli opuściła Paryż dlatego, że spotkałam ją w domu Rolanda?

Zawinięta w pościel zaciskała pięści. Ogarniał ją strach, oblewały zimne poty.

Roland też jest w wielkim niebezpieczeństwie. Zanim Diana pójdzie na stos, postrada zmysły. Powie wszystko, czego od niej będą chcieli.

Muszę go ostrzec. Jak? Gdzie oni są teraz? La Roche-Glun, na północ od Valence. Niedługo zbliżą się do mojej ziemi, do Lumel. Mogłabym powiedzieć Almarykowi, że chcę pojechać tam z dziećmi, pożegnać siostry przed podróżą na Wschód. Zostawię u nich Szymona, reszta zamieszka w zamku Gobignon. Bóg jeden wie, co gotowi uczynić nam Turcy w Ziemi Zamorskiej.

Co się ze mną dzieje? Jak mogę myśleć o sobie, kiedy ta nieszczęsna...

Jedno tylko mogę uczynić. Przestrzec Rolanda. Muszę go przestrzec!

* * *

XVIII

*Czeka, rycerze, was zbawienie
kiedy weźmiecie Boga stronę
przeciw Turczyńom i Arabom
co Mu zniewagi przyczyniają.*

Roland śpiewał, stojąc przed swoim czarno-białym namiotem. Na ramiona zarzucił czarną pelerynę, tę samą, którą nosił bez mała trzy lata temu na turnieju śpiewaczym królowej Małgorzaty. Perrin i dziewięciu innych ludzi, których zaciągnął na krucjatę, otoczyło go kręgiem.

Na dźwięk muzyki ludzie poczęli wstawać, zbliżali się ku nim ze wszystkich stron z lekkim brzękiem mieczy i ostróg. Jaskrawą czerwień i błękit kaftanów pokrywał kurz wielotygodniowej powolnej wędrówki. Perrin dął w szałamaję, aż zdawało się, że pękną mu nabrzmiałe, czerwone z wysiłku policzki. Marcin, syn Lucjana i Adriany, walił zadzierzyście w bęben, utrzymując tempo wojennej pieśni. Słuchacze klaszali do taktu.

Roland spojrzął na namioty rozłożone za plecami obozowej publiczności. Tak gęsto usłały wzgórza, że nie widać było trawy, ani krzaków, nic, tylko całe mile namiotowych dachów - białych, czerwonych, purpurowych, pomarańczowych - oświetlonych popołudniowym słońcem. Setki białych proporców z czerwonym krzyżem powiewało na tle głębokiego błękitu nieba. Obozowało tu sześć tysięcy rycerzy i dziesięć tysięcy piechoty. Wielka armia Ludwika zwołana dla oswobodzenia Jeruzalem.

Od trzech dni obozowali pod murami Viviers nad Rodanem. Miesiąc zabrało im dotarcie tutaj z Paryża. Zaczęło się suche, południowe lato i Roland przyglądał się

pyłkom kurzu wirującym w świetle zachodzącego słońca niczym płatki złota.

Jaki ze mnie hipokryta, śpiewam pieśni krzyżowców, żeby zabawić tych ludzi, kiedy myślę, że ta wyprawa jest czymś szaleństwem.

Po tym, jak utraciłem Nicolettę i Dianę, nie mam po co żyć, chyba tylko dla obietnicy danej Ludwikowi, że pójdę z nim na krucjatę. Nie zrywa się obietnic złożonych temu człowiekowi.

*Tym, co idą z królem Ludwikiem,
nie straszne piekielne otchłanie.
Wzlecą ich dusze do raju bram,
gdzie mieszka Chrystus z aniołami.*

Dośpiewał pieśń do końca i skłonił głowę w podzięcie za oklaski. Krzyczano, żeby śpiewał dalej, ale pokręcił głową.

- Jestem dzisiaj utrudzony.

Nie utrudzony, jeno smutny.

Ludzie rozchodzili się. Z cienia wynurzyła się postać w czarnej pelerynie, z twarzą osłoniętą kapturem.

- Rolandzie.

Nie mógł dać wiary własnym uszom. Spojrzał pod kaptur, na owal pięknej twarzy, którą tak bardzo ukochał.

Stojący w pobliżu Perrin wyszeptał: „Na kości Chrystusa!”

Rozejrzał się wokół. Ludzie porozchodzili się już do namiotów. Nikt nie zauważył Nicoletty.

Powtarzał w myślach wiele razy, jak bardzo jej nienawidzi za to, co zrobiła z dzieckiem, teraz jednak nie czuł nienawiści.

- Dlaczego tu jesteś, Nicoletto?

- Przywożę straszne wieści, idzie o twoje życie. Czy będziesz ze mną rozmawiał?

Jak bardzo musiała się bać, że nie będzie chciał jej wysłuchać, że odeśle ją precz.

- Dobry Boże, tak, będę z tobą rozmawiał.

Z jak daleka przybywa, by się z nim zobaczyć? Poprowadził ją z dala od namiotów, pod drzewo oliwki, stojące na skraju jakiegoś sadu, gdzie nie było nikogo.

Pod drzewem odwrócił się i spojrzął na nią uważnie. Czy przybywa, żeby zadać nową ranę?

- Czy dobrze wszystko? - zapytał.

Przytaknęła skwapliwie.

- Nie o mnie idzie, Rolandzie, tylko o Dianę de Combret. Pojmali ją.

Cofnął się o krok, jak trafiony kamieniem.

- Dobry Boże, nie.

A przecież spodziewał się tego.

Kiedy ratowałem ją z Mont Ségur, było to tylko odroczenie wyroku. Wiedziałem o tym od dawna.

- Czy ona... ma umrzeć?

- Gorzej, Rolandzie. Wydali ją na tortury. Torturują ją od tygodni i będą torturowali do dnia, kiedy pójdzie na stos.

Nad głową zamknęła się czarna otchłań. Chwycił się pnia drzewa.

- Dlaczego?

Nicoletta pokręciła głową.

- Wiem, co to dla ciebie, Rolandzie. Dałabym wszystko, żeby nie przynosić ci złych wieści. Hugon i Almaryk chcą z niej siłą dobyć, kto jej pomagał, z kim się zadawała. Zawzięci są bardzo na ciebie, podejrzewają, że byłeś z nią blisko. Almaryk chce cię zniszczyć. Będą ją torturować, dopokąd nie wymówi twojego imienia.

Niežnośny ból w sercu. Walił pięściami w pierś. Cierpi z mojego powodu. Wyratowałem ją od śmierci tylko po to, by zgotować jej śmierć jeszcze gorszą.

- Hugon nastawał nawet na jej cześć.

Jęknął, niezdolny wyrzec słowa.

- Rolandzie, wiesz, do czego są zdolni. W końcu złamie się i wyda cię. Musisz uciekać. Béziars jest niecały tydzień drogi stąd.

Stał tutaj niczym trafione zwierzę, które za chwilę padnie. Dobywał słów ze ściśniętego gardła.

- Czemuś przyjechała? Żeby mi to powiedzieć? - Spojrzała na niego zaskoczona pytaniem. - Nie wiem, nie pomyślałam, dlaczego to czynię. Zdawało mi się, że muszę cię znaleźć i powiedzieć. Wiem, że jest ci droga. Chciałam pomóc.

Przygniatał go ból tak ogromny, że nie wiedział, jakim cudem trzyma się jeszcze na nogach. Jego myśli błądziły wokół obrazów tego, co czyniono z Diany i umykały od nich w popłochu.

Popatrzył na szeregi namiotów krzyżowców rozbite na okolicznych wzgórzach i w sadach. Pomóc? Nic nie możesz uczynić Nicoletto, nikt z nas nie może jej pomóc.

Popatrzył na nią i wspomniał, jak ją zranił tym, że ukrywał przed nią Dianę. Jak się z nią rozstał w Béziers, pełen nienawiści. A teraz pośród obezwładniającej rozpacz błyskała gdzieś iskierka radości, że widzi ją znowu. Ciągle jeszcze ją kocham, a ona zasługuje na znacznie lepszego człowieka niż ja.

- To bardzo zanie z twojej strony, że przebyłaś całą tę drogę, aby przynieść mi wieści, Nicoletto - jęknął. - Ja się do tego wszystkiego przyczyniłem. Kiedy pożegnałem cię w Béziers, myślałem, że Miłość umarła. Umyśliłem sobie zdobyć miłość Diany i tym odstręczyłem ją od siebie. Zostawiła mnie, uszła do Langwedocji, wydana na tortury, umrze.

- Nie wini siebie - wyciągnęła dłoń i poczuł na policzku dotknięcie lekkie niczym muśnięcie skrzydeł motyla. Szybko cofnęła dłoń.

- Pojmali by ją, nawet gdyby została w Paryżu. Hugon mówił, że Inkwizycja wiedziała, gdzie jej szukać, a gdyby ją tam pochwylił, może stałoby się to w twoim domu.

Zacisnęła pięści.

- Oby tak było, cierpiałbym razem z nią, bylibyśmy teraz razem, szczęśliwi na tamtym świecie.

- Przyjechałam, żeby pomóc ci uciec, a nie słuchać o umieraniu.

Spojrzał w jej rozgorączkowane oczy. Ile w niej ognia.

- Przebacz wszystkie krzywdy, Nicoletto. Wiem, że mnie winisz za... Dianę, ale nic nie mogłem zaradzić.

- Nie winię cię - odpowiedziała ze smutkiem. - Jak mogłabym po tym wszystkim, co uczyniłam tobie, naszemu synowi, nawet Almarykowi. Postąpiłaś, jak musiałaś, ja też. Nie przyjechałabym tu do ciebie z Béziers, gdyby moje serce było ci przeciwne. Miłość nami włada i nie możemy odmienić jej nakazów.

Poruszyły go jej słowa. Był za nie wdzięczny. To, że mogli się nadal kochać, było drobnym, ale cennym darem wobec ich trwogi o los Diany.

Myśl o okrutnych rękach, które po nią sięgają, pochłaniających ją płomieniami...

- Nie pozwolę, żeby zgorzała! - powiedział zaciskając pięści.
Nicoletta położyła mu dłoń na ustach.
- Rolandzie, poniechaj myśli o ratowaniu jej. Nie ma sposobu. Almaryk ma w Béziers całą armię pod swoimi rozkazami.
- Miał ją też pod Mont Ségur.
- Nie po to cię szukałam, żebyś gotował się na śmierć. Odejdź stąd teraz do Ziemi Zamorskiej, nim król tam dopłyne. Tam nie dostaną cię inkwizytorzy.
- Nicoletto, Diana jest na torturach, ten wąż Hugon nastawa! na jej cześć. - Wstrząsnął się ze zgrozy na dźwięk własnych słów, niezdolny przez moment mówić dalej, kiedy łkanie wstrząsnęło jego piersią. - Myślisz - mówił dalej po chwili - że odwrócić się i pożegluję za morze?
- Co innego czynić? Nie pomożesz jej, nikt nie zdoła.
Usiłował obmyślić jakiś plan, ale w głowie miał pustkę. Raz ją uratowałem, uratuję drugi, znajdę sposób.
- Almaryk i Hugon tylko na to czekają, żeby i ciebie ująć.
Chwycił się rękami pnia drzewa, opuścił głowę.
- Prędeż umrę, niżbym miał żyć z takim bólem.
- Tak ją miłujesz? - Jej głos dochodził gdzieś z oddali. Obrócił się i ujął ją za ramiona.
- Ciebie miłuję, również za to, że tu do mnie znalazłaś drogę, że cię mogę dotknąć. Ale boli mnie to, że teraz, kiedy wiem, że miłowanie między nami nie umarło i mógłbym z tobą pożeglować do Ziemi Zamorskiej, nie będzie dane mi żyć.
- Musisz żyć - oczy jej błysnęły.
- Nie mogę zostawić Diany, nie ma dla mnie życia, jeśli tak uczynię.
- To tak, jakbyś już teraz poszedł na śmierć - padła mu w ramiona, a on jęknął, bo trzymanie jej w objęciach tylko przyczyniało mu więcej bólu. Odgarnął kaptur i przycisnął wargi do jej czoła.
- Spróbuję jej pomóc, nic innego mi nie pozostaje.
Opuściła ręce na znak rezygnacji.
- Kiedy poprowadzą Dianę na stos, będę tam. Będę tam, żeby opłakiwać was oboje, bo taki będzie koniec. - Odsunęła się o krok i patrzyła na niego z twarzą podobłą i smutną.
- Mówiłaś z Małgorzatą - zapytał - czy król będzie w Béziers na całopaleniu?

- Nie życzy sobie. Małgorzata mówi, że nie chce widzieć osiemdziesięciu bezbronnych istot idących na stos. Powie, że brak mu czasu.

- Nikt temu nie da wiary - uśmiechnął się czule na myśl o Ludwiku. - Miał dość czasu, żeby stawać w drodze z Paryża po dziesięć razy. Ostatnie trzy dni przepędził na odwodzeniu biskupa Viviers od pomysłu bicia własnej monety.

- Przynajmniej oszczędzi sobie widoku twojej śmierci - powiedziała z wyrzutem.

Chciał ją znowu objąć, ale się powstrzymał.

- Przrzeknij mi jedno - poprosił surowo.

- Wszystko.

- Nie bierz chłopca na całopalenie. - Nie mógł się zmusić, żeby wymówić imię „Szymon”.

Roland wszedł z Gwidonem Bruchesi do warzywnika Ubogich Rycerzy od Świątyni Salomona. Znajdowali się na skraju Viviers, pośród murów z gładko ciosanych granitowych bloków, przed komandorią templariuszy, kamienną budowlą o stromym dachu i masywnych, okrągłych wieżach narożnych.

Tego wieczora Gwidon odziany w białe płócienne suknie z czerwonym krzyżem wyglądał bardziej na mnicha niż na wojownika. Położył dłoń na ramieniu Rolanda, prowadząc go wokół stawu z rybami. Dostarczał on codziennej strawy Ubogim Rycerzom, którzy nie jadali mięsa.

- A więc twoja siostra ma zginać na stosie jako heretyczka? - na twarzy Gwidona malowała się troska i współczucie.

- Domyślasz się, że nie jest moją siostrą. - W desperacji, wiedząc, że każda próba ratowania Diany będzie daremna, że nie ma nic do stracenia, Roland postanowił zwierzyć się Bruchesiemu.

- Wiesz, że my, templariusze, służymy papieżowi, temu samemu papieżowi, który ma władzę nad sądami wysyłającymi ludzi na stos. Czemu więc przychodzisz do mnie?

- Bo jesteś moim przyjacielem. Człowiek wierny tylko papieżowi nie uczyniłby tego, coś ty uczynił dla mnie. Nie wiem, z jakiej przyczyny nigdy nie prześladowaliście katarów.

Gwidon mocno ujął go za ramię i obrócił. Stali patrząc na budynek komandorii. Nad drzwiami widniał jeden z tajemniczych symboli zakonu - oko w równoramiennym trójkącie.

- Czego chcesz ode mnie, Rolandzie?

Roland czuł się jak zwierzę w pułapce, które rzuca się na darmo w zamknięciu.

- Nie wiem, myślałem, że ty mi powiesz, co czynić. Chcę iść jej na ratunek, nie proszę o pomoc, nie śmiem tego oczekiwać od ciebie. Muszę... trzeba próbować. - Szukał wsparcia w ciemnych oczach Gwidona.

Od owej nocy, kiedy rozprawili się z bandą włóczęgów, Roland pokochał tego człowieka i zaufał mu. Gwidon niewiele mówił, ale wiele rozumiał. Chociaż, jak wszyscy templariusze, związany ślubami, obdarzony był jakąś wyjątkową szlachetnością ducha. Był, po Perrinie, najbliższym Rolandowi człowiekiem, jedynym w całej Francji, do którego mógł się zwrócić.

Położył dłoń na ramieniu Rolanda i uśmiechnął się smutno.

- Jestem ci wdzięczny, że nie prosisz, żebym poszedł z tobą, bo odmowa byłaby bolesna. Sercem wszak jestem z tobą, wiedz o tym.

Roland westchnął. W głębi serca liczył na to, że Gwidon ofiaruje się z pomocą. Wyobraził sobie, nie wiedzieć czemu, że razem potrafią oswobodzić Dianę.

- Będzie mi zapewne potrzeba wiele srebra.

- Złożyłeś pieniądze ze sprzedaży domu u nas, w Paryżu, jak ci radziłem, czy tak? - dopytywał się Gwidon.

Przytaknął.

- Dobrze, przekonasz się, jacy z nas godni zaufania bankierzy. Dostałeś na nie rewers?

- Tak - odpowiedział Roland, znowu wzdychając.

- Jeśli masz go ze sobą, wystarczy, że go tu okażesz. Dopilnuję, żebyś szybko je dostał, ale trzeba ci będzie znacznie więcej niż tylko srebra. Jak twoje ramię? Możesz unieść miecz?

- Ćwiczyłem, jakś mnie uczył, radzę sobie lewą ręką, ale prawa nie jest lepsza niż u dziesięcioletniego chłopca.

Ciężyła mu nieużyteczna ręka. Niewiele mógł uczynić dla Diany, tyle co próbować przebić pięścią mury tej komandorii. Pograżał się w desperacji.

- Jak ją uratować?

- Nie ma sposobu przyjacielu, wiedz o tym i nie czyn sobie złudzeń. Jeśli chcesz śmierci, to gotuj się na nią z szeroko otwartymi oczami. Ale kiedy już sobie

powiesz, że nie ma nadziei, zapytaj siebie, po co umierać tak głupio?

- Nic innego mi nie pozostaje, pojмали ją z mojej winy. Muszę iść.

- Mówiłem ci wiele razy, że my templariusze ustępujemy pola, zawsze gdy przeciwko nam staje więcej niż trzech na jednego, w Béziers będziesz miał przeciwko sobie tysiące. To nie wstyd odstąpić. Pytasz o radę, to najlepsza rada, jaką mogę ci dać. Jeśli pójdziesz, pójdziesz na pewną śmierć.

Roland potrząsnął głową. Jakże nie wstyd odstąpić? Cóż do tego ma wstyd i honor.

Wyobraził sobie izbę tortur, wpatrujące się w niego zielone oczy Diany. Wzywała go z oddali, którą przebyła właśnie Nicoletta. Opuścić ją? Prędzej umrzeć, niż tak postąpić.

- Nie ma dla mnie innej drogi. Rozumiesz to?

Gwidon mocno uściskał dłoń Rolanda, w jego oczach było głębokie współczucie. Bez słów oddał uścisk. Święty Michale, jakże dobrze mieć takiego przyjaciela.

- Rozumiem cię, Rolandzie. Niech cię łaska boska nie opuszcza.

Kiedy Roland powrócił do swojego miejsca obozowania, zobaczył, że Perrin zwinął już namiot i objuczył konia. Osiodłał Regibeta, ciemnego kasztana, wytrzymałego i szybszego od Alezana.

Perrin stał obok, przy nim trzech innych ludzi Rolanda. Dwóch z nich należało do Wściekłych Psów odwiedzających Wilhelma Księgarza. Trzecim był mały Martin.

- Mamy swoje konie i pięć luzaków gotowych do drogi, panie - zameldował Perrin. - Reszta ludzi pojedzie z całym dobytkiem prosto do Aigues-Mortes, a my musimy się śpieszyć, żeby w sześć dni być w Béziers.

Poczuł w gardle jakby ciężką metalową kulę. Nigdy nie kochał Perrina równie mocno jak w tej chwili.

Nie mogę przecież poprowadzić ich ze sobą na pewną śmierć. Spojrzał na Marcina, tak drobnego, że jego miecz niemal ciągnął się po ziemi. Rodzice zamartwiają się pewnie o niego. Nie mogę im tego uczynić.

- Wiecie, dokąd jedziemy?
- Z tobą, panie - odpowiedział Perrin z całym przekonaniem.

Wdzięczność mieszała się z poczuciem winy. Tych czterech poczciwców stanie przeciw armii Almaryka i Inkwizycji przez wierność dla mnie. Nie zasługuję na to.

- Jakaście się dowiedzieli o Béziers? - Starał się, aby jego głos brzmiał zdecydowanie.

- Hrabina powiedziała mi wszystko, kiedy byłeś u templariuszy, panie. - Głos Perrina był pewny, a spojrzenie pełne spokoju. - Zanim odjechała, nakazała mi opiekować się tobą.

- Sire Gwidon powiedział mi właśnie, że jadę do Béziers, na pewną śmierć.
- Człowiek nie zna przyszłości, nawet kiedy jest templariuszem. Jedziesz wszak, panie, pomimo tego, co ci rzekł, czyż nie tak?

- Prawda.
- Zatem jedziemy i my.

Roland ciepło spoglądał w oczy Perrina. Nie może na to pozwolić. Doprowadziłem Dianę do tego, że szukała śmierci w Langwedocji i teraz sam muszę umrzeć, ale czy i oni muszą zginąć z mojego powodu?

- Nakazuję wam zostać i tutaj czekać mojego powrotu.
- To się na nic nie zda. - Perrin pokręcił głową. - Wszyscy przyrzekliśmy ci wierność. Jesteśmy twoimi ludźmi i nic tego nie odmieni, nawet twój rozkaz.

W poczuciu bezsilności, w trwodze o Dianę, w żalu nad ponowną utratą odnalezioną Nicoletty, Roland czuł, że opuszczają go siły. Nie był w stanie walczyć z Perrinem.

Niechże ze mną jadą, poszukam sposobu, by się jakoś ich pozbyć, nim przyjdzie koniec.

Odwrócił twarz, próbując ukryć łzy. Bogu niech będą dzięki za takich ludzi.

* * *

XIX

Roland siedział na posłaniu, na którym spędził bezsennie ostatnie kilka godzin. Hałasy dochodzące z zatłoczonego placu dudniły mu w uszach. Za oknem, przez które czterech jego towarzyszy wyglądało posępnie na zewnątrz, widział błękitne, pogodne niebo.

Diana miała umrzeć dzisiaj, a on pewnie z nią. Czuł się tak, jakby ktoś go spętał żelaznymi łańcuchami.

Wstał jednak, zaczął się myć, potem ubierać.

Z pomocą Gotiera i Horacego, byłych Wściekłych Psów, nałożył kolczugę, specjalnie zrobioną tak, by pasowała na kalekie ramię. Na wierzch wdział czarny surkot ze srebrnym gryfem. Marcin podał mu brązowy medalion przedstawiający Apollina, który wiele lat temu podarował mu cesarz Fryderyk. Nałożył na szyję srebrny łańcuch. Ostatnio nosił go na turnieju śpiewaczym królowej Małgorzaty, pomyślał.

- Podaj mi miecz.

Perrin w milczeniu sięgnął po pas, u którego w prostej pochwie tkwił miecz sposobny do walki jedną ręką, i podał go swojemu panu.

Zdjęty smutkiem i przygnębieniem Roland poruszał się ociężale, powoli.

Pomyślał, że Diana może już nie żyje, że jego pojawienie się na placu pójdzie na marne, a ona nigdy się nie dowie, że próbował ją ratować.

Czterech ludzi, którzy mu towarzyszyli, zachowywało milczenie. Żaden z nich nie usiłował go już odwieść od jego zamiaru pojawienia się w pełnym rynsztunku na placu miejskim, na którym wszyscy mieli oczekiwać egzekucji. Chciał przedrzeć się przez tłum i kordon straży, porwać Dianę i ujechać z nią, nim ktokolwiek pojmie, co

się dzieje. Nakazał Perrinowi i pozostałym wymknąć się z miasta i zdobyć Łódź, z którą mieli na niego czekać na brzegu rzeki. Wierzył, że jeśli wykonają jego polecenie, plan może się powieść.

Wiedział równie dobrze jak oni, że łucznicy de Gobignona mogą go dostać, nim dotrze na środek placu, udawali jednak wzajemnie przed sobą, że plan jest wyborny. Był im wdzięczny za tę ostatnią przysługę, jaką mu wyświadczali.

Wziął z rąk Horacego szyszak i wcisnął na głowę. Zdawał się ciężki niczym sto kamieni. Nakładam go po raz ostatni. Wszystko dzieje się dzisiaj po raz ostatni.

Szkoda, że nie zostawię po sobie żadnego wiersza, żadnych pięknych strof, które ktoś mógłby śpiewać po mojej śmierci, które czytałaby Nicoletta, by pokazać je kiedyś naszemu synowi, gdy dorośnie i kiedy mu o mnie opowie. „Oto, jakim człowiekiem był twój ojciec”.

Moim wierszem będzie wjazd na plac miejski. Może jakiś inny trubadur napisze o tym pieśń, nową *Pieśń o Rolandzie*.

Ciekawym, jak daleko uda mi się dotrzeć. Święty Michale, w tłumie będą kobiety i dzieci, obym nie stratował nikogo z nich.

Może dostanę któregoś ze straży de Gobignona, położę jednym ciosem miecza, sprostam im nawet lewą ręką, byle nie wypatrzyli mnie od razu i nie rzucili się z kopiami na Regibeta. Trzeba, bym dostał się do stosu, nim pojną, co robię i zaczynają szyc z luków.

Nicoletta zobaczy, jak umieram. Dlaczego i ona musi przejść przez to piekło? Dobry Boże, oszczędź jej tego.

Święty Michale, czyżbym płakał? Tu, przy moich ludziach, kiedy chcę uchodzić za rycerza dzielnie idącego na śmierć? Nie przystoi taka rzecz. Niech mówią, że godnie umierałem. Niechże mam swój nikły udział w sławie.

Wysłuchiwał się w odgłosy dochodzące z placu, śmiechy mężczyzn, nawoływania pozdrawiających się wzajemnie kobiet, krzyki podnieconej dzieciarni. Muszą być tam setki ludzi.

Usłyszał ponurą fanfarę trąbek i powolne uderzenia bębnow. Umówili się, że na ten sygnał Perrin zejdzie na podwórze zajazdu przygotować konia. Rolandowi szybko zabili serce. Nie czuł jednak strachu, tylko ogromny smutek i ulgę, że wreszcie zaczyna działać.

- Perrinie, gotuj Regibeta.

Perrin wyszedł, a Roland i reszta wyjrzeni na taras, z którego znakomity widok na plac kosztował go tyle srebra. Mrużąc oczy przed ostrym światłem słonecznym, które odbijało się od bielonych ścian dookólnych domów, pomyślał, że dochodzi południe, godzina tercji. Wkrótce zaczną. Spiętrzona masa smołowanego drewna, otoczona skleconym naprędce ogrodzeniem, zajmowała duży kwadrat na środku placu. A więc jak na Mont Ségur, pomyślał Roland, pragnąc, by ten widok okazał się złudzeniem. Drewno ułożono w szereg stosów. Z końca placu, gdzieś zza stosów, unosił się gęsty, czarny dym. To tam oprawcy zapalą swoje pochodnie. Roland zaciśnął wargi.

Widział ludzi cisnących się z trzech stron placu, ich głosy dudniły mu w uszach niczym grzmot wodospadu. Kto przychodzi na takie widowiska? Większość z nich nie pochodziła zapewne z Langwedocji. Jak mówił mu gospodarz zajazdu, który sam urodził się w hrabstwie Gobignon, tysiące pospólstwa z północy szło za swoimi włodarzami, brali ziemię po wywłaszczonych i wymordowanych południowcach. W szczególnie sposób tyczyło to Béziers, gdzie krzyżowcy dokonali masakry na miejscowej ludności.

Widział, że w tłumie przeważały całe rodziny, z dziećmi dźwiganymi przez ojców na plecach, by mogły lepiej widzieć. Większość ludzi z tej cizby odziana była w szare albo brązowe suknie biedoty i tylko gdzieś tam zakwitła jaskrawa czerwień lub błękit szat zamożniejszych dam i panów. Wędrował wzrokiem po obrzeżach placu, gdzie w otwartych kramach sklepikarze zdawali się robić przedni interes. Za grosze popisywali się żonglerzy, akrobaci, śpiewacy, połykacze ognia. W rogu placu dojrzał mężczyznę balansującego na linie rozpiętej między dachami domów, widział wesoło powiewające zielono-żółte proporce, gdzieś dostrzegł nawet tańczącego niedźwiedzia.

Sprawie im widowisko, jakiego nie przeczuwają, pomyślał, rozpaczliwie zaciskając dłoń na rękojeści miecza. Lękał się, że może zranić niewinnych ludzi stłoczonych na placu. Teraz, gdy widział ich radosne uniesienie, przestał o nich dbać. Niechże Regibet roztrzaskuje im czaszki.

Oczy poraził blask stali, przyglądał się podwójnemu szeregowi mężczyzn w błyszczących hełmach i purpurowo-żółtych kaftanach.

Uzbrojeni w długie kopie otoczyli stopy ustawione na środku placu. Wiedział, że jeśli zbliży się za bardzo, te same kopie rozprują brzuch jego konia.

Patrzył na kościół Świętej Magdaleny po przeciwnej stronie placu, starą kamienną budowlę z portalami o półokrągłych łukach i galerią z blankami. Położony blisko muru miejskiego sąsiedował z dwoma piaskowożółtymi wieżami strażniczymi; w którejś z nich powinna być Diana.

Czy uległa na torturach, wyjawiała, że on ją uratował i chronił? Gorąco pragnął, żeby tak było, chciał, by powiedziała im wszystko. Może zaprzestaliby wtedy swoich praktyk. Nie miało już żadnego znaczenia, czy coś o nim wiedzą, nie pożyje przecież na tyle długo, by dać się im pojmać.

Na schodach kościoła widział łuczników, z łukami o napiętych cięciwach, gotowych do strzału. To ci, co mają chronić możnych tego świata, którzy przybędą oglądać egzekucję. Zawsze może się zdarzyć, że w taki dzień jakiś syn Langwedocji poważy się na szalony czyn.

Obserwował możnowładców zajmujących miejsca przed portalem kościoła, dojrzał trzech biskupów w purpurze i złocie, ze złotymi krzyżami na piersiach, w wysadzanych drogimi kamieniami mitrach, dzierżących złote pastorały, znaki ich oficjum, w upierścienionych dłoniach. Pomyślał cierpko, że jeśli bogactwo ma być znakiem wiary, to aż nadto zaświadcza o prawdziwości ich wiary. Obok biskupów stali sztywno bracia dominikanie w białych habitach i czarnych płaszczach.

W szczupłym, przystojnym człowieku z okalającym tonsure pierścieniem blond włosów rozpoznał Hugona, oprawcę i gwałciciela. Jakże chciałbym rozplatać tę wygoloną czaszkę mieczem. Jaka by to była satysfakcja, być wysłannikiem śmierci!

Zaskoczony dojrzał grupkę odzianych na biało templariuszy wstępujących po schodach kościoła, by przyłączyć się do biskupów. Dwóch z nich jak Gwidon nosiło długie, czarne brody. Ucałowawszy biskupie pierścienie, zajęli miejsca przy bocznym portalu.

Nawet oni. Poczul się tak, jakby został zdradzony. Wszyscy plamią się tą samą zbrodnią.

Bogu dzięki, że nie ma tu Ludwika.

Scena na placu przepelniała go uczuciem goryczy. Tyle zachodu i ceremonii dla dokonania masowego morderstwa. Widzowie wyczekiwali jego początku z wyraźną przyjemnością.

Niech wjadę tam pomiędzy te wieprze, niechże mnie zabiją. Do diabła, z takim żywotem. Nie ma nadziei, żadnej nadziei.

- Cóż - odezwał się do stojącej obok niego trójki - może katarowie mają rację, że ten świat naprawdę jest tworem złego boga.

Mały Marcin przytaknął: - Oni mają rację.

Odwrócił się i spojrzał na chłopca. Jakże dziwnie to brzmi w jego ustach. Czy Diana miała na niego aż taki wpływ?

Jego wzrok przyciągnął teraz błysk srebrnych koron i purpurowych peleryn. Almaryk de Gobignon i Nicoletta weszli po schodach kościoła i zajęli miejsca obok biskupów. Na jej widok serce Rolanda stopniało. Czy pewnego dnia opowie o mnie chłopcu?

Z jaką przyjemnością Almaryk będzie oglądał moją śmierć.

Nie pomogę Dianie, przyczynię mąk Nicoletcie, rozkoszy Almarykowi i Hugonowi. Co ja czynię?

Na moment muzyka ustała, po czym pół tuzina bębnów podjęło na nowo ponury, monotony, żalobny rytm.

Ze swojego miejsca mógł widzieć jedną z uliczek za kościołem, prowadzącą do wieży miejskiej. Dojrzał otwierające się drzwi i wychodzącą z nich grupkę ludzi w wysokich, stożkowatych papierowych czapach, nałożonych w prześmiewczym geście skazanym heretykom. Czuł rozrywający ból w piersi, wiedział jednak, że najgorsze dopiero nadejdzie. Starał się panować nad sobą.

Prowadzona ulicą za kościołem przez śpiewających mnichów niosących wielki krzyż posuwała się długa procesja idących dwójkami kacerzy. Skazańcom towarzyszyli łucznicy i włócznicy w purpurowo-błękitnych barwach Gobignonów. Każdy ze skazanych niósł w dłoni zapaloną świecę, nie mieli na sobie nic poza papierowymi czapami i cienkimi białymi szatami. Wygolono im głowy i Roland nie potrafił odróżnić kobiet od mężczyzn. Wypatrywał wśród nich Diany, pragnąc i lękając się ją ujrzeć.

Pierwszy ze skazanych zniknął za stosem, po czym kolejno, popychani przez strażę, wszyscy zaczęli wspinać się po drabinach na miejsce kaźni. Trzech oprawców

ubranych w czerwone kaptury i tuniki zaczęło wiązać ich do pali.

Wtedy dojrzał Dianę.

Zrobiło mu się zimno, jakby cała krew odpłynęła z żył.

Po jej rudych włosach nie zostało śladu, ale nie mógł nie rozpoznać kształtnej głowy i szczupłej, wysokiej sylwetki. Dwóch ze straży wciągało ją na stos, tak jakby nie mogła poruszać się o własnych siłach. Stopy szurały po podłożu. Słodki Jezu, ma przetrącone nogi! Nie może zupełnie poruszać członkami.

Ciche łkanie dobyło się z zaciśniętych ust. Tylko zagryzając do krwi wargi, mógł powstrzymać krzyk, oczy przesłoniła czarna zasłona. Zatoczył się i przytrzymał balustrady, by nie upaść.

Odwrócili ją plecami do Rolanda, twarzą w stronę kościoła, przywiązali ręce do drewnianego pala, potem skrępowali sznurami całe ciało. Osunęła się nieco, jakby była zemdlona. Tył koszuli splamiony był krwią.

Roland chciał wznieść sięgający niebios jęk. Ból całopalenia żywcem nie mógł być większy, niż widok tego, co pozostało z ukochanej niegdyś kobiety.

- Boże - szeptał, a łzy spływały mu po policzkach - Boże, Boże. Moja słodka, szlachetna Dian, jak oni mogli ci coś takiego zrobić?

Skrzył twarz w dłoniach i zaszczołał. Gdyby zostawił ją na Mont Ségur, nie musiałyby cierpieć tego wszystkiego.

Czy pobiłbym, że ją ratowałem?

Jeśli tak, niech moja śmierć będzie za to odkupieniem.

Wszystko było przesądzone. Po tym, co zobaczył, życie nie było nic warte. Pozostała tylko jedna droga. Umrzeć, umrzeć w walce, jeśli możliwe, z mieczem w ręku.

- Czas na mnie - zwrócił się do swoich towarzyszy.

- Tak, panie.

Chciał coś powiedzieć, zostawić im ostatnie słowo.

- Jesteście młodzi... - zaczął łamiącym się głosem.

- Tak, panie. - Cała trójka płakała.

- Nie zostawajcie w nienawiści do świata. Nie myślałem tego, com o nim powiedział. Cokolwiek się dzisiaj wydarzy, wierzę, że świat jest piękny i że jego Stwórcą jest Bóg Miłości.

Nic nie odpowiedzieli.

Do izby wszedł Perrin, twarz miał wilgotną od łez. W rękę trzymał postronek.

- Czy koń gotów?

- Wybacz mi, panie. - Mocne ręce pochwyciły Rolanda, Perrin zarzucił mu sznur na ramiona. Marcin zdjął mu z głowy hełm i odłożył na łóżko.

Przez chwilę Roland był zbyt zaskoczony, żeby wykonać jakikolwiek ruch. Kiedy trochę ochłonął i zaczął się mocować, był już skrepowany.

- Perrinie, na Boga, nie z twojej ręki!

Perrin odstąpił kilka kroków, Gotier i Horacy nadal go trzymali, chociaż mocne więzy czyniły go bezwolnym.

- Nie ma w tym zdrady, panie, robię, co nakazała pani Diana.

- Nie mogłeś z nią mówić.

- Kiedy opuszczała nasz paryski dom, miała ze mną ostatnią rozmowę. Wiedziała, że jeśli wróci do Langwedocji, nie minie wiele czasu, a dostanie się w ręce Inkwizycji. Powiedziała, że choć ją raz już ratowaliście i będziecie pewnie próbować znowu, wie, że pisana jej męczeńska śmierć. Próżne wszelkie starania. Zrozumcie, panie, jej nie trzeba ratunku, a jeszcze mniej ofiary z waszego życia. Nie postajemy przeciw tobie i gdyby była jaka nadzieja, że ci się dziś powiedzie, poszlibyśmy z tobą na plac miejski - choćby i przyszło umrzeć. Kiedym zobaczył, że nie ma żadnej, zrozumiałem, że trza uszanować, co pani nakazała.

Roland słyszał, co Perrin mówi, ale nie rozumiał nic z jego słów. Rozpacz zamieniła się we wściekłość tak potężną, że zdawało się, iż za chwilę rozerwie krępujące go sznury. Szarpał się z całych sił, więzy wpijały się w mięśnie ramion i paliły nadgarstki. Nie czuł prawie bólu. Tam umierała Diana. Czuł rozpaczliwą potrzebę wydostania się stąd i przedarcia do niej. Czemu ci szaleńcy go powstrzymują?

- Perrinie, niech cię Bóg przeklnie. Pozwól mi pójść! Jak mogłeś mnie tak zdradzić?

- Pojmuję, panie, twoją nienawiść i jakoś ją ścierpię. Kocham was i kocham panią Dianę, a dzięki temu, czego mnie nauczyła, myślę, że jest od was mocniejsza w rozumie. Ona chce zgorzeć. Dla niej, jak dla mnie, życie jest cierpieniem. Powia-
dała do mnie, że czas, który przeżyła po Mont Ségur, jest niby pożyczony od Boga i

trzeba będzie go oddać. Teraz go splanca z lichwą. A jeśli o was idzie, to miała w sobie taką wiarę, że nie czas wam umierać, póki nie schodzicie wielu dalekich dróg, nie wypełnicie wielkich przeznaczeń i nie zaznacie w końcu pokoju. Było jej życzeniem byście byli pomocni królowi i zeszedli się na powrót z panią Nicoletta. Takie było jej ostatnie posłanie, które wam miałem powtórzyć, kiedy nadejdzie straszny dzień. Pani Diana zwyciężyła. Nie złamali jej ducha. Dzisiaj jest dzień jej wiktorii.

Roland rzucał się jak człowiek w ciężkiej chorobie. Pierś niemal rozsadała sznurzy, oddychał z trudem.

- Nie wybaczę ci nigdy, Perrinie - wydyszał - od dzisiaj nie jesteś już ze mną.
 - Tegom się spodziewał - odpowiedział Perrin, ocierając oczy, z których lzy ciekły strumieniem - ale gdybym uczynił co innego, niż uczyniłem, nie wybaczyłbym sobie. - Spojrzał w stronę wyjścia na taras. - Wkrótce będzie koniec. Nie jest w naszej mocy cokolwiek uczynić. Nic dobrego nie przyjdzie z tego, że widzielibyście, jak kona nasza dobra pani. Oni zniszczą tylko jej ciało, duch będzie żył i na zawsze zostanie z wami. Odejdziemy stąd w pokoju i bez oglądania za się.

- Nie. Jeśli nie mogę zginąć, walcząc za nią, dozwól bodaj, żebym z nią razem cierpiał. Niech będzie choć jeden człowiek w tej ciżbie, który ją miłuje. Ona pewnie nawet wiedzieć nie będzie, że tu jestem, ale to muszę dla niej uczynić. Weźcie mnie tam.

Serce mu krwawiło, miał wrażenie, że za chwilę postrada zmysły, ale jeśli nie dana mu śmierć, to musi bodaj widzieć wszystko na własne oczy. Tak zrobił pod Mont Ségur, chociaż tamta męka nijak się miała do tego, co czuł teraz. Bliscy mu byli wszyscy tamci, ale tę jedną tu kobietę przecież kochał. Uczyni to dla niej i niech ten widok na zawsze zatrzyma bicie jego serca.

- Uwolnimy cię, panie, jeśli dasz słowo, że nam nie umkniesz.
- Nie dam słowa na nic. Nigdy ci już nie dam mego słowa.
- Niech więc będzie, jak jest - westchnął Perrin.

Wyprowadzili go na taras, skąd mógł widzieć Dianę. Zaczęło się długie *sermo generalis*.

Dianie wróciła świadomość na dźwięk zgiełku setek głosów. Ten blask oślepiającego światła... Coś utrzymywało ją w pozycji pionowej, chociaż nie stała o własnych

siłach. Sznury. A więc była skrępowana powrozami. Wpijały się w zmaltretowane ciało, raniły ramiona, tułów, uda.

Pojęła, że te same sznury oszczędzały jej bólu, wiążąc mocno do pala, tak że ciężar ciała nie musiał spoczywać na poprzetrącanych nogach. Wszystko było zamglone. Zrobili coś z jej prawym okiem, nie pamiętała co, i zaślepło. Trzymali ją tak długo w zupełnych ciemnościach, że lewe oko bolało teraz oślepienie światłem i nie widziało nic poza niewyraźnymi zarysami kształtów.

Pamiętam już, jak się tu dostałam. Nieśli mnie z wieży na ten stos drewna. Ktoś zaczął ciągnąć mnie w górę, czułam ból - i to wszystko. Musiałam znowu zemdleć. Od dawna już nie było chwili przytomności, od tygodni chyba.

Zaczęła widzieć nieco wyraźniej. Naprzeciw niej byli jacyś ludzie siedzący w krzesłach przed wejściem do kościoła. Błysk klejnotów, złota i jaskrawość szat razila oko. Powyżej kościoła jakaś czerwona stożkowata masa, dach jednej z wież miejskich. Tylko z ogromnym trudem mogła unosić głowę. Od jak dawna nie jadła?

Przypomniała sobie tortury i własne zaskoczenie, że ból, choć tak straszny, że zawsze jeszcze może być gorszy. Nawet teraz wszystko ją bolało. Ale nie, teraz już prawie nie czuła nic.

Bogu niech będą dzięki, że wkrótce nie będę między żywymi. Nawet gdyby nie zrobili mi już nic złego, to i tak niewiele trzeba by czasu, żebym wyzionęła ducha. Mojego ciała na pewno nikt nie zdołałby uleczyć.

Jeszcze jeden dzień bólu, a postradałabym zmysły.

Panie, dopuść szybką śmierć i dozwól, aby moje ciało połączyło się z Wiekuistą Światłością niczym kropla, która znika w morzu. Przyjmij mnie do siebie. Wiem, że zgrzeszyłam przeciw Tobie myślą o Rolandzie, tamtego dnia w Paryżu, ale niech nie będę za to potępiona, kiedy stanę przed Tobą.

Co to za muzyka? Czy naprawdę gra muzyka?

Dobry Boże, przebacz mi, że kochałam Rolanda i pozwól, żeby był stąd jak najdalej i żeby niczego nie był świadom, dopóki nie stanie się koniec.

Jaki to cud sprawił, że nie wydałam jego imienia, że wiedziałam, że więcej zdzierzę, a kiedy i to przyszło, że jeszcze przetrzymam.

Kiedy pomyślałam po raz pierwszy, że wszystko mi jedno, co ze mną czynią, jaką część ciała kaleczą i męczą? To tylko moje ciało. Tego, czym jestem, ani płomienie, ani tortury nie dosięgną. Moja śmierć jest ich klęską. Ogień wypali dziś wszystką nieczystość, która jest we mnie, i nic nie zostanie prócz Światłości.

Usłyszała jakiś głos śpiewający pieśń. Był to stary hymn katarski, którego słowa dobrze знаła:

*Z Bogom ja i ze Światłości,
Ode niech wygnanym,
Dzieckiem Bożym zrodzon,
Na poznanie bólu wydanym.*

Kto śpiewa? Jak to pięknie brzmi.

Po chwili pojęła, że to ona śpiewa. Nie wiedziała, czy na głos, czy tylko w myślach.

Nagle znalazła się w miejscu i czasie, gdzie wszelki ból ustąpił, przejrzała na obójce oczu. Zrozumiała, że zagłębiła się w pamięci. Była w oświetlonej świecami izbie o pobielanych, kamiennych ścianach. Przed nią przy stole siedział Hugon de Gobi-gnon. Jak zawsze, na stole rozłożone były księgi i zwoje pergaminu. Na ścianie biała figura Jezusa na czarnym krucyfiksie. Hugon gestem odesłał strażników, którzy ją przyprowadzili.

- Cierpisz od tygodni - powiedział.
- Nie wiem, jak długo.
- Będzie to trwało tak długo, jak nakażę.

Zmęczonym głosem, wdzięczna jednak za tę chwilę spokojnej rozmowy, odpowiedziała: - Jestem waszym więźniem i możecie czynić ze mną wszystko, co zapragniecie. Uniósł palec.

- To nieprawda. Masz nade mną władzę. Przyznaję to. Możesz położyć kres torturom. Wiesz jak.

- Nie wiem.
- Zdejmij ze mnie zakłęcie - odwrócił twarz w bok - przywróć mi męskość. Czy on rzeczywiście wierzy, że użyła magii, kiedy próbował ją zgwałcić?

- To nie moje zaklęcie. Jeśli nie możecie wrócić do - zawahała się nieco zakłopotana - męskiego stanu, to dlatego że uwierzyliście, iż to niemożliwe. Ja nic nie uczyniłam, to w waszej głowie powstała ta imaginacja.

Na jego twarzy malował się wyraz męki.

- Próbowałem różnych medykamentów. Gdyby bracia wiedzieli o alchemikach i pogańskich medykach, u których szukałem rady, sam zgotowałbym sobie wyrok za herezję. Kładłem się z pięcioma różnymi niewiastami, z którymi wcześniej miło czas przepędzałem, ale zaklęcie działa.

- Ja nic nie poradzę.

- Jesteś czarownicą, masz znamiona: zielone oczy i rude włosy. Toś ty to sprawiła i tylko ty możesz odwrócić. Nakazę koniec tortur, nie zapytam już o de Vency'ego, uchronię cię nawet przed zgubą na stosie, jeno... pomóż. Proszę.

- Samiście to sobie uczynili i sami musicie sobie dopomóc.

Walnął pięścią w stół.

- Czarownica! Będiesz za to cierpieć, cierpieć a cierpieć. Będę cię torturował, a jeśli trzeba będzie, zachowam przy życiu, póki nie ulecysz. - Wstał i zawołał strażę.

Znowu będą zadawali jej ból. Zaczęła szlochać i jęczeć ze strachu.

- Nie, nie, proszę.

Zabrali ją.

Własny krzyk przywołał ją do rzeczywistości. Znowu była na stosie przywiązana do pala.

Czemu nie wspominam Rolanda zamiast tego straszego klechy?

Jakaś niewyraźna postać w czerni i bieli wystąpiła przed środkowy portal kościoła i zaczęła kazać.

Widok zakonnych sukien zdjął ją nagłym przerażeniem. Czy znowu będą mnie torturować? Nie, nie zniosę już więcej. Lękam się tak bardzo, że powiem wszystko, czego tylko zażądam.

Roland heretykiem? Tak, tak, tak! Jest heretykiem i wie, gdzie jest Święty Graal, nie zadawajcie mi już więcej bólu.

Ale ten mnich jest daleko ode mnie. Jest tam, na schodach kościoła i zaczyna kaganie.

Oni tylko chcą mnie zabić.

Kiedy kazanie dobiegło końca, mnich - brat Gerard, który był z Hugonem w Azille - sięgnął po zwój pergaminu i począł odczytywać imiona i nazwiska.

Dlaczego nie robi tego Hugon? Diana nie słyszała słowa z jego kazania, ale teraz mogła już słuchać. Gerard wyczytał najpierw tych, którzy się zaparli. Widziała ich, dużą gromadę, może ze dwie setki, zebranych u stopni kościoła. Stał przed nimi wielki kocioł wypełniony rozżarzonymi węglami, dla przypomnienia, czego uniknęli. Mnich nakazywał niektórym z nich za pokutę pielgrzymki, innym wzięcie krzyża i dołączenie w Aigues-Mortes do królewskiej krucjaty. Innych pozbawiano wszelkiej własności, jeszcze inni mieli pozostać na lata, albo i na całe życie, w lochach.

- Bracia i siostry! Nie pozwólcie, żeby zniewolili wasze dusze, jak to uczynili z waszymi ciałami. Postąpcie tu do nas i bądźcie wolni na wieki!

Diana знаła ten głos. Dochodził z miejsca, gdzie stał przywiązany młody Doskonały imieniem Jerzy, którego pojmanie w Montpellier sześć miesięcy temu przyczyniło ich podziemnemu Kościołowi wiele smutku.

- Uciszyć się albo ja cię uciszę - warknął jeden z oprawców w czerwonym kapturze i kaftanie stojący obok nich na stosie.

- Bądź błogosławiony, bracie Jerzy, przywracasz mi siłę.

- Milcz - burknął kat.

Wreszcie mnich zwrócił się do tych, którzy mieli umrzeć. Kiedy nawoływał, by zaparli się swojej wiary, Diana myślała: „On trzyma w dłoniach krucyfiks, ale ja jestem bliżej Chrystusa na krzyżu, niż kiedykolwiek zdarzyło się temu człowiekowi”.

- To wy powinniście zaprzestać błądzenia - krzyknął młody katar - to wy popełniacie niewybaczalną zbrodnię.

Pięść kata wylądowała na szczęce Jerzego i młody człowiek osunął się w swoich więzach.

Teraz powstała jakaś połyskująca postać z czymś złotym w dłoni - biskup czy ktoś mu równy, pomyślała Diana - i postąpiła naprzód.

- Skoro trwacie w swoim grzechu, z żalością w sercu oddajemy was w opiekę ziemskich władców. Niech naznaczą karę, jaką uważają za właściwą. Naszym pragnieniem jest, by okazali miłosierdzie, by kara nie oznaczała okaleczenia członków

ni przelewu krwi.

Wstał teraz wysoki mężczyzna w purpurowo-złotym płaszczu i małej srebrnej koronie na głowie.

Jedyne oko Diany wreszcie oswoiło się z blaskiem słonecznym zalewającym plac. To musi być straszliwy brat Hugona, Almaryk de Gobignon. A tam, po jego prawej stronie, to jego pani, hrabina Nicoletta, niewiasta, którą umiłował Roland. Była za daleko od Diany, żeby mogła dostrzec swym osłabionym wzrokiem wyraz jej twarzy. Panie, oby miała dzisiaj w sercu współczucie. Nicoletto droga, od dzisiaj Roland jest już tylko twój.

Almaryk mówił szybko, zimnym, energicznym głosem.

- Z władzy nadanej nam przez Ludwika, króla Franków, my, jego seneszał w Béziers, skazujemy was tu wszystkich na śmierć dnia dwudziestego i drugiego lipca roku pańskiego tysiąc dwieście czterdziestego i ósmego. Czyniąc zadość prośbom jego ekscelencji biskupa Béziers, zgadzamy się, byście ponieśli śmierć w płomieniach.

Dostrzegła ruch u podnóża stosu. Mnich w rozwianym białym habicie wziął pochodnię od jednego z oprawców, zapalił w koszu z węglami i zaczął wspinać się po drabinie. Rozpoznała Hugona, zdjął ją wstręt, gdy się zbliżył. Drżała.

Przez tłum przeszedł pomruk zdziwienia, hrabia Almaryk na wpół uniósł się w swoim krześle.

Błada twarz Hugona płynęła ku niej we mgle. Słyszała trzask pochodni w jego dłoni. Chwiał się na chybotliwym stosie z polan i gałęzi. Drżały mu usta, zapadnięte, podkrążone oczy niezdrowo błyszczały.

- Po raz ostatni pytam, czy nie chcesz wybawienia od tego straszego skonu? Powiedz, że Roland de Vency był ci pomocny, a będziesz żyła.

- Myślicie, że chcę jeszcze żyć i znosić dalej ten straszny ból? - odpowiedziała ochrypłym głosem.

Podszedł jeszcze bliżej i wyszeptał:

- Jeśli tak wierzysz w to, za co umierasz, klnę cię, na Jezusa Chrystusa, zdejmij zakłęcie.

Co by się stało, gdyby mu po prostu odpowiedziała: - Zakłęcie już zdjęte, macie na powrót waszą męskość. - Czy uwierzyłyby i ozdrowiał? Chciała tak powiedzieć, ale

nie mogła dopuścić, by jej ostatnie słowa wypowiedziane na tym świecie miały być kłamstwem.

- Uczyniłabym każde dobro, jakie mogłabym wam wyświadczyć, w nadziei, że odmieni ono waszą duszę. Nie mogę wam dopomóc, nie w mojej to mocy. Powiadam wam raz jeszcze, że sami sobie musicie dopomóc. Nie ma zaklęcia. Jesteście zdrowi na ciele. Uwierzcie i będziecie uzdrowieni.

- Łzesz - warknął.

Jego bezkrwista twarz znalazła się na wyciągnięcie ręki od jej twarzy. Pochodnia z pakuł unurzanych w smole syczała i skwierczała.

- Jeszcze teraz mogę cię wybawić od cierpienia, kazać udusić, nim zapłonie stos, udusiłbym bodaj i własnymi rękami.

- Pozwólcie mi umrzeć w pokoju.

Zbliżył pochodnię do jej twarzy.

- Diano, czujesz ten żar? Nawet jeśli przetrzymałaś tortury i upokorzenie, nie zniesiesz śmierci w płomieniach. Jeśli rozkażę, kaci usuną polana spod twoich stóp, tak że twoje ciało będzie zwisało ponad nimi, godziny miną, zanim strawi je ogień, a potem, nim skonasz, utracisz wiarę i będziesz błagała, byś mi mogła dopomóc. Obiecuję ci to.

- Posłuchaj, Hugonie, swojego sumienia. Czy cześć, jaką oddajesz swemu Bogu, nakazuje ci to wszystko czynić bezbronnej niewieście? Kiedy mnie już nie będzie, wejrzyj w swoje serce, Hugonie, poszukaj w nim Boga prawdziwego, a znajdziesz go.

- Hugonie!

Hugon odwrócił się. Diana spojrzała w dół i ujrzała stojącego u stóp stosu hrabiego Almaryka.

- Hugonie, na miłość boską, co tam robisz? - Ton jego głosu był nagły, na tyle głośny, by doszedł tylko uszu brata.

- Nic nie wskórasz u tej kobiety. Schodź na dół i kończmy dzieło.

Diana zaniknęła oko. Czuła, jakby jej ciało już było w płomieniach, trawione żarem i bólem.

Tak, pozwólcie mi odejść, pozwólcie stąd odejść.

Jakby w odpowiedzi na swoje modlitwy, ujrzała w myślach Rolanda.

Dzięki ci Boże, że zsyłasz mi tę pociechę. Moje serce przepętnia miłość. Dla Rolanda, dla Ducha. Teraz rozumiem, dlaczego Roland mówił o Miłości, jakby mówił o

Bogu. Jego Bóg jest też moim Bogiem. *Wszystko jest Światłością, i Światłość jest w każdym mężu i każdej niewieście.*

Nagle usłyszała z boku krzyk. Wbrew swej woli spojrzała. Dostrzegła wykrzywioną przerażeniem twarz Hugona, szeroko otwarte usta, oczy utkwione w długiej strzale wbitej w pierś.

Upadając, wypuścił z martwej dłoni pochodnię.

Słyszała dalekie krzyki, wrzaski. Krzyk rozpaczły hrabiego Almaryka - Hugonie!

Dojrzała kata staczającego się ze stosu na bruk.

Słyszała Jerzego szepczącego *Ojcze nasz.*

U jej stóp buchnęły płomienie. Żar był tak przeraźliwy, że pojmowała tylko, iż coś trawi jej ciało.

Słyszała własny krzyk. Boże, pomóż mi, pomóż! Niech myślę o Rolandzie, niech myślę o biskupie Bertranie, o moich bliskich z Mont Ségur!

Idę do was, łączę się z wami.

Poczuła uderzenie, jakby cios jakiejś pięści. Spojrzała w dół. W samym środku piersi tkwiła strzała.

Zdążyła tylko pomyśleć - jestem wolna, wolna na zawsze.

* * *

Część druga

ZIEMIA ZAMORSKA

Anno domini 1249-1250

XX

Roland w czasie jazdy spoglądał na pełnię styczniowego księżyca, który towarzyszył mu przez całą noc w drodze wzdłuż plaży. Niemalże nie musiał prowadzić swojego wierzchowca. Klacz, cierpliwe zwierzę pożyczone w komandorii templariuszy w Kolossi, szła spokojnym kłusem po nabrzeżnym zbitym piasku, on zaś usiłował przywołać w pamięci minione miesiące.

Nie pamiętał obrazu śmierci Diany, tak jakby jego pamięć nie dopuszczała tego straszliwego wspomnienia. Pamiętał natomiast, że wyjeżdżali przez szeroko otwarte bramy Bézders, zostawiając za sobą milknące w oddali krzyki na placu miejskim. Wokół nich pełno było ludzi, pieszych i konnych, śpieszących niczym dla ratowania życia. Przed czym uciekali? Perrin opowiedział mu potem, że ludzie wykrzykiwali o strzałach, które ugodziły Hugona i Dianę. Ale to nie strzały wzbudziły ich strach, lecz gniew Almaryka. Perrin prowadził ich do Aigues-Mortes. Roland pogrążony w rozpacz nie był w stanie nawet mówić, a co dopiero dowodzić ich małym zastępem. „Jesteś głupcem”. - To były jego pierwsze słowa, które wypowiedział do Perrina. Stojąc na pokładzie genueńskiego brygu zatłoczonego rycerzami i zbrojnymi, czekali na wypłynięcie w kierunku Cypru, skąd król Ludwik miał rozpocząć atak.

Dla Rolanda wtedy każdy, kto wyznawał jakąkolwiek religię, był głupcem. Katolicyzm był przerażający, bo mordował ludzi, kataryzm był przerażający, ponieważ sprawiał, iż ludzie gotowi byli szukać śmierci.

Perrin za odpowiedź przytoczył świętego Pawła: „A Bóg, który jest źródłem cierpliwości i pociechy, niech sprawi, abyście byli jednomyślni między sobą na wzór Jezusa Chrystusa”.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że wszyscy żyjemy w Bogu, wy, pani Diana, nawet brat Hugon. To, coście zobaczyli w Béziers, było powrotem do Boga.

- Więc nie oplakujesz Diany? To dla ciebie oznacza kataryzm?

Perrin smutno pokręcił głową. Roland zobaczył, że jego muzykant ma czerwone, spuchnięte oczy. Smucił się zatem, rozpaczął.

- Oplakuję, panie, ale moja wiara daje mi pociechę, i wam by dała.

- Nie wierzę, żeby cokolwiek mogło mnie pocieszyć, ale widziałem coś dla mnie uczynił w Béziers, jakim mi byłeś przyjacielem. Te straszne rzeczy, którym ci wtedy wykrzyczał... wybac mi. Traciłem zmysły z żalu i smutku. Pewnie ciągle jeszcze nie zachowuję się rozumnie, proszę cię o wybaczenie.

W odpowiedzi Perrin serdecznie uściśnął Rolanda.

Krucjata rzuciła go na Cypr jak przyływ wyrzuca na brzeg wrak okrętu. Po trzech tygodniach bezbarwnej podróży Perrin przekazał Rolanda Gwidonowi, który zawiózł go, biernego, apatycznego, do warowni templariuszy w Kolossi. Tam odkryto, że nie jest osowiały jedynie z powodu smutku. Jak wielu innych krzyżowców był wycieńczony gorączką.

Templariusze pielęgowali go w chorobie, a kiedy mógł już wstawać, Gwidon zabrał się za leczenie jego duszy. Lekarstwem był wysiłek fizyczny - ciągle ćwiczenia, rano, w południe, wieczorem; z mieczem, łukiem, kopią, na koniu i pieszo.

Bolało. Gwidon upierał się, żeby używał prawej ręki, żeby uczył się utrzymać w niej tarczę. Wiele było potem bezsennych nocy, gdy bolesne rwanie w ramieniu nie pozwalało mu zmrużyć oka. Bolało, kiedy ćwiczył lewą rękę we władaniu mieczem, a Gwidon co kilka dni zmieniał broń na cięższą. Ciało cierpiało, a w głowie nadal czuł pustkę.

Nie dbał o to, czy będzie żył, czy umrze, przynajmniej zginie, walcząc jak należy. Władał już tak dobrze lewą ręką jak kiedyś prawą. Wybrał sobie jednoręczny miecz. Nie mógł nim ciąć hełmu ni zbroi, ale potrafił zadać nim tuzin ciosów w odsłonięte

miejsca, nim przeciwnik zdążyłby wziąć jeden zamach ciężkim, wielkim, dwuręcznym mieczem.

W wolnym czasie, gdy nie ćwiczył i nie spał, nadal rozpaczał po utracie Diany. Odeszła kobieta, którą kochał od dzieciństwa, zostawiając po sobie czarną otchłań, niczym księżyc, który zapadł się w niebyt.

Układał strofy o bezsensie życia, wszechmocy materii, boskiej obojętności. Śpiewał je Gwidonowi, spodziewając się sprzeczek, ale templariusz wzruszał tylko ze smutkiem ramionami.

Uwalniając się powoli od melancholii i żalości, zaczął się zastanawiać, jak zginęła Diana. Czy człowiek, który posłał strzałę, chciał oszczędzić jej bólu konania w płomieniach, czy też raczej chciał zabić Hugona? A przede wszystkim, kto to był?

Po kilku tygodniach pobytu na Cyprze zaczął myśleć o Nicoletcie. Najpierw wydało mu się, że zdradza Dianę, ale potem zrozumiał, że ona sama tak by nie pomyślała. Chciała, żeby był szczęśliwy z Nicolettą.

I tak, powoli, stopniowo, jego myśli zaczęły się obracać ku Nicoletcie, jak kwiat obraca się ku słońcu.

Wszystkie jego sądy o niej - jakże były nieprawdziwe! Jak mógł potępiać postanowienie kobiety, która chroni dziecko, kiedy sam nie czuł i nie rozumiał rozpaczliwej potrzeby zapewnienia małemu bezpieczeństwa! Mówił sobie, że Nicoletta nie jest taka jak Diana, nie jest człowiekiem, który wychodzi na spotkanie śmierci. Nicoletta spragniona jest życia.

Coraz częściej o niej myślał, ciało nabierało sił, zaczął się zastanawiać, że może jednak nie chciałby umrzeć.

Nicoletta jest jedynym człowiekiem, który może uczynić mnie szczęśliwym, a i może ja jestem jedynym, który może dać jej szczęście, a przecież oddaliśmy się od siebie przez gniew i zazdrość. W każdej chwili któreś z nas może zabrać choroba. Od kiedy znaleźliśmy się na Cyprze, więcej niż tysiąc krzyżowców zmarło od różnych chorób. Może zostało nam już niewiele czasu, czemu go tracić? Muszę ją zobaczyć, nim armia ruszy do Egiptu.

W grudniu przyjechał Perrin z wiadomością od Nicoletty.

Radość przepełniła serce Rolanda niczym tryskające niespodzianie ze skały źródło. Zdumiała go siła tego uczucia.

Nicoletta nie zaryzykowała napisania listu. Wysłała Agnes do Perrina z ustną wiadomością, że królowa ze swoimi damami wkrótce ruszy w podróż po wyspie, by

odwiedzić klasztory i inne święte miejsca. Za kilka tygodni będą w Pafos, żeby zobaczyć słup, przy którym biczowano świętego Pawła. Pafos i Kolossi położone są w pobliżu Kukli, legendarnego miejsca narodzin Wenus.

Ustalili zatem miejsce i datę spotkania - dwudziestego piątego stycznia, w dniu cudownego nawrócenia się świętego Pawła, koło skały Romios, gdzie Wenus - albo, jak nazywali ją Cypryjczycy, Afrodyta - wyłoniła się z morza.

Kiedy jechał na spotkanie, myśl o ponownym ujrzeniu Nicoletty wywoływała ucisk w żołądku, a krew żywiej krążyła w żyłach. Czuł podniecenie i lękał się. Zamartwiał się, że zamiast szczęśliwego połączenia może dojść do gwałtownych waśni jak wtedy, gdy znalazł się w Béziers w przebraniu mnicha.

Wreszcie pojawiła się wielka czarna skała przypominająca kształtem wywrócony kadłub okrętu. Omiótł wzrokiem plażę w jej pobliżu, ale nie dostrzegł nikogo.

Poprowadził klacz do cedrów koło plaży i tam ją uwiązał. Zatrzymał się, wciągając w nozdrza cedrowy zapach, który zdawał się przesycać powietrze całej wyspy. Słyszał od Gwidona Bruchesiego, że więcej tu cedrów niż w Libanie.

Ruszył na brzeg. Ułożył swoją pelerynę na granicy przypływu, obok wielkiej skały, i usiadł, spoglądając na morze.

Kiedy spojrział po chwili na zachód, zobaczył, że księżyc już zniknął. Niebo na wschodzie zaczynało purpurowieć. Orzeźwiająca bryza owiewała twarz. Na linii horyzontu, daleko w morzu, kołysały się żółte światła łodzi rybackich przesuwających się powoli koło drugiej, wysuniętej w morze skały.

Czy może być między nami miłość, prosta i czysta, czy też będziemy tracić życie w gniewie? Serce niespokojnie tłukło się w piersi. A jeśli nie przyjedzie?

Zauważył coś w wodzie, koło skały. Wstrzymał oddech. Głowa? Wstał zacieka-wiony. Ręce uderzały o fale. Otworzył usta zdumiony. Było już jaśniej, nie dość jednak, by rozpoznać pływaka, ale postać w wodzie wydawała się Nicolettą. Szybko zrzucił trzewiki, pończochy i wszedł do wody. Pływak skrył się na moment między grzbietami fal. Szczupłe ramiona, długie włosy - to z pewnością ona.

Wreszcie stanęła. Woda burzyła się wokół jej kolan, stała nieruchomo z opuszczonymi rękoma. Na wschodnim horyzoncie pojawił się pierwszy, czerwony płomień słońca. Światło zalśniło na kropłach wody pokrywających ciało Nicoletty. Stała kilka metrów od niego, spoglądając mu prosto w oczy. Był ogłuszony, porażony. Pierwsi wyznawcy bogini Miłości musieli czuć się podobnie, gdy Wenus wyłoniła się po raz pierwszy z fal morskich, na pewno nie piękniejsza niż ta, którą teraz podziwiał. Patrzył na jej wysoko sklezione pełne piersi z sutkami koloru ciemnych wiśni, na biały brzuch, na słodki dołek pępka, na wilgotną od morskiej wody kępkę włosów. Omdlały z pożądania padł na kolana.

Podeszła ku niemu, kiedy tak klęczał, i wpatrywał się w nią niczym w grecki posąg. Ujęła jego głowę w dłonie i przytuliła do łona. Poczul na ustach słoną wodę.

- *Mi dons*, wielbię cię.
- I ja chcę wielbić ciebie.

Oparł dłonie na jej biodrach, poczul, że zadrżała.

Wstał, ujął jej dłoń i poprowadził w stronę skały, gdzie rozłożył pelerynę. Zdział szybko szaty. Posiadł ją na siedząco, zwrócony twarzą do niej, na modłę starożytnych. Słońce stało już wyżej; ogrzewając jego prawie nieruchome, nagie ciało, rozpraszając chłód idący do morza. Przenikał go ogień, który wypalał wszystko to, co materialne, aż stał się jedynie czystą myślą i światłem. Myślą raczej niż zmysłami odbierał ruchy Nicoletty.

Tego dnia nie szukał dla siebie spełnienia. Samo zespolenie z nią było doskonałe. Kiedy uczuł, że doszła do szczytu uniesienia, rozluźnił się powoli. Cierpienie, choroba i surowa dyscyplina dały mu siłę panowania nad własnym pożądaniem.

Wyciągnęli się obok siebie, ramię przy ramieniu, zmęczeni. Słuchał z rozkoszą jej oddechu. Gdzieś w odległym kościele dzwoniło na Anioł Pański.

- Wieśniacy pewnie już zaczynają się krzątać. - Nicoletta usiadła uśmiechnięta.
- Jeśli nas zobaczą, jak leżymy tu, nadzy, pomyślą, że to Mars i Wenus powrócili na Ziemię albo uznają nas za parę bezwstydną cudzołożników i doprowadzą siłą przed oblicze swojego proboszcza. Pora się ubierać.

Uśmiech zniknął, zaczęła płakać z twarzą ukrytą na jego piersi.

- Moja miłości, myślałam, że już nigdy nie będziemy razem. - Tulił ją, dopóki nie przestała szlochać. Gdy uniosła głowę, dotknął opuszkami palców śladów łez na jej policzkach.

Wstała i poszła w stronę zagłębienia w skale, gdzie złożyła swoje szaty. Nie zauważył ich wcześniej. Piękno jej ciała, połyskującego jak kość słoniowa, zapierało dech w piersiach. Ubrała się w kostium cypryjskiego kupca, długą do kostek tunikę z lekkiego, błękitnego jedwabiu. Włosy ukryła pod żółtym turbanem. Roland zauważył na skalnej półce bukiet zeschniętych kwiatów. Wyglądało na to, że jakieś pamiętające dłonie złożyły go tutaj kilka dni wcześniej. Nie zaprzestali czcić dawnych bogów i bogiń wyspy.

Z ociąganiem nałożył szaty. Przesycone zapachem cedrów powietrze było tak przyjemnie ciepłe, że mógłby spędzić cały dzień nago.

- Jak się tu dostałaś? - zapytał, kiedy znowu siedzieli razem. - Czy przyjechałaś sama, a może niebo cię zesłało?

- Ma się rozumieć, że przyjechałam sama - odpowiedziała ze śmiechem. - Chciałbyś widzieć, którzy by nas podziwiali? Uwiązałam konia w lesie i poszłam się kąpać. Chciałam, byś pomyślał, że narodziłam się z morskiej piany.

- To było piękne. Jacy byliśmy głupi, że nie spędzaliśmy każdej chwili, jaką nam dano, razem.

- O, tak - dojrzał na jej twarzy szczęście zmieszane z żalem.

- Czy rozumiesz teraz, jak to było z Dianą? - zapytał.

Objęła go.

- Tak, naprawdę rozumiem. A ty, czy rozumiesz, czemu tak postąpiłam z Szymonem?

Poczuł gniew. Jakże nienawistne było mu to imię. Kiedy spojrzał w jej pełną niepokoju twarz, gniew ustąpił, a w jego miejsce pojawiło się współczucie i smutek.

- Wiele myślałem o tobie i... chłopcu. Myślę, że już rozumiem. Gdzie on jest teraz?

- U mojej siostry, w zamku Lumel, gdzie przez te wszystkie lata, które przepędzimy tutaj w Ziemi Zamorskiej, nie będzie słyszał innej mowy niż *langue d'oc*. Almaryk chciał, żeby został z siostrami w Gobignon, ale postawiłam na swoim. Niech Szymon wyrośnie na prawdziwego syna Langwedocji.

Zadrzał na te słowa. Ujrzał znowu plac miejski w Béziers i postacie w białych szatach przywiązane do stosów. Brata Hugona grożącego Dianie pochodnią. Ciało Hugona kurczy się nagle, pochodnia upada, w górę strzelają płomienie ogarniające Dianę.

Ukrył twarz w dłoniach i załkał.

- Co ci, Rolandzie?
 - Przypomniałem sobie. Właśnie teraz, po raz pierwszy zobaczyłem to, wiem już, jak zginęła Diana.

Westchnęła.

- Dobry Boże, tak, to było straszne. Nigdy przedtem nie widziałam całopalenia.
 - Jak myślisz, kto posłał te strzały? Czy chciał ją zabić?
 - Pewnam tego. Byłam blisko. Widziałam, że strzała utkwiała w samym sercu. - Dotknęła czerwonego krzyża na czarnej tunice Rolanda. - Ktoś celnie strzelał. Umarła natychmiast. Ktokolwiek to zrobił, musiał ją kochać. Pragnęłabym i dla siebie takiej śmierci, gdybym miała umierać na stosie.

- Kim był ten człowiek? - zapytał ponownie.
 - Najpierw myślałam, że to ty. Potem zobaczyłam cię z Perrinem, daleko, po drugiej stronie placu. Musiał to być jeden z jej katarskich braci. Nigdy się nie dowiemy.

- Silniejszy był niż ja - powiedział Roland z wyrzutem pod własnym adresem.
 - Straszne było to, co Almaryk zrobił potem - straszniejsze niż wszystko do tej pory, niż mogłam sobie wyobrazić.

Roland poczuł zimny wstręt na wspomnienie wieszania zakładników, palenia całych wiosek. Prześladowania trwały, dopokąd król nie położył im kresu.

- Nie widział cię, ale wie, że byłeś w Béziers, kiedy zginął Hugon. Właściciel gospody opisał mu ciebie. Biedny głupiec. Nie powinien tego robić, ale połakomił się na nagrodę. W zamian Almaryk wziął go na tortury, myślał, że wydobędzie z niego coś jeszcze, ale ten człowiek umarł.

Wstał, spoglądając w błękitne morze, z założonymi do tyłu rękoma.

- Almaryk myśli, że to ja zabiłem Hugona i Dianę?

Stała obok niego, położyła mu dłonie na ramionach. Wiatr pisał w fałdach długiej, błękitnej tuniki.

- Nie, wie, że strzała poszła z jednej z wież miejskich, nie z twojej gospody, ale myśli, że ty to ułożyłeś.

- Zatem wszystkie te prześladowania nie pomogły mu znaleźć zabójcy?

Przez jej twarz przemknął grymas bólu.

- Nie myślę, że się łudził, iż odkryje prawdę. Chciał zadawać ból, chciał, by ludzie zapłacili mu cierpieniem za śmierć Hugona. Dziękowałam Bogu, kiedy Ludwik położył temu kres, ale teraz Almaryk ma jeszcze jeden powód, żeby go nienawdzić. Rolandzie, boję się, że będzie chciał zabić króla. Mówiłam ci, on chce tronu.

Zimna woda obmywała bose stopy Rolanda, wymywała spod nich piasek. Zachwiał się lekko.

- Powiadasz, że planuje zabójstwo króla? Ależ to szaleństwo.

Potrząsnęła głową.

- Też tak z początku myślałam, ale potem spróbowałam myśleć jak on. Król i jego trzej bracia będą prowadzili armię. Niech inwazja w Egipcie okaże się klęską, niech zginą królewscy bracia i większość szlachty. Może się tak zdarzyć. Kto wtedy będzie rządził? Królowa Blanka i dziewięcioletni syn Ludwika. Przypuśćmy, że Almaryk, przewidując nieszczęście - albo dopomagając, żeby do niego doszło - wróci do Francji. Czy będzie mu tak trudno wziąć wtedy wszystko w swoje ręce? Czy byłoby dziwne, gdyby odsunął małego regenta, on, par Francji, mocny człowiek, lubiany przez baronów, mający poparcie kleru, papieża? Czyż nie płynie w jego żyłach królewska krew? Jego matka jest przecież córką Filipa Augusta.

Rolandowi myśli kłębiły się w głowie. Zdawało się, że świat jest tak niepewny jak piasek pod jego stopami.

Nie do pomyślenia. Czterech potężnych braci - Ludwik, Robert, Karol i Alfons. Królowa Blanka mocno osadzona, pewnie władająca w Paryżu. Ale jeśli rzeczywiście wszystko to miałyby zostać zniszczone, kto zająłby wtedy wolne miejsce?

Almaryk?

Zrobiło mu się gorąco.

Nicoletta silniej ścisnęła jego ramię.

- Wiesz, co oznaczają trzy korony na tarczy Gobignonów? Tradycja rodzinna powiada, że dwie należą do przodków - Chlodwiga i Karola Wielkiego, trzecia zaś oznacza koronę, „która nastanie”. - Ostatnie słowa wyszeptwała, wzdrygając się z lękiem.

Rolanda ogarniała furia.

- To nie może być - wyrzucił z siebie, zaciskając pięści.

- Almaryk pisał do papieża. Innocenty jest wściekły na Ludwika, że ruszył do Ziemi Zamorskiej, zamiast wydać wojnę Fryderykowi.

Jeśli coś się stanie, Almaryk będzie miał papieskie błogosławieństwo.

Roland zacisnął zęby zdesperowany. Langwedocja została obrócona w pustynię przez baronów podobnych Almarykowi i przez Inkwizycję, którą nasłali na jego kraj. Co się stanie, jeśli ludzie tego pokroju będą mogli działać swobodnie w całej Francji? Tylko Ludwik mógł zapobiec nieszczęściu. Tylko dzięki niemu Francja była najsilniejszym, najdumniejszym, najbardziej kwitnącym królestwem chrześcijańskiego świata. I to wszystko miałoby zostać zaprzepaszczone?

- Może uda się, by to Almarykowi przydarzyła się w Egipcie jakaś niedola.

Patrzyła na niego z natężeniem.

- Postąp z nim, jak uznasz za słuszne. Raz ci nakazałam, żebyś go poniechał. Setki istnień byłyby oszczędzone, gdyby zginął tamtego dnia. Nie powtórzę drugi raz tego samego błędu.

Ujął jej dłonie w swoje.

- Muszę zaraz wracać do króla, do Nikozji.

- Dobrze się miewasz?

- Moja choroba była jak żaloba. Czas już poniechać smutku.

- Nigdy nie zapomnimy Diany - dodała Nicoletta.

Usłyszał w jej słowach wewnętrzne ciepło, nie dzieliła ich już jego miłość do Diany.

- To, co uczynimy, zrobimy zarówno dla niej, jak i dla Francji. Stanę się cieniem króla, a to znaczy, że obydwójce będziemy przebywać zawsze w jego świetle.

- I zawsze blisko Almaryka. Twoje życie będzie w ciągłym niebezpieczeństwie.

- I jemu będzie groziło ciągle niebezpieczeństwo ode mnie. - Spoglądając na nią, dodał żałośnie: - Nie będziemy już żyli tylko dla naszego szczęścia, *mi dons*, choć Bóg widzi, że niewiele go zaznaliśmy przez minione lata. Nie możemy wystawić się na niebezpieczeństwo ani dać twojemu mężowi sposobności, by przeszkodził nam służyć królowi Ludwikowi. Rozumiesz to?

Jej oczy przysłoniła mgła.

- Tak, Rolandzie, rozumiem. Poświęcimy nasze wzajemne radowanie się sobą dla króla i dla naszej miłości.

Dotknął palcem jej policzka i otarł łzy.

- Spotkamy się znowu, gdy wyprawa dobiegnie końca, jeśli...

Pochwyciła jego dłonie.

- Nie mów „jeśli”. Cokolwiek się zdarzy, spotkamy się znowu. - Przyłgnęła do niego.

Wciągnął głęboko powietrze w płuca. Kiedykolwiek poczuje zapach cedrów, wspomni, jak kochali się dzisiejszego rana w miejscu, gdzie narodziła się Wenus.

Objął ją w spazmatycznym uścisku.

Nie tak dawno chciałem tylko prędkiej i dobrej śmierci w boju. Teraz ona przywróciła mi chęć do życia, a ja muszę pójść swoją drogą.

Przyciągnął ją jeszcze bliżej i pocałował mocno, do bólu, wiedząc, że może to być ich ostatni pocałunek.

* * *

XXI

Roland napiął mięśnie w oczekiwaniu nadchodzącego uderzenia, mimo to rzuciło nim z całej siły, obalając niemal z nóg, gdy dno łodzi zaryło w przybrzeżnym piasku. Ciało miał sztywne ze strachu. Egipt. Oto ląd egipski.

- Za Boga i Grób - krzyknął rycerz, Roland usłyszał, jak ludzie za jego plecami gramolą się przez burtę. I on wydrapał się przez okrężnicę, lądując w błotnistej wodzie. Była zimna, głęboka po pas, przesączała się pod zbroję. Zazgrzytał zębami z niemilego uczucia. Czujnie rozglądał się dookoła. Z wysoko uniesioną kopią w jednej ręce i długą tarczą w drugiej brodził z innymi ku brzegowi. Czy moja prawa ręka będzie mi posłuszna dzisiaj, czy też zawiedzie? W pewnym oddaleniu dojrzał na plaży krąg rycerzy i skierował się w tamtą stronę. Nad ich głowami wznosił się Oriflamme - Złoty Płomień - święty sztandar bojowy Francji, z czerwonym krzyżem pośrodku, dołem rozcięty w dwa obwiedzione czerwienią trójkąty.

Jego wzrok przyciągnął złoty błysk pod Oriflamme. Rozpoznał zwieńczony koroną hełm Ludwika. Na myśl, że król jest wśród pierwszych, którzy dobili do brzegu, odczuł lęk o niego i pobiegł szybciej w stronę kręgu.

Przecisnął się pomiędzy rycerzy. Chwyając obydwoma rękami za górną krawędź tarczy, wbił jej ostry koniec w piach, tak żeby stanęła pionowo. Wszyscy wokół rozprawiali o długiej, niebezpiecznej przeprawie małymi łodziami, które przewiozły ich z genueskich okrętów na egipski brzeg.

Ile czasu zajmie Egipcjanom dotarcie w szyku na ich spotkanie?

Ponownie ogarnął go strach i mocniej zacisnął dłoń na kopii.

Był w przyjaźni z Saracenami, którzy służyli cesarzowi Ferdynandowi na Sycylii, nauczył się nawet ich języka, ale to nie mogło mu pomóc w boju z Egipcjanami.

Rozejrzał się po plaży. Najmniejszego śladu nieprzyjaciela. Dojrzał pas czerwonego piachu ciągnący się na wschód i na zachód, zamknięty linią zielonych zarośli. Wśród nich miejscami górowały wężowate pnie palm z rozpostartymi nad nimi koronami liści. Dalej już było widać tylko niebo. Łąd wydawał się całkowicie płaski - żadnej góry, wzgórze, nawet wydmy.

Spoglądając na wschód, mógł dojrzeć szare mury i wieże miasta. Damieta, ich cel, który wydawał się odległy o całe godziny drogi. Będą musieli przekroczyć Nil, by się tam dostać.

Rozumiał plan Ludwika. Łądując na przeciwnym brzegu rzeki, gdzie nie było egipskich stanowisk obronnych, król liczył, że większość armii zdola znaleźć się na brzegu, nim Egipcjanie zaatakują.

Coś zaświszczało koło głowy. Schylił się, po czym obejrzał za siebie. Zobaczył na wpół zarytą w piasek strzałę. Kolejny świst, obok jakiś człowiek krzyknął i padł, trzymając się rękoma za głowę i kopiąc z bólu nogami. Ktoś śpieszył mu z pomocą. Kolejne wizgi strzał. Czekał w najwyższym napięciu. Atak ruszył.

Ponad wrzawę nawoływań krzyżowców i świst strzał wzniosł się głos Ludwika: - Polećcie dusze Panu Jezusowi!

Egipcjanie uderzyli z odległych o jakieś sto kroków zarośli, długi szereg konnych w czerwonych jedwabnych pelerynach z okrzykami bojowymi na ustach. Czarnozielone sztandary z wypisanymi na nich wersetami z Koranu furkotały ponad chmurą piasku wzniesioną przez ich konie. Roland odczytał arabskie litery: „Jeden jest Bóg Allah”.

Przeciwnicy mieli nałożone na hełmy turbany, twarze przesłonięte haftowanymi chustami, ciała okryte kaftanami z długimi rękawami, by chroniły przed upałem i piachem pustyni.

Słońce odbijało się białym oślepiającym światłem od polerowanej stali wzniesionych do ciosu bułatów. Konie Saracenów, nie tak rosłe jak bojowe rumaki chrześcijańskich rycerzy, były wspaniałymi zwierzętami o dumnie wygiętych karkach i cienkich nogach, stworzonymi do lotnego, zwrotnego galopu. Jeźdźcy prezentowali się

okazale, sprawiali wrażenie niepokonanych. Konie krzyżowców jeszcze nie przyplęły. Wybiją nas tutaj - pomyślał.

Patrzył z napięciem na zastępy Egipcjan pędzące ku nim niczym wzbijająca tuman pyłu burza.

Wielkolud w turbanie, o ciemnej twarzy, w której połyskiwały białka oczu, osłoniętej czerwoną chustą, gnał prosto na Rolanda. Saracen uniósł się w siodle wznosząc do ciosu szablę.

Roland kłut go kopią w pierś, tamten nadział się na nią z taką siłą, że grot przebił pancerz pod zieloną szatą. Egipcjanin wyleciał z siodła jak szmaciana lalka.

Roland poczuł falę uniesienia. To niczym turniej. Skulił się za swoją tarczą przed kopytami pozbawionego już jeźdźca wierzchowca i wyciągnął kopię z ciała.

W nosie pełno miał piachu. Pożałował, że nie ma, jak Egipcjanie, osłaniającej twarz chusty. Zewsząd dochodziły krzyki i zgiełk. Piasek drżał od tętentu końskich kopyt.

Parło na niego teraz z bojowym wrzaskiem trzech Egipcjan. Jeden rzucił włócznię, ale Roland zdążył się uchylić, unosząc jednocześnie kopię. Jej grot ugodził w brzuch wierzchowca, który zwałił się z rżeniem, zrzucając z grzbietu jeźdźca i podcinając następnego konia galopującego tuż za nim. Trzeci Egipcjanin przeskoczył swoim rumakiem nad ciągle skulonym Rolandem.

Wróg nabrał realności, przestał być wymaginowanym koszmarem, pośród największego zgiełku walki nie było czasu na strach. Zdążył pomyśleć, że jeździec, który przecwałował nad nim, może dosięgnąć króla.

Dobyl z pochwy swój lekki miecz. Nie mógł iść z odsieczą Ludwikowi, bo nacie-rało na niego dwóch Egipcjan, których właśnie wysadził z siodła.

Całą siłą okrytego zbroją ciała natarł na jednego z nich. Przeciwnik padł pod jego ciężarem, Roland zwałił się na niego, zatapiając mu miecz w gardle.

Poderwał się natychmiast, poczuł ból w prawym ramieniu, na którym spoczywał ciężar tarczy. Zewsząd dochodził ogłuszający łoskot uderzającego o metal metalu, nie mógł się połapać pośród tłumu walczących ze sobą postaci. Rozejrzał się gorączkowo za drugim Egipcjaninem.

W sam czas. Zobaczył rozognione czarne oczy, koło nóg świsnęła szabla. Usko-czył w tył i natarł ponownie, wrażając miecz w pierś przeciwnika. Głownia uderzyła

o pancerz, wygięła się, Saraceni dał pola z głuchym pomrukiem, nietknięty. Natarł ponownie, stawiając powoli kroki, utkwivszy oczy w Rolandzie, z szablą uniesioną do ciosu. Jedna chwila zadecyduje, który z nich pozostanie przy życiu.

Bułat opadł, tamten chciał odparować uderzenie, ale Roland ciął go już przez twarz. Egipcjanin najwyraźniej był nienawykły do leworęcznych wojowników ani do chrześcijan zbrojnych w lekki miecz. W miejscu, gdzie były błyszczące oczy, teraz została krwawa maska, Egipcjanin padł z krzykiem.

Za plecami usłyszał okrzyk „Święty Dionizy!” i głośny szczęk broni. Okręcił się i ujrzał wyprostowanego triumfalnie króla z zakrwawionym mieczem wzniesionym nad rozplatanym ciałem muzułmanina, który przed momentem przesadził ścianę tarcz.

- Zamierzał się właśnie na ciebie - wydyszał Ludwik. - Pamiętaj zawsze o tyłach, mój panie. - Odwrócił się i pośpieszył w miejsce, gdzie jeźdźcy muzułmańscy usiłowali przełamać krąg rycerzy.

I ja chciałem jego chronić, pomyślał Roland z ponurym uśmiechem, wycofując się w stronę ochronnego pierścienia krzyżowców. Uratował mi życie po raz drugi.

Rozejrzał się wokół. Wszędzie w walce wręcz potykali się krzyżowcy z Saracenami. Mur tarcz stawał się coraz dłuższy, w miarę jak coraz więcej rycerzy przybijalo do brzegu. Krzyżowcy panowali nad przeważającą połacią plaży. W środku pierścienia obronnego leżało koło dwu tuzinów zabitych i rannych. Krzątali się koło nich szaro odziani księża, udzielali ostatnich sakramentów.

Roland zakosztował smaku krwi, jego towarzysze przelali własną. Kiedy dotrą tu nasze konie, zacznie się prawdziwy bój.

Odwrócił się, by spojrzeć w stronę portu, który tak niedawno opuścił. Na horyzoncie rysowały się sylwetki okrętów z wpisanymi w kwadraty żagli czerwonymi krzyżami. Stamtąd przygląda się bitwie Nicoletta. Wiedział, że jest na *Montjoi*, flagowym okręcie floty krzyżowej.

Wody za falochronem, barwione przez Nil brunatnym odcieniem, pełne były barek wyładowanych końmi bojowymi, po sześć i więcej na każdej. Kotwiczyły na tyle

blisko brzegu, żeby zwierzęta mogły znaleźć bród. Genuieńczycy otwierali klapy w burtach, pacholcy skakali w fale, by ściągnąć konie na brzeg, gdzie cisnęli się już czekający na nie rycerze.

- Z drogi! - zagrzmiął jakiś głos i Roland poczuł pchniecie.

Spojrzał w górę i zobaczył bojowego rumaka okrytego czerwono-srebrną kapą. Koń minął go tak blisko, że jego bok wydał się wielki jak burta okrętu. Pióropusz siedzącego na nim jeźdźca przysłonił na moment niebo. Za nim następny i następny. Trójkątne proporczyki powiewały na kopiach, które przepłynęły razem z wierzchowcami.

Roland odwrócił się w kierunku wroga. Egipcjanie ustępowali. Z rozpostartymi sztandarami, wznosząc okrzyki wyzwania, formowali szyk przecinający plażę. Chcieli w ten sposób zablokować drogę do murów i wież Damiety. Na ich szablach połyskiwało słońce.

Zar stawał się nie do zniesienia. Było południe, słońce prażące prosto nad głowami zamieniało hełm w rozpalony piec. A to dopiero czerwiec, pomyślał z niechęcią. Jeśli nawet pokonamy Egipcjan, to nas pokona upał.

Usłyszał za sobą pełne podniecenia krzyki. Mała grupka wrzeszczących, gestykujących mężczyzn, z których większość nosiła zdobne hełmy wielkich baronów, zebrała się wokół Oriflamme. W centrum tej grupki połyskiwał hełm Ludwika, a obok niego srebrny, zwieńczony ornamentem w formie wilczego łba.

Lęk ponownie zdjął Rolanda. Widok wilczego łba sprawił, że zacisnął ze złością dłoń na rękojeści swojego miecza. Almaryk. Jeden nieszczęsny gest i król może nie żyć.

Twarz Ludwika gorzała.

- Przyprawadźcie mojego konia. Niech kto przyprowadzi Velantifa - polecał. - Ruszę sam przeciw poganom, niech ujrzą, z jakiej gliny ulepiony jest francuski rycerz.

Roland usłyszał chór sprzeciwów.

Ludwika poniósł widok nieprzyjaciela. Powinien robić plany i wydawać rozkazy, a nie iść w pole pierwszy, na czele swojej armii. Zginie dzisiaj - zaraz - jeśli go nie powstrzymamy, a i nas poprowadzi na pewną śmierć.

Doszedł go teraz krzyk Almaryka, który wołał: - Koniuszy, słyszeliście, co król rozkazał, konia, żywo!

Almaryk w purpurowo-złotym surkocie i błyszczącym stalowym hełmie stał obok Ludwika z gotowym do ciosu mieczem, choć wokół nie było Egipcjan. Może po to, by siec każdego, kto śmiałyby mu się sprzeciwić.

Chociaż zdawał sobie sprawę, że człowiekowi niższego stanu jak on nie wypada się zwracać bezpośrednio do króla, co może być mu poczytane za brak szacunku, uczył nagłą potrzebę zabrania głosu, teraz, natychmiast.

- Panie, proszę was, nie wystawiajcie swego życia na niebezpieczeństwo.

- Niech nasz bohaterski czyn tchnie ducha w naszych ludzi i okaże poganinowi, że jeden prawdziwy jest Bóg - odpowiedział Ludwik. Na jego twarzy malowało się coś, co Roland nazwał kiedyś „jerozolimską miną”.

Przedzierał się teraz desperacko w stronę giermka, który prowadził wspaniałego białego rumaka. Ludwik ujął za lęk siodła i włożył stopę w strzemię.

Bez namysłu i bez chwili wahania Roland chwycił króla za rękę. Koń zarżał niecierpliwie.

- Panie! Pomyślcie, jak rozpaczać będą wasi rycerze, jeśli... coś się wam przytrafi.

- Precz z rękami od króla! - krzyknął Almaryk, potrząsając mieczem.

Szczęściem, z pomocą Rolandowi pośpieszył Jean de Joinville.

- Sire, ten dobry rycerz chce tylko zachować wasze życie. Idźmy razem przeciw Egipcjanom.

- Jeśli sam przeciw nim ruszę, Bóg będzie miał mnie w swojej opiece - odparł Ludwik.

Jakaś nowa postać w białym surkocie z czerwonym krzyżem templariuszy przedarła się do koła rycerzy. Rolandowi drgnęło serce, gdy rozpoznał w niej Gwidona Bruchesi.

Gwidon spojrział na niego, ale nie zdradził się, że go rozpoznaje.

Podszedł prosto do króla.

Przemówił spokojnie, acz zdecydowanie.

- Sire, to coście rzekli, nazbyt grzeszy pewnością siebie.

- Jakże to podobna, bracie templariuszu. - Mówiąc to Ludwik wyjął jednak stopę ze strzemienia, co Roland odnotował z niejaką ulgą. Pomyślał, że zawsze

można zająć Ludwika rozważaniami o religii, nawet na polu bitwy.

- Sire - ciągnął Gwidon, rzucając kosę spojrzenie na Almaryka - szatan wodził naszego Pana Jezusa na pokuszenie, powiadając, że jeśli rzuci się ze skały, aniołowie go uniosą. Ty, panie, zdawszy się na bożą opiekę, kuszysz się ruszyć sam przeciw całej armii Egipcjan. Żądasz cudu, a to grzeszne zadufanie.

Ludwik milczał przez chwilę.

- Może prawdę powiadasz.

Roland odetchnął.

Nieco ochłonawszy, król rozejrzał się wokół ze swoim zwykłym łagodnym uśmiechem.

- A zatem wszyscy razem ruszamy przeciw Saracenowi?

Co za ulga. Czułby się jeszcze lepiej, gdyby wiedział, że Ludwik pozostał na jednej z łodzi. W każdym razie, przynajmniej teraz nie wystawi się na większe niebezpieczeństwo niż my wszyscy.

Okryte stałą stopy tonęły w wilgotnym piasku, gdy ruszył biegiem ku brzegowi na spotkanie Perrina i Alezana.

Ze wzrokiem skierowanym na wschód Almaryk uważnie, systematycznie lustrował plażę, poczynając od brzegu po jego lewej stronie i kończąc na linii krzewów i palm po prawej. Czuł się zawiedziony, rozczarowany. Nieprzyjaciel nagle zniknął. Nie było nikogo, z kim mógłby walczyć.

Konna postać rzucała długi cień na rdzawym piasku. Walczył przez tyle godzin, że cały był już obolały. Dokuczał kłujący ból w draśniętym strzałą policzku.

Kołysał się w siodle zatopiony w myślach, wspominając bitwę. Wiele potyczek, trzy udane szarże naszych zastępów, dwa kontrataki Saracenów. Szybkie mają konie, ale nasze są mocniejsze. Straszni są z tymi swoimi diabelskimi łukami, ale my lepsi jesteśmy w walce wręcz.

Gdzież się oni, u diabła, podziali?

Chwilę wcześniej rozległ się niesamowity dźwięk rogu, po którym Saraceni gdzieś zniknęli, pozostawiając na plaży tylko trupy swoich wojowników, odróżniające się jaskrawą czerwienią, zielenią i żółcią szat. Słońce połyskiwało obojętnie na zbrojach i hełmach poległych w walce chrześcijan. Kręcili się już wokół nich braciszkuwie.

Saraceni nie pojechali w stronę Damiety, ale na południe, nie przekraczając Nilu. Rozglądał się za jakimś mostem, który łączyłby obydwie brzegi rzeki, ale nie dojrzał żadnego.

Poblask bijący od wód ujścia Nilu raził go w oczy. Rzeka w promieniach popołudniowego słońca rzucała refleksy niczym olbrzymia płyta miedzianej blachy. Piaskowożółte mury miasta na przeciwnym brzegu sprawiały wrażenie wysokich i solidnych. Przyglądał się warownym umocnieniom, zauważył, że miasto otoczone było potrójnymi murami z fosą. Ostatni, wewnętrzny pierścień, musiał mieć co najmniej piętnaście metrów wysokości. Doliczyl się siedemnastu kwadratowych wież obronnych. W czasie ostatniej wyprawy zdobycie miasta zabrało krzyżowcom niemal rok.

Teraz jednak nie było na wieżach i murach żywego ducha. Dziwne.

Rozpiął metalową zapinkę pod brodą i ściągnął hełm, pot przykleił do czaszki jego skórzaną wewnętrzną wyściółkę. Dotknął stalowego stożka zdobnego wilczym łbem i natychmiast cofnął dłoń. Metal był tak rozgrzany od słonecznego skwaru, że dosłownie parzył palce.

Jasne się stało, dlaczego Saraceni wiążą na hełmach turbany.

Mimo że obolały, posiniaczony i zmęczony czuł się dobrze. W czasie walki kładł jednego Egipcjanina po drugim i teraz to wspomnienie przejmowało go niewypowiedzianą radością. Nic się dla niego nie liczyło nad wojaczkę, nawet przyjemności, jakich zażywał z kobietami.

Kocham to. Moje serce się raduje, kiedy mogę siec tych pogan. Mógłbym zostać bohaterem wyprawy, gdyby takie były moje zamysły, ale inna czeka mnie wojna.

Usłyszał tętent kopyt za plecami i odwróciwszy się, ujrzał posłańca w królewskich kolorach. Czemu, u diabła, król nie zostawi mnie w spokoju?

Młodzik zeskoczył z konia i skłonił się nisko.

- Król przesyła pozdrowienia i prosi, panie, byście stawili się przed jego obliczem.

Almaryk ruszył wzdłuż szeregów uzbrojonych rycerzy prowadzących konie ku brzegowi Nilu. Był wściekły. Gdyby nie de Vency i ten templariusz, Ludwik mógł już być pośród swych ukochanych świętych. To przez Ludwika - przez jego powolność

wobec heretyków i łagodne rządy w Langwedocji - zginął Hugon. A kiedy Almaryk chciał godziwie odplacić za jego śmierć, to znowu przekłety Ludwik położył temu kres.

Muszę zasiąść na tronie.

Ludwik, z wykrzywioną twarzą, w rozdartym surkocie, siedział na swoim koniu w otoczeniu grupki rycerzy. Był ciągle podniecony, ale Almarykowi wydawało się, że poprzednie szaleństwo już minęło.

- Almaryku, nasi zwiadowcy donoszą, że bramy Damiety stoją otworem, i że nigdzie nie widać obrońców. Tyś najdzielniejszy pośród moich baronów, niech więc tobie przypadnie zaszczyt wejścia pierwszemu do miasta. Czy przejdziesz rzekę i przypuścisz atak?

Do krocset! Jeśli to zasadzka, już jestem trupem. Almaryk zacisnął dłonie na cuglach, twarz mu płonęła, próbował jednak skryć gniew.

Jego wzrok padł na trubadura de Vency, który na swoim kasztanku trwał u boku króla. Zawsze na jego widok miał ochotę przyłożyć mu miecz do gardła i zmusić, by wyjawiał, kto zabił Hugona. Śniada twarz de Vency'ego pod czarnym hełmem pozbawiona była wyrazu, ale Almarykowi wydało się, że dostrzegł błysk rozbawienia w tych dziwnych błękitnych oczach. Miło mu, że wystawiono mnie na niebezpieczeństwo. Ale to ja wrócę z Egiptu, a on zostawi tu swoje bielejące w piasku kości. On i Ludwik. Przysięgam, Ludwiku, że Egipcjanie poćwiartują twoje członki, rozetną ciało i będą jeść twoje serce.

- Jak każesz, panie - Almaryk oddał honory królowi i wrócił do swoich zastępów.

Nakazał d'Etampesowi, aby przygotował łodzie i wybrał dwunastu konnych oraz pięćdziesięciu pieszych. Jeśli Egipcjanie usiłovali wciągnąć krzyżowców do miasta, nie będą chcieli zdradzić się atakiem na tak mały zastęp.

Jadący za nim giermek wzniosł wysoko purpurowo-złoty sztandar Gobignonów. Almaryk wiedział, że wyda się krzyżowcom bohaterem, jeśli ruszy na Damietę z tak nielicznym oddziałem. Jednak na myśl o tym poczuł zimne dreszcze na plecach. Inną sprawą było rozkoszować się walką, inną wystawiać się na łatwy cel Egipcjanom.

W łodziach i barkach przepłynął ze swoimi ludźmi rzekę i wylądował pod murami Damiety. Nil był tu płytki, końskie kopyta zapadały się głęboko w brunatny, mulisty grunt brzegu. Nieco dalej w kierunku fosy widać było stłoczone, bezkształtne ceglane domy. Niewielkie drewniane przystanie dla łodzi były teraz puste. Nigdzie nie było też widać ludzi. Panująca wokół cisza wydała się Almarykowi niepokojąca.

Most zwodzony na fosie był opuszczony, główna brama do miasta otwarta jak w zwykły dzień targowy. Poczul dym i ujrzał na niebie nad miastem czarny całun. Może rzeczywiście wszyscy stąd uciekli, ale dlaczego?

Podniósł rękę, nakazując swoim ludziom, by ruszyli za nim. Pierwszy przez most przeszedł jego koń. Mocno uchwycił łęk siodła, by ukryć drżenie dłoni. Dzięki ci, Ludwiku, za honor, któryś mi uczynił. Jeszcze ci zań odpłacę.

Pomiędzy potrójnymi murami dojrzał długie szeregi budowli w kolorze błota, zwieńczonych małymi kopułkami. Uliczki były tu wąskie, kręte, niebrukowane. Większość domów miała tarasy wysunięte tak daleko, że ulice zamieniały się w tunele. Któreśdy jechać?

W oddali widać było różowe wieże, które zdawały się wskazywać centrum miasta. Żegnając się i polecając boskiej opiece, wybrał najszerszą z ulic prowadzącą w stronę wież. Kiwnął na swoich ludzi, by posuwali się za nim. Jechał wśród labiryntu ślepych tynkowanych murów, starając się nie myśleć o garncach wrzątku, strzałach, głazach, sztyletach, które mogły na niego czekać w tych zaułkach. Słyszał na Cyprze, że Saraceni posługiwali się bronią zwaną greckim ogniem. Była to substancja samozapalająca się przy uderzeniu w cel, której płomienia nie sposób było ugasić.

Miasto mogło być doskonałym miejscem na zasadzkę przygotowaną na pochwylenie i zniszczenie całej armii. Damietta wydawała się całkowicie wymarła, z wyjątkiem błakających się gdzieniegdzie bezpańskich psów.

Minuty wlokły się, jakby upłynęły całe godziny. Spływając potem, z ramieniem zeszywniałym od trzymania miecza w ciągłej gotowości, z napiętymi wszystkimi zmysłami, skręcił za róg, by wreszcie znaleźć się na dużym placu z meczetem pośrodku. Nad pełnymi majestatu, błękitnymi kopułkami świątyni, wznosiły się minarety,

które służyły mu za drogowskaz. Przepych budowli wzbudził w Almaryku spalić te mury, spalić. Nasi dobrzy księża będą chcieli, oczywiście, zamienić ją w kościół. O, Hugonie, gdybyś mógł być tutaj i odprawić mszę w tej zdobycznej świątyni.

Na placu zbici w grupki stali ludzie pierwsi, których napotkał w Damiecie, garstka mężczyzn, kobiet i dzieci. Mocniej zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

Na widok Almaryka zgromadzeni padli na kolana z wyjątkiem siwobrodego starca w czarnym burnusie, który wznosił w górę krzyż na długim drzewcu. Almaryk poczuł rozczarowanie. Mieliby to być chrześcijanie? Za ich plecami szemrała fontanna, która przypomniła mu, jak bardzo spragnionym uczyniły go bitwa i upał. Jeden z mężczyzn oddzielił się od grupki i podbiegłszy w stronę rycerzy, padł na twarz przed Almarykiem.

- Bądź błogosławiony, który przybywasz w imię naszego Pana! - wykrzyknął.

- Ktoś jest? - zapytał Almaryk, kierując koniec miecza ku jego plecom, na wypadek gdyby tamten miał się okazać mordercą przebranym za suplikanta. Ale czy Saracen mówiłby po francusku?

Leżący uniósł głowę. Twarz usiana siatką zmarszczek była ciemna jak twarz Egipcjanina, ale oczy były bladoniebieskie. Kiedy otworzył usta, by przemówić, Almaryk ujrzał, że brak mu przednich zębów.

- Nazywają mnie Maurycym, panie. Pochodzę z Vailly. Byłem żołnierzem w armii Jeana de Brienne, która przybyła tu, nie wiem już jak wiele lat temu. Kiedy zostaliśmy pobici pod Mansurą, mamelucy uczynili mnie swoim niewolnikiem.

- A ci ludzie? - zapytał Almaryk.

- To koptowie, egipscy chrześcijanie, którzy wyszli was powitać i oddać się pod waszą opiekę, panie.

Pozbywszy się podejrzeń, Almaryk skłonił się dwornie siwobrodemu starcowi w czarnym burnusie, który przeżegnał go gestem kapłana.

- Gdzie armia egipska? - pytał dalej Maurycego.

- Odeszli, panie. Kilka godzin temu ruszyli w górę Nilu. Tutejsi możnowładcy - wśród nich mój pan - przerazili się, że armia pozostawia ich na pastwę losu.

Podpalili arsenał, spichlerze, bazary i uszli w takim pośpiechu, że udało mi się skryć i pozostać w mieście. Wszyscy, z wyjątkiem tych chrześcijan, uciekli razem z garnizonem. Lękali się o swoje życie.

I mieli ku temu powody, pomyślał Almaryk.

Odczuł olbrzymią ulgę. Powoli wsunął miecz do pochwy, uwalniając wreszcie rękę od jego ciężaru. Żadnych zasadzek, żadnej walki. Miasto jest nasze. Moje. Dzięki ci, święty Dominiku!

- Damieta jest wasza, panie - powtórzył Maurycy głośno jego myśl, szeroko rozpościerając ramiona, śmiejąc się i płacząc równocześnie. Łzy spływały po pomarszczonej twarzy. - Wybaczcie, panie, jesteście pierwszym Frankiem, z którym mówię od czasu, kiedy mnie pojмали.

Almarykowi błysnęła myśl, że byłoby rzeczą pożyteczną mieć na swoich usługach człowieka, który przeżył tyle lat pośród Egipcjan. Ludwik miał wszak za tłumaczy de Vency'ego i templariuszy. Nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba się będzie układać potajemnie z wrogami.

Zsiadł z konia i przywołał do siebie d'Etampesa.

- Rozstaw strażę przy meczecie i pošlij ludzi, niech zatkną mój sztandar na najwyższej wieży miasta, by król i nasza armia mogli go dojrzeć.

Na chwilę Almaryk pozostał sam z Maurycem.

- Wstańcie, mistrzu Maurycy. Znacnie mowę Saracenów?

- Znam - odpowiedział Maurycy, niepewnie i powoli podnosząc się z ziemi. - Byłem nadzorcą wszystkich niewolników w domu mojego pana. Musiałem nauczyć się ich mowy. Powiedźcie, panie, czy wasza armia dość jest duża, żeby podbić cały Egipt?

- Taki jest nasz zamiar, niech Bóg nad nami czuwa - odpowiedział nabożnie Almaryk.

- Ilu was, panie?

Almaryk wzruszył ramionami.

- Trudno porachować. Każdego dnia tracimy jednych, inni przybywają, ale powiem, że jest sześć razy po tysiąc rycerstwa i dziesięć razy po tysiąc pieszego wojska.

Maurycy klasnął w dłonie i roześmiał się.

- Godna armia! Niech Bóg będzie pochwalony! Nic dziwnego, że Turcy uciekli. Czy przewoździe tej wielkiej wyprawie, panie?

- Jestem Almaryk, hrabia de Gobignon. Prowadzi nas król Francji.
 - Wielki król Filip August, który nam panował, kiedy opuszczałem Francję, pewnie już nie żyje?

- Ano nie - odpowiedział Almaryk, przybierając surowy wyraz twarzy - naszym królem jest teraz jego wnuk. Ja też jestem po kądzieli jego wnukiem.

Maurycy patrzył wzrokiem pełnym nabożnego lęku na wyraźnie usatysfakcjonowanego Almaryka.

- Z innej jest gliny też nasz król niż jego dziad - ciągnął Almaryk - nie będzie się czym radować, gdy więcej się o nim dowiecie. Przyjazny jest heretykom.

Maurycy wyglądał na wstrząśniętego.

- Heretykom? Król krzyżowiec? Jak to być może?

D'Etampes wracał już z meczetu.

- Nie mogę więcej rzec tu i teraz, mistrzu Maurycy. Opowiem wam o królu, gdy będziemy sami.

Zwrócił się do d'Etampesa - Dopilnuj, by ten stary dobry krzyżowiec traktowany był z należnymi honorami. Sam go odprowadzisz do naszego obozu i zanieziesz moje pozdrowienie królowi. Powiedz, że można bezpiecznie wejść do miasta.

Maurycy z Vailly wrócił do grupki chrześcijan zebranych wokół swojego kapłana, powtórzyć im rozmowę z Almarykiem. Ten natychmiast przywołał na powrót d'Etampesa.

- Nie spuszczaaj z oka tego starca, sire Guy. Niech nie rozmawia z nikim w obozie.

D'Etampes przytaknął i pojechał szukać konia dla starego. Teraz trzeba znaleźć największy dom w mieście, nim reszta tu przybędzie. Bodaj niech taką mam nagrodę.

* * *

XXII

Roland stał razem z królem, kilkoma baronami i rycerzami na stopniach budynku, który jeszcze tydzień temu był pałacem namiestnika Damiety. Była to duża, trzypiętrowa, chaotycznie zaplanowana budowla o białych ścianach, z lukami drzwi i obramieniami okien wykładanymi błękitnymi i żółtymi kafłami, otoczona wysokim murem, za którym krył się ogród z fontannami. Ze stopni przed głównym wejściem podziwiał piękno największego meczetu miasta po przeciwnej stronie placu.

Przednie straże Ludwika w górze Nilu doniosły, że dzisiejszego ranka ma przybyć dwóch wysłanników sułtana; Roland naraz oderwał się od podziwiania meczetu, na dziedzińcu pojawili się posłowie.

Z tego, co widział, mógł wnosić, że emisariusze przybyli bez broni. Nosili żółte turbany, długie zielone szaty, czerwone sute spodnie i skórzane buty z zadartymi nosami. Trzeci mężczyzna, najwyraźniej ich sługa, trzymał się w tyle. Wziął trzy konie i stanął z boku. Roland zauważył, że obydwaj wysłannicy, wysocy i jasnoskórzy, bardziej wyglądali na Europejczyków niż na Turków.

- Muszą to być mamelucy - odezwał się.

Raul de Coucy, który stał koło niego, rzekł: - Słyszałem już to słowo wcześniej, ale nie wiem, co oznacza.

- „Biały niewolnik”. Turcy w Rosji i na Dalekim Wschodzie biorą w jasyr chłopców, których przyuczają na wojowników. Są niewolnikami sułtana i fundamentem jego wojsk.

- A tamten? - De Coucy wskazał brodą na służącego. - Tamten nie jest biały.

Rzeczywiście, trzeci z przybyłych miał dziwny wygląd. Był równie wysoki jak

dwaj pozostali, ale jego skóra była ciemno-brązowa, kości policzkowe wydatne, nos płaski, a oczy lekko skośne. Chociaż większość ludzi Wschodu, których Roland spotkał, miała ciemne włosy i brązowe oczy, wąsy tego człowieka były rude, jedno oko niebieskie, drugie przysłonięte bielmem - zapewne od ciosu mieczem.

- Może to Tatar - odpowiedział na pytanie de Coucy'ego - powiadają, że i z nich robią mameluków.

Wysłannicy składali właśnie ceremonialny ukłon królowi. Jeden z nich wypowiadał kwieciste pozdrowienie po arabsku. Nie brak im dworności, pomyślał Roland.

Posel zdobył zza haftowanej szarfy, którą przepasana była jego szata, zwój pergaminu. Ludwik dał znak, by się zbliżył, Roland zdwoił czujność. Nazbyt jest ufny. A jeśli w zwoju ukryty jest sztylet?

Król odebrał pismo i złamał pieczęć. Mameluk z pokłonem cofał się na swoje miejsce. Ludwik spojrzawszy na pergamin, przywołał Rolanda.

- Przeczytasz to?

Zaczął oglądać list opatrzony pieczęcią sułtana As-Sahila Ayuba i noszący u dołu jego podpis kreślony grubymi pociągnięciami pióra. Szybko przebiegł wzrokiem pismo.

- Wygraliśmy, panie, w piśmie jest prośba o zawarcie pokoju.

Ludwik wyglądał na zaskoczzonego i zakłopotanego.

- Czytaj na głos.

Zdanie po zdaniu, Roland przekładał kwiecistą arabszczyznę. Po wstępnych uskarżaniach się na francuską inwazję, sułtan dawał własną wersję wydarzeń prowadzących do zajęcia pięć lat temu Jerozolimy przez jego głównodowodzącego Bajbarsa Panterę. W końcu doszedł do istoty sułtańskiego posłania.

„Zostaw nasze miasto Damietę całe i w pokoju. O, królu Franków, żegluj precz z naszej rzeki Nil, a otrzymasz wszystko, czego szukasz. Zwrócimy Jeruzalem, Betlejem, Nazaret i Galileę. Tak uczynimy, gdyż Allah nade wszystko miłuje pokój”.

Ogarnęła go taka radość, że ręce zaczęły mu drżeć, nim doszedł do końca pisma. Sułtan ofiarowywał wszystko, po co przybyli - wszystkie święte miejsca Palestyny. Nie ma potrzeby dalej walczyć.

Ludwik może powrócić do Francji. Będzie bezpieczny i bezpieczne będzie królestwo.

I ja także zachowam życie - pomyślał, nie dowierając. Nicoletta i ja będziemy mogli być razem. Znajdziemy jakiś sposób, by podolać Almarykowi.

Ludwik wyjął mu z rąk zwoj, przywołując do rzeczywistości. Tłum znacznie zgęstniał w trakcie jego czytania. Na dziedzińcu ćwiczyli rycerze, przy bramie cisnęli się ciekawymi mieszkańcy Damiety. Nabrawszy przekonania, że krzyżowcy nie wytną ich jednak w pień, powrócili do swoich domów w ciągu tego tygodnia, który upłynął od zajęcia miasta. Służący mameluków krążył po dziedzińcu, łypiąc swoim jednym okiem na rycerzy, na ich broń i na samego króla.

Po chwili wahania Ludwik się odezwał: - Sire Rolandzie, powiedz posłom, że muszę się naradzić z moimi baronami. Zaopiekuj się nimi, niech im na niczym nie zbywa.

Odrzucił się i wszedł do pałacu, za nim pospieszyli bracia Karol, Robert i inni wielcy panowie.

Raul de Coucy chwycił Rolanda za ramię.

- Za miesiąc mógłbym być w domu, z moją żoną - uśmiechnął się zachwycony i poszedł na królewską naradę.

Roland czuł, że jego radość ustępuje zaniepokojeniu. W twarzy Ludwika nie dostrzegł śladu gotowości na przyjęcie propozycji sułtana. Należało je rozważyć, oczywiście. Upewnić się, że to nie sprytny podstęp, pomyśleć o układach i gwarancjach.

Ale przecież Ludwik powinien okazać bodaj trochę radości.

Czyżby chciał dalej walczyć?

Roland postanowił iść za królem i namawiać do pokoju, jeżeli w ogóle pokój potrzebuje poparcia.

Przekazał królewską odpowiedź mamelukom, którzy skłonili się i usiedli w kucki na kamiennych płytach tarasu, grzecznie, acz zdecydowanie dziękując za wszelki poczęstunek. Zrozumiał ich intencję. Nie będą przyjmować gościny od wroga. Byli tak dworni, że trudno było o nich myśleć jak o wrogach. Coś dziwnego było w ich spokoju, coś, co w nim wzbudzało niepokój.

Sala audiencyjna pałacu była duża, okrągłą komnatą o łukowatym sklepieniu wspartym na kolumnach. Ponieważ Islam zakazywał przedstawień z natury, ściany

pokrywały dekoracyjne mozaiki o delikatnych wzorach, tak wyszukanie wykwintnych, że po dłuższej chwili wpatrywania się w nie Rolanda rozboleły oczy. Słońce wpadało przez świetliki, a oświetlenia, na ile trzeba, dopełniały lampy oliwne z fili-granowanym mosiądzu.

Kiedy Ludwik zajął pałac, trzeba było przede wszystkim pomyśleć o stołach i krzesłach. Teraz król zajął stolec z najwyższym zapiekiem. Radzący zasiedli kręgiem przy wielkim stole.

Rozłożyli przed sobą mapę Egiptu wyrysowaną na wielkiej płachcie pergaminu. Odłupane ze ścian kafle służyły za przyciski umieszczone w jej czterech rogach.

- Stąd tylko pięćdziesiąt mil do Kairu - mówił Robert d'Artois, kiedy Roland wszedł do sali. - Bóg oddał ziemię egipską w nasze ręce.

Połowa baronów, jak się szybko zorientował, chciała iść na Kair. Łatwość, z jaką sułtan szedł na ustępstwa, była dla nich najlepszą oznaką jego słabości, co więcej, nie dowierzali, że dotrzyma dawanych przyrzeczeń.

Ponadto, jakkolwiek zaprzysiężonym celem wyprawy było odbicie z rąk niewiernych świętych miejsc, ci ludzie, jak widział, chcieli najwyraźniej czegoś więcej. Chcieli ziemi, złamania muzułmanów.

Almaryk wyraził ich intencje w jednym zdaniu.

- Sire, z niewiernymi trzeba walczyć, miast się z nimi układać.

W miarę jak zabierali głos, Roland był coraz bardziej zaniepokojony. Nie mając prawa głosu, chyba że pytany, zmagał się ze sobą, by zachować spokój.

Jednym z tych, którzy domagali się przyjęcia propozycji sułtana, był Wilhelm de Sennac, wielki mistrz templariuszy, superior Gwidona.

- Droga do Kairu tak pełna jest wrogów i innych niebezpieczeństw, jak piekło pełne diabłów - przestrzegał siwobrody templariusz. - Nil może wylać w każdej chwili. Jeśli postąpimy naprzód, niemal pewne jest, że ugrzęźniemy i zginiemy. Jeśli zamkniemy się w mieście, letni skwar i egipskie plagi zabiorą wielu z nas. Możemy ruszyć na Kair tylko wówczas, gdy będziemy pewni, że nasze siły są większe od sił wroga.

Ku zdaniu wielkiego mistrza skłaniali się co ostrożniejsi panowie - młodszy brat królewski, Karol d'Anjou, Raul de Coucy i jeszcze kilku baronów.

Spór ciągnął się przez cały ranek, aż wreszcie dopiero co zawieszono w minarecie dzwony wydzwoniły sekstę, obwieszczając południe.

Wreszcie przemówił król.

- Wiele żywotów ludzkich zależy od mojego postanowienia.

Jest moim obowiązkiem wysłuchać was wszystkich. Sire Rolandzie, wiesz dużo o Saracenach. Cóż myślisz o ich propozycji?

Roland poczuł, że serce mu rośnie. Święty Michale, jeśli kiedy potrzebowałem obrotowego języka, to nigdy bardziej niż teraz.

Postąpił w stronę stołu i spojrzął w twarze zebranych. Napotkał wzrok Almarchy, Wilhelm de Sennac spoglądał wyczekująco. Twarz króla pozostawała nieodgadniona. Boże, jakże przemówić do niego?

- Rycerze islamu są dumnymi ludźmi, ludźmi honoru, którzy prędzej zginą, niż mieliby złamać dane słowo.

- I my tak myślimy - przytaknął templariusz.

- To oszuści i złodzieje - sarknął z pogardą Almaryk.

Roland poczuł, że oblewa go fala gorąca, powściągnął jednak gniew.

- Sire, mówiłem z ludźmi, którzy mieszkają w tym mieście, z chrześcijanami i muzułmanami. Wszyscy powiadali to samo, że zdobyliśmy miasto czystym trafem. Damieta mogłaby się bronić nawet i rok, gdyby jej żołnierzy nie ogarnęła panika, kiedy armia sułtana zaczęła się wycofywać. Słyszałem, że sułtan kazał powiesić trzydziestu tutejszych dostojników. Nie wolno nam myśleć, że się nas lęka, czy jest zbyt słaby, by stanąć przeciw nam do boju.

- Czy mamy słuchać byle pogłosek powtarzanych przez tych, którzy trzymają z niewiernymi? - prychnął znowu Almaryk.

Rolanda świerbiła dłoń, żeby chwycić za miecz.

- Nie mówiłbym tak, hrabio - odezwał się spokojnie Ludwik - jeśli któryś z naszych rycerzy może się czegoś dowiedzieć od tutejszych ludzi, powinniśmy tego wysłuchać.

Ludwik przestał jednak zwracać uwagę na Rolanda i trubadur umilkł z okropnym uczuciem, że powiedział nie dość. Król zwracał się teraz po radę do innych zebranych. Wielu uważało, że następna potyczka z Egipcjanami nie będzie już rzeczą równie łatwą.

Kiedy wysłuchał już wszystkich, a kilku nawet kilkakroć, król przemówił.

- Modliłem się i rozważałem. Prawdą jest, że przeczekiwanie wylewu Nilu w Damiecie może osłabić nasze siły. Na próbę wystawione będą nie tylko ciała, ale i dusze naszych ludzi. Jesteśmy tu zaledwie tydzień, a wszędzie wokół pełno już burdeli.

Roland przyłączył się do zbiorowego śmiechu. Ludwik uciszył towarzystwo, spoglądając wokół surowo. Nie miał zamiaru żartować.

Mówił dalej w ciszy, która zaległa pod jego rozgniewanym wzrokiem.

- Jest też prawdą, że nie powinniśmy oczekiwać następnego jednako łatwego zwycięstwa i zdobycie Damiety trzeba uznać za cud opatrności. Dziękujemy Bogu, że tak niewielu oddało za nią życie. Nie upatrujmy w tym ślepego trafu.

Roland pojął, że król czynił przytyk do niego. Ludwik otarł pot z czoła rękawem surkotu.

- Będziemy silniejsi, gdy wody Nilu opadną. Z posiłkami idzie brat nasz Alfons. Zaczekamy na niego, utrzymując Damiętę i nim pomaszerujemy dalej, zbudujemy barki rzeczne i miotacze kamieni. - Przerwał i rozejrzał się wokół.

Wojna miała zatem toczyć się dalej. Roland był zrozpaczony. Ludwik ciągnął dalej.

- Z ciężkim sercem mówię te słowa, bo oznaczają śmierć wielu godnych mężów. Oddadzą wszak życie za wiarę i Pan powoła ich do siebie. Nie pragniemy, hrabio Almaryku, łatwego pokoju. Powiedziałeś przed chwilą, że z niewiernymi trzeba walczyć, a nie układać się, ja rzekłbym, że najpierw trzeba z nimi wojować, a później układać.

Musimy im zadać taki cios, by nigdy już nie wyciągnęli ręki po Jerozolimę. Dopiero wtedy możemy zawierać bezpieczne traktaty.

Ludwik wstał i zwrócił się do Rolanda, który miał wrażenie, że bierze udział w jakiejś uroczystości żałobnej. Popatrzył na króla, na jego wysoko podniesioną głowę, palającą uniesieniem twarzy. Jego „jerozolimski” wyraz twarzy, Boże, miej nas w opiece!

- Powiedz posłom, że chcemy Jerozolimy, ale nie za Damiętę. Powiedz im, że kiedy weźmiemy Kair, oddamy go za Jeruzalem.

Roland zamknął oczy, czuł się tak, jakby ktoś obwieszczał mu wyrok.

Baronowie wznosili radosne okrzyki. Teraz wszyscy powstali. Wszystkich, z wyjątkiem wielkiego mistrza templariuszy, nawet tych, którzy wcześniej przychylali się do przyjęcia warunków sułtana, ogarnął entuzjazm. Wierzą mu, pomyślał Roland.

Kocham go i umrę za niego, ale wiem, że błędzi i przyjdzie mu zapłacić straszna cenę.

Almaryk uderzył pięścią w mapę Egiptu i wykrzyknął pełną pierśią.

- Na Kair!

Ze stołu spadł kafel i rozbił się o podłogę.

- Na Kair! - Robert d'Artois podjął za nim okrzyk, który podchwycili inni, tupiąc i potrząsając wzniesionymi pięściami. Ludwik stał między nimi ze złożonymi dłońmi i głową pochyloną w modlitwie.

Kiedy Roland powrócił do czekających na dziedzińcu mameluków, zastał ich stojących z ponurymi twarzami, mogli nie rozumieć francuskiego, ale nie sposób było nie pojąć znaczenia dochodzących z wnętrza okrzyków. W jednym oku ich sługi błyskały iskierki rozbawienia. Rozbawienia? Czemu ten człowiek tak się raduje z niepowodzenia ambasadorów?

Roland chciał nieco złagodzić słowa królewskiej odpowiedzi, ale nie mógł tego uczynić, żeby nie wkradła się w nie nuta fałszu. Powiedział po arabsku:

- Mój król i pan każe przekazać, że da miasto za Jeruzalem, miastem tym nie będzie wszak Damietta, lecz Kair.

Wysoki, jednooki służący wybuchnął głośnym śmiechem. Puścił wolno konie emisariuszy i skoczył na swojego araba. Siedział spokojnie, nie ujmując cugli. Mamelucy również siedli na konie, patrząc na niego wyczekująco.

- List naszego sułtana mówi, że Allah nade wszystko miłuje pokój - odezwał się Tatar, dziwnie akcentując arabskie słowa - ale to nieprawda. Islam jest wiarą wojowników.

Spojrzał ponad głowę Rolanda i przesłał pozdrowienie komuś za jego plecami. Na schodach pałacu stał król Ludwik. Oto, sire, twój przeciwnik. Mądry, dzielny, bez lęku.

- Powiedz królowi Franków, że spotkamy się na placu zwycięstwa - rzekł Tatar, kierując konia ku bramie.

Pełen złych przeczuć, Roland był niemal pewien, że wojna obróci się w straszliwą

klęskę. Kimkolwiek był ten Tatar, nigdy przedtem nie spotkał człowieka równie onieśmielającego i budzącego pełen szacunku lęk.

Trzech wysłanników opuszczało dziedziniec. Roland poszedł za nimi ku bramie. Przegalopowali przez plac, obok meczetu o błękitnych kopułach, który teraz, poświęcony Przenajświętszej Dziewicy, pełnił rolę katedry. Tatar wydał przyprawiający o dreszcze, wysoki, wibrujący, niesamowity okrzyk bojowy, niczym krzyk drapieżnego ptaka. Długo jeszcze po tym, gdy umilkł tętent kopyt arabskich koni, dźwięk ten zdawał się wisieć w powietrzu nad placem.

Stał wpatrzony w chmurę pyłu, którą zostawili za sobą trzej jeźdźcy, szepcząc cicho arabskie słowo oznaczające zwycięstwo.

Mansura.

* * *

XXIII

Zmęczony upałem Roland szedł przez obóz w stronę namiotu króla. Zatrzymał się w miejscu, gdzie ścieżka schodziła nad rzekę. Namioty krzyżowców ciągnęły się wzdłuż brzegu w kierunku północnym. Jaskrawe kolory, wypłowiałe po miesiącach obozowania, przybrały szarobury odcień. Obóz przypominał pole usiane rdzawymi kapeluszami grzybów, które wyrosły niespodzianie na nabrzeżnych mokradłach delty Nilu. W górze widać było żalosne resztki mostu z łodzi, który w daremnym trudzie usiłowali zbudować krzyżowcy. Pozostały z niego tylko sprawiające groteskowe wrażenie, wystające ponad wodę ozebrowania.

Patrzył na brunatne wody Nilu, szerokiego w tym miejscu na trzysta metrów, obojętnego na obecność krzyżowców. Na przeciwnym brzegu wzniesione z żółtej cegły mury Mansury powtarzały swoimi załomami rysunek linii brzegowej. W płaskim pejzażu wyglądały jak jakiś wspinały łańcuch górski poprzecinany przysadzistymi, kwadratowymi wieżami. Na północ i na wschód od miasta Roland mógł dojrzeć zieleniejące pola, na których, jak co dzień, pracowali egipscy fellachowie, zdający się ignorować obecność najeźdźców obozujących na przeciwnym brzegu i zaopatrujący Mansurę we wszystkie potrzebne zapasy.

Czyżby był to rzeczywiście styczeń? Jakie to dziwne, że pola rodzą tu przez cały rok. Słońce grzało tak jak w Langwedocji w sierpniu.

Opędzał się od much, siadających mu na spoconej twarzy.

„Tylko pięćdziesiąt mil do Kairu” - dźwięczały mu w uszach słowa Roberta d'Artois wypowiedziane w czerwcu roku tysiąc dwusetnego czterdziestego dziewiątego, w tydzień po tym, gdy wzięli Damietę, sześć miesięcy temu. Tyle czasu zajęło

nam przebycie połowy tej drogi, a teraz zatrzymali się pod Mansurą. Miesiąc już tkwimy w tym samym miejscu.

Mansura - zwycięstwo. Dobrze, że nie powiedziałem nikomu, co oznacza to słowo.

Dotarł do żółto-niebieskiego namiotu Ludwika, dwóch wartowników oddało mu honory. Z przyjemnością zanurzył się w chłodnym cieniu. Skłonił się przed królem, który wskazał mu ręką na poduszkę.

Ludwik leżał chory i wyczerpany na tureckim tapczanie, który przypląnął łodzią z Damiety. Miał zlepione potem włosy, niezdrowo zaczerwienione oczy i różowe obwódki wokół powiek - objawy dolegliwości, która męczyła wielu krzyżowców i od której wielu utraciło już wzrok. Mały chłopiec egipski odganiał wachlarzem muchy.

- Słyszałem, że Saraceni są biegli w czarnej magii, ale dopóki nie ujrzałem ognistej broni, która zniszczyła dzisiaj nasz most, nie dawałem temu wiary. - Król mówił prawie niedosłyszalnie, smutnym, słabym głosem.

- To nie magia, sire, ale alchemia.

- Alchemia? Co o tym wiesz, de Vency?

- To broń, którą wymyślili konstantynopolscy Grecy. Mikstura z oleju i różnych innych substancji. Dokładny przepis trzymany jest w tajemnicy. Pali mocniej niż zwykły ogień, przywiera do wszystkiego, na co padnie, i nie sposób go ugasić. Widziałem, jak raz pokazywano go na cesarskim dworze.

Ludwik wyglądał na zaskoczonego.

- Powiadasz, że cesarz go używa? Nigdy o tym nie słyszałem.

Roland potrząsnął głową, przypominając sobie, jak grecki ogień wstrząsnął nawet władcą Świętego Cesarstwa Narodu Niemieckiego, człowiekiem, który nie zwykł mieć skrupułów ani odczuwać lęku.

- Nigdy go nie użyje, panie, powiada, że zbyt okrutny.

- Prawda! - potwierdził Ludwik, zaciskając pięść. - Ale jeśli ten grecki ogień nie jest dziełem czarownicy, to i tak diabelska to robota. Nie przestaję płakać, kiedy myślę o tych nieszczęśnikach spalonych dziś rano żywcem na moście. Widziałeś to? Nawet woda zdawała się stawać w płomieniach. - Umilkł i otarł zaognione oczy. -

Gdybym tylko mógł dostać tych dzikich pogan, przejść rzekę i stanąć z nimi do walki wręcz. Gdyby tylko znalazł się człowiek, który wskazałby nam bród, zostałyby kozetablam Francji. Musimy skończyć tę wojnę.

Roland poczuł pretensję i żal do króla. Na usta cisnęły mu się gorzkie słowa: „Mogłeś ją już skończyć pół roku temu!” Teraz jednak było za późno.

Wiedział, że znaleźli się w punkcie zwrotnym. Egipcjanie wszystkimi siłami bronili Mansury. Gdyby Ludwik złamał Saracenów tutaj, mógłby iść na Kair i zwyciężyć. Jednak z każdym dniem siły Egipcjan rosły, krzyżowców zaś słabły. Jeśli wróg zatrzyma tu Ludwika wystarczająco długo, zwycięży.

- Wszyscy chcemy kresu tej wojny, sire - powiedział cicho.

- Kiedy myślę o umiłowanej królowej Małgorzacie, która czeka w Damiecie pod ochroną ledwie garstki rycerzy. - Myśl Ludwika najwyraźniej błędziła w innych regionach. - Czym ci mówił, że jest brzemienista? - uśmiechnął się czule. - Nawet w czasie wojny życie toczy się swoją koleją.

I gdybyś bardziej miłował życie niż tę twoją przeklętą świętą wojnę, wyprowadziłbyś nas stąd już dzisiaj, pomyślał Roland.

Zastanawiając się, jak mocne jest jego własne umiłowanie życia, Roland wspominał ostatnią noc z Nicolettą. Następnego dnia - sześć miesięcy temu - krzyżowcy ruszali w górę Nilu. Almaryka, który szedł w awangardzie, już nie było. Oboje więc postanowili, że ten jeden, może ostatni raz, muszą złamać daną sobie przysięgę o niespotykaniu się w Ziemi Zamorskiej.

Egipska dziewczyna, którą Nicoletta wzięła na służącą, powiedziała jej o sekretnym miejscu na wysepkach w delcie Nilu. Na jednej z nich przetrwały ruiny świątyni poświęconej niegdyś wielkiej bogini. Prawowierna muzułmanka na wszelki wypadek odżegnała się ode złego w geście łączącym mały palec z kciukiem, przyznała jednak, że czasami niewiasty z Damiety wymykały się tam po zmroku, prosząc o radę i pomoc w miłosnych strapieniach.

- Ruiny są na wzniesieniu. Będziecie, pani, stamtąd widzieć całe miasto. Łatwo dojrzeć, gdy ktoś nadchodzi, a wysokie trawy wokół ruin dobrze kryją przed niepożądanym wzrokiem.

Wzięli małą łódkę, którą Roland przepchnął bosakiem przez zarośnięte szuwarami kanały przecinające mokradła delty. Kiedy wyruszali, wschodził właśnie sierp księżycy. Gdy dotarli na wyspę, zdążył już przebyć ćwierć swojej nocnej drogi po nieboskłonie.

Kochali się koło białej, złamanej kolumny, pod wielkimi, jasnymi gwiazdami Egiptu. Później odczytywali ryte w marmurze płaskorzeźby, zgadując, jakie czyny starożytnej bogini zostały w nim utrwalone.

- Kiedy już ruszysz, będę tu czasami przypląwała, żeby myśleć o tobie. - Ujęła jego ręce w swoje dłonie i ścisnęła mocno, aż zaboląło.

- Będę myślał o tobie, gdziekolwiek będę.

- Boję się.

- Od Turków będzie cię dzieliła nasza armia - powiedział, chcąc w nią tchnąć trochę otuchy, której mu także brakło. O ciebie się lękam. Jeśli cokolwiek tobie się stanie, nie będę dbała, czy ujdę z życiem.

Teraz on mocniej ją uściskał.

- Słuchaj mnie uważnie - zaczął ze złością zrodzoną na myśl o każdej śmierci - nie chcę więcej słuchać o tym, że nie dbasz. Ta gotowość do umierania szerzy się niczym plaga. Ludwik i wszystkie jego zastępy przybyli tu gotowi oddać ducha. Dość będzie.

Chcę żyć i chcę ciebie widzieć żywą. Mam zamiar przeżyć i wrócić do ciebie, a ty masz żyć i czekać na mnie. To moje śluby i żądam, byś ty uczyniła takie same.

Uwolniła dłonie z uścisku i zarzuciła mu na szyję.

- Tak, w tym świętym miejscu przeznaczonym bogini, przysięgnijmy, że będziemy żyć.

* * *

- Pytałem moich baronów o radę - Ludwik przerwał marzenia Rolanda. - Kuzyn Almaryk mówi, żeby pobudować nowy most z kamieni zamiast z drewna.

- Trudno o kamień na tych mokradłach, sire. Nawet jeśli zbierzemy go dość, Saraceni ponownie mogą użyć greckiego ognia, będziemy tracić dziesięciu ludzi za każdy krok pracy.

- Hrabia de Gobignon powiada, by użyć fellachów, na co mu odrzekłem, że to niegodne chrześcijańskich rycerzy, tak niegodne jak gdybyśmy mieli użyć greckiego ognia.

Który został wymyślony przez chrześcijan, pomyślał Roland, ale powstrzymał język za zębami.

Ludwik wstał. Wyprowadził Rolanda z namiotu. Popołudniowe słońce raziło nierzeczywiście okrutny grecki ogień, o którym właśnie mówili. Znajdowali się na wąskiej grobli dzielącej rzekę od szerokiego kanału. Zieleń rosła tu bujnie, ale zaraz nie opodał, na wschód i na zachód od nich, rozciągała się tylko pustynia.

Za linią namiotów Roland dojrzał szereg sunących brzegiem drewnianych machin, przypominających dziwne, długoszyje, afrykańskie bestie.

Miotacze kamieni. Ludwik posłał po nie miesiąc temu, kiedy krzyżowcy dotarli pod Mansurę. Tyle czasu zajęło zbudowanie i przetoczenie ich tutaj.

Ich potężny wygląd obudził w Rolandzie nową nadzieję. Te wielkie konstrukcje mogą jeszcze obrócić oblężenie Mansury - a zatem i los całej wyprawy - na ich korzyść.

- Tylko tak możemy walczyć z tymi pomiotami szatana - odezwał się Ludwik. - Zamiast budować most z kamieni, pošleme przeciw nim kamienie. Nasze maszyny, Bogu niech będą dzięki, są potężniejsze od egipskiej broni. Z ich pomocą przypuszczimy atak, pod którego osłoną nasze zastępy przejdą rzekę.

- Wszelako nasze miotacze mają jedną słabość, sire. Są drewniane.

Zastanawiał się też, gdzie wśród tych moczarów znajdą do nich amunicję.

- Prawda, ale dzień będzie się chylił ku końcowi, nim wszystkie staną na swoich pozycjach - mówił Ludwik - a dzisiejsza noc może się okazać bardzo sposobna do ataku. Kuzyn Almaryk i tu miał coś do powiedzenia. Ty, spośród wszystkich naszych rycerzy, najlepiej poznałeś Saracenów, więc ty weźmiesz dowództwo zastępu, który będzie strzegł machin przed wrogiem.

A więc Almaryk skazał go niemal na pewną śmierć. To prawda, że Saraceni przypuszczają atak, że będą próbowali zniszczyć maszyny.

- Uczynię, jak każecie, ale nie ma żadnej obrony przed greckim ogniem.

Ludwik uśmiechnął się wcale tym nieporuszony.

- Z bożą pomocą może uda nam się zniszczyć ich miotacz ognia, nim się dzień skończy. Jeśli nie, skropimy nasze maszyny wodą ze studni świętego Dionizego. To

pomoże, jeśli jest w tym greckim ogniu coś z diabelskiej roboty.

Rolandowi policzki zapałyły z gniewu.

- Tyle będzie z tego dobrego co i z wody w Nilu.

Przerażony własną zuchwałością, klął się, że taki jest porywczy w języku.

Ludwik w pierwszej chwili zdawał się zaskoczony, potem rozbawiony, w końcu się roześmiał.

- Wy, ludzie z Langwedocji, zbyt jesteście nieufni. Szczęśliwi jak my, którzy wierzą w cuda.

- Nie zawiodę was, sire, ale Egipcjanie są wszędzie wokół, mogą uderzyć z każdej strony.

Uśmiech zniknął z twarzy Ludwika.

- Nazbyt się lękasz, mój panie. Powzięliby Saraceni taką myśl, zaatakowałyby nasze maszyny już w drodze z Damiety. Jeszcze mniej podobna, że uderzą teraz, kiedy maszyny są już w obozie.

- Radziłbym więc, sire, rozkazać, aby cały obóz był w gotowości - napierał Roland, dotknięty tym, że król zwątpił w jego odwagę.

- Wielki atak przypuścimy jutro - odpowiedział Ludwik już zirytowany - gdy tylko maszyny uporają się ze swoim dziełem. Niech ludzie odpoczną. - Spojrzał uważnie na Rolanda. - Panie Rolandzie, wiem, że hrabia Almaryk wskazał na ciebie w złej myśli, ale przystałem na jego radę, bo naprawdę nie ma u nas zdaniejszego rycerza do tego zadania. Nie wierzę, żebyś miał zginąć, ale jest przecież moim obowiązkiem posyłać wojowników na śmiertelne niebezpieczeństwo. Moi ludzie będą cię strzec, a w razie zdrady Almarykowi przyjdzie za nią zapłacić.

- Rozumiem, sire - dalsza dyskusja zdałaby się wykręcaniem od rozkazu.

Kiedy jednak zobaczył w wyobraźni ogniste pociski przelatujące z ogłuszającym świstem ponad rzeką i zapalający płyn rozpryskujący się na belkach machin, oblał go zimny pot.

Roland wpatrywał się bez ruchu w płomień. Czarny pierścień na odmierzającej godziny świecy przemienił się w szarą płynną masę spływającą w dół woskowymi strużkami zastygającymi na bieli.

Czas sprawdzić posterunki.

Wstał, od wilgoci w powietrzu odezwał się ból w prawym ramieniu. Wyszedł ze swojego maleńkiego namiotu ustawionego na niewielkim wzniesieniu, na wprost linii machin. Gwiazdy nad głową przypominały śnieżynki białego ognia.

Poczuł się nieco raźniej na myśl, że miotacze są oddzielone od Nilu niezliczonymi szeregami namiotów i drewnianą palisadą obozu. Był zadowolony, że udało mu się namówić Ludwika, by nakazał ustawić maszyny poza zasięgiem greckiego ognia. Dowodzony przez Rolanda oddział przeciągnął je tu z głównego obozu i otoczył, tworząc jakby oddzielny mały obóz dla ich ochrony.

Była to mordercza praca i ulgą byłaby świadomość, że teraz przez całą noc będą mogli bombardować mury Mansury, zabrakło im jednak kamieni.

Tak czy inaczej ogarnęło go całkiem miłe uczucie, kiedy bezbłędnie trafili w miotacz greckiego ognia!

Uśmiechnął się w noc na to wspomnienie. Głuche uderzenie przeciwwagi o piach. Głaz wielki niby galon wina z łomotem przetaczający się ponad rzeką. Wydawało się, że leci tak powoli. Wstrzymał oddech.

Na moment przed upadkiem, zdało się, gwałtownie przyśpieszył.

Saraceni nawet nie drgnęli sparaliżowani strachem.

Głaz runął w dół. Szczapy z rozłupanej maszyny rozprysły się na wszystkie strony.

Roland krzyknął z zachwytu, cieszył się cały obóz.

Wokół maszyny z rozbitych naczyń z greckim ogniem wypływała ich śmiercionośna zawartość, zamieniając cały oddział Egipcjan w żywe pochodnie.

Przypomniało mu to o Dianie i o Mont Ségur, poczucie triumfu ustąpiło smutkowi.

- Kto idzie? - krzyknął wartownik.

- Sire de Vency.

Sierżant, jeden z budowniczych miotaczy kamieni, a teraz jeden z obsługujących je, pozdrowił go. - Wszędzie cisza, sire Rolandzie. Możecie, panie, odpocząć. Świt dopiero za kilka godzin, żaden poganin nie odważy się teraz zbliżyć do naszych panienek. - Spojrzał z czułością na stojącą najbliżej maszynę.

Roland wiedział, że wszystkie miały swoje imiona, były tam Alix, Beatrice, Iolanta.

- Teraz najciemniejsze godziny nocy, wszędzie wokół mamy wroga. Uważajcie. - Spojrzał na pochodnie przywiązane do wysokich pali otaczających machiny. - Niech łuczywa płoną cały czas, wypalone zaraz wymieniać, żeby nie mógł się tu podkraść ktoś niezauważony. I pamiętajcie, że światło wokół machin przeszkadza dojrzeć cokolwiek w ciemnościach poza nim.

Sierżant przywołał gestem swoich ludzi czuwających z łukami na granicy oświetlonej połąci razem z siedmioma, którzy pozostali z dziesiątki Rolanda.

- Każdego Saracena, który będzie próbował się tu przekraść, przemienimy w poduszkę na szpilki. Damy radę wszystkiemu krom tego ich ognia. Niech będą dzięki świętej Genowefie, że go zniszczyliśmy. Gdyby nawet mieli inny, nie sięgnie nas tutaj. Od wypadku mamy garnce z wodą przy każdej machinie.

- Woda tylko podsyca grecki ogień.

- Prawda, ale rozcieńcza jego warstwę i łatwiej go wtedy gasić.

Oto głowa. Ten człowiek jest równie dobrym żołnierzem jak budowniczym.

Z ciemności nagle wyłonił się siwowłosy starzec, który powiadając, że jest łucznikiem, podszedł prosto do Rolanda z ręką uniesioną w pozdrowieniu. Roland rozpoznał w nim Maurycego, starego krzyżowca odnalezionego przez Almaryka w Damiecie. Nosił czerwoną tunikę jak większość ludzi Almaryka, pas zdobiony srebrem, a przy nim sztylet w wysadzanej kamieniami pochwie. Cóż, widać, że Almaryk dobrze go traktuje.

- Przyszedłem popatrzeć na wasze wspaniałe maszyny, wasza wielmożność - wyjaśnił, szczerząc w uśmiechu bezzębne zęby. - Są o wiele większe niż te, które budowało się za moich czasów, kiedyśmy jak teraz oblegali to miasto. Idę o zakład, że rankiem obrócimy Mansurę w gruzy.

- Nie powinniście tu chodzić po nocy, starcze - napomniął go szorstko Roland.

- Co noc Beduini zabijają kilku naszych ludzi.

Przypomniał sobie ze smutkiem, jak kilka miesięcy wcześniej pod murami Damiety znalazł trupa jednego ze swoich ludzi pozbawionego głowy.

- Tak, sułtan daje dziesięć sztuk złota za głowę chrześcijanina - przytaknął Maurycy - to majątek, ale nie ma takiego Beduina, który dałby mi radę, wasza wielmożność. Nie przeżyłbym trzydziestu lat w tym kraju, nie mając oczu z tyłu głowy.

Roland przyglądał mu się z niechęcią, wolałby, żeby starzec już sobie poszedł. Człowiek Almaryka. To dość, by mu nie ufać. Do tego ta uniżoność. Wie, że nie jestem baronem, czemu więc cały czas mówi „wasza wielmożność”? Może jestem niesprawiedliwy, to w końcu nie jego wina, że Almaryk go znalazł. Człowiek nie może wszak być tak długo niewolnikiem i nie mieć w końcu psiej duszy.

Nie mógł jednak powstrzymać ostrych słów.

- Nie trzeba nam was tutaj, mistrzu Maurycy. Wracajcie stąd prosto na swoją kwaterę, bo jeśli Beduini nie utną wam głowy, to nasze stráže położą was niechcący trupem.

- Słucham, wielmożny panie, dzięki wam, i dobrej nocy, wasza wielmożność. - Pokłonił się i zniknął w ciemnościach.

Roland został jeszcze na chwilę z sierżantem. Wydawało się, że wszędzie panuje spokój i że może wracać do swojego namiotu.

- Saraceni!

Przeraźliwy krzyk dobiegł z drugiego końca stanowisk.

Zaraz potem usłyszał mrozące krew w żyłach okrzyki bitewne wroga. Przez całą noc był prawie pewien, że uderzą teraz właśnie, przed świtem.

Dobyl miecza i ruszył pędem w stronę zagrożonego miejsca, za nim biegł sierżant.

Warty ustawiły ścianę z tarcz i szyły z łuków na oślep w otaczające ciemności. Obok wielkiego drewnianego koła najbliższej maszyny leżało już dwóch martwych wartowników.

- Nie strzelać, póki nie widzicie, w co szyjecie! - krzyknął rozeźlony sierżant. - Skryć się za tarczami!

Roland usiłował dojrzeć coś w ciemnościach. Zobaczył wreszcie linię ich ataku, zaledwie kilka metrów od machin. Byli ubrani w ciemne, obszerne burnusy Beduinów, dzikiego plemienia Ziemi Zamorskiej. Atakowali w spieszonym szyku. Poczł bezradną wściekłość. Może ich kryć się w tych ciemnościach setki, więcej niż trzeba, by pokonać jego mały zastęp.

- Żywo, po posiłki! - krzyknął do sierżanta.

Nie było już czasu. Beduini natarli z rozmachem, wykrzykując nazwy własnych klanów. Wartownicy cofnęli się, by na nowo napiąć łuki. Roland, sierżant i kilku innych osłaniali ich.

Do Rolanda przypadł mały wojownik o lisiej twarzy. Był szybki i zwinny, Roland cofał się przed ciosami jego zakrzywionej szabli. Gdzieś zza jego pleców ktoś cisnął włócznią w napastnika i ten uskoczył, znikając w ciemnościach.

Zbierając się do odparcia następnego atakującego, zadawał sobie pytanie, co robią tu ci Arabowie, uzbrojeni w same szable i łuki. Z głównego obozu dobiegały już odgłosy nadchodzącej odsieczy.

- Diabelski ogień, podstęp! - Zobaczył pierwszy pocisk z greckim ogniem rozpryskujący się na mechanizmie obrotowym jednego z miotaczy.

Egipcjanie pojawili się w oświetlonym kręgu teraz już całą chmarą. Rzucali w maszyny glinianymi, nie większymi niż pięść pociskami, które wzniecały ogień gdziekolwiek trafiły. Niemal wszyscy wartownicy ruszyli w stronę, gdzie stał Roland, kilku pozostałych, jeszcze próbujących się bronić, otoczyli Saraceni.

Teraz oprócz światła pochodni miejsce ataku oświetlał ogień płonących machin.

Roland znowu krzyknął o posiłki.

Z ciemności świsnęła strzała, trafiając sierżanta prosto w pierś. Upadł na twarz. O ile łatwiej było zniszczyć to serce, niż ugasić szalejący wokół ogień.

Wszędzie wokół słychać było krzyki, nawoływania o pomoc. To już koniec, sześć machin stało w ogniu.

Nikt nawet nie dotknął beczek z wodą. I nikt już nie dotknie. Było za późno.

Nie mógł przecież stać tak w miejscu i przyglądać się, nawet jeśli dalsza walka miałaby niczego nie zmienić.

Dobiegł do jakiegoś Egipcjanina, kościstego człowieka, który wzywał imienia Al-lacha, gotując się do rzucenia pocisku z greckim ogniem. Nie miał nawet szabli. Derwisz, jeden z natchnionych świętych mężów muzułmańskich. Roland pchnął go mieczem prosto w serce.

Umierający Egipcjanin odsłonił białe zęby w konwulsyjnym grymasie i cisnął kulę z ogniem w Rolanda.

Krzyknął przeraźliwie, czując, że zajęła się tunika pod zbroją. Egipcjanin upadł. Płonęły mu dłonie, martwa twarz zastygła w ekstatycznym uśmiechu.

Umieram, spłonę żywcem.

Odrzucił miecz i począł szarpać tunikę, ale ognisty pancerz nie dawał się ani ugasić, ani zedrzyć.

Rzucił się na piasek, rozżarzona zbroja wypalała mu ciało. Podniósł się, ogień buchnął nowym płomieniem. Znowu padł na ziemię, leżąc dusił strzelające wokół języki ognia.

Po chwili ból zelżał, ogień zgasł.

Wstał, męka powodowana oparzelinami wróciła z całą mocą.

Przeszedłszy chwiejnie kilka kroków, spojrział w stronę machin.

- Wielki Boże!

Miotacze stały w płomieniach. Każda belka, każdy kawałek drewna. Zaczął niemal żałować, że ogień go nie uśmiercił.

Osunął się z łkaniem na kolana. Zawiódł swojego króla i towarzyszy.

Kto by się domyślił, że Turcy potrafią zrobić pociski z greckim ogniem tak małe, by mieściły się w dłoni, i by można nimi ciskać niczym kamieniami? Nawet cesarz Fryderyk nie znał tego sposobu.

Pomarańczowe płomienie strzelały w niebo, wysokie niby katedralne wieże.

Ile to razy Diana mówiła mu, że śmierć jest wyzwoleniem od cierpień tego świata? Chciał w tej chwili rzucić się w płomienie i spłonąć razem z machinami, których nie zdołał uchronić. Zginąć w płomieniach jak ona.

Nie będę już próbował walczyć. Może zginę z rąk jakiegoś muzułmanina.

Schylił się, by podnieść miecz. Ból oparzeń był tak dojmujący, że z wysiłkiem pohamował krzyk. Z zaciśniętymi zębami sięgnął po leżącą na ziemi broń, rozglądając się jednocześnie za tymi diabłami w długich szatach.

Saraceni zniknęli, zostawiając swoich poległych od strzał albo ciosów miecza, którzy leżeli teraz obok zabitych chrześcijan. Wykonali swoje zadanie jak należy i rozplynęli się w ciemnościach nocy. Z dala, zza rzeki dochodziły okrzyki radości wznoszone w Mansurze.

Poczuł na ramieniu czyjąś rękę.

- Mój Boże, masz osmaloną całą pierś. Bardzoś poparzony?

W pytaniu zadany przez Gwidona kryła się prawdziwa troska.

- Gorszy jeszcze jest ból, który czuję w sercu - odpowiedział Roland. - Przegrałem tę walkę, a może i cała wojna stracona.

- No cóż, panie - odezwał się inny, tym razem pełen nagany głos - chwackoście się sprawili, broniąc naszych machin.

Z ciemności wyłonił się Almaryk de Gobignon. Spojrzał na Rolanda z wyniosłym rozbawieniem.

- Czemuś nie zadbał chociaż, by dać się zabić?

Gwidon odwrócił się gwałtownie w jego stronę.

- Panie, ten człowiek jest ciężko ranny, jeśli szukacie zwady, tom ja gotów.

- Wy, mości templariuszu, macie jak ten tu trubadur dar pojawiania się tam, gdziekolwiek przydarza się jakieś nieszczęście. Zachodzę w głowę, czy sami ich nie przynosicie.

- Co chcecie rzec, panie?

- Widziałem was w Béziers.

- I nie mogliście widzieć, bym czynił tam co złego, inaczej dawno już byście o tym rozprawiali - krótko uciął Gwidon, odwracając się do Almaryka plecami.

Gwidon w Béziers? Wiedziałbym na pewno, gdyby tam był. Roland nic nie rozumiał z tej rozmowy.

Almaryk liczył na to, że oddam życie. A ja, ja przysięgłem Nicoletcie, że przeżyję i wrócę do niej. A przecież przed chwilą chciałem zginąć z ręki pierwszego napotkanego Saracena. To naprawdę zaraza, która się udziela, to pragnienie śmierci. Roland powoli zgiął kolana i z pomocą Gwidona usiadł na ziemi. Zobaczył po chwili stojącego nad nim Perrina. Zawsze pojawia się, kiedy najbardziej go potrzebuję. Płonie ogień, muszę ratować Dianę.

- Zdejmij mu kolczugę, Perrinie, trzeba opatrzyć rany. - Jak z ogromnej oddali doszedł go głos Gwidona.

„Przysięgałem na waszą pamięć, którzy zginęliście na stosie, że uczynię wszystko co w mojej mocy, by położyć kres takim niegodziwościom”.

Kto to powiedział?

Perrin jest ranny. Gwidon go przywiózł. Trzeba mu pomóc. Jest poparzony.

- Gdzie Diana? - pytał niespokojnie. - Ona by wiedziała, jak opatrzyć rany.
- Spokojnie, panie - uspokajał go Perrin.

Roland odzyskiwał świadomość, ujrzał wpatrującego się w niego Almaryka, ale nie potrafił powiedzieć, wściekłego czy zaskoczonego.

Majaczyłem. Mówiłem przy nim o Dianie. Teraz nabierze pewności, że to ja zabiłem Hugona.

Perrin rozciął sztyłem tunikę i zapinki zbroi. W zasięgu wzroku Rolanda pojawiła się nowa postać. Nadchodził król.

Próbował wstać.

- Nie męczcie się, panie Rolandzie, niech Bóg ma was w swojej opiece. Czemu nie posłuchałem coś radził. Przestrzegalesz mnie, że to się stać może - głos Ludwika drżał.

Roland zaszlochał.

- Sire, wiem, że nigdy mi nie wybaczycie.

- Ucisz się, boś w niczym nie zawinił. To ja nie okazałem dość rozwagi. Dałem ci zadanie nie do wypełnienia.

- Sire - odezwał się Almaryk - każdy głupiec by pojął, że pierwszy atak Beduinów miał odciągnąć uwagę straży. Ten człowiek poprowadził cały swój oddział nie tam, gdzie było trzeba. Tyle bodaj powinien wiedzieć o Saracenach. Trzeba go osądzić i ukarać.

- Skąd to wszystko możesz wiedzieć, hrabio? O tym, że był jakiś pierwszy atak, a potem następny? Byłeś tu? A jeśliś był, to czemu nie walczyłeś?

- Mój człowiek, Maurycy, krzyżowiec, któregośmy znaleźli w Damiecie, widział wszystko.

Maurycy. Widział atak Egipcjan i pobiegł radośnie zawiadomić swego pana. Stary, bezzębny pies.

- Najpierw trzeba by ukarać króla, że nie nakazał, by większy zastęp pilnował machin - odparł Ludwik ponuro, ale zaraz nieco się ożywił. - Wiesz, co to oznacza, Almaryku? Jeśli Egipcjanie mogli nas podejść z greckim ogniem, to gdzieś tutaj musi być bród. Powiedziałem, że ten, kto wskaże przeprawę przez rzekę, będzie konetabłem Francji.

Perrin rozciął wszystkie zapięcia kolczugi i zabierał się do zrywania pancerza.

- Teraz spokojnie, panie - począł ostrożnie odrywać metal z poparzonej piersi.
- Szybciej - wysyczał Roland przez zaciśnięte zęby.

Perrin szarpnął. Poczul przeszywający ból i zobaczył stojące obok siebie, uśmiechające się do niego, Dianę i Nicolette.

* * *

XXIV

Błyszczał srebrny wilczy łeb, szpica kopii połyskiwała krwawą czerwienią w świetle płomieni, kary wierzchowiec bił kopytami o ziemię. Almaryk miał przed sobą Nicolettę, nagą, przywiązaną do stosu, otoczoną kręgiem płomieni. Roland usiłował dotrzeć do niej, pełznąc po niemającym końca stoku jakiegoś wzgórza. Almaryk był tuż przy niej, mierzył kopią prosto w jej serce. Roland sięgnął po miecz, ale pochwa była pusta. Miał tylko swoje ciało, by powstrzymać Almaryka. Rzucił się pod kopyta czarnego rumaka. Teraz kopia mierzyła w niego. Cios, przesywający ból.

- Panie!

Perrin potrząsał go za prawe ramię. Połamane kości zaboląły niemiłosiernie. Perrin zazwyczaj uważał, by nie tykać okaleczonego miejsca. Coś musiało go bardzo poruszyć.

- Atak? - Serce łomotało jeszcze pod wrażeniem lęku o Nicolettę, czuł jeszcze tkwiącą w piersi kopię ze snu.

- Nie, panie, król cię wzywa.

- Jaka to pora?

- Minęła północ, do świtu jeszcze daleko.

Ani we śnie, ani na jawie nie znajdę ukojenia. Od chwili pożaru trwał w melancholii tak głębokiej, że siłą zmuszał się do każdego działania.

Skóra na piersi nadal bolała przy najlżejszym dotknięciu, choć minęły już dwa miesiące. Zastanawiał się, czy doszły Nicolettę wiadomości o utracie machin. A jeśli tak, to co teraz myślała o swoim trubadurze?

Gdyby wtedy inaczej rozstawił strażę. Gdyby szybciej udało mu się sprowadzić pomoc. Gdyby przekonał króla, by na czatach rozstawić więcej ludzi.

Przeklinał się w duchu. Pomrzemy wszyscy w tych mokradłach Egiptu z mojej winy.

Szedł chwiejnym krokiem w stronę królewskiego namiotu. Spał zaledwie kilka godzin. Nocne powietrze było chłodne, jak zawsze w tym pustynnym kraju, a on miał na sobie tylko tunikę. W domu o tej porze roku na górskich przełęczach leży śnieg. Przed namiotem, w pomarańczowym świetle ogniska dojrzał kilkanaście postaci ubranych w futrzane płaszcze chroniące przed chłodem nocy. W pobliżu powiewał połyskujący złotem niczym skóra baśniowego smoka Oriflamme. Wokół pawilonu gromadziło się coraz więcej napływających ze wszystkich kierunków, wynurzających się z mroku postaci.

Ludwik stał przed wejściem do namiotu z odkrytą głową. W białej szacie z naszym czerwonym krzyżem przypominał Rolandowi raczej rycerza-zakonnika niż króla. Po miesiącach spędzonych w Egipcie szczuplejszy niż zwykle, z ogorzałą od słońca twarzą, ze swoją kruchą, smukłą sylwetką wyglądał niczym posąg biblijnego władcy.

Jeden z mnichów należących do królewskiej świty sprawdził na liście imię Rolanda, kiedy ten dołączył do półkola zgromadzonych wokół króla rycerzy. W chwilę potem mnich powiadomił Ludwika, że wszyscy wezwani są już obecni. Zebrali się tu najwięksi baronowie i rycerze z najbliższego otoczenia Ludwika. Roland dojrzał Roberta d'Artois, hrabiego Wilhelma Longsworda, Wilhelma de Sennaca, wielkiego mistrza zakonu templariuszy i Raula de Coucy. Obok mistrza de Sennaca zobaczył Gwidona Bruchesi, który pozdrowił go przyjaźnie.

Ludwik przywoływał jeszcze kogoś z namiotu. Ku zaskoczeniu Rolanda z królewskiego schronienia wyszedł Almaryk de Gobignon i zajął miejsce obok swego władcy. I on wychudł w Egipcie, ciągle jednak wydawał się trzy razy potężniejszy od króla. Przy twarzy ciemnej, jakby rzeźbionej w starym dębowym drewnie, jego jasne włosy wydawały się niemal białe.

- Wielu z was słyszało, jak nieraz powtarzałem, że kto wskaże przeprawę przez Nil, tego uczynię konetabłem Francji. Oto staje on przed wami.

Roland zamknął oczy, dusząc w piersi głośny jęk. To, co Ludwik zrobił, oznaczało, że Almaryk już niemal sięgnął po koronę. Miał teraz pod sobą wszystkie wojska,

ostatnie słowo, całkowity posłuch dla każdego swojego planu. Nikt nie mógł mu się sprzeciwić.

Och, Ludwiku, jak mogłeś być tak łatwowierny? Almaryk nie tylko mnie nienawidzi. Ogarnął go lęk nie o siebie już, ale o armię i los królestwa. Lęk i poczucie bezradności.

I gniew. Niemal zasługuje, by utracić tron. Nigdy nie powinienem był iść na tę wyprawę.

Król wychwalał Almaryka. Gdy skończył, poprosił, żeby ten wyjaśnił, gdzie odkrył przeprawę przez Nil.

Hrabia postąpił do przodu z pewnym siebie uśmiechem na ustach.

- Wszyscyście słyszeli, że sułtan kazał powiesić oficerów z garnizonu w Damiecie za to, że zbiegli z miasta. Jednym ze skazanych był pan Maurycego. Maurycy jest teraz w mojej służbie. Krewny powieszono go jest ważną osobistością w Mansurze. Maurycemu udało się przesłać mu wiadomość. Te pogańskie psy przypominają nas w jednym, a mianowicie nade wszystko przedkładają wierność więzom krwi. Rachuby nas nie zawiodły, gdyśmy pomyśleli, że ten Egipcjanin, do którego pisał Maurycy, będzie chciał się zemścić na sułtanie. Dzisiaj przed świtem poprowadzi nas do brodu, przez który będziemy mogli się przeprawić. To o milę drogi w dół rzeki od obozu. Wszyscy tu zebrani zostali wybrani do przeprawy i mają iść w pierwszych zastępach - Almaryk skłonił się przed królem.

Wybrani? A kto mnie wybierał? Almaryk, jak wtedy kiedy podpowiedział królowi, żebym to ja pilnował miotaczy? Roland pamiętał wyraz twarzy Almaryka, kiedy ocknął się z maligny i zobaczył, że tamten słyszał, co mówił o Dianie. Chce mojej śmierci.

Czy ta przeprawa przyniesie nam spodziewane zwycięstwo?

Rolanda ogarnęły złe przeczucia. Spojrzał na Gobignona dumnie wyprostowanego u boku króla, z rękoma założonymi na czerwono-złotej tunice. Jeszcze bardziej niż mojej śmierci pragnie zniszczyć Ludwika. A ten Maurycy... niczym złowrózny siwy ptak pojawił się właśnie na chwilę przed spaleniem miotaczy... Jeśli i on ma w tym swój udział, pisana nam klęska.

A jeśli to Ludwik mnie wybrał?

Mimo wątpliwości ogarniała go niecierpliwość. To może być sposobność zmycia z siebie winy. Gdyby poszedł w pierwszym szeregu, dobrze się sprawił, gdybyśmy wzięli Mansurę...

Mógłbym odzyskać dobre imię.

Chciał walczyć. Pragnął uwierzyć, że przeprawa przez rzekę będzie oznaczała zwycięstwo.

Raptem sobie przypomniał. Zwycięstwo. Mansura. Czyje zwycięstwo, ich czy nasze?

- Czy ktoś chciałby wiedzieć więcej? - zapytał Ludwik.

Rycerze przestępowali z nogi na nogę i spoglądali po sobie, twarze różowiły się w świetle ogniska. Nikt nie przemówił. Roland zdał sobie sprawę, że wszyscy gotowi są iść. Po trzech miesiącach obozowania w błotach marzyli o bitwie.

Nie mogą zamilczeć swoich podejrzeń. Muszę się odezwać. To wszystko wygląda na zbyt łatwe.

Wiedział, że będą na niego sarkać. Palili się do walki. Nie chcieli wysłuchiwać żadnych wątpliwości.

Nie mógł się przemóc, by przemówić. Cisza się przeciągała. Słyszał jak stary Nil szmerze nie opodal, czuł idącą od rzeki dojmującą wilgoć z jej charakterystycznym zapachem, słyszał niosące się z drugiego brzegu dalekie nawoływania tureckich straży.

Czyś takim tchórzem i głupcem? Naprawdę boisz się odezwać wśród tych wielkich panów? Przez twoje milczenie jeszcze więcej ludzi może oddać niepotrzebnie życie. Chłodny wiatr szeleścił w liściach palm.

Wziął głęboki oddech. Było to trudniejsze niż stanąć twarzą w twarz z siepaczami Saracenów. Wystąpił do przodu, zbliżył się do ogniska. Spoglądały na niego zacięte twarze ludzi gotowych do walki.

- Sire - zaczął z zaciśniętym gardłem - jaką mamy pewność, że to nie zasadzka?

Po gromadzie przeszedł gniewny pomruk. Almaryk łypnął na niego wściekle.

- Sądziś, mój panie, że twój król nie pomyślał o tym? Jeśli się lękasz iść z nami, pozostaniesz koniecznie na tyłach. Powiedz nam, czy napisałeś już piosenkę o swoich świetnych czynach przy obronie miotaczy?

Pytanie Almaryka wzbudziło ryk śmiechu pośród rycerzy. Rolandowi zapłonęły policzki.

- Hrabio, smucisz swojego króla, kiedy prawisz złośliwości temu wiernemu rycerzowi - wmieszał się Ludwik. - Byłem dzisiejszej nocy zadowolony z ciebie. Nie

czyń, proszę, nic, co by zmąciło moje uczucia i pamiętaj, że com obiecał, nie prędzej się stanie, nim szczęśliwie przeprawimy się przez rzekę.

Roland wołałby, żeby obyło się bez tej królewskiej interwencji. Gdybym mógł wyzwać Almaryka, gdybym mógł go zabić, uwolnić króla od śmiertelnego niebezpieczeństwa i samemu uwolnić się od nienawiści, która ciąży mi na sercu.

W oczach Almaryka wyczytał, że i tamten gotów byłby się z nim zmierzyć. Jakby w odpowiedzi Almaryk zrzucił z ramion podbitą futrem pelerynę, odsłaniając miecz.

Patrząc mu prosto w oczy, Roland powtórzył pytanie.

- Za pozwoleniem, panie, spytam raz jeszcze, skąd wiadomo, że to nie pułapka?

Almaryk, ignorując Rolanda, zwrócił się z odpowiedzią do zebranej gromady.

- Ten egipski zdrajca powiada, że wielka siła armii saraceńskiej rozbiła obozy przy wschodnich murach Mansury. Będziemy ich mogli zobaczyć w czasie przeprawy. Jeśli dojrzymy wśród nich jakieś poruszenie, wtedy będziemy wiedzieć.

- Nie chcę przeprować przez rzekę większych zastępów, póki nie będzie pewności, że przeprawa jest bezpieczna - odezwał się Ludwik.

- Przejdziecie bród prowadzeni przez Almaryka i naszego drogiego Roberta - wyciągnął dłoń i uśmiechnął się w stronę hrabiego d'Artois - tak szybko jak tylko zdołacie. Za wami pójdzie tysiąc konnicy. Po wschodzie słońca, gdy już będziecie na drugim brzegu, pewni, że utrzymacie szmat ziemi między brodem a Mansurą, zabezpieczycie przeprawę reszty wojsk, które ja poprowadzę. - Uniósł ostrzegawczo rękę. - Nie ważcie się pod żadnym pozorem na walkę, póki cała armia nie stanie na drugim brzegu. Wtedy uderzymy na Mansurę. Nie odbijemy miasta, chyba że zaatakujemy siłami wszystkich naszych zastępów naraz. - Uśmiechnął się. - Dzisiaj tłusty czwartek, jeśli Bóg zezwoli, karnawał skończymy w Mansurze.

- A potem na Kair! - krzyknął Almaryk.

- Na Kair! - podchwycili rycerze.

Roland poczuł przypływ nadziei, której sam się nie spodziewał. Gwałtowny atak, o którym mówił Ludwik, mógł się rzeczywiście powieść. Zaskoczyliby nim główne siły wroga. Jeśli pobiliby Egipcjan teraz, droga do Kairu stanie przed nimi otworem.

Pragnął rozpaczliwie wierzyć w to, że przeprawa przez rzekę da im zwycięstwo i że on sam będzie w nim miał jakiś udział.

Ogarnęła go tęsknota za życiem, ujrzał w wyobraźni Nicolettę promienną jak słońce. Wróć do ciebie. Nawet jeśli miałbym przewędrować cały Egipt.

Roland ze swoimi ludźmi dołączył do głównych zastępów krzyżowców. W pachwinie czuł ucisk wielkiego jak śliwka szmaragdu ukrytego w mieszku pod nogawicą. Wyjął go z turbanu mameluka, którego zabił w krótkiej, zawziętej walce na miecze pod murami Mansury. Mamelucy mieli najwyraźniej zwyczaj noszenia na sobie całego swojego majątku. Brzydził się okradaniem trupów, ale za taki kamień można było kupić nawet zamek. Nie potrafił go tak zostawić.

Krzyżowcy w sile około tysiąca ludzi formowali szeregi na targowisku przed główną bramą miasta. Ponad nimi wznosiły się żółtawe mury Mansury, do których tuliły się szare domostwa o płaskich dachach. Ich mieszkańcy na pewno schronili się wewnątrz murów, tak jak i cała armia egipska.

- Do kroćset! - wykrzyknął jadący obok niego Perrin. - Zostawili otwartą bramę, moglibyśmy wjechać jak nic do miasta.

Roland spojrział na potężne drewniane wieższe wzmocnione żelazem, wysokie na cztery metry, które chociaż grube przed niczym nie chroniły. Były szeroko teraz otwarte, jakby zapraszały do Mansury.

To niemożliwe, pomyślał. Prawda, że uderzyliśmy z zaskoczenia, ale Turcy nie mogli aż tak stracić głowy. To samo co w Damiecie, łatwe zwycięstwo, otwarta brama miejska. Nie zostawili jej tak przecież przez przypadek.

Tym razem pewny jestem, że to zasadzka.

Trząśł się ze złości nie tylko na Almaryka, ale i na tych wszystkich, którzy szli za nim na oślep. To szaleństwo, zabójcze szaleństwo. Poniechano planu Ludwika i oddziały zwiadu szły teraz bezładnie na pewną niemal śmierć.

Zaraz po przeprawie przez bród na widok pierwszych Saracenów zapomniano o królewskim rozkazie. Almaryk, Robert d'Artois ze swoimi zbrojnymi bez porozumienia

z resztą baronów runęli na Turków. W zaciętej walce położyli trupem setki mame-luków, reszta pierzchnęła i rozproszyła się, szukając schronienia za murami miasta.

Dowódcy oddziałów krzyżowych zbierali się właśnie przed jego otwartą bramą. Wśród nich Roland mógł dostrzec srebrny wilczy łeb na hełmie Almarya, obok złotą koronę wieńczącą hełm Roberta i błysk błękitnej tarczy Longsworda z umieszczonymi w jej polu sześcioma złotymi lwami.

- Poczekaj tu - zwrócił się do Perrina - chcę posłuchać, o czym oni mówią.

Spiął Alezana i skierował go do miejsca, gdzie zgromadzili się dowódcy.

Almaryk mówił coś właśnie do Roberta d'Artois. Robert zdjął hełm, spod którego wysunęły się długie, jasnoblonde, sięgające ramion pukle.

- Przed nami, panie, jeszcze świetniejsze zwycięstwo niż pod Damiętą. Rozgromiliśmy Saracenów, schronili się do miasta w takiej panice, że nawet nie zamknęli bramy. Możemy ich przegnać z Mansury i zająć miasto. Nie czas na wahania.

Almaryk sapał niczym koń bojowy po wyczerpującym galopie, ogorzała twarz pokryła się silnym rumieńcem. Jego surkot i końska kapa splamione były krwią, skrwawiony był też topór, który trzymał w ręku. Szczęśliwy człowiek, który kocha zabijać równie mocno jak ja nienawidzę.

- Chcesz teraz, panie, wkroczyć do miasta? - zapytał Wilhelm de Sennac. - To najczystsze szaleństwo. Czy nie dość już sprzeciwiłeś się królewskim rozkazom jak na jeden dzień?

Siwa broda mistrza templariuszy sięgała niemal naszytego na piersi czerwonego krzyża. Wydatny orli nos czynił go podobnym do ptaka, zdawał się też spoglądać na Almarya przenikliwym orlim okiem, w którym błyskał gniew.

- Nie ma tu króla, żeby rzekł, co czynić - odparł Almaryk szorstko - jest za to królewski brat i sam świadkiem, że trzeba zmienić rozkazy.

Z kolei odezwał się Wilhelm Longsword.

- Dotarłem z wami aż tutaj, hrabio, ale inna rzecz przypuścić niespodziewany atak na wroga i oczyścić pole, a inna wkraczać do miasta, o którym nic nie wiemy i

gdzie może wróg na nas czeka. Powiadam, że jeśli wejdziemy do Mansury, to już jej żywi nie opuścimy.

Roland był przekonany, że hrabia ma rację. Pamiętał walki uliczne we Florencji, kiedy był jeszcze na służbie cesarza Fryderyka. Niespodziewane ataki, zasadzki i mordy, pamiętał, ile czujności to wymagało i jak było straszne. Tymczasem większość z tych rycerzy nie ma pojęcia, jak wyglądają walki prowadzone w mieście.

- Ja zaś powiadam - odparował Almaryk - że Saraceni nie będą bronić miasta. Uciekną, tak jak zrobili w Damiecie.

- Cokolwiek postanowią inni - wtrącił się Robert d'Artois - ja nie poniecham wroga, gotowym ich ścigać do bram Kairu.

- Niewielkie mamy siły - przekonywał de Sennac.

- Do diabła! - parsknął Almaryk. - Król i reszta armii przeprawiają się właśnie przez rzekę. - Wskazał ręką na południe, w stronę brzegów Nilu.

Roland obejrzał się. Od brzegu dzieliło ich około mili, a widoczność utrudniał dym palących się namiotów i domów znaczący drogę, którą przeszli krzyżowcy. Nawet jeśli armia właśnie się przeprawiała, ani Almaryk, ani on, ani nikt inny nie mógł tego dojrzeć.

- Czekajmy zatem na króla - odezwał się Longsword.

- Sire, czyż nie widzicie, że Turcy są pokonani i co sił pierzchają? Czyż nie byłoby podłością i wielkim tchórzostwem, gdybyśmy nie przegnali naszych wrogów? Trzeba szturmować miasto teraz, kiedy Egipcjanie uszli w popłochu. Jeśli będziemy czekać, damy im sposobność przygotowania obrony. Mogą próbować zawrzeć bramy.

Roland spojrzął w tamtą stronę. Nie zawrą ich, chcą byśmy weszli do miasta, czekają tam na nas. Czekają. Wstrząsnął się.

- Za mną - pośpieszał Almaryk - teraz.

A więc i ja mam iść? Poprowadzić Perrina i resztę na niemal pewną śmierć?

- Musimy wypełniać królewskie rozkazy - krzyknął Roland z mocą, tak by usłyszeli go wszyscy zebrani. Odwrócili się i spojrzeli na intruza, którego nie dostrzegli do tej pory pogrążeni w swoim sporze.

- Kto nie pójdzie za mną, będzie niczym tchórzliwy pies, co podwija ogon.
- Amen! - podsumował słowa Almaryka Robert z pobożną zapalczywością.
- Ostrzegłem was - nie dawał za wygraną Wilhelm Longsword - ale niech nikt nie waży się rzec, hrabio, że ja i moi rycerze z Anglii zawahamy się pójść za tobą.

Prędeż umrze i poprowadzi na śmierć swoje zastępy, pomyślał Roland, niż dopuści, by Almaryk nazwał go tchórzem. Wojna czyni z ludzi szaleńców.

- Nie mam wyboru, panie - Wielki Mistrz templariuszy potrząsnął siwą głową - jeśli brat królewski wystawia się na pewne nieszczęście, templariusze muszą stanąć u jego boku. Nie lękam się ani ja, ani moi bracia. Nie zostaniemy. Pójdziemy z wami, ale wiedźcie, nie ma we mnie wiary, że wrócimy z tej wyprawy.

- Za mną zatem - powtórzył Almaryk z triumfalnym uśmiechem.

- Naprzód! - krzyczał Robert d'Artois z palającymi policzkami, naciskając mocno na głowę hełm ze złotą koroną. - Za Boga i Grób!

Roland zawrócił konia i bez słowa, z ciężkim sercem, odjechał w stronę swojej małej drużyny. Widział już w wyobraźni wąskie uliczki Mansury usłane trupami setek pocziwców, którzy niczym nie zasłużyli na śmierć.

To głupota, samobójstwo. Almaryk to wie. Wiedzą też de Sennac i Longsword, nawet jeśli hrabiemu Robertowi nie przyszło to do głowy. Mój Boże, gdyby tylko Ludwik zdążył na czas, żeby ich powstrzymać, gdyby był już tutaj, a nie o milę stąd. A co ze mną? Co z Perrinem, Marcinem i resztą? Mamy wpaść w śmiertelną pułapkę? Jaki mamy wybór? Jeśli nie pójdę, Almaryk z pewnością oskarży mnie i moich ludzi o nieposłuszeństwo w obliczu niebezpieczeństwa. O ucieczkę. Jeśli obaj wyjdziemy z tego żywi. On, hrabia Robert i reszta sprzeciwiają się rozkazom króla. Komu więc mam być posłuszny? Do diabła z posłuszeństwem! To moje życie, to życie Perrina i całej drużyny. Przysięgałem Nicoletcie, że przeżyję. Ale brat króla chce wkroczyć do miasta.

Roland obejrzał się i zobaczył grupkę dowódców z wysoko uniesionymi mieczami, przechodzącą właśnie przez bramę miejską.

Na przodzie połyskiwała złota korona hełmu Roberta, obok mignął bielą płaszcz mistrza templariuszy.

Czuję podobnie jak de Sen. .nac. Nie mogę pozwolić, żeby brat królewski siedł na pewne niebezpieczeństwo bez nas. Nie mogę się cofać, gdy tylu innych zacnych ludzi postanowiło inaczej.

Zobaczył oczy Ludwika - smutne, pełne wyrzutu.

Nie mógłbym spojrzeć w twarz królowi, gdybym się zawahał. Potrzęsnał głową. Muszę iść, wziąć ze sobą Perrina, Horacego, Gautiera, Martina i całą resztę tej zacnej gromady. Jeszcze raz spojrział w stronę szeroko otwartej bramy. Jesteśmy niczym stado dzikich koni. Tam, gdzie idzie jego przywódca, idzie reszta, nawet jeśli zbliża się do skraju przepaści.

Almaryk! Zawsze Almaryk! Na chwilę oślepiła go wściekłość zasłaniająca widok bram Mansury i przekraczających je dzielnych i szalonych w swojej głupocie krzyżowców. Almaryk zawsze mierzy w tych, których kocham.

Jeśli wyjdę z tego cało, zabiję go. Nie wróci żywy do Francji. Przysięgam.

* * *

XXV

Słońce na moment oślepiło Rolanda, gdy skręcał w wąską uliczkę. Spojrzał w górę, w prażącą tarczę słońca. Już południe. Zmagamy się i giniemy w tym przeklętym mieście od samego rana.

Alezan drżał. Przed nimi pojawiła się biała ściana. Ślepy zaułek. Cóż, sam był sobie winien. On prowadził oddział. Coś uderzyło w chroniony hełmem kark i upadło na ziemię. Pod kopytami Alezana leżał sztylet.

Za chwilę od hełmu odbił się rzucony przez kogoś kamień. Alezan szarpnął ostro do tyłu, tocząc dookoła przerażonymi ślepiami. Posypały się następne kamienie.

Roland spojrział w górę i zobaczył, że z trzech stron otaczają go stojący na dachach Egipcjanie, mężczyźni o wykrzywionych nienawiścią twarzach, kobiety w powłóczystych szatach, dzieci z procami. Nie żołnierze, lecz po prostu mieszkańcy miasta, patrzący na niego bez strachu z bezpiecznej wysokości, z nienawiścią w oczach, wykrzykujący przekleństwa. Czemu, u diaska, nie poczekaliśmy na łuczników? Czemu Almarykowi było tak pilno, żeby wejść do miasta ze skąpymi, kiepsko uzbrojonymi oddziałami? Jest nas ledwie tysiąc jazdy, bez łuczników. Jak to on powiedział? „Przegnamy Egipcjan i zajmiemy miasto”. Przegnać Egipcjan, kiedy każdy mężczyzna, kobieta i dziecko gotowi są stanąć do walki. Przegnać Egipcjan, kiedy każda ulica gotowa stawić opór. Co za głupota.

Głupota czy może plan?

O w porę uniesioną tarczę uderzył kolejny kamień. Próbował wycofać jakoś Alezana z zaułka, zaraz za nim jechał Perrin. Przez te godziny błędzenia, potykania,

powolnego posuwania do przodu i cofania w labiryncie ulic Mansury zginęło trzech jego ludzi, reszta gdzieś się zgubiła.

- Cofać się - krzyczał Perrin - to ślepy zaułek!

Gromada posuwających się za nim wojowników skutecznie zatarasowała drogę. Roland nie mógł ruszyć ani do przodu, ani w tył. Z drzwi jednego z domów nagle wyprysnął mały chłopiec. Nim Roland zdążył krzyknąć, chłopak podciął zakrzywionym sztylcikiem ścięgna konia pod jednym z rycerzy. Koń padł z żalonym rżeniem. Najbliższy z krzyżowców położył malca jednym ciosem miecza. Rolandowi udało się wreszcie obrócić Alezana. Pozbawiony nagle konia rycerz dobijał swego rannego wierzchowca. Teraz odwrót zatarasowało martwe zwierzę.

- Żebyście się smażyli w ogniu piekielnym, wy chrześcijańskie psy! - doszedł ich krzyk jakiejś kobiety.

Roland spojrział w górę, gdzie stała młoda dziewczyna w czerni, trzymająca nad głową gliniany dzban. Wrząca oliwa. Jeśli trafi w niego, gorący płyn dostanie się pod kolczugę, parząc straszliwie i niosąc powolną śmierć w męczarniach. Wbił ostrogi w boki Alezana.

Złota oliwa prysnęła w dół, omijając Rolanda, ale parząc Alezana, który z przeraźliwym rżeniem przesadził padłego konia i pogalopował przed siebie ku wyjściu z zaułka, roztrzając całą swoją masą zagradzających odwrót ludzi i konie.

- Mój biedny Alezanie -- pocieszał konia, kiedy wreszcie udało się osadzić go w miejscu, kilkaset metrów dalej. Zsiadł z wierzchowca, odciął kawał materiału z surkotu i próbował opatrzeć jakoś poparzony bok zwierzęcia.

Od strony zaułka nadjechał Perrin. Z rozciętego policzka spływała krew.

- Byłem zaraz za tobą, panie, ale Alezan wyleciał niczym pocisk z miotacza.

Uważnie obserwował dookolne dachy. Roland tymczasem zajął się koniem. Na zakończenie poklepał Alezana po szyi.

- Po tej bitwie będę cię już trzymał z dala od wojaczki, a potem wrócisz do domu i będziesz miał spokojną starość, przyrzekam, Alezanie.

My przynajmniej poszliśmy na tę wojnę świadomie i z własnej woli, ale co zawiły te biedne zwierzęta?

Dosiadł konia i jeszcze raz klepnął go po karku.

- Trzeba cię stąd wyprowadzić. - Alezan bardziej był mu przeszkodą niż ułatwieniem w tej walce. Pieszy mógł się poruszać o wiele szybciej w krętych zaułkach miasta, łatwiej skryć przed niespodziewanym atakiem z góry.

Skierował się w stronę bramy. Nie dbam, czy nazwą to ucieczką. Skinął na Perrina, który odpowiedział zaniepokojonym spojrzeniem.

- Nie martw się, nie uciekam. Chcę tylko wyprowadzić Alezana w bezpieczne miejsce. Wrócimy pieszo.

Perrin zdawał się nie rozumieć, o co mu chodzi, ale ruszył za nim bez słowa.

Dojeżdżali właśnie do bramy miasta, gdy Roland usłyszał tętent zbliżających się kopyt. Zza ślepych, brązoworóżowawych murów pobliskich domów widać było zieleń, wskazywało to na bogatą dzielnicę z obszernymi rezydencjami ukrytymi w ogrodach. W końcu ulicy prowadzącej do centrum miasta dojrzał oddział rycerzy. Na jego czele jechał Almaryk.

Miał ochotę ruszyć pędem w tamtą stronę z obnażonym mieczem. Widział przez cały ranek tylu ginących w walce, ranionych strzałą, sztyletem, włócznią, miazdżonych drewnianymi balami, płonących żywcem. Sam kilka razy ledwie uszedł z życiem. Zamiast zwycięskiego szturm - pokonane, rozproszone oddziały. Dzieło Almaryka. Z każdą następną godziną w tym okrutnym mieście, z każdą śmiercią, której był świadkiem, nienawidził tego człowieka coraz bardziej. Bardziej niż Saracenów witających go deszczem strzał i wrzącego oleju.

Wielu było rannych wśród towarzyszących Almarykowi rycerzy, niektórzy ledwie trzymali się w siodle. Inni, straciwszy konie, szli pieszo. Z Almaryka uszło całe triumfalne podniecenie, tak wyraźne jeszcze rano po wzięciu egipskiego obozu. Srebrny łeb wilka tkwił na swoim miejscu, ale nosal hełmu był wygięty, na górnej wardze dojrzał zaschniętą krew.

- Cóż to, znowu umykasz, panie trubadurze? - Ostre, zjadliwe słowa odbiły się echem od ścian. - Za murami teraz niebezpiecznie, jesteśmy odcięci.

Dławił go gniew. Ten człowiek, który wpędził ich w śmiertelny potrzask, śmie jeszcze przemawiać do niego sztydzącym tonem.

- Co mówicie, panie?
- Są meldunki od straży, które rozstawiliśmy pod murami. Cała armia mame-luków nadciąga z Kairu.

Mamelucy - miasto otoczone przez armię mameluków.

Przypomniał sobie cichych, sumiennie wypełniających rozkazy oficerów, którzy przywieźli Ludwikowi do Damiety list sułtana, ich dziwnego, jednookiego sługę. Przez wszystkie te miesiące czekał na uderzenie mameluków, jak skazaniec czeka na egzekucję. I oto teraz wyborowi żołnierze sułtana, jego niewolnicy, przystępują do walki.

A Almaryk wpędził zwiad w pułapkę.

- Cóż więc proponuje Wielki Konetabl Francji? - zapytał zaczepnie.
- Później będziemy się wadzić. Mamelucy odcięli nas od reszty zastępów po tej stronie rzeki. Bronimy południowej bramy, ale popadliśmy niczym pod nóż rzeź-nicki.

A więc przyznajesz to. Jeśli wyjdziemy stąd żywi, król wymierzy ci sprawiedli-wość. Albo mój miecz tego dokona.

- Czemu kierujecie się ku bramie, skoro na zewnątrz są mamelucy?
- To jedyne, co możemy uczynić. Jeśli zostaniemy w mieście, zginiemy. Prze-drzemy się przez bramę. Mamelucy będą walczyć z zastępami króla, rzucimy się na nich od tyłu, nim zdążą się spostrzec - spoglądał na Rolanda z zimną nienawiścią. - Jedźcie z nami, jeśli wola.

- Bardzoście, panie, łaskawi - odpowiedział Roland z ironią.

Raczej go zabiję niż z nim pojedę. Poczekam, aż się stąd wydostaniemy i wtedy uderzę.

- Jedźmy zatem - Almaryk ważąc w dłoni zakrwawiony topór, spiął czarnego wierzchowca.

Z tymi samymi słowami wprowadzał nas do Mansury, pomyślał Roland z gory-czą. Dołączył do szeregu za d'Etampesem, Perrin trzymał się zaraz za nim.

Ulica, którą jechali, była szersza i nie tak kręta jak inne. Tarasy i górne piętra domów wysunięte nad parter jak we Francji, tyle że tu dachy były płaskie albo zwieńczone kopułami, a mury z cegły i kamienia zamiast z drewna.

Zastęp Almaryka musiał torować sobie drogę pośród ludzkich i końskich trupów. D'Etampes kłuł kopią ciała Egipcjan, upewniając się, czy na pewno już nie żyją.

Roland zastanawiał się, gdzie jest reszta dowodzących. Miał właśnie zapytać, co dzieje się z hrabią d'Artois, Wilhelmem Longswordem i mistrzem templariuszy, gdy Almaryk uniósł dłonie.

- Widziałeś, d'Etampes? Coś się poruszyło na dachu. Czają się na nas.

Roland niczego nie zauważył.

- Może minąć wiele czasu, nim znajdziemy inną drogę do bramy - odpowiedział d'Etampes.

- Wszystkie drogi są jednakowo niebezpieczne - zgodził się Almaryk. - Może przebijemy się tędy.

- Wskazał na szeroko otwartą bramę wiodącą na przestronny dziedziniec wyłożony białą-czerwona mozaiką. Na środku podwórca szemrała fontanna.

- De Vency, weź kilku ludzi, wejdźcie na dach tego domu. Rozejrzyj się, może trzeba będzie atakować po dachach. D'Etampes, zostań tutaj, wy - wskazał ręką na Perrina i trzech innych - za trubadurem.

Dreszcz strachu przeszedł Rolandowi po plecach, kiedy wjeżdżał na dziedziniec. Widział już dzisiaj zbyt wielu umierających, atakowanych z najmniej oczekiwanej strony. Czerwony wzór na posadzce dziedzińca przywodził na myśl krew. Szmer fontanny mógł tłumić inne dźwięki. Rozejrzał się uważnie. Dom sprawiał wrażenie bogatego. Dziedziniec ze wszystkich stron okolony był krzewami o grubych, zielonych liściach, ponad dach wystrzelały w górę dwie palmy.

Ledwie zanotował to wszystko w pamięci, coś trafiło go w głowę, przed oczami na moment pociemniało, Alezan szarpnął do przodu. Roland usłyszał radosne okrzyki Egipcjan. Mocniej osadził się w siodle, chwytając kurczowo za uprząż. Kamień, to musiał być kamień rzucony z góry. Dobył miecza.

Z tyłu spadł mu na plecy jakiś ciężar, czyjeś kościste przedramię miażdżyło tchawicę. Gniew i przerażenie dodały mu sił, zaczął się mocować z napastnikiem, próbując zwolnić dławiący ucisk, ale dostało go więcej rąk. Wróg wykręcał mu rękę, w której trzymał miecz. Poczul przenikliwy ból w prawej ręce, ktoś wydarł mu tarczę, mocne uderzenie w plecy i metaliczny dźwięk, czyjs nóż łamiący się na zbroi.

Przerażony i podrażniony Alezan szarpał się w przód i w tył, chcąc uwolnić się od skłębionych wokół postaci.

Roland dopiero teraz uświadomił sobie, że na dachu tego właśnie domu Almaryk spostrzegł jakiś ruch. Zobaczył, że się zaczęli i posłał im ofiarę.

Z nową pasją rzucił się uwalniać od napastników. Jeden z rycerzy, którzy wjechali z nim na dziedziniec, pogalopował z powrotem. Dwóch innych leżało koło fontanny, brocząc krwią na czerwono-białe kafle dziedzińca.

Poświęcił życie innych, żeby mnie posłać na śmierć.

Chcąc jak najszybciej dostać Almaryka, Roland z rozpaczliwym wysiłkiem szarpnął się po raz ostatni i spiąwszy Alezana, rzucił ku bramie. Nie myślał już o Egipcjanach.

Przy bramie czekał Perrin, wykrzykując bez przerwy: - Tutaj, tutaj, panie!

- Usuń się, Perrinie! - huknęła na całe gardło.

Egipcjanie uwiesili się konia, jednego miał na karku, kluli na oślepie nożami jego i Alezana. Kasztanek kwiczał i rzeźił z bólu. Mój biedny koniku, biedaku.

- Na Boga, pomocy! - krzyknął dziko.

Perrin ruszył w jego stronę, wywijając ciężkim, dwuręcznym mieczem. Jego cios uwolnił Rolanda od napastnika uczepionego pleców.

Z dachu poleciał wielki gliniany dzban, trafiając Perrina w głowę. Muzykant osunął się na ziemię, wypuścił miecz z dłoni. Do świadomości Rolanda, chociaż walczył rozpaczliwie o własne życie, docierały krzyki Egipcjan otaczających powalonego Perrina i jego konia. Dostrzegł błysk noża, tryskającą krew, usłyszał przeraźliwy, nieludzki krzyk.

Alezan stawał dęba, kopiąc przednimi nogami napastników. Jeden z nich poleciał w kącie dziedzińca, gdzie padł zwinięty w bezwładny kłęb. Roland trzymał mocno prawą ręką za uprząż, by nie wypaść z siodła, gdy poczuł na plecach następnego Egipcjanina. Z dachu sypały się godzące boleśnie kamienie.

Nie odjadę stąd bez Perrina, pierwszej zginę.

Silne uderzenie w tył głowy i poczuł, że leci w czarną czeluść. Świadomość zanotowała jeszcze uderzenie twarzą o płyty dziedzińca. Potem już nic.

Następnym obrazem, który zobaczył, było błękitne niebo, pierwszym odczuciem zdziwienie, że ciągle jeszcze żyje. Leżał płasko na plecach. Uniósł głowę, żeby rozejrzeć się wokół. Dziwna lekkość oznaczała, że ktoś zdjął mu hełm.

Zbliżyła się jakaś bosa, ciemnoskóra stopa, która przycisnęła jego głowę do płyt posadzki. Kość policzkowa i szczeka po lewej stronie twarzy rwały boleśnie, sięgnął ręką do nosa, żeby sprawdzić, czy jest złamany. Poczul na gardle ostrze miecza i opuścił rękę.

Muszę się przygotować na śmierć, zaraz poderżną mi gardło.

Z żalem pomyślał, że nie zobaczy już więcej Nicoletty.

Diano, jeśli jest życie po śmierci, zaraz będę z tobą.

Słyszał dookoła rozprawiające po arabsku głosy.

- Mówię ci, że ten duży brązowy będzie dla mojego pana, to jego dom.
- Twój pan jest śmierdzącym tchórzem, uciekł i zostawił nas tu samych na pastwę Franków.

- Macie się o co głupcy kłócić. Nim twój pan wróci, koń zgnije.

Z drzeniem podniósł ponownie głowę, spodziewając się w każdej chwili, że gardło przebije mu ostrze miecza. Tym razem pozwolono mu jednak spojrzeć. Zobaczył ciemne nogi, bosc stopy, kraj krótkiej szaty i dalej ciała padłych koni.

- Alezan!

Mógł ze swojego miejsca dojrzeć, że na dziedzińcu leżą cztery konie, najbliższy miał znajomą kasztanową maść. Z niezliczonych ran sączyła się krew. Szeroki zad nie poruszał się, nie widział też, żeby unosiły się końskie boki. Zmrożony przerażeniem uniósł jeszcze nieco głowę, pierś rozdarł mu krzyk.

Z wielkiej ciętej rany na gardle Alezana bluzgała krew, rozlewając się szeroką kałużą po płytach.

- Nie, na Boga nie! - Opadł z powrotem na ziemię.

Alezanie, przyjacielu, kochałem cię. I ty mnie kochałeś. Uratowałeś mi życie dziesiątki razy. A ja cię tu przywiodłem na śmierć.

- Co on tak rozpacza? Za koniem - dopytywał ciekawie jeden z Egipcjan - czy za swoimi druhami?

Znowu zdjęło go przerażenie. Tylko nie Perrin, tylko nie on. Dobrze nieba, jeśli tak jest, dajcie mi zginąć od miecza pierwszego z tych Egipcjan.

- Perrin? - zawołał zrozpaczonym głosem.
- Żyję, panie - doszedł go stłumiony bólem głos z drugiego końca dziedzińca. Odetchnął z ulgą.
- Czemu oszczędziliśmy te dwa frankońskie psy? - odezwał się jakiś głos. - Powinniśmy ich zabić, a zachować konie. Mamelucy dobrze płacą za ich wielkie wierzchowce.
- Ten brązowy koń zabił mojego kuzyna Dżamala, niech jego mięsem pożywią się dzieci mojego krewniaka. - Odpowiedział głos dobiegający gdzieś z boku.
- Znowu się trochę uniósł, chcąc zobaczyć mówiącego, który stał nad nim z jego własnym mieczem wycelowanym w gardło. Miał ciemnooliwkową twarz, po obu stronach łysej czaszki sterczały duże uszy. Był tak wąty i niski, że miecz wydawał się równie wielki jak on, Egipcjanin dzierżył go jednak bez oznak wysiłku. Wpatrywał się w Rolanda.
- Powoli i wyraźnie akcentując słowa, Roland odezwał się do niego.
- Ten, który zabił mojego konia, niech zachoruje i szcześnie, i jego ojciec, i matka, i dziadowie, i żona, i dzieci niech zachorują i szcześnie, i niech jego rodzina i jego imię znikną z tego świata. Tak mi dopomóż Bóg.
- Małeńki Egipcjanin dalej wpatrywał się w niego kamiennym wzrokiem.
- Allah nie słucha chrześcijańskich modlitw.
- Mamelucy chcą zachować przy życiu wszystkich pojmanyh Franków, żeby ich wymienić za okup. - Odezwał się ktoś obok.
- Co nam do tego? - Pytał inny. - Nie zobaczymy tych pieniędzy. Tylko jakiś mameluk się wzbogaci. Zabić tego psa. Niech się uciszy jego grzeszny język.
- Tak, zabijcie mnie - roześmiał się śmiechem, w którym nie było wesołości, tylko sama gorycz - żebym mógł was nawiedzać już zawsze.
- Jeden Egipcjanin złączył dwa palce w zabobonnym, magicznym geście, który miał chronić od złego.
- A więc położyliście trupem paru Franków i paru pojmałiście. - Dołączył jeszcze jeden głos, głębszy niż pozostałe, rozkazujący. - Dobrześ się spisał, jesteś mały, ale dzielny.

Mimo ostrzegawczego pchnięcia mieczem Roland usiadł, by zobaczyć nowo przybyłego. Był nim oficer w spiczastym hełmie owiniętym zdobnym klejnotami żółtym turbanem. Mówił dziwnym akcentem i jak wielu mameluków miał jasną skórę.

Zabłysła mu iskierka nadziei. Może mamelucy zachowają go przy życiu? Zaraz jednak zgasła, gdy uświadomił sobie, że nie ma pieniędzy, by wykupić z niewoli siebie i Perrina.

Szmaragd! Klejnoty w turbanie mameluka przypomniały mu o kamieniu. A więc mam coś na wykup, jeżeli Egipcjanie nie zdążyli go już ukraść. Poruszył udem i wyczuł kulkę ukrytą w pachwinie.

Ludzie na dziedzińcu kłaniali się mamelukowi, który ruszył w stronę Rolanda, stąpając lekko w swoich czerwonych pantoflach o zakreconych do góry noskach.

- Słyszałem, że właśnie mówiłeś naszym językiem.
- Tak, efendi, mówię po arabsku - odpowiedział dwornie.
- Podnieście go. Zaprowadźcie obu do eunucha Sahila, a dostaniecie nagrodę. Uważajcie na niego, jest wielki nawet jak na Franka. Zdejmijcie z nich najpierw broje, zatrzymam je dla siebie.

Uśmiechnął się do Rolanda.

- Nie sromota to dla was, że zostaliście pokonani przez garstkę służby? Bogacze, którzy tu mieszkają, uciekli. Służba została i pomagała przy obronie miasta lepiej niż niejeden żołnierz.

Egipcjanie rośli z dumy, słysząc te pochwały.

- To nie ujma być pokonanym przez czeladź - odpowiedział Roland ze smutkiem - to zaci ludzie, którzy wypełniali swoją powinność. Nie tak jak wiecey panowie francuscy, którzy mnie opuścili.

Jego wzrok padł na skrwawione ciało wierzchowca. Odwrócił szybko oczy. Mój biedny Alezan nakarmi chociaż głodne dzieci. Zegnaj, Alezanie, zegnaj.

Uniósł ręce, kiedy ściągano mu kolczugę.

Było późne popołudnie, kiedy po męczącym marszu przez kręte zakurzone uliczki dotarli wreszcie przed dom wielki niczym pałac, otoczony wysokim białym murem. Wokół zebrał się tłum ludzi.

- Twoja matka daje pewnie wieprzom!
- Zrobimy sztandary z waszej skóry!

Mały kamień trafił go w tył głowy. Odwrócił się, żeby zobaczyć tego, kto rzucił. Coś miękkiego i cuchnącego uderzyło w policzek. Czuł, że zaraz zymiotuje. Rękawem surkotu otarł z twarzy nieczystości. Służący, którzy go pojмали, przepychali się pośpiesznie przez rozkrzyczaną cizbę.

Skoro ci wszyscy ludzie wylegli na ulice, to reszta Franków albo jest w niewoli, albo nie żyje.

Obojętni na wszystko strażnicy w zielonych turbanach otworzyli przed nimi bramę z kutego żelaza. Dumny, że pojmał frankońskiego rycerza i jego giermka, mały Egipcjanin chępliwie przemaszerował do dużej sali recepcyjnej o ścianach wyłożonych czarno-białą mozaiką w ładny, plecionkowy wzór i podłodze z czarnego, lśniącego jak lustro marmuru, w którym Roland mógł dojrzeć swoje odbicie.

Łuki sklepienia pokrytego złożonymi inskrypcjami z arabskiej poezji wspierały się na kolumnach z zielonego kamienia. Zebrani w sali Egipcjanie rozprawiali o czymś zżywieniem, skupieni w małych grupkach. Zapewne są to najszacowniejsi mieszkańcy Mansury, pomyślał. Kiedy ich wprowadzono do sali, zaległa cisza. Egipcjanie przyglądali się im bacznie, z błyskiem triumfu w oczach. W ich milczeniu było tyle nienawiści co we wrzaskach zebranej przed domem gawiedzi.

Na tapczanie, na marmurowym podwyższeniu w końcu sali, wpołleżał blady, szczupły człowiek w białej szacie, na którą narzucona była zielona opończa. Na niskim stoliku obok widać było zwoje pergaminów. Na szyi mężczyzny połyskiwał ciężki złoty łańcuch. Popijał z małej filiżanki *kahreh*, ulubiony napój Saracenów.

Roland domyślił się w nim eunucha Sahila. Mężczyzna rzucił małą skórzaną sakiewkę ludziom, którzy przyprowadzili Rolanda i odprawił ich gestem dłoni. Wycofali się, błogosławiąc dobroczyńcę.

Do Rolanda i Perrina przystąpili zbrojni w łuki i bułaty strażnicy eunucha, zmuszając obu pchnięciem, żeby ukłękli.

Sahil kazał im podać swoje imiona i pozycję, odpowiedzi zapisał na zwoju.

Uniósł brwi, gdy Roland odpowiedział mu w jego języku. Zaraz potem nakazał bez słowa, trzymanym w ręku piórem, by strażnicy rozdzielili obu więźniów. Zabiją go. Roland gorączkowo szukał w głowie jakiegoś sposobu ocalenia przyjaciela.

- Jeśli to nie zbytek łaski, efendi, to prosiłbym, byś zezwolił nam pozostać razem.

- Byłby to zbytek łaski - odpowiedział Sahil z leciutkim uśmiechem. - Nie darujemy życia ludziom prostego stanu, bo nie mają pieniędzy na wykup.

Roland spojrział w jego zimne, ciemne oczy. Czuł na udzie ucisk ukrytego kamienia i dziękował za niego niebiosom.

- Ten człowiek jest mi bardzo drogi. Pozwól, panie, żebym zapłacił za jego życie.

Eunuch wydawał się rozbawiony.

- Cóż takiego posiadasz, czego nie mógłbym ci zabrać, nie płacąc niczym w zamian?

Roland z bijącym sercem postawił wszystko na jedną kartę, grając na dumie tamtego.

- Po prawdzie, jestem na twojej łasce, efendi, ale wydajesz mi się człowiekiem honoru, może nawet szlachetnym człowiekiem.

- Nie próbuj mi schlebiać, chrześcijaninie - odparł Sahil. Mimo wszystko wydawało się, że słowa Rolanda sprawiły mu przyjemność. - Pokaż, co chcesz ofiarować za życie twojego sługi.

Roland uniósł tunikę i sięgnął do nogawic. Strażnicy eunucha natychmiast przypadli do niego zaniepokojeni, że dobędzie broni. Rozwiązał mieszek, wyjął szmaragd i podał go Sahilowi.

- Znam ten kamień. Jest tylko jeden taki na całym świecie.

Pochodzi z turbanu emira Fakr ed-Dina, niech spoczywa w pokoju na łonie Allacha. To on przewodził armii broniącej Mansury.

Czyś go ukradł trupowi, psie? - Eunuch podniósł głos.

Roland przypomniał sobie tureckiego emira ubranego w powłóczyście, wspaniałe jedwabie, z włosami i brodą farbowanymi na rudo, z którym potykał się pod murami Mansury. Zaskoczony atakiem przystąpił do bitwy, wyskakując z kąpieli, ale bił się dzielnie. A więc to on!

- Walczyłem z nim i położyłem w walce, to łup należnie zdobyty.

- Nie pomyślałeś, głupi Franku, że może sprawić nam radość ugotować w oleju tego, który zabił Fakr ed-Dina?

Roland z trudem panował nad sobą, usiłując nie okazywać przerażenia.

- Tak - odpowiedział - ale i ja chcę być człowiekiem honoru, dlatego powiedziałem ci, jak zdobyłem kamień, nawet jeśli ma mi to przynieść zgubę.

Sahil spoglądał mu w oczy przez chwilę, która zdawała się długa jak wieczność.

Roland wstrzymał oddech.

W końcu szmaragd zniknął w fałdach białej szaty.

- Przyjmuję kamień jako wykup za twojego giermka. Może na razie pozostać z tobą. - Dał znak ręką, żeby ich wyprowadzono.

Popychanych końcami włóczni poprowadzono ich przez długą amfiladę sal o zwieńczonych łukami drzwiach, ścianach ozdobionych arabskimi inskrypcjami i mozaikami. Buty stuknęły o posadzki z białego, czarnego i zielonego marmuru. Kimkolwiek był właściciel domu, mieszkał okazale, jednak ze wszystkich sal, które mijali, usunięto sprzęty. Być może był jednym z bogatych uciekinierów, którzy umknęli z zagrożonego miasta z całym dobytkiem. Teraz jego pałac zajęli obrońcy, przemieniając go w więzienie.

Doszli do sali z drzwiami zaryglowanymi żelaznym skoblem. Strażnicy otworzyli drzwi, po czym wepchnęli więźniów do środka z takim impetem, że obydwaj zaplątali się w skuwające ich łańcuchy i padli na posadzkę.

Strażnicy ze śmiechem zamknęli za nimi drzwi.

Roland poczuł zupełną bezradność. Nie miał nawet tyle siły, żeby pozbierać się z zimnej kamiennej posadzki.

Sala była duża i ciemna, światło sączyło się tu tylko przez jedno wąskie, zakratowane okno. Ze wszystkich stron dochodziły pojękiwania i szepty. Kiedy oczy przywykły już do mroku, zobaczył, że pełno tu pojmanych jak on krzyżowców. Większość leżała na podłodze. Kilku próbowało kuśtykać w tę i z powrotem pomimo krepujących ruchy łańcuchów.

- Powiedz, kto jesteś, panie. - Zawołał ktoś. - I co wiesz.

Kto przeżył, kto oddał ducha w tym nieszczęsnym mieście?

Kiedy Roland wymówił swoje imię, z przeciwnego kąta sali dobiegł go rozradowany głos:

- Na świętego Bernarda, Rolandzie, już straciłem nadzieję, że stąpasz po tej ziemi. Postąp tu do mnie.

Po raz pierwszy tego dnia Roland prawdziwie się ucieszył. Znalazł Gwidona. Poczł przyływ nowych sił. Z Gwidonem u boku mógł mieć jeszcze nadzieję.

Nastrój jednak szybko mu się odmienił. A zatem i Gwidon tutaj?

Zawsze było to lepsze, niż dowiedzieć się, że templariusz zginął w bitwie.

Roland i Perrin pokuśtykali przez zatłoczoną salę, skąd dochodził głos Gwidona. Templariusz opatrywał jakiegoś rycerza, który miał rękę przebitą włócznią. Jego biała szata z ośmioramiennym krzyżem była podarta i poplamiona krwią.

Na nalegania Gwidona Roland opowiedział przebieg bitwy i odwrotu. Ci, którzy byli najbliżej, ścieśnili się wokół niego i każdy po kolei opowiedział swoją historię. Wszystkie brzmiały podobnie. Zaskoczony w zaułku oddział wybity niemal do nogi.

Roland płakał, opowiadając o niegodziwym postępku Almaryka i śmierci Alezana. Ktoś ze słuchających rzekł mu, że na pewno źle osądza hrabiego de Gobignon.

- To nasz, drugi po królu, największy wódz, przecież król uczynił go nawet kometablem Francji.

- Zapomnij teraz o Almaryku - poradził Gwidon cichym, łagodnym głosem - i powiadaj, jak tu z tobą trafił Perrin? Czy udając rycerza?

- Po dzisiejszym dniu nie udałbym nawet samego siebie, to mój pan uratował mi życie.

Roland opowiedział o szmaragdzie, dodając, że eunuch przyjął go jako wykup za Perrina, chociaż rozpoznał własność Fakr ed-Dina.

- On jest eunuchem? - dopytywał Perrin. - Na święte relikwie, jeśli w tym kraju eunuch może dojść do takich dostojeństw, to jest kraj dla mnie.

- Dobrze, że potrafisz stroić żarty z siebie. - Gwidon poklepał Perrina po ramieniu, uśmiechając się w swoją bujną czarną brodę. Ciągłe z uśmiechem zwrócił się do Rolanda. - Wśród wodzów egipskich wiele jest wzajemnej nienawiści. Fakr ed-Din był faworytem sułtana i za to znienawidzonym przez resztę. Może uradowałeś Sahila, że położyłeś go trupem. Słyszałeś, że i sam sułtan nie żyje? Taka wieść przyszła do brata de Sennac, kiedy próbowaliśmy przebić się przez bramę miejską.

- Czy miałyby to oznaczać pokój? - zapytał Roland.

Gwidon pokręcił przecząco głową.

- Powiadają, że zmarł trzy miesiące temu, w listopadzie. Trzymali to w tajemnicy, żeby dalej prowadzić wojnę. Dobry, dobrze przeprowadzony plan. Nie będzie pokoju, dopóki nasza armia będzie w Egipcie, a więc długo jeszcze, jeśli w stronę popielcową pójdzie nam równie marnie, jak poszło w tłusty czwartek. Wielu dobrych rycerzy, którzy ruszyli z nami dziś rano w pole, teraz już jest w raj. Wilhelm Longsword, Raul de Coucy...

Roland przypomniał sobie młodego, urodziwego barona, jego pogodną naturę, sposób, w jaki mówił o ukochanej żonie - która go już nigdy nie zobaczy, dodał w myślach.

...Robert d'Artois - ciągnął Gwidon.

Jakby go ktoś zdziesiął maczugą, nogi się pod nim ugięły, porażony wiadomością przysiadł aż na kamiennej posadzce.

- To być nie może! - krzyknął Perrin, siadając obok Rolanda.

- Przedarł się w sam środek miasta i tam zginął otoczony ze wszystkich stron przez Saracenów. Miał hełm z koroną, więc myśleli, że dostali samego króla. Oszaleli z wielkiej radości.

Teraz pozostało już tylko dwóch młodszych braci królewskich, by strzec tronu, Almaryk był o krok bliżej swojego celu. Rolandowi zrobiło się zimno na tę myśl.

- Ta wiadomość złamie Ludwikowi serce. Masz, Gwidonie, jakieś wiadomości o nim?

- Król i reszta armii przeszli bród, śpiesząc nam na pomoc. Po tej stronie czekał już emir Bajbars al-Bundukdari z wielką armią mameluków.

- Bajbars? Ten, który wziął Jerozolimę? - Roland przypomniał sobie imię.

- Mówią, że to najświetniejszy z ich wodzów. Egipcjanie nazywają go Panterą. Jest Tatarem. W zeszłym roku stracił w potyczce oko, ale i tak doszedł do najwyższych zaszczytów. Po zajęciu Jerozolimy urządził paradę pojmanych krzyżowców, którzy szli przez miasto z głowami poległych swoich towarzyszy zawieszonymi na sztychach.

Roland otrząsnął się. Jednooki Tatar. Człowiek, którego widział w Damiecie.

- Co z królem?

- Ludwik zdrow i cały, ale setki dobrych rycerzy zginęło w mieście i na brzegach rzeki. Trzydziestu braci templariuszy straciło życie w walce. Wielki Mistrz był ranny, ale w Bogu nadzieja, że się uratował. I ja gotów byłem umierać z innymi, ale jakiś Nubijczyk dzielił mnie maczugą, i oto jestem tutaj. Cóż, niedługo pójdę za tymi, którzy zginęli.

Przez okno usłyszeli odgłosy jakiegoś zamieszania. Krzyki, nawoływania, zawożenia. Roland i Perrin dokuśtykali do wąskiego otworu w murze, by wyjrzieć na zewnątrz. Gwidon westchnął i został na swoim miejscu.

Inni już się cisnęli za plecami Rolanda i Perrina.

Przez okienko widać było ogród, ścieżki wyłożone marmurowymi płytami, mur zdobiony mozaiką, suchą sadzawkę z niebieskich i zielonych kafli i uschnięte krzewy.

- Słodki Jezu! - wnętrzości skrzyły mu się na to, co ujrzał. Poganiana przez strażników garstka zmaltretowanych krzyżowców ze spętanymi nogami stanęła przed ciemnobrodym, obnażonym do pasa człowiekiem, który trzymał w dłoniach wysoko uniesiony bułat. Roland widział, jak pierwszy z nich uklęknął, jak opadło błyszczące ostrze. Dwóch innych jeńców podniosło głowę z kałuży krwi i rzuciło do wielkiego kosza.

Ciało odciągnęli w stronę stojącego pod murem wózka, gdzie złożyli je na stercie innych.

Strażnik pociągnął następnego skazańca w stronę oprawcy, inni popychali włóczniami szereg, żeby się przesuwał.

Roland odwrócił się od okna zdjęty żalostí. Wydawało mu się, że po tym wszystkim, co widział tego jednego dnia, nic go już nie poruszy. Żal mu było prawdziwie tych biedaków, którzy znaleźli się tutaj tylko dlatego, że służyli do końca swoim rycerzom. Cały dzień patrzył, jak umierają ludzie, ale widok kata tnącego głowy z obojętností drwała był przerażający.

Wielkie szczęście, że uchronił Perrina od tego losu.

Pokuśtykał z powrotem do miejsca, gdzie siedział Gwidon.

- Wszystkich prostego stanu spotyka ten sam los - odezwał się Gwidon - pytając ich, czy nawrócą się na wiarę Islamu. Jeśli tak, sprzedaje się ich na niewolników. Moc odmawia, bo boją się piekła bardziej niż miecza, więc giną.

Perrin, stojący ciągle przy oknie, krzyknął.

- Marcinie, Bóg jest z tobą!

Marcin! Roland podniósł się gwałtownie i zaczął przepychać w stronę okna. Marcin, który miał tylko szesnaście lat, dwa razy mniejszy niż kopia, którą nosił. Rodzice błagali, by nie szedł na wyprawę, przecież nie był nawet katolikiem, od kiedy Diana uczyniła z niego katara. Uprosił Rolanda, tęsknił za przygodą. No, i koniec przygody.

- Wracasz do Boga, Marcinie - krzyczał Perrin. - Razem będziemy na ostatnim... - przerwał nagle i Roland usłyszał cięcie szabli.

Objął płaczącego Perrina i poprowadził na miejsce koło Gwidona.

Czuł rozpacz, wyrzuty sumienia. Mogłem mu powiedzieć, że go nie chcę brać ze sobą. Jeśli jeszcze kiedy spotkam Lucjana i Adrianę, jakże spojrzę im w twarz?

Westchnął. Jeśli ja się tak czuję względem Marcina, to jak musi się czuć Ludwik, który wie, że prowadzi na śmierć tysiące takich młodych chłopców.

- I my się możemy pożegnać, panie - odezwał się Perrin. - Prędzej czy później też się tam znajdę, a wy już nie macie więcej szmaragdów, żeby mnie wykupić.

- Nie mów tak - poklepał Perrina po ramieniu. - Słyszałeś, co mówił sire Gwidon. Tu jesteśmy bezpieczni.

- Niezupełnie - Gwidon podniósł ostrzegawczo dłoń. - Saraceni nie postanowili jeszcze, co z nami zrobią.

Pogrążony w rozpacz Roland nic nie powiedział. Ze wszystkich, których tu ze sobą przywiódł, jeden Perrin przeżył. Jeśli Saraceni zabili Marcina, zabili i resztę, wszystkich, którzy tak się nim opiekowali w Bédzers. Wszyscy zginęli.

Egipcjanie postanowią, że i mnie nie warto zachować przy życiu.

Nicoletta! Dobry Boże, jaki ją los czeka? Nikt jej już nie obroni przed Almariem.

- Boże! - jęknął w głos.

Gdybym mógł napisać dla niej wiersz, żeby wiedziała, iż myślałem o niej w godzinie mojej śmierci. Ani nie mam na czym pisać, ani jak pisma wysłać.

Zgarbił się, z rękoma zwieszonymi między kolanami. Zdał sobie raptem sprawę, że cały dzień nic nie jadł i nie pił, ale nie miał nawet siły tym się przejąć.

Światło wpadające przez wąskie okno pociemniało, ucichły odgłosy egzekucji. Ścięli wszystkich żołnierzy, których pojмали.

Gdzieś z bardzo daleka doszedł go teraz wysoki, zawodzący głos muezina wzywającego na modlitwy do meczetu.

Zaiste, dzisiaj jest prawdziwy dzień Allacha.

Później dały się słyszeć radosne okrzyki, dźwięki muzyki, śmiechy, wesoly gwar tłumu. Tak, ma się z czego cieszyć lud Mansury! Miasto zasłużyło dziś na swoje imię.

- Rolandzie, muszę ci wiele powiedzieć - odezwał się w ciemności Gwidon - może nie będzie już innej sposobności. Chodź, znajdziemy jakiś kąt, gdzie nikt nas nie będzie słyszał.

Ledwie się podnieśli, szcęknął zamek. Drzwi otworzyły się na rościęz, oślepiając na chwilę mrużącego oczy Rolanda. Do środka wszedł eunuch, towarzyszyło mu dwóch strażników z pochodniami, w korytarzu stał cały oddział zbrojnych.

Sahil szedł przez salę, patrząc uważnie w twarze więźniów. Zbliżył się do Rolanda i Gwidona.

- Ciebie szukam, szmaragdowy rycerzu - wskazał palcem w jego stronę.

Roland ku własnemu zaskoczeniu oblał się zimnym potem. Jeszcze mogę czuć strach? Po tym wszystkim, przez co dzisiaj przeszedłem? Pomyślał, że chociaż dusza się poddała, ciało ciągle chce żyć.

Strażnicy pochwycili go natychmiast, ciągnąc do drzwi, nim zdążył zrobić krok.

- Bóg jest z tobą, panie - krzyknął za nim Perrin.

- Niech cię nie opuszcza łaska boża, mój druhu - cicho rzekł Gwidon.

* * *

XXVI

Straże poprowadziły Rolanda przez ciąg komnat i korytarzy do jasno oświetlonej sali zawieszanej tkaninami.

Jakiś mameluk w żółtym turbanie ozdobionym czarnymi perłami siedział na sofie pod jedwabnym baldachimem. Na czerwonej wyszywanej szacie miał stalowy pancerz ze złotym ornamentem, na czerwonych pantoflach o zadartych noskach skrzyły się drogie kamienie. Strażnicy w czerwonych i zielonych jedwabnych szatach stanęli pod ścianą z bronią gotową do ciosu. Kilku niewolników przykucnęło na grubym perskim dywanie w oczekiwaniu rozkazów.

Roland drżał ze strachu. Czemu tu trafił? Czyżby miał się tu odbyć jakiś sąd nad nim? Chcieli go poddać jakiejś muzułmańskiej inkwizycji, nim zaczną torturować i skazą na śmierć? W każdym razie sala, w której się znalazł, nie przypominała w niczym pomieszczeń, gdzie więzi się przestępców i dokonuje egzekucji. Gdzieś w pobliżu słychać było muzykę, śmiech i śpiew.

Nagle zdał sobie sprawę, że widział już wcześniej człowieka siedzącego na sofie.

Prawe oko mameluka było martwe, zamkniętą powiekę przecinała pionowa szrama. Drugie, szaroniebieskie, błyskało w świetle stojących obok sofy lamp oliwnych. Miał płaską, ciemną twarz o wystających kościach policzkowych. Długie rude wąsy okalały pozbawione niemal warg, wąskie usta. Roland domyślał się, że gdyby tamten wstał, musiałby okazać się wysokim człowiekiem.

Dopiero teraz uzmysłowił sobie, kim był mameluk. Serce zabiło mocniej. Gwidon powiedział mu przecież przed chwilą, że Bajbars Pantera ma tylko jedno oko.

Był już dość straszny wtedy, pośród krzyżowców, kiedy udawał zwykłego sługę, teraz, gdy Roland był bezbronnym więźniem, winnym zabicia egipskiego emira, jednooki mameluk budził w nim jeszcze większy strach.

- Kiedy ostatni raz was widziałem, opiekowaliście się końmi posłów sultana. Mameluk uśmiechnął się.

- Teraz chłopak od koni dowodzi armiami, a królewski tłumacz trafił do niewoli.

Pamięta mnie. Jest jakiś promyk nadziei. Może mnie oszczędzi, skoro mówię jego językiem. Mógłby się przeze mnie porozumiewać z królem.

- Jesteście, panie, emirem Bajbarsem, al-Bundukdari.

Za całą odpowiedź mameluk wziął ze złotej misy daktyla, przeżuł i wypluł pestkę na dywan.

Jeden z niewolników w mgnieniu oka podniósł pestkę z podłogi. Roland przeknął ślinę.

- Jesteś głodny? Spragniony? Musisz być. - Bajbars klasnął w dłonie. Zajął się znowu daktylami, ale cały czas w milczeniu uważnie obserwował Rolanda.

Chce, żebym się głowił, co też ze mną uczyni. Ten człowiek wie, jak panować nad innymi, i nie trzeba mu na to armii.

Może jest jednym z tych, o których Gwidon mówił, że cieszy ich śmierć Fakr ed-Dina. Tak czy inaczej muszę się mieć przed nim na baczności.

Ładny chłopiec o blond włosach postawił na ziemi przed Rolandem tacę, na której był porcelanowy dzban, kubek, chleb i misa z owocami.

Roland spojrzął z ciekawością na młodego sługę, zastanawiając się w jaki sposób trafił do mameluków. Wystarczyło go ubrać w strój pazia i mógłby uchodzić za Francuza.

Bajbars uśmiechnął się do młodzika i odesłał go gestem dłoni, po czym kazał Rolandowi siadać.

Łańcuchy na nogach sprawiały, że usiadł z trudem. Nalał wody do kubka i wypił łąpczywie. Rwał chleb na kawałki i pośpiesznie wpychał do ust. Kiedy skończył, wolniej już zabrał się do winogron, daktyli i melona. Po zaspokojeniu pierwszego głodu wyprostował się i skłonił, dziękując za poczęstunek.

- Ciekawi mnie francuski rycerz, który mówi naszym językiem. Myślałem, że żaden chrześcijanin nie zada sobie trudu, by go poznać - odezwał się Bajbars, dziwnie akcentując arabskie słowa. - Ciekawi mnie francuski rycerz, który potrafi pokonać i zabić w jednym starciu naszego emira, który zdobywa po nim bezcenny klejnot i oddaje go potem jako okup za swojego giermka. Chcemy wiedzieć, kto to jest sire de Vency?

Roland był nieco zdziwiony, słysząc swoje imię w ustach mameluka. Skąd ten barbarzyńca dowiedział się, kim jestem. Muszę z nim ostrożnie postępować. Jeśli go zawiodę, zabije mnie, jeśli powiem zbyt wiele, narażę na szwank króla.

- Niewiele mogę rzec o sobie. Jestem trubadurem, który układa pieśni, biednym rycerzem, wasalem króla Franków.

- I jako wasal swojego króla musiałeś napaść na mój kraj?

Roland zeszytniał. W sali zapanowała atmosfera jak przed burzą. Spojrzał jeszcze raz wokół siebie, jakby chcąc sprawdzić, czy oprócz Bajbarsa są jeszcze jacyś wyżsi oficerowie, ale w sali byli tylko żołnierze i służba.

Powiniennem odpowiedzieć uczciwie, pomyślał, ale nie odezwał się od razu.

- Jesteśmy tu, panie, by odzyskać Jerozolimę.

- Jerozolima! Przyciąga was jak miraż na pustyni, a jednak cieszę się, że wypowiedzieliście nam wojnę. - Uśmiechnął się szeroko, obnażając zęby w ponurym uśmiechu. - Uradowało mnie, że wasz król nie chciał układać się z naszym nieżyjącym sułtanem.

A więc to prawda, że sułtan nie żyje.

Poczuł dreszcz podniecenia. Nie powiedziałem jeszcze nic ważnego, a on zdradził mi bardzo ważną wiadomość. Może będę mógł się dowiedzieć jeszcze innych rzeczy.

- Czemu wolicie wojnę z nami niż pokój? - zebrał się na odwagę.

Jedyne oko utkwilo w Rolandzie niczym ostrze sztyletu.

- Dowodziłem armią pod Gazą. Rozbiliśmy tam Franków i ich sprzymierzeńców z Damaszku i znad Jordanu. Potem zająłem Jerozolimę, ja Bajbars al-Bundukdari, odbiłem ją z rąk niewiernych. Nie chciałem doczekać chwili, w której

mój pan, sułtan zaproponowałby ją wam z powrotem. Chcę więcej, niż tylko utrzymania Jerozolimy. Chcę pokonać waszego króla w walce. Dopóty będę prowadził z wami wojnę, dopóki nie odbiję wszystkich miast w Palestynie i Syrii, nie zrównam z ziemią wszystkich waszych zamków, póki kamień na kamieniu nie zostanie z waszych kościołów, a wszyscy wasi kapłani nie dadzą gardła. Póki ostatni chrześcijanin nie zostanie przepędzony z tej ziemi po wsze czasy.

- Chrześcijanie nigdy nie zaprzestaną walki o Jeruzalem, panie. Tyle ono dla nas znaczy co dla was Mekka.

Gdzieś z ulicy dobiegała paradna muzyka rogów, bębnów i cymbałów, dochodziły głosy świętujących tłumów. Mameluków, którzy przyszli miastu na ratunek, musiała cieszyć ta podzięką ciżby.

- Mylisz się - Bajbars uniósł długi, spiczasty palec. - Siła chrześcijan pogodziła się już z utratą Jeruzalem. Rzeknij, czy papież był rad, gdy wasz król Ludwik począł rozprawiać o nowej wyprawie? Co odpowiedział cesarz Fryderyk? A jego najbliżsi, Królowa Matka i wielcy panowie de Coucy i de Gobignon, baronowie Szampanii i Tuluzy? Czy powitali królewskie zawołanie do wojny radosnym okrzykiem?

Roland był zaskoczony wiedzą Bajbarsa o chrześcijańskim świecie. Musiał zadać sobie wiele trudu, aby poznać wroga. Poczul ucisk w żołądku. Mamże być dla niego jeszcze jednym źródłem informacji i uczynić go jeszcze bardziej niebezpiecznym?

- Znasz chyba, panie, odpowiedź na swoje pytanie.

- Tak - odpowiedział Bajbars z zadowolonym uśmiechem. - Nikt w Europie nie chciał tej wojny z wyjątkiem waszego króla. Dawno temu pierwsi krzyżowcy podbili Jeruzalem, potem utrzymaliście je przez z górą sto lat, póki nie utraciliście go za sprawą wielkiego Saladyna, niech spoczywa w pokoju. Potem znowu dostało się cesarzowi Fryderykowi, bo takie zawarł pakta. I wreszcie ja wam je zabrałem i teraz niewielu chrześcijan myśli już o odzyskaniu miasta, może król Ludwik jest ostatnim. Powiedz mi, jakim jest człowiekiem?

Roland namyślał się chwilę, zlany potem ze strachu, by nie wyrzec jednego niepotrzebnego słowa. Nie wolno powiedzieć nic, co da Bajbarsowi przewagę nad królem.

- Myślę - zaczął ostrożnie - że nawet gdyby był zwykłym człowiekiem, byłby niepospolity. Nie znam innego chrześcijanina, który głębiej wierzyłby w prawdy naszej religii.

Nagły powiew wiatru poruszył kotarami, zamigotały lampy. Zanosiło się na chłodną noc, specjalnie dla więźniów.

- Marnuje się, że jest chrześcijaninem. Mów dalej.

- Król nie jest oderwanym od tego świata świętym mężem, mimo że jego oczy kierują się ku tamtemu. Jako władca jest podobny mistrzowi masońskiemu, który planuje i buduje katedrę. Kiedy zamierzał tę wojnę, przygotowywał się do niej powoli i rozważnie, pomyślał o wszystkim. Nie jest jego wolą przelewać krew bez potrzeby. Nie ma w nim nienawiści do islamu. Pragnie tylko Jerozolimy, która jest naszym świętym miastem. Gdybyś chciał się z nim, panie, układać, mógłbyś mu ślepo zaufać.

- Układać się? - Bajbars odchylił się do tyłu z gardłowym śmiechem. - Ustąpić mu Jeruzalem? Każdy cal ziemi islamu jest święty. Dla nas Jeruzalem jest też świętym miastem. Czy nie wiesz, że tam wstąpił do nieba Prorok? Nie spoczniemy, póki stopa chrześcijanina będzie kalała naszą ziemię.

Roland smutno pokręcił głową.

- Pomyśl, panie, o tym, ilu zapłaci za to życiem. Po obu stronach.

- Jakież lepszy użytek z życia niż oddać je w walce? - Bajbars znowu się roześmiał. - Czy nie powiedziałem ci w Damiecie, że wojna miła jest Allahowi.

- Niech się dzieje, co ma się stać - Roland czuł, że uchodzi z niego siła.

- Niech się dzieje, co ma się dziać, podług planów Allacha, panie Rolandzie de Vency. Allah, dając zwycięstwo swojemu ludowi, pokaże, że jest jedynym bogiem. Nauczyłeś się już naszego języka, dlaczego nie miałbyś teraz poznać naszej wiary? Jesteś rozumny, wykształcony, szlachetny. Trzeba mi człowieka takiego jak ty.

Słuchał tego z mieszanymi uczuciami. Proponuje, żebym zdradził to, co mi bliższe i przeszedł na islam. A jeśli odmówię, czy zabije mnie jak naszych biednych wojaków?

Mimo nocnego chłodu pot wystąpił mu na czoło. Nigdy nie przyjmę ich wiary.

Wszystkie te wojujące religie mają w sobie tyle samo prawdy co fałszu. Prędzej umrę, niż bym miał zdradzić Ludwika.

Bajbars patrzył wyczekująco, niczym kot czający się w migotliwym świetle lampy. Przez kotary przewiewał nocny wietrzyk, służba przestępowała z nogi na nogę. Cała sala zdawała się czekać na odpowiedź.

Roland opanował się, spojrzął z uśmiechem na Bajbarsa, jakby chcąc mu pokazać, że się nie uląkł.

- Zabijesz mnie, panie, jeśli nie ukorzę się przed waszą wiarą, uczynisz ze mnie niewolnika, jeśli ją przyjmę.

Bajbars machnął ozdobioną perłami i diamentami ręką na znak, że nie chce słyszeć nawet o takich przypuszczeniach.

- Gardzę tymi, którzy przyjmują naszą wiarę ze strachu przed śmiercią. A co do niewolników, to sam nim jestem jak wszyscy mamelucy. A przecież dowodzę armiami sułtana, ja jeden, teraz kiedy emir Fakr ed-Din nie żyje.

A więc Gwidon miał rację, że mogą się cieszyć ze śmierci emira.

- Nie urodziłem się muzułmaninem - ciągnął dalej Bajbars.

- Kiedy Turcy mnie kupili, byłem sprytny i silny, ale islam setnie mnie umocnił. - Potrząsnął zaciśniętą pięścią, ściany zdawały się drżeć od podniesionego głosu. - Allah błogosławi tych, którzy wiernie mu służą.

On naprawdę usiłuje mnie nawrócić. Roland poczuwszy się trochę bezpieczniej, pokręcił przecząco głową.

- Panie, to, co teraz czuję, nie czyni mnie dobrym wyznawcą żadnej religii.

Twarz Bajbarsa pociemniała.

- Niedowiarek więc? Tacy sami siebie czynią słabymi i osłabiają wolę całych armii. Może zwycięstwo, które da nam jutro Allah, zniweczy twoje wątpliwości.

Poczuł wielką ulgę. Jeśli mam widzieć jutrzejsze zwycięstwo, to przede mną jeszcze co najmniej kilkanaście godzin życia.

- Wrócisz teraz do swoich chrześcijańskich pobratymców. Żyj, a może jeszcze będę miał z ciebie użytek w przyszłości.

Przywołał strażników, którzy mieli odprowadzić Rolanda.

Trzy młode kobiety w wyszywanych szatach, z twarzami zasłoniętymi czarczafami, pożegnały go uśmiechem ciemnych oczu, kiedy strażę popychały go do wyjścia

z komnaty. Gdy kuśtykał korytarzami, odprowadzały go dźwięki bębnów, fletów, tamburynów. Pomyślał, że pijatyka, którą zaczyna Bajbars, czyni jego pojmanie jeszcze bardziej gorzkim. Wszędzie wokół słychać było odgłosy radującej się, zwycięskiej Mansury.

Zdał sobie sprawę, że kiedy Bajbars mówił z taką pewnością, że Allah pozwoli mu jutro zwyciężyć, ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy zwątpić w słowa tamtego. Co się stanie z królem i innymi?

Czuł się jak człowiek, któremu przez niekończące się godziny kazano wędrować skrajem przepaści. Ciągłe w obliczu śmierci, ciało, serce i umysł lawirowały na krawędzi wściekłości, przerażenia, rozpacz. Nie miał już siły. Spotkał Bajbarsa Pantezę i przeżył, ale nie czuł radości. Odczuwał tylko tępy ból i żal na myśl o tych, którzy zginęli tego strasznego dnia, i współczucie dla tych, którzy nie wyłączając jego mieli nadal żyć i cierpieć.

Dzwoniąc łańcuchami Roland wrócił do sali więźniów pogrążonej teraz w absolutnych ciemnościach. Zewsząd dochodziły pochrapywania, mamrotanie, pojękiwanie chorych i rannych, jakieś krzyki. Komuś musiało śnić się to, co przeżył w ciągu dnia. Pewien, że nie odnajdzie w tych ciemnościach Gwidona ani Perrina, osunął się na pierwsze wolne miejsce. Śpiący po obu stronach przytulili się do niego, szukając ciepła. Czuł smród odchodów, ale zbyt był zmęczony, by się tym przejmować. Wyczerpany zaczął zapadać w gorączkowy sen, gdy nagle poczuł, że ktoś potrząsa go za ramię, powtarzając jego imię. To Gwidon usiłował go obudzić. Otworzył z wysiłkiem oczy i dopiero po chwili czerń zaczęła zmieniać się w szarość. Nocne światło wpadało przez zakratowane okno, przez które oglądał wczorajszą rzeź.

- Musimy porozmawiać - mówił Gwidon. - Niewiele zostało nam czasu. Kiedy cię zabrali, już myślałem, że nigdy więcej się nie zobaczymy.

Roland uniósł się trochę. Mózg ciągle nie przyjmował wydarzeń poprzedniego dnia, cały był jeszcze obolały po wczorajszej bitwie, od kamiennej posadzki ciągnął przeraźliwy ziąb, przejmujący całe ciało.

- To Bajbars po mnie posłał - zaczął opowiadać o swoim spotkaniu z mamelukiem - i według mnie żaden z naszych wodzów nie może się z nim równać.

- Tatarzy to wojownicy bez lęku i trwogi - ponuro odrzekł Gwidon. - Podbili pół świata.

- Bajbars mówił o „zmarłym sultanie”.

- Zatem to prawda, że Ajub nie żyje. Teraz tron obejmie jego najstarszy syn, Turan Szach.

Rozmawiali szeptem. Wokół wszyscy spali z wyjątkiem jednego więźnia, który właśnie wstał i potykając się dotarł w róg sali, gdzie wreszcie z ulgą oddał mocz.

- Rozumiem biednego Roberta d'Artois, że chciał wejść do Mansury, bo był to człowiek w gorącej wodzie kąpany - mówił Roland - ale czemu doświadczeni wodzowie, jak Longsword i de Sennac, pozwolili, żeby Almaryk powiódł ich na pewną zgubę? To czyste szaleństwo.

- Ono daje rycerzowi przewagę nad resztą ludzkości. Ta gotowość pójścia prosto w objęcia śmierci odróżnia stan rycerski od pospólstwa. Sam masz w sobie tego szaleństwa więcej, niż myślisz. Wszedłeś przecież z nami do Mansury.

Roland pomyślał nagle o Dianie.

- Diana zawsze była gotowa na śmierć. Czasami wydawało się, że jej szuka, ale nigdy nie dążyła do tej władzy, jaką rycerz ma nad innymi.

- Wielu z nas podobnych jest do niej - odpowiedział Gwidon.

Coś dziwnego zabrzmiało w jego głosie. „Wielu z nas?” Jak katolicki rycerz od Świątyni Salomona może równać się z katarką? Roland przypomniał sobie, że bał się kiedyś, aby Gwidon nie odkrył prawdy o Dianie. Wydawało się, że od tej pory minęły wieki.

- Świątynia Salomona kryje więcej tajemnic, niż byś się ważył zgadywać. - Gwidon mówił szeptem, Roland z wysiłkiem łowił słowa. - Pozwolono mi podzielić się z tobą okruciami tej sekretnej wiedzy. Nie wszyscy templariusze są, Rolandzie, tymi, za jakich uchodzą. W naszym zakonie istnieje inna, sekretna reguła.

Światło wpadające przez zakratowane okno nieco pojaśniało, odezwali się mużezini wzywający z minaretów na poranne modlitwy. Ich głosy przypominały Rolandowi, że jest więźniem ludzi, mających powody do nienawiści, mogących w każdej chwili zechcieć go zabić.

To, co już usłyszał od Gwidona, sprawiło, że miał ochotę gdzieś uciekać, nie słysząc ani słowa więcej. Podejrzewał, że może zyskać wiedzę, bez której byłoby mu lepiej.

- Gwidonie, czy chcesz mi powiedzieć, że jesteś heretykiem?

- Nie jestem heretykiem - odpowiedział templariusz, ważąc słowa. - Heretyk to ktoś, kto nie zgadza się z Kościołem w sprawach wiary. Ja już dawno pozostawiłem Kościół za sobą. Porzuciłem wszystko, kiedy wstąpiłem do zakonu - te trochę majątku, jaki miałem, miłość kobiet. Ślubowałem wypełniać polecenia reguły. Powiem ci, że nie żałuję tamtego życia. Poznałem dzięki sekretom reguły światło, którego żaden chrześcijanin, z wyjątkiem może nielicznych świętych, nie doświadczył na tym świecie. - Chwycił Rolanda za ramię i spojrzał mu przenikliwie w oczy. - To uczucie mnie nie opuszcza nawet teraz, kiedy z tobą rozmawiam.

Roland popatrzył na niego uważnie i zdał sobie sprawę, że to, co widzi, to stan czystej radości.

- I ty jesteś trubadurem, Gwidonie. Musisz wiedzieć, że ci, którzy uprawiają dworną miłość, doznają takich objawień, o jakich mówisz. Ale my przeżywamy je dzięki miłości między kobietą a mężczyzną, a nie przez wyrzeczenie się jej.

- Cóż, można też wspiąć się na wyżyny bez potrzeby ziemskiej miłości. Światło jest jedno i każdy z nas potrzebuje na nie okna, okna w którym są szkła rozmaitych kolorów. Dworni kochankowie, templariusze, katarowie, strzechy masońskie, wszyscy oni mają miejsce w naszej regule. Stworzyliśmy nawet nić sekretnych więzi między chrześcijanami, muzułmanami i Żydami, kobietami i mężczyznami różnych religii w dalekich krajach, o których mało kto słyszał.

Roland słuchał w oszołomieniu. Tajemny związek tylu tak różnych ludzi, rozrzuconych po całym świecie, złączonych jedną wspólną, sekretną wiedzą o wewnętrznej światłości, którą on odkrywał, bo był trubadurem. Wizja przyprawiająca o zawrót głowy.

- Nicoletta powtarzała mi kiedyś, że de Gobignon mocno wierzy w istnienie tajnego spisku, który ma na celu zrzucenie z tronów chrześcijańskich władców, papieża i jego prałatów. - Wstrzymał nagle oddech. Nigdy wcześniej nie mówił Gwidonowi o rozmowach na ten temat z Nicolettą. Cóż to zresztą ma teraz za znaczenie.

Jeśli mogłem mu powierzyć sekret Diany, mogę i ten. Ciągnął dalej. - Myślałem, że to fantazje, które Almaryk wymyśla na poparcie swoich ambicji, a ty teraz usiłujesz mi powiedzieć, że taki spisek naprawdę istnieje?

Usłyszał głosy i tupot butów dochodzące z dziedzińca, z przerażającego ogrodu. Następna rzeź?

Gwidon spojrział z westchnieniem w stronę okna, tak jakby pomyślał o tym samym. Nachylił się, zniżając jeszcze bardziej głos.

- De Gobignon ma po części słusność, tyle że prawda jest tak całkowicie różna od tego, co roi sobie jego wyobraźnia, iż równie dobrze może się całkowicie mylić. Jest przymierze i jest ono tajne. Musi być tajne, bo gdyby którykolwiek z książąt świata chrześcijańskiego dowiedział się, co stanowi istotę naszej tajemnicy, wszyscy poszlibyśmy na stos. Naszym celem jednak nie jest obalenie tronów, jak to sobie hrabia wyobraża. Szukamy wiedzy, chronimy ją i przekazujemy naszym przyjaciołom. Zamiast o „tajnym spisku” lepiej mówić „niewidzialny uniwersytet”.

Roland był kompletnie zamroczony. Oto na jego oczach Gwidon zamieniał się w moczara i maga. Myślałem, że znam tego człowieka, myślałem także, że znam ten świat. Teraz okazuje się, że jeden i drugi tak są odmienne, że ledwie mogę w to uwierzyć.

- Broniąc siebie i naszych przyjaciół, bywa, że uderzamy w posiadającego władzę wroga i tu znowu Almaryk ma po części rację. Nasz zakon roztoczył nad tobą pieczę od chwili, gdy znalazłeś się na dworze Fryderyka, który też jest jednym z wtajemniczonych. Oto dlaczego pomogłem ci tej nocy, kiedy napadnięto Perrina, i dlaczego pomagam do dziś.

- Fryderyk? - Roland był zaskoczony. - On jest przecież tak zupełnie inny od ciebie. Jest tak bezwzględny.

Gwidon rozłożył ręce.

- Mówiłem ci już, ile szkieł, tyle kolorów. Łączy nas wiara, że ludzkość stać na więcej, oraz głód wiedzy świata, który nas otacza.

- Zawsze się dziwiłem, czemuś był tak skory do przyjaźni ze mną i czemuś się ważył na nieliczącą z mnichem awanturę z łotrzykami od Świętego Gerwazego.

- Dawnośmy zamierzali prosić cię o dołączenie do naszego przymierza. Oczywiście nie do templariuszy z ich ślubami czystości i ubóstwa - dodał szybko, uśmiechając

się - ale do bardziej stosownej dla twojego temperamentu formacji. Musieliśmy jednak zachować ostrożność przez wzgląd na twoją przyjaźń z królem Ludwikiem. Musieliśmy nabrać całkowitej pewności co do ciebie. Teraz, kiedy zostało już niewiele czasu, pora, bym mówił z tobą otwarcie.

Światło wstającego dnia i hałasy na podwórku zaczęły budzić więźniów, którzy potykając się o ciała towarzyszy, przepychali się w kąt sali, żeby załatwić swoje potrzeby. Rozmawiali ze sobą przygnębionymi głosami. Gwidon wstał i pociągnął Rolanda do kąta, gdzie było stosunkowo pusto.

- Przyjacielu, musisz wiedzieć o czymś, co tylko ja mogę ci powiedzieć. - Przerwał i mocno ścisnął dłoń Rolanda, zaglądając mu w oczy. - To ja zabiłem Dianę.

Zrobiło mu się ciemno przed oczyma, zatoczył się tak, że Gwidon musiał go podtrzymać.

- Ty? Jak? - dopytywał się zduszonym głosem.

Gwidon pomógł mu usiąść.

- Była to najtrudniejsza rzecz, jakiej przyszło mi w życiu dokonać, mimo że był to akt miłości. Rozumiesz mnie, Rolandzie? Zabiłem ją, bo tylko tak mogłem jej pomóc.

Czuł palące łzy, które zaczęły spływać mu po policzkach.

- Tak, tak - bełkotał - sam to chciałem zrobić. Często o tym myślałem od chwili, kiedy ją pojmano. Nie starczyło mi sił. Za bardzo ją kochałem, albo nie dość.

- Kochałeś jej ciało i dlatego nie mogłeś uczynić mu krzywdy. Ale i ona, i ja wiedzieliśmy, że to, co jest nią, to nie jej ciało. Jakże inaczej, myślisz, mogłaby wytrzymać tygodnie tortur. Tak bardzo pragnąłem ją od nich uwolnić, ale nie było sposobu. Mogłem ją tylko uwolnić od cierpień stosu. I tylko strzałą. Nie mogłem nawet zapłakać, żeby nie chybić.

- Jakaś tego dokonał? Jak udało ci się zabić i ujść cało?

- Znalazłem się w Béziers z posłannictwem templariuszy. Nasz zakon często oskarżano o brak zainteresowania w tępieniu heretyków. Pojechaliśmy więc z braćmi do Béziers, by zademonstrować naszą sympatię dla świętego dzieła brata Hugona. Mogłeś mnie tam ujrzeć, aleś szczęśliwie nie widział. Gdybyś mnie dojrzał, musiałbyś mnie znienawidzić, a ja wtedy jeszcze nie mógłbym ci powiedzieć, jaki

powód mnie tam naprawdę przywiódł. Wszyscy ludzie hrabiego Almaryka zebrani byli na placu, wieże miejskie niestrzeżone. Wśliznąłem się do jednej z nich. Potem, ubrany w płaszcz templariusza, po prostu udałem, że jestem jednym z pierwszych, którzy rzucili się ścigać zabójcę. To ja znalazłem jego kryjówkę, a w niej luk i strzały. Powróciłem do swoich braci templariuszy, a większość tych, którzy mnie widzieli, szybko o tym zapomniała pośród powszechnego podniecenia. My wydajemy się podobni jeden do drugiego, z naszymi jednakimi brodami i szatami zakonnymi. Myśl, że zabójstwa mógł dokonać ktoś spośród kleru zebranego na stopniach kościoła, wydawała się tak nieprawdopodobna, że nikt jej do siebie nie dopuszczał. Tylko Hugon był dość przebiegły, żeby pomyśleć o takiej możliwości. Musiał więc biedak zginąć.

Roland, bombardowany tymi wiadomościami, nie mógł się zdobyć na nic więcej, niż tylko potrząsać głową w kompletnym oszołomieniu. Tak bał się cały czas, by Gwidon nie odkrył, kim jest Diana, gdy tymczasem między nimi istniała sekretna więź.

Tylko dlaczego nazywa Hugona „biedakiem”?

- Nie żal ci przecież, że zabiłeś Hugona?

Na dziedzińcu przekrzykiwali się Egipcjanie, padały komendy, z korytarza dochodził brzęk zbroi i broni. Słońce już wzeszło, kawaleria Bajbarsa zapewne ruszyła do ataku przeciw resztkom armii krzyżowców. Ciekawe, czy odniesie zwycięstwo, jak się tego spodziewał?

- Żal mi, że go zabiłem - odezwał się Gwidon - zrobiłem to w odruchu gniewu. Nie mogłem się powstrzymać, gdy zobaczyłem, że przybliży pochodnię do jej twarzy. To, co zrobiłem, wyrządziło wiele zła. Zemsta Almaryka przyniosła śmierć setkom niewinnych ludzkich istnień, tysiące straszliwie od niej ucierpiały. Nie mogłem oddać się w jego ręce, bo byłoby z tego jeszcze więcej nieszczęścia i naraziło nasz zakon.

Przerwał i Roland zobaczył w jego oczach łzy. Ramiona mu się ugięły, jakby pod zbyt wielkim ciężarem.

- Tyłu niewinnych ucierpiało, tak wielki mam dług do spłacenia.

Roland zdawał sobie sprawę, że ich rozmowa może w każdej chwili zostać przerwana. Zadał więc najważniejsze dla niego pytanie.

- Czemu Diana była dla ciebie taka ważna? Czy dlatego, że katarowie są częścią waszego tajnego związku?

- Tylko niektórzy. Większość nic o nim nie wie, tak jak i większość templariuszy. Diana dowiedziała się, kiedy uszła z Mont Ségur. Była nieświadomą łączniczką między katarami i templariuszami. To ja byłem jej Starszym, ja się z nią spotykałem potajemnie.

- Tej nocy, kiedy przywiozłeś do domu rannego Perrina, czy wiedziała, kim jesteś?

- Nigdy się nie dowiedziała, że jej Starszy i Gwidon Bruchesi to ta sama osoba. Spotykaliśmy się zawsze nocą, a ja kryłem twarz. Poznałem ją dobrze i pokochałem.

- Pokochałeś?

- Tak, Rolandzie, pokochałem. - Gwidon delikatnie ścisnął jego ramię. - Pokochałem czystą miłością. Była pięknym człowiekiem! Jakże ktoś kto ma serce i duszę, mógł jej nie kochać?

- Tak, wiem - wymamrotał Roland.

- To ja może niemądrze napierałem, by pozostała w twoim domu, kiedy błagała, żebym pozwolił jej odejść.

Na wspomnienie tamtych paryskich dni Rolandowi znowu napłynęły łzy do oczu.

- Kochała cię rozpaczliwie, Rolandzie. Była bliska złamania ślubów. Chciała pozostać z tobą nawet po tym, gdy Nicoletta odkryła jej obecność w twoim domu.

Tak, chciała. Pamiętał, gdy mu powiedziała „kocham cię” tego dnia, kiedy rozstawali się na zawsze.

- Czemu odrzuciła moją miłość?

- To, że powiedziała ci nie, było najtrudniejszą rzeczą w jej życiu, gorszą może od tygodni tortur. Od tych dni, kiedy spotykaliście się, będąc jeszcze dziećmi, nigdy nie przestała cię kochać.

Poczuł ogromną radość i spokój. Więc nie było w tym nic złego, że i on ją kochał.

- Dlaczego mnie nie przyjęła, jeśli tak bardzo mnie pragnęła? Dlaczego musiała mnie opuścić?

Gwidon pokręcił głową.

- Gdyby przyjęła cię za kochanka, zniszczyłyby siebie. Nie uznają katarskiej doktryny, która powiada, że są grzechy nie do odkupienia, nawet kiedy jest się

Doskonałym. Nie mogłem jej przekonać. Jeśli złamałaby dla ciebie swoje śluby, czułaby się tak winna, że reszta życia zamieniłaby się dla niej w piekło. Wiedziała, że i ty ją kochasz, ale pozostała do końca wierna swojej wierze. Na swój sposób jej życie i śmierć były rzeczywiście doskonałe.

Słowa Gwidona leczyły stare rany. Skuty łańcuchami, uwięziony, Roland poczuł wreszcie ulgę i spokój. Gwidon ofiarował mu wielki dar. W niemej podzięce mocno uściśnął ramię przyjaciela.

Otworzyły się ze szcękaniem żelazne drzwi sali. Wszedł eunuch Sahil, za którym postępował oddział straży. Sami rozejrzał się wokół, aż jego małe, głęboko osadzone oczka natrafiły na Gwidona.

- Ten. W białym płaszczu. Brać go.

Wzburzony Roland skoczył na nogi, zapominając o bólu.

- Nie!

Gwidon też się podniósł i poklepał Rolanda po plecach.

- Uspokój się, Rolandzie. Nie możesz nic zrobić. Powiedziałem ci, że mam dług do spłacenia.

Podszedł do nich Perrin, położył dłoń na drugim ramieniu Rolanda.

- Wracajcie w Światłość, panie Gwidonie - odezwał się cicho, głosem pełnym szacunku.

- Niech się tak stanie - odpowiedział Gwidon ze spokojnym uśmiechem.

Roland rozglądał się wokół zrozpaczony.

- Jest tu tylko sześciu strażników, a nas ponad setka. Powstrzymajmy ich, bracia!

Wpatrywał się w smutne, zmęczone twarze. Nikt się nie poruszył.

- Brać tego człowieka. Bić, jeśli będzie jeszcze gardłował - nakazał Sahil. Dwóch ciemnoskórych strażników ze sztyletami u pasa pochwyciło Rolanda. Płonąc z gniewu, napiął ramiona, usiłował uwolnić się z ich uścisku.

- Panie - mówił Perrin - niewiele możemy zrobić skuci łańcuchami. Nawet jeśli poradzimy strażom, przyjdą inni i uczynią tu rzeź.

- Jeśli nie zajął się tobą emir Bajbars - odezwał się Sahil - to ja pošlę cię pod topór, gdy będziesz jeszcze próbował podburzać swoich pobratymców.

Rolandowi zdawało się, że wokół zapada nagle ciemność. Chcieli zabrać Gwidona, tego wspaniałego człowieka, przyjaciela, chcieli go zabić, a on nic nie mógł uczynić. Osunął się ciężko, podtrzymywany przez strażników, bezsilny.

- Czemu go zabieracie, czemu - szlochał - jest takim samym rycerzem jak każdy tutaj.

- Rolandzie - próbował tłumaczyć Gwidon - biorą każdego, kto nie ma wykupu. To wbrew naszej regule dawać okup za własne życie. Zachowali mnie przy życiu przez ostatnią noc, bym mógł opatrzyć rany tych, którzy będą się mogli wykupić.

- Musi umrzeć - odezwał się Sahil - ponieważ rycerze Świątyni poprzysięgli, że oddadzą życie, wojując z nami. - W jego głosie, o dziwo, zabrzmiało coś jakby szacunek. - Są poza tym lepszymi rycerzami niż reszta chrześcijańskich psów. To zaszczyt dla takiego człowieka jak on, że chcemy go zgładzić.

Roland wpatrywał się w Gwidona, niezdolny przemówić. Szaleństwo, szaleństwo. Czemu ludzie ciągle zabijają, w zaślepieniu, bez powodu?

- Czy mogę zostawić przyjacielowi pamiątkę po sobie? - zwrócił się Gwidon do Sahila.

Eunuch wzruszył ramionami i skinął przyzwalająco głową. Gwidon wsunął dłoń za pazuchę podartej płaszcza i wyciągnął zwitek papieru.

- Rolandzie, ostatniej nocy usiłowałem raz jeszcze zabawić się w trubadura. Zachowaj to, a jeśli ci się spodoba, ulóż kiedyś muzykę do tych słów.

- Tak uczynię, Gwidonie - odpowiedział Roland drżącym głosem, biorąc zwitek.

- Zachowaj też w sercu, co ci powiedziałem tej nocy - dodał cicho Gwidon, owijając się podartym i poplamionym płaszczem. - Kiedy wrócisz do Francji, dostaniesz znak. Nie oplakuj mnie. Oddaj swoje serce i umysł wojownika temu, za co usiłowała walczyć Diana i ja. Będziemy żyli w tobie.

Wyciągnął ramiona i pozwolił poprowadzić się strażom Sahila.

Egipcjanie puścili Rolanda, który ze szlochem osunął się na ziemię. Perrin przysiadł koło niego i położył mu dłoń na ramieniu. Trzasnęły zamykane drzwi.

Kiedy patrzył, jak spokojnie Gwidon idzie na śmierć, Roland przypomniał sobie męczenników z Mont Ségur przysięgę, którą wtedy złożył, że zrobi wszystko, by położyć kres podobnym zbrodniom. Niewiele osiągnął dotychczas. Teraz, jeśli wyjdzie stąd żywy, przyłączy się do reguły Gwidona i zdziała więcej.

Nie przywróci jednak życia Gwidonowi. Serce zamieniło się w grudkę bólu. Skulił się, jakby miało to zmniejszyć rozpacz przenikającą całe ciało. Ukrył twarz w ramionach i gorzko zapłakał, ściskając w dłoni zwitek papieru z wierszem Gwidona.

* * *

XXVII

Wyprawa zakończona, myślał Almaryk, niezależnie od tego, czy Ludwik zdawał sobie z tego sprawę, czy nie. Siedział na dużym bojowym kasztanie. Obserwował z brzegu Nilu po przeciwnej stronie Mansury wycofujące się pośpiesznie resztki armii krzyżowców. Przeprawiano się po moście z łodzi wzniesionym siedem tygodni wcześniej, gdy w tłusty czwartek oddziały Franków związały się w walce z mamelukami na południe od miasta.

Almaryk spojrzął za siebie na niedobitki zastępów, wszystkiego koło dwustu rycerzy i ośmiuset żołnierzy. Połowę z tego przyprowadził tu z własnych włości. Warto jednak było przegrywać.

Pamiętał łzy, które Ludwik wylał na wieść, że będzie musiał ustąpić z miejsca, za które oddał życie jego brat i tylu innych.

Tak chciałem, by skończyło się śmiercią Ludwika i jego dwóch braci w tych błotach. Śmiercią, jaką poniósł Robert, jaka spotkała tego bastarda de Vency. Na świętego Dominika, czemu nie mogłem zobaczyć jego ciała? Spalili go, czy po prostu rzucili do Nilu?

Gdyby tylko Ludwik zechciał walczyć dalej i odbić zabitych. Byłaby to sposobność, żeby zginął i on, i jego bracia. Szybko rozbito by umocnienia, które wznosił na brzegu po stronie Mansury.

Czy to możliwe, że minęło zaledwie siedem tygodni od bitwy, którą stoczyli w tłusty czwartek? Almarykowi wydawało się, że od tamtej chwili upłynęły całe lata. Walczył, przetrzymał i przeżył. Nie bez przyjemności. Widział, jak padali w boju ci, którzy mogli być mu przeszkodą. Raul de Coucy. Robiło mu się ciepło na sercu na to wspomnienie. Enguerrand, który pozostał w ojczyźnie, będzie teraz seniorem

włości Coucy, a nienawidzi króla równie mocno jak ja.

Wilhelm de Sennac. Zabity zaledwie w kilka dni po bitwie o Mansurę, i wszyscy jego templariusze, których spotkał podobny los.

Wojska wycofujące się po moście z łodzi nie przypominały w niczym walecznego rycerstwa, które wyruszało na południe zeszłej jesieni z Damiety. Minęło już wiele tygodni od ostatniego transportu żywności. Czemu? Nikt, z kim rozmawiał, nie potrafił odpowiedzieć. Nie dalej jak tego ranka słyszał o beczce zepsutej solonej wołowiny, którą ktoś sprzedał za osiemdziesiąt srebrnych liwrow. W domu za tę cenę można by kupić wspaniałego wierzchowca.

Sam Almaryk czuł się silny, zdawał się promieniować zdrowiem. Umiał zadbać o siebie. Niektórzy z baronów okazali się na tyle głupi, by dzielić swoje zapasy z tymi, którym działo się gorzej i byli teraz tak samo zamorzeni i chorzy jak najbardziej zabiedzeni wojacy z ich zastępów. Almaryk nie szczędził żywności dla siebie i dla tych spośród swoich ludzi, których cenił najbardziej, dla takich jak d'Etampes i Maurycy. Niech będą dzięki świętemu Dominikowi, że zesłał mi Maurycygo, który potrafił wymknąć się z obozu i powrócić z mięsem i świeżymi owocami.

Wycofujące się wojska wlokły się teraz po moście. Wielu z rycerzy sprawiało wrażenie zbyt słabych, by unieść miecz. Byli wycieńczeni gorączką, skorbutem i malarią, chorobami, które zabiły więcej ludzi Ludwika niż mamelucy.

Co z mamelukami? Spojrzał na nienaruszone mury Mansury. Wiedział dzięki kontaktom Maurycygo, że za nimi zbierały się coraz większe siły Saracenów ściągających z najdalszych zakątków imperium sułtana Kairu.

Jego wzrok przyciągnęło jakieś ożywienie pod murami miasta. Dojrzał rozwinięte sztandary, usłyszał bębny i wojenne okrzyki Saracenów. Ich mroźące krew w żyłach okrzyki były mu równie znajome jak widok śmierci.

Ci nasi przekłeci inżynierowie nie zaczęli nawet przecinać lin podtrzymujących most. Stał teraz otworem przed rosnącymi w mgnieniu oka zastępami Egipcjan. Doszły go trwożne okrzyki krzyżowców, którzy jak on dojrzeliby Saracenów wysypujących się z Mansury.

Allach akbar! - niosło się z przeciwnego brzegu.

Co za obrzydliwy zgiełk. Tysiące Saracenów wyło, a towarzyszyły temu dźwięki bębnów, trąbek i fletów.

Pierwsi na most ze śpiewem i tańcami wkroczyli dziwnie wyglądający brodacze w biało-czarnych szatach. Niektórzy z nich przystawali co chwile i obracali w tak szybkich piruetach, że ich szaty wirowały niczym wielkie białe kwiaty. Za nimi postępowali grajkowie z fletami i tamburynami.

Szaleni kapłani - derwisze, jak nazywał ich Maurycy - często prowadzili armię Saracenów do ataku. Almaryk poczuł, że ciarki przebiegają mu po plecach. Wróżbici!

Teraz wchodziły na most piesze zastępy zbrojne we włócznie, za nimi konnica z zielono-żółtymi sztandarami, powiewającymi nad spiczastymi hełmami.

Nagle przestał odróżniać, gdzie była awangarda Egipcjan, a gdzie ostatni francuscy maruderzy. Woda zakotłowała się od ciał i zabarwiła czerwienią. W niebo wzbijały się chmury saraceńskich strzał opadających deszczem na plecy krzyżowców.

Podjechał Guy d'Etampes zapytać, czy są jakieś rozkazy królewskie.

- Nie - odparł Almaryk - i nie czas teraz na nie czekać. Rozkaż oddziałom, niech idą przez stary obóz i stają na drodze do Damiety.

Nie czekając na odpowiedź, spiął konia i pogalopował na północ.

Musiał go zaraz osadzić, by nie wysforować się zbyt przed swoich ludzi, z których większość była spieszona. W ostatnich tygodniach konie z towarzyszy walki stały się cennym źródłem mięsa.

Spojrzał w tę stronę, gdzie rozbili obóz kilka miesięcy temu, gdy stanęli pod Mansurą. Księża, czeladź, wszelka obozowa ciżba kręciła się tam nerwowo niczym mrówki, którym ktoś właśnie rozbił kopiec. Zwijano namioty, pakowano wszelki pozostały dobytek na ocalałe wielbłądy i osły.

- Panie, poczekajcie, pozwólcie iść ze sobą - nawoływali, ale on jechał dalej nie zwracając uwagi na motłoch.

Mijał galery zakotwiczone przy brzegu. Gdyby mógł przejąć jedną z nich, miałby szansę dotrzeć do Damiety w ciągu zaledwie dwóch dni. Ale przeklęty Ludwik kazał

zaokrętować na nie chorych i rannych. Będą mieli szczęście, jeśli uda im się odbić od brzegu, zanim dosięgną ich Egipcjanie.

Jechał dalej. Zostawił już obóz daleko za sobą, gdy nadjechał d'Etampes, który poganiał maruderów na tyłach.

- Panie, nasza armia zatrzymuje się do walki.

W Almaryku zagotowało się z wściekłości. Nie miał czasu dla d'Etampesa z jego idiotycznymi raportami. Chciał wracać do Damiety, gdzie mógł być bezpieczny. Tylko to się teraz liczyło.

Powinien jednak przynajmniej okazać jakiś ślad zainteresowania. Obejrzał się przez ramię. Dojrzał rycerzy i łuczników tworzących linię defensywy przy galerach. Głupcy - pomyślał - Saraceni ich unicestwią w mgnieniu oka.

- Król nakazał odwrót - odparł krótko - i tak uczynimy, chyba że zmieni rozkazy.

A nawet i wtedy nie usłucham. Jeśli Ludwik przeżyje ten dzień - a niech Bóg sprawi, by się tak nie stało - i każe mi się wytłumaczyć z mojego postępowania, powiem, że nie otrzymałem poleceń.

Jechali dalej w milczeniu, po prawej d'Etampes na jednym z niewielu ocalałych wierzchowców, po drugiej stronie Maurycy na jabłkowitym ogierze, którego przebiegły starzec gdzieś dla siebie wynalazł. Przed nimi jechał giermek z purpurowo-złotym proporcem Gobignonów. Pomyślał z zadowoleniem, że jego zastępy wycofują się w godnym szyku, zważywszy, co przeszli i co pozostawiali za sobą.

Na świętego Dominika, ujrze wkrótce Nicolettę! Na myśl o niej poczuł ból w łędźwiach. Od miesiący nie miał kobiety. Brzydził się ciemnoskórymi, odrażającymi Egipcjankami.

Nicoletta i już żadnego trubadura, który stanie między nami, to skończone. Triumfował.

Z dała niczym napomnienie dochodziły okrzyki i szczęk oręża. Czuł do siebie obrzydzenie za to, co robił - uchodził przecież z pola bitwy. Był to rycerski postępek czy nie, jaki cel miałyby zostawać? Armia Ludwika zdziesiątkowana, ludzie zbyt osłabieni, by walczyć. Niech święty Dominik sprawi, żeby nie stanęli nam na drodze Saraceni.

Jego drużyna nie była jedyną, która uchodziła w tak niesprzyjających okolicznościach. Kiedy się oglądał, widział, że z szeregów walczących odłączały się małe

grupki rycerstwa, by podążyć ich śladem.

Zaciskał zęby na widok odpływających jedna po drugiej galer z chorymi i rannymi, niesionych szybkim prądem ciemnobrązowych wód rzeki. Płyną do Damiety z bezwartościowym ładunkiem, gdy my musimy wlec się drogą.

Jechał w milczeniu, za nim postępowali jego ludzie rozciągnięci długim szeregiem wzdłuż brzegu.

Wczesnym popołudniem usłyszał, że ktoś go woła po imieniu, obejrzał się i zobaczył zdyszanego, przerażonego klechę na osiołku.

- Panie, jeśli woła, niech wasi ludzie ustąpią drogi. Za wami podąża Jego Eks-celencja patriarcha Jerozolimy, któremu bardzo spieszo.

Do diaska! Znowu tracimy czas. Nie mógł wszakże odmówić najdostojniejszemu z duchownych. Ze złością przekazał rozkaz d'Etampesowi.

Almaryk rozpoznał patriarchę, zasuszonego starca owiniętego w czarną, podróżną oponę. Mimo swoich osiemdziesięciu lat znosił trudy podróży równie dobrze jak reszta jego święty, garstka księży i mnichów na grzbietach koni i osłów. Almaryk z pogardą patrzył na pobladłe twarze i nieprzytomne oczy. Wiedzą, że Saraceni szczególnie lubują się w zadawaniu okrutnej śmierci chrześcijańskim kapłanom, pomyślał z niechęcią. Z boku jechało dwóch templariuszy, zapewne ostatni z tych, których przywiódł de Sennac.

Patriarcha uczynił znak krzyża, mijając Almaryka i jego ludzi. Almaryk w odpowiedzi również się przeżegnał, otrząsając się ze wstrętem.

Uczyliem wszystko, co w mojej mocy, by ta wyprawa się nie powiodła, żeby król i jego bracia polegli. Na moich dłoniach jest krew Roberta. Czy to błogosławieństwo jest dla mnie dobrym znakiem, czy jestem potępiony?

Po jakimś czasie odezwał się d'Etampes.

- Oriflamme.

Almaryk obejrzał się i ujrzał kilkaset metrów za sobą złoty sztandar.

- Mówiłem ci, że król nie chce, byśmy stawali do walki - przypomniał cierpko.

- Możemy ująć, bo inni za nas stanęli do walki - odpowiedział d'Etampes. W jego głosie słyhać było ton nagany, który rozzłościł Almaryka. Zapomina, że beze mnie byłby niczym.

- Wątpię, panie, czy ten rycerz jest ci prawdziwie oddany - zaszeptał przymilnie Maurycy. - Na twoim miejscu miałym na niego baczenie.

Późnym popołudniem dotarł do Almaryka posłaniec od Ludwika. Partia królewska stanęła we wsi o niecałą milę stąd. Walki się kończą. Król wzywa Almaryka na naradę.

Wyludniona teraz wioska składała się z kilkudziesięciu lepianek pokrytych dachami z trzciny. Fellachowie skryli się najpewniej za liniami Saracenów. Wokół unosił się fetor ludzkich i zwierzęcych odchodów. Oriflamme powiewał nad szaroburym domem, który wyglądał jak pudełko z gliny. Nie było tu nawet drzwi, po prostu brązowa zasłona, którą Almaryk odchylił, wchodząc do wnętrza.

Widok Ludwika napenił go skrywanym zadowoleniem. Król siedział na stercie desek, długie ciało zgięte było w pół, trzymał się za brzuch, pociągłą twarz oblewał pot gorączki. Kucharz Isambert, krępy człowieczek, stał obok z założonymi rękoma. W ciemnej izbie zebrała się grupka baronów. Wszyscy wyglądali na zupełnie wyczerpanych.

Hrabia Karol d'Anjou siedział na brudnym klepisku obok króla. Almaryk zdwoił czujność na widok królewskiego brata. Wiedział, że Karol ma więcej zmysłu praktycznego niż Ludwik, że jest daleko mądrzejszy od Roberta, a zatem musi się mieć na baczności, kiedy ma z nim do czynienia.

- Bóg chciał widać, by padła na mnie choroba - odezwał się Ludwik słabym głosem. - Rad wszak jestem, że cię znowu widzę, Almaryku.

Ten idiota naprawdę tak myśli, przeszło przez głowę Almarykowi.

- Hrabio Almaryku - odezwał się Karol - król nie może jechać dalej. Została jeszcze jedna galera. Powiedźcie naszemu panu, że powinien nią popłynąć do Damiety.

Almaryk stęzał. Bał się, że rada Karola może pozwolić ująć królowi cało z opresji.

- Będę maszerował z moją armią - odpowiedział Ludwik z typowym dla siebie łagodnym uporem.

- Rycerskie słowa, sire - poparł go z całego serca Almaryk.

Karol wyrócił oczy w desperacji.

Alfons, najmłodszy z braci królewskich, drobny, jasnowłosy młodzik, siedział na podłodze w milczeniu, z taką miną jakby nie docierał do niego sens toczącej się rozmowy.

- Niewiele nam zostało okazji do okazania rycerskości, mój dobry Almaryku - mówił Ludwik. - Będę prosił Saracenów o rozejm. Niech pozwolą nam wycofać się w pokoju do Damiety.

Czemu, na Boga, mieliby na to przystać? Co on myśli, że to turniej rycerski? Maja nas w rękę. Mogą całe wojsko wyciąć w pień i odbić bez trudu Damietę.

- Co im zaoferujemy w zamian, sire? - zapytał z pozornym spokojem.

- Jeśli będą chcieli nas tu zniszczyć, stracą tysiące swoich ludzi - odpowiedział Ludwik. - Jesteśmy słabi, ale gotowi na wszystko. Nasze zastępy liczą jeszcze tysiąc zbrojnych, a każdy z nas odda życie nie prędzej, niżli położy trupem kilku Saracenów. Jeśli jednak pozwolą nam wrócić do Damiety, będziemy mogli porozumieć się z korzyścią dla obydwu stron.

Ludwik ciężko westchnął, pobladł i chwycił się kurczowo za brzuch.

- Dobry Jezu, jak boli!

Wyciągnął trzęsącą się dłoń w stronę Isamberta, który pomógł mu się podnieść i na wpół wyprowadził, na wpół wyniósł z chaty.

Nie może nawet iść. Jest bliski śmierci. Almaryk oddychał szybciej, podniecony tym widokiem. A ja, ja już jestem wielkim konetabłem Francji. Blisko, tak blisko, jeszcze tylko bracia Ludwika.

Karol d'Anjou wykrzywił się, jakby żenowała go królewska niemoc.

- Co myślisz, hrabio, o królewskim zamiarze proszenia o rozejm? Zdaje się, że nie ma innego wyboru, niż próbować układać się z Turkiem.

Co odrzec?

Oczyma wyobraźni widział pałac królewski w Paryżu, siebie na czele rady tych, do których będą należały rządy nad krajem, gdy skończy się ta nieszczęsna wyprawa. Jakże chciał, żeby ta wizja stała się rzeczywistością. Ludwik jest pewnie umierający,

ale Karol i Alfons wyglądają aż nazbyt zdrowo. Trzeba będzie jakoś się ich pozbyć.

Po pierwsze, żadnych paktów z Saracenami. Jeśli skłonią się do ustępstw, wszystkie jego plany obróca się wniwecz.

- Jak rzekłem - przemówił wreszcie - jeśli będziemy prosić o pokój, Saraceni pomyślą, że jesteśmy jeszcze słabsi niż w rzeczywistości. Upewnią się tylko w przekonaniu, że to świetna sposobność, by z nami skończyć, a wtedy uderzą z całym impetem. Jeśli stawimy opór, pomyślą, że niełatwa z nami sprawa. Może się wycofają, a my bezpiecznie ruszymy w dalszą drogę.

Karol otworzył już usta, gotując się do odpowiedzi, gdy włączył się raptem inny, słaby głos.

- Gdyby tylko o mnie chodziło - odezwał się Ludwik od wejścia - stawilibym im czoła do końca, wspomagany przez kilku dzielnych towarzyszy, takich jak ty, mój Almaryku.

To dobry kierunek. Muszę zachęcić Ludwika do walki, ale nie pozwolić, żeby i mnie w nią wciągnął.

Ludwik powlókł się na swoje miejsce, wsparty ciężko na Isambercie.

- Jeśli zatrzymamy Saracenów, reszta armii będzie się mogła wycofać. Umrzemy jak Roland i jego ludzie, a może pamięć o nas przetrwa w pieśniach.

Almaryk zrozumiał, że Ludwik bredzi o dawnym bohaterze Rolandzie. De Vency, ten pies, nie ostanie się w żadnej pieśni.

- Moi rycerze i wojownicy - mówił dalej Ludwik - przyszli tu ze mną, by oswo-bodzić Jeruzalem, a nie umierać w próżnej walce przeciw zbyt wielkim siłom. Zawsze uważałem, że moim obowiązkiem jest prowadzić ludzi na śmierć, jeśli taka była konieczność, ale nie mam prawa wystawiać ich życia na zgubę, gdy mogę je oszczędzić.

- Dobrze powiedziane, bracie - potaknął Karol.

Alfons nie podniósł głowy, siedział cały czas ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

Jest jeszcze chłopcem i jest przerażony. To jego pierwsza wojaczka.

- Poza tym - ciągnął Ludwik - jeśli przegramy tutaj, kto obroni Damietę? Ci z nas, którzy już nie mogą walczyć, płyną tam na galerach. Tam są nasze damy. Co się

stanie, jeśli te bezbronne dusze wpadną w ręce mameluków?

W oczach Karola i Alfonsa, których żony, tak jak królowa Małgorzata, były w Damiecie, pojawił się błysk przerażenia.

Jakikolwiek obrót wezmą sprawy, ja zdążę do Damiety, by chronić moją żonę. Almaryk uczuł dumę na myśl o własnej sile.

- Sire - zaczął porywco - wszystko, o co walczyliśmy, wszystkie oddane Bogu żywoty, wszystko to pójdzie wniwecz, jeśli teraz postąpimy.

Na policzkach Ludwika pojawiły się łzy.

- Wiem, Almaryku, wiem. Jakież czuję ból na myśl, że za to wszystko ja ponoszę odpowiedzialność. Wszyscy ci ludzie, którzy na próżno zginęli. Byłoby lżej samemu teraz zginąć w bitwie, ale nie rządę własnym życiem. Nie, muszę uczynić to, co najlepsze dla moich ludzi, dążyć do rozejmu. Jest z nami Filip de Montfort, który przybył z Tyru i który będzie układał się w naszym imieniu z Egipcjanami.

De Montfort, rycerz podeszły już w latach, urodzony i wychowany w Ziemi Zamorskiej, postąpił na środek, chyląc głowę przed królem. Miał siwe wąsy, mocno kontrastujące z ciemną twarzą.

- Ruszaj, dobry Filipie, i niech Jezus obdarzy cię darem wymowy przed Turkiem.

De Montfort skłonił się ponownie i pośpiesznie opuścił chatę.

- I ja muszę odejść, sire, zając się moimi ludźmi - powiedział Almaryk głosem dławionym wściekłością.

Ludwik uniósł drżącą rękę w pożegnalnym geście.

Dosiadając swego konia, Almaryk lustrował pozycje obu armii. Z grzbietu konia można było widzieć na mile w tym płaskim pejzażu. Słońce zajdzie za jakieś dwie godziny. Krzyżowcy odbili się na dobry dystans od Mansury. Almaryk widział teraz na horyzoncie jej opustoszałe mury. Konni i łucznicy rozciągnęli linie obrony zaraz za wsią, w której schronił się Ludwik. Mieli przeciw sobie wielką armię egipską, którą prowadzili do boju mamelucy. Tysiące konnicy, dziesiątki tysięcy piechoty, las włóczy. Jeśli teraz przypuszczą ostateczny atak i otoczą nas, będzie po nas, pomyślał.

Wracając do miejsca, gdzie zostawił swoich ludzi, Almaryk przygotowywał plan dalszego działania. Muszę się stąd wydostać cało, muszę mieć pewność, że król i jego bracia zginą.

Powtarzał to sobie wiele razy wcześniej, tym razem jednak wydawało mu się, że wreszcie jego zamiary będą mogły się spełnić.

Ludwik zasłużył na śmierć, myślał, jakby chciał usprawiedliwić się wobec Boga. Ta śmierć jest konieczna. Królestwo trzeba ratować z chaosu, trzeba ochronić chrześcijaństwo przed herezją.

Drużyna Gobignona rozbiła namioty na poboczu drogi. Ludzie, zmęczeni, siedzieli na ziemi, inni czyścili broń, niektórzy zajęci byli rozmową, jeszcze inni patrzyli bezmyślnie w przestrzeń. D'Etampes przechadzał się pośród nich, zagadując coś do każdego. Powitał Almaryka pytającym spojrzeniem, ale ten się odwrócił bez słowa. Nie będzie z niego żadnego pożytku.

Stary Maurycy oczekiwał Almaryka w jego namiocie. Coraz częściej ostatnio de Gobignon polegał na radzie starego. Usiadł na obozowym łóżku i opowiedział Maurycemu o pomysle rozejmu.

- Czy nie byłoby najlepiej, gdyby rozmiłowany w herezji król nigdy nie powrócił do Francji? - zapytał Maurycy, spoglądając z ukosa.

Nie dość, że stary zdawał się czytać w myślach Almaryka, to w dodatku nie wydawało się, by się nimi specjalnie gorszył. A jednak jego służalczość była męcząca. Czemu nie potrafi spojrzeć mi prosto w oczy? Do diabła, czy tak go bili saraceńscy panowie, że musi się płaszczyć jak pies? Spojrzał na Maurycego, który patrzył gdzieś w przestrzeń, ponad jego lewym ramieniem.

- Znasz Turków - odezwał się Almaryk - czy to podobna, by pozwolili królowi przemaszerować spokojnie do Damiety?

Maurycy wzruszył ramionami.

- To zależy, kto będzie na czele ich wojsk. Bajbars wołałby na pewno rozbić nas tu i teraz, raz na zawsze. Nowy sułtan Turan Szach bardziej jest skory do ustępstw, niż był jego ojciec. Chciałby osiągnąć jak najwięcej, najmniej tracąc.

Chociaż Maurycy zachowywał się tak, jakby chciał go zachęcić do dalszej rozmowy, Almaryk nic już nie powiedział.

- Co by się stało, gdyby zastęp krzyżowców uderzył na mameluków wówczas, gdy prowadzono by rozmowy o rozejmie?

Maurycy pomyślał i potrząsnął głową.

- Saraceni mogliby wtedy odpowiedzieć uderzeniem, ale - uśmiechnął się do Almaryka - kto chciałby popełniać samobójstwo, uderzając teraz na mameluków?

- Nie ja - zgodził się Almaryk. - Jeśli się stąd nie wydostanę żywy, wszystkie moje plany na nic.

- Jeśli krzyżowcy zamiast mówić o rozejmie, poddaliby się, wtedy król i jego bracia wpadną od razu w ręce mameluków.

Almaryk poczuł się tak, jakby ujrzał wschodzące słońce.

- A wtedy co? - dopytywał z bijącym sercem.

- Gdy będą nas brali do niewoli, niektórzy z nas mogą im umknąć.

Almaryk wyobraził sobie niemal całą armię w tureckiej niewoli. Czy mogę spowodować takie nieszczęście? Cóż innego pozostaje?

- Co zrobią z tymi, których pojmagają?

Maurycy znowu wzruszył ramionami.

- Może, być że ich wszystkich wymordują, panie. To da im pewność, że krzyżowcy nie będą już nigdy niepokoić Egiptu.

Nie mogę tego uczynić. Nie mogę pozwolić, by tysiące francuskich rycerzy zginęło, wmawiając sobie, że czynię to dla ocalenia królestwa. A może mogę?

- Śmierć tylu rycerzy - odezwał się, odganiając od siebie uporczywą myśl - to straszna rzecz. Wielu pośród nich to ludzie, którzy myślą o świecie podobnie jak ja.

- I tak pomrą w Ziemi Zamorskiej, panie - odpowiedział cicho Maurycy - jeśli nie teraz, to później.

To nie takie pewne, pomyślał. Jeśli będzie jakiś sposób, by zabrać ich wszystkich z powrotem do Francji, Ludwik z pewnością o to zadba. Ale jeśli Ludwik zawrze pokój, nigdy nie pomszczę ojca ani Hugona. Królestwo opanują heretycy, a ja do końca życia będę niewolnikiem Ludwika. Uderzył pięścią o wierzch dłoni, aż zadzwoniły rękawice luźno zwisające u pancerza. Jeśli posunąłem się tak daleko, nie mogę się cofnąć. Nie będzie w tym mojej winy, że Saraceni ich wymordują.

- Cokolwiek się z nimi stanie, kiedy pójdą w niewolę, nie będzie w tym twojej ręki - odezwał się znowu Maurycy, jakby i tym razem czytając najbardziej skryte myśli Almaryka.

- Uczynię, co do mnie należy - odezwał się nagle Almaryk - dla Boga i Francji.

- Tak, panie - odparł Maurycy, ciągle patrząc gdzieś w bok.

- Dobrze zatem - Almaryk mówił teraz pośpiesznie. - Jedź, Maurycy, do oddziałów z rozkazem, by wszyscy składali broń. Mów, że z królewskiego rozkazu. Mów, że tylko to może ocalić życie króla.

- Ale czy uczynią to, jeśli ja im to powiem, panie?

- Uczynią tak, nie zważając, kto im to mówi. Wiedzą, że król posłał sire de Montforta, by układał się z mamelukami. W tym zamęcie i przerażeniu usłuchają każdego głosu, byle był przekonujący. A ty wiesz, jak przemawiać, żeby przekonać ludzi.

Jeśli plan się nie powiedzie - rozważał dalej w duchu - nikt nie powinien wiedzieć, że rozkaz do poddania wyszedł ode mnie. Zawsze mogę powiedzieć, że nic nie wiedziałem o poczynaniach Maurycego.

- Ruszam natychmiast, panie - Maurycy gotów był do drogi.

Zasłona u wejścia do namiotu uniosła się, do środka wpadł drżący z wściekłości d'Etampes. Potoczył wokół oczami szaleńca. Maurycy odskoczył do tyłu.

- Zdrajca! - d'Etampes splunął w stronę Almaryka.

Almarykowi zaczęło walić serce. Ten wężący wszędzie młody idiota musiał wszystko słyszeć. Na świętego Dominika, przepadłem! Ludwik mnie powiesi!

- Ruszaj, Maurycy - nakazał cicho, ale ponaglająco.

D'Etampes dobył miecza i trzymając go w obu dłoniach, ostrze skierował w stronę Maurycego.

- Zostań tam, gdzie stoisz!

Mój wasal. Jak śmie dobywać miecza przeciwko mnie.

Almaryk skoczył z posłania ze sztyletem w dłoni, nim d'Etampes zdążył drgnąć. Rzucił się na młodzieńca, wolną dłonią chwytając go za gardło. D'Etampes był w zbroi, należało mierzyć w odsłonięte miejsce.

D'Etampes próbował walczyć, na jego twarzy malował się wyraz przerażenia zmieszanego z najwyższym zdumieniem. Almaryk zatopił koniec sztyletu niczym szpikulec w jego oku.

Rozległ się przejmujący krzyk. Almaryk odgiął mu głowę w tył i wbił koniec ostrza w mózg.

Krzyk raptownie ustał, ciało d'Etampesa zwiotczało, bezwładne.

Almaryk jednym szarpnięciem wyciągnął sztylet z rany. Trysnął strumień krwi. Młody rycerz osunął się bezszelestnie na dywan, w dłoni ciągle jeszcze ścisnął miecz.

- I on śmiał nazwać mnie zdrajcą, człowiek, który ważył się podnieść rękę na swojego seniora.

Ciężko dysząc wytarł sztylet o kraj tuniki i odłożył na bok. Maurycy z zaciśniętymi ustami spoglądał na trupa.

- Cóż takiego - zaczął Almaryk wyzywająco - nigdy przedtem nie widziałeś, jak się zabija? Zbudźże się człowieku!

Czy mogę mu ufać? A jeśli pójdzie teraz donieść o wszystkim, co się tu stało?

- Daleś swoje życie w zastaw tej nocy - przypomniał Maurycemu - kiedy wprowadziłeś Arabów, którzy mieli zniszczyć miotacze kamieni.

- Tak, panie - odpowiedział Maurycy pokornie, odwracając wzrok od ciała d'Etampesa i wpatrując się w wejście do namiotu. Westchnął i przemówił trochę raźniej. - Zbierałem myśli. Mam się pozbyć ciała?

- Nie, ruszaj nawoływać do złożenia broni.

Kiedy się to już stanie, nikt nie spyta, co się przytrafiło d'Etampesowi i kto go zabił.

Almaryk wpatrywał się w profil jego twarzy, nogi mu drżały, jak się to czasem zdarza, kiedy człowiek doznaje rozkoszy.

- Dobry Boże, co ja zrobiłem, to wszystko stało się tak nagle.

Głowa d'Etampesa tak była ułożona, że nie widać było rany, jedynie kałuża krwi wskazywała na to, co zaszło.

Czemuś zmusił mnie, żebym cię zabił? Lubilem cię. Bywało, że myślałem o tobie jak o młodszym bracie, o kimś, kto mógłby mi zastąpić Hugona. Hugon był mądrzejszy od ciebie. On by zrozumiał i pomógł mi, a ty byłeś albo za głupi, albo zbyt uparty. Szkoda, może zgodziłbym się w końcu, żebyś poślubił Izabellę.

- Jadę na północ - zwrócił się do Maurycyego - i będę czekał na ciebie w bezpiecznej odległości stąd. Może dogonię galery.

- Bezpieczniej iść łądem, panie. - Pewność, z jaką Maurycy to powiedział, zdziwiła Almaryka. Stary pokłonił się i wyszedł.

Po chwili usłyszał koński galop i głośne nawoływania Maurycyego: - Składać broń! Poddajcie się! Z rozkazu króla!

Almaryk rzucił derki i jakieś ubrania na ciało d'Etampesa. Nałożył na koleczugi niemieckie naramienniki i napierśnik, zmienił hełm na lżejszy, z płócienną osłoną od słońca.

Otworzył niewielką skrzynię, z której dobył sakiewkę. Trzymał w niej złoto i srebro, jakie mu pozostało. Przyasał miecz i przytroczył u pasa sakiewkę.

Nie wzywał nikogo do pomocy, nie byłby w stanie rozmawiać z żadnym ze swoich ludzi.

Próbował nie myśleć o tym, co zrobił, ale czuł w sercu wstyd i żal. Opuszczał ich wszystkich, wydawał w ręce wroga. Czyż nie był to najbardziej niegodny uczynek, na jaki mógł się poważyć senior? Przytłaczało go poczucie winy, ciężące niczym olbrzymimi głazami.

Wyprostował się, jakby próbował zrzucić z siebie ten ciężar. Nie, muszę skrzywdzić teraz tych ludzi dla dobra wielu, wielu innych.

Wyszedł z tarczą w dłoni i toporem wojennym zawieszonym na szyi. Musi teraz powiedzieć giermkowi, żeby mu osiodłał nowego konia.

- Co się dzieje, panie, naprawdę się poddajemy?
- Gotuj konia.
- Poprowadzicie nas do boju, panie?
- Milcz! - krzyknął, wskazując na siodło. Spiał wielkiego karego flamanda i ruszył kłusem na północ.

Z tyłu dochodziły go okrzyki „Składać broń!” i „Poddajemy się!”. Zatrzymał się na chwilę na niewielkim wzniesieniu i spojrzął za siebie. Nie mógł dojrzeć Maurycego, ale domyślał się, gdzie tamten może być po widoku ludzi składających kopie i miecze, po łopotaniu białych flag zrobionych naprędce z kawałków materiału. Zachodzące słońce zasnutę czerwienią od burzy piaskowej na dalekiej pustyni rzucało gorejące promienie na rozbitą armię.

Usłyszał wrzask triumfu w szeregach mameluków, którzy ruszyli otaczać krzyżowców. Widział żółte chorągwie prące naprzód i błyszczące zakrzywione szable tureckie.

Nagle uświadomił sobie grozę własnego położenia. Nic już nie chroniło go teraz przed mamelukami. Nie powinien czekać ani chwili dłużej.

Jedno jeszcze tylko chciał zobaczyć. Ludwik. Powstrzymując czarnego wierzchowca, wpatrywał się w chaty, gdzie schronili się król i jego bracia. W środku wioski

w promieniach zachodzącego słońca błyszczał Oriflamme.

Chorągiew drgnęła. Jakiś konny, krzyżowiec, uniósł ją i począł kierować się na północ, chcąc ratować proporzec od tureckiego pohańbienia. Pośród zgielku dało się słyszeć jego słaby okrzyk: - Święty Dionizy!

Pierwsze zastępy mameluków wchodziły do wioski pośród niestawiających oporu krzyżowców. Łucznicy posłali grad strzał za uchodzącym ze sztandarem jeźdźcem. Koń potknął się, rycerz spadł z siodła i francuski sztandar bojowy runął w nadrzeczny muł niczym podcięte drzewo. Na widok padającego Oriflamme przez zastępy Franków przeszedł jęk grozy.

Almaryk odwrócił się. Gdybyż mi przypadła w udziale chwała uratowania go! Spiał konia, który ruszył kilka kroków do przodu, ale nie mógł oprzeć się pokusie, spojrzął jeszcze raz za siebie.

Jakiś mameluk sięgał właśnie po Oriflamme. Przechylił się mocno w siodle, chwycił za drzewce i uniósł chorągiew z błota, po czym przy okrzykach triumfu pogalopował w kierunku tureckich oddziałów, szaleńczo powiewając czerwono-złotym sztandarem.

Nikt pośród Francuzów nawet się nie poruszył. Almaryk pomyślał, że było to widomą oznaką ostatecznej klęski.

Dojrzał teraz, że mamelucy na koniach zajmowali wioskę, w której stanął Ludwik. Przeszedł go dreszcz grozy i rozkoszy. Może dojrzę jego głowę nabitą na kopię i obnoszoną w triumfie? Jak Oriflamme. Nagle przyszło mu do głowy, że gdyby tak się stało, mógłby wrócić do krzyżowców, tchnąć w nich ducha i poprowadzić do zwycięstwa.

Co za szalony pomysł.

Teraz zobaczył Ludwika, jego jasne włosy błyszczały ponad hełmami i turbanami mrowiących się wokół niego Saracenów. Wyciągały się ku niemu wszystkie ręce. Podnieśli go. Posadzili na bojowym rumaku. Siedział prosto jak człowiek związany. Na pewno spętali go łańcuchami. Koń powoli przedzierał się przez ciżbę w stronę Mansury. Za nim jechali Karol i Alfons. Po bokach towarzyszyli im jeźdźcy saraccy w zielonych oponczach.

Było po wszystkim.

Almaryk czuł się tak, jakby go kto zdzielił obuchem. Przypomniał sobie pierwszego człowieka, którego zabił, wieśniaka kłusującego w jego lasach w Gobignon.

Przeszył go mieczem, zdziwiony, że tak szybko może się dokonać coś tak potwornego, nieodwracalnego.

W ciągu kilku chwil, których potrzebował, żeby przebyć drogę, jaka dzieliła jego namiot od tego niewielkiego pagórka, rozpadła się wielka armia francuska. Ludwik tworzył ją latami, cały rok zabrało mu przerzucenie jej do Egiptu, niemal cały następny to krwawa kampania. I teraz koniec, w jednym mgnieniu oka.

On tego dokonał i nic już nie mogło uratować straconych wojsk. Zmroziła go ta myśl.

Nikt we francuskich szeregach nie zakrzyknął nawet na widok króla w okowach, ale Almaryk widział, jak ludzie klękali w błocie. Całe zastępy klęczały. Wreszcie cała armia padła na kolana, patrząc w milczeniu, jak prowadzą ich króla.

Poczuł wzbierające łzy i przetaił oczy dłońmi, zadźwięczały puste rękawice u zbroi.

- Dobry Boże! - wymamrotał.

Czemu płaczę? Przecież tego chciałem, ku temu zmierzałem.

Przekonywał siebie, że Ludwik ma to, na co zasłużył. Wciągnął głęboko powietrze, zacisnął dłonie na cugłach i odwrócił twarz od łamiącego ducha widoku tych wszystkich nieszczęśników branych do niewoli.

Obrócił konia i ruszył w stronę Damiety.

Przed nim ciągnął się opustoszały niemal brzeg rzeki. Tylko gdzieś widać było grupki kobiet i służby należących do obozu krzyżowców, uciekających teraz na północ. Pomyślał, że jeśli nie dostaną ich mamelucy, to prędzej czy później wpadną w ręce Beduinów.

Jestem zupełnie sam.

Dziwne uczucie. Przez całe życie nigdzie się nie ruszał sam. Zawsze był otoczony świtą, czasami wręcz całą armią. Od chwili gdy skończył pięć lat, był hrabią de Gobignon, a teraz ratując życie podróżował sam przez wrogi kraj. Prawda, że był po zęby uzbrojony, że miał swój miecz i topór, a jednak czuł się słaby i bezradny.

To dlatego, że opuściłem swoich ludzi.

Pomyślał o tych stu czy więcej rycerzach z domeny Gobignon, których porzucił na zaturę.

A gdybym poprowadził ich do boju i wszyscy by zginęli? Wodzowi nie wolno użalać się nad tymi, których traci.

Zaraz po zachodzie słońca trafił na stertę drewna i nieczystości ułożoną przez krzyżowców w poprzek kanału nawadniającego w celu łatwiejszej przeprawy. Zatrzymał się, by zaczekać. Mało prawdopodobne, żeby mamelucy zapędzili się w pościg tak daleko na północ. Przynajmniej jednego człowieka mógł zabrać ze sobą. Z nich wszystkich Maurycy okazał się najcenniejszy. Był - mimo wieku - śmiały i znał kraj. Poczekaj tu na niego.

Czas mijał powoli. Siadł w zapadającym zmierzchu na ziemi, przy swoim koniu. Czemu, u diabła, nie pomyślałem, żeby zabrać ze sobą coś do picia i do jedzenia?

Stopniowo otoczyła go grupka pospólstwa, którą minął wcześniej i która teraz wylaniała się partiami z zapadających ciemności. Pomyślał, że czują się pewnie bezpieczniej w pobliżu zbrojnego rycerza. Nikt nie miał ze sobą nic do jedzenia.

Ktoś miał tylko bukłak z winem. Almaryk pociągnął tęgi łyk kwaśnego płynu, a potem przegonił całą grupę.

- Traciecie czas. Jedyna wasza nadzieja w tym, że odbijecie od Turków tak daleko, jak tylko zdołacie. Kiedy ruszę, nie będę na was czekał, a wy za mną nie nadążycie.

Zobaczył strach i urazę na ocienionych zmierzchem twarzach czeladzi i obozowych łazików, nikt jednak nie śmiał wyrzec słowa. Powoli, pojedynczo, ruszali brzegiem rzeki w dalszą drogę.

Zastanawiał się, co się teraz dzieje w Mansurze. Jeśli Maurycy nie dogoni mnie przed wschodem księżyca, będę musiał ruszyć dalej bez niego. Usłyszał tętent kopyt. Czarna postać przemknęła po kamiennym łożysku kanału i osadziła konia w miejscu, gdzie siedział. Rozpoznał w mroku Maurycyego.

- Nie trzeba się lękać żadnego pościgu, panie. Przez wiele godzin będą zajęci rzezią na naszych żołnierzach.

- Święty Dominiku! - Szpony żalu rozszarpywały mu trzewia.

- Można się było tego spodziewać, panie. Nie wyżywią tak wielu. Nie zaczęli jeszcze zabijać rycerzy i baronów. Dadzą im możliwość zapłacenia okupu. Prostaczkowie umierają szczęśliwi, że w ten sposób ocala życie króla.

Słowa Maurycyego wstrząsnęły Almarykiem. Okup? Jeśli tak, tom niczego nie dokonał, jestem skończony.

- Co z królem?
- Żyje, z tego co wiem, panie.
- Pozwolą mu się wykupić?

Furia ogarnęła go na myśl, że Ludwik może sobie kupić drogę do wolności i znowu pojawić się między żywymi. Nie, to być nie może.

- Powinni wiedzieć, że to głównie za jego namową krzyżowcy napadli na ich kraj - tłumaczył Maurycy - albo go zetną, albo zostanie więźniem do końca jego dni. Almaryk odetchnął.

Nad Nilem pokazał się księżyc w pełni. Almaryk i Maurycy spieszenie ruszyli w dalszą drogę. Ludek ciągnący na północ nawet nie spojrział, kiedy mijali ich dwaj jeźdźcy. Po kilku godzinach Almaryk jakby zapadł się w siodle nękany obrazami dzielnych pocziwców, ginących od tureckich szabli. To wina Ludwika. Czy nie rażiłbym mu walczyć, zamiast żebrac u muzułmanina o rozejm? Wszyscy ci ludzie zginęliby przynajmniej z mieczem w rękę. A kto ich poprowadził do Mansury?

Zapadał w sen, kiedy Maurycy lekko uderzył go w ramię.

- Szybko, panie, z drogi.

Ocknął się natychmiast. W świetle księżyca zobaczył czarno-białe poziome pasy egipskich żagli na rzece przed nimi. Skierowali konie w zarośla, między palmy, śledząc stamtąd tuzin długich, wąskich łodzi sunących koło nich w górę rzeki. Jak dotarły tak daleko na południe, skoro nasze galery powinny kontrolować rzekę koło Damiety? Z przerażeniem pomyślał, że znalazł się w pułapce między obydwooma miastami. Jeśli dostrzeżono ich z rzeki, grad strzał może zaraz zakończyć ich życie. Mimo nocnego chłodu oblał go pot.

Saraceńskie łodzie przemknęły obok, napędzane wiosłami i żaglami. Z pokładów dochodziły beztroskie śmiechy, śpiew i krzyki.

Wiedzą, że nie mają się czego lękać.

Kiedy głosy zamieniły się w daleki szmer dochodzący z górnego biegu rzeki, popędzili dalej konie i już do świtu jechali bez przeszkód.

Nad dalekimi rdzawymi wzgórzami na wschodzie podniosło się słońce. Nagle na drodze przed nimi pojawiło się dwóch konnych rycerzy z gotowymi do ciosu mieczami.

Białe płaszcze. Templariusze.

- Konetabl Francji! - wykrzyknął jeden z nich, kiedy Almaryk uświadomił mu, z kim mają do czynienia. - Pozdrawiamy cię, panie. Eskortujemy patriarchę Jerozolimy do Damiety, i Bóg jeden wie, jakie jeszcze mogą nas spotkać niebezpieczeństwa. Czyście widzieli, panie, saraceńskie łodzie? Skąd się tu wzięły?

Zaprowadzili Almaryka do patriarchy, który odpoczywał w gaju oliwnym. Almaryk ukląkł przed starcem i raz jeszcze otrzymał jego błogosławieństwo. Świta patriarchy odłączyła się od armii na długo przed złożeniem broni. Gdy Almaryk powtórzył nowiny, po kościstych policzkach starca popłynęły łzy.

- Bóg was zesłał, byście nam pomogli. Jak uszedłeś, mój synu, kiedy wszystkich pojmano?

- Król nakazał mi czym prędzej jechać do Damiety, wasza wielbność - improwował Almaryk - bronić miasta.

- Musimy się zatem śpieszyć - odpowiedział starzec - trzeba nam nie tylko pilnować się przed Beduinami, ale i przed mamelukami, którzy mogą nas doścignąć.

Templariusze podzielili się z Almarykiem swoimi zapasami, chlebem, suszoną wołowiną, twardą jak egipska cegła, i winem, które smakowało jak ocet.

Cała grupa ruszyła zaraz po świcie. Almaryk modlił się w duchu, żeby nie napotkali po drodze wroga. Minął cały dzień i cała noc od ostatniego spoczynku i zbyt był słaby, by teraz walczyć. Piekły go powieki, ledwie trzymał się w siodle. Podniósł zmęczone oczy na bezchmurne, jak niemal zawsze w Egipcie, niebo. Był kwiecień. Ledwie kilka dni przed tym, nim zaczęli się wycofywać spod Mansury, obchodzili Wielkanoc, a w tej części świata oznaczało to straszliwe upały. Wstrząsnął się na myśl o dalszej drodze.

Jego towarzysze zdawali się bardziej wypoczęci. Patriarcha i templariusze odpoczywali przez część nocy, mieli ze sobą żywność, byli przyzwyczajeni do klimatu. Większość życia spędzili tutaj, w Ziemi Zamorskiej.

Zdrzemnął się. Nagle otworzył na wpół przymknięte powieki, słysząc w głosach współtowarzyszy podróży nutę zaniepokojenia. Gdzieś przed nimi słyhać było jakiś

dziwny szum, z ziemi podrywały się duże czarne ptaki, które po chwili znowu opa-
dały. Jeden z templariuszy ruszył do przodu, reszta czekała w milczeniu. Wrócił z
nieprzytomnym wzrokiem i twarzą szarą pod ciemną opalenizną.

- Pole jest pełne trupów. Wszyscy zostali ścięci.

- Kto? - zapytał patriarcha.

- Chrześcijanie. Zdjęto z nich wszystko, mają białą skórę. Musimy koło nich
przejechać, wasza wielbność. Nie ma innej drogi.

Owinęli głowy oponczami, kiedy przejeżdżali obok miejsca kaźni. Ciała leżały już
od wielu godzin. Szum, który Almaryk usłyszał z daleka, teraz niemal ogłuszający,
pochodził od tysięcy tłustych, czarnych much, uczujących pospołu z wielkimi afry-
kańskimi sępami.

Almaryk spojrział na trupy i odwrócił głowę w stronę rzeki. Gdyby wrócił do
Mansury, ujrzałby taki sam widok. Jego ręce splamione były krwią zabitych.

Skurczył się w sobie na tę myśl, mimo że odwracał wzrok od widoku trupów.
Nagle sobie uświadomił, że i Maurycy, który wie zbyt dużo, będzie musiał umrzeć.

Nie, jeszcze nie teraz, może być jeszcze przydatny.

Na zakolu rzeki ujrzał kolejny widok, który zatykał dech w piersiach. Brzeg i pły-
cizny pełne były rozbitych galer z żaglami w strzępach, wiele z nich wypalonych po
linię wody.

- Nasi chorzy i ranni - odezwał się - ściągęli ich z galer i wymordowali na po-
lu, które minęliśmy.

- Pamiętajcie, panie, mówiłem, że będziemy bezpieczniejsi na łądzie - odpowie-
dział Maurycy. - Podejrzywałem coś takiego, gdy z Damiety od tygodni nie przyszedł
żaden transport z żywnością.

- Te łodzie płynące w górę rzeki, które nas minęły zeszłej nocy... - odezwał się
jeden z templariuszy. - To oni to zrobili. Ale jak się tu dostali?

- Bajbars musiał posłać swoje galery w dół inną odnogą rzeki i potem prze-
transportować je łądem tutaj - domyślał się Maurycy. - Trudne zadanie, ale egipskie
galery są lekkie i można je w częściach przenieść na grzbietach wielbłądów.

- Niech Bóg ma w opiece dusze tych biednych ludzi - odezwał się patriarcha
Jerozolimy. - Są już na pewno u naszego Pana Jezusa. Powinno się im sprawić
chrześcijański pochówek.

- Nie pochowalibyśmy ich i przez miesiąc - odpowiedział ze smutkiem jeden z templariuszy - a i nie byłoby bezpiecznie zatrzymywać się tutaj, wasza świętobliwość, nie będziemy bezpieczni, póki nie dotrzemy do Damiety.

- I Damieta nie jest bezpieczna - odparł Almaryk. - Nikt tam nie został, by nas bronić.

- Popatrzcie - Maurycy wskazywał na płaskodenną barkę unoszącą się na pokrytym rzęsą rozlewisku, na wpół ukrytą między papirusami - ta łódź wydaje się jeszcze dość dobra, żeby ponieść nas w dół rzeki. Weźmiemy wiosła z innych galer, popłyniemy z prądem rzeki. Moglibyśmy jeszcze tej nocy być w Damiecie.

Tak, pomyślał Almaryk. A wtedy nikt mnie już nie powstrzyma przed sięgnięciem po władzę, której pragnę. Przede wszystkim wracać do Francji, zostawić Ludwika bez Damiety jako pieniądza w targu o życie. Jeśli jeszcze w ogóle żyje.

Ruszajmy do Damiety. Bierzmy barkę. Będzie to oznaczało, że trzeba zostawić konia, ale i tak jestem zbyt zmęczony, by jechać dalej.

- Może być więcej Saracenów na rzece - powątpiewał templariusz.

- Niemal na pewno wszystkie statki saraceńskie popłynęły w górę rzeki, do Mansury - zapewniał Maurycy.

Powoli podjechali ku barce.

- Zatem to koniec wyprawy? - zwrócił się patriarcha do Almaryka. - Zaczynaliśmy z nadzieją w sercach i tysiącami walecznych rycerzy. Wszystko stracone?

- Tak, wszystko stracone. - Almaryk próbował nadać swojemu głosowi boleściwe brzmienie, ale mówiąc to, odczuwał ponurą radość.

Pierś przepęłniała duma, w członkach poczuł dziwną lekkość. Zmęczenie i uniesienie pospołu przyprawiły go o zawrót głowy.

Popatrzył z satysfakcją w wodniste oczy patriarchy. Myślałeś na pewno, że utrzymasz swój tron w Jerozolimie, czyż nie tak, stary głupcze? Dla ciebie wszystko stracone, ale nie dla mnie. Moje największe zwycięstwa jeszcze przede mną, a dzisiaj wieczorem w Damiecie będę znowu z Nicolettą.

* * *

XXVIII

Cisza w sypialni Małgorzaty i cisza na zewnątrz działały kojąco na Nicolettę. Niedzielne popołudnie jest takie spokojne, nawet w muzułmańskim mieście. Od wielu minut ona i Małgorzata milczały przyjacielsko, pochyliwszy głowy nad robotkami.

Kiedy ręce zajęte są szyciem, łatwiej zapomnieć o napięciu, ale lęk o Rolanda i króla ciągle czaił się w sercu. Od tygodni nie przychodziły żadne wieści.

Przerabiała dla siebie zieloną jedwabną suknię tancerki, kupioną na bazarze w Damiecie. Podobały się jej saraceńskie stroje. Małgorzata oddawała się bardziej pobożnemu zajęciu. Nicoletta rzuciła okiem na rozłożoną na łóżku ciężką satynową kapę biskupią, którą Małgorzata haftowała złotą nicią, opierając tamborek na wydatnym brzuchu. Kiedy Małgorzata ją skończy, warta będzie tyle co lenno, a to, że haftowała ją królowa Francji, uczyni ją bezcenną.

Ciekawam, czy skończy, nim się urodzi dziecko?

Zaniepokoiły ją odgłosy dochodzące z miasta. Czemu słychać krzyki na ulicy?

Małgorzata także je usłyszała. Puściła tamborek i ścisnęła dłoń Nicoletty tak mocno, że nagły ból sięgnął aż do ramienia.

- Stało się coś strasznego, czuję to.

Wyczekiwały, rozmawiając szeptem, póki okrzyki się nie zbliżyły. To posłaniec, Nicoletta była pewna, który każdemu napotkanemu na ulicy wykrzykuje swoją wieść, a wieść jest zła.

Krzyk doszedł wreszcie do pałacu, kobiety płakały i zawodziły. Nicoletcie ścisnęło się serce.

Drzwi królewskiej sypialni otwały się, wszedł sire Geoffrey de Burgh, osiemdziesięcioletni rycerz, któremu Ludwik powierzył opiekę nad Małgorzatą. Za nim szedł jakiś człowiek.

Nicoletta na chwilę wstrzymała oddech. Zobaczyła wysokiego rycerza o twarzy ogorzałej od słońca, okolonej blond brodą. Znała tę twarz dobrze, a przecież miała tak upiorny wygląd, że budziła lęk. Almaryk.

Odsunął de Burgha, płytki posadzki drżały pod jego ciężkimi krokami. Przykleknął przed królową. Jeszcze ktoś wśliznął się do komnaty i stanął pod ścianą. Maurycy, starzec, którego Almaryk znalazł, gdy zajmował Damietę. Jak to się stało, że ten siwy staruch znalazł się tu razem z Almarykiem?

- Hrabia Almaryk - odezwała się Małgorzata cichym, drżącym głosem. - Witamy cię, hrabio. Jakie wieści przynosisz?

To cud, że go rozpoznała. Był teraz dużo szczuplejszy. Ogorzała twarz zrobiła się pociągła. Blond włosy, spadające na ramiona tłustymi, prostymi pasmami, roily się zapewne od wszy. Uzbrojony był od stóp po zęby. Pogięta stal naramienników, podarty purpurowo-złoty surkot. Mimo że znajdował się dość daleko od niej, przy drugim końcu łoża, czuła idący od niego fetor niemytego ciała.

Utkwił w niej wzrok.

- Nicoletta.

Miał przekrwione, głęboko zapadnięte oczy, zamglone zmęczeniem, ale gdzieś na ich dnie dojrzała dziwny błysk, który ją strwożył. Jakich potworności był świadkiem i sprawcą? Zwrócił na powrót głowę ku królowej.

- Pani, moje wieści są treściwe i smutne. Król, wasz małżonek, nakazał mi przekazać je wam. Błagałem, by dozwolił mi zostać u jego boku do końca, ale jego rozkazy były inne.

- Do końca? - głos Małgorzaty drżał z trwogi. - Dobry Boże, czy Ludwik nie żyje?

Nicoletta stłumiła krzyk.

- Pani, widziałem, jak króla pojмали mamelucy i powiedli w łańcuchach. Jego i jego dwóch braci. Czy jeszcze żyw, tego nie wiem.

Nicoletta obróciła się ku Małgorzacie. W tej chwili nie bała się tak bardzo o mężczyzn zagubionych gdzieś w tym strasznym kraju, lecz o kobietę obok niej. Wstrząs

mógł być straszny dla niej i dla mającego się właśnie narodzić dziecka.

Skoczyła i pochwyciła w ramiona mdlejącą królową. Ułożyła przyjaciółkę na łożu. Teraz odwróciła się, by spojrzeć na Almaryka. Ile w nim gruboskórności. Dlaczego powiedział Małgorzacie to wszystko w tak brutalny sposób? Trzymając gniew na wodzy, zmusiła się, żeby przemówić do niego dwornie.

- Dopraszam się, panie, jeśli macie coś do powiedzenia, mówcie z łagodnością, królowa każdej chwili może rodzić.

- Przybywam z miejsc, gdzie nie zna się łagodności - odparł sucho.

W jego oczach ciągle migotał ten sam błysk triumfu. Czemu, jeśli przybywa z nieszczęsnymi wieściami?

W tej chwili zrozumiała zdjęta przerażeniem. Osiągnął, co zamierzał, królowi na zgubę.

A Roland? Czy dowiem się kiedykolwiek?

Wszyscy jesteście zgubieni.

Patrzyła na Almaryka, rozcierając lodowato zimne ręce Małgorzaty.

- Niebezpiecznie jest niepokoić ją w tym stanie, proszę.

- Jest w gorszym niebezpieczeństwie, niż myślisz. Zbliżają się Turcy. Im szybciej to zrozumie, tym szybciej będziemy mogli opuścić to miejsce.

Opuścić?

Nicoletta usiłowała przewyciężyć ogarniającą ją panikę. A co z resztą, nie wiemy nawet, co się z nimi dzieje. Nie możemy uchodzić. O czym on mówi?

Do komnaty wszedł siwobrody człowiek w czarnym kapeluszu i czarnej szacie. Na szyi miał duży srebrny krzyż. Nicoletta widziała go wiele razy, zanim armia opuściła Damiętę, Patriarcha Jerozolimy. On na pewno nie będzie chciał stąd uciekać, pomyślała i poczuła odrobinę nadziei.

- Czy królowa zniesie podróż? - zapytał, gdy ucałowała jego rubinowy pierścień.

- Podróż, gdzie, wasza wielbność?

A więc to prawda. Łzy napłynęły jej do oczu. Gotują się do opuszczenia Damiety.

- Między miastem a zastępami Saracenów nie ma już armii chrześcijańskiej - odezwał się Almaryk. - Wszyscy krzyżowcy zostali pojmani albo wymordowani. Wszyscy.

Usłyszała krzyk, a potem histeryczne szlochy od drzwi, gdzie zebrała się garstka kobiet.

- Zamknąć te drzwi - nakazał Almaryk.

Maurycy podszedł do drzwi i zawarł je mocno.

Zło się już stało, teraz wie już całe miasto.

Jakże potrzebuję tu Rolanda. Tutaj właśnie.

Zamigotało jej przed oczami, oparła dłonie o łożo, by się uspokoić. Boże, dozwól, żeby żył, żeby tylko żył.

Małgorzata wracała do przytomności. Spojrzała na Nicolettę, w oczach miała łzy. Usiłowała się podnieść. Nicoletta pomogła jej, próbując jednocześnie pocieszać.

- Muzułmanie zawsze pozwalają chrześcijańskim rycerzom i baronom wykupić się z niewoli - odezwała się Małgorzata słabym głosem. - Musimy natychmiast zaproponować im okup za króla i jego ludzi.

- Jeśli jeszcze są przy życiu - odparł Almaryk z całym spokojem.

Boże, zabiłabym go! Za wszelką cenę chce sprawić królowej ból.

Ale wydawało się, że Małgorzata znalazła w sobie jakąś wewnętrzną moc. Podniosła się nieco wyżej na łożu, jakby chciała okazać Almarykowi swoją niezłomność.

- Musimy mieć wiarę, hrabio. Mój mąż zbyt dobrym jest człowiekiem, by Bóg przyzwolił na jego śmierć.

Almaryk zawahał się.

- Macie chyba rację, pani - odezwał się po długiej chwili - musimy dać okup za niego i baronów. Po powrocie do Francji sam zajmę się zebraniem potrzebnych pieniędzy. Na świętego Dominika, opróżnię własny skarbiec, bylebyśmy mieli naszego pana, króla Ludwika na powrót z nami. - Uderzył pięścią w otwartą dłoń.

Na dźwięk imienia króla Małgorzata znowu zaczęła cicho szlochać.

- Żeby być szczerym, pani - ciągnął dalej - niewiele mam nadziei. Nie ma bardziej podstępного i zdraдлиwego ludu niż Saraceni. Mogą wziąć od nas okup, a i to nie odwiedzie ich od mordu na pojmanyh. Nie więcej w nich litości niż w dzikich bestiach. Po drodze widzieliśmy tysiące ciał bez głów. Tak pomordowali naszych rannych i chorych.

- Maryjo, Matko Przenajświętsza! - Małgorzata zapłakała donośniej.

Nicoletta podniosła się, spoglądając z wściekłością na Almaryka.

- Zaprzeście waszych opowieści!

- Milcz! - wysyczał przez zaciśnięte zęby, z błyskiem w oku.

- Nicoletta tylko próbuje mnie chronić, hrabio. - Zwróciła pełne lęku oczy na Nicolettę. - On ma rację, muszę wiedzieć wszystko. Muszę podjąć decyzje.

Dumna jestem z ciebie, Małgorzato, pomyślała Nicoletta.

- Jak się to stało? - spytała Małgorzata, patrząc prosząco na Almaryka. - Nasza armia była tak silna. Król ją taką uczynił.

Almaryk pokręcił głową.

- Boję się, pani, że został oszukany i zdradzony. On i wszyscy dzielni rycerze, których tu ze sobą przywiódł. Wojny nie przegraliśmy tu, ale jeszcze we Francji. To spiskowcy i heretycy w naszym kraju przyczynili się do klęski. - Znowu uderzył pięścią w dłoń.

- Poświęcę życie, kiedy wrócimy do Francji, by pomścić rodzinę królewską i wszystkich nieszczęśników, którzy oddali życie w Egipcie.

Patrząc na niego, Nicoletta myślała, jak bardzo żar w jego błękitnych oczach przypomina jej Hugona. Bała się. Królowa ze zdumieniem słuchała tego, co mówił.

- Nie rozumiem, o czym mówisz, hrabio Almaryku. - Uniosła bezradnie ręce i ponownie złożyła je na wydatnym brzuchu.

- Nie trudźcie się, pani - odparł z leciutkim uśmiechem. - Najważniejsze, byście zrozumieli, że nikt was nie obroni tu w Damiecie, nie ma już nikogo oprócz garstki rycerstwa w podeszłym wieku i genueńskich żeglarzy, na których trudno polegać. Musimy natychmiast płynąć na Cypr.

- Chcicie, żeby rodziła na morzu? - wykrzyknęła Nicoletta. - To ją zabije.

- Chcesz, żeby królowa powiła w saraceńskim więzieniu? - zapytał zgryźliwie. - A może w haremie?

Zwrócił się do Małgorzaty.

- Wydajcie, pani, rozkaz, a natychmiast wsiądziemy na statek i odpłyniemy.

Ciągle płacząc, Małgorzata zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie mogę odpłynąć i zostawić króla. Muszę się zastanowić, jak można mu pomóc, trzeba mi czasu.

- Każda chwila zwłoki zwiększa niebezpieczeństwo - odpowiedział Almaryk.
- Wiem, ale nie mogę opuścić Ludwika. Boję się, hrabio, ale nie aż tak. - Opa-
dła z powrotem na jedwabne poduszki.
- Chcę teraz zostać sama, by pomyśleć, móc się pomodlić, odpocząć. Nicoletto,
powinnaś zaopiekować się mężem. Możesz odejść, zajmij się nim. I dziękuj Bogu, że
masz męża, którym możesz się zająć.

Egipcjanie noszący zazwyczaj lektykę Nicoletty uciekli. Almaryk kazał sprowadzić konia ze stajni królowej. Kiedy paź go przyprowadził, wspięła się na jego grzbiet, siadając za plecami Almaryka. Mieli do przebycia krótką drogę dzielącą pałac od domu, który Almaryk zajął na kwaterę po wkroczeniu wojsk do Damiety. Maurycy poszedł za nimi piechotą. Egipska służba też gdzieś zniknęła, a tych, których przywiozła ze sobą z Francji, zastała roztrzęsionych z przerażenia. Agnes, zakochana w żołnierzu, który ruszył z armią na południe, miała czerwone oczy i nie była w stanie dobrać do siebie głosu.

Spokojna i zdecydowana Nicoletta nakazała przynieść wina i przygotować w sypialni kadz z kąpielą dla Almaryka.

Pomogła mu się rozdziać, jak przystało posłusznej żonie usługującej mężowi, który po długiej nieobecności powraca ze strasznej wojny. Szorowała go cennym pachnącym mydłem z Hiszpanii. Umyła i przystrzygła włosy, wyczesując robactwo, usunęła nawet gnidy własnymi paznokciami.

Nie odzywał się, pogrążony we własnych myślach.

Dworki królowej i moje panny, które mają ukochanych pod Mansurą, nie mają żadnego sposobu dowiedzieć się, czy ich wojacy jeszcze żyją, ale przynajmniej mogą płakać, rozpaczać, mdleć. Ja muszę chować swój lęk o ukochanego na dnie serca.

Roland żyje. Wiedziałabym, gdyby było inaczej, czułabym to albo dowiedziałabym się we śnie.

Zanim Almaryk skończył kąpiel, zdążył opróżnić dzban wina. Teraz leżał nago na łożu, które przypląnęło z nimi z Francji. Ciało, które nigdy nie widziało słońca, było blade jak zawsze, tyle że teraz pocętkowane czerwonymi plamkami od ukąszeń insektów. Zdawało się składać wyłącznie z twardych, napiętych niczym węzły lin, muskułów i wystających kości. Spoglądał na nią i przez jedną, straszną chwilę wydało

się jej, że będzie chciał, aby mu uległa. Powieki jednak opadły, a usta otworzyły szeroko w pierwszym śnie. Leżał tak bez ruchu, rozciągnięty na plecach, ciężko oddychając. Nicoletta przykryła go kapą.

Była sama.

Zaczęła drzeć, skoczyła na równe nogi i wybiegła z komnaty, jakby ścigali ją Turcy.

Jak się dowiedzieć, czy Roland jest zdrow i cały?

Jak przeżyjemy tę klęskę?

Jak udało się Almarykowi ująć stamtąd?

Pulsowało jej w skroniach. Ścisnęła pękającą z bólu głowę w dłoniach.

Zapadła noc, a ona ciągle przemierzała niespokojnie komnaty tego dziwnego, obszernego domu, który był kiedyś własnością emira. Kiedy zeszła do ogrodu, owionął ją ciepły wiatr od morza, igrający w obszernych długich rękawach jej białej szaty.

Musi coś zrobić. Jedyne co mogę, to wspierać ze wszystkich sił Małgorzatę. Tylko ona może teraz uratować króla, a ktokolwiek pomoże królowi, pomoże też i Rolandowi, jeśli Roland jeszcze żyje.

Nie, nie wolno nam opuszczać Damiety. Muszę powstrzymać Almaryka, nim zdąży ją do tego namówić.

Jak?

Na samą myśl o jego władzy czuła się bezsilna. Konetabl Francji. Cóż innego może uczynić Małgorzata, jeśli nie usłuchać go?

Nagle przyszło olśnienie. Jest sposób, żeby zwrócić Małgorzatę przeciw Almarykowi. Musi jej powiedzieć. Wszystko. O jego ambicjach, o obsesyjnej nienawiści do herezji, o jego przekonaniu, że Ludwik prowadzi Francję do zguby, o jego pragnieniu śmierci króla.

Nigdy mi nie uwierzy. Co się stanie, jeśli zwróci się przeciwko mnie, a nie przeciwko Almarykowi? Powtórzy mu wszystko, a on mnie zabije.

O dobra bogini, słodki Jezu, co robić?

Rozgorączkowana ukryła twarz w dłoniach.

Nagle ujrzała przed sobą twarz Rolanda, usłyszała słowa, które kiedyś do niej wypowiedział, dawno temu, kiedy spotkali się w izbie księgarza. „Odważ się”.

Wyprostowała ramiona. Dobrze. Powiem jej. Podjąwszy decyzję, wróciła na górę do sypialni i położyła na łożu możliwie najdalej od Almaryka.

Przez resztę nocy niewiele spała.

Kiedy usłyszała śpiew ptaków na bagnach wokół Damiety, wiedziała, że już świt. Wstała, założyła ciemnobrązową tunikę i szary surkot. Nic wesołego i jaskrawego nie powinno się pojawić tego dnia na ulicach miasta.

Zajęła się uspokajaniem i pocieszaniem służby. Trzymały się z Agnes za ręce i ocierały wzajemnie łzy. Nim wyszła w godzinie prymy, spojrziała raz jeszcze na Almaryka. Wyglądał, jakby miał przespać cały dzień. Przez całą noc prawie się nie poruszył.

Zawahała się w drzwiach domu. Do tej pory nigdy nie bała się chodzić po ulicach Damiety, nawet gdy szła na bazar. Od czasu do czasu Małgorzata i inne kobiety besztaly ją za tę odwagę. Może mieszkając tak długo na Północy, gdzie czuła się zawsze obco, przyzwyczała się nie bać obcych miejsc. Puszczala mimo uszu ostrzeżenia.

Wtedy Damieta była za liniami zwycięskiej armii. Teraz sytuacja się zmieniła.

Usłyszała zawodzenia z minaretu jedyne go meczetu, który krzyżowcy pozostawili otwarty. Muezin nawoływał wiernych na poranną modlitwę. Czyżby się przesłyszała, czy w jego głosie pojawiła się nuta triumfu?

Idę, zdecydowała. Mam przy sobie sztylet, a droga niedaleka. Nie mogę pozwolić, by spętał mnie strach.

Czuła na skroniach krople potu. Otarła czoło wierzchem dłoni. Zaczynał się codzienny wilgotny upał, a to dopiero kwiecień. Jeśli przyjdzie mi tu spędzić jeszcze jedno lato, umrę, z ręki Saracenów, czy nie.

Weszła do pałacu, nie czekając, czy Małgorzata już wstała z pościeli. Zaspani genueńscy żeglarze przy bramie wejściowej mierzyli ją wzrokiem. Skromnie spuściła oczy, udając, że nie widzi ich spojrzeń. Te okręty zakotwiczone przy brzegu, okręty, którymi przyłynęli tutaj, prowadzone przez genueńskie załogi. Nic ich nie obchodziła Francja ani wyprawa. Chodziło im tylko o pieniądze. A jeśli teraz odpłyną na wieść o klęsce?

Będą musieli odpłynąć - albo wydadzą się na łaskę muzułmanów.

Gdy weszła do alkowy, Małgorzata płakała. Sire Geoffrey de Burgh, który spał na pryczy rozłożonej w nogach łoża królowej, pozdrowił Nicolettę i zostawił je same.

- O, Nicoletto, nie wiem co robić - szlochała Małgorzata. - Ludwik nigdy nie rozmawiał ze mną o swoich planach wojennych. Jeśli postąpię teraz nierozważnie, wydam ich wszystkich na śmierć.

- Czy były jakieś wiadomości od Saracenów? - Nicoletta usiadła na skraju łoża, ujmując dłoń Małgorzaty.

- Nie. Oby pierwszym znakiem nie był widok ich armii otaczającej miasto.

- Małgorzato, w czasach Saladyna kobieta o imieniu Izabella z Toron broniła z osiemnastoma rycerzami zamku obleganego przez całą armię Turków. Ty masz tutaj przynajmniej pięćdziesięciu.

Małgorzata otarła twarz chusteczką.

- Wiem, nie będę pierwszą kobietą dowodzącą obroną obleganego miasta. Eleonora Akwitańska też musiała sobie poradzić, ale ja nie jestem Eleonorą. Powiedz mi, jak długo broniła się ta Izabella i jej osiemnastu rycerzy?

- Pięć dni.

Małgorzata roześmiała się w głos, tak jak Nicoletta pragnęła.

Wyjrzała przez ozdobne, kute w arabeskę kraty w oknach. Komnata stanowiła chyba część haremu namiestnika Egiptu. Jakie to uczucie być niewolnicą muzułmanina, przedmiotem jego pożądań? Pierwej podciąłaby sobie gardło.

- Nicoletto, nie wyjadę z Egiptu bez Ludwika. Będę broniła tego miasta, póki go nie uwolnimy, ale tak mało wiem o sztuce wojennej. Hrabia - konetabl - twój mąż wydaje się przekonany, że powinniśmy opuścić Damietę. Nie możemy też polegać na genueńczykach. Admirał Lercari ciągle się dopomina, żebym się zgodziła na odesłanie okrętów.

Nicoletta czuła, jak wali jej serce. Teraz. Ujęła drobne, zimne dłonie Małgorzaty.

- Małgorzato, co do rad Almaryka, to muszę ci powiedzieć coś strasznego. Trudno ci przyjdzie w to uwierzyć. Almarykowi nie leży na sercu ani twoje dobro, ani dobro króla.

Wytrzymała wzrok królowej, w jej oczach na zmianę odmalowały się strach, zaskoczenie i podejrzenia. Gdyby mogła czytać w moich myślach, gdyby mogła uwierzyć, że mówię prawdę.

- W imię Boże, o czym ty mówisz? - odezwała się po chwili milczenia Małgorzata.

- Mój mąż jest bardzo ambitny. Wiesz, jak przy tym nienawidzi heretyków.

- Nicoletto, to wszystko nie ma sensu. Ludwik zaspokoił ambicje twojego męża, uczynił go konetablen. Słucha go. Almaryk jest kuzynem Ludwika. Matka Ludwika szczerze go kocha. Co z tym wszystkim mają wspólnego heretycy? Almaryk mówił coś o nich wczoraj. Walczymy z muzułmanami, nie z heretykami.

Słodka bogini, wszystko idzie jak po grudzie. Miała ochotę odwołać to, co powiedziała.

Zbliżało się południe i w alkowie zaczynał się nieznośny upał. Tylko nadmorska bryza wpadająca przez okno pozwalała jeszcze oddychać. Nicoletta wiedziała, że powinna wezwać pazia z wachlarzem, ale musiały dokończyć rozmowy.

Co mam jej jeszcze powiedzieć? O bogini, pomóż mi znaleźć słowa.

- Almaryk obwinia Ludwika. Pamiętasz, jak papież nazwał cesarza heretykiem, a Ludwik nie wystąpił przeciw Fryderykowi? Almaryk jest przeciwko królowi, powiedział mi to.

- Ale to już zażegnane waśnie.

- Nie dla Almaryka. Nigdy nie zapomni, że to heretycy - jak wierzy - zabili jego ojca i brata. Nie chciał przynigdy ruszać na tę wyprawę i teraz chce jak najszybciej wracać do Francji, by zniszczyć wszystko, co stworzył twój mąż, zasobność ludu, sprawiedliwość dla wszystkich i pokój.

- Ale dlaczego? Każdy widzi, ile dobra Ludwik uczynił.

- Almarykowi zależy tylko na dwóch rzeczach, na szlachcie i Kościele, chce państwa rządzonego z korzyścią dla nich tylko, no i dla siebie na pierwszym miejscu.

Małgorzata kręciła głową, jakby chciała uporządkować myśli. Wyjęła dłoń z ręki Nicoletty i otarła pot ze skroni. Nicoletta przyłożyła jej wilgotny okład do czoła.

- Nie jesteśmy we Francji, by się kłócić, jak powinno być rządzone państwo - mówiła Małgorzata. - Ludwik jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie i wszyscy

wspólnymi siłami musimy starać się go uwolnić. Czemu nękaś mnie tymi starymi sporami? Utrudniam jej tylko życie.

Rozpacz nakazywała powiedzieć wszystko. Zdjęła przepoconą szatę i wyciągnęła się na łożu, przybliżając twarz do twarzy Małgorzaty.

- Małgorzato, proszę, wysłuchaj mnie. Almaryk chce śmierci twojego męża!

Małgorzata szarpnęła się do tyłu, szeroko otworzyła usta, oczy się rozszerzyły, dłonie opadły na okrągły brzuch.

- Nie!

Czując obrzydzenie na samą myśl o tym, co musiała przed chwilą powiedzieć, Nicoletta z trudem mogła mówić dalej.

- Przysięgam, że to prawda. On tak czuje od wielu lat.

- Od lat? Czemu do tej pory milczałaś?

Nicoletta dojrzała gniew zapalający się w oczach Małgorzaty.

- Czy uwierzyłybyś mi? Uwierzyłybyś kobiecie, która oskarża własnego męża o taką zdradę? Kobiecie, która, jak dobrze wiesz, kocha wroga swojego męża?

- Ale pozwalałaś na to. Pozwalałaś, żeby Ludwik obdarzał przyjaźnią człowieka, który nastaje na jego życie? - Małgorzata była coraz bardziej przerażona i coraz bardziej gniewna.

Mój Boże, czyżbym zaniepokoiła ją bardziej niż wczoraj Almaryk?

- Nie mówię, że przygotowywał spisek na życie króla. - Starala się przemawiać spokojnie. - Nie mam na to dowodów. Powiedziałam, że życzy królowi śmierci. Ma nadzieję, że kiedyś wreszcie sam sięgnie po koronę albo zapanuje nad tym, kto zasiądzie na tronie.

- Jeśli to prawda, to oznacza, że postradał zmysły. Jeśli nieprawda, ty je postradałaś. Czy powtórzysz to oskarżenie w twarz swojemu mężowi?

Nicoletta poczuła, że podłoga się pod nią rozstępuje. Wyobraziła sobie Almaryka przed królową, może przed całym trybunałem złożonym ze szlachty i duchowieństwa. Jej słowo żony przeciwko największemu z baronów Francji?

Wstała i podeszła do okna. Przez kute kraty spojrzła w dół na pałacowy dziedziniec. Na jego płytach ciągle siedziała w kucki ta sama grupka genueńskich żeglarczy. Chca, żebyśmy stąd ruszyli, tak samo jak Almaryk.

Obróciła się ku Małgorzacie. Po ostrym świetle na zewnątrz alkowa wydawała się tak mroczna, że ledwie widziała sylwetkę królowej.

- Tak - odpowiedziała, ponieważ nie mogła powiedzieć nic innego - tak, powtórzę mu to w twarz, jeśli tego chcesz.

Małgorzata pokręciła głową.

- Nie wiem, czego chcę. Potrzebuję pomocy tak bardzo jak jeszcze nigdy w życiu, a ty mówisz mi, że mój najsilniejszy poplecznik jest zdrajcą.

Nicoletta podeszła bliżej do łoża i zobaczyła, że twarz królowej ciągle płonie gniewem.

Wszystko skomplikowałam. Jest jej jeszcze trudniej, niż było, pomyślała współczująco. Nie udało mi się jej przekonać, zniszczyłam naszą przyjaźń. Teraz Almaryk może osiągnąć, co zamierzał.

Kiedy Małgorzata odezwała się ponownie, w jej głosie brzmiała zimna wściekłość.

- Chcesz, bym utrzymała miasto, broniła go przeciwko Saracenom, jednocześnie podejrzewając cały czas, że Almaryk de Gobignon jest zdrajcą?

Małgorzata oparła dłoń o łóżko i podciągnęła się z wysiłkiem, usiadła sztywno. Nicoletta chciała jej pomóc, ale królowa zbyła ją gestem dłoni.

- Dlaczego tak długo się z tym kryłaś przede mną? Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami. Myślałam, że wiem o tobie wszystko.

- Nigdy o tym nie mówiłam dlatego, że wydawało się to tak nieprawdopodobne, że trudno byłoby ci w to uwierzyć. Nie mam żadnych dowodów, które by cię przekonały, tylko moje słowo przeciwko słowu królewskiego kuzyna. Czy sam król dałby wiarę, gdyby do jego uszu doszły podobne pogłoski, nawet gdybyś to tyje powtórzyła? Droga przyjaciółko, jest tylko jedna przyczyna, dla której mówię ci to teraz. Życie króla jest w niebezpieczeństwie i nie można już milczeć. Nawet teraz nie możesz mi uwierzyć, nawet gdy postawisz mnie przed Almarykiem. Nawet gdy mnie uwięzisz albo on mnie zabije. Wreszcie to powiedziałam. Musisz sama zdecydować.

Małgorzata przyglądała się Nicoletcie.

Zdawało się, że minęła wieczność. Nicoletta usiadła z rękami złożonymi na podłokiu. Z dołu dochodziły ochryple głosy żeglarzy rozmawiających między sobą po włosku.

Małgorzata przemówiła:

- Nicoletto, w całej tej strasznej Ziemi Zamorskiej jesteś jedyną, na której radzie mogę polegać. Ty mi musisz powiedzieć, co robić.

Nicoletta poczuła, że jej całe ciało ogarnia nagła ulga. Wyciągnęła ramiona do królowej i przytuliła ją, czując wilgotny od łez policzek Małgorzaty na swojej twarzy. Nasza wzajemna miłość dość jest mocna, żeby szukać w niej ratunku. Płakały przytulone do siebie, póki się nie uspokoiły. Nicoletta wyprostowała się, próbując pozbierać skołatane myśli. Nie była przygotowana na nic więcej poza tym, co miała do powiedzenia o Almaryku. Wydawało jej się, że kiedy zdoła już przekonać Małgorzatę, by nie ufała Almarykowi, ta już będzie wiedziała, co dalej robić. Jak postąpić? Małgorzata nie wiedziała, podobnie jak ona sama. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że na nich obu spoczywa teraz odpowiedzialność za uratowanie ukochanych mężczyzn.

- Jedyna rada, jaką mogę ci dać, to że póki utrzymasz Damietę, poty będziesz miała czym targować życie króla. Nie wolno opuścić miasta. Możesz utrzymać Damietę. Mamy około pięćdziesięciu rycerzy. Może są starzy, ale muszą być dobrzy w swoim rzemiośle, skoro dożyli późnych lat. Mamy służbę i paziów, mamy prosty lud, któremu można dać broń. Może namówimy genuieńczyków, żeby przysłali z okrętów swoich łuczników. Z taką siłą utrzymamy się przez jakiś czas. Możesz wysłać wieści do twierdz chrześcijańskich na Cyprze, w Syrii i Palestynie.

Prosić o posiłki. Templariusze i szpitalnicy przysłać pomoc. Jaki rycerski człowiek odmówi królowej Francji w niebezpieczeństwie?

Małgorzata ujęła dłoń Nicoletty, jej uścisk był teraz silniejszy.

- Tak, póki mamy okręty, nie wszystko stracone.

- Poślij do królowej Blanki wieści o tym, co się stało. Pisz, że potrzebujemy pieniędzy na okup. Templariusze trzymają klucze od skarbcza Francji i mają banki w całej Ziemi Zamorskiej. Mogą przekazać tu pieniądze.

- Oczywiście! - wykrzyknęła Małgorzata.

- Musisz też posłać słowo do sułtana, dać znać, że gotowa jesteś układać się z nim. Może mógłby pojechać do niego patriarcha z rozjemczą chorągwią.

- Tak - kolory wracały na policzki Małgorzaty, ale zaraz zbladła i twarz jej posmutniała.

- Co mam zrobić z twoim mężem? Mam go oskarżyć, uwięzić?

- Na razie chyba nie. Nie masz dowodów jego zdrady, tylko moje słowo, a to nie dość, by przekonać innych. Spowodujesz rozłam w naszych siłach, jeśli oskarżysz go teraz. Nie wolno ci tylko dopuścić, żeby Almaryk przejął dowództwo nad miastem. Ty musisz tu rozkazywać w imieniu króla, tak by nikt nie miał wątpliwości, że władza jest w twoim ręku. Możesz go wyznaczyć na dowodzącego obroną, ale na twój wyraźny rozkaz. Sprawić, żeby obrona miasta była dla niego sprawą honoru. Może go to powstrzyma od uczynienia czegoś, co mogłoby osłabić nasz opór wobec Saracenów i zmusić nas do opuszczenia miasta. A jeśli to zrobi, będziesz miała dowód, by otwarcie wystąpić przeciw niemu.

- Trudno będzie rozmawiać z nim, ukrywając, że myślę o nim jak o wrogu.

- Potrafisz tego dokonać, ja robię to od lat - dodała z goryczą.

- Zwołam dzisiaj wszystkich ludzi odpowiedzialnych za miasto - powiedziała Małgorzata z nagłą determinacją - powiem im, że jak długo król, jego bracia i reszta armii pozostają w niewoli u Egipcjan, tak długo musimy utrzymać miasto.

Znowu na jej twarzy pojawiło się wahanie.

- Naprawdę wierzysz, Nicoletto, że możemy tego dokonać? Z kilkoma rycearzami starcami, na wpół piracką bandą genueńczyków i baronem, który chce sięgnąć po tron?

- Mamy siebie, Małgorzato - odpowiedziała Nicoletta, ujmując jej dłonie. - Czyż nie jesteśmy kobietami Langwedocji?

- Tak - po twarzy Małgorzaty przemknął uśmiech, który przyprawił Nicolettę o łzy. - Pokażę im wszystkim, Saracenom, genueńczykom i naszemu ludowi, jaką królową potrafi być kobieta z Langwedocji.

* * *

XXIX

O Boże, jeść - warknął Almaryk, kiedy wchodzili razem do ich egipskiej kwatery. - Od miesiący nie jadłem nic godziwego. Potem ta głupia kobieta, która mnie obudziła swoim wezwaniem i zabrała czas. Przynieś mi zaraz chleba, sera, owoców, każ służbie upiec wołowiny. I wino, dzban dobrego cypryjskiego wina.

Nicoletta wydała polecenia, Almaryk usiadł ciężko na sofie.

Służący ustawili przed nim stół, Nicoletta usiadła naprzeciw męża na złożonym podnóżku. Czuła się tak, jakby była zamknięta w klatce z rozwścieczonym wilkiem. Rzucił się na jedzenie, popijając wielkie kęsy solidnymi haustami wina.

Ona sama jadła owoce. Nie miała apetytu.

Wszystko ułożyło się, jak chciała. Jaka dumna była z Małgorzaty, kiedy tamta zdecydowanie oświadczyła wszystkim zebranym, że nie odda miasta.

Almaryk się pinił, jak się spodziewała, ale Małgorzata postawiła na swoim. Lercari żądał pisemnych gwarancji na większe opłaty za ludzi i okręty. Małgorzata poprosiła o pióro, pergamin, napisała krótką notkę i pchnęła ją admirałowi niczym jałmużnę żebrakowi.

Nicoletta niemal uśmiechnęła się na wspomnienie tej sceny, ale nie odważyła się śmiać w obecności Almaryka.

Teraz, kiedy wpił się w poleć wołowiny, jadł już nieco wolniej, przerwał na chwilę, by spojrzeć na Nicolettę.

- Masz z tym coś wspólnego, Nicoletto.

Zrobiła się czujna, bała się, że może ją podejrzewać.

- Z czym, panie?

- Na świętego Dominika, nie udawaj niewinnej. Kiedy się obudziłem dzisiaj rano, ty już byłaś w pałacu. Zapewne z dobrymi radami dla Małgorzaty.

- To mój obowiązek służyć królowej, potrzebuje mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek.

- Kiedy wczoraj stanąłem przy jej łożu, byłem pewien, że przekonam ją dzisiaj - z twoją pomocą - aby natychmiast odpłynąć na Cypr. Budzę się rano i widzę, że zaczyna się przygotowywać na wypadek oblężenia miasta. Kto ją tak odmienił, Niccoletto?

Nie mogła oderwać wzroku od jego wielkich, ociekających krwią dłoni, w których trzymał olbrzymią wołową kość. Czula niemal, jak zaciskają się na jej szyi.

- Królowa sama podejmuje decyzje, panie, ale to prawda, że pytała mnie o radę.

- I coś jej powiedziała? - zapytał z groźną łagodnością, odkładając kawał mięsa. Nie mogę okazać strachu, trzeba udawać, że to zwyczajna rozmowa.

- Powiedziałam, że zamiast po prostu oddać Damietę, powinna użyć miasta do przetargów z Saracenami. Oddamy miasto w zamian za wolność króla.

Ręka Almaryka wystrzeliła poprzez stół, chwycił ją za nadgarstek. Dotyk jego palców, tłustych od mięsa, przyprawiał o gęsią skórkę.

- Więc to jednak ty. Wszystko zniszczyłaś. Od tej chwili nakazuję ci jako żonie, która winna jest posłuszeństwo mężowi, mówić królowej tylko to, co ja mówić polecę.

Boże, jakże go nienawidziła. Szarpnęła ręką, uwalniając nadgarstek.

- Nie możesz winić kobiety, nawet jeśli jest królową, że nie chce opuścić w niebezpieczeństwie swojego męża, panie.

Spojrzał bacznie.

Zastanawia się, ile z tego rozumiem.

- Pozostawanie w Damiecie to bezrozumne marnowanie ludzi i pieniędzy. Armia jest zgubiona.

Myśl o Rolandzie, Ludwiku i tylu innych zacnych ludziach cierpiących i umierających w tej samej chwili, kiedy Almaryk spokojnie opycha się wołowym mięsem,

doprowadzała ją do wściekłości.

- Nie dość wam, panie, że zostawiliście całą armię na pastwę Turków? Porzuciliście wszystkich swoich ludzi? Nawet waszego wiernego wasala d'Etampesa? Wszystkich z wyjątkiem tego płaszczącego się Maurycego. Musiałeś tak postąpić?

Krew odpłynęła mu z twarzy. Patrzył na nią, odsłaniając zęby w jakimś grymasie.

- Nazwiesz mnie tchórzem?

- Nie, nie. - Głos jej zadrżał, gdy z przerażeniem zdała sobie sprawę, jak niebezpieczne było to, co powiedziała w porywie gniewu.

Wyciągnął w jej stronę ociekający tłuszczem paluch.

- To ten trubadur. To o nim myślisz, kiedy prawisz mi o moich towarzyszach. Nigdyś o nim nie zapomniała, czy nie tak? Drżysz o niego. - W jego głosie brzmiała kpina.

- Drzę o wszystkich wydanych na śmierć i pojmanyh w niewolę, czy ich znam, czy nie.

Almaryk nachylił się ku niej, odsłaniając zęby w zwierzęcym uśmiechu.

- Miło mi położyć kres twym lękom, moja pani. Twój dawny kochanek, trubadur, nie żyje.

Przez moment zrobiło jej się czarno przed oczami. Zaciśnęła pięści pod stołem, wbijając paznokcie w dłonie. Nie pokażę nic po sobie. Nie zobaczy, jak mnie zranił.

- Powiadam wam, panie, że oplakuję wszystkich, którzy zginęli pod Mansurą. - Powstrzymywała z trudem drżenie warg.

- Zdarzyło się to, kiedy w tłusty czwartek wycofywaliśmy się z Mansury. De Vency i jego giermek zбочyli na jakiś dziedziniec, patrząc pewnie za łatwym łupem. Opadło ich z ukrycia mrowie Egipcjan, którzy zasadzili się na dachu. Widziałem, jak padają od ciosów błyskających tylko sztyletów. Reszta Egipcjan rzuciła się na nas, ja sam ledwie uszedłem z życiem.

W głowie jej wirowało. Nie wierzę. Wymyślił to wszystko. Nic nie wie. Gdyby Roland nie żył, wiedziałabym o tym.

W opowieści Almaryka było tyle szczegółów, że brzmiała prawdziwie. Zagryzła dolną wargę.

- Wydaje się, że macie, panie, szczególnie dar do uchodzenia niebezpieczeństwom.

Uniósł się z sofy z dzikim wzrokiem, stał nachylony nad nią, z dłonią na rękojeści sztyletu.

Czekała z biciem serca, kiedy się na nią rzuci. Powoli wracał do siebie.

- Próbujesz się ze mną drażnić, próbujesz ukryć przede mną, co czujesz. Cieszę się, że ta śmierć sprawia ci boleść, ale zapomnij o nim.

Wyraz jego twarzy zaczął się zmieniać, w oczach pojawił się ból pomieszany z pożądaniem.

- Gdybyś tylko zechciała mnie kochać, Nicoletto, tak jak ja Kocham cię. Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo za tobą tęskniłem. Nawet pośród tego koszmaru, między trupami i umierającymi, myślałem o tym, kiedy wrócę do ciebie.

- Zaszczycasz mnie, panie - odparła słabo.

- Zaszczycam? - uśmiechnęła się gorzko. - Do diabła z zaszczycaniem. Potrzebuję cię, Nicoletto! - wyciągnął rękę w jej stronę. - Proszę, tyle czasu minęło.

Och, nie, nie. Jak miałabym to znieść zaraz po tym, gdy mi powiedział o śmierci Rolanda. Z trudem panowała nad myślami i ciałem.

- Nicoletto, muszę cię mieć, zaraz.

Krzyczałaby, gdyby ją dotknął, raczej wołałaby spłonąć żywcem.

- Ja nie... ja nie chcę, panie.

Przeszedł na drugą stronę stołu i wziął ją za ramię. Chwytał niezbyt mocno, ale czuła kryjącą się w tym uścisku siłę. Szedł od niego zapach mięsa i wina.

- Proszę, Nicoletto. Bądź dla mnie dobra. Jestem tu noc i dzień i jeszcze nie czułem twojego dotyku. Na Boga, miesiącami cierpiałem i przelewałem krew w tym śmierdzącym kraju. Walczyłem, by wrócić do ciebie, gdy cała armia szła w niewolę.

Miałem nadzieję, że powitasz mnie z ochotą. Przecież i dla ciebie była to długa rozłąka? Nie brakowało ci mnie? Nigdy mnie nie pragnęłaś?

Z nadzwyczajnym wysiłkiem poddała mu się. Musi mu ulec, w przeciwnym razie straci jego zaufanie.

- Dobrze - odpowiedziała cicho - wymyj tylko przody ręce.

- Wszystko, co moja pani każe - odpowiedział z wrednym uśmiechem. Wymył ręce i wytarł je o purpurowo-złotą tunikę.

Potem ujął jej dłoń i poprowadził za sobą na górę.

Ich alkowa była częścią haremu emira. Całe drugie piętro zamknięte było ciężkimi drzwiami z kutego żelaza. Ich łóżko stało w największej z komnat tej części. Poprowadził ją tam teraz.

Będę jak kamień, jakoś muszę przez to przejść.

Kiedy w nią wszedł, sprawił jej ból jak zawsze, ponieważ jej ciało nie pragnęło go. Nie była przecież z kamienia, lecz z krwi i kości. Czekala, aż skończy, myśląc o tym, jak rozkoszował się opowiadaniem o śmierci Rolanda, i nienawidząc go za to. Kiedy zajęczał i uspokoił się, nie mogła dłużej znieść jego bliskości. Szybko wysliznęła się spod niego, wbijając zęby w zaciśniętą dłoń.

W myślach widziała ciemną, uśmiechniętą twarz Rolanda, czuła, że jej ciało tężeje z bólu.

- On naprawdę nie żyje - odezwał się Almaryk z napawającą lękiem przytomnością umysłu. - Widziałem, jak to się stało.

Wstał, poprawił na sobie szaty.

- Zostawiam cię sam na sam z twoim głębokim smutkiem. Mam wiele do zrobienia. W końcu jestem odpowiedzialny za obronę tego miasta. - Na tym wyczerpał zapas ironii.

Kiedy wyszedł, obróciła się na łożu i ukryła głowę w poduszkach, tłumiąc łkanie. Wydawało się jej, że przeleżała tak całe godziny, chciała krzyknąć z bólu, lecz bała się, by ktoś jej nie usłyszał.

Muszę stąd wyjść, postanowiła wreszcie. Podniosła się z wysiłkiem, poruszała się, jakby ktoś rzucił na nią czary, sięgnęła ze skrzyni pelerynę z ciemnego jedwabiu.

Kiedy wychodziła z domu, jej twarz była bez wyrazu, oczy suche. Poczula w nozdrzach zapach soli niesiony północną bryzą i przez moment pożałowała, że nie jest na statku unoszącym ją z tego przeklętego kraju.

Przechodziła właśnie przez dziedziniec, kierując się ku bramie, kiedy usłyszała za sobą głos wołającej ją Agnes. Zatrzymała się.

- Pani, niebezpiecznie jest teraz wychodzić.

Jej doncella miała czerwone, zapuchnięte oczy i zapadnięte policzki. Do czego cię przywiodłam, droga przyjaciółko?

- Będę bezpieczna - odparła cicho Nicoletta, pragnąc jak najszybciej wydostać się z domu.

Agnes wzięła głęboki oddech.

- Pójdę z tobą, pani, jeśli przyzwolisz.

Ile odwagi trzeba było, żeby to zaproponować. Poczula, jak bardzo kocha Agnes. Biedactwo, jest przerażona, ale wyszłaby naprzeciw całej armii egipskiej, gdybym ją o to poprosiła.

- Nie idę daleko - skłamała - wracaj do domu i nie martw się o mnie.

Po wyjściu za bramę zasłoniła twarz jak muzulmanki i naciągnęła kaptur na głowę. Spojrzała w pałace afrykańskie słońce. Było wczesne popołudnie, musiała wrócić przed zmierzchem.

Z ulgą dojrzała, że bramy w potrójnych murach otaczających Damiętę nadal stoją otworem. Oznaczało to, że Saraceni jeszcze się nie zbliżyli na niebezpieczną odległość. Wartownik przestrzegł ją szorstko, że zamkną bramę o zachodzie słońca. Najwyraźniej wziął ją za kogoś z pospólstwa, może nawet za Saracenkę.

Myślała tylko o tym, by wypłakać swoją żalność. Nie chciała, żeby Almaryk ani ktokolwiek, kto go znał, widział jej smutek. Wyjść za mury, gdzie kręcili się Beduini było jeszcze niebezpieczniej, niż chodzić po ulicach miasta, ale musiała być sama.

Poszła w stronę rzeki. Nie знаła arabskiego, ale egipski przewoźnik rozumiał, co mu tłumaczyła na migi, popierając to srebrną drachmą cypryjską. Pokazała, że chce popłynąć sama, na co wzruszył ramionami, kręcąc głową. Pewnie myśli, że jestem niespełna rozumu, ale ta moneta więcej jest warta niż jego łódka, cóż więc go obchodzi, co się ze mną stanie?

Zaczęła wiosłować w górę rzeki. W popołudniowym słońcu rzeka miała kolor miedzi. Nie była na wyspie od tamtej nocy zeszłej jesieni, ale wierzyła, że uda jej się odnaleźć to miejsce.

Rzeka była spokojna. Płynęła pod prąd, ale Nil w kwietniu ma leniwy nurt. Zostawiła za sobą mury Damiety i sunęła obok małych egipskich wiosek z kołami nawadniającymi, obracanymi przez woły, i gołębnikami na płaskich dachach szarych lepierek. Rozpoznała właściwy kanał i wpłynęła tam, mijając wysepki utworzone przez sieć wód. Ta, której szukała, górowała nad innymi, zwieńczona ruinami świątyni.

To tam. Dojrzała smukłe, białe kolumny przełamane pod samymi kapitelami, strzelające w niebo wśród szuwarów. Osadziła łódź i wyszła na brzeg. Jelonkowe

trzewiki zapadały się w podmokły grunt, gdy przedzierała się przez szuwary ku świątyni wzniesionej wieki temu, kiedy panowali tu Grecy.

Ze wzgórza na środku wyspy roztaczał się daleki widok poprzez błota delty aż do murów i wież Damiety.

Weszła w krąg zamknięty kolumnami i uklękła na marmurowej posadzce. Zaczęła szukać reliefu, o którym rozmawiali, gdy byli tu razem. Musiał kiedyś stanowić część fryzu, był na nim wyrzeźbiony nagi mężczyzna z jabłkiem w dłoni, stojący przed trzema nagimi kobietami. Roland powiedział, że ta, której mężczyzna dawał jabłko, to bogini Miłości. Dotknęła gładkiego ramienia młodego mężczyzny koniuszkami palców.

- Rolandzie - krzyczała - nie opuszczaj mnie!

Leżała na marmurze, szlochając, dopóki nie rozboleło gardło, póki nie ochrypla tak, że nie mogła już płakać dłużej. Płakała i myślała o Rolandzie i znowu płakała, dopóki słońce nie zaczęło powoli chylić się ku zachodowi, a cienie kolumn wydłużać.

Rolandzie, nie podołam. Nie wierzę, że odszedłeś. Nasze dusze złączyły się w Miłości, musi być między nami ciągle jakaś więź, czy nie poczułabym tego, że cię już nie ma?

Na moment wróciła nadzieja.

I zaraz potem znowu rozpacz. Nie żyje. Skoro tyle tysięcy oddało życie, jakże on miałby ocalić swoje?

Usłyszała głosy, kroki.

Serce jej stanęło. Głosy mówiły po arabsku. Beduini!

Skuliła się w cieniu zrujnowanego muru świątyni. Na tej małej wysepce nie było się gdzie schować. Zobaczyli też na pewno jej łódkę. Słyszała, że się zbliżają, trzask gałęzi pod stopami, głośniejsze niż przed chwilą rozmowy. Przerażona skuliła ramiona. Pograżona w smutku nie pomyślała nawet o niebezpieczeństwie. Jeśli to byli Beduini, ci sami, którzy mordowali nie dość ostrożnych krzyżowców, to najpierw ją zgwałcą, potem zabiorą do Kairu, gdzie sprzedadzą, a potem spędzi resztę życia jako niewolnica, której ciało będzie należało do tego, kto za nią zapłaci. Nie pomyślała nawet o tym, by zabrać ze sobą sztylet.

Z szuwarów wyłonił się wysoki mężczyzna w szatach Beduina.

Chociaż ubrany był jak Arab, miał rude włosy i niebieskie oko, drugie, pokryte bielmem, przecinała szrama biegnąca od brwi do policzka.

Szuwary znowu się rozchyliły i pokazał się drugi mężczyzna. Spojrzał na nią, nie posiadając się ze zdziwienia.

- Na świętego Krzysztofa!

Dawno już zsunęła się zasłona z jej twarzy i kaptur, Maurycy mógł ją więc rozpoznać bez trudu.

Dojrzała na jego twarzy zmieniające się uczucia - zaskoczenie, niezadowolenie, złość i wyrachowanie. Co on tu robi? I kim jest ten Arab, czy ktokolwiek to jest?

Podniosła się i stanęła wyprostowana naprzeciw mężczyzn. Muzułmanie gardzą kobietami, które odsłaniają twarz. Ten Beduin pewnie myśli, że jestem prostytutką.

Jednooki postąpił kilka kroków w jej stronę, mówiąc coś cichym, ale władcym tonem. Miał wąskie, niemal pozbawione warg usta i przeraźliwy uśmiech.

- Maurycy, chroń mnie, jesteś wasalem mojego męża. - Liczyła na to, że nie zważą, jak drżą jej kolana osłonięte długą szatą.

- Bądźcie ostrożna, pani. Ten człowiek jest wodzem potężnego plemienia. Bądźcie dla niego mili, nie rozżłoście go, bo inaczej może wam zrobić krzywdę.

Beduin zwrócił się z pytaniem do Maurycego, a tamten odpowiedział tak płynnie, jakby był rodowitym Egipcjaninem, mimo że seplenił przez bezzębne usta. Mówił cicho, z szacunkiem graniczącym ze strachem, w sposób, w jaki mógłby się zwracać do wielkiego seniora. Pośród potoku arabskich zdań Nicoletta pochwyciła słowa: „hrabina de Gobignon”.

Jednooki wyglądał na zdziwionego, potem zaśmiał się i wzruszył ramionami. Ujął ją szorstką dłonią pod brodę. Chciała się cofnąć, ale stała sparaliżowana, unieruchomiona spojrzeniem jednego oka. Pomyślała o baśniach, w których pojawiały się olbrzymy, żyjące gdzieś na brzegach mórz. Przesunął palcami po jej policzku z zaskakującą delikatnością, potem uśmiechnął się do niej i odwrócił.

Usłyszała westchnienie ulgi Maurycego.

Beduin powiedział coś do starego, a ten z kolei zwrócił się do Nicoletty.

- Mam tu coś do załatwienia z tym człowiekiem, jeśli zechcecie zaczekać, pani, zabiorę was potem bezpiecznie do Damiety.

Obaj odeszli na brzeg wyspy od strony Damiety. Stali tam, patrząc na miasto i rozmawiając cicho.

Ten jednooki jest szpiegiem Saracenów, a Maurycy opowiada mu o naszej obronie. Mieszkał trzydzieści lat wśród muzułmanów i stał się jednym z nich.

Zdjął ją gniew. Mógł przyłożyć rękę do naszej klęski pod Mansurą, do śmierci Rolanda. Trzęsa się z oburzenia.

Słońce świeciło nisko nad błotami. Myślała o tym, czy nie pobiec do łodzi, ale wiedziała, że pierwsi ją pochycili, nim zdążyłaby umknąć.

Kiedy skończyli rozmowę, zobaczyła, że Maurycy pokłonił się Arabowi, dotykając prawą ręką czoła, ust i piersi. Niemal jak znak krzyża, pomyślała. Beduin skinął mu głową, odwrócił się i zniknął w szuwarach. Po chwili usłyszała głuchy odgłos końskich kopyt na grobli łączącej tę wyspę z następną.

Maurycy wrócił do niej, była gotowa bronić się albo uciekać, na wypadek gdyby ją zaatakował. Obserwowała czujnie jego dłonie gotowe sięgnąć po sztylet tkwiący na razie spokojnie w zdobnej pochwie. Jest stary i słabszy ode mnie, ale wygląda na silniejszego.

- Dobrze, że przyplłynęliście łodzią, pani. Przyszedłem tu pieszo i godzinami musiałbym wracać do miasta, doszedłbym pewnie po zaniknięciu bram. Pozwolicie, pani, że was odwiozę?

Kiedy szli do łodzi, myślała o tym, co ma mu powiedzieć. Jeśli zadam mu jakiegokolwiek pytanie, zabije mnie. Musi się przecież spodziewać, że zażadam od niego wyjaśnień. Jeśli nic nie powiem, będzie przekonany, że go wydam po powrocie.

- Ten człowiek jest wodzem plemienia - odezwał się Maurycy - które ma wielkie stada owiec. Właśnie ułożyłem się z nim tak, że będziemy mieli mięso na stole nawet w czasie oblężenia.

Czy to nie dobra wiadomość? - Spojrzał na nią badawczo.

Jeśli nazwę go kłamcą, ryzykuję życiem.

- Domyślam się, że mój mąż wie o tym... uładzie?

- Robiłem już dla niego takie rzeczy w przeszłości, pani. Dlatego wrócił zdrów i silny. Spytajcie go o świeże mięso baranie i wołowe, które przynosiłem mu, kiedyśmy obozowali pod murami Mansury. Starzy żołnierze wiedzą, jak dbać o furazę. O dzisiejszym spotkaniu nie wie i lepiej na razie nic mu o tym nie mówić. To nie

wyglądałoby dobrze, gdyby komendant Damiety brał prowiant od Beduinów. Jeśli mnie przyłapią, mogę się kłąć na Hostię Przenajświętszą, że mój pan nic o tym nie wiedział. Czy tak nie będzie lepiej?

Odgarnął kępę szuwarów i znaleźli się koło małej łódki, którą przypłynęła. W oddali wody kanałów odbijały promienie zachodzącego słońca niczym złoty filigran. Maurycy pomógł jej wsiąść, bez namysłu wszedł po kolana do wody i zepchnął łódź z brzegu, po czym zgrabnie wskoczył do środka i usiadł przy wiosłach.

- Moje życie jest w waszych rękach, pani - powiedział poważnie, gdy płynęli kanałem w stronę rzeki. - Chrześcijanie w Damiecie tracą rozum ze strachu. Jeśli powiecie, że szpiegowałem, powieszę mnie bez pytania.

To właśnie dokładnie mam zamiar uczynić, jeśli będzie na tyle głupi, że pozwoli mi ujść z życiem.

Maurycy wiosłował w milczeniu, z pochyloną głową. Kiedy spojrział na nią znowu, w jego oczach dojrzała chytryść i cień lekceważenia.

- Może macie, pani, własne sekrety, które wolelibyście zachować dla siebie. To piękne miejsce na spotkania kochanków, ta wysepka. Powinniście tak powiedzieć, o co was proszę, jeśli nie chcecie, by hrabia się dowiedział o waszej wyprawie, tak żebym był uważny i nie zdradził się przed nim ani słowem.

Spuściła głowę, unikając jego przebiegłego spojrzenia.

- Rozumiemy się nawzajem, Maurycy. Obydwoje mamy sprawy, o których lepiej, żeby hrabia nie wiedział. Może i ty będziesz mógł mi wyświadczyć przysługę. Czy oprócz mięsa możesz też postarać się o wieści od Beduinów?

- Wszystko, czego chcecie, pani.

Rzykuje, może tego użyć przeciw mnie.

- Możesz się dla mnie dowiedzieć, kto z rycerzy pozostał jeszcze przy życiu w więzieniach Mansury?

- Czy jesteście, pani, ciekawa losu jakiegoś szczególnego rycerza?

- Jeśli będziesz miał dla mnie jakieś wieści o pojmanych, przyjdź, a ja już zdecyduję, czy mam do ciebie jakieś jeszcze pytania.

Wypłynęli na główny kanał Nilu, nad którym górowały brązowe mury Damiety. Nie odezwali się już do siebie, każde pogrążone we własnych myślach.

Jeśli Maurycy rzeczywiście trzyma z Saracenami i jeśli to zmilczę, Damieta padnie.

Dobry Boże, teraz będę musiała mieć baczenie i na Almaryka, i na Maurycego.

Czuła się słaba, nękana lękami. Czemu to wszystko musiało spaść na mnie?

Nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc. Musiała walczyć samotnie.

* * *

XXX

Roland stracił rachubę dni. Kiedy prowadzili go z domu Lokmana do obozu pod murami Mansury, obliczał, że musiał być więźniem mameluków około dwóch miesięcy.

Po przejściu przez bramę obozu ujrzał rzędy takich samych lepianek, jakich pełno było nad brzegami Nilu. Tu jednak zamiast egipskich wieśniaków znajdowali się Frankowie, setki, może tysiące rycerzy. Ścisnęło mu się serce.

Dwa miesiące - tyle trzeba było Bajbarsowi i jego mamelukom, by pozostawić nędzne resztki z niegdysiejszej armii Ludwika.

- Jezu! - wyszeptał Perrin.

Ludzie byli obdarci, wynędzniali, brudni. Niektórzy kręcili się wśród chat, inni stali, nieruchomo patrząc w przestrzeń, większość siedziała na ziemi. Odziani byli w łachmany, które im tylko pozostały po tym, jak Egipcjanie odarli ich ze zbroi. Najgorsze było to, że wydawali się obojętni na wszystko. Kilku zaledwie podniosło głowę, gdy wprowadzono grupę, w której był Roland.

Przypomniał sobie czerwcowy dzień chwały dwa lata wcześniej w Paryżu, hełmy lśniące w promieniach słońca, tysiące rycerstwa na wspaniałych wierzchowcach, złoty Oriflamme na tle błękitnego nieba, ogłuszające wiwaty tłumów, króla w połyskującej zbroi. Spojrzał znowu na tych pokonanych, zrozpaczonych ludzi i zapłakał.

- W imię Głosu nadchodzi Jasność - odezwał się Perrin raptem tej samej nocy.

- Na świętego Michała, bądźże cicho! - fuknął Roland, rozpoznając katarskie słowa.

- Pan świata ma mnie w swojej mocy - mówił muzykant, niewyraźnie wymawiając słowa.

Roland rozejrzał się po ciemnej, zatłoczonej lepiance, czy któryś z więźniów nie dosłyszał czegoś, ale wokół było cicho.

Pomyślał, że Perrin mówi chyba przez sen. Potrzęsnał nim, szepcząc: - Mów tak dalej, a pošlesz nas obu na śmierć.

Raptem zdjęło go straszne podejrzenie, dotknął dłonią czoła Perrina, było tak rozpalone, że natychmiast cofnął rękę.

Widział ludzi złożonych podobną niemocą wiele razy przedtem, zanim znalazł się w Egipcie. Gorączka przychodziła niespodzianie, z godziny na godzinę, w ciągu kilku dni przynosząc śmierć.

Ujął dłoń Perrina w swoje i ścisnął tak mocno, jak mógł.

- Nie daj się - wyszeptał błagalnie.

Perrin był rozpalony gorączką, a on złodowaciał z lęku. Nic nie mógł uczynić. Nie było jedzenia, lekarstw, nikogo, kto znalazłby się na chorobach. Dlaczego cię zabili, Gwidonie?

Otarł Perrinowi czoło, rozcierał mu dłonie. Bezradność była torturą. Wszystko, co mogę zrobić, to siedzieć tutaj i patrzeć, jak umiera.

Rozejrzał się jeszcze raz po chacie. Może któryś z rycerzy mógłby coś zaradzić? Wszyscy trwali pogrążeni w milczeniu.

I tak mogę uznać się za szczęśliwego, że jestem z nim razem. Perrina trzymano w domu Lokmana razem z rycerzami, resztę prostych żołnierzy zamknięto gdzie indziej.

W następnych dniach białka oczu Perrina mocno poczerwieniały, na wargach pojawiła się żółta skorupa, wychudzone ciało splotowało potem.

Roland nie odchodził od niego, odrętwiały ze strachu o przyjaciela. Wybłagiwał dodatkowe porcje mulistej wody, którą dwa razy dziennie przynosili Egipcjanie, wlewał ją przemocą w gardło Perrina, ale muzykant nie mógł przełknąć ani kropli.

Chociaż niewiele pokładał wiary w Bogu, modlił się przez cały czas.

W południe, tydzień po tym jak przeniesiono ich do obozu, Roland wyszedł z lepianki, by zaczerpnąć powietrza. Cały obóz śmierdział, ale na zewnątrz zaduch zdawał się niniejszy.

Przy ogrodzeniu zauważył grupkę ludzi, kilku z nich wykrzykiwało coś rozzłoszczonymi głosami. Zaciekawiony zbliżył się do nich. Młody rycerz stał na ramionach dwóch innych, wypatrując czegoś. Zeskoczył w tym samym momencie, kiedy Roland dołączył do grupy. Był szary z przerażenia.

- Mordują żołnierzy - powiedział wycierając nos wierzchem brudnej dłoni. - Słychać krzyki zza ostrokołu, gdzie ich trzymają. Właśnie wyjechał stamtąd wóz pełen ciał bez głów.

Jak w domu Lokmana.

Czuł przejmujący ból, przenikający całe ciało, niczym jątrzenie zakażonej rany.

Jakiś człowiek z twarzą owiazaną brudnymi, okrwawionymi bandażami powiedział:

- Nasi ludzie muszą umierać bez księdza, bez ostatniej pociechy, to najgorsze ze wszystkiego. Te saraceńskie psy wymordowały wszystkich kapłanów w dniu, kiedy nas pojмали.

- Po nich przyjdzie na nas kolej - odezwał się ten, który przedtem wyglądał przez ogrodzenie.

- Na pewno nie - powiedział ciemnobrody rycerz wyróżniający się spośród reszty porządniejszym odzieniem. - To los żołnierzy z ludu. Saraceni dość są honorowi, by nie mordować rycerzy niczym zwykłych prostaczków.

Nagła złość zdjęła Rolanda, podszedł do rycerza z zaciśniętymi pięściami.

- Będę wam wdzięczny, jeśli przestaniecie mówić, panie, z takim lekceważeniem o tych, którzy umierają, bo wiernie nam służą - powiedział, starając się, żeby zabrzmiało to łagodnie.

- Nie znam was - odrzekł rycerz wyniośle, ale to, co zobaczył we wzroku Rolanda, odbiło się lękiem w jego oczach.

- Ja go znam - odezwał się rycerz z obandażowaną głową - wie on więcej o rycerskim obyczaju, niż wy kiedykolwiek się dowiecie, panie. Giną tam dobrzy chrześcijanie i jeśli wydaje się wam, że jesteście zbyt godni, by się użalić nad ich losem, to winniście im bodaj szacunek.

- Prawda, że trzeba nam będzie kupić drogę do wolności - powiedział ten, który wyglądał przez ogrodzenie. - Imć hrabia Pierre z Bretanii już próbował układać się z Saracenami w swoim i swoich wasali imieniu.

- Moim panem był Wilhelm Longsword - ciężko westchnął obandażowany. - Nie mam sposobu się wykupić, kiedy jego zabrakło. - Ujął dłoń Rolanda. - Walter z Salisbury. Pozwolicie mi zachować konia i zbroję na królewskim turnieju, pamiętaj, panie?

- Tak. - Mój Boże, pomyślał Roland, wieki i światy minęły od tego czasu. Czasami trudno uwierzyć, że gdzieś jeszcze jest Francja.

Jean de Joinville ujął Rolanda za ramię. Jego twarz, jak wszystkich tutaj, składała się z samej skóry i kości. Wyglądamy, jak tańczące szkielety z kościelnych płasko-rzeźb, pomyślał Roland, tyle że nam nie do tańca.

- Król mnie po was posyła, panie.

De Joinville poprowadził go do lepianki nie lepszej niż te, które zajmowała reszta rycerzy.

- Oto pałac, co? - kronikarz uśmiechnął się melancholijnie.

- Dwie izby, ale dzieli je tylko z braćmi i ich ludźmi.

Doszły Rolanda słuchy, że Saraceni chcieli więzić króla w jednym z domów w mieście, ale Ludwik nalegał, by pozostawili go razem z jego rycerzami. Nie było pewnie w smak Karolowi i Alfonsowi, że musieli zostać tam, gdzie wybrał król.

- Sire Rolandzie - doszedł z ciemności słaby głos Ludwika, gdy weszli do chaty-słyszalesz? Mordują naszych żołnierzy.

Kiedy oczy przywykły do mroku, Roland zobaczył, że znalazł się w pustej lepiance o brązowych glinianych ścianach, z brudnym klepiskiem. Król siedział pod ścianą, naprzeciw wejścia, na wiązce słomy zarzuconej jakąś derką. Wierny Isambert, kucharz i przyjaciel króla, stał u jego boku niczym filar. Jeśli baronowie i rycerze wyglądali jak chodzące szkielety, to król przypominał samą Śmierć Kostuchę, brakowało mu tylko kosy w dłoni.

- Przychodzę właśnie od rycerzy, którzy wyglądali przez palisadę - odpowiedział Roland, siadając za przyzwoleniem króla obok niego na ziemi.

- Możemy jeszcze kogoś uratować, jeśli będziemy działać szybko - Ludwikowi drżały ręce i szczękały zęby, kiedy to mówił.

Roland słyszał, że sultan przysłał do obozu swojego lekarza, by doglądał króla cierpiącego na krwawą biegunkę. Powiadano, że najgorsze minęło, ale Ludwik ciągle jeszcze był bardzo słaby.

- Co możemy uczynić, sire?

Ludwik wyciągnął dłoń w stronę Isamberta, by ten pomógł mu się dźwignąć. Stał zręśając się, ale bez oparcia. Roland także podniósł się natychmiast.

- Idę do sułtana, będę go prosił, by pozwolił mi wykupić moich ludzi. - Położył dłoń na ramieniu Rolanda i ścisnął je z niespodziewaną siłą. - De Montfort leży złożony febrą, musisz iść ze mną tłumaczyć moje słowa.

- Nie, panie! - wykrzyknął de Joinville. - Nie wolno wam narażać życia.

- Czy nie narażałem go cały czas? Czy nie prosiłem was, żebyście czynili to samo?

Straże przy ciężkich drewnianych, prowizorycznych wrotach obozu rozpoznały króla i po porozumieniu z dowódcą pozwoliły wyjść Ludwikowi i Rolandowi za ogrodzenie. Wprowadzono ich do położonego zaraz przy bramie pawilonu, gdzie na jedwabnych poduszkach siedział eunuch Sahil w asyście pomocników. Wszyscy Egipcjanie podnieśli się, pokłonili przed królem, przyciskając obydwie dłonie do piersi.

- Czego od nas pragnie po trzykroć pozdrowiony król Franków, szmaragdowy rycerzu? - zapytał ceremonialnie Sahil.

Nic dziwnego, że eunuch mnie pamięta, pomyślał Roland z rozbawieniem.

- Powiedz mu, że muszę natychmiast rozmawiać z sułtanem, jak monarcha z monarchą - przekazywał Ludwik Rolandowi.

Sahil zamrugał oczami, słysząc coś podobnego - jakby w ten sposób komentował absurdalność żądań stawianych z pozycji, w jakiej znalazł się Ludwik - ale tylko pokłonił się w odpowiedzi.

- Dam znać mojemu panu.

Roland był rad, że mogą poczekać w namiocie Sahila, gdzie powietrze było chłodne i czyste, przesiąknięte zapachem płatków różanych, myślą jednak wracał do Perrina. Może właśnie mu się pogorszyło? Jeśli umrze, kiedy mnie przy nim nie będzie? Trudno mu było podtrzymywać ponawiane przez Ludwika zaproszenia do rozmowy.

Do namiotu weszło dwóch Saracenów z obnażonymi szablami. Połączone narpierśniki i hełmy świadczyły, że należą do *halki* - przybocznej gwardii mameluków sułtana. Powiedzieli coś do Sahila i zabrali ze sobą Ludwika wraz z Rolandem.

Roland patrzył z podziwem, jak po królewsku zachowuje się Ludwik, jakby był we własnym pałacu.

Gwardziści przeprowadzili ich pośpiesznie przez egipski obóz, wojacy z otwartymi ustami patrzyli na wysoką, emanującą spokojem postać frankońskiego króla. Mijali szeregi porządnie ustawionych namiotów, inaczej niż było to zwyczajem w obozach Francuzów, gdzie namiot stawał gdzie bądź, wedle kaprysu właściciela.

Roland czuł się nieswojo, nawet zawstydzony, pośród mameluków. Ci, tak zwani niewolni wojownicy, pokonali przecież kwiat chrześcijańskiego rycerstwa.

Gwardziści wprowadzili ich do wspaniałego, wielokopułowego namiotu z żółtego jedwabiu. Podłogi pokrywały tu dywany o bogatych wzorach tkanych purpurą, złotem, zielenią i błękitem. Wokół panowała atmosfera wygody i zbytku. Z każdą chwilą czuł się coraz brudniejszy, coraz niezręczniejszy. Jesteśmy barbarzyńcami w porównaniu z tymi ludźmi.

Stracił już rachubę pawilonów namiotu, przez które przechodzili, kiedy wreszcie dotarli do największego z nich, gdzie stanęli przed półkolem wodzów w turbanach. Światło z mosiężnych lamp igrało na wysadzanych drogimi kamieniami pochwach mieczy i złożonych zbrojach. Ostry zapach trociczek zabijał odór palącego się oleju.

Roland zmusił się, by spojrzeć na tych ludzi, stał ze swoim królem przed zwycięzcami, przed władcami Egiptu.

Pośrodku spoczywał na poduszkach mocno zbudowany mężczyzna o ciemnej twarzy i grubych rysach Turka. Jego wydatne czerwone wargi pośród czarnej, błyszczącej brody ułożyły się w wyniosły uśmiech. Przypominał Rolandowi owego dobrze ubranego rycerza, który z takim lekceważeniem prawił o mordowaniu prostych żołnierzy.

Odezwał się stojący z boku oficer mameluków:

- Klękniecie przed namiestnikiem Allacha, Jego Wysokością Turan Szachem, sułtanem Kairu.

Wiedząc, że nieokazanie szacunku może się równać śmierci, Roland przyklęknął, lecz Ludwik tylko nisko się pokłonił.

- Powiedz im, Rolandzie, że król Francji może pokłonić się swemu bratu władcy, ale nie wolno mu klękać przed nikim z wyjątkiem papieża.

To nasz koniec, pomyślał Roland, ale przetłumaczył bez namysłu słowa Ludwika. Umrzeć u boku króla to nie najgorszy rodzaj śmierci. Kiedy mówił, dojrzał obok sułtana Bajbarsa. Lekki uśmiech błąkał się na twarzy mameluckiego emira.

Turan Szach wzruszył ramionami na odpowiedź Ludwika.

- Mój ojciec mówił mi, że cesarz Fryderyk też przed nim nie ukląkł, ale oni spotkali się jak równi, nie jak zwycięzca i więzień. - Rozejrzał się wokół, szukając aprobaty u swoich doradców.

Kilku pokiwało głowami chichocząc, tylko twarz Bajbarsa pozostała bez wyrazu.

Nie umizga się do sułtana jak reszta.

Turan Szach wziął ze złotej patery winogrono, włożył je do ust. Na każdym palcu miał dwa albo trzy pierścienie, jeden nawet na prawym kciuku. Gestem nakazał, by Ludwik i Roland usiedli przed nim na dywanie.

Audycja przebiegała tak wolno, że momentami jej tempo doprowadzało Rolanda do szaleństwa. Czym prędzej chciał się znaleźć z powrotem przy Perrinie, Ludwik nie okazywał jednak oznak zniecierpliwienia, chociaż Roland wiedział, że i on musi cierpieć męki, myśląc, że kiedy tu siedzi, pod ciosami miecza giną jego ludzie. Sułtan kazał przynieść jedzenie i wino. Ludwik, ledwo wyszedłszy z biegunki, odmówił owoców, ale wziął płaski okrągły chleb, który jadł z przyjemnością, rwąc na kawałki i popijając białym winem. Turan Szach, jak większość jego oficerów, także pił wino, tylko Bajbars nie sięgnął po kielich. Roland przypomniał sobie, że ortodoksyjny muzułmanin nie pije wina i że przy ich pierwszym spotkaniu emir także poprzestał na wodzie.

Uzmysłowił sobie, że jednooki mameluk coraz bardziej mu się podoba. Miej się na baczności, przestrzegał sam siebie, Bajbars może z nich wszystkich jest najwięcej wart, ale przez to też najbardziej niebezpieczny.

- A więc - zagadnął Turan Szach, kiedy skończyli się posilać - czemu to król Franków zaszczyca nas swoją wizytą?

Ludwik podniósł się, Roland za nim.

- Twoi wojownicy, panie, ścinają moich biednych żołnierzy. Setki już oddało życie. To bezbronni ludzie, którzy złożyli broń i poddali się w dobrej wierze. Gdyby tego nie uczynili, wielu wojów Waszej Wysokości musiałyby zginąć dla ich pokonania.

Nie zasłużyli, by iść na rzeź jak zwierzęta. Dopraszam się u Waszej Wysokości, byś położył kres mordom.

- Jakim mordom? - zwrócił się do Bajbarsa z udanym gniewem.

Oburzenie sułtana było tak wyraźnie fałszywe, że Rolanda skreśliło z obrzydzenia.

- Czemu - odezwał się Bajbars bez śladu zaambarasowania - mój pan nie każe ich zaprzestać? Wedle waszego rozkazu, panie, chrześcijanie, którzy nie mogą się wykupić, idą na śmierć. Najpierw dajemy im jednak sposobność nawrócenia się na islam. Wasza Wysokość powiedział, że nie zdołamy wykarmić tylu jeńców. - Głos Bajbarsa był chłodny i rzeczowy.

Turan Szach posłał mu mordercze spojrzenie.

- Ten, który mówił, to sławny Bajbars Pantera - powiedział Roland Ludwikowi, gdy przetłumaczył już słowa emira.

Ludwik skłonił się Bajbarsowi.

- Właśnie się dowiedziałem, że to wy, panie, jesteście emir Bajbars, który poprowadził wojska sułtana do zwycięstwa. Sprawiliście mi ból, który zostanie ze mną do końca moich dni, ale potężny z was przeciwnik i mistrz sztuki wojennej. Bądźcie pozdrowieni.

Bajbars wstał i pokłonił się, kiedy Roland przetłumaczył słowa Ludwika.

- Przyjmuję waszą pochwałę w imieniu sułtana, o królu - odpowiedział gładko.

- Jego jest zwycięstwo, on przewodził naszym zastępom tu pod Mansurą. W jego żyłach płynie czysta krew jego przodka, wielkiego zwycięskiego Saladyna, niech spoczywa w pokoju. Jam tylko jego niewolnikiem.

- Rzeczywiście, jesteś moim niewolnikiem Bajbarsie - odezwał się Turan Szach wyniośle. - Jak wszyscy mamelucy.

Wyraz twarzy Bajbarsa się nie zmienił, ale nastąpiła ledwie widoczna zmiana w postawie. Roland wyczuł wściekłość opanowaną wielką siłą wewnętrznej dyscypliny. Przypomniawszy sobie słowa modlitwy powtarzanej przez ostatnie lata we wszystkich kościołach chrześcijańskiego świata: „I od furii tatarskiej wybaw nas, Panie”.

Bajbars skłonił się przed sułtanem i usiadł. Oczy wszystkich mameluków zwróciły się teraz na Turan Szacha. Oczy, które zdawały się niczego nie wyrażać, ale Roland czuł fizyczną niemal, namacalną nienawiść tych ludzi do sułtana, równie dobrze

widoczną jak ich złote napiersniki. Turan Szach zdawał się nie zwracać na to uwagi, może był jej nawet nieświadom.

Pochylił się z uśmiechem do przodu w stronę Ludwika. Miał brązowe zęby, kilku brakowało.

- Musisz zrozumieć, o królu, że mój lud wiele ucierpiał z powodu tej wojny. Walczyliśmy z tobą prawie rok. Nie zasiano i nie zebrano plonów. Brak nam jedzenia dla wszystkich pojmanyh. Czy nie jest bardziej litościwie, kiedy twoi ludzie szybko umierają od miecza, niż gdyby skazać ich na powolną, okrutną śmierć z głodu? Cóż z nich zresztą teraz za pożytek?

- Ręczę honorem króla Francji, że zapłacę wykup za każdego żywego chrześcijanina w waszej niewoli - odpowiedział Ludwik, odrzucając w tył głowę. Jego jasne włosy zaśnieżyły w świetle lamp.

Kiedy tłumaczył słowa króla, dojrzał na twarzach mameluków wyraz zdecydowanej aprobaty.

Ale Turan Szach uśmiechał się pogardliwie.

- Czy tak wielka jest twoja troska o wojów, wieśniaków i giermków, że dasz nam za nich swoje zamki i miasta w Palestynie i Syrii?

- Czy myślisz o miejscach, których ani twój potężny przodek, ani jego godni potomkowie nie byli w stanie zdobyć? - zapytał Ludwik spokojnie.

Twarz Turana Szacha pociemniała na tę obelgę, Roland dojrzał leciutki uśmiech Bajbarsa.

- Nie moje są one, żebym je oddawał - ciągnął Ludwik - należą do templariuszy, szpitalników i wielkich baronów.

- Wygląda na to, że niezbyt chcesz wolności dla siebie i swojej armii - mówił Turan - może chętniej przystałbyś na naszą cenę pod torturami.

Roland nie wierzył własnym uszom. Rzeczą niesłychaną było, żeby jeden monarcha groził drugiemu torturami, nawet w muzułmańskim świecie. Rozejrzał się wokół i zobaczył, że wszystkie oczy utkwione były w sułtanie.

Kiedy przetłumaczył słowa Turana, król wydał się nimi nieporuszony.

- Jestem twoim więźniem i możesz ze mną uczynić, co zechcesz - odpowiedział Ludwik cicho, bez cienia lęku.

Z nic niemówiącym wyrazem twarzy sułtan oparł się o poduszki. Wziął do ręki kielich i pomału sączył wino.

Odstawił wreszcie złoty kielich i uniósł dłonie.

- Dobrze więc. Co dasz za życie swoje i swoich ludzi? Święty Michale! Czyżby mój król wygrał?

- Wszystko, czego żądasz w granicach rozsądku.

- Naprawdę chcecie wykupić wszystkich, których pojaliśmy, prostych żołnierzy, szlachtę i rycerzy? - szybko zapytał Bajbars.

- Wszystkich - odpowiedział Ludwik zdecydowanie. - Nie powinni płacić okupu za siebie. Poszli na wyprawę, bo ja ich do niej wezwałem, i wykup będzie zapłacony ze skarbcza Francji.

Turan Szach nachylił się do przodu, celując grubym paluchem w Ludwika.

- Pięćset tysięcy liwrow za wszystkich twoich ludzi, prostego i szlachetnego stanu.

- Zgoda - odrzekł Ludwik natychmiast.

Sułtan klasnął w dłonie i potoczył zachwyconym wzrokiem po swoich mamelukach.

- Na Allacha, nie targuje się ten Frank!

Targi? Jeśli sułtan oczekiwał targów, to nie zna tego władcy.

- Szczodra masz rękę, jak przystoi monarsze - powiedział Turan Szach. - Czyż sułtan Kairu miałby się okazać mniej szczodrośliwy? Upuszczam ci część wykupu, zapłacisz tylko trzysta pięćdziesiąt tysięcy liwrow. - Znowu rozejrzał się wokół, mamelucy poważnie kiwali głowami na znak aprobaty.

- Wielka jest moja wdzięczność - odparł Ludwik.

Turan Szach podniósł palec.

- Ale tobie jako królowi nie przystoi płacić za wolność złotem. Suweren musi wykupić się ziemią.

- Zgadza się - odpowiedział Ludwik i tym razem bez wahania. - Za moją wolność dostaniecie Damietę.

Turan poczerwieniał.

- Byłbyś tak bezwstydnym, żeby dawać nam to, co do nas należy?

- Drogo was będzie kosztowało odzyskanie tego - odparł Ludwik ze spokojem. - Królowa trzyma dla nas miasto, ma ze sobą wielu rycerzy, a nasza flota liczy około tysiąca okrętów z żeglarzami i łucznikami. Zanim ich pokonasz, nadejdą posiłki z

Francji i Ziemi Zamorskiej. Otwarcie bram Damiety więcej będzie dla ciebie warte niż nędzna osoba Ludwika Kapeta.

Powtarzając te słowa sułtanowi, Roland czuł jeszcze dreszcz podziwu i uwielbienia. Pomyśleć, że Almaryk próbował pozabawić Francję tego króla!

- Dobrze wiem, że Damieta jest niczym bezzębny wielbłąd - odpowiedział sułtan - ale chcę oszczędzić moim ludziom i mojej szkatule dalszych ciężarów wojny. Trzeba to jeszcze omówić, ale zgadzamy się co do zasad.

- Co z mordowaniem moich ludzi? - zapytał Ludwik niespokojnie.

Bajbars podniósł uspokajająco rękę.

- Nakazałem moim wojownikom odłożyć miecze, o królu, kiedy sułtan zgodził się udzielić ci audiencji.

Turan Szach podniósł brwi zdziwiony, ale nie powiedział ani słowa.

- Nie będzie egzekucji, póki trwają układy - kończył Bajbars.

Rolandowi zapało dech z radości. Setki ocalonych i my będziemy wolni. Będę mógł jeszcze zobaczyć Nicolette.

Znowu napadła go rozpacz niczym wróg atakujący podstępnie, znienacka. Per-rin, co z nim?

- Zanim odejdę - mówił jeszcze Ludwik - mam ostatnią prośbę, by Wasza Wysokość wyświadczył nam jedną, małą przysługę.

- Niech się tak stanie.

- Bardzoś łaskaw, panie. Ten rycerz, który tłumaczy moje słowa, jest tym, kogo u nas zwą trubadurem - pieśniarzem pieśni. Gdybyście w waszej szczodrobliwości obdarowali go instrumentem - lutnią lubo harfą - żeby mógł nam przygrywać i śpiewać, byłoby to dla nas wielką pociechą w naszym nieszczęściu.

Roland poczuł, że coś go z całych sił ścisną za gardło. Święty Michale, nie dopuść, bym się rozpląkał przed tymi Sar acenami.

- Niech się tak stanie - odpowiedział Turan Szach, dając im gestem dłoni znak do odejścia.

W drodze powrotnej do obozu Ludwik odezwał się niespodziewanie:

- Niech Bóg da, żebyśmy się nie mylili co do Damiety.

- Jak moglibyście się mylić, sire?
- Nie wiem, co tam się dzieje. Moja królowa lada godzina spodziewa się dziecka. Jakże kobieta w jej stanie, kiedy jej życie jest w niebezpieczeństwie a mąż w więzieniu, miałaby nie ulec panice?
- Będzie mogła polegać na dobrej radzie, sire.
- Będzie? Któż tam z nią jest? Genuieńczycy na pewno ciągną do domu. Starzy rycerze będą radzili uciekać i może będą mieli słuszność. Może byłoby lepiej dla niej i dla królestwa, gdyby już opuściła miasto.

Roland uświadomił sobie nagle z przerażeniem, że Almaryk może być przecież w Damiecie. Rycerze, którzy zostali pojmani razem z królem, mówili, że widziano go, jak umykał drogą ku Damiecie, nawołując do składania broni. Gdy to usłyszał, Roland zrozumiał, że Almaryk zdradził całą armię. W Damiecie będzie miał okazję zdradzić ich znowu i tym razem będzie to już oznaczało pewną śmierć.

- Ten Turan Szach - mówił Ludwik dalej - nakazał mordować naszych żołnierzy tylko po to, żeby przetarż był wyższy. Jeśli znajdzie sposób, by wziąć wszystko, com ofiarował, nie dając nic w zamian, z pewnością to uczyni. Weźmie Damiętę i pięćset tysięcy czy trzysta - i wymorduje nas, jeśli tylko będzie mógł.

Także Almaryk zrobi wszystko, co w jego mocy, dopowiedział w myśli Roland.

Gwardziści sułtana doprowadzili ich do namiotu Sahila. Eunuch wyszedł im na spotkanie w towarzystwie dwóch służących. Jeden przyklęknął przed królem i podał mu czarny satynowy płaszcz, drugi wręczył Rolandowi długi, wąski przedmiot owinięty w ciemnoczerwony jedwab. Roland rozwinął zawiniątko. W rękę trzymał cytrę ze złotego drewna, inkrustowaną kością słoniową.

- Prezenty od sułtana - oznajmił Sahil z uśmiechem.

Roland uderzył w struny. Może będę mógł choć odrobinę ulżyć naszej niedoli.

Ludwik owinał się płaszczem.

- Może dzięki niemu przestanę szczękać zębami. Wszystko zależy teraz od Damiety, de Vency. Małgorzata musi utrzymać miasto, albo wszyscy będziemy zgubieni.

Jeden z rycerzy, który dzielił z Rolandem lepiankę, wyszedł właśnie na zewnątrz, składając pokłon królowi.

- Szukaliśmy cię, de Vency. Źle z twoim muzykaniem, chodź prędko, jeśli łaska.

- Twój giermek chory? - zaniepokoił się Ludwik. - Wybacz, że cię od niego odebrałem. Idź do niego natychmiast.

Roland miał ochotę krzyczeć z bólu. Pośpiesznie pokłoniwszy się królowi, pobiegł do lepianki.

Rzucił się na kolana koło legowiska Perrina. Z wdzięcznością zobaczył, że tamten zwrócił ku niemu oczy i słabo się uśmiechnął.

Perrin próbował unieść rękę, ale opadła bezwładnie na posłanie.

Roland lustrował gorączkowo jego twarz i ciało w poszukiwaniu jakichś oznak poprawy. Odłożył na bok cytrę i ujął dłoń Perrina. Była gorąca i sucha.

- Rad jestem, że wróciłeś, panie - wyszeptał Perrin. - Tylko patrzeć, jak znowu stracę przytomność, gorączka wraca, zabierze mnie tym razem, bom już tak osłabł, że nie dam jej rady.

Roland ścisnął z całej mocy jego dłoń, jakby chciał wszystkie swoje siły przelać w chore ciało muzykanta.

- Musisz podolać, Perrinie. Król dobił targu z Saracenami. Wykupi nas wszystkich. Wypuszczą nas. Wytrzymaj jeszcze tylko trochę, a będziemy wolni.

Jakby na potwierdzenie słów Rolanda u wejścia do chaty pokazał się jakiś cień. Roland spojrział w górę i zobaczył króla. Ludzie w lepiance zaczęli wstawać, ale Ludwik nakazał dłonią, by pozostali na swoich miejscach.

- To prawda z wykupem, sire? - zapytał któryś z rycerzy.

- Tak przyjaciele, prawda.

Zaczęli poszeptywać, podnieceni, między sobą.

Roland tymczasem trząśniętym się z wściekłości nad własną bezradnością. Czemu nikt mi nie pomoże? Król albo Bóg, albo Diana. Czy czeka na Perrina po tamtej stronie? Nie zabieraj go, Dianie, jest mi potrzebny.

- Żyj, Perrinie - szeptał - żyj przyjacielu, proszę żyj.

- Panie - dyszał Perrin - jest coś, co ci muszę powiedzieć.

- Co takiego?

- Kiedy wrócisz do Damiety, a potem do Francji, pamiętaj o jednym. - Jego wychudła dłoń zacisnęła się mocniej na dłoni Rolanda. - Nie szukaj zemsty. Ani za

Dianę, ani za mnie, ani nawet za króla i armię. Wielki Adwersarz dostanie w końcu swoje.

Czy myśli także o Almaryku? Bym nie mścił się na nim?

Na myśl o Almaryku ogarnęła go gorączka równa niemal Perrinowej. Zabiłbym go i sto razy, za nas wszystkich.

Zemsta? Tak, za ciebie przede wszystkim, Perrinie. Nigdy mu nie odplaciłem za to, co ci uczynił, a teraz umierasz, bo on zdradził armię.

- Nie trzeba teraz o tym mówić, Perrinie.

Perrin wykrzywił się w szczerbatym uśmiechu. Jak wielu krzyżowców stracił przez ostatni rok wiele zębów.

- Nigdy już nie będzie innej sposobności, żeby o tym mówić, panie. To ważne. Pozwól mi, niech powiem swoje.

- Tak, Perrinie - Roland otarł łzy z twarzy. Poczul na ramieniu czyjąś mocną dłoń, to król próbował go pocieszyć.

- Panie, jeśli odpowiesz zemstą swojemu wrogowi, staniesz się tak samo zły jak on, wydasz się na potępienie.

- Nie wiem, kim jest ten wróg - odezwał się Ludwik - ale dobrze i mądrze powiedziane.

Perrin jęczał, rzucając głową w prawo i w lewo, czoło błyszczało mu od potu.

Roland skulił ramiona w rozpacz. Odchodzi. Boże, wymyka mi się, a ja nie mogę go zatrzymać.

Ludwik usiadł na ziemi koło posłania Perrina. Położył sobie jego głowę na kolanach i ocierał mu czoło kawałkiem jedwabnego gałgana.

- Czas pomyśleć o własnej duszy, Perrinie - powiedział, spoglądając poważnie w rozgorączkowane oczy. - Wszyscy nasi kapłani zginęli jak męczennicy i nie ma nawet komu wysłuchać twojej spowiedzi, ale jeśli będziesz żałował za grzechy i okażesz skruchę, Bóg cię wysłucha.

- Nie trzeba mi księdza - odpowiedział Perrin. Roland zebrał siły, wiedząc, co nastąpi. - Gdyby tylko był tu ktoś, kto mógłby mi udzielić *consolamentum*.

Zapadła cisza, ten rodzaj ciszy, która następuje, kiedy ktoś rozbije drogocenną wazę. Roland spojrział przez ramię, czy rycerze w ciemnej, gorącej lepiance usłyszeli słowa Perrina. Wszyscy jednak zbili się w najdalszym kącie izby, nie chcąc zakłócać

Perrinowi spokoju w godzinie śmierci, pozwolić mu może na swobodną spowiedź. Tylko Ludwik i on słyszeli wyklęte imię ostatniego sakramentu katarów.

Zaskoczenie ustąpiło z twarzy Ludwika.

- Mówi w malignie.

Zanim Roland zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Perrin znowu przemówił drżącymi wargami.

- Nie mówię w malignie, sire. Chcę dać świadectwo prawdzie, jeszcze raz, nim umrę. Jestem synem Kościoła Chrystusowego, który zwą katarskim. Sire, heretyk kona w twoich ramionach.

Roland spodziewał się, że Ludwik skoczy na równe nogi z przekleństwem na ustach, ale król trzymał nadal głowę Perrina i ocierał mu czoło.

- Nie wińcie, sire, za to, że jestem katarzem, mojego pana, który jest dobrym katolikiem i któremu nigdy o tym nie śmiałem rzec.

- Katar, który nosi krzyż - Ludwik pokręcił głową - to nie do uwierzenia.

- Nie trzeba mnie wysłać na stos, sire - mówił Perrin, wykrzywiając się w bolesnym uśmiechu - ja już płonę.

Ten rozpaczliwy żart był już ponad siły Rolanda. Ukrył twarz w dłoniach, nie mogąc dłużej powstrzymać łez.

- Przestań, panie, przestań - doszedł go ledwie słyszalny szept.

Roland odjął dłonie od twarzy i zobaczył wpatrujące się w niego błękitne, rozgorączkowane oczy Perrina.

- Nie żałuj mnie tak, panie. - Ledwie słyszalny słaby głos dobywał się przez spękane, zgorączkowane wargi. - Wiesz, że wyglądamy śmierci. Spotkam teraz panią Dianę w Światłości.

Ludwik zamknął oczy, jakby te heretyckie słowa sprawiły mu ból, ale nie przestał ocierać czoła konającego.

- Obyś znalazł szczęśliwość, którą obiecuje ci twoja wiara - powiedział Roland miękko.

- Zaśpiewaj mi, panie, ostatnią pieśń.

Oddech spowolniał, stał się ciężki i rytmiczny. Jak toczące się przy brzegu fale, pomyślał Roland i pojawiła się pieśń. Uniósł cytrę.

*Ponad skalami na skrzydłach wiatru
Samotna krzyczy mewa. Kotwica w górę, krucha lupino
Pomykaj wraz z przyływem.
Na niewesołym ja pokładzie,
Oczy utkwilem w morzu.*

*Przemknął się drzewach żalobny ptak,
Ucichł już jego lament.
Brzeg szybko niknie wśród bezmiarów,
Fale mi będą śpiewać.
Na niewesołym ja pokładzie,
Oczy utkwilem w morzu.*

Roland śpiewał, przyszła mu bowiem do głowy dziwna myśl, że jeśli przestanie, Perrin umrze. Patrzył na swoje palce poruszające się po strunach. Kiedy zbliżał się do ostatnich akordów, spojrzął znowu na Perrina. Jego głowa spoczywała na kolanach króla, powieki miał na wpół przymknięte, szeptał coś bez związku.

- Zdjęła go znowu gorączka - powiedział Ludwik, kiedy Roland skończył. - Nic nie możemy uczynić, tylko czekać.

- Sire, nikt nie może żądać, żebyście tu siedzieli. To, co uczyniliście dla mnie i dla niego, to dużo więcej niż łaskawość.

- Będę z tobą czuwał. Nigdzie nie jestem potrzebny. Nikt nie dopomina się audiencji u pokonanego króla - odpowiedział ze smutkiem.

Rycerze przysunęli się teraz trochę bliżej, otoczyli Perrina, Ludwika i Rolanda kołem. Jakby Perrin umierał tu za nas wszystkich, pomyślał Roland.

- Sire, może poprowadzicie modlitwę - ktoś poprosił.

- „Ojcze Nasz, któryś jest w Niebie...” - zaczął Ludwik mocnym głosem.

Kilka minut później, kiedy z minaretów Mansury rozległy się nawoływania do modlitwy, Perrin przestał oddychać.

Rozsadzający ból w piersi domagał się łez, ale Roland nie miał już łez. Mógł tylko siedzieć i wpatrywać się w ciało przyjaciela.

Mój biedny, biedny Perrinie. Złego sobie wybrałeś pana. Przysporzyłem ci samych cierpień. Powinieneś pójść za jakimś bogatym trubadurem albo zostać jednym z nas. Mogłeś mieć zamożnych opiekunów, chodzić w jedwabiach i atlasach, spać w adamaszkach i mieć piękne kobiety. Dość miałaś rozumu na to. Czemuś zmarnował dla mnie życie? Nie zasłużyłem na taką ufność, na taką miłość.

Perrinie, czemu Bóg jest taki okrutny?

Ludwik wstał, prostując się powoli, z trudem.

Musiał zdrętwieć, siedząc tak długo z głową Perrina na kolanach, a sam jest przecież ciągle chory.

- Chodźmy, pomogę ci go pochować.

- Nie możecie, panie - Roland próbował protestować.

- Mogę i muszę - powiedział Ludwik i nachylił się, by ująć Perrina pod ramiona.

Na miejsce pochówku towarzyszyli im rycerze z lepianki. Kiedy szli przez obozowisko, do ich orszaku przyłączali się następni.

Widzisz, Perrinie, król niesie cię do grobu i setki idą w żałobnym kondukcje. Ty-łeś sobie zaskarbił służbą u mnie.

Pod okiem egipskich łuczników rycerze z drewnianymi łopatami zasypywali kawałek długiego, głębokiego rowu. Pierwszego dnia, gdy ich tu uwięziono, Ludwik poprosił o pozwolenie grzebania zmarłych, zamiast wrzucania ofiar ran, głodu, chorób do Nilu. Od tego dnia tutaj przynoszono zwłoki i składano z namaszczeniem w rowie, zasypując urodzajną ziemią delty Nilu, nim upał zaczął je rozkładać. Rycerze wybrani przez samego króla, zaopatrzeni w łopaty dostarczone przez Saracenów, przedłużali ciągle zbiorową mogiłę.

Kiedy Ludwik i Roland złożyli ciało Perrina w grobie obok innych, świeżo zakopanych zwłok, Roland cofnął się, by po raz ostatni spojrzeć na przyjaciela.

Patrzył w nieruchomą bladą twarz, dopóki przed oczami nie pojawiła się mgła.

Odwrócił się od stężałego kształtu i począł za królem wychodzić z rowu. Ludwik wziął łopatę od jednego z rycerzy i podał ją Rolandowi.

- Chcesz go sam przysypać ziemią?

- Dzięki wam, sire. - Wziął łopatę, ale nie mógł się przemóc, by sypnąć z góry mułem na ciało przyjaciela. Zszedł na dół i zanurzając palce w wilgotnej, miękkiej ziemi, pozwalała jej przesypywać się przez dłonie na twarz Perrina.

* * *

Rycerze, którzy towarzyszyli im na miejsce pochówku, rozeszli się. Słońce, niczym wielka czerwona kula, wisiało nisko, dogorywając nad horyzontem.

- Sire, jak mam dziękować?

Ludwik zatrzymał się, odwrócił i położył dłoń na ramieniu Rolanda. Stali na krętej, zakurzonej ścieżce, która wiła się pośród szarych chat o płaskich dachach. Wszędzie wokół pełno było wynędzniałych, obszarpanych ludzi o twarzach spalonych na ciemny brąz, wędrujących bez celu.

- Twój Perrin był towarzyszem broni, nigdy nie odwrócę się plecami do kogoś, kto stawał ze mną w polu na tej wyprawie.

- Niewielu katolików okazałoby podobną łaskę heretykowi, sire.

Wyraz bólu przyćmił wielkie, błękitne oczy króla.

- Może postępuję wbrew nakazom Kościoła, ale ufam, że dochowuję wiary duchowi chrześcijaństwa.

Rolanda ogarnęła przewrotna chęć wypróbowania Ludwika.

- Kłamał ci, panie, w jednym, wiedziałem, że został katarem, powiedział mi o tym na długo przedtem, nim ruszyliśmy na wyprawę.

Ból w oczach Ludwika się pogłębił.

- Czemu tak na mnie nastajesz?

- Wiecie, sire, że jestem synem Langwedocji. Twój lud stanął przeciwko memu.

- A przecież poszedłeś ze mną

- A przecież poszedłem - przytaknął - i pociągnąłem za sobą innych, takich jak Perrin, żeby szli za tobą aż do śmierci. Wszyscy, których przyprowadziłem, już nie żyją, dlatego sprawdzałem cię, panie.

Stali w sercu obozu, spoglądając na siebie. Zachodzące słońce barwiło czerwienią pył pod ich stopami, obok przesuwwały się widma, które niegdyś były krzyżowcami.

Przepętniony żalostí i lękiem Roland czekał, co Ludwik odpowie. Od jego odpowiedzi będzie zależało, czy na marne rzuciłem życie Perrina, Marcina i innych, czy też oddali je ku jakiemuś pożytkowi.

- Chodź ze mną, nie chcę mówić o tych sprawach tutaj.

Kiedy szli do chaty Ludwika, zastąpiła im drogę grupka rycerzy.

- Prawda to, panie, że będziemy wykupieni?

Ludwik podniósł ostrzegawczo dłoń.

- Módlcie się, by taka była wola pana. Wszystko się jeszcze może obrócić przeciw nam, ale mówiłem z sułtanem i ułożyliśmy się.

Podniosły się okrzyki radości.

- To czas na modlitwy, a nie na radowanie - napominał Ludwik łagodnie. - Módlcie się za mnie, by spłynęła na mnie łaska, która otworzy nam drogę do wolności.

- Bóg prędzej wysłucha waszych modłów, panie, niż naszych - powiedział z przekonaniem jakiś rycerz. - Wstaw się za nami u Wszechmocnego.

- Jakie są warunki, sire? - dopytywał inny. - Wielu z nas wydało cały majątek, żeby się wyekwipować na tę wyprawę. Niewiele nam pozostało na wykup.

- Nikt nie będzie płacił wykupu za siebie. Całe złoto pójdzie z królewskiej skarbni.

Patrzyli zdumieni.

- Nigdy nie było równego władcy! - powiedział któryś, a inni przyświadczyli zgodnym chórem. Ci najbliżej Ludwika poczęli klękać, wyciągając ku niemu dłonie, jakby był świętym.

Ludwik poczerwieniał i cofnął się.

- Powstańcie, jeśli wola. To się nie godzi. Módlcie się, by wszystko poszło wedle naszych pragnień.

- Wszystko w waszych rękach, sire - wykrzyknął ktoś.

Ile pokładają w nim wiary, mimo że poprowadził ich do kłęski, w niewolę, pomyślał Roland.

- Uczynię wszystko, co Bóg dozwoli - powiedział Ludwik, opuszczając głowę. Ruszył w stronę swojej lepianki pośród klęczących rycerzy, którzy zdawali się nie zauważać, że przyprowadzają go o zaambarasowanie. Pogłoska o wykupie już się rozeszła i

zawsządnadbiegali rycerze. Jeszcze bardziej zażenowany od króla Roland postępował za nim na tyle daleko, żeby nie przechodzić koło jeszcze klęczących rycerzy.

Zrównał się z królem dopiero u wejścia do chaty. Ludwik zeszywniał w drzwiach. Roland dostrzegł zza jego pleców Karola grającego w kości z Isambertem jakimis̄ naprędcę wynalezionymi kawałkami drewna. Trzema szybkimi ruchami Ludwik rozmiótl na wszystkie strony niewielkie kupki leżących przed nimi srebrnych monet, które odbite od ścian potoczyły się po brudnym klepisku. Sięgnął po zaimprovizowane kości i wyrzucił je przez drzwi.

- Bracie - Karol skoczył na równe nogi - godzinami je strugałem.

- Przepędzaj swoje godziny na czymś użyteczniejszym. Pomóż przy chowaniu zmarłych. Nasi ludzie umierają, kiedy ty się hazardujesz.

- Nic nie mogę dla nich uczynić - warknął Karol.

- Idź między nich, pokaż, że o nich dbasz. Precz mi stąd.

Mrucząc coś, Karol ruszył do wyjścia, odpychając po drodze Rolanda.

Isambert czołgał się po izbie i zbierał monety.

- Czyje to pieniądze? - zapytał rozzłoszczony Ludwik, siadając na stercie derek i poduszek, które były mu tronem i łóżem w tym pałacu z gliny.

- Moje, sire - odpowiedział Isambert - hrabia d'Anjou pożyczył trochę ode mnie, ale wygrał je z powrotem.

- Niech Panna Przenajświętsza da cierpliwość - westchnął Ludwik. - Nie ucz mojego brata niecnoty, niewiele mu trzeba do tego zachęty.

- Kiedy zaczynacie prawić nauki, sire, to znak, że wam lepiej - powiedział Isambert z uśmiechem.

Ludwik uśmiechnął się również.

Gdy zostali sami, Ludwik wskazał Rolandowi miejsce koło siebie na klepisku i powiedział:

- Wiem tylko jedno, twój Perrin był dzielny i szczery jak i ty. Jeśli idzie o jego duszę i o to, coś o nim wiedział, to Bogu się z tego spowiadaj.

Cóż to za człowiek, który własnymi rękoma chowa zaprzysięgłego heretyka, po czym wybucha wściekłością na swojego brata, że gra w kości? Tysiące rycerzy, którzy

za nim poszli, oddało życie. Jak człowiek, który rozróżnia co jest złem, a co prawością, może z tym żyć?

Wszyscy mamy się z czego spowiadać przed Bogiem, sire - odpowiedział Roland znękanym głosem.

Ludwik uśmiechnął się smutno.

- Ciągłe mnie próbujesz, Rolandzie de Vency? - Jego trupia twarz spoważniała. - Naprawdę myślisz, że Bóg jest na mnie zagniewany? Kiedy zdawało się, że umieram, sześć lat temu, miałem wizję Jeruzalem. Gdyby Bóg nie chciał, bym szedł na wyprawę, pozwoliłby mi wtedy umrzeć. Nie wierzę, że przywrócił mnie do zdrowia tylko po to, żebym poprowadził całą armię na śmierć i zatracenie. Bóg nie może być tak okrutny.

- Wiecie, sire, katarzy powiadają, że Bóg ma dwa oblicza.

Ludwik uniósł dłonie w przerażeniu.

- Nie powtarzaj tego. To bluźnierstwo. Jeden jest Bóg, pełen dobroci. Wiem o tym, wierzę w to. Cierpienie jest częścią Jego planu, a Jego plan jest dobry.

Roland wzdrygnął się.

- Wielu tych ludzi, którzy teraz cierpią tu z wami, albo ich ojcowie, poszło na wyprawę do Langwedocji, siejąc zniszczenie. Może Bóg w ten sposób doświadcza Franków za to, co tam uczynili.

- To być nie może.

- Sire, słyszeliście, że Perrin wypowiedział imię Diana? To była kobieta, którą kochałem, katarka. Najlepsza, najłagodniejsza kobieta, jaką spotkałem. Czy wolno mi powiedzieć, co się z nią stało? Brat Almaryka de Gobignon, Hugon, torturował ją tygodniami, a potem chciał spalić na stosie. Strzała wypuszczona z miłosiernej ręki położyła kres jej życiu. Sire, w Langwedocji tysiące podobnych Dianie cierpiały tak jak ona. To wasi baronowie, rycerze i kapłani tego dokonali.

- Wiem - odpowiedział Ludwik z bólem. - Wiem i nie mogę zrozumieć, jak chrześcijanie mogli odejść tak daleko od nauki Jezusa. Nie mogłem powstrzymać ich uczynków, ale miałem nadzieję, że ta wyprawa uleczy rany. Wiesz o tym, bo inaczej by cię tu nie było, ale muszę przyjąć winę.

Pochylił głowę. Słońce zaszło, w izbie zaległ mrok. Saraceni nie dali im lamp ani kaganków. Roland nie mógł dojrzeć rysów Ludwika przysłoniętych blado połyskującymi włosami.

Opowiedział mu o wszystkich wątpliwościach, jakie w sobie nosił, odkąd zaczął mu służyć. Ludwik wysłuchał i odpowiedział.

- Niech wam będą dzięki, sire, że mi pozwoliliście mówić tak otwarcie.
- Dzięki ci za twoją dobrą służbę, Rolandzie, w przeszłości i w dniach które przyjdą. - Roland uczuł na swojej dłoni uścisk chudej i zimnej, ale silnej ręki.

Noc zapadająca nad obozem jeńców zastała dwóch mężczyzn siedzących w milczeniu, jakie łączy przyjaciół.

* * *

XXXI

Przez okno królewskiej alkowy Nicoletta usłyszała dochodzące z dziedzińca głośy. Wyprostowała się w wielkim krześle, zaciskając dłonie na poręczach, sztywna ze strachu.

Zaledwie dwa tygodnie wcześniej, w takie samo spokojne niedzielne popołudnie usłyszała na ulicy krzyki towarzyszące powrotowi Almaryka. Przypomniała sobie, jak wpadł do komnaty z oczami rozjaśnionymi tajonym triumfem. Przypomniała sobie okropne wieści. Co z Rolandem, żyje czy zginął?

Minęły dwa tygodnie, a ona ciągle nie wiedziała.

Usłyszała tupot butów w sieni na parterze, a potem ciężkie kroki na schodach.

Ktokolwiek przychodzi, dlaczego właśnie teraz? Obudzi przecież dziecko.

Wyczerpana po całych godzinach porodu Małgorzaty, który zaczął się przed świętem, z trudem dźwignęła się z krzesła. Musi uciszyć tych ludzi.

Podeszła do niemowlęcia leżącego w kołysce, zbitej przez de Burgha z jakichś przypadkowych kawałków drewna, ustawionej obok łóża Małgorzaty. Spojrzała na różową twarzączkę, maleńki Tristan nie poruszył się.

Ostre głośy i stąpania się przybliżyły. Królowa też spała, prawie równie maleńka w ogromnym królewskim łóżu.

Biedna Małgorzata! Przez ostatnie dwa tygodnie budziła się z krzykiem ze snów, w których Saraceni wdzierali się do jej komnaty, gwałcili ją i zadawali śmierć jej i nienarodzonemu dziecku. Po jednym z takich koszmarów poprosiła, by Nicoletta przeniosła się do pałacu i spała z nią w jednym łóżu.

Gdyby słyszała to zamieszanie, na pewno znowu pomyślałaby o Saracenach. Nie wolno jej niepokoić, nie po tym, co przeszła w ostatnich godzinach.

Nicoletta pobiegła do drzwi i otworzyła je. Tyłem do niej stał de Burgh oganiający się od grupy mężczyzn. Rozpoznała ich po jaskrawych strojach i czapkach - to genueńscy kapitanowie. Na ich czele stał Lercari, który kazał nazywać się admirałem, tytułem zapożyczonym od Arabów. Ze swoimi wąskimi oczkami i krótką gęstą brodą bardziej przypominał zbója niż szlachcica.

- Ci ludzie domagają się widzenia z królową - wyjaśniał rozzłoszczony de Burgh. - Chciałem ich odprawić, ale pomyślałem, że to zbyt ważne, bym miał sam decydować.

Nicolettę zdjął lęk, kiedy zrozumiała, po co mogli przyjść genueńczycy. Wczoraj chodziła z Almarykiem po murach miejskich. Nalegał, żeby przekonała królową do opuszczenia Damiety, a kiedy powiedziała, że nie będzie odwozić królowej od jej postanowień, oświadczył, że sam znajdzie sposób, by zdecydowała się opuścić miasto. Wiedziała, że miał tego ranka wizytować flotę. Mogło to oznaczać koniec, śmierć dobrego króla Ludwika i wszystkich tych poczciwych ludzi.

Muszę coś zrobić. Rozpaczliwie usiłowała znaleźć słowa, które uspokoiłyby genueńczyków.

Wzięła głęboki oddech.

- Admirale Lercari, wasza sprawa na pewno może poczekać. Królowa dopiero co powiła. Śpi teraz. W imię rycerskiego obyczaju, proszę, dajcie jej odpocząć, bodaj do jutra.

Lercari miał minę człowieka, który nie zamierza ustąpić. Drżała wewnątrz. Wiedziała, że na jedno jego słowo cała flota pożegluje do Europy, pozostawiając krzyżowców na pastwę Saracenów.

- Wiem, że królowa jest po porodzie, pani - burknął po francusku - ale nie możemy już czekać ani dnia. Chodzi o życie. Cieszymy się na wieść o tym, że urodziła syna i oboje mają się dobrze. Nie przychodzimy przecież bez powodu. Nie ma już przeszkód, żeby mogła bezpiecznie odплыć.

Czas. Trzeba grać na zwłokę.

- Admirale, wiele kobiet niedomaga i umiera po porodzie. Czy bierzecie życie królowej na swoje sumienie? Nie chcielibyście chyba odpowiadać za to przed królem Ludwikiem?

Wyraz twarzy Lercarięgo wskazywał dobitnie, że tamten nie spodziewa się już ujrzeć króla na wolności. Uśmiechnął się krzywo.

- Najpierw nie możemy odpłynąć, bo zaraz będzie rodzic, teraz znowu nie możemy, bo właśnie powiła, za chwilę usłyszymy, że znowu jest przy nadziei. - Kapitanowie zanieśli się rubasznym śmiechem.

- Jak śmiecie? - Ręka de Burgha powędrowała ku rękojeści miecza.

W panice Nicoletta pochwyciła go za ramię.

- Nie, sire Geoffreyu! - Spojrzała mu prosto w oczy. - Chrześcijanie nie powinni stawać przeciw sobie, kiedy pod murami są Saraceni.

De Burgh przytaknął i zostawił miecz w spokoju.

- Pani - nastawał Lercari - mówię to tylko wam, jeśli królowa nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, myśmy go świadomi. Obóz Saracenów jest zaledwie godzinę drogi stąd. Z murów widać już ich namioty. Ich galery przepływają pod murami Damiety na odległość strzału z łuku, kiedy im się podoba. Wiedzą, że jest nas tu zaledwie kilka setek, a z tego garść tylko zdolna do walki. Flota egipska z Aleksandrii może zaatakować każdej chwili. Przyszliśmy przedstawić królowej nasze zamiary. Jeśli nie da nam posłuchania, odpłyniemy bez rozmowy z nią. Dano mi do zrozumienia, że nie będziecie mi, pani, czynić przeszkód.

To robota Almaryka. Jakże czekam dnia, kiedy będę mogła pokazać wszystkim, jaki jest naprawdę. Cofnęła się z ukłonem.

- Dajcie mi czas, żeby mogła przygotować królową.

Małgorzata przespała klótnię przy drzwiach. Nicoletta spojrzała na nią współczująco. Leżała na plecach, z głową zwróconą na bok, bezbronna niczym dziecko. Nicoletta powoli, delikatnie zbudziła ją ze snu i powiedziała o ludziach pod drzwiami.

- Nie mogę się z nimi zobaczyć. Co mam im powiedzieć?

- Wysłuchaj ich, potem proś o czas do namysłu. Każdy dzień jest bezcenny.

Małgorzata zacisnęła usta i z wysiłkiem uniosła się na łożu. - Popraw poduszki, tak żeby mogła siedzieć prosto. Podaj mi niebiesko-złotą szatę z brokatu i upnij włosy. Daj dziecko pokojowej i odeślij je do innej części pałacu.

W kilka chwil później Nicoletta otworzyła drzwi i żeglarze wkroczyli do komnaty. Spesz yli się na widok wymizerowanej królowej. Poklonili się grzecznie. Nicoletta wstrzymała oddech, kiedy Lercari przemówił:

- Krótko powiem, pani. Dowiedziałem się od kogoś, komu ufam, że nie ma już zapasów żywności w Damiecie. Łącznie z wioślarzami mam na galerach dziesięć tysięcy ludzi. Dziesięć tysięcy, którym co dzień trzeba dać jeść, nawet niewolnik musi mieć strawę raz dziennie, żeby mógł ruszyć wiosłem. Odpowiadam za życie wszystkich i nie mogę ich stracić. Przychodzę zatem, byście się, pani, gotowali do drogi.

Jeśli Lercari ma rację, że w Damiecie brak żywności, koniec z nami.

Almaryk. To on powiedział Lercariemu, że nie ma zapasów. Ale co się stało z prowiantem? Czyżby go zniszczył?

- To być nie może - odezwała się Małgorzata. - Nic nie wiem o brakach. Płyną do nas statki z Akry i Cypru. Dość mamy złota, by kupić żywność, admirale, zapewniam was.

Lercari wzruszył ramionami.

- Jeśli pójdziecie, pani, na targ miejski, przekonacie się, że nic nie można kupić. Nie wiemy nawet, czy wasze prośby dotarły na Cypr i do Akry, a co dopiero czy nadchodzi stamtąd pomoc. A już jesteśmy w potrzebie.

Postanowienie w jego głosie brzmiało ostatecznie niczym szczęk zawierającego się lochu. Ani ona, ani Małgorzata nie zobaczą już Ludwika i Rolanda.

- Ale, admirale - prosiła Małgorzata - nie możemy teraz odstąpić. Przyszły wieści od sułtana, który żąda trzystu pięćdziesięciu tysięcy liwrów okupu i oddania Damiety. Skarbiec Francji da te pieniądze, i więcej, jeśli będzie trzeba. Już po nie posłaliśmy. Jeszcze trochę, a dzielni rycerze, którzy tu z nami przyплыnęli, będą na wolności, wtedy jak braci weźmiecie ich z powrotem do domu. Jakże możecie się teraz od nich odwracać, kiedy wybawienie już blisko?

- Wybaczcie, pani, ale wybawienie nie jest takie bliskie. Saraceni nade wszystko kochają się targować. Całe lato przejść może na czczych rozprawach i do niczego z nimi nie dojdziecie.

- Dlatego też trzeba nam tu zostać. Pomyślcie, o ile trudniej będzie się z nimi układać zza morza.

Lercari gwałtownie pokręcił głową.

- Pani, nie możemy czekać. Moi ludzie są chorzy od samego zamknięcia na galerach, teraz zaczną głodować. Proście, pani, o więcej niż można.

- O więcej niż można? - w głosie Małgorzaty słychać było gniew, ciemne oczy zabłysły. - W imię Jezusa, cóż z was za chrześcijanie? To nie zwyczajna wojna i nie zwyczajny król. Jeśli się od nas odwrócicie w potrzebie, przyrzekam wam, Lercari, że Bóg wam to zapamięta, a na wasze miasto spadnie Jego gniew. Świat też tego nie zapomni. Czy chcecie, by imię Genui oznaczało odtań zdradę i tchórzostwo.

Na wspomnienie gniewu Bożego jeden z kapitanów przeżegnał się, ale Lercari poczerwieniał.

- Pani, gdyby przemówił tak do mnie mężczyzna, musiałby za to odpowiedzieć.

- Prędcyście do grożenia kobietom w połogu, admirale.

Lercari spurpurowiał.

- Nie jesteśmy tchórzami ani zdrajcami, pani. Dobrzy z nas chrześcijanie i nie chcemy opuszczać waszego króla w potrzebie, ale wobec głodu najsilniejszy z nas będzie bezradny. Co według was mamy czynić?

Ma go teraz, ucieszyła się Nicoletta. Ale czy będzie potrafiła to wykorzystać?

Małgorzata zmieniła ton, tak jakby czyniła ustępstwo.

- Dajcie mi trochę czasu, admirale. Niech poszukam żywności. Może ludzie mają zapasy, może jest w mieście prowiant, o którym nic nie wiemy. Zapłacę tyle, ile zażądamy. Wasi ludzie nie będą głodni. Dajcie mi bodaj jeden dzień.

- Jeden dzień, pani. - Skłonił się. - Ale jeśli poszukiwania okażą się próżne, powinniście się zgodzić na opuszczenie miasta.

To beznadziejne. Jeśli Almaryk powiedział mu, że nie ma żywności, już zadbał o to, by się nic nie znalazło.

Przypomniała sobie Maurycego. Czy rzeczywiście ułożył się z Beduinami, że będą dostarczać jedzenie na ich stół? Może więc mógłby się postarać o więcej, mając pieniądze z królewskiego skarbca? A jeśli nie zechce?

- Jeśli wyjawi się, że nie ma żadnej żywności, okażę wam zrozumienie - ucieła Małgorzata. - A teraz jestem zmęczona..

Lercari i jego ludzie jeszcze raz przyklekli i wycofali się z alkowy.

Kiedy wyszli, Małgorzata ukryła twarz w dłoniach i gorzko zapłakała.

- Nicoletto! To na nic. Co za różnica w jednym dniu? Moje biedne dziecko nigdy nie zobaczy ojca a ja nigdy nie ujrzę Ludwika.

Nicoletta rzuciła się na łożo i objęła królową.

- Jest jeszcze nadzieja. Chyba wiem, jak zdobyć, czego nam trzeba.

Z sercem podchodzącym do gardła Nicoletta szła szybko pałacowymi korytarzami. Przebiegła przez ogród, który żółkł, jako że wodę oszczędzano na czas oblężenia, i weszła do stajni, gdzie dzień i noc strzeżono ostatniego tuzina koni przed wygłodzoną Damietą. W małej izbie znalazła Maurycyego, który zabijał czas grą w kości z jednym z przydzielonych tu strażników. Obydwaj skoczyli na równe nogi.

- Słowo na osobności, mistrzu Maurycy - powiedziała, szukając w wyblakłych niebieskich oczach potwierdzenia swoich nadziei.

Maurycy odparował strażnika. Rozstając się, uważnie zgarnęli swoje wygrane do sakiewek.

- Nie macie chyba nic, pani, przeciw odrobinie hazardu? Od kiedy odpowiadam tylko za konie, niewiele mam do roboty.

Usiadła przy drewnianym stole i wskazała mu ręką miejsce naprzeciw siebie. Opowiedziała o warunkach genuieńczyków; kiedy mówiła, twarz Maurycyego nie wyrażała żadnych uczuć. Nie rozmawiała z nim od dnia, gdy spotkali się w ruinach świątyni, jednak odkrycie, że Maurycy ma jakieś tajemnice przed Almarykiem, było dla niej promykiem nadziei.

Kiedy skończyła, roześmiał się.

- Dlatego, że mogę zdobyć trochę jedzenia dla domu, któremu służę, wyobraziłście sobie, pani, że mogę nakarmić całe miasto?

- Musimy utrzymać przy życiu kilka tysięcy ludzi, póki nie nadejdzie pomoc. Możesz dotrzeć do Beduinów, a ci mogą zaopatrzyć nas w żywność na jakiś czas. Czyż nie tak?

- Może i tak - przyznał - ale pomyślcie, pani, o tym, jak bardzo to zagniewa dwóch wielkich ludzi, sułtana i waszego męża, hrabiego Almaryka.

- Czy Beduini mogą przejść przez linie Saracenów? Trzeba tylko złota?

- A co na to hrabia Almaryk, pani? - zapytał Maurycy z przewrotnym uśmiechem. - Jestem jego sługą, czyż nie tak? Jeśli mu się sprzeniewierzę, ubije mnie. Ma rację, kiedy powiada, że lepiej by było dla chrześcijan zaraz opuścić Damietę.

- Nie obchodzi cię nic, że król, twój król i reszta dobrych krzyżowców zginie, jeśli nie pomożesz?

Maurycy wstał, odwrócił się tyłem do Nicoletty i podszedł do drzwi, skąd przyglądał się umierającemu ogrodowi. Założył do tyłu pełne blizn ręce. Spoglądała na niego, zastanawiając się, co też kryje się w tym sercu. Po raz pierwszy zauważyła, że od tyłu mógłby uchodzić, ze swoją posturą, za dużo młodszego.

Nie patrząc na nią, powiedział szorstko:

- Kobiety nie powinny mieszać się w sprawy wojny i w rządy.

- Zamknąłbyś nas w haremach, jak to robią Saraceni? - zapytała rozzłoszczona.

Ciągle zwrócony tyłem odrzekł:

- Nic nie wiecie, pani, o kobietach muzułmanów.

- A tyś zapomniał, co wiedziałeś o chrześcijankach - odparowała.

Zwrócił się do niej bokiem. Ostre popołudniowe słońce oświetliło profil jego twarzy.

- Wystawicie się, pani, na wielkie niebezpieczeństwo, mówiąc tak do mnie. Co będzie, jeśli powiem waszemu mężowi, że jesteście przeciwko niemu?

Jakoś udało się jej opanować strach.

- Pewna jestem, że mnie wtedy zabije. Chcesz mieć to na sumieniu?

Wrócił do izby i nachylił się ku niej przez stół.

- Wiem, że zdolny jest was zabić, pani. Nie, nie chciałbym tego. Szanuję was za to, co czynicie dla królowej. - Odwrócił się i znowu odszedł, jakby chciał ukryć swoje uczucia. - Tak samo dla króla i jego ludzi. Piękni jesteście w waszym oddaniu.

Wyczuwała w tym starcu jakieś resztki dobra.

Wstała odsuwając krzesło.

- Mistrzu Maurycy - zwróciła się do jego szerokich pleców - jeśli opuścicie Damietę, przysięgam, że znajdę sposób, by tu pozostać. Ucieknę z miasta, albo ukryję się, póki flota nie odpłynie.

- Mąż was znajdzie.

- Nie, jeśliby miał przez to nie odpłynąć. Nie zostawię tych ludzi. Nie mogłabym żyć potem spokojnie we Francji, gdybym to uczyniła - skończyła bez tchu, wstrząśnięta własną hardością.

Maurycy odwrócił się na pięcie i spojrział na nią.

- Na Boga, naprawdę gotowicie to uczynić.

- Tak.

- Pokreślił głową.

- Bolesne to spotkanie z wami, przypominacie mi, jak było mi przez te wszystkie lata brak francuskich kobiet.

- Zatem pomożesz? Wbrew hrabiemu?

- Pani, widziałem, jakie wasz mąż czynił rzeczy, od których wstyd mnie zdejmował, że się urodziłem Francuzem, a i ja w służbie u niego wiele złego zrobiłem, za co trzeba się wstydzić. Może teraz będę mógł to naprawić. Chociaż sułtan niczego bardziej nie pragnie, niż zobaczyć Damietę wolną, jest wśród Egipcjan część chętna pomóc mi wyżywić miasto, skora obalić sułtana i zagarnąć królewskie złoto - jedno i drugie bardzo ich interesuje.

Nicoletta poczuła, jakby ją ktoś nagle uwolnił z klatki.

- Wiedziałaam, że będziesz mógł nam pomóc, mistrzu Maurycy.

- Niczego jeszcze nie zrobiłem, pani. Nawet jeśli królowej uda się utrzymać Damietę, nie znaczy to, że krzyżowcy ujdą wolno. Wiele przemawia za tym, że Turan Szach, kiedy weźmie okup, może wymordować jeńców.

Opadła z powrotem na krzesło.

- Zdolny jest do takiego przemieszania? Czy Saraceni nie mają honoru?

Jeśli sułtan może wziąć okup, a potem wymordować jeńców, to nie ma nadziei.

- Pani, wojownicy islamu mają wiele honoru, ale nawet jego oficerowie nie szanują Turan Szacha. Po śmierci sułtana Ajuba Turan zastąpił starych dowódców

mameluków swoimi faworytami, ludźmi, którzy myślą podobnie jak on. Prześladowuje sułtanke, najpierwszą pośród żon ojca, panią szanowaną przez mameluków. Wielu nienawidzi nowego sułtana i może dlatego będę mógł pomóc.

Obserwowała Maurycego. Jak na niewolnika zbyt wiele wiedział o intrygach między Sar acenami. Może stał się w niewoli muzulmaninem i teraz szpieguje dla nich?

- Bez ciebie, mistrzu Maurycy, nie ma żadnej nadziei.
 - Nie spodziewajcie się po mnie zbyt wiele, pani. - Usiadł, w zamyśleniu pukając o stół powykrzywianymi palcami, potem spojrzął na nią.
 - Pani, wiecie, jak bardzo chrześcijanie boją się Egipcjan. Jeśli dowiedzą się, że zadawałem się z Beduinami, obiecacie, że się za mną wstawicie, czymkolwiek by to wam groziło.

- Przyrzekam.
 - Przysięgnijcie się na to, co dla was najświętsze.
 - Przysięgam na ...Miłość. Uniósł siwe brwi.
 - Pogańska przysięga?
 - Musimy być wobec siebie szczerzy. Czy teraz gorzej o mnie myślisz?

Wzruszył ramionami.

- Myślę, że kiedy idzie o wiarę, ludzie nie mają wyboru. Jeśli coś wydaje się nam prawdą, wierzymy w to.

Jego oczy miały barwę morza w szary dzień, jakby przypomniał sobie jakąś dawną boleść.

De Burgh, sztywny w ruchach, otworzył drzwi i genueńczycy wmaszerowali do alkowy królowej Małgorzaty. Hugo Lercari ściągnął z głowy szkarłatny biret i skłonił się głęboko.

Za co go nienawidzić, myślała Nicoletta. Robi tylko to, co wielu uczyniłoby na jego miejscu. A jednak nie mogła nic poradzić.

Stała razem z Beatrice i Jeanne, żonami braci królewskich, Karola i Alfonsa, u wezłowania łoża. Na polecenie Małgorzaty ubrały się w najpyszniejsze szaty. Nicoletta miała na sobie suknię z jasnobłękitnego jedwabiu ozdobioną szerokim pasem wyszywanym złotą nicią. Bizantyjski płaszcz z purpurowego brokatu był za

ciężki na ten gorący dzień, ale nałożyła go dla dodania sobie godności. Na głowie miała srebrny diadem. Małgorzata siedziała obok łoża na okazałym, ciężkim stolcu, który przyniesiono z sali audiencyjnej. Głowę jej zdobiła złota królewska korona. W ramionach trzymała śpiące niemowlę.

- Panowie - zaczęła z błyszczącymi oczami - oto najmłodszy dziedzic domu Kapetów, Jean Tristan.

Almaryk wszedł do komnaty za genueńczykami. Spojrzał przelotnie na Nicolettę, zły i zbity z tropu. Zlustrował jej paradny strój, zacisnął wargi.

Jakie to szczęście, że nie mieszkam z nim pod jednym dachem.

- Tristan - powtórzył Lercari - ależ to znaczy „smutna dusza”. Pełne melancholii imię dla młodego królewicza.

- Urodził się w smutnym dniu, admirale - odparła Małgorzata.

- Oby prędko skończył się ten smutny czas- powiedział Lercari - i oby prędko królewski ojciec mógł cieszyć oczy swoim synem.

- Tym prędeż, mając na względzie, czegośmy dokonali wczoraj i dzisiaj - odpowiedziała Małgorzata, oddając dziecko Beatrice, która położyła je do kołyski. - Byliście dzisiaj w spichlerzach, admirale Lercari?

- Na własne oczy widziałem, pani, że spichlerze są pełne, jak ja pełen jestem zdumienia. Nigdy dotąd żadne miasto nie kupowało chyba prowiantu od oblegających.

- To niezupełnie tak, admirale - odparła Małgorzata ze śmiechem. - Wędrowni pasterze w tej części świata nie uznają żadnego władcy nad sobą. Nie wojują z nikim i ze wszystkimi, jak czują. Są muzułmanami, ale złoto przemawia do ich serc prostszą mową niżli religia. Dzięki temu rycerzowi, który kupował dla nas to wszystko, przekonaliśmy ich, by podzielili się z nami, tym co mają. - Z uśmiechem wskazała w stronę de Burgha, który uklonił się z iskierką w oku na myśl o małym oszustwie, w którym wziął udział. - Panowie, wydaliśmy trzysta sześćdziesiąt tysięcy srebrnych liwrów ze skarbcza korony francuskiej, aby położyć kres waszym obawom. W zamian korona francuska liczy, że pozostaniecie dopóty, dopóki potrzebna jej będzie wasza służba.

- Dokonałiście razem z sire de Burghem cudu, pani - odezwał się Almaryk, spoglądając jadowicie na starego rycerza - ale jakim kosztem? Co zostało na zapłacenie wykupu?

- Pieniądze na wykup nadejdą wkrótce, hrabio, z pomocą templariuszy, którzy przekażą je tu z paryskiego skarbcza.

- Templariusze! - wybuchnął Almaryk. - Jeśli los jeńców spoczywa w ich rękach, doprawdy jest pożałowania godny.

- Rycerze Świątyni zawsze należeli do najbardziej oddanych przyjaciół królów Francji - odparła Małgorzata zimno i zwróciła do Lercariego: - I cóż genueńscy kapitanowie, admirale? Czy możemy was zaliczyć do naszych godnych sprzymierzeńców?

- Proszę o wybaczenie, że was niepokoił wczoraj, pani. Okazałem się niegodziwym gburem, ale moje załogi są mi dziećmi i sprowadził mnie do was niepokój o nie. Wygląda, że źle obrachowaliśmy sposobność aprowizacji i niebezpieczeństwo głodu. - Spojrzał mimochodem na Almaryka, który gwałtownie obrócił się tyłem i podszedł do okna, by wyjrzeć przez kraty.

- Zostaniemy, pani.

- A więc liczymy na was, póki możemy wam płacić - rzekła słodko Małgorzata.

Przynajmniej tyle ma sumienia, żeby wyglądać na stropionego, pomyślała Nicoletta, kiedy zawstydzony admirał spuścił oczy.

Kapitanowie pokłonili się i opuścili komnatę. Wygrałyśmy nieco czasu dla naszych mężczyzn, ale tylko dopóki starczy jedzenia i pieniędzy, a Małgorzata wydała na zapasy wszystko, co miała. Jeśli wkrótce nie nadejdzie pomoc albo targi będą się przeciągać, wszystko pójdzie na marne.

* * *

XXXII

*Kraj słodki opuszczam,
Gdzie ma miła mieszka,
Żalność mnie ogarnia.*

*Żegnaj ukochana,
idę walczyć w imię Boże,
alem duszą z tobą.*

*Ciałem Panu służę,
Myśli moje z tobą,
Z tobą serce moje .*

Roland dwa razy powtórzył refren, nim doszedł do końca piosenki. Słuchacze nie bili braw, kiwali tylko głowami, z cicha pomrukując wyrazy uznania. W słabym świetle księżycy mógł dojrzeć łyż na zapadniętych policzkach tych, którzy przysłuchiwali mu się na pokładzie więziennej galery. Lubili, kiedy przypominano im o kobietach pozostawionych daleko w kraju.

Roland wiedział, że jego własna tęsknota za Nicoletta dodaje pieśni żaru. Wzywał ją śpiewem, a ona go słyszała. Strażnicy powiedzieli im, że są już bardzo blisko Damiety, w mieście zwanym Fariskur. Układy z Turkami szły tak pomyślnie, że Turan Szach zgodził się, by na dwunastu galerach więźniowie ruszyli na spotkanie wolności.

Roland, który tłumaczył wszystkie rozmowy między sułtanem a królem, nie ufał Turanowi. Był przekonany, że sułtan tylko dlatego przeniósł swoich chrześcijańskich

jeńców bliżej Damiety, żeby uczynić ich niewolę bardziej bolesną i wymusić na królu tym więcej ustępstw. Blisko czy daleko od miasta ciągle miał nad nimi absolutną władzę i mógł ich wszystkich wymordować.

Dość tych rozmyślań. Ludzie spragnieni są muzyki. Zaczął nową pieśń, ale prze-rwał po pierwszych akordach, widząc jakieś poruszenie na śródokręciu.

Na galerę wszedł jakiś wysoki człowiek. Stalowy hełm połyskiwał w świetle palących się na brzegu pochodni. U biodra zwisał długi bułat w prostej skórzanej pochwie, przytroczony do haftowanego pasa. Mameluk ruszył wzdłuż pokładu wojennej galery egipskiej.

Emir Bajbars.

Zgromadzeni na pokładzie ludzie rozstępowali się przed nim z zagniewanymi twarzami, usuwali się z ociąganiem, pozostawiając emirowi niewiele miejsca na przejście. Jeńcy przyjęli go zaczepnymi spojrzeniami, on zaś, nie opuszczając głowy, mijał ich, rozglądając się obojętnie na lewo i prawo. Roland pomyślał, że musiał tak zrobić, jeśli chciał widzieć tyle samo co człowiek, który ma oboje oczu.

Czy jest tak szalony czy odważny, żeby przechadzać się tu między nami bez lęku? Mogli rzucić się na niego i przygnieść do pokładu, nim zdążyłby dobyć szabli. Ludzie nie wiedzieli, oczywiście, że to wódz, który ich pokonał i wziął do niewoli. Nie miał na sobie złotych ozdób, należnych jego pozycji, zaledwie prosty, jedwabny kaftan zwykłego łuczniaka. Roland pomyślał, że to rozsądne przebranie.

Bajbars stanął właśnie przed nim z lekkim uśmiechem na twarzy.

- Chodź ze mną, Rolandzie de Vency.

Poczuł drgnienie strachu na myśl, czy wróci cało. Dlaczego Bajbars przyszedł po niego osobiście? Ze smutkiem rozstał się z cytrą, którą oddał najbliższemu stojącemu panu de Joinville.

Poszeptując między sobą, krzyżowcy okrążyli Rolanda, jakby chcieli go ochronić.

- Powiedz im, że przyszekam nie uczynić krzywdy ich ukochanemu śpiewakowi. Powiedz, że chcę mówić z tobą o muzyce.

Roland przełożył na francuski słowa Bajbarsa i cała grupa w milczeniu odprowadziła ich do trapu. Słyszał metaliczny szczepek kolczugi pod szatą Bajbarsa.

Przynajmniej na tyle się ubezpieczył. Gwardziści przy trapie ani się odezwali, ani spojrzeli na emira. Kiedy pojawiał się w przebraniu, oznaczało to widocznie, że jego ludziom nie wolno go było rozpoznawać.

Roland czuł ucisk w żołądku. Czego on chce? Musiało to być coś niezmiernie ważnego, skoro przyszedł po niego sam, bez asysty, przebrany.

Bajbars zatrzymał się na chwilę, nim zszedł z trapu i spojrzął w stronę obozowiska sultana.

Roland podążył za jego wzrokiem. Namioty Turana lśniły żółtym światłem od zapalonych wewnątrz lamp. Ustawiono je na łagodnym trawiastym zboczu. W centrum wzniesiono drewnianą wieżę, na której Roland kilka razy dojrzał samego sultana, obserwującego rzekę, pobliskie miasto i galery z więźniami.

- Pójdziemy wzdłuż brzegu - powiedział Bajbars, kiedy zeszli.

- Trzeba było po mnie posłać - odezwał się Roland, idąc obok Bajbarsa wąską, ubitą ścieżką holowniczą. - Ryzykowaliście życiem, wchodząc na pokład.

- Mogłem posłać po ciebie, ale tak mniej było hałasu.

Choć serce zabiło mu mocniej, starał się, by jego głos brzmiał zwyczajnie.

- Mniej hałasu to obyczaj Pantery, czyż nie tak? Pamiętam jeszcze, jak przybyliście jako giermek do Damiety. Jeden jest tylko człowiek równie wysokiego stanu, który jak wy bez lęku idzie między ludzi, król Ludwik. Tylko że on się nie przebiera.

- Zatem ryzykuje życiem bardziej niż ja.

- Nie, bo lud go kocha.

- Moi ludzie boją się mnie - odpowiedział Bajbars - bardziej można na tym polegać, ale chociaż się mnie boją, rozmiłowani są w różnych opowieściach o mnie.

Odkąd przybył do Egiptu, Roland słyszał ciągle o czynach Bajbarsa. Wiele z tych historii dotyczyło zakradania się w przebraniu do cudzych haremów.

- Pewien jestem, że część tych opowieści sami wymyślacie i puszczacie w świat - odparł Roland, mając nadzieję, że Bajbars nadal jest w przychylnym nastroju.

- Za mądryś jak na Franka - roześmiał się emir - musi być w tobie arabska krew.

Doszli do palm, Bajbars zatrzymał się w ich cieniu. Obok w ciemnościach szemrał Nil. Przed nimi rozciągały się szeregi egipskich namiotów, w oddali migotały obozowe ogniska. Dziesiątki tysięcy muszą tu biwakować, gotowe na pierwszy rozkaz ruszyć na Damiętę. Widok ten nappełniał go lękiem o Nicolettę i królową.

- Chcę ci zadać ważne pytanie, pieśniarzu pieśni. Twój król niemal każdego dnia spotyka się z sułtanem, a szpiedzy sułtana nie spuszczają z niego oka. Nie mogę się do niego zbliżyć. Ty mi musisz powiedzieć, jakie są jego myśli.

Roland zeszywniał. Powiedzieć mu o lękach, które król mi zawierzył, o jego obawach, że królowa odpłynie i pozostawi nas tutaj samych? Jeśli nie odpowiem na jego pytanie, nie wiadomo, co się ze mną stanie, co stanie się z nami wszystkimi? Poczul niemal zimne ostrze szabli na karku.

Nie, jedyny sposób postępowania z Bajbarsem, to mówić wprost.

- Nie powiem niczego bez przyzwolenia króla.

- To oczywiście - Roland dojrzał w mroku, jak Bajbars machnął ręką - i tego mówić nie musisz, obaj jesteście ludźmi honoru.

Roland odgonił moskita bzykającego koło ucha.

Chętnie wierzę, ale jak człowiek honoru może spiskować przeciw sułtanowi?

- Miałem okazję przeczytać wiadomość przesłaną do naszego szlachetnego sułtana przez pewną osobę z Damiety. Wiadomość była tajna i pochodziła od tego, który stoi na czele chrześcijan broniących Damiety, hrabiego Almaryka.

- Almaryk de Gobignon układa się z wrogiem?

A zatem dotarł do Damiety.

- Nie z nami wszystkimi, tylko z sułtanem, a i to potajemnie. Kto to jest ten Almaryk? Co to za człowiek?

W głowie Rolanda zawirowały obrazy: Almaryk nakazujący rzeź katarów, zdzielający Rolanda maczugą w ramię, siedzący na honorowym miejscu w czasie całopalenia Diany. Nienawiść niemal go oślepiła, kiedy raptem zadźwięczały mu w uszach słowa Perrina: „Nie szukaj zemsty”.

- Nie dostaniesz ode mnie wyważonej odpowiedzi. Ten człowiek jest moim największym wrogiem, być może w ogóle jedynym wrogiem.

- Doprawdy? Trudno mi sobie wyobrazić, że można mieć tylko jednego wroga. Cóż ci uczynił?

- Przyczynił się do śmierci tych, których kochałem. Miłowałem dwie kobiety w życiu, jedną spalił na stosie, druga jest jego żoną.

- Jego żona, piękna pani.

Roland na moment oniemiał.

- Widzieliście ją? Kiedy? Czy wszystko u niej dobrze?

- Żona należy do męża. Jeśli kochasz żonę tego człowieka, ty jemu wyrządzasz zło, nie on tobie.

Roland z nadludzkim wysiłkiem próbował się uspokoić. Bajbars rzekł tyle, ile chciał o Nicoletcie, napierać oznaczałoby tylko nastawić go przeciwko sobie.

- Nie będę się z wami spierał, emirze.

- Ciągłe mi nie powiedziałaś, kim jest Almaryk, jaki to człowiek. Czy to ktoś znaczny, czy też zawdzięcza swoje stanowisko w Damiecie trafowi tylko?

- Gdybyśmy nie tkwili tutaj, w egipskiej pułapce, byłby we Francji drugim człowiekiem po królu.

- Nawet przed królewskimi braćmi?

- Król całkowicie panuje nad braćmi. Almaryk jako hrabia de Gobignon ma swoją domenę, którą rządzi niczym król. Jakim jest człowiekiem? Byстрыm, odważnym, okrutnym, dufnym i przewrotnym. - Roland z niesmakiem pomyślał, że podobnymi słowami mógłby opisać również Bajbarsa. - Myślę, że rozmyślnie popchnął nasze wojska do złożenia broni.

- Powinienem być mu wdzięczny - zachichotał Bajbars.

- Cieszy was, doprawdy, takie zwycięstwo?

- Cieszy mnie każde zwycięstwo - znowu to straszne słowo *mansura*.

- W tym względzie nie różnicie się niczym od Almaryka - Roland wypowiedział na głos myśl, która przyszła mu przed chwilą do głowy.

Bajbars znowu zachichotał, ale tym razem w jego śmiechu nie było poprzedniego ciepła.

- Wiesz, że wszyscy umrzą? - Beztronski ton pytania klócił się straszliwie z jego treścią. - Być może jutro.

Nagła panika ogarnęła Rolanda. Coś się pod tym jednak musiało kryć, Bajbars nie trudziłby się odszukiwaniem go i potajemnymi schadzками tylko po to, by go

przerazić. Nie mówiłby mu o liście Almaryka, gdyby mieli jutro iść na rzeź. Bajbars czegoś chce.

Roland usiłował raz jeszcze nadać swojemu głosowi naturalne brzmienie.

- Po toście mnie tu panie przyprowadzili? Żeby mi o tym powiedzieć?

Bajbars chrząknął i Roland usłyszał w tym coś na podobieństwo aprobaty.

- Wiadomość od Almaryka do trzykroć szlachetnego sultana Turan Szacha to list domagający się śmierci was wszystkich, od króla począwszy, na ostatnim sędzie kończąc. Almaryk obiecuje sultanowi wszystkie wcześniej przyręczone pieniądze i Damię, bezwarunkowo, jeśli tylko uczyni to jedno.

Roland poczuł, że zalewa go gniew niczym grecki ogień, potem zdziwienie, że Almaryk zdolny jest do podobnego przemieszania.

- Szatan! - wyszeptał.

Bajbars położył mu uspokajająco rękę na ramieniu.

- Jak wiesz, to lepsza oferta niż ta, którą poczynił wasz król.

Tak, Ludwik obiecał wypłacić połowę srebra natychmiast, resztę po uwolnieniu wszystkich pojmanyh chrześcijan. Ludwik z tą subtelną pewnością siebie zażądał ponadto uwolnienia wszystkich jeńców, nawet tych, którzy od wielu lat przebywali w niewoli egipskiej. Roland dobrze pamiętał wyraz twarzy sultana, kiedy słuchał tych warunków.

- Ten Almaryk pisze - ciągnął Bajbars - że kiedy już pieniądze dotrą zza morza do Damiety i kiedy będzie miał pewność, że król nie żyje, otworzy bramy miasta przed naszymi wojskami. Mogą robić co chcą, pod warunkiem że pozwolą jemu ujść cało.

A więc Almaryk chce wydać na łup Saracenów królową, małego infanta, patriarchę Jerozolimy, wszystkich wiernych rycerzy, służbę, nawet Nicolette? To nie człowiek! Perrinie, na to już nawet nie ma wystarczającej pomsty.

- Nic nie można uczynić temu człowiekowi - odezwał się, kiedy doszedł nieco do siebie - nie ma na niego kary dość okrutnej. Zawsze wątpiłem, czy istnieje piekło,

ale jeśli jest sprawiedliwy Bóg na niebie, w co też mi trudno uwierzyć, musi być piekło dla takich bestii jak Almaryk. Chciałbym go tam posłać.

- Nie rozprawiaj w ten sposób o Bogu w mojej obecności.

- Głos Bajbarsa zabrzmiał szorstko pośród ciemności. - Zapłaciłem wysoką cenę za zrozumienie islamu i nie ścierpię kpin. Jeśli nie jesteś pewien, czy wierzysz w swojego Boga, toś głupcem, że napadasz na mój kraj.

To nagle napomnienie ostudziło Rolanda.

- Wielka prawda, ale nie przybyłem tu służyć Bogu, jeno mojemu królowi. Możecie mi pokazać list Almaryka do sułtana? Wierzę waszym słowom, bo znam Almaryka, ale muszę mieć dowód dla króla.

- Wolno myślisz - Bajbars błysnął w uśmiechu zębami - może naprawdę jesteś tylko Frankiem. To jasne, że nie mogę ci pokazać listu. Miał być doręczony samemu sułtanowi, tak by nikt nie mógł go widzieć. Nie chcę, żeby twój król o nim wiedział. Jest otwarty i niewinny, przy najbliższym spotkaniu odsłoniłby od razu prawdę przed sułtanem, a wtedy ja, ty i wszyscy, którzy są z nami, zostalibyśmy zniszczeni.

Między Bajbarsem a sułtanem rozgrywa się więc jakaś walka, pomyślał Roland, spoglądając na rzekę wolno toczącą wody w świetle księżycy.

- Czy wasz sułtan przystanie na porozumienie z Almarykiem? Skorzysta ze zdrady? Jak może układać się z królem, zamierzając przy tym jego śmierć i śmierć jego żołnierzy?

- Może w ten sposób będzie miał srebro i pewność, że Frankowie przez następne pokolenie zostawią nas w spokoju. Dostanie przy tym Damietę bez walki.

- Co możecie mi powiedzieć o ludziach w Damiecie, jak żyją?

- Dobrze jak na obłączonych. Niewiele mają jedzenia, mrą, słabi są i chorzy. Królowa nakazała wykopać wielki rów w środku miasta, przed pałacem namiestnika, tam grzebie się zmarłych.

- Królowa powiła syna, Turan Szach powiedział o tym chyba twojemu królowi.

- Tak - odpowiedział Roland - król nie posiadał się z radości, ale podejrzewa, że sułtan może go zdradzić.

- Twój król nie dowie się na razie, że jego podejrzania są słuszne, a chrześcijanie w Damiecie nie dowiedzą się, którzy z krzyżowców przeżyli. Turan Szach zakazał o tym mówić.

Nicoletta pewnie myśli, że umarłem, a ja nie mogę jej posłać wiadomości.

- Po co takie okrucieństwo?

- Nasz sułtan liczy, że chrześcijanie w Damiecie będą bardziej ulegli, kiedy będą wierzyć, że wszyscy żyjecie i że można wam pomóc. Skończyłaby się już żywność, gdyby nie ja. W zamian posypało się do moich skrzyń srebro z królewskiego skarbcza, dziesięć razy więcej ponad zwykłe ceny. Nie wiedziała królowa, że płaci tak rozrzutnie temu, który pokonał jej męża, ani że kupuje ponownie żywność uprzednio przedaną z miasta przez waszego Almaryka.

- Czemu posłaliście prowiant?

- Chcę, by wszystko pozostało, jak jest, nie pragnę, żeby chrześcijanie ustąpili z Damiety, nim skończą się układy i zanim zrobię użytek z pieniędzy.

- Komu potrzebne tak wielkie sumy? - zapytał Roland ironicznie.

- Nie zatrzymam ich długo, ale nie pora teraz o tym mówić.

Roland poczuł, że Bajbars przysunął się do niego. Wyczekiwał z napięciem, aż tamten wyjawi wreszcie powód spotkania.

- Słuchaj, pieśniarzu, musisz mi przysiąc, że nie powtórzysz nikomu słowa z tego, co ci powiem, albo moja zemsta będzie straszna.

- A jeśli pomyślę, że król powinien się dowiedzieć i odmówię przysięgi?

Roland usłyszał szcęk zbroi Bajbarsa, potem odgłos wysuwanej z pochwy szabli. Nie wolno mi okazać, że się go lękam.

- Jesteście, panie, leworęczni jak ja. Trzymam miecz w lewej ręce, od kiedy Almaryk okaleczył mi w turnieju prawe ramię.

- Usłyszałeś, z której strony dobywam miecz? Sprytnie. Nie chciałbym stracić takiej mądrej głowy. Będziesz przysięgał?

- Będę - westchnął Roland. - Nie dlatego, że się lękam waszej szabli, już od wielu miesięcy czuję się prawie jak nieboszczyk, ale dlatego, że ufam, iż nie będę musiał zdradzić króla.

- Dobrze mnie rozumiesz. Wśród ludu, z którego się wywodzę, a który wyzwiecie Tatarami, co się rzekło, wiąże człowieka na zawsze. Biorę, coś powiedział, za twoją przysięgę i trzymam za słowo.

- Słuchaj więc. Wielu mameluków niechętnym okiem patrzy, jak ich traktuje Turan Szach, od kiedy został naszym sułtanem. To oni razem z najpierwszą wśród żon jego ojca strzegli tronu, póki nie wrócił z Syrii. Trzymali w sekrecie śmierć staro sułtana, szczególnie przed wami, najeźdźcami. Za całą podziękę przegnał naszych emirów i zastąpił ich swoimi ulubieńcami. Teraz oskarża naszą dobrą panią, Gałązkę Perłową, że sprzeniewierzyła majątek sułtana, kiedy on sam wyrzuca pieniądze na rozpustne życie. - Sposób, w jaki Bajbars wymawiał imię żony sułtana, wskazywał, że jego uczucia do niej są cieplejsze niż zwykła wierność wdowie po zmarłym władcy. - Mamelucy zdają się więc rozżaleni na nowego sułtana - odezwał się ostrożnie.

Usłyszał w oddali za sobą śpiewne głosy. Odwrócił się. Wokół namiotu sułtana błyskały pochodnie zatknięte na wysokich palach. Straże obwoływały godzinę.

- Co twój król rzekłby na te żale mameluków? Powiedzmy, że kilku dowódców doszłoby do przekonania, że sułtan ich wykorzystuje i że zasłużył na śmierć. Powiedzmy, że posłaliby go na tamten świat. Jak twój król zachowałby się wobec takich oprawców?

Nagle zrozumiał wszystko. Od tego, co teraz powie, może zależeć, co zrobi Bajbars, może zależeć, czy Ludwik i krzyżowcy przeżyją.

Stał jak skamieniały czując narastającą pustkę w głowie. Żaden człowiek nie powinien nigdy sam podejmować decyzji dotyczących życia setek ludzi.

Jeśli mamelucy się zbuntują, zrzucą z tronu sułtana i zabiją go, czy Ludwik będzie chciał się z nimi układać?

Turan Szach jest prawowitym władcą, potomkiem rodu sięgającego jeszcze przodków Saladyna. Nawet tam, gdzie między monarchami są waśnie, istnieje rodzaj specyficznej więzi. Król codziennie się z nim spotyka. Mamelucy to uzurpatorzy, na dodatek niewolni, nawet nie rodowici mieszkańcy tego kraju. Czy król nimi nie wzgardzi? Czy nie odmówi paktowania z nimi?

Będzie to oznaczało nasz koniec. Wolno mu poświęcić własne życie, ale czy waży się posłać na śmierć nas wszystkich dlatego, że nie należy rozmawiać z buntownikami? Gdyby wiedział, że sułtan spiskuje z jego własnym konetablem i kuzynem, przyjąłby z radością wieść o jego końcu.

Co będzie, jeśli nie uwierzy w winę sułtana?

Czuł milczącą presję ze strony Bajbarsa. Musi się odezwać.

- Król nie będzie miał wyboru, będzie musiał układać się z każdym, kto ma władzę nad Egiptem. Nawet jeśli będą to ludzie, którzy zabili sułtana. - Miał nadzieję, że zabrzmiało to dość przekonująco.

Bajbars chrząknął sceptycznie.

- Człowiek, który żyje zgodnie z prawami nieba jak twój król, zawsze ma wybór. Nawet jeśli oznacza on śmierć. Monarchowie zawsze są poruszeni, kiedy ludzie niższego stanu podnoszą rękę na swojego władcę. Ludwik może nie zechcieć mówić z tymi, na których rękach będzie krew ich sułtana. Pytam cię raz jeszcze, towarzyszu Ludwika, co uczyni najbardziej chrześcijański z królów?

Zimny pot wystąpił na czoło Rolanda. Dobry Jezu, tyle lat byłem trubadurem, a teraz nie mogę znaleźć właściwych słów. Nie wiem, co król uczyni. Może postanowi, że wszyscy powinniśmy zostać świętymi męczennikami, umrzeć i iść prosto do nieba.

Księżyc był już wysoko na wschodnim firmamencie, Roland mógł niemal dojrzeć twarz Bajbarsa, ale była niczym maska, nie sposób było cokolwiek z niej wyczytać.

- Nie poświęci dla zasady życia tysięcy ludzi - odpowiedział.

- Już to uczynił, prowadząc armię na Egipt - powiedział Bajbars.

- Myśląc, że zwycięży z bożą pomocą. Teraz wie, że możemy przeżyć, licząc tylko na wasze miłosierdzie.

Bajbars jednak nie ma w sobie miłosierdzia. Wspomnił zasłyszaną opowieść o chrześcijańskich jeńcach prowadzonych przez Kair z głowami swoich towarzyszy zawieszonymi na szyjach. Bajbars jest zdolny wymordować nas własnymi rękoma. Może nawet ułożyć się z Almarykiem.

Czuł, jak wzrasta napięcie, ale tym razem było to napięcie narastające w jego duszy. Jakie Bajbars miał zamiary? Musi być czujny.

- Nie powiem nic królowi, ale muszę wiedzieć, co zamierzacie. Musicie mi powiedzieć dość, bym mógł go chronić.

Bajbars roześmiał się.

- Nawet gdybym ci powiedział o swoich planach, jak możesz polegać na moim słowie? Wiesz, że nie można ufać Saraceniowi.

Dziwnie zabrzmiało to chrześcijańskie powiedzenie w ustach Bajbarsa. Jeszcze bardziej go rozeźliło, że emir żartuje gdy on, król, wszyscy towarzysze, bezbronni więźniowie lada godzina mogą być wymordowani. Mój Boże, jestem jedynym człowiekiem wśród wszystkich krzyżowców, który nigdy nie chciał wojować z tymi ludźmi.

Wściekły, chwycił Bajbarsa za prawe ramię. Poczul potężne szarpnięcie, ale nie zwolnił uścisku.

Bajbars nie ruszał się.

Po chwili milczenia, powiedział niemal szeptem: - Puść.

Cofnął dłoń, Bajbars rozcierał ramię.

- Miałem przez moment ochotę zabić cię, ale rozumiem, że to strach i desperacja kazały ci podnieść na mnie rękę. Dały ci nie byle jaką siłę.

- Wybaczcie - odpowiedział Roland pewien, że wszelka nadzieja na ratowanie życia krzyżowców przepadła.

- Jak powiadają wśród mojego ludu, mówi do ciebie moje serce. Nie wiem, co zrobię, tylko Allah zna nasze postęпки. Nic nie możesz teraz uczynić, żeby pomóc królowi. Nic, co nie powiększyłoby niebezpieczeństwa. Śpiewaj swoje pieśni i potrącaj struny. Trzeba czekać, co czas przyniesie. Może wreszcie zostaniecie uwolnieni, może wszyscy zginiecie, może ja sam będę musiał cię zabić, kiedy tak rozkaże sułtan, a ja nie uznaję, że już nadszedł czas, by mu się sprzeciwić. Jeśli będę to musiał zrobić, frankoński poeto, uczynię to z żalem.

Gdy szli z powrotem w stronę galer, Roland pomyślał, że człowiek u jego boku może nie żyć, nim minie jutrzejszy dzień.

Rozstali się przy trapie. Kiedy odwrócił się, żeby wejść na pokład, poczul lekkie dotknięcie ręki na ramieniu i usłyszał jeszcze łagodny głos Bajbarsa:

- Cokolwiek się stanie, stanie się z woli Allacha. Myśmy niczym, w nim jest moc.

* * *

XXXIII

Almaryk słuchał niosącego się po mieście płaczliwego nawoływania do wieczornej modlitwy, myśląc, że z rozkoszą powiesiłby tego miauczącego Saracena. Czuł się jak w klatce w komnacie przeznaczonej na bibliotekę, gdzie siedział właśnie razem z Nicolettą. Na okalających ściany półkach stały porządnie ustawione, oprawne w skórę woluminy i pudełka ze zwojami. Powiniennem wrzucić to wszystko do pieca kuchennego, pomyślał. Było coś nieprzyzwoitego w takiej masie książek. Czyż to nie one są źródłem zepsucia, wylęgarnią herezji i buntu? Ile zła wyrządziły w chrześcijańskim świecie choćby te właśnie saraceńskie albo pogańskie pisma.

Spojrzał na Nicolettę siedzącą przy stole na środku komnaty i odwracającej karty wielkiego tomu w migotliwym świetle zawieszanej u sufitu lampy.

- Tylko mi nie mów, że potrafisz odczytać to diabelskie pismo - usiłował zdobyć się na żart.

- Nie - odpowiedziała spokojnie - ale w wielu tych księgach są piękne obrazki.

Jej pełne dystansu i samodzielności zachowanie doprowadzało go do furii. Oszukiwała go, był tego pewien. Może teraz uda się wydobyć z niej prawdę. Przypomniawszy sobie, jaką ją zastał, gdy wrócił do Damiety, zrozpaczoną klęską armii, przerażoną, że muzułmanie mogą odbić miasto. Potem, kiedy jej powiedział o śmierci De Vency'ego był niemal pewien, że ją złamał do końca, ale stało się inaczej. Widział ją na spotkaniu z genueńczykami, po tym, jak ci chytry Beduini sprzedali Małgorzacie prowianty, te same, które on im sprzedał za jedną dziesiątą ceny, jaką dostali od królowej. Kiedy ten wąż Lercari powołał się na jego słowa, Almaryk mógłby

przysiąc, że zobaczył triumf w jej oczach. Gdyby nie złe obroty fortuny, mógłby już być szczęśliwie na Cyprze.

Przyglądając się jej teraz. Po raz pierwszy była razem z nim w domu od czasu jego powrotu. Czuł, że jej uroda jak zawsze go porusza, ale nie miał ochoty zlec z nią w łóżu.

Potrzeba mu było odpoczynku i snu, przepędzał bezsenne noce, zadając sobie ciągle te same pytania. Czy Turan Szach przystanie na jego warunki, czy zdradzi? Czy Ludwik zdoła powrócić cały i zdrowy, i oskarżyć go? W snach zjawiali się król, Robert d'Artois i wszyscy, których zdradził i którzy teraz nawiedzali go niczym demony. Okrzyki warty na murach zeszłej nocy skręcały mu wnętrzności. Wyobrazził sobie powracających do Damiety krzyżowców. Kiedy dzisiejszego ranka jakiś łucz-
nik zagadnął go znieacka z tyłu, zeszywniał cały i chwycił za miecz. Dobrze, że Nicoletta sypiała z królową, Bóg wie, co mógł mówić przez sen.

Zbliżała się decydująca chwila. Skrzynie ze srebrem były już u brzegów Damiety, na galerach z żaglami oznaczonymi wielkim czerwonym krzyżem templariuszy. Maurycy zawiózł wiadomość sułtanowi i wrócił z odpowiedzią, że Turan Szach przystąpi do działania za dzień lub dwa.

Zatęsknił nagle za swoimi dziećmi. To dzisiaj przecież Dzień Majowy. Tańczą tam pewnie teraz w zamku Gobignon wokół umajonego słupa. Tak bardzo chciał poczuć ręce swojej małej Izabelli oplatające się wokół jego szyi. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem Szymon będzie pewnego dnia królem Francji.

Przeklęta Nicoletta, czemuż nie dzieli z nim tych cudownych marzeń?

Patrzył, jak odwraca kolejną kartę księgi, uśmiechając się na widok oglądanych miniatur.

- Wygląda, że z radością spędziłabyś tu, pani, resztę życia, marząc nad tymi sarracenijskimi księgami.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie, panie. Teraz, kiedy mamy już pieniądze na wykup, wszyscy będziemy mogli niedługo wrócić do domu. Tym się cieszę.

Czy ona myśli, że trubadur jeszcze żyje? Czyżby mi nie uwierzyła?

Czuł, że narasta w nim wściekłość. Ciągłe ma nadzieję, że go jeszcze zobaczy, bo czemu inaczej byłaby tak piekielnie spokojna?

To ona dała królowej siłę potrzebną, żeby wytrwać w mieście. Zmusi ją, aby się przyznała do tego.

- Jesteś, pani, szczęśliwa, bo ci się wydaje, że mnie okpiłaś? - Powiedział to głośniej, niż zamierzał, niemal wykrzyczał.

- Nie mam pojęcia, o czym myślicie - odparła chłodno, kładąc dłonie na otwartej księdze i spoglądając na niego.

- Doprawdy? Powiedziałem ci, żebyś nakłoniła Małgorzatę do opuszczenia miasta. Jesteś jej najbliższa spośród świty, a ona z każdym dniem staje się coraz bardziej uparta. A te nowe zapasy żywności, myślę że i do tego przyłożyłaś rękę. Powinnaś trzymać moją stronę, a pomagasz moim wrogom. Jesteś wiarołomna.

- Wiarołomna? Oskarżacie mnie, kiedy wszystko, co czynicie, czynicie na ztratę naszego króla i jego towarzyszy?

Czerwone promienie zachodzącego słońca wpadające przez /rogowe płytki okien połyskiwały na złożonych grzbietach ksiąg. Nienawidził tych poskręcanych arabskich znaków, skrywających przed nim swoje znaczenie.

Ile powiedziała Małgorzacie?

Hugon miał rację. Powinienem być pozbyć się jej już dawno, ale nie potrafiłem. Czemu okazałem taką słabość?

Nie, to nie słabość. To miłość. Zawsze. Mogę dowodzić armiami, nawet obalić potężnego króla, ale jestem bezradny wobec tej drobnej kobiety.

- Nie pojmujesz? Król doprowadzi nas do ruiny.

- Jeśli w to wierzycie, to jesteście szaleni. Może mało wiem, ale wierzę, że król Ludwik jest najlepszym z ludzi, jacy kiedykolwiek nosili koronę Francji, a wy mówicie przeciwko niemu, bo chcielibyście tej korony dla siebie.

Mój wróg. Zawsze była mi wrogiem. Czuł się tak, jakby pchnęła go niespodzianie sztyletem. Jakże może być moją żoną, jak mogła dać mi dzieci, a przy tym widzieć wszystko tak odmiennie niż ja?

- Nie dbam o koronę, ale chcę na tronie człowieka, który będzie poważał parów królestwa i wytępi heretyków.

- Kłamiesz, Almaryku - powiedziała z zaskakującą łagodnością - może i przed samym sobą.

Jak śmie mnie osądzać ta kobieta, która obróciła się przeciw własnemu mężowi?

Czuł, jak napinają się mięśnie, stężał cały, miał ochotę ją zabić.

- Nie o króla ci idzie, tylko o twojego trubadura de Vency.

Gdybym tak mógł rzucić jej do stóp jego głowę.

- I dla mnie, i dla Rolanda de Vency król jest najpierwszą osobą - odparła spokojnie.

Jej odwaga stała się niewybaczalna. Powiem jej teraz o rzeczach, które ją zniszczą.

- To ja zabiłem de Vency'ego - zagrmiał - jam doprowadził go do śmierci. Zobaczyłem w Mansurze Egipcjan zaczajonych na dachu i posłałem go w zasadzkę. Ja. Co na to rzekniesz, pani?

Nicoletcie zdało się, jakby dźgnął ją mieczem. Była niemal zdziwiona, że na książkę, nad którą siedziała, nie trysnęła krew.

Wiedziała, czuła od samego początku, że Almaryk musiał maczać w tym palce. Do tej chwili łudziła się jeszcze, że wszystko to zmyślił, ale teraz, kiedy przyznał się do zbrodni, musiał mówić prawdę.

Co odpowiedzieć? Czy on w ogóle oczekuje, że coś powiem?

Zobaczyła ukochane, ciemne oblicze i ukryła twarz w dłoniach. Usłyszała własny szloch.

Przypomniała sobie, co Almaryk mówił jej wcześniej o śmierci Rolanda. Pohamowała wtedy żal aż do chwili, kiedy mogła być sama, za miastem. Teraz było jej już wszystko jedno. Nic już jej nie może uczynić. Srebro było na miejscu. Strzeżone przez templariuszy. Król powinien być niedługo wolny, a wtedy ukarze Almaryka.

Odjęła dłonie od twarzy. Niech Almaryk widzi jej rozpacz. Niech go ona zaboli. Widzisz, Almaryku, nikt nie będzie tak płakał po tobie.

Spojrzała na niego, wyraz jego twarzy przeraził ją. Z przekrwionymi białkami oczu i przyspieszonym oddechem przypominał rozszalałego byka.

Nagle przyskoczył do niej i uderzeniem w twarz obalił na podłogę.

Usłyszała własny krzyk. Pokój wirował przed oczami. Zwinęła się w kłębek, osłoniła głowę pięściami, ściągnęła razem kolana i łokcie, jakąś częścią świadomości oczekując nagłego ciosu miecza.

- Podnieś się, no podnieś się, a niech cię! - wrzasnął.

Uniosła głowę. Ból pulsował w skroniach, była tak ogłuszona, że książki i zwoje na półkach zdawały się tańczyć wokół niej. Poczowała, że coś kapie z dolnej wargi, dotknęła jej palcami, ich koniuszki były czerwone od krwi.

Powoli, drżąca i obolała, uniosła się z podłogi.

Stanęła na niepewnych nogach, usiłując zachować równowagę.

- Zabiłeś go, tak? A więc i ja wyjawię ci moją tajemnicę. Posłałeś go w zasadzkę, ale nigdy nie sprostalbys mu w równej walce, bo lepszy jest od ciebie. A wiesz dlaczego? Bo jest twoim bratem!

Nic nie odpowiedział, stał wpatrując się w nią, tak jakby bredziła w szale.

Pomyślała, że nie zrozumiał.

Ciągle oszołomiona uderzeniem oparła dłonie na książce, którą wcześniej oglądała. Długie czarne warkoczki dotykały kolorowej miniatury przedstawiającej kochanków w uścisku pod kwitnącym drzewem.

- Nie wiesz, o czym mówię? Słuchaj zatem. Lata temu, kiedy twój ojciec najechał Langwedocję, dostał mu się w łupie zdobyty przez Franków zamek. Jego prawowitą panią była trzynastoletnia sierota, którą poahałbił.

Opowiedziała mu całą historię, tak jak Roland opowiedział ją jej, pod dębem niedaleko Chartres. Obserwowała cały czas Almaryka, pragnąc ujrzeć, jak się ugina pod ciężarem jej słów, jak zmienia mu się twarz, najpierw gniewna, potem czerwona ze wstydu, wreszcie pobladła pod wpływem wstrząsu.

- Widzisz więc, że przez te wszystkie lata żyłeś złudzeniem, myślałeś, że to heretycy zabili twojego ojca, i nienawiść do nich zatrula ci całe życie. Tymczasem było to kilku ludzi twojej wiary, którzy walczyli o swoją ziemię.

Teraz twarz wykrzywiło mu obrzydzenie.

Cofnął się, wyciągnął rękę, by oprzeć się o półkę. Dyszał spazmatycznie. Zdawało się, że za chwilę upadnie, ale niespodziewanie wyprostował się, twarz zamieniła mu się w maskę bez wyrazu.

- Zgrabnie utkałaś tę historię, pani - powiedział lekko - dobrą opowieść, by nią dzieci zadziwiać.

Nie będzie lekko go pokonać. W jaki sposób mogłaby go jeszcze zranić?

Ogarnęło ją nagle, gorączkowe uniesienie. Uśmiechnęła się.

- Nie wierzycie mi, panie?

Spojrzał na nią niemal z przerażeniem.

- Jaki dasz dowód? - W jego głosie zabrzmiało napięcie, mimo że usiłował nadać mu normalne brzmienie.

- Żadnego - przyznała. - Myślicie, że to bajka dla dzieci, tak? A więc opowiem wam o dziecku.

Głos nie przypominał jej własnego, brzmiał teraz jak skrzek demona.

- Szymon nie jest twoim dzieckiem, ale Rolanda.

Kiedy tylko to powiedziała, zdjęło ją przerażenie. Zdradziła tajemnicę swojego życia, wystawiając na niebezpieczeństwo życie dziecka. Patrzyła z drżeniem na Almaryka.

Oczy zapadły się, oparł dłoń o stół, wyprostował się, spojrzał na nią. Twarz mu poczerwieniała, nabrzmiała, wykrzywiła w jakimś skurczu. Przypominał teraz istotę z piekła rodem.

- Właśnie skazałaś swojego syna na śmierć - wycharczał - swojego bękarta. Umrze, kiedy tylko wrócę do Francji!

- Nie!

- Ladacznica! Obmierzła, plugawa dziewczka! Nie mów mi... nie!

Przerwał, dusił się. Stał z zaciśniętymi dłońmi.

Szymonie! - coś w niej krzychało. Co ja uczyniłam? Krew nadal spływała z wargi, ale nie zwracała na to uwagi.

- Pomimo wszystko coś uczyniła, król jest zgubiony, to trup.

Pewność w jego głosie przekonała ją, że nie mówi tego tylko, by przysporzyć jej męki.

- Nie - wyszeptwała przerażona - muszą być wykupieni.

- Zginą wszyscy. Przyrzekłem sułtanowi wszystko, czego zażąda, okup, miasto i wszystkich chrześcijan w Damiecie, jeśli tylko zgładzi króla i jego ludzi. Zadbalem o wszystko.

Mówił spokojnie, rzeczowo, musiała uwierzyć, że to prawda.

Nagle ogarnął ją czarny ocean. Stała jak sparaliżowana, runęła na nią fala ciemności, pochłaniała. Przyłożyła dłoń do krwawiącej wargi, chwytając się w przód i w tył.

- Boże! Boże!

- Nie pora teraz wzywać Boga, dziewczko.

- A ty, kogo wzywasz? Diabłu służysz, Almaryku. Tylko on może doprowadzić człowieka do takich postępów.

Boże mój, czemu go nie zabiłam wcześniej, sztyletem, we śnie, trucizną?

- Powiadasz, że moja wiara diabelska? To heretyckie gadanie.

- Tak, mów, że jestem heretyczką. Tak by przecież powiedział twój brat gwałci-
ciel Hugon, gdyby nie to, że świat go już nie zdzierzył.

Wyszczerzyła zęby w jakimś grymasie, wiedziała, że znowu jej udało się go zra-
nić.

Ruszył ku niej z ręką podniesioną do uderzenia.

Stała bez ruchu, wyzywająca.

Nagle skoczyła ku niemu, sięgnęła ku rękojeści sztyletu, który miał przypasany u
boku. Nie była dość szybka. Zamknął jej dłonie w żelaznym uścisku, kiedy już na
wpół wyjęła sztylet z pochwy. Schyliła głowę i wpiła zęby w jego rękę, która zdawała
się miażdżyć jej nadgarstki.

Zaryczał z bólu.

Na moment uścisk zelżał, szarpnęła za sztylet. Była niemal wolna.

Poczuła potężne uderzenie zaciśniętą pięścią w głowę.

Uderzył raz jeszcze.

Ledwie poczuła trzecie uderzenie. Osunęła się na podłogę.

Zaśmiał się i uniósł ją niczym worek szmat. Pchnął do stołu, napierając całym
ciężarem ciała, przechylił do tyłu.

Uniósł jej suknie.

- To początek twoich upokorzeń, oby się już nigdy nie skończyły - wyszczał
przez zaciśnięte zęby.

Walczyła z całych sił, szarpiąc, kopiąc, wijąc się. Przez chwilę udało się go po-
wstrzymać.

- Dalejże, walcz - roześmiał się - lepsze to, niż kiedy leżysz niczym martwa.

- Nie, nie zrobisz tego, już mnie raczej zabij! - krzyczała.

Pchnął ją do tyłu, siłą rozwierając uda.

Próbowała rozorać mu twarz paznokciami, ale przycisnął jej dłonie do stołu.

Po chwili było po wszystkim jak u kozła na rykowisku. Leżał na niej, dysząc. Od-
sunęła głowę i plunęła mu w twarz.

Znowu uderzył otwartą dłonią, rozcinając jej jeszcze raz wargę.

Zwijając się z bólu, zwymiotowała na arabski dywan, jakby chciała wyrzucić z siebie całe pohańbienie.

Ucisk w żołądku ustąpił, osunęła się z płaczem na podłogę.

Almaryk podszedł do kutek krat, które oddzielały tę część domu od reszty pomieszczeń. Wydobyl z sakiewki u pasa klucz i nie oglądając się na nią, zamknął za sobą przejście.

- Maurycy, Maurycy - jego nawoływanie niesło się po korytarzach domu.

Czuł się tak, jakby jego ciało przeszywał żelazny grot kopii. Jakiś wewnętrzny głos w nim oplakiwał podwójną stratę - żony i syna. Będzie musiał zabić teraz Szymona, ale to ona wydała na niego wyrok śmierci.

Dojrzał nagle w buzi dziecka twarz Rolanda de Vency'ego.

Boże, przecież to *moja* twarz. W głowie wirowało. Mój ojciec, to jego ojciec. Być nie może! Kłamstwa. Jestem chory. Nie zwracałbym na nie uwagi, gdyby nie to, że tak mało ostatnio miałem snu. Powiniennem ją zabić.

Znaleźć tylko ciało de Vency'ego, wyrwać serce i dać jej do zjedzenia.

U dołu schodów pojawiła się kobieta w błękitnej sukni.

- Słyszałam wasze wołanie, panie.

Spojrzał. Chuda, wyniszczona twarz ze śladami dawnej urody. Wylęknione brązowe oczy. Agnes, doncella Nicoletty.

Do diabła! Trzeba ją trzymać z dala od Nicoletty, bo tamta wszystko gotowa jej powiedzieć.

Cała wściekłość skupiła się teraz na Agnes. Następna przeklęta langwedocka dziewczka jak Nicoletta i Małgorzata. Pewnie nosiła liściki Nicoletty i trubadura. Może wie nawet o Szymonie.

Tej myśli by nie zniósł.

- Pani cię potrzebuje, chodź ze mną.

Odwrócił się, nie czekając, i zaczął znowu wchodzić po schodach. Słyszał za sobą jej kroki. Poczekał, aż znaleźli się koło pustej komnaty.

Obrócił się i chwycił ją za gardło. Palce zacisnęły się na tchawicy, dławiąc krzyk. Wciągnął ją do mrocznej komnaty. Walczyła z nim, okładając pięściami, ale nawet nie czuł jej razów. Patrzył, jak ciemnieje jej twarz, spojrzał na mozaikę na ścianie, wbił w nią wzrok, coraz mocniej i mocniej zaciskając palce.

Zdawało się, że nigdy nie umrze.

Puścił wreszcie, kiedy poczuł, że ciało staje się bezwładne. Kiedy znieruchomioło, pozwolił mu osunąć się na podłogę. Przyłożył dłoń do piersi, ale nie wyczuł bicia serca. Zdarł ze ściany jakąś tkaninę, rzucił ją na Agnes i wyszedł.

Niechby Nicoletta ją teraz zobaczyła, ale nie ma na to czasu.

Na pierwszym piętrze znalazł Maurycego i powiedział mu część z tego, co zaszło między nim a Nicolettą.

Stary patrzył na niego zdumiony.

- Dlaczego, panie? Dlaczegoście aż tyle zdradzili pani?

- Mówię ci, że się pokłóciliśmy. Nie zadawaj pytań, głupcze. Dopilnuj, żeby siedziała cicho pod kluczem, póki nie będziemy wiedzieli, że z królem i resztą już koniec. Jeszcze jedno musisz dla mnie zrobić. Musiałem zabić pannę Nicoletty.

W oczach Maurycego pojawiło się przerażenie i ból. Na świętego Dominika, co mu zawiniła ta dziewczka? Ale zapytał tylko: - Czy pani wie?

- Nie. Pozbądź się ciała z domu, nim się ktoś dowie.

Maurycy kiwnął głową, odwracając wzrok.

- To łatwe, panie. Kiedy po zmroku pojawi się wóz po zmarłych, tam ją rzucę, a reszcie służby powiem, że to się stało niespodzianie. Będą się bali zbliżyć do ciała. Pochowają ją we wspólnym grobie w środku miasta, bez żadnych pytań. Ludzie mrą teraz codziennie.

- Zrób tak i pamiętaj, żeby nikt nie zobaczył ciała, nim się jej pozbędziesz.

Maurycy ciągle nie patrzył na niego.

- Ale dlaczego musieliście ją zabić, panie? Czy coś wiedziała?

- Przestań pytać, głupcze!

- Nie, panie - wyszeptał Maurycy za odchodzącym Almarykiem.

O zmroku Almaryk dosiadł swojego konia, jednego z niewielu, jakie jeszcze zostały w Damiecie, i ruszył ulicami miasta. Minął długi grób przed pałacem namiestnika, w którym miała zniknąć bez śladu Agnes. Skręcił i skierował się ku południowej bramie, największej z czterech bram Damiety. Zostawił wierzchowca pod opieką strażnika i wspiął się na wieżę. Szedł powoli, ciężko powłócząc nogami. Ciągle

jakiś pełen męki głos wewnętrzny krzyczał w nim, Szymon! Szymon! Ból biegł wzdłuż krzyża, przenikał całe ciało.

A ja myślałem, że pewnego dnia będzie królem. Zdawało mu się, że traci zmysły, straciwszy wszystko jednej nocy.

Stał na platformie wieży, oparty o parapet z piaskowca wpatrywał się w Nil. Wokół połyskującej purpurowo rzeki czerniały moczary i rozlewiska. Gdzieś, kilka mil w górę rzeki, był Ludwik ze swoimi ludźmi. Nicoletta powinna zobaczyć, jak umiera. Boże, jakbym chciał, żeby to ujrzała. Czym jej za to wszystko odpłacić?

Wrócić i zabić ją teraz? Boże, kochałem ją przez tyle lat. Na marne. Zdradliwa suka.

Nie, wezmę ją z powrotem do Francji. Niech się dowie o moim triumfie, gnijąc w lochu. Niech cierpi tortury, niech zobaczy śmierć tego bękarta Szymona, którego poczęła z de Vencym. Mój mały, biedny Szymonie, kochałem cię. Czuję wzbierającą, dławiącą go żalność.

Nagle przyszedł mu do głowy nowy pomysł tak przebiegły, że wprawił go niemal w uniesienie. Zmuszę ją, żeby zabiła Szymona własnymi rękoma. Pod torturami człowiek zrobi wszystko.

A ta heretyczka, która zginęła razem z Hugonem? Torturował ją przecież bez końca, a mimo to się nie poddała. Wiedzieliśmy, że de Vency był jej opiekunem, ale nigdy z niej tego nie wydobyliśmy.

Na Boga, to de Vency jest przyczyną wszystkiego. Wiele bym dał, by dostać go jeszcze żywego.

Ale żeby on - moim bratem?

Spojrzał w wielkie gwiazdy, które migotały tak blisko przed oczyma niczym świetliki.

- Nie! - ryknął na głos, waląc pięścią o kamienie. Ból przeszył ramię, przynosząc chwilową ulgę. Bił zaciśniętymi knykciami w nieczuły piaskowiec, póki ręka nie odrętwiała, jakby i ona była z kamienia.

Miał uczucie, jakby przebudził się nagle z nocnego koszmaru.

Co ja robię?

To ona, przez nią miesza mi się w głowie.

Zabrać ją do Francji? Nie, jakże tak? Trzeba zabić ją tutaj, ale najpierw niech cierpi, niech cierpi taki ból, jaki mnie zadała.

Niech zobaczy, jak gwałcą jej ukochaną Małgorzatę i jak mózg małego infanta rozpryskuje się o ścianę. Potem oddam ją w niewolę Saracenom. Na kolana. Na całe życie.

Nie, nie. Jest sprytna, jeszcze sprawi, że jakiś Egipcjanin ulituje się nad nią. Oszpecę ją tak, że będzie mogła być tylko dziewczką zdatną dla najgorszej kreatury.

Dość jeszcze czasu, żeby coś obmyślić. Klnę się, że nim umrze, pomszczę się, jak tylko będę potrafił.

* * *

XXXIV

Roland oparł się o reling więziennej galery. Jego uwagę przyciągnęło gwałtowne poruszenie w obozie sułtana. Drżał z napięcia. Cały ranek i popołudnie, po nocnej rozmowie z Bajbarsem, czuł się nieswojo.

Zaczyna się. Co? Bunt mameluków? Masakra zaplanowana przez Almaryka?

Jean de Joinville, który stanął koło niego, wykrzyknął:

- Na Boga, tam kogoś zabijają. Kto to?

Z głównego pawilonu wybiegli jacyś ludzie. Złote światło popołudnia połyskiwało na zbrojach i zakrzywionych szablach.

Roland i de Joinville przechylili się przez burtę, chcąc lepiej zobaczyć, co się dzieje. Na przodzie biegł jakiś Turek w rozwianych czerwono-zielono-niebieskich szatach. Zaciskał mocno nadgarstek. Wolna ręka, którą wyciągał przed siebie, spływała krwią. Biegł w stronę rzeki, niezgrabnie z powodu ułożenia rąk. Kiedy zbliżył się do galer na tyle, że można było zobaczyć jego twarz, Roland otworzył szeroko usta ze zdumienia i przerażenia. Rozpoznał sułtana Egiptu Turana Szacha.

- Mordują swojego sułtana - wykrzyknął, uderzając w plecy kronikarza - idźcie, panie, powiedziec królowi.

De Joinville szybko się oddalił.

Za sułtanem pojawiła się na trawiastym zboczach grupka wojowników w powłóczystych białych szatach, z obnażonymi szablami. Roland rozpoznał w nich mamelukich dowódców, których widział wcześniej na radach u sułtana. Pośród nich dojrzał górującego nad innymi wzrostem Bajbarsa. Posuwali się niespiesznie, świadomi celu, nieubłagani.

Gdzie podziła się straż przyboczna sułtana?

Roland przypomniał sobie, jak Bajbars mówił, że wydał pieniądze, które dostał za prowianty dostarczone do Damiety. Musiał więc przekupić gwardzistów. Naprawdę mają zamiar to zrobić - zabiją Turana Szacha. Nadzieja mieszała się z lękiem. Widział już tyle pozornych zwycięstw, które obracały się w klęskę.

Dojrzał wreszcie przy namiocie sułtana żołnierzy z jego straży. Zamiast biec na pomoc swojemu władcy, cięli sznury jego namiotu, niektórzy z nich rzucili się na rozkrzyczanych dworzan i sługi. Zobaczył głowę, która wystrzeliła nad trawy, jak pocisk wyrzucony z katapulty, po czym wylądowała u podnóża zbocza.

Nie wstrząsnęło to nim. Święty Michale, widziałem już tyle straszliwych rzeczy. Byłoby mi obojętne, czy to głowa człowieka, czy ptaka?

Turan Szach był już przy wieży, z której zwykł przyglądać się swoim więźniom. Na jej platformie stało właśnie trzech starszych mężczyzn w białych szatach mułłów. Sułtan zaczął gramolić się na górę po wąskich, drewnianych stopniach, znacząc drogę smugą krwi. Kiedy wspiął się na górę, mułłowie podnieśli krzyk, wymachując na niego rękami. Wyglądało na to, że go odpędzają, bojąc się o własne życie.

Mamelucy otoczyli wieżę, rozprawiali coś między sobą i grozili sułtanowi bułtami, wzywając go do zejścia. Bajbars stał z boku, wyniosły, z założonymi rękoma, pan tego widowiska paniki i zbrodni.

Galera zachwiała się pod tupotem setek nóg. Na pokład wbiegli pędem uwięzieni krzyżowcy, przypadając do relingów. Niektórzy śmiali się, wznosili nawet jakieś radosne okrzyki pod adresem mameluków. De Joinville stanął ponownie koło Rolanda.

- Król znowu ma gorączkę, ale ubiera się - oznajmił krótko.

Roland zastanawiał się, jak król zareaguje na rozgrywającą się scenę.

Mamelucy krzyczeli coś do mułłów, przynaglali ich do zejścia, dając do zrozumienia pełnymi szacunku gestami, że święci mężowie nie mają się czego lękać. Kapłani naradziwszy się między sobą, pośpiesznie zeszli na dół. Turan Szach przywarł do platformy niczym do grzędy. Mamelucy pokłonili się mułłom, którzy nie patrząc za siebie, czym prędzej czmychnęli swoją drogą.

Zbliżył się teraz jakiś przyboczny sułtana z białą kulą wielkości ludzkiej głowy, którą niośł na wyciągnięcie ręki. Roland rozpoznał pęcherz zrobiony z krowiego żołądka. Odgadł, że kryje on grecki ogień. Ciarki przeszły mu po plecach. Mamelucy emirowie cofnęli się, żołnierz zakreślił pęcherzem nad głową i umiejętnie wycelował w platformę. Pęcherz wylądował, buchając płomieniem.

- Widziałeś kiedy piękniejsze widowisko? - zarechotał de Joinville.

Nie odpowiedział, myśląc o płomieniach, które widział wcześniej, pod Mont Ségur, pod Mansurą, trawiące jego miotacze kamieni. Ten bunt też był niczym ogromny płomień, który mógł się rozszerzyć i strawić ich wszystkich. Co się stanie z nimi, gdy mamelucy skończą już z sułtanem? Przeniknął mu przed oczami obraz żołnierzy wpadających na galery z bułatami zwróconymi przeciw niemu i jego towarzyszom. Miał puste dłonie, słabe ramiona.

Turan Szach zbiegał na dół. Mamelucy stanęli u stóp wieży gotowi na spotkanie. Kiedy dotarł na wysokość ich głów, nagle skoczył ku rzece. Twardo uderzył o ziemię, potoczył się kilka kroków, wstał. Mocno utykał, zyskał jednak kilka cennych chwil. Dopadł brzegu wcześniej niż jego prześladowcy. Rolandowi zrobiło się żal sułtana. Czuł niemal jego ból, desperacką chęć życia. Turan Szach odwrócił się w stronę ścigających, krzychał coś do nich w gniewie. Roland domyślał się, co krzyczy.

Jest ich sułtanem, wyniesionym nad innych z woli Allacha. Podnosząc rękę na niego, czynią zamach na jego wielkiego przodka, Saladyna.

- Psy! - głos Ludwika drżał z oburzenia. - On jest bez broni. Nie mają dość honoru, żeby pozwolić mu się bronić.

Roland obrócił się. Długą twarz Ludwika wykrzywiła boleść. Był blady, drżał. Obawiając się, żeby król nie upadł, Roland ujął go pod ramię i podprowadził do relingu.

Usłyszał krzyk na brzegu rzeki i dojrzał, jak jeden z emirów zadaje Turanowi głęboki cios między żebra.

- Dość, bydlęta, dość! - krzychał król. - Odpowiedcie za to przed Bogiem!

Teraz nie było już powodów dochowywać sekretu powierzonego mu przez Bajbarsa.

- Sire, sułtan knuł intrygę, która miała przynieść śmierć nam wszystkim. Chciał wziąć okup, Damietę i zabić nas.

Ludwik spojrział na Rolanda swoimi wielkimi oczami.

- Zawsze podejrzewałem, że tak uczyni, ale jakie masz dowody?

- Bajbars zdradził mi tę tajemnicę ostatniej nocy.

- Sułtan ciągle próbuje im ująć - krzyknął zdumiony de Joinville.

Turan Szach z bułatem między żebrami obrócił się w stronę rzeki, na wpół padając, na wpół nurkując, rzucił się w zamuloną wodę.

Obok miejsca, gdzie się zanurzył, stały na brzegu długie łodzie. Brodząc po kolanach, mamelucy ściągnęli jedną z nich i skoczyli do środka. Trzech z nich odbijało ją bosakami w kierunku głównego nurtu, śmiejąc się i nawołując jak rozradowani polowaniem myśliwi.

Rolandowi coraz bardziej żal było sułtana. Czemu nie zostawią go już w spokoju? Zdał sobie nagle sprawę, dlaczego było to niemożliwe. Gdyby pozostawili go przy życiu, Turan Szach znalazłby lojalne oddziały i ruszył przeciw nim.

Ciekaw, co się stanie dalej, przebiegł na drugą burtę galery. Setki jeńców uczyniły to samo. Stary okręt przechylił się niebezpiecznie.

Turan Szach płynął na środek rzeki. Roland podziwiał, że pomimo strasznych ran miał jeszcze w sobie tak wiele siły. Może rzeczywiście odziedziczył coś z mocy Saladyna.

Gdzie król?

Nie dojrawszy go przy burcie, obrócił się i poszukał wzrokiem. Ludwik klęczał na środku pokładu z zamkniętymi oczami, ze złożonymi rękoma, poruszając wargami w niemej modlitwie. Widok króla modlącego się za swojego wroga zdjął go gniewem.

Niech niebo ma nas w opiece, pomyślał Roland zdjęty nagłym lękiem. Jeśli tak współczuje sułtanowi, nie będzie chciał układać się z mamelukami. Przed chwilą nazwał ich bydłętami. Co będzie, jeśli obrazi ich znowu, a oni zrozumieją jego obelgi? Wyrzną nas.

Krzyżowcy coś krzyczeli jak widzowie oglądający turniej. Spojrział ponownie w stronę rzeki, łódź mameluków zrównała się z sułtanem. Usiłowali dosięgnąć go

bosakami, okładali nimi, siekli szablami. Pośród wzbijanych ich uderzeniami fontann wody, Roland ledwie widział samego Turana Szacha.

Rozkrzyczani krzyżowcy zamilkli ogarnięci grozą.

Mamelucy przyciągnęli Turana Szacha do burty łodzi, dźgając sztyletami. Jeden z nich pochwycił go za włosy i tak ciągnął za wracającą do brzegu łodzią.

Trudno było powiedzieć, czy sułtan jeszcze żyje. Woda wokół zabarwiona była na czerwono.

Krzyżowcy znowu przebiegli na drugą burtę zobaczyć, jak mamelucy wyciągają swojego władcę na brzeg. Z jego jedwabi pozostały zbroczone krwią, ubłocone strzepy.

Podszedł Bajbars z bułatem w dłoni. Stał nad sułtanem, Rolandowi wydawało się, że Turan Szach się poruszył. Nagle Bajbars pchnął go bułatem w pierś. Ciałem wstrząsnęły drgawki - sułtan znieruchomiał. Emir wytarł krew z klingi krajem białej szaty, zostawiając na niej długi czerwony ślad. Rozmyślnie znaczy się krwią sułtana. Omiótł wzrokiem zebranych mameluków, schował szablę i odszedł.

Jeden z emirów wysoko uniósł szablę, po czym z głośnym okrzykiem zatopił ją w piersi sułtana. Rzucił się na zwłoki, zanurzając dłoń w ranie. Zaraz się podniósł z kawałkiem ociekającego krwią mięsa w dłoni.

- Dobry Jezu! Wyrwali mu serce! - szepnął de Joinville.

Roland czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Szybko się odwrócił z dłonią przy ustach. Nie zobojętniał, tak jak myślał.

- Niech Bóg ma w opiece jego duszę - powiedział cicho Ludwik, który przed chwilą wrócił do burty.

Niech Bóg ma teraz w opiece nas wszystkich. Rolandowi zadrżały kolana, kiedy sobie uświadomił, że będą mieli zaraz do czynienia z tymi samymi mamelukami.

Mógł dojrzeć Bajbarsa stojącego samotnie na szczycie wzniesienia, gdzie płonęły namioty sułtana. Emir przyglądał się z uśmiechem tej scenie. Od niego teraz zależy, co się z nami stanie.

Potomkowie Saladyna nie będą już panować nad Egiptem. Byłaby z tego smutna pieśń, choć krwawa i odrażająca.

Poczuł lodowaty dreszcz na plecach, kiedy zobaczył radość mameluków. Zawodzili i śpiewali na swoją saraceńską modłę. Tańczyli wokół zmasakrowanego ciała,

prowadzeni przez tego, który wyrwał serce. Wywijali mieczami. Na brzegu była już grupka muzyków z bębnami, tamburynami i obojami.

Płonąca wieża zawałiła się raptem i na moment zapanowała cisza, po czym wrzaski i śmiechy buchnęły znowu ze zdwojoną siłą.

Zaraz sobie o nas przypomną.

Bajbars stał ciągle samotnie, zadowolony, uśmiechnięty, ale zachowujący dystans. W pewnej chwili emirowie oddali mu hołd obnażonymi mieczami. Przyjął go skinieniem głowy, odwrócił się i zniknął w mroku zapadającego wieczoru.

Kiedy po zabiciu sułtana, naznaczył swoją szatę krwią, chciał pokazać mamelukom, że jest jednym z nich, ale potem zachowywał dystans dla podkreślenia, że jest ponad nimi.

Zniknięcie emira przstraszyło Rolanda. W jego obecności czuł się bezpieczniejszy wobec szau, który ogarnął mameluków. Pod nieobecność Bajbarsa można się było spodziewać wszystkiego.

Ledwie to pomyślał, zobaczył, jak jeden z nich wskazuje w stronę galer. Wyglądali przerażająco w jasnych szatach splamionych krwią, łyskający zębami niby wilcze kły. Pośród śpiewów, krzyków, śmiechów Roland nie był w stanie dosłyszeć ani jednego słowa. Cała grupa licząca dwunastu mężczyzn skierowała się w stronę galer, na której był król i jego bracia.

Wchodzili na pokład, jakby pogrążeni w transie. Bezbronni, obdarci krzyżowcy ustępowali z drogi. Na czele szedł emir z sercem sułtana, kierując się prosto do króla.

Kto ich powstrzyma w tej żądzy krwi przed zabiciem nieprzyjacielskiego króla? Nie my przecież. Możemy ich tylko powstrzymać dopóki nas wszystkich nie zabiją. Mimo to Roland, de Joinville i kilku innych otoczyło Ludwika ochronnym kręgiem.

Do emira podbiegli chłopcy z pochodniami, przyświecając ponurej postaci z sercem w wysoko uniesionych dłoniach, Roland poczuł kolejny atak mdłości. Czyjaś ręka pchnęła go delikatnie choć zdecydowanie. Znalazł się u boku króla, który wsparł się na nim.

Emir skłonił się przesadnie i zaprezentował serce niczym rzadki rarytas.

- Jaką nagrodę dasz nam, o królu, za serce twojego wroga? Umarł od ognia, wody i żelaza. Gdyby żył jeszcze, ty zginąłbyś z jego ręki.

Roland przetłumaczył pytanie Ludwikowi, który spoglądał lodowato na mame-luka. Kości policzkowe rysowały głębokie cienie na jego twarzy oświetlonej światłem pochodni.

- Powiedz mu, że nie mam nic prócz pogardy dla ludzi, którzy mordują swoje-go władcę.

Roland zamarł. Tak jak się tego obawiał, poczucie honoru Ludwika mogło stać się przyczyną zguby ich wszystkich.

- Nasz król powiada, że szanował sultana jako swego brata pośród władców. Pyta, jakimi to występkami zasłużył na śmierć?

- Czy twój pan chce mnie osądzać? - zapytał gniewnie mameluk. - Uratowałem mu życie i oczekuję nagrody. A więc dobrze! - Z głuchym plaśnięciem serce uderzyło o pokład.

Roland czym prędzej odwrócił głowę. Emir krzyczał.

- Wiemy, jak odpowiedzieć na taką niewdzięczność! Wszyscy w szeregi, kładź-cie się na pokładzie.

Członki miał jak z waty, gdy tłumaczył ostatnie słowa najbliższym stojącym. Jesteśmy już martwi. Za chwilę posiekają nas na kawałki, tak jak to uczynili z Turanem Szachem.

Zobaczył, że więcej mameluków wchodzi na pokład, chcąc pomóc swoim emi-rom. Ten, który mówił z Ludwikiem, odwrócił się, by przekazać reszcie swoje rozka-zy.

Jęcząc i wzdychając, popychani przez Saracenów krzyżowcy kładli się na de-skach galery.

Dwóch mameluków pochwyliło Ludwika i zaczęło odciągać go od jego ludzi. Ro-land przepchnął się do króla, gotów w razie potrzeby rzucić się na ostrza szabli.

- Rób, co każą, Rolandzie - powiedział Ludwik. - Jeśli Bóg dozwoli, powinniśmy przeżyć tę noc.

Powiedli go w stronę namiotu na rufie, gdzie on i bracia mieli swoje miejsce.

Resztę krzyżowców zmuszono, by legli na pokładzie w rzędach. Po dwu stronach Rolanda znaleźli się hrabia Piotr z Bretanii i sire de Joinville.

- Rolandzie, wysłuchasz mojej spowiedzi? - zapytał kronikarz.

- Nie jestem księdzem - odpowiedział Roland zakłopotany prośbą.

- To nic. Wyznam ci wszystkie grzechy i będę za nie żałował a może pójdę do nieba, kiedy utną mi głowę.

De Joinville zaczął mamrotać katalog swoich grzechów. Mówił, że nie spowiadał się od chwili, kiedy Saracenowie wymordowali wszystkich kapłanów pod Mansurą. Roland próbował nie słuchać go, co nie było trudne, zważywszy strach o króla i o siebie. Kiedy kronikarz skończył, Roland odpuścił mu wszystkie grzechy i nawet go przeżegnał, choć czuł się idiotycznie.

- Teraz ja wysłucham twojej spowiedzi - zaofiarował się de Joinville.

- Bardzoście łaskawi, ale wolałbym pogodzić się z Bogiem we własnym sercu.

Nim ostrze dotknie karku, jakie powinny być moje ostatnie myśli? Powinienem czuć się wdzięczny i szczęśliwy, że dane mi było przed śmiercią kochać dwie najwspanialsze kobiety, jakie kiedykolwiek chodziły po tej ziemi.

Przygotował się na nadejście śmierci.

Na takich czuwaniach minęła najdłuższa noc w życiu Rolanda.

Tysiące ptaków gnieźdzących się w szuwarach nad Nilem zaczęło swój śpiew i Roland ujrzał wokół siebie światło.

Słońce już stało wysoko, gdy usłyszał wracających emirów. Już z daleka dochodziły jego uszu wydawane przez nich rozkazy. Teraz niewolni wojownicy Egiptu powinni przypaść do nich ze swoimi mieczami.

Jakiś głos zakrzyknął po arabsku: - Gdzie jest Frank, zwany Rolandem?

Zastanawiając się, czy właśnie nadeszła jego ostatnia chwila, usiadł i natrafił na wzrok stojącego przed nim mameluka z włócznią.

- Pójdź - odezwał się strażnik - twój król cię wzywa.

Rozprostowując zdrtwiałe członki, Roland podniósł się powoli. A więc król żyje jeszcze! Chęć ujrzenia Ludwika dodała mu sił.

Zobaczył, że mamelucy pozwolili krzyżowcom siadać, wstawać, ruszać się po pokładzie. Powłócząc nogami, poszedł posłusznie za strażnikiem.

Ludwik, w czarnym płaszczu podarowanym mu przez sułtana, stał w otoczeniu emirów na trapie.

- Wygląda na to, że idziemy do jaskini Pantery - odezwał się Ludwik. - Kiedy zacznie ryczeć, ty musisz być moim głosem.

Kiedy zeszli na łąd, Roland zobaczył, że w nocy uprzątnięto spalone namioty sułtana, a na szczycie wzniesienia pojawił się mniejszy namiot, połyskujący chłodną bielą w świetle poranka. Stały przed nim dwa maszty, na jednym powiewał żółty sztandar z czarnym arabskim napisem: „W imię wiary śmierć wrogom islamu”, na drugim purpurowo-żółty Oriflamme królestwa Francji. Ludwik jęknął głośno i zapłakał na ten widok. Musiał zatrzymać się na chwilę, by opanować wzruszenie.

Roland nie widział Oriflamme, od kiedy zdobyto go pod Mansurą. Widok wziętego do niewoli sztandaru wycisnął mu łzy z oczu. Wprawdzie nie był krzyżowcem, ale ten sztandar stał się częścią jego życia. Dla niego uosabiał nie wojenną chwałę, lecz Ludwika i jego wizje.

Czy może być porozumienie między królem, namiętym katolikiem, a Bajbarsem, fanatycznym muzułmaninem? Czy żal Ludwika dla zamordowanego sułtana i pogarda dla jego morderców nie sprawi, że obrazi Bajbarsa? Na cienkim włosku zawisło ich życie.

Roland był sztywny ze strachu, kiedy wszedł za Ludwikiem do namiotu Bajbarsa. Stanowił on jedną dużą przestrzeń. Cztery słupy z czarnego, połyskliwego drewna podtrzymywały strop. Podłogę zaścielały arabskie dywany. Bajbars w czerwonej szacie i żółtym turbanie siedział na podłodze oparty o wysadzane drogimi kamieniami siodło. Obok niego stała mała mahoniowa szkatuła.

Jednooki emir podniósł się na ich przywitanie, po czym gestem wskazał, by usiedli. Mułła, być może jeden z tych, którzy umknęli z wieży zeszłego wieczoru, siedział nad otwartym Koranem, rozłożonym na ozdobnym czytniku.

Kiedy Ludwik i Roland usiedli, przerwał czytanie - „Słońce, księżyc i gwiazdy, wszystko toczy się swoją koleją”. Zamknął księgę, wstał, Bajbars pokłonił się przed nim z szacunkiem i kapłan wyszedł. Zostali we trzech.

- Nim zaczniemy mówić o poważnych sprawach, zechciejcie zjeść ze mną poranny posiłek.

Klasnął w dłoń i blondyn, którego Roland widział już usługującego Bajbarsowi w Mansurze, pojawił się z plasterami melona, paterą pomarańczy i daktyli oraz

kubkami świeżej, zimnej wody. W małej miseczce była sól, obok taca z okrągłymi, płaskimi plackami chleba. Widok tacy przywrócił Rolandowi nadzieję.

- Częstoje was, panie, chlebem i solą - tłumaczył Roland po francusku - to znaczy, że jesteście jego gościem. Według prawa gościnności islamu, kiedy skosztujecie tych darów, nie może się wam stać nic złego.

- Skosztuję natychmiast - odrzekł Ludwik z uśmiechem, sięgając po kawałek solonego melona i ułamując kęs placka chlebowego. Bajbars przyglądał mu się z domyślnym uśmiechem, wyraźnie rozbawiony, że Ludwik zabrał się tak szybko za chleb i sól. Roland z ulgą odnotował dobry nastrój obydwu rozmówców.

- Dziękuję, Daoud.

Młodziak skłonił się i wyszedł.

- Gładki młodzieniec - powiedział Ludwik - mógłby być Francuzem.

- Anglik - odparł Bajbars z uśmiechem, kiedy Roland przetłumaczył uwagę Ludwika. - Miał szczęście trafić do mnie po bitwie pod Gazą. Dość był młody, by przyswoić sobie nauki Proroka. Jest teraz jednym z nas.

- Jaka szkoda, że taki młodzieniec stracony jest dla prawdziwej wiary - odpowiedział Ludwik.

Roland przełożył z ociąganiem, Bajbars się roześmiał.

- Prawdziwa wiara! O, królu, jak możesz jeszcze mówić, że twa wiara jest prawdziwa, kiedyś tyle ucierpiał? Tysiące twoich ludzi oddało życie, twoje nadzieje na zwycięstwo legły w gruzach. Czy ciągle wierzysz w Boga, w Imię którego walczyłeś?

- Ciągle jestem jego sługą.

- Jeśli Allah wydałby mnie na taką próbę, na jaką twój Bóg wydał ciebie - mówił Bajbars, przekrzywiając lekko głowę tak, żeby wycelować spojrzenie swojego jednego oka w Ludwika - zapewne zaparłbym się go.

- Jakiś zabił swego sułtana, kiedy był ci nie po myśli. To pewne, że brak w twym sercu wierności, panie.

Roland zdrętwiał. Bajbars wpadnie w szał, słysząc, że poddaje się w wątpliwość jego honor.

Ta rozmowa nie powinna zostać zerwana, zanim się jeszcze nie zaczęła. Nie mógł przetłumaczyć królewskich słów.

Odezwał się do Bajbarsa po arabsku:

- Bóg czasami zsyła na nas ból i nakazuje cierpieć, by wypróbować nasze posłuszeństwo Jego woli, panie.

Bajbars przytaknął.

- Bóg objawia się wszak jako Bóg prawdziwy, pozwalając swojemu ludowi triumfować na ziemi. Allach długo wystawiał na próbę wierność wyznawców islamu. Czyż nie dopuścił, żebyście wy, Frankowie, przyszli tutaj zagarnąć Jerozolimę i utrzymali ją przez sto lat? Potem zesłał wielkiego Saladyna, niech spoczywa w pokoju, żeby ją wam odebrał. Potem, jak sułtan Ajub w swojej łaskawości i na mocy paktów oddał wam ją znowu, Allach zezwolił mnie, swojemu niegodnemu słudze, gdy ponad wszelką miarę chrześcijanie nadużyli naszej cierpliwości, znowu wziąć miasto. Minął wreszcie czas naszej próby. Allach da swojemu ludowi wiele świetnych zwycięstw. Nasz triumf nad waszą wyprawą to zaledwie początek. Z jego przyzwoleniem wypędzimy z tej ziemi ostatniego chrześcijanina, a wtedy wszyscy ludzie poznają, że Allach jest Bogiem prawdziwym i jedynym.

Bolesne było tak siedzieć tu spokojnie i wysłuchiwać argumentów, tłumaczyć słowo po słowie i lękać się cały czas o życie. Czekał z drżeniem na odpowiedź Ludwika.

- Mój Bóg większe ma dla mnie dary niż zwycięstwa w wojnach. Dzięki niemu wiem, co jest słuszne. Kiedy z jego pomocą czynię to, co słuszne, nie muszę się lękać, czy moje uczynki obrócą się w ziemski triumf, czy zamienią w klęskę.

Kiedy Roland przełożył, na twarzy Bajbarsa odmalowało się zdziwienie.

- Dziwna religia. Wierzycie, że wielki prorok, Jezus Mesjasz, został zamordowany jako zwykły przestępca. Wywołujecie wojnę, powiadając, że czynicie tak z Bożego nakazu, a nie oczekujecie w niej zwycięstwa. Jakże możecie wiedzieć, co jest słuszne, kiedy nie ma po temu żadnych znaków?

O to samo mógłbym spytać, pomyślał Roland.

- Nie trzeba mi widomych znaków. Znak jest tutaj. - Ludwik dotknął końcami palców chudej piersi. - Bóg pomaga me wierzyć.

Roland pomyślał o Dianie, która tyle wycierpiała i poszła na stos za to, w co wierzyła.

Bajbars coś mówił, ale Roland nie słyszał go pogrążony we własnych myślach. Jeśli nauka jest prawdziwa, to czy to, że umrę, że kogoś zabiję, czyni ją bardziej albo mniej prawdziwą? Czy to możliwe, że ci, którzy wierzą, umierają i zabijają dla swojej wiary dlatego, że nie mają pewności, czy to, w co wierzą, jest rzeczywiście prawdą? „W imię wiary śmierć wrogom islamu”. Tak, ponieważ wiara poddawana w wątpliwość, zawsze jest zagrożona.

- Twoje myśli gdzieś błądzą, Franku - odezwał się ostro Bajbars. - Tłumacz swojemu królowi, com właśnie rzekł.

- Emir pyta, czy wierzysz, panie, że Bóg da chrześcijaństwu zwycięstwo nad islamem. Czemu go nie spytać - dodał szybko od siebie - dlaczego nasze obydwie wiary nie miałyby żyć obok siebie w pokoju, tak by żadna nie musiała szukać zwycięstwa nad drugą?

Porwał go uniesienie. Ilu zwykłych śmiertelników miało kiedykolwiek podobną sposobność? W rękach tych dwóch mężczyzn leży przyszłość ludów. Powinien uczynić coś, by zrozumieli, jak bardzo pragnie końca tej wojny. Jeśli tego nie zrobi, nigdy sobie nie wybaczy.

Ludwik wyglądał na zdumionego propozycją Rolanda.

- Jeśli dwie religie nauczają tak przeciwnych rzeczy, jedna z nich musi być słuszna a druga fałszywa i ta, która jest słuszna, musi w końcu zwyciężyć.

- O czym mówicie? - przerwał im Bajbars.

Roland przetłumaczył ich rozmowę.

- Twój król ma rację. Jedna jest tylko prawda i wreszcie cały świat ją dojrzy. Twój król i ja zgadzamy się co do tego. Różnimy się tylko tym, po czyjej jest ona stronie. Wierzę mocno, że któregoś dnia cały świat przyjmie islam za swoją wiarę.

- Emirze, zwycięstwo w walce pokazuje ledwie, który z przeciwników jest bardziej bitny. To nie dowód na słuszność tego, za co się biją. W naszym kraju z zakazu tego oto króla wojna nie jest już próbą. Sam rzekłeś, że strach jest złym kaznodzieją - wypowiedział na głos swoje myśli Roland.

- Prawda, ale ostateczne zwycięstwo wojowników islamu będzie dowodem, że Allah jest Bogiem prawdziwym.

Rozwiewały się nadzieje na porozumienie.

- Widzisz - odezwał się Ludwik do Rolanda - wojna to jedyny argument, jaki do nich przemawia. Oto dlaczego musimy walczyć z Saracenami. Powiedz mu, że

wierzę, iż pewnego dnia na całej ziemi zapanuje chrześcijaństwo. Jedna klęska nie zachwieje mojej wiary.

- Nie oczekuję, by tak się stało - odpowiedział Bajbars.

- Wierzę wam tylko dlatego, że tyle w was wiary. A że wam ufam, chcę wam ofiarować wolność podług takich samych warunków, na jakieście się godzili z sułtanem. Wiem, że w waszych oczach jestem buntownikiem, który zabił swojego prawowitego władcę. Czy mimo to będziecie się ze mną układać?

Rolandowi brakowało tchu, kiedy przetłumaczył słowa emira i czekał na odpowiedź. Siedział sztywno, Ludwik tymczasem wpatrywał się w skomplikowany wzór czerwono-czarnego kobierca zaścielającego podłogę namiotu.

Podniósł wreszcie zasępioną twarz.

- Tak jak jest, układałbym się i z samym diabłem dla uratowania resztek moich biednych towarzyszy.

Co za brak taktu. Serce łomotało ze strachu.

- Bóg chciał, żebyś był tu wodzem - przetłumaczył na arabski - i będę szczęśliwy, układając się z tobą dla uratowania resztek moich biednych towarzyszy.

Wąskie wargi Bajbarsa wygięły się w uśmiechu.

- Zakładałem, że taka będzie twoja odpowiedź, kiedy postanowiłem obalić Turana Szacha. Gdybyś nie chciał się ze mną układać, musiałbym cię zabić. Gdybym bardziej podejrzewał złą wolę, niż wierzył w twą przychylną odpowiedź, niechby sułtan żył tak długo, aż nie wymordowałby was wszystkich i niechby na niego raczej niż na mnie spadła cała niesława za ten czyn. - Kiedy to mówił, oko Bajbarsa zwróciło się w stronę Rolanda, a jego serce przepętniła radość. Mam więc swój udział w ratowaniu życia królowi. Dobrze odpowiedziałem Bajbarsowi tamtej nocy.

- Usprawiedliwiasz zabójstwo sułtana dlatego, że on chciał zabić mnie - odezwał się Ludwik - ale prawda jest taka, że pozwoliłbyś mu mnie zabić. Obaliłeś go tylko dlatego, że sam chcesz być sułtanem.

Roland uczył, że dłonie mu lodowacieją. Tłumaczył słowa króla oblany zimnym potem. Dlaczego Ludwik cały czas prowokuje Bajbarsa? Czy chce w ten sposób zachować szacunek dla samego siebie, uważając się za jeńca zwykłego przestępcy?

- Nie będę sułtanem - odparł Bajbars, rozkładając dłonie w obronnym geście. Generał mameluków Ai Beg, który jest starszy ode mnie, poślubi Gałązkę Perłową i zasiądzie na tronie w Kairze. Tak postanowiliśmy. Tak kończy się dynastia Salady-na. Żal, ale tak chce los. Turan Szach był dla nas niesprawiedliwy. Nie starczyłoby czasu, by wam o wszystkim opowiedzieć. Sługa ma powinności wobec pana, ale i pan ma obowiązki wobec sługi, a Turan Szach po wielekroć zawiódł swoich poddanych. Płacił za wierność pogardą i karą. Oto dlaczego go zamordowaliśmy. Intrygował, chciał was zabić. Miał zapewnienie, że dostanie potem łup i Damiętę.

Roland słuchał w podnieceniu. Ludwik dowie się wreszcie prawdy o Almaryku.

Król patrzył na niego zdumiony, osłupiały, kiedy Roland powtarzał mu po francusku słowa Bajbarsa.

- Zapewnienie? Czyje?

- Obiecał mu to frankoński szlachcic, który dowodzi obroną Damiety. Po waszej śmierci miał oddać miasto.

Ogorzała od słońca twarz Ludwika zrobiła się biała, poruszał ustami niezdolny dobyć słowa.

- Jaki frankoński szlachcic? - zapytał po dłuższej chwili.

- Emir myśli o Almaryku de Gobignon, sire. Uciekł spod Mansury i wygląda na to, że objął komendę nad Damiętą.

- Powiada więc, że Almaryk spiskował przeciwko mnie z sułtanem? Czy to możliwe, żeby mówił prawdę?

- Tak, sire, mówi, że hrabia de Gobignon szykował wam śmierć. Pewien jestem, że jego słowa są prawdziwe.

Ludwik odchrząknął.

- Wiem, że ty i Almaryk jesteście starymi wrogami, ale nie mogę dać wiary, by francuski rycerz był tak przewrotny, tak zdrażliwy.

A przy tym tak blisko z tobą związany. Rolandowi zrobiło się żal Ludwika.

- Możemy prosić, żeby emir dał nam dowód.

- Tak - odpowiedział Ludwik przybitym głosem - proś. Kiedy Roland zadał pytanie, Bajbars otworzył szkatułkę.

Wyjął ze środka pęk pergaminowych zwojów, dwa z nich podał Ludwikowi.

- Dowiedziałem się o tych listach od człowieka, który był posłańcem między Turanem Szachem i zdradzieckim Frankiem. Był też, o czym nie wiedzieli, moim zaufanym sługą. Oto pierwszy list. Jak inne pisany jest po francusku i arabsku. Tekst arabski to tłumaczenie skryby sułtana, oryginał pisany jest ręką hrabiego Almaryka.

- Almaryk! - Ludwik usłyszawszy, jak Bajbars wymawia to imię, począł drżącymi palcami rozwijać zwój, nie czekając na tłumaczenie Rolanda.

- Jezu! Słodki Jezu! - szeptał Ludwik, czytając list. Kiedy spojrzął na Rolanda, w jego oczach błyszczały łzy.

- Ofiarowuje sułtanowi wszystko - pieniądze, miasto wraz z ludźmi. Nawet moją żonę. Mojego syna. Boże! Wszystko i wszystkich, kiedy tylko dojdzie go wieść o mojej śmierci. Nie wierzę! Musiał go diabeł opętać.

- Może - odparł Roland. Serce ścisnął mu żal, kiedy patrzył na twarz króla. Gdyby nie to, że siedzieli w namiocie wroga, Roland chętnie objąłby Ludwika, by go jakoś pocieszyć.

- Mój kuzyn, Rolandzie. Com mu takiego uczynił, że się przeciw mnie obrócił? Przeciw mojej królowej, mojemu dziecku, przeciw swoim towarzyszom? Czym go zraniłem, że go do tego przywiodłem? To gorsze, po stokroć gorsze niż wszystko, com wycierpiał od Saracenów. Gdyby Turan Szach podniósł na mnie miecz, jego zbrodnia byłaby niczym w porównaniu ze zbrodnią Almaryka. Boże, mój Boże!

- Nawet Jezus miał Judasza - odpowiedział Roland, rozmyślając nad tym, jak pocieszyć Ludwika.

- Nie porównuj mnie z naszym Panem - w głosie Ludwika zabrzmiał prawdziwy gniew - bo bluźnisz. Ale ta zdrada jest tak szalona jak Judasza - dodał już spokojniejszym tonem.

- Twój król jest bardzo zmartwiony - odezwał się Bajbars.

- W żyłach tego niegodziwca płynie ta sama krew. To człowiek bardzo znaczny w naszym kraju. Króla nigdy nie spotkała podobna zdrada.

- A więc życie nie przygotowało go zbyt dobrze do dźwigania korony. Zapytaj, czy rozpoznaje pismo hrabiego Almaryka, czy chce widzieć więcej jego listów?

- Almaryk jest jednym z niewielu baronów, którzy potrafią pisać - odpowiedział Ludwik. - Jego matka, a siostra mojego ojca, zadbała o to. Nie wiem, czy to

jego listy, bo nie znam aż tak jego ręki, ale pieczęć jest jego. Trzy korony. Widziałem ten pierścień na jego ręku tysiące razy. - Ukrył twarz w dloniach.

- Sire, od dawna wiedziałem, że hrabia Almaryk nienawidzi was i źle wam życzy.

- Zatem i ty mnie zdradziłeś! - wykrzyknął Ludwik z błyskiem wściekłości w oczach. - Czemuś nic nigdy nie rzekł?

Roland poczuł, że płonie mu twarz, jakby król wymierzył mu policzek.

- Sire, mówiliście, że wiele napsuliśmy sobie krwi nawzajem z Almarykiem. Gdybym powiedział, co wiem albo podejrzewam, pomyślelibyście, że oczerniam hrabiego w złej wierze. Jeśli nie mówię teraz prawdy, ukarżcie mnie wedle życzenia.

Ludwik westchnął.

- Masz rację. Pamiętam, co ci uczynił Almaryk na turnieju, a i słyszałem, jak ludzie powiadali o innych rzeczach. Myślał, że kochasz się w jego hrabinie, czy nie tak?

- Kocham jego hrabinę, sire. I dlatego też nie mogłem mówić przeciw niemu. Wiele o jego zamiarach od niej usłyszałem, i gdybym przemówił, przemówiłbym przeciwko niej.

- Podejrzewałem, że coś jest między wami - Ludwik uśmiechnął się smutno. - Kiedyś jej podarował szarfę na turnieju królowej, nie było to takie niewinne, co? Jakże dawno to było. To prawda, że nigdy bym nie uwierzył, gdybyś go oskarżył bez dania dowodów. On i ja wadziliśmy się w wielu sprawach, ale zawsze myślałem, że mogę na nim polegać. - Spojrzał na Rolanda wzrokiem zranionego dziecka. - Ufałem mu.

- Ta zdrada jest dla was wielkim wstrząsem - odezwał się Bajbars, który dotąd w milczeniu przysłuchiwał się, jak Ludwik i Roland rozmawiają między sobą po francusku.

- Nie nawykliśmy do zdrady pośród bliskich nam ludzi, jak wy tutaj - fuknął Ludwik z sarkazmem. Roland z ociąganiem przełożył jego słowa, ale Bajbars wybuchnął śmiechem. Najwyraźniej bawiła go moralna wyższość króla.

- Turan Szach był tak różny od ciebie królu, jak różny jest szakal od orła. Dlatego chcę zawrzeć z tobą pakt, ale pod jednym więcej warunkiem, niż te, na które przystaliście z sułtanem.

- Cóż to takiego?

- Turan Szach nie pomyślał o tym, bo nie oczekiwał, że przeżyjesz. Chcę, byś poprządził, że przez dwadzieścia lat nie ruszysz na kraje islamu. Pewien jestem, że potrafisz dotrzymać przyrzeczenia. Jesteś najpotężniejszym z chrześcijańskich władców, ale i jedynym, który jeszcze upiera się z nami wojować. Jeśli dasz słowo, wiem, że czeka nas dwadzieścia lat pokoju.

- Czemu dwadzieścia - zapytał Ludwik - a nie dziesięć albo sto?

- Odpowiem szczerze, że mam w tym swój cel, byś cało powrócił do swego kraju. Potrzebuję tych dwudziestu lat, żeby umocnić kraje islamu przeciwko Tatarom.

Rolandowi zawirowało w głowie. Święty Michale, co z tym wszystkim mają wspólnego Tatarzy? Wiedział, że sam Bajbars jest Tatarem i że Tatarzy napadli na Europę jakieś dziesięć lat wcześniej, unicestwili wielkie armie chrześcijańskie i zniknęli tak samo tajemniczo, jak się pojawili. Czyżby mieli powrócić? Miał o jego losie przesądzić jakiś dziki, nieznan mu lud?

- Rozumiem - wykrzyknął Ludwik - jeśli my, chrześcijanie, sprzymierzylibyśmy się z Tatarami, moglibyśmy wspólnymi siłami zniszczyć potęgę islamu. Prosisz, abym wyrzekł się tego zbratania z nimi?

- To zbratanie byłoby szaleństwem. Ja sam jestem Tatarem, Kipczakiem, o królu. Allah chciał, że mnie, kiedy byłem chłopcem, porwali Turcy i tak stałem się człowiekiem cywilizowanym i muzułmaninem. Tatarzy wierzą, że ich przeznaczeniem jest podbić cały świat. Gdybyście teraz im pomogli, po nas przyszłaby kolej na was.

- Nie tak dawno jeszcze - odezwał się Ludwik - czekaliśmy w przerażeniu, czy nie najadą naszego kraju. Dobrze, emirze Bajbarsie, masz moje słowo. Dwadzieścia lat pokoju.

Rolandowi szybciej zabiło serce. Uśmiechnął się.

- I tak musi minąć dwadzieścia lat, nim zbiorę armię dość dużą, by ruszyć na Jerozolimę.

Następna armia za dwadzieścia lat? Boże, ilu z nas będzie jeszcze musiało umrzeć, zanim zrozumiemy, że nie tutaj nasze miejsce. Szerokie usta Bajbarsa złożyły się do uśmiechu.

- Uratowałeś życie, o królu. Nie mogłem pozwolić ci odejść, nim nie przyrzekłeś mi tych dwudziestu lat. Poślę po pisarza i spiszę na papierze wszystkie warunki.

Rolandowi dudniły w uszach uderzenia własnego serca. Bogu niech będą dzięki! Ludwik uniósł dłonie.

- Poczekaj, emirze, a co z Damiętą?

W uśmiechu Bajbarsa pojawił się cień okrucieństwa.

- Przyrzekłeś mi ją, o królu. Musisz oddać miasto, nim ty i twoi ludzie znajdą się na wolności.

Ludwik spojrział na Bajbarsa, potem na Rolanda.

- Ale mówiłeś, że Almaryk ma komendę nad miastem. Moja królowa i infant są w jego władzy. Jeśli dowie się, że mnie nie zabiłeś i że jego zdrada wyszła na jaw, może ich wszystkich zabić, a już na pewno posłużyć się nimi jako zakładnikami.

- Poślę tam emirów, którzy zażądają oddania miasta - powiedział Bajbars wy-niosło.

- Wiesz, że nie wpuści twoich emirów. Już samo ich przybycie będzie znakiem, że jego plany spełzyły na niczym. Może ich zaatakować, licząc, że poszukasz za to na nas odwetu. Na pewno będzie szukał krzywdy wszystkich tych bezbronnych, którzy są w jego władzy. Pozwól, proszę, bym wysłał tam swoich baronów. Ludzie Almaryka rozpoznają ich i wpuszczą do miasta. Zdemaskują Almaryka i przejmą komendę.

- Boję się, że moi emirowie nie zgodzą się na to. Trudno mi nad nimi panować. Niektórzy chcieliby was widzieć martwymi, jak zamierzał Turan Szach. Ci, którzy życzą sobie, byście wyszli stąd żywi, wiedzą, że każdy z twoich wielkich panów wart jest tysiące liwów. Nie puszcza ich.

- Pozwólcie, żebym ja poszedł. - Roland powiedział to tak niespodziewanie, że niemal nie rozejrzał się wokoło, by sprawdzić, skąd popłynęły słowa, które zawisły w powietrzu pośród milczenia. Bajbars i Ludwik spoglądali na niego, nic nie mówiąc. Czuł, jak mu wali serce, nie ze strachu, lecz z niecierpliwości.

Ludwik nie był przekonany, ale w surowej twarzy Bajbarsa Roland dojrzał aprobacę. Powtórzył mu swoją propozycję po arabsku. Bajbars przytaknął.

- Od razu zrozumiałem z twojej twarzy i głosu, co mówisz.

Podniecony Roland przekonywał Ludwika.

- Mogę zanieść do Damiety wiadomość o traktacie, doglądać ewakuacji, a potem otworzyć miasto dla ludzi emira.

- Najpierw musisz uporać się z Almarykiem.

Bajbars nachylił się do przodu z przymkniętym zdrowym okiem. Kiedy Roland przetłumaczył mu ostatnie słowa, pokiwał głową.

- Rozumiem, że musisz to zrobić, ale jeśli ci się nie uda, a hrabia umocni się w mieście przeciw mnie, będzie to oznaczało koniec mojego paktu z twoim królem. Emirowie napierają na mnie, że ich korzyści muszą być równe tym, które zapewniał im sultan. Jeśli tak nie będzie, trudno przewidzieć, co się stanie.

- Jesteś zagłodzony, osłabiony jak my wszyscy. Jaki będzie z ciebie przeciwnik dla Almaryka?

Roland przez chwilę sam zwątpił. Czy nie wystawiał na niebezpieczeństwo życia dla satysfakcji walki z Almarykiem?

Nie, zdał sobie nagle ze zdziwieniem sprawę, że to nieprawda. Tylko jeden człowiek może pójść do miasta z wieścią o rozejmie. Tylko on znał Almaryka na tyle, żeby wiedzieć, w jaki sposób uprzedzić jego odwet.

Kto inny mógłby ochronić Nicolettę przed Almarykiem?

- Nie będę musiał stawać przeciwko niemu samotnie.

- Skąd o tym wiesz? Będzie miał za sobą całe miasto. Nikt w Damiecie nie rozumie, co się dzieje.

- To prawda, sire. Będę jednak miał ze sobą wasz list, w którym uczynicie mnie swoim emisariuszem, wyliczycie zbrodnie Almaryka i nakazecie, by miasto się poddało. Pewien jestem, że emir Bajbars wie dużo więcej o siłach i nastrojach w mieście niż my. I on może mi doradzić, z kim rozmawiać, może mnie zaopatrzyć w swoje listy.

Ale najważniejsze jest spotkanie z Almarykiem.

Nie szukał już pomsty. W ostatnich tygodniach przeżył tyle, że pragnienie zemsty wypaliło się w nim. Perrin miał rację. Nie było odpłaty za to wszystko, co uczynił Almaryk. Próbować zadać równy ból, oznaczałoby stać się tym, czym on się stał. Roland pragnął spotkać się z nim, zadać ostateczny cios. Jego pragnienie było proste niczym lot strzały.

Spojrzał pytająco na króla. Ludwik wpatrywał się w jego oczy, a Rolandowi się wydawało, że król czyta w jego duszy.

Wstrzymał oddech.

- Niech Bóg będzie z tobą - rzekł Ludwik, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Odetchnął z ulgą i zaraz pojawiły się wątpliwości. Czy podołam? Czy naprawdę podołam? Ludwik zwrócił się do Bajbarsa.

- Co powiesz, emirze?

- Zgoda. Powinien iść sam i dostać się do miasta, nim Almaryk go powstrzyma. To jedyny sposób.

- Trzeba, żebyś znalazł w Damiecie sprzymierzeńców - powiedział Ludwik. Szukaj pomocy od razu po przybyciu do miasta.

Bajbars ściągnął z palca ciężki pierścień z pieczęcią.

- Daję ci znak, dzięki któremu będziesz miał pomoc człowieka, który teraz jest w służbie u Almaryka.

Roland wziął pierścień, z nadzieją, że będzie mógł go zatrzymać na pamiątkę po najbardziej niezwykłym człowieku, jakiego spotkał. Jeśli przeżyje, napomniał sam siebie złośliwie.

- Jak rozpoznasz waszego człowieka? Bajbars uśmiechnął się.

- Już go znasz. To Maurycy.

Roland był zupełnie oszołomiony. Słyszał, jak Ludwik obok westchnął głośno.

- Maurycy - krzyknął Roland na cały głos - zawsze go miałem za zdrajcę.

- To on pod Mansurą poniósł fałszywy rozkaz o składaniu broni - powiedział Ludwik głucho.

- Nie jest zdrajcą - odpowiedział Bajbars. - Jest dobrym muzułmaninem od tylu lat, ile ty liczysz. - Jego twarz przybrała surowy wyraz. - Teraz pewnie rozumiesz, o królu, że ani ty, ani hrabia Almaryk, ani nawet ty, trubadurze, nie mieliście żadnej szansy, by spełniły się wasze marzenia. Przez cały czas panowaliśmy nad sytuacją.

Tak, ale niedługo już koniec. Będę mógł wrócić do domu. Wszyscy będziemy mogli wrócić do domu. Jeśli pokonam Almaryka.

Serce przepełniła mu radość. Cokolwiek się stanie, nawet jeśli przyjdzie mu umrzeć, będzie mógł po raz ostatni zobaczyć Nicolettę.

* * *

XXXV

Z tego, co wiem, wszyscy krzyżowcy mogą już nie żyć, pani - powiedział Maurycy obojętnie. - Niedobra to i bolesna wiadomość, aleście pytali, a ja jestem wam winien szczerą odpowiedź. Postawił przed nią tacę z melonem, jajkami, chlebem i winem, które przyniósł na śniadanie.

- Inaczej mówiąc, nic nie wiesz. - Nicoletta była tak zła, że miała ochotę sprawić mu przykrość. Prawda, że był dla niej bardzo dobry przez ostatnie dwa dni i widać było, że przykro mu spełniać rolę jej strażnika, ale to właśnie z jego powodu Nicoletta nie mogła ostrzec królowej przed Almarykiem.

Gdzie Agnes? Gdybym mogła się z nią zobaczyć, przekazałabym przez nią jakoś wiadomość Małgorzacie. Co się z nią dzieje?

Myślała o tym, czy nie udałoby się obezwładnić Maurycego i uciec. To tylko starzec, chociaż wygląda na silnego. Nie, zamiast z nim walczyć, powinna porozmawiać. Może jej słowa potrafią go poruszyć.

- Nie rozumiem was, mistrzu Maurycy. Pomogłeś mi oszukać mojego męża, kiedyś kupował prowianty. Dlaczego nie chcesz pomóc mi teraz? Komu naprawdę służysz?

- Mogę? - Wskazał na krzesło i na jej przyzwalające skinienie zajął miejsce przy marmurowym stole naprzeciw niej.

Nachyliła się ku niemu ciekawie. Po raz pierwszy usiadł w jej obecności, chcąc z nią rozmawiać. Gdyby tylko udało się jej trafić jakoś do niego.

- Nie zranicie mnie niczym, pani. A ja czuję potrzebę wyznania wam wszystkich swoich grzechów - jeśli są to grzechy. Brak mi było spowiedzi przez te wszystkie lata w Egipcie. Zdaje się wam, że mnie nienawidzicie, bo jestem powolny rozkazom waszego męża, ale będziecie mnie prawdziwie nienawidzić, kiedy powiem wam,

kim jestem naprawdę - uśmiechnął się smutno.

- Obchodzi was, co o was myślę? - Chciała, żeby tak było.

To była jej ostatnia szansa.

Kiwnął głową.

- Już wam kiedyś mówiłem, pani, że przypominacie mi o lepszych chwilach mojego życia, nim trafiłem w niewolę do Saracenów, chociaż większość tamtego życia była zła.

No cóż, tak jak podejrzewałam.

- Jesteś muzułmaninem.

Skinął potwierdzająco głową.

- Nie przeżyłbym tu, gdyby było inaczej, nawet jako sługa i niewolnik. Większość moich towarzyszy poszła na śmierć. Kiedy zobaczyłem katowski miecz, przyszła mi do głowy pewna myśl. Powiecie, że diabeł mi ją podszeptał. Ale co Kościół dla mnie uczynił? Przez całe życie byłem głodny. Kilka lat wcześniej moja ciotka, wuj i kuzyni zginęli na stosie jako heretycy. Wielu było wtedy tak zwanych heretyków pośród tkaczy. Potem ci przekłęci braciszki zaczęli nawoływać do krucjaty. Powiadali, że to wola Boża, byśmy stanęli przeciw ludziom zza morza, którzy nigdy nic mi nie uczynili. Poszedłem, po części dlatego, że im uwierzyłem, trochę dlatego, że nienawidziłem mojego domu. Wszystko co pamiętam z wyprawy, to choroba morska, wypadające zęby, chmary much i przerażenie takie, że żadnego jedzenia nie mogłem utrzymać w żołądku. I po tym wszystkim miałem dać głowę za nasz Kościół. Nagle powiedziałem sobie - wybaczenie, pani - do diabła z Kościołem. Nic już nie miałem do stracenia. Pewnie myślicie teraz, że jestem nędznym tchórzem.

Zadrżała. Cały czas mieliśmy w domu saraceńskiego szpiega, który mógł podciąć nam gardła we śnie. Nie stało się tak, a teraz najważniejszą rzeczą jest dotrzeć do Małgorzaty. Kto jest naprawdę panem Maurycego?

- Nie brzmi to wcale jak opowieść tchórza. Może zrobiłabym to samo na waszym miejscu. Kościół nie oszczędził ani mnie, ani ludzi, których kocham.

Maurycy potaknął.

- Prawda, jesteście z Langwedocji. Pokochałem islam. Miałem wielu panów, okrutnych i dobrych. Niektórzy poważnie zabrali się za nauczanie mnie. Przybrałem

nowe imię Mohammed ben Faris. Islam jest mądry. Raj to miejsce pocieszenia pełne dobrego jadła i pięknych kobiet. Niebo z opowieści księży zawsze wydawało się nudne. Polubiłem rytuały muzułmanów, modlitwę pięć razy w ciągu dnia, obowiązek dzielenia się z biednymi, pielgrzymki, nawet posty. Przywykłem nawet do tego, że nie piję wina, chociaż nie wszyscy moi panowie od niego stronili. Był między nimi kupiec dywanów. Pomagałem mu prowadzić karawany. Wziął mnie kiedyś do Mekki, gdzie ucałowałem święty Czarny Kamień z Kaaby. Byłem w Jerozolimie, i to więcej razy niż wasz król czy któryś z rycerzy. Dla nich to po prostu święte miejsce - dla nas, muzułmanów, to Opoka, gdzie Prorok wstąpił do nieba. Miałem tu dobre życie, lepsze niż w domu. Nauczyłem się pisać i czytać - po arabsku, pomyśleć tylko! Zawdzięczam swoje zdrowie arabskim doktorom, którzy więcej wiedzą o chorobach niż jakikolwiek chrześcijanin. Muzułmanie lepiej jedzą, nasze szaty są wygodniejsze, jesteśmy czystszy od chrześcijan. Czy wiecie, że kąpiemy się co dzień? Możecie sobie wyobrazić, jak chrześcijanie nam śmierdzą? Muzułmanki słodko pachną w porównaniu z chrześcijańskimi kobietami, wyjąwszy was, pani. Poślubiłem tu w Egipcie trzy kobiety. Wolno nam tak postępować, bo Prorok nie chciał, by jakaś kobieta miała pozostać bez opieki. Byłem tu szczęśliwy.

Czuła wzruszenie. Czyżby pierwszy raz otworzył tak serce przed człowiekiem chrześcijańskiej wiary?

- Jakże mogłeś mieć to wszystko, kiedyś był niewolnikiem?
- Nawet niewolnikom jest lepiej w islamie, pani. Niewolnik może być bogaty i potężny. Mamelucy są niewolnikami, nawet sam wielki Bajbars zalicza się do niewolników. Ponieważ byłem żołnierzem, trafiłem w końcu do mameluków i moje życie stało się jeszcze lepsze. Arabowie i Turcy nie dowierzają nawróconym na islam, ale mamelucy, którzy sami są nawróconymi, nie patrzyli na moje chrześcijańskie urodzenie. W końcu wziął mnie na służbę sam Bajbars, chciał jak najwięcej wiedzieć o świecie chrześcijańskim.

Gdyby nie to, że wszystkim im groziło teraz śmiertelne niebezpieczeństwo, Nicoletta słuchałaby jak zaczarowana opowieści Maurycego, ale to przecież jego lud chciał teraz zgładzić króla i resztę rycerzy.

- Słyszysz Bajbarsowi, generałowi Saracenów, przed którym wszyscy drżą ze strachu? Temu, którego zwą Panterą? Dobrze go znasz?

Maurycy zachichotał.

- I wyście go spotkali, pani.

- Jakże to?

Przypomniała sobie nagle beduińskiego wodza. Prawda, słyszała kiedyś, że Pantera ma tylko jedno oko.

- Ten Beduin. Szpiegował tutaj.

- Był na zwiadach. Taki ma zwyczaj. Sam zawsze musi wszystko zobaczyć. Lubi pojawiać się w przebraniu, jak niegdyś wielki kalif Harun al Raszid. Oczarowaliście go, pani.

Nicoletta, wstrząśnięta na myśl, jak niewiele dzieliło ją od porwania, sięgnęła po kielich z ciężkim cypryjskim winem, które paliło podniebienie.

- Szpiegujesz tu zatem dla Bajbarsa?

Oczy Maurycego wyglądały jak dwie jasnobłękitne ryby chwyczone w sieć zmarszczek.

- To był mój pomysł, pani. Uczyniłem to z własnej woli.

- Po co? Żeby obrócić się przeciwko własnemu ludowi?

- Im bardziej kochałem islam, tym bardziej czułem się winny, że nawróciłem się tylko ze strachu. Wątpiłem we własną szczerłość. Samemu sobie chciałem dowieść, że ze mnie prawdziwy muzułmanin. Wasza wyprawa dała po temu sposobność. Życ znowu między chrześcijanami, wystawić własne życie na próbę, dla islamu, miało być dla mnie dowodem, że moje nawrócenie jest prawdziwe.

Powinnaś go znienawidzić i nie potrafię.

- Nielatwo ci było po tym, jak pojawiłeś się między nami, dochować swojej wiary.

- Kiedy pierwszy raz ujrzałem hrabiego Almaryka, takiego postawnego, gładkiego szlachcica, pierwszego wolnego chrześcijanina, jakiego zobaczyłem po latach, zapłakałem. Byłem sam zdziwiony i przestraszony, nie wiedziałem, czy dokonam tego, com postanowił. Kiedy lepiej go poznałem, zrozumiałem, że będzie mi najlepszym, mimowiednym sprzymierzeńcem w moich planach zniszczenia armii krzyżowej. Im więcej go znałem, tym więcej nienawidziłem, tak że nie umiałem już spojrzeć mu prosto w oczy, lękając się, że pozna z nich moje prawdziwe uczucia. - Twarz

Maurycego pociemniała. - Pomyśleć, że próbował mnie obrócić przeciwko królowi, powiadając, że sprzyja herezji. Nie wiedział, ilu z mojej rodziny poszło na stos.

Spoglądała w jego wodniste, niebieskie oczy, słuchała go, a w głowie kołatała się cały czas myśl o ucieczce. Odwróciła wzrok od klucza zwisającego u pasa Maurycego, klucza do kraty harem.

Może ma rację. Ludwik i ci, którzy ocaleli z rozbitej armii, mogli już zostać zgładzeni przez sułtana, ale trzeba pomimo to wierzyć, próbować ich ratować, jeśli żyją.

- Nie musisz już służyć Almarykowi. Wypełniłeś swoje zadanie. Wyprawa skończona. Co zyskasz, jeśli sułtan wymorduje wszystkich jeńców?

Maurycy pokręcił głową z ponurym uśmiechem.

- Sułtan nie uczyni tego, pani. Mameluccy emirowie zabili go o zachodzie słońca dwa dni temu.

Wypadł jej z ręki kawałek chleba, który miała podnieść do ust.

- Kto więc wziął władzę? Co się teraz stanie z więźniami?

- Pantera o tym postanowi. Nie miałem od niego wieści od chwili obalenia sułtana. Nadal wiąże mnie nakaz posłuszeństwa wobec hrabiego we wszystkim, dopóki nie przyjdą inne polecenia od emira Bajbarsa. Dlatego muszę was tu trzymać.

Zacisnęła szczęki w złości. Gdyby tylko mogła liczyć na jakąś pomoc. Gdzie, na Boga, podziwia się Agnes?

- Nie musicie mnie przecież traktować jak zbrodniarki, Maurycy. Trzymacie mnie pod kluczem od trzech dni. Potrzebuję swojej doncelli. Pozwól przynajmniej Agnes przyjść tutaj.

Maurycy odwrócił twarz.

- Nie wolno wam jej widzieć. Takie są rozkazy.

- Ale ona musi coś podejrzewać. Czy nie pytała o mnie?

Utkwił wzrok w czarnym stole.

- Hrabia odpowiedział, że jesteście chorzy i że to bardzo zaraźliwa choroba. Odesłał Agnes do królowej.

Ale ona na pewno nastaje na to, żeby się ze mną zobaczyć. Na pewno pytała, a Almaryk odmówił. Muszę sobie jakoś poradzić i bez niej. I to szybko. Bajbars. Znowu przypomniała sobie jego przenikliwe oko, żelazną dłoń na swoim policzku.

- Czy Bajbars chce zabić króla i jego ludzi?

- Nic o tym nie mówił, ale to człowiek honoru. Nie tak jak Turan Szach. Szanuje waszego króla. Jak ja. Wierzę, że nie będzie chciał zabijać więźniów, dopóki nie będzie musiał. Jeśli jednak postanowi inaczej, będzie działał bez wahania i litości. Taki właśnie jest.

Usłyszała nawoływanie z ulicy. Przejeżdżał wóz zabierający tych, którzy zmarli ostatniej nocy. Zdesperowana próbowała zebrać myśli.

Gdyby tylko mogła przekazać jakoś królowej to wszystko, czego się dowiedziała o Almaryku. Małgorzata odebrałaby mu stanowisko i aresztowała.

Przypomniała sobie przybycie templariuszy, cztery dni wcześniej, pięćdziesięciu rycerzy o ponurych obliczach, wszyscy podobni do siebie w swoich prostych, stalowych hełmach, białych szatach z czerwonymi krzyżami, o twarzach okolonych długimi brodami. Jechali na niewielkich arabskich koniach, eskortując zaprzężone w woły wozy, uginające się od skrzyń wypełnionych srebrem. Na widok rycerzy z oczu popłynęły jej łzy i po raz pierwszy od klęski pod Mansurą poczuła się trochę bezpieczniejsza. Słyszała radosne okrzyki chrześcijan i ich komentarze, kiedy opowiadali sobie, że jeden templariusz wart jest dziesięciu innych rycerzy.

Mamy teraz dość oddanych ludzi, żeby pokonać najemników Almaryka. Możemy ostrzec Saracenów, że nie ustąpimy z miasta, póki król i reszta nie powrócą do nas bezpiecznie.

Utkwiła w nim spojrzenie.

- Mistrzu Maurycy, jeśli Almaryk dowie się, że sułtan nie żyje i że emir Bajbars chce uwolnić króla i jego ludzi, znajdzie sposób, żeby temu przeszkodzić. Wymordowanie jeńców byłoby czynem szalonym, który przyniósłby niesławę nie tylko twojemu panu, ale całemu islamowi. Musimy powstrzymać Almaryka.

- Chciałbym - odpowiedział Maurycy z bolesnym grymasem.

Nicoletta nachyliła się przez stół i ujęła jego dłoń. Jego oczy rozszerzyły się w zdumieniu, cofnął się, ale pozwolił, by zatrzymała jego dłoń. Wyniszczona twarz poczerwieniała.

- Almaryk może zaatakować wysłanników Bajbarsa. Może załadować pieniądze na genueńskie galery i wywieźć je stąd. Mistrzu Maurycy, jeśli mieliście dość siły,

żeby zmienić wiarę, musicie być dość silni, by działać teraz samemu, nie czekając rozkazów.

Puściła jego dłoń, modląc się z całej duszy, by jej słowa wywarły pożądany skutek.

Siedział przez chwilę w milczeniu, wreszcie spojrzął na nią.

- Co mam zrobić?

Z oczu popłynęły jej łzy ulgi.

- Zabierz mnie do pałacu - powiedziała szybko, lękając się, że za chwilę Maurycy może zmienić zamiary. - Zabierz mnie do królowej. Powiem jej o wszystkim.

Zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Powiesz mi przez was.

- Nie, nie powiem nic o was. Niech myśli, że jesteście starym, pocziwym krzyżowcem, który przejrzał Almaryka i chce mi pomóc. Nagrodzi was za to, jeśli zostanieie z nami dość długo. Po tym, gdy już zbierzemy wszystkich wiernych nam ludzi by obezwładnić Almaryka, będziecie mogli wrócić do Saracenów.

- Wszystko brzmi w waszych ustach tak prosto, pani. Hrabia Almaryk ma w pałacu wielu opłaconych ludzi. Może sam tam jest.

- Przeprowadź mnie i pomóż rozmawiać z królową. Sire Geoffrey de Burgh jest zawsze przy niej. Z jego pomocą dotrzemy do niej.

Maurycy pokręcił głową.

- Nie ma go już przy królowej. Hrabia odesłał go do dowodzenia strażami na murach miejskich. W pałacu zostali już tylko ludzie waszego męża.

- Powiedziałeś, że Agnes jest w pałacu. Ona nam powie, jak bezpiecznie dostać się do królowej.

Znowu się zawahał, a jej stanęło na moment serce. W komnacie zaległa taka cizsza, że mogła słyszeć jego oddech. Zamknął na chwilę oczy.

Ujął jej dłoń, cierpienie, które zobaczyła na jego twarzy, przeraziło ją.

- Pani, bądźcie dzielna. Muszę wam powiedzieć coś strasznego.

- Co?

- Agnes nie żyje.

Zachwiała się w swoim krześle. Maurycy rzucił się w jej stronę i przytrzymał, żeby nie upadła.

- Dobry Boże! Nie, nie Agnes.

- Tak, pani - mówił łagodnie - nie ma jej już, a muszę wam powiedzieć więcej, jeśli macie siłę słuchać.

- Mówcie - łkała - co się z nią stało?

- Wasz mąż ją zabił. Żeby ją uciszyć.

Oszołomiona, słuchała, w jaki sposób Almaryk udusił Agnes i zostawił jej ciało w komnacie, tu na drugim piętrze, a potem kazał mu się go pozbyć.

- Zanim złożyłem ją na wozie zabierającym pomarłych, odmówiłem nad nią muzułmańskie modlitwy, modliłem się szczerze. Spoczęła w wielkiej mogile koło pałacu.

- Agnes - to wszystko co była w stanie powiedzieć. Nawet już nie płakała. Czula się pusta.

Moja biedna, wierna przyjaciółko. Czemu przywiodłam cię za sobą w to okropne miejsce, na taką okrutną śmierć?

- Nie musiał tego robić, pani. Było tuzin innych sposobów, by nie przyczyniła mu kłopotów.

- Zrobił to z nienawiści do mnie - odpowiedziała bezdzwięcznie.

Maurycy położył dłonie na jej ramionach i spojrzał w oczy.

- Nie możecie winić siebie, nie wolno się wam poddawać. Kiedy towarzysze padają w bitwie, mężczyzna nie zaprzestaje walki, żeby ich oplakiwać. Musi bić się dalej. A wy teraz jesteście jak na bitwie.

Tak. Ogarnęła ją gwałtowna nienawiść. Jedno tylko mogę uczynić dla Agnes. Pomścić ją.

Klnę się na twoją pamięć, że zniszczę Almaryka. Wstała, przewracając krzesło. Maurycy potrząsnął zaciśniętą pięścią.

- Odpłacimy hrabiemu za to, co uczynił waszej biednej Agnes. Bierzcie, pani, płaszcz, idziemy do pałacu.

Ucałowała lekko jego pomarszczony policzek.

- Dobry z was człowiek, Maurycy, czyście muzułmaninem, czy chrześcijaninem.

Almaryk stał koło łoża królowej. Usiłował być dworny, ale było to ponad jego siły.

Pokłonił się z ledwo skrywaną wściekłością.

- Za pozwoleniem, pani, chciałbym wam złożyć mój dzienny raport o stanie miasta.

Poirytowany czekał, że poprawi na rękę tego małego śmierdziela. Kiedy na niego spojrziała, zobaczył wychudzoną twarz, z wielkimi cieniami pod oczami. Nigdy nie dorównywała urodą Nicoletcie, ale teraz przypominała staruchę.

- Mówcie, panie. Jeśli nie możemy uczynić nic więcej, trzeba, żebyśmy przynajmniej dbali o mury i o ludzi.

Gotował się ze złości. Prawi mu tu komunały, udając, że jest jego dowódcą? Jakże tęsknił do chwili, kiedy ją zniszczy, powie jej wreszcie prawdę.

Kiedy, na Boga, nadejdzie ta chwila? Od dwóch dni ledwo co jadł, od dwóch nocy prawie nie spał. Jeśli dzisiaj nie przyjdą wieści od sułtana, oszaleje.

Kiedy mówił, świadomy, że wszelka obrona nie będzie miała znaczenia, jego myśli błądziły gdzie indziej. Diabeł szeptał mu do ucha: Co będzie, jeśli sułtan mnie zdradzi?

Ciągle o tym rozmyślał. Na razie utrzyma miasto tak długo, aż sprowokuje sułtana do rozpoczęcia rzezi. Dość miał swoich ludzi, żeby poradzić sobie z templariuszami. Nie będą spodziewać się ataku ze strony chrześcijan, którym przybyli na pomoc. Odbije pieniądze na okup. Kiedy już będę miał srebro, Turan Szach przystanie na moje warunki.

Jeśli jednak sułtan nie będzie chciał zabić Ludwika i jego ludzi, będzie miał przynajmniej w swoim ręku królową i infanta. Ucieknie, wprowadzając ich ze sobą. Któryś z genuenńczyków zabierze ich stąd, jeśli dość mu zapłacić. To w końcu tylko piraci. Wtedy, mając królewskich zakładników, srebro, bandę najemników, znajdzie sobie jakąś warownię i stworzy własną domenę, tutaj w Ziemi Zamorskiej.

Tak czy inaczej, Nicoletta musi umrzeć. Wie za dużo.

Skończył mówić, królowa podziękowała za raport.

- Jak się miewa Nicoletta?

Do diabła z twoimi pytaniami! Czy nie mogę mieć bodaj chwili spokoju? Pokręcił głową.

- Słaba dziś była, kiedym ją rano żegnał, pani. Księża są bezradni. Mówią, że to afrykańska gorączka.

- Tak mi jej brak, bardzo się o nią martwię. Może mogłabym ją odwiedzić.

Tak, może zamknąłbym cię razem z nią.

- Chyba nie, pani. Samiście jeszcze bardzo słabi. Wystawilibyście na niebezpieczeństwo zdrowie swoje i synka, gdybyście się, nie daj Bóg, zarazili gorączką. Jej doncella już zmarła.

- Agnes! Dobry Boże! - Małgorzata przeżegnała się. - Tylu już umarło. Niech Bóg uchwyci, by coś miało się przytrafić Tristanowi. Gdyby Ludwik, nasz pan, mógł go już zobaczyć.

- Oby był tu z nami wkrótce, pani.

Almaryk chciał jak najszybciej znaleźć się z powrotem na murach. Posłaniec Turana Szacha musi przybyć dzisiaj, musi!

- Tak się lękam o Ludwika - mówiła dalej ze łzami w oczach. - Saraceni mogli go już zamordować, a my nic o tym nie wiemy.

Dałby Bóg, Panie, kiedy ta kobieta pozwoli mi wreszcie odejść? Jeszcze chwila, a skręcę kark temu bachorowi...

- Serce mówi mi, pani, że jest cały i zdrow.

- Wiem, że pragniesz ujrzeć Ludwika równie mocno jak ja, hrabio Almaryku. Już sama jego obecność jest niczym błogosławieństwo. Często mi mówił, jakim ciężarem jest dźwigać koronę, ale ja nigdy nie pojmowałam znaczenia tych słów, póki go nie pojmano i na moje barki nie spadł los jego i wszystkich krzyżowców. Jaką ulgą będzie mieć go tu znowu. I tobie brak zapewne jego przewodnictwa, powiedz hrabio?

Jego przewodnictwa? Rządów, które zrujnowały kraj? Niech diabeł porwie takie przewodnictwo.

- Dość mi mojej władzy - odpowiedział dwornie, nim zdążył pomyśleć.

Zaskoczona przytuliła dziecko do łona.

- Tak, przyzwyczajeni jesteście, panie, sami rządzić swoją domeną - odparła z rozszerzonymi ze zdziwienia oczami. - Nie jesteście jednak królem, a widok ze szczytu góry jest zupełnie inny niż ten, który rozpościera się poniżej.

Ja, niżej Ludwika? On ma widzieć lepiej niż ja? Im więcej Małgorzata mówiła, tym większa wściekłość go ogarniała. Na Jezusa, dość mam tej głupiej langwedockiej dziewczki i jej szalonego męża, dobrego do śpiewania psalmów. Mój czas nadchodzi. W

najbliższych godzinach będę oddawał miasto Egipcjanom. Wezmą okup i wszystkich tutaj w niewolę, wszystkich z wyjątkiem mnie. Wrócę do Francji. Skoro król i jego bracia już zabici, niemal wszyscy baronowie straceni, to stara królowa Blanka mnie będzie musiała prosić o przyjęcie regencji i będzie dziękować Bogu, że przynajmniej mnie oszczędził. Nie muszę sięgać po koronę, jeszcze nie teraz. Być pierwszym pośród parów, kontrolować tron, to na razie dość.

Mogę wreszcie powiedzieć to wszystko Małgorzacie.

- Czyście kiedyś widzieli szczyt górski w chmurach, pani? Porównałbym do niego waszego małżonka. Rozejrzyjcie się wokół. Armia rozbita, Saracen u bram miasta. Co stanie się z Francją, jeśli wolno spytać, kiedy Anglicy albo Niemcy zechcą z nami teraz wojować? Ostrzegałem przed tym. Dopominałem się u króla o posłuch dla papieża, o to, by pozostał w domu i walczył z herezją, która szerzy się w Europie. Nikt z nas tak naprawdę nie chciał iść na tę wyprawę, ale on był pewien, że skoro jest królem, to przerasta wszystkich innych rozumem. Cóż, pani, wyniki pokazały, że z niego idiota.

Na twarz królowej uderzyły rumieńce, poprawiła się w łóżku, przytulając dziecko tak mocno, że mały zaczął płakać.

- Jak ważysz się tak mówić o swoim suwerenie?

- Ważę się, pani, bo bierze swoją władzę od baronów. Ode mnie. Jesteśmy mu wszyscy równi, a tytuł hrabiego de Gobignon znaczy równie wiele jak tytuł króla Francji.

- Podejrzewałam to - wyszeptła. - Nie jesteś mu wierny. Jesteś mu wrogiem.

- Nicoletta z wami rozmawiała, czy nie tak? Chciałem być waszemu mężowi przyjacielem, ale on mnie nie słuchał. Gdyby tak było, nie byłibyśmy tutaj. A jeśli o was idzie, to gdybyście dali posłuch mnie, a nie mojej żonie, nie byłibyście teraz w niebezpieczeństwie. - Musiał podnieść głos, żeby zagłuszyć płacz niemowlęcia.

- Ponieważ cię nie usłuchałam, możemy teraz wykupić mojego męża i jego towarzyszy, a wtedy wszyscy wydobędziemy się z niebezpieczeństwa. I pewni jesteśmy, że król sam usłyszy, coś tu prawić.

Wysunęła brodę. Jest pewnie przekonana, że posyła mu królewskie spojrzenie.

Almaryk stał nieruchomo, zbroja ciążyła. Głupia, głupia! Jednym słowem mogę rozwiać jej szalone nadzieje na zobaczenie króla.

Nie, lepiej nie. Mogą jeszcze minąć godziny, nim przyjdzie wiadomość od sułtana, do tego czasu ma jeszcze nade mną władzę, Bóg wie, co mogłaby zrobić. Ci przekłeci templariusze.

W każdym razie nie muszę już dłużej udawać, że okazuję szacunek jej i jej bezrozmownemu mężowi.

- Powiecie, co zechcecie Ludwikowi - odezwał się z rozmyślną butą - nie dbam o to.

Małgorzata dyszała wzburzona. W tej samej chwili ktoś zaczął łomotać do drzwi.

Almaryk podszedł szybko, by je otworzyć.

- Panie, posłaniec od Saracenów - wyrzucił z siebie zasapany strażnik.

Był to jeden z ludzi opłacanych przez Almaryka. Prawie chłopiec, za całą broń miał długi rzeźnicki nóż zatknięty za brudny pas jedwabny. Zanim Almaryk go nąjął, był pomocnikiem kucharza u barona, który zginął pod Mansurą.

Serce zalała fala radości. Wciągnął głęboko powietrze. Nareszcie, nareszcie! Bogu niech będą dzięki!

- Gdzie on?

- Łódź saraceńska przywiozła go w pobliże zachodniej bramy. List z pieczęcią sułtana pokazał i przepuściliśmy. Idzie teraz do pałacu. Ja pobiegłem na wprzód wam powiedzieć.

- Prowadź go natychmiast do mnie - krzyknęła z łoża Małgorzata, w głosie słychać było podniecenie i lęk.

- Jak każecie - odparł Almaryk. - Teraz wybaczone, pani.

Wyszedł z ukłonem, odsuwając z drogi strażnika.

- Stój tutaj - powiedział cicho, kiedy zamknął za sobą drzwi. - Pilnuj, żeby nikt tu nie wszedł ani stąd nie wyszedł. - Kiwnął głową w stronę drzwi. - Musisz ją tutaj zatrzymać.

- Jakże, panie, zatrzymać królową, kiedy będzie chciała wyjść? - dopytywał się chłopiec z rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

Almaryk sięgnął do skórzanego mieszka u pasa i wyjął klucz. Cicho przekręcił go w zamku i ponownie schował. Gratulował sobie przebiegłości, która kazała mu odeśłać sire Geoffreya de Burgha do innych zajęć i przejąć od niego klucze od sypialni

królowej. Przez drzwi ciągle jeszcze słyhać było płacz niemowlęcia.

- Teraz możesz mówić prawdę, że to ja nie pozwalam jej stąd wyjść, że zamknąłem drzwi. Albo w ogóle nie odpowiadaj, kiedy ją usłyszysz.

Zamilkł, widząc, że chłopiec patrzy na niego w zupełnym osłupieniu. Nie będzie chciał być strażnikiem uwięzionej królowej bez żadnego dania racji.

- To dla jej bezpieczeństwa - wyjaśnił Almaryk. - Źle się ma, od kiedy powiła, a miasto zaraz pełne będzie Saracenów. Uparta jest i trzeba jej pilnować. Wiesz jak to jest z kobietami.

Almaryk klepnął chłopca męskim, porozumiewawczym gestem, który wywołał błysk dumy w jego oczach.

Czuł drżenie w piersiach i czczość w żołądku, kiedy spiesznie przemierzał pałacowe korytarze. Co też powie mu posłaniec sułtana? Kiedy zbiegał po schodach, zbroja zdawała mu się lekka niby jedwab. Wielki Boże, dopomóż mi! Dozwól, żeby Ludwik już nie żył. Za Hugona, za ojca, za wszystkie krzywdy, które wycierpieli de Gobignon. Daj nam, Boże, zwycięstwo.

Dlaczego posłaniec sułtana idzie pieszo? Czemu, u diabła, nie jest konno? Czemu muszę czekać jeszcze tych kilka chwil?

Przeszedł przez salę audiencyjną, gdzie zebrało się kilku jego ludzi i garstka księży w czarnych sukniach. Rozmawiali podnieconymi głosami, ale ucichli na jego widok. Słyszeli już wieść i zastanawiają się nad jej treścią. Wkrótce się dowiedzą.

Poczuł nagły ból w piersi. Księża zginą dzisiaj razem z kobietami i rycerzami. On, Almaryk de Gobignon, dobry syn Kościoła to sprawi. Umrą przynajmniej męczeńską śmiercią i trafią prosto do nieba.

Pomimo wszystko unikał ich wzroku.

Potrząsnął ramionami, by poprawić zbroję. Dotarł do bramy pałacu. U stóp stopni czekał pod strażą jego czarny wierzchowiec.

Szybko zbiegł, podając hełm jednemu z żołnierzy. Naciągnął na głowę miszurkę i spał mocno pod brodą. Lepiej się zabezpieczyć - nie można ufać Saracenom. Nałożył szyszak ozdobiony wilczym łbem. Odwiązał przytroczony do pasa topór i wsunął pod siodło. Włożył stopę w strzemień, wskoczył na grzbiet konia.

Jestem silny jak zawsze. Ciągle jeszcze mogę dosiąść konia w pełnej zbroi.

Ujął tarczę w lewą rękę. Niech posłaniec sułtana ujrzy trzy korony w purpurowym królewskim polu. Korony Chlodwiga, Karola Wielkiego.

I tę, która dopiero nadejdzie.

Spiął konia ostrogami i wielki rumak ruszył z kopyta przez dziedziniec. Ludzie uskakiwali na prawo i lewo.

Ukrócił konia, gdy wjechał na plac miejski. Słońce prażyło z całej siły, oślepiając światłem odbitym od wykładanych kafłami fasad domów. Jediną ciemną plamę tworzyła jama zbiorowej mogiły. Nawet teraz na plac wjeżdżał wóz wypełniony ciałami zmarłych, zaprzężony w dwa woły. Zachowanie tych zwierząt przy życiu kosztowało życie ludzkie. Wiozły na miejsce spoczynku ludzi, którzy mogli je zjeść.

Patrząc w bok, mógł dostrzec czerwone krzyże na płaszczach templariuszy, trzymających straż przed meczetem, gdzie złożyli swoje srebro.

Muszę ostrzec przed nimi sułtana. Gotowi są walczyć o swój skarb.

Posłaniec. Gdzie on?

Almaryk dojrzał wysokiego mężczyznę w białych szatach Saracena, który wchodził na plac z ulicy prowadzącej od zachodniej bramy. Na pochwie miecza błyszczały drogie kamienie. Ciemna twarz osłonięta była białym kapturem.

Spiął konia i ruszył w jego kierunku. Mężczyzna zatrzymał się na jego widok. Czekał, aż Almaryk się zbliży.

Dlaczego ja mam do niego podjechać? Nie dworne to zachowanie. Almaryk zwolnił.

Posłaniec podniósł ręce i odrzucił kaptur.

Almaryk spojrział i z jego piersi wydarło się głuche westchnienie. Dłoń opadła na topór.

De Vency.

Jakby ogień ogarnęła ciało Almaryka. Postać po drugiej stronie placu zdawała się spowita czerwoną mgłą. Czy to jakiś diabelski stwór przywrócony do życia? Widział, jak trubadur pada w Mansurze pod ciosami sztyletów całej chmary Egipcjan. Jak

udało mu się przeżyć? Przyłączył się do nich, ot co. Zawsze podejrzewałem go o przeniwierstwo. Czy naprawdę przybywa tutaj jako emisariusz sułtana? Czy też sułtan zdradził? Co za buta. Stać tu, bez zbroi, w białych szatach. Nic, nawet hełmu, konia, tylko ta śmieszna, zakrzywiona szabla egipska.

Almaryk szybko omiół wzrokiem pobliskie ulice i domy. Żadnych oznak, że gdzieś mieliby się kryć jego sprzymierzeńcy. Podjechał na tyle blisko, by móc rozmawiać z trubadurem, nie podnosząc głosu.

- A więc żyjesz. Pewnieś się zaparł własnej wiary i swojego kraju dla ratowania życia. Chociaż tyś naprawdę nigdy nie miał kraju ani własnej wiary, czy nie tak?

Po śniadej twarzy de Vency'ego przemknął kąśliwy uśmiech.

- Wiele moglibyście nauczyć mnie w tej materii.

Almaryk chwycił za topór, miał ochotę stratować go koniem, ale się pohamował. Być może przysłał go jednak sułtan? Być może kiedy inni ginęli, ten pies nawrócił się na islam, by ratować życie. Sułtan nie miał nikogo innego, kto przekazałby wiadomość od niego po francusku.

- Cóż, zdrajco? Widać po twoich szatach i broni, że Saraceni mają cię u siebie w poważaniu. Przynosisz wieści od sułtana?

Obserwował de Vency'ego. Czy gdzieś w tej obrzydłej twarzy odnajdę rysy mojego ojca? Albo, przemknęło mu przez głowę, mojego syna? Posłaniec czy nie, zginie, nim wybijie godzina. Rzucę głowę tego bękarta do stóp Nicoletty.

Prawdziwie, bękart z niego. Bękart mojego ojca. Czy to możliwe?

- Nie będzie wieści od sułtana, Gobignon. Został posłany do piekła przez własnych ludzi. W Kairze są nowi władcy. Przynoszę ci rozkaz tego, którego śmierci pragnąłeś, tego, który żyje na twoje potępienie - Ludwika, twojego króla.

Almarykowi zawirowało w głowie. Ludwik żyje? Sułtan zginął? De Vency, który powie całemu miastu, co się zdarzyło w Mansurze? Za chwilę zaczną się tu zbierać, by posłyszeć wieści. Trzeba go zgładzić od razu.

- Król nakazuje ci natychmiast poddać miasto Egipcjanom, siebie masz oddać pod moje rozkazy.

Widok trubadura stojącego przed nim w saraceńskich szatach i wypowiadającego swoje żądania grobowym głosem był absurdalny. Jakby zbywając się napięcia

ostatnich dni, Almaryk wybuchnął gromkim śmiechem.

- A to żart, nawet brednie tego głupca Ludwika nigdy tak mnie nie ubawiły. De Vency musi umrzeć. Szybko. Almaryk chwycił za stylisko topora.

Nie, z grzbietu konia lepiej dosięgnąć go kopią. Zawrócił konia i pogalopował do bramy pałacu, gdzie stała grupka jego ludzi.

- Dawać mi tu kopię, szybko.

Roland zaskoczony był tym, że poczuł na widok Almaryka coś w rodzaju przyjemności. Wreszcie stoczą śmiertelną walkę.

Może po to się narodziłem. Z krwi Gobignonów. Żeby zniszczyć ich ród.

Przyglądał się, jak Almaryk pędzi do bramy pałacu, krzycząc coś do zebranych tam ludzi. Po chwili przybiegł pacholek z kopią. Almaryk nachylił się, odebrał broń, ułożył ją sobie w dłoni. Ściągnął cugle, aż jego wierzchowiec stanął dęba. Kiedy koń zarył kopytami w ziemię, wznosząc tumany kurzu, spiął go ostrogami i zaszarżował.

Roland usłyszał skrzypienie i zdążył jeszcze oderwać wzrok od Almaryka, by dojrzeć smagnięcie bata i powolny ruch zaprzęgniętego w woły wozu ze zwisającymi na boki zsiniałymi rękoma trupów. Boże, muszą tu umierać tak samo strasznie jak w naszym obozie. Oczy przywykły już do ostrego światła nieocienionego placu, mógł dojrzeć wielki dół wspólnej mogiły. Pomodlił się za Nicolette.

Wóz zajechał Almarykowi drogę. Usłyszał, jak tamten klnie na woźnicę, wołając, by dał drogę. Woźnica uniósł się, wywijając gorączkowo długim batogiem nad grzbietami wołów, które trochę przyspieszyły. Nie pójda już szybciej, powinienem to wykorzystać.

Rozejrzał się po placu. Przed wielkim meczetem dostrzegł dwóch templariuszy z tarczami zawieszonymi na szyjach. Postąpili nieco do przodu, żeby lepiej widzieć szarżę Almaryka. Pobiegnę do nich. Na pewno pilnują pieniędzy na wykup. Muszę im przekazać królewski rozkaz.

Woźnica skoczył z przeraźliwym krzykiem z wozu, o włos unikając kopii Almaryka, bat upadł na ziemię.

Almaryk w ostatniej chwili osadził konia.

Templariusze widząc, że obcy zbliża się do nich, dobyli mieczy.

Roland przeklinał saraceńskie szaty, które miał na sobie. Pewnie myślał, że przyszedł z awangardą wojska egipskiego. Nie odważył się jednak odrzucić miecza, mając pod bokiem Almaryka.

- Jestem chrześcijaninem, krzyżowcem. Przynoszę list od króla! - krzyknął w ich stronę.

Almaryk okrążył wóz i gotował się do następnej szarży.

- Rolandzie!

Czysty, wysoki głos zatrzymał go niby strzała. Z tyłu za templariuszami pojawiła się Nicoletta, która weszła na plac od wschodu. Obok niej szedł siwowłósy starzec. Zaufany Almaryka, Maurycy. Nie, człowiek Bajbarsa. Co ona robi?

- Jaki list? Przynies go tutaj! - krzyczał jeden z templariuszy.

W uszach zadudnił mu tętent kopyt. Obejrzał się i zobaczył rozpędzoną masę, koń, człowiek, kopia.

Uskoczył w ostatniej chwili.

Almaryk nie dość szybko zmienił kąt nachylenia kopii.

Roland upadając, usłyszał krzyk Nicoletty.

Podniósł się. Nicoletta biegła w jego stronę.

Ruszyli się templariusze. Jeden zastąpił jej drogę, drugi podbiegł z wyciągniętym mieczem do Rolanda.

- Rolandzie, żyjesz! - Wyciągnęła ramiona.

Z odległości, jaka ich dzieliła, dojrzał łzy w jej oczach.

Siłą woli odwrócił wzrok od ukochanej twarzy, za którą tęsknił tyle miesięcy. Gdzie Almaryk? Koń poniósł go poza plac, w boczną ulicę. Zawrócił właśnie wierzchowca i galopował z powrotem.

Roland gorączkowo dobył listy zza pasa.

- Przysyłają mnie król Ludwik i emir Bajbars. Oto ich listy.

- Templariusz wyciągnął dłoń, w drugiej całej czas trzymał gotowy do ciosu miecz. - De Gobignon zdradził króla i wyprawę - mówił dalej. Almaryk był coraz bliżej.

Templariusz pośpiesznie schował listy za pas. Szybko przerzucił tarczę z szyi na rękę.

Almaryk pędził na nich. Roland wyczekał, aż ostrze kopii znajdzie się o kilkadziesiąt centymetrów od jego piersi i padł w piach. Ziemia zadrżała, koń przegalopował obok niego.

Dzięki ci, święty Michale, że nie mam zbroi. Almaryk pędził teraz prosto na templariusza, który odebrał listy. Rycerz wyciągnął miecz i zagroził mu drogę.

- Stój!

De Gobignon puścił mimo uszu nawoływanie, kierując kopię prosto w pierś rycerza. Ten uniósł tarczę z czerwonym krzyżem. Kopia uderzyła z głośnym łoskotem w tarczę. Templariusz upadł. Gramolił się na nogi, wywijając dziko mieczem w stronę Almaryka.

Koń zarżał i ruszył ponownie.

Z oczami rozszerzonymi trwogą Nicoletta dobiegła do wejścia meczetu.

Roland, chcąc odciągnąć od niej Almaryka, przesunął się w przeciwną niż ona stronę. Jak mam walczyć z tym człowiekiem samą tylko szablą? Nie mam dość siły, by być szybszy niż on.

Obydwaj templariusze osłaniając się tarczami, z ciągle gotowymi mieczami, cofnęli się w stronę Nicoletty i meczetu.

Stary Maurycy stał na swoim miejscu. Almaryk był teraz po zachodniej stronie placu. Wstrzymał konia i zwrócił się w stronę starego.

- Co, u diabła, robisz tu z nią? - wrzeszczał do Maurycego.

Maurycy rozłożył ręce.

- Już wam nie służę, panie. Sułtan nie żyje. Emir Bajbars dowodzi armią, chce uwolnić króla i krzyżowców.

- Zdrajco!

- Nie, nie jestem zdrajcą - odpowiedział stary z dumą - tylko Mohammedem ben Faris, sługą Pantery, mamelukiem i muzułmaninem od trzydziestu lat.

Almaryk ryknął gniewnie i natarł na Maurycego. Udało mu się uskoczyć. Almaryk odrzucił kopię, chwycił topór.

Maurycy usiłował biec w stronę meczetu, ale źle ocenił szybkość i rzemiosło Almaryka. Za sekundę miał go znów na karku. Wychylając się mocno z siodła, Almaryk wziął potężny zamach. Ostrze wbiło się głęboko w ramię Maurycego. Almaryk pociągnął go za sobą kilka kroków, nim wyswobodził broń z rany.

Roland usłyszał krzyk Nicoletty. Biegła w stronę krwawiącego Maurycego.

- Cofnij się, Nicoletto! - zdążył krzyknąć.

Z uniesionym toporem Almaryk pędził teraz prosto na nią.

Roland rzucił się w stronę kopii porzuconej przez Almaryka, chwycił ją i wbił w bok konia. Siła uderzenia rzuciła go na kolana. Koń zarżał z bólu. Roland nie miał dość siły, żeby przebić pancerz chroniący zwierzę, ale zadał mu ból i zmienił kierunek biegu.

Nicoletta schroniła się ponownie u wejścia do meczetu, pod opieką templariuszy.

Almaryk odjechał, okrążył od północy mogiłę. Roland słyszał, jak krzyczy do swoich ludzi przy bramie pałacu, by podali mu następną kopię.

- Hrabia postradał zmysły - powiedział templariusz stojący bliżej Rolanda.

- Przeczytajcie listy! - krzyknął w jego stronę.

Nicoletta znowu wybiegła, przyklękła przy Maurycym. Wiedząc, że nie ma dość siły, by zrobić użytek z kopii, Roland odrzucił ją i podbiegł do Nicoletty.

- Nie płaczcie, pani - wyszeptał starzec - czeka mnie raj o wiele wspanialszy niż wasz. Krew trysnęła z ust i nosa, głowa opadła na bok. - Allach akbar - wyszeptał.

Roland położył jej dłoń na ramieniu.

- Nicoletto, na Boga, skryj się! - błagał.

- Co się dzieje? - dopytywał templariusz, który właśnie podszedł do nich. - Kim jesteście, panie?

Roland obrócił się. Rycerz był znacznie starszy niż Gwidon, długa siwa broda połyskiwała niczym jedwab w promieniach słońca.

- Jestem Roland de Vency, byłem jeńcem w Fariskur. Spójrzcie na to, co przywiozłem.

- Uważajcie! - krzyknął drugi templariusz i Roland znowu usłyszał straszliwy tętent kopyt. Almaryk z nową kopią raz jeszcze szarżował na niego.

Czekał. Templariusz pociągnął za sobą Nicolettę.

Nie czuł lęku, miał tylko dziwne uczucie, że wszystko wokół dzieje się w zwolnionym tempie, jedynie myśli pędzą z zawrotną szybkością.

Almaryk, zbliżający się w chmurze białego kurzu, był niczym rycerz galopujący przez wodę. Roland mógł rozróżnić każdy ruch końskich nóg. Stał spokojnie, dopóki błyszczący koniec kopii nie zbliżył się na wyciągnięcie ramienia. Odskoczył wtedy

w lewo niemal jak w tańcu. Dojrzał, że ostrze kopii podąża za jego ruchem, powoli, powoli, ocierając się zaledwie o jego prawe ramię.

Almaryk znowu zniknął, kurz wokół Rolanda opadł. Serce waliło jak młotem, poczuł zmęczenie we wszystkich członkach. Jeśli mam zwyciężyć, muszę szybko skończyć tę walkę.

Wziął głęboki oddech. Rozejrzał się wkoło, widział ciało Maurycego, Nicolette między dwoma templariuszami w wysokich drzwiach meczetu, ludzi wokół placu przyglądających się zajściu z dachów i okien, głęboki rów na środku. Długi bat, leżący tam, gdzie go porzucił uciekający woźnica.

Tętent kopyt znowu się zbliżał. Roland sięgnął po bat i trzymając go w dłoni, podbiegł na skraj rowu. Nagiał bat, odrzucił rękę do tyłu.

Znowu miał dziwne uczucie, że czas biegnie wolniej. Koń i jeździec parli całym impetem w jego stronę. Uskoczył z drogi, smagnął biczem przez przednie nogi wierzchowca złączone w galopie. Bat owinął się wokół pęciny. Zwierzę wydało z siebie przeraźliwe rzenie i runęło łbem do przodu, ciągle w tym samym, zwolnionym tempie. Koń i człowiek zniknęli.

Po chwili z dołu doszedł metaliczny szczepek. Tak jak zamysłał, koń zwałił się do mogiły. Podbiegł zobaczyć.

Stało się to, na co nie śmiał liczyć. Zobaczył, że zwierzę szarpie się pod ciężkim pancerzem, przywaliwszy swoim ciężarem leżącego nieruchomo Almaryka. Hełm spadł w czasie upadku, odsłaniając zakrwawioną twarz unurzaną w błocie wypełniającym dno rowu. Jedna noga konia mocno krwawiła, złamana w pęciny. Biedne zwierzę.

- Rolandzie.

Odwrócił się.

- Moja bogini.

Przez całe ciało przebiegł dreszcz, gorące łzy popłynęły po policzkach. I jej oczy pełne były łez. Słyszał jak dyszy, jakby przebyła długą i ciężką drogę.

- Nie myślałam, że cię kiedykolwiek zobaczę, płakałam za tobą co noc.

Serce mu ciągle waliło, ale teraz innym już rytmem, wolniej i silniej.

- Zwątpiłaś w siłę Miłości?

- Nie, ale zwątpiłam, czy się jeszcze kiedy spotkamy na tym świecie.

Powoli, jakby własną siłą woli, jego ramiona wyciągnęły się ku niej. Moje dłonie muszą dotknąć jej twarzy, muszę ją przytulić do siebie.

Kiedy końce palców miały już dotknąć jej policzka, krzyknęła. Serce skoczyło mu do gardła.

Usłyszał jakiś dźwięk za sobą, stał ocierającą się o ziemię za jego plecami.

Nicoletta z oczami rozszerzonymi przerażeniem patrzyła przez jego ramię.

Na krawędzi grobu stał Almaryk z wzniesionym wysoko toporem, w umazanym błotem surkocie, z krwawiącym policzkiem, z twarzą płonąca żądzą walki.

- Uciekaj, Nicoletto, szybko - naglił ją przez zaciśnięte zęby. Nie miał odwagi odwrócić oczu od Almaryka, który postąpił krok do przodu, gdy Nicoletta ruszyła w stronę meczetu. Po raz pierwszy sięgnął po bułat. Przypomniawszy sobie, jak Bajbars chwalił jego damasceńską stal, ale nawet ona nie da rady zbroi Almaryka.

- Wielka to dla niej przyjemność hańbić mnie, obłapiając cię na oczach ludzi - wycharczał Almaryk - i na oczach ludzi ubiję ją, kiedy już skończę z tobą.

Póki twój życia, nie skończysz ze mną. Almaryk postąpił jeszcze krok.

- Powiedz mi, słodkousty trubadurze, podobno twierdzisz, jak ona powiada, że jesteś bękartem mojego ojca?

- Nie jestem bękartem, jeno synem kobiety zacnego rodu, którą twój ojciec - mój ojciec - wziął siłą. Był równie okrutny i bez czci jak ty.

Z rowu dochodziły jęki zwierzęcia, bicie kopyt o ziemię.

- Kłamiesz - oświadczył Almaryk, obnażając zęby w strasznym grymasie. - Nie jesteś podobny do mojego ojca. Za to, że zginął, zadbam, byś cierpiał przed śmiercią.

- Prawda, że niewiele - odparował Roland. - Nie podobnym do Stefana de Gobignon. Ten, który mnie wychował, był lepszym człowiekiem. On zabił twój ojca. Jeśli ciągle mi nie wierzysz, pomyśl, czemu miałbym mówić o takiej hańbie? Tylko dlatego, że muszę, bo to nienawistna mi prawda. Nienawidzę się za to, że w moich żyłach płynie ta sama krew co w twoich.

Almaryk potrząsnął toporem.

- Uraǳaj mi. Niedługo będziesz gnił w tym grobie, niezależnie od tego, czyś jest synem mego ojca, czy nie.

Roland czujnie czekał na kolejny atak. W twarzy pod hełmem z wilczym łbem widział żądze mordy.

Almaryk posuwał się powoli w jego stronę, krok po kroku. Gotował topór czerwony jeszcze od krwi Maurycego.

Bułat ciążył mu w dłoni. Od miesięcy nie miał w ręku żadnego miecza, stracił siły. Czy uniósłby taki topór jak Almaryka?

Czuł, że całe ciało napina się niczym łuk gotowy do strzału. Obserwował zbliżającego się przeciwnika, jego niemal delikatne, posuwiste ruchy. Kolczuga lekko podzwaniała w martwej ciszy, która zaległa nad placem. Cekał, póki wróg nie skoczył.

Almaryk zamachnął się toporem, który zakreślił w powietrzu poziomy łuk. Roland uskoczył. Niemal czuł ciężkie ostrze, tnące mięśnie brzucha. Kiedy topór zamarł, zebrał wszystkie siły i zamierzył się szablą na prawą rękę Almaryka. Almaryk wydał z siebie dziki pomruk. Ostrze cięłoby do kości, gdyby nie zbroja.

Almaryk raz jeszcze zamachnął się toporem na wysokości pasa.

Roland uskoczył, natarł mierząc w dłonie, ale znowu chybił.

Ponowny zamach Almaryka odrzucił go do tyłu.

Spojrzał przez ramię. Plac otoczony był gapiami. Mignęła mu Nicoletta stojąca u wejścia do meczetu.

Znowu uskoczył, Almaryk przyjął uderzenie szabli na przedramię. Nie uczyniło mu ono jednak żadnej krzywdy. Czyżby walczył z człowiekiem z żelaza?

Bolały go uda i łydki. Stopy miał coraz cięższe. Lewa ręka zdrętwiała od palców po bark.

Znaleźli się na końcu grobu. Almaryk był teraz odwrócony plecami do meczetu. Krążyli przy wschodnim skraju mogiły. Musiał włożyć resztę sił, jakie mu jeszcze pozostały, w to ostatnie uderzenie. Cekał na sposobność.

Almaryk raz jeszcze zamachnął się toporem, utkwivszy oczy rozdzielone nosalem hełmu w Rolandzie. Siła zamachu pociągnęła go mocniej w lewo. Roland zrobił wypad. Z całej siły oplótl Almaryka ramionami. Topór na moment znieruchomiał. Almaryk stracił równowagę, zachwiał się. Szczepieni ze sobą stoczyli się w dół. Roland zaciskał do bólu dłoń na rękojeści bułatu. Upadając w wilgotną ziemię przywalil

sobą Almaryka. Ku swojemu przerażeniu uczuł, że puścił szablę. Siła upadku zamroczyła go na moment. Almaryk przekręcił się i znalazł nad nim. Z pustymi rękoma Roland leżał na plecach, Almaryk klęczał nad nim z uniesionym toporem.

Już po mnie.

Jego wzrok padł na sztylet, który tamten miał u pasa. Chwycił go lewą ręką. Almaryk puścił topór, chcąc chwycić przegub dłoni Rolanda, ale było już za późno.

Chwytając sztylet w obydwie dłonie, zatopił ostrze tam, gdzie zbroja odsłaniała szyję. Czuł, jak sztylet przechodzi przez ciało, do kości. Pchał z całych sił, wrażając ostrze głęboko w głowę.

Almaryk krzyczał.

Roland nie słuchał. Pchał, wpatrując się w błękitne oczy, szlachetnie zarysowany nos, rzeźbione usta. Ramiona Almaryka zwioteczały, wypuścił topór, który upadł w świeżo skopaną ziemię. Oczy zgasły. Wielkie, zakute w zbroję ciało opadło całym ciężarem na Rolanda.

Puścił sztylet, odepchnął Almaryka, wydostał się spod trupa, odpoczywał z plecami wspartymi o ścianę zbiorowej mogiły. Nad głową widział wąski pas błękitu obramowany czerwoną ziemią wykopu. Gdzieś w połowie rowu dogorywał ciągle koń.

Powiniennem wstać i dobić przez litość to zwierzę, ale brak mi sił. Święty Michale, niech się ktoś nad nim ulituje.

Spojrzał raz jeszcze na Almaryka leżącego na plecach z rękojeścią sztyletu pod brodą. Z rany spływała krew, wsiąkając w brązową ziemię.

Popatrzył na brudny, porwany surkot, zdobny w desień trzech złotych koron na purpurowym tle. Nie pisana ci korona, Almaryku. Patrzył w wykrzywioną śmiertelnym grymasem twarz, okoloną stalą i przebitą stalą.

Potężny mężczyzna. Nigdy nie miałem prawdziwego brata. Co go takim uczyniło?

- Rolandzie, Rolandzie! - To wszystko, co Nicoletta mogła wypowiedzieć.
- Żyję. On zginął.

Głowa Nicoletty była tylko ciemnym konturem na tle jasnego nieba. Wiedział jednak, że płacze.

- Niech ktoś mi pomoże wydostać się stąd, zawołaj łucznika, niech skończy z tym biednym zwierzęciem.

Odwróciła się, mówiła coś do kogoś. Potem ześliznęła się na dół, uklękła obok niego, spojrzała na Almarya i szybko zamknęła oczy. Przyciągnęła Rolanda do siebie, przytulając jego głowę do piersi. Czarny płaszcz zsunął się z jej ramion, włosy rozsypały się wokół jej twarzy.

Czuł ból w każdym mięśniu, ale i nową siłę. Objął ją, dotykając z radością jej szczupłej talii, prostych pleców.

- Możecie wdrapać się tędy na górę? Chodźcie. Pomogę wam. - Na górze stał na biało odziany templariusz. Ściągnął z prawej dłoni rękawicę, wyciągnął do niego rękę.

Roland podniósł się. Rozejrzał się wokół i zobaczył wysadzany kamieniami bułat podarowany mu przez Bajbarsa. Boże, kiedy go puściłem, myślałem, że już koniec ze mną. Otarł go z ziemi o swoją białą szatę i schował do pochwy.

Nicoletta klęczała koło Almarya, delikatnie zamykając mu powieki. Po policzkach spływały jej łzy.

- Umarł, wierząc, że jego sprawa była słuszna.

- Jak większość ludzi - odparł Roland. - Jeśli w ogóle o tym myślą.

- Zaślepiała go miłość do mnie.

Miłość. Chyba nie wierzy w to, że Almaryk mógł kochać ją albo kogokolwiek innego. Nic jednak nie odpowiedział.

- Wyjdź pierwsza. - Podparł ją, póki nie sięgnęła ręki templariusza.

Kiedy była już na górze, obrócił się i spojrzał na Almarya.

- Żegnaj, bracie!

Templariusz podał mu rękę. Nicoletta stała obok, czekała na niego. Ujął jej dłoń i spojrzał w ogromne brązowe oczy

Niewiastę i męża jednako zachwyca

Chwalić Pana, co tchnął w nich życie

powiedział miękko.

- Wybaczcie, panie - wtrącił templariusz - ale czy to przystoi patrzeć takim rozmiłowanym wzrokiem na hrabinę, kiedyście właśnie uczynili ją wdową?

Nicoletta uśmiechnęła się przez łzy.

- Bardzo przystoi, bracie templariuszu, bardziej niż może wam postać w gło-
wie.

- Sire Rolandzie - mówił dalej templariusz - przeczytaliśmy właśnie listy, które przywieźliście, i widzimy, że działacie z królewskiego przyzwolenia i że król wyrzeka się hrabiego Almaryka za jego zdradę. Wiele przecież musimy się jeszcze od was dowiedzieć. Zabijeś dowódcę Damiety.

Trzymając ciągle dłoń Nicoletty, Roland skinął głową.

- Wszystko wytłumaczę, bracie templariuszu. A jeśli was nie zadowolę, wysłu-
chacie króla, kiedy powróci, już wkrótce. Teraz zwróćcie mi listy, bo muszę zanieść
je królowej.

- Brat Gwidon dobrze o was mówił - odparł templariusz, zwracając listy.

- Wiele razy płakałem za nim. Chodź, Nicoletto.

Trzymając się za ręce, okrążyli grób i skierowali w stronę pałacu.

Widział ludzi jak za mgłą, ich głosy dochodziły gdzieś z oddali, gdy pozdrawiali
go ze wszystkich stron. Odpowiadał, ale nie zauważał ich.

- Powiadają, że między mężem, a żoną nie może być prawdziwej Miłości, czyż
nie tak? A pomimo to chcę cię za żonę, jeśli mnie przyjmiesz. Wierzę, że Miłość
pozostanie z nami, póki życia starczy. Co na to powiesz, *mi dons*?

Uśmiechnęła się.

- Powiem, że tylu niemożliwych rzeczy już dokonaliśmy, że niewielką przy nich
sztuką będzie nie pozwolić umrzeć Miłości, nawet w małżeństwie. Nigdy się już nie
rozstaniemy.

Żar słoneczny palił głowy, kiedy szli w stronę pałacu. W bramie dojrzał Małgo-
rzałę, która na nich czekała. Wszystko zmieniło się tak szybko, że czuł się oszoło-
miony tym nagłym obrotem spraw. Szedł powoli, odczuwał wokół promieniującą
zawsząd radość, radość na myśl o listach, o tym, co powie Małgorzacie o jej Ludwi-
ku, ich królu, zdrowym, bezpiecznie gotującym się do powrotu.

* * *

XXVI

Roland odwrócił wzrok od rzeki, by spojrzeć na mury Damiety. Dwanaście wielkich chorągwi Saracenów, ciemne plamy w słońcu wczesnego poranka, wisiało nad blankami w bezwietrznym powietrzu, jakby przypominały, że turecki bułat ciągle jeszcze wisi groźnie nad ich głowami. Mamelucy mają teraz wszystko - miasto, okup i króla. Godziny nas dzielą od wolności, a przecież jedno słowo Bajbarsa wystarczy, by zniszczyć nas wszystkich.

Rozmyślał, jak się czuje król, widząc tureckie sztandary. Stał u jego boku przed namiotem, który Egipcjanie rozbili na brzegu Nilu. Ludwik miał na sobie czarny płaszcz, prezent od sułtana, jedyne przyzwoite odzienie, jakie mu zostało. Roland był we francuskich szatach pożyczonych od sire de Burgha, ale u pasa przytroczył bułat podarowany przez Bajbarsa. Był to dobry znak, zdawało się, że Egipcjanie pozwolili tym kilku rycerzom, którzy pozostali w mieście, zachować broń. Wiedzą, że nie mają się czego obawiać z naszej strony, pomyślał nie bez złośliwości.

Stali tam, gdzie mamelucy dowieźli Ludwika zaraz po wschodzie słońca. Patrzyli w milczeniu na templariuszy, którzy dostarczyli pełne srebra skrzynie, wyładowane teraz z zaprzężonych w woły wozów i przenoszone do dużego namiotu. Widzieli egipskie galery z resztkami armii, płynące powoli w dół rzeki i lądujące przy brzegu nie opodal.

- Jest Bajbars - Roland rozpoznał wysoką postać w czerwonej szacie, schodzącą właśnie z pierwszej galery. Egipcscy żołnierze kłaniali się nisko.

Bajbars wkrótce stanął przed nimi, w słońcu połyskiwał złocony hełm częściowo skryty pod zielonym turbanem.

- Szkoda, że nie widziałem śmierci hrabiego Almaryka, panie de Vency - powiedział z uśmiechem. - Powiadają, że była to piękna walka.

- Kiedy się na nią patrzyło - odparował Roland zgryźliwie. - Jeśli o mnie idzie, modłę się, bym już nigdy nie musiał staczać równie pięknych walk.

Bajbars roześmiał się.

- Jesteś dzielnym człowiekiem, choć może nie masz duszy prawdziwego wojownika. Boleję, że straciliśmy Mohammeda ben Farisa. Ten stary Frank był jednym z moich najlepszych ludzi. Bardzo był mi drogi.

- Myślę, że wszyscy jesteśmy dłużnikami tego człowieka - odparł Roland.

Bajbars wyciągnął dłoń.

- Muszę mieć z powrotem mój pierścień, który miałeś mu okazać. Dała mi go droga mi bardzo pani.

Roland rozczarowany sięgnął do sakiewki i wydobył wielki pierścień. Przypominał sobie ten sam ton w głosie Bajbarsa, kiedy ten mówił o Gałazce Perłowej.

- Rozchmurz się, Rolandzie de Vency. Bułat jest o wiele cenniejszy niż ten stary pierścień, a przecież ci go podarowałem. Dobrze na niego zasłużyłeś. Mam nadzieję, że kiedyś pokażesz go wnukom i opowiesz im, jak go zdobyłeś.

- Dobrze mi posłużył - odpowiedział Roland, skłaniając głowę.

W skrócie przełożył Ludwikowi słowa Bajbarsa.

- Gdzie pochowaliście Almaryka? - zapytał Ludwik.

- Na rozkaz królowej zostawiliśmy go tam, gdzie zginął, sire. Z jego sztyletem w czaszce. Grabarze zasypali tylko ciało.

- Niech pamięć o nim przeminie. Kiedy wrócimy do Francji, wykreślimy jego imię z naszych kronik. - Potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić od siebie wspomnienie o Almaryku. - Czy emir wejdzie do namiotu, żeby zobaczyć skarb, który nasze królestwo ofiarowuje jego królestwu?

Bajbars cofnął się z szacunkiem, przepuszczając króla pierwszego. Roland szedł za obydwoma wodzami. Wewnątrz wszystko było gotowe do liczenia. Przy długim stole siedziało naprzeciw siebie sześciu egipskich skrybów i sześciu lombardzkich

klerków, których przywieźli ze sobą templariusze. Przy wypełnionych srebrem skrzyniach stali rzędem templariusze. Kiedy zbliżył się Bajbars, cofnęli się, pozwalając mu otworzyć jedną z nich. Emir zanurzył dłoń w monetach, uniósł garść, przesypując je między palcami, patrząc, jak spadają na powrót z brzękiem do skrzyni.

- Wytlumacz mu, że to liwry z Tours, tam bite, większe, i cięższe niż złote bezanty - nakazał Ludwik.

Kiedy Roland powtórzył to samo po arabsku, Bajbars uśmiechnął się.

- Znam wartość każdej chrześcijańskiej monety. Wiem też, że ci ludzie - wskazał na templariuszy - są strażnikami skarbcza Francji.

Jeden spośród templariuszy, z połyskliwą, srebrną brodą, skłonił się prawie niezauważalnie Rolandowi.

Bajbars wyprowadził ich z powrotem na zewnątrz.

- Zniosłeś, o królu, ciężki czas próby ze spokojem i dzielnością. Czy wiesz, że byli pośród nas tacy emirowie, którzy, gdybyś nawrócił się na islam, chcieli uczynić cię sułtanem, w miejsce tego, którego zabiliśmy?

Ludwik smutno wzruszył ramionami.

- Łatwo jest znosić ciężki czas. I osioł to potrafi. Powinnością władcy jest osiągnąć wiele więcej.

Z jego zachowania Roland mógł wywnioskować, jak bardzo ciężko jest królowi. Stali znów przed namiotem. Saraceńskie straże otoczyły pawilon szerokim pierścieniem. Przypląnęła właśnie genueńska galera z czerwonym krzyżem na żaglu, która teraz manewrowała, chcąc zakotwiczyć przy statku więziennym.

- Właśnie - odpowiedział Bajbars z chrapliwym śmiechem.

- Wytlumaczyłem emirom, że mylą się co do ciebie. Przypomniałem im, jak to uwierzywszy, że spełniasz nakaz Boga, poprowadziłeś swoją armię ku kłesce. - Przerwał wpatrując się w Ludwika. - Musisz pamiętać, co się tu wydarzyło, ile razy wyda ci się, że znowu słyszysz głos Boga.

Ludwik wyprostował się.

- Jestem niewolnikiem swojego Pana, tak jak wy jesteście niewolnikami swojego.

Roland tłumaczył te słowa z bijącym ze strachu sercem. Dzięki Bogu, że kobiety opuściły wczoraj Damietę przynosząc się na genueńskie okręty.

Bajbars nigdy bardziej niż w tej chwili nie przypominał gotowej do skoku pante-ry.

- Będziesz więc jeszcze z nami wojował? - Zabrzmiało to jak łagodne mruczenie.

- Dałem wam moje słowo, że przez dwadzieścia lat nie będzie wojny.

- Wygląda na to, że niczego się nie nauczyłeś - odpowiedział Bajbars w zamyśleniu. - Oprócz emirów, którzy chcieli uczynić cię sułtanem, byli i tacy, którzy napierali, bym uczynił, jak chciał Turan Szach. Może powinienem był ich posłuchać.

Rolanda zdjęło przerażenie. Czuł mrowienie w lewej ręce, gotów sięgnąć po szablę. W zamian sięgnął po słowa.

- Królestwo Francji jest wielkie i trudne do władania, emirze. Wiele może się zdarzyć przez dwadzieścia lat. - Bajbars wiedział o tym, miał świadomość, że Ludwik jest ostatnim władcą chrześcijańskim, który wierzył w sens krucjat. - Nie myśle jednak, byśmy jeszcze kiedyś was niepokoiłi.

Wstrzymał oddech.

Bajbars, kręcąc głową, spoglądał to na Ludwika, to znów na Rolanda.

- Cóż - odezwał się po chwili - obiecałem pani Gałazce Perłowej, że dotrzymam naszych układów. Bardzo jej was żal. Wy, Frankowie, pewnie nie rozumiecie, że uratowały was dwie kobiety, sułtanka i królowa Małgorzata.

Roland zrozumiał, że najniebezpieczniejszy moment już minął. „Trzy kobiety”, także Nicoletta.

Bajbars dobył zza pasa zwój, który podał Rolandowi.

- Przeczytaj to swojemu królowi. Jeden z naszych poetów ułożył to na tę okazję.

Zwój zrobiony był z ciężkiego egipskiego papieru z trzciny papirusu rosnącego wzdłuż Nilu, kremowy, wypełniony kaligraficznymi arabskimi literami pisanymi od prawej strony do lewej. Czytał i tłumaczył. Miał ochotę przerwać, kiedy dotarło do niego znaczenie okrutnych słów, ale spojrzawszy na Bajbarsa, dostrzegł w jego oczach nakaz, by czytał do końca.

*Zanieście panu Francji te słowa
 Które odkryła ręka prawdy -
 Niech Allach wynagrodzi ci, żeś zniszczył
 Wyznawców Mesjasza Jezusa.
 Myślałeś być panem Egiptu - wierzyłeś
 Że znajdziesz tu tylko bębny pełne powietrza
 Przyprowadziłeś swoich wojowników do bram śmierci
 I stanęli nad czeluścią grobu
 Gdzie dwadzieścia tysięcy mężów?
 Śmierć, rany, niewola ich udziałem!
 Jeśli zapragniesz wrócić do Egiptu
 Wiedz, że czeka tu dwór Lokmana
 A w nim łańcuchy i eunuch, co czuwa!
 Niech twój Bóg ma dla ciebie miłosierdzie
 Za wszystko czegoś dokonał.*

Kiedy skończył, spojrzął na Ludwika i zobaczył łzy w jego oczach.

- Wasz poeta ma rację, emirze - odezwał się Ludwik. - Najbardziej potrzeba mi boskiego miłosierdzia.

- Prawdziwie, jesteś świętym szaleńcem - zaśmiał się Bajbars. - Powinieneś być prorokiem, nie królem.

- A czy wasz Prorok nie władał też ludźmi?

Bajbars pokręcił głową.

- To nie znaczy, że zwykli ludzie jak ty i ja mogą być jednym i drugim. Nikt nie może równać się z Prorokiem.

Uniósł dłoń i pojawił się żołnierz w pozłocanym napierśniku z długim zawiniątkiem owiniętym w jedwab.

- Pozwól, o królu Franków, że dam ci jeszcze jeden pożegnalny dar, mniej gorzki od wiersza. - Bajbars z namaszczeniem rozwinął pakiet. Oriflamme.

Ludwik przytulił ze łzami w oczach sztandar do piersi, całując jego purpurowy kraj.

- Dzięki wam, dzięki. Myślałem, że go już nigdy nie ujrzę. Niech Bóg cię błogosławi za twoją łaskawość.

- Obyś nigdy już nie utracił go w walce i niech Allach okaże ci miłosierdzie, o które prosisz. - Pokłonił się, odwrócił i odszedł.

Roland schodził z Ludwikiem, trzymającym w ramionach Oriflamme, na brzeg, gdzie czekała już genueńska galera. Królowi towarzyszyli genueńscy oficerowie. Roland usłyszał gwizdek na pokładzie i w jednej sekundzie burta zaroła się łucznicami gotowymi szyć w mameluków.

- Genueńczycy nie chcą mnie stracić w ostatniej chwili - odezwał się Ludwik z uśmiechem. - Chcą mieć pewność, że ich służba będzie wynagrodzona.

Zatrzymał się przy kładce.

- Przyrzekłem Bajbarsowi, że będę tu czekał, dopóki nie skończą liczyć pieniędzy. Wróć do namiotu i przypilnuj liczenia. - Roland przyklęknął na jedno kolano, ucałował dłoń króla i ruszył z powrotem.

W namiocie dopiero zaczynało się liczenie. Tak wielką górę monet trzeba liczyć kładąc je na wagę - pomyślał Roland - albo krzyżowcy musieliby czekać aż Nil wyleje. Patrzył, jak lombardzcy klerkowie odliczyli pięćdziesiąt monet, potem położyli je na szali dużej wagi, a Egipcjanie dopóty kładli na drugiej szali odważniki, dopóki obydwie się nie wyrównały. Lombardzcy zgarnęli monety do skrzyni i kładli na szali następne, tym razem już bez liczenia, dopóki waga znów się nie wyrównała. Pomyślał, że nawet ten sposób mógł zająć kilka dni.

Obecni tu panowie Jean de Joinville i Filip de Neumours radośnie powitali Rolanda. Cała trójka, która w imieniu króla miała przyglądać się liczeniu, usadowiła się w krzesłach za plecami egipskich skrybów.

De Joinville rozwiązał szarfę, wyjął kolorowo malowane jajko i podał Rolandowi.

- Dostaliśmy to od mameluków, nim opuściliśmy statek więzienny. Powiedzieli, że byłby wstyd, gdyby nas nie nakarmili, zanim odejdziemy, a pomalowali jajko, żeby okazać nam szacunek. Miły zwyczaj, prawda? - Jajko było ugotowane na twardo.

Roland, który nic jeszcze nie jadł tego dnia, pośpiesznie choć z żalem zaczął obierać kolorową skorupkę.

Białobrody templariusz skinął na niego i pociągnął za sobą z namiotu.

- Mam dla ciebie wieści od starego przyjaciela - powiedział cicho.

- Od kogo?

- Od naszego brata, Gwidona.

Rolandowi ścisnęło się serce na wspomnienie Gwidona wyprowadzanego na egzekucję.

- Byłem z nim, zanim go zabili.

- On nie umarł. To jest właśnie wiadomość, którą ci przesyła.

Roland zadrżał. Oszalał ten templariusz, czy prawi zwykle nabożne komunały?

- Co chcecie powiedzieć? - zapytał ostro.

- Mamy ludzi sprzyjających nam nawet pośród Saracenów - odparł templariusz. - Gwidon musiał stać się nowym człowiekiem. Kiedy się rozstaliście, zabrano go do assasynów. Wiecie, kto oni są?

- Tak, wyznawcy Starego Człowieka z Góry. Na jego rozkaz mordują potajemnie królów i władców, oszalamiają umysł szalonym napojem. Co Gwidon ma wspólnego z tymi występnyymi mordercami?

Templariusz uśmiechnął się.

- Wiesz o nich tylko to, co powiadają ich wrogowie. Mordują tyranów i prześladowców, ale nie braci templariuszy.

Roland przypomniał sobie strzałę, która zakończyła życie Hugona de Gobignon, i nic nie odrzekł.

- A co do napoju, nie mówił ci brat Gwidon, że wiele jest sposobów na ujrzenie Światłości?

- Tak - mruknął Roland.

- Nie bądź więc taki popędliwy w sądach, gdy nie wiesz wszystkiego. Mówię ci to, bo Gwidon zapewniał, że można ci ufać. Nie powtarzaj tego nikomu, nawet swojej pani.

- Dałem już kiedyś słowo Gwidonowi. Mogę go zobaczyć?

Gwidon żyje!

Siwobrody templariusz pokręcił głową.

- Prosił mnie, bym ci powiedział, że wiele ma do zrobienia tu na Wschodzie. Jest wiedza, którą trzeba przekazać, i wiedza, którą trzeba przyjąć. Może i ty kiedyś ruszysz na Wschód, wtędy go spotkasz.

Roland stał w milczeniu, wspominając Gwidona, wielkiego i wspaniałego przyjaciela. A więc templariusze mieli powiązania z assasynami, a katarzy z templariuszami. Czy pozna kiedyś całą sieć sekretów, skrytych w podziemiu niby korzenie wielkiego drzewa?

- Dziękuję, bracie, za radosne wieści. Jeśli go kiedy zobaczysz, powiedz Gwidonowi, że układam pieśń, o którą prosił.

- Usłyszysz o nas jeszcze, gdy wrócimy do Francji.

I poszli razem z powrotem do namiotu.

To będzie mój ostatni obraz, jaki unoszę z Egiptu, myślał Roland, stojąc obok Ludwika na pokładzie galery *Montjoie*. W promieniach zachodzącego słońca uciekała sprzed oczu zielono-brązowa linia lądu.

Ludwik ciężko westchnął.

- W czym pobraǳiłem, sire Rolandzie? W swojej wizji? W tym, że uwierzyłem, iż przywrócimy w Jeruzalem królestwo Chrystusa i że Bóg da nam nowe ziemie. Pomyślałem prawdziwie, że Bóg mnie wybrał, bym przemienił tę dolinę łez w krainę szczęśliwości. Byłem zadufanym głupcem. Tak, grzesznym głupcem, i Bóg chce, abym za to cierpiał. Wszystkie te zgubione istnienia ludzkie będą mi karą za to, że uwierzyłem, iż mogę odmienić przeznaczenie.

Roland słuchał porażony ogromem wizji Ludwika. Nie zdawał sobie sprawy, że ktokolwiek może hołubić takie marzenia. Przypomniał sobie nagle własne śluby pod Mont Ségur. Ja też chciałem zmienić świat.

- Sire, taka wizja rzadko bywa udziałem człowieka. Najważniejsze to walczyć w jej imię, nie oczekując spełnienia. Może waszym przeznaczeniem jest stworzyć nowy świat, ale nie przez zdobycie Jeruzalem, ale przez wszelki trud potrzebny do zbudowania nowego Jeruzalem we własnym królestwie.

A ja ci pomogę, bo to marzenie, które dzielę z tobą całym sercem.

Ludwik mocniej oparł się o reling, galera zaczynała kiwać.

- Wiesz, że Bajbars zaproponował mi podróż do Jeruzalem, bym mógł zobaczyć miasto, nim wrócimy do domu.

- Pojedziecie, panie?

- Nie - odpowiedział ze smutkiem Ludwik - nie jestem wart, by moje oczy ujrzęły Jeruzalem, którego nie mogłem uratować. Jak powiedział poeta Bajbarsa, mogę tylko prosić Boga, by okazał mi miłosierdzie za tych wszystkich, których poprowadziłem na śmierć. - Położył dłoń na ramieniu Rolanda. - Chciałbym, żebyś ułożył

mi tłumaczenie tego wiersza. Będę go czytał codziennie przez resztę moich dni na pokutę, ku przypomnieniu o pokorze.

- Tak, sire. - Pomimo popełnianych błędów jest to jeden z najlepszych ludzi na świecie, pomyślał Roland.

- I chciałbym, byś napisał dla mnie jeszcze jeden wiersz. Odpowiedź na poemat Bajbarsa. Powiedz mi, czemu ta krucjata się nie powiodła. Powiedz, com złego zrobił. Powiedz, czemu Bóg na to przyzwala.

Roland osłupiał, przerażony.

- Sire, prosicie o więcej niż jest w mocy biednego poety. Nie potrafię tłumaczyć boskich zamysłów.

- Jeśli egipski poeta potrafił złamać mi serce, może ty potrafisz je pocieszyć.

- Spróbuję, panie.

Wiatr rozwiewał przerzedzone włosy Ludwika. Pierwszy raz od roku tutaj, na morzu, czuli wreszcie orzeźwiający powietrze. Coś na pokładzie zwróciło uwagę Ludwika.

- Słodki Jezu!

- Co takiego, sire?

- W takiej chwili!

Ruszył do schodów prowadzących na dolny pokład i popędził w dół.

Roland dojrzał przy stoliku pod masztem królewskiego brata Karola i sire Jeana de Joinville. Między nimi rozłożona była deska do triktraka, obok kupki monet.

Ludwik napadł na brata.

- Jak możesz? - krzyczał. - Wiesz, że hazard jest grzechem. I to w takim dniu, kiedy powinieneś myśleć o swoim bracie Robercie i wszystkich naszych zmarłych. Do kajuty, padnij na kolana i żałuj za grzechy!

Karol siedział, przyglądając się Ludwikowi z szeroko rozdziawionymi ustami. Ludwik uniósł stolik, zrzucił monety de Joinville'owi na kolana, po czym wyrzucił stolik razem z grą za burtę. Po chwili Roland ujrzał kolorową deskę unoszącą się za rufą.

De Joinville złapał monety w tunikę i szybko czmychnął, robiąc po drodze oko do Rolanda. Karol odprowadzany wściekłym wzrokiem Ludwika, ruszył sztywno w stronę kajuty.

- Boże, przebacz! - krzyknął Ludwik, padając na kolana przy relingu. Objął ramionami wypolerowany dębowy słupek i zapłakał.

Roland sam zapłakał na ten widok. Naznaczona cierpieniem twarz Ludwika przypominała postać ukrzyżowanego Chrystusa.

Właśnie miał pójść do siebie, gdy ktoś przesunął się koło niego. Małgorzata. Uklękła obok męża. Ludwik zwrócił w jej stronę udreńczoną twarz, objął ją. Klęczeli tak razem, płacząc.

Ktoś lekko dotknął jego ramienia. Obrócił się i zobaczył Nicolettę. Pociągnęła go delikatnie w stronę rufy, zostawiając Małgorzatę i Ludwika samych.

Kiedy i oni zostali sami, Roland wyciągnął ramiona, chcąc ją objąć.

- Jeszcze nie teraz, Rolandzie. Musimy zachowywać się przystojnie.

Ujął ją dwornie za rękę.

- Chodźmy dalej.

Stanęli patrząc na kilwater, wiatr pędzący galery od egipskich brzegów owiewał im twarze. Wybrzeże Afryki było już teraz czarną kreską pośród fioletu morza i nieba.

- Jeśli chcesz się wyplakać jak król, wezmę cię tutaj w ramiona - powiedziała miękko.

- Wszyscy, których tu ze sobą przyprowadziłem, nie żyją. Oplakuję ich tak samo jak Ludwik swoje tysiące.

Położyła dłoń na jego dłoni.

- To dziwne uczucie być wolną od Almaryka, zostawiać za sobą Egipt, być razem z tobą. Nie wiem, jakie będzie nasze życie. Ty wiesz?

- Chcę żyć w Langwedocji i uczynić co w mojej mocy, by podnieść kraj z ruiny. Będiesz chciała mieć przy sobie swoje dzieci, może będziemy musieli walczyć z rodziną Almaryka, żeby je odzyskać.

Ścisnęła mocniej jego dłoń.

- Tak, Rolandzie. Muszę je odzyskać. Bardzo mi ich brak.

- Położyła głowę na jego piersi. - Szymon jest jeszcze taki mały. Potrzebuje nas.

Objął ją opiekuńczo.

- Król nam pomoże.

- Możemy żyć w moim domu rodzinnym. Jest znowu mój. Chcesz być panem takiej małej domeny?

- Nie wiem jeszcze, czego chcę. Wszystko, co robiłem, od chwili, kiedy cię spotkałem, było spełnianiem nakazów Miłości i wypełnianiem ślubów spod Mont Ségur. Śluby ciągle obowiązują, ale nie mogę zniszczyć wszystkich morderców i nie mogę zmienić całego rodu ludzkiego. Mogę pisać pieśni i wierzę, że słowa potrafią zmienić więcej niż miecze.

I oto mam początek wiersza, pomyślał, o który prosił król. Pielgrzymka jest celem samym w sobie. Czy dochodzimy do celu, czy też nie, musimy wędrować ku Światłości.

Zrobiło się zupełnie ciemno tak nagle, jak się to dzieje, gdy zapada afrykański zmrok. Nikt ich tu nie zobaczy, na rufie galery. Przytulił ją do siebie.

Spojrzał w górę na zapalające się jedna po drugiej gwiazdy i wyszeptał:

- Wszystko jest Światłością.

KONIEC

Posłowie historyczne

LUDWIK IX: Po uwolnieniu przez mameluków pozostał na Bliskim Wschodzie, gdzie usiłował umocnić terytoria znajdujące się jeszcze w rękach krzyżowców. Nigdy nie zobaczył już swojej matki, królowej Blanki, która zmarła w 1252 roku, gdy Ludwik zajęty był negocjowaniem wielostronnych traktatów z sułtanami Kairu i Damaszku. Minęły jeszcze dwa lata, nim zdecydował, że jego działania w Ziemi Zamorskiej dobiegły końca, i wrócił do Francji.

Był królem dbałym o sprawiedliwość. Zabronił rozstrzygania wyroków przez walkę i wprowadził prawo, według którego rodzina zamordowanego nie mogła brać pomsty przed upływem czterdziestu dni.

W 1256 roku oskarżył Enguerranda de Coucy o to, że powiesił bez sądu trzech młodych kłusowników złapanych w jego lasach. De Coucy, poparty przez większość wielkich baronów, zlekceważył królewskie oskarżenie i odmówił udziału w dochodzeniu. Ludwik napotkał na wyjątkowo silną opozycję ze strony szlachty, ale w efekcie Enguerrand został skazany na 12000 liwrów grzywny, z których część przeznaczono na stałe msze za dusze powieszonych.

Jego reputacja sprawiła, że rozsądzał właśnie w całej Europie, był arbitrem w sporach między diukami Lotaryngii i Burgundii, królami Węgier i Polski, między królem Anglii i jego baronami.

Tragedia poronionej krucjaty zaważyła na całym jego późniejszym życiu. Dotrzymał obietnicy danej Bajbarsowi i odczekał dwadzieścia lat, po czym ruszył z nową wyprawą. Spotkała się ona z jeszcze słabszym odzewem rycerstwa niż poprzednia i nawet tacy oddani towarzysze jak de Joinville odmówili udziału.

Brat Ludwika, Karol d'Anjou, został królem Sycylii. Marzył o imperium śródziemnomorskim. On też namówił Ludwika do jeszcze bardziej okrężnego niż poprzednio uderzenia na Bliskim Wschodzie. Armia wylądowała w Tunisie. Muzułmanie schronili się przed oblężeniem w swoich warowniach, Francuzów wyniszczyła zaraza. Zmarł urodzony w Damiecie syn Ludwika, Jean Tristan.

25 sierpnia 1270 roku Ludwik zległ na pokutnym łożu z popiołów, z którego już miał się nie podnieść.

Karol d'Anjou kazał gotować zwłoki brata w winie, dla oddzielenia ciała od kości. Te powędrowały do opactwa Saint Denis pod Paryżem, miejsca pochówku królów Francji, serce i wnętrzności złożono zaś w katedrze Montreale w Palermo, w sycylijskim królestwie Karola. W 1297 roku kanonizowano Ludwika na świętego Kościoła katolickiego. Był jedynym królem Francji zaszczyconym podobnym wyróżnieniem.

BAJBARS: Nie zrealizował w pełni planów przeprowadzenia ostatniego chrześcijanina z Bliskiego Wschodu, ale osiągnął inne sukcesy. 3 września 1260 roku wygrał przy Studni Goliata w pobliżu Nazaretu jedną z decydujących bitew historii, pokonując Tatarów po raz pierwszy od czasów Dżingis Chana i ratując islam przed mongolskim podbojem. Gdy sułtan Kairu nie nagroził go odpowiednio za zwycięstwo, przeszył go włócznią i sam obwołał się sułtanem.

Zwrócił teraz cały impet ku chrześcijanom i systematycznie likwidował jedną po drugiej warownie krzyżowców na wybrzeżach Syrii i Palestyny - uległy mu Cezarea, Hajfa, Jaffa, Belfort, Antiochia, Krak des Chevaliers, Montfort. Nim dokończył dzieła, zmarł nagle w 1277 roku - jak powiadają niektórzy - otruty. Twierdzono nawet, że przez pomyłkę wypił truciznę, którą przygotował dla kogoś innego, ale na to był niewątpliwie za mądry.

W 1291 roku ostatnie miasto krzyżowców, Akra, wpadło w ręce następcy Bajbarsa, co położyło ostatecznie kres epoce krucjat. Mamelucy panowali jeszcze przez wieki w Egipcie, kontynuując praktykę przysposabiania wziętych w niewolę chłopców do wojennego rzemiosła. Kiedy w 1798 roku w Egipcie pojawiła się znowu armia francuska, mamelucy pamiętający klęskę Ludwika Świętego stanęli jej naprzeciw,

licząc na łatwe zwycięstwo. Świat tymczasem bardzo się zmienił. W bitwie pod Piramidami artyleria francuska rozbiła kawalerię mameluków. Kraj został podbity w ciągu kilku tygodni przez generała niemal równie utalentowanego jak Bajbars - Napoleona Bonaparte.

TEMPLARIUSZE: Zakon Ubogich Rycerzy od Świątyni Salomona założony został w Jerozolimie w 1120 roku przez sześciu rycerzy pod wodzą Huguesa de Payns z Szampanii. Jego zadaniem miało być zabezpieczenie szlaków pielgrzymek do Ziemi Świętej. Około połowy XIII wieku templariusze byli już silną instytucją z setkami komandorii rozsianych po całej Europie i Ziemi Zamorskiej. Rozwinęli sprawny system bankowy, mieli pod swoją pieczę skarbiec korony francuskiej przechowywany w paryskiej Tempie. Wielki mistrz templariuszy był także wielkim suwerenem. Zachowali swoje warownie do samego końca, w 1291 roku Tempie w Akrze broniła się jeszcze przez wiele dni po zajęciu miasta przez muzułmanów. Po jej upadku przenieśli swoją główną kwaterę na Cypr.

Zaniepokojony i łasy na bogactwa templariuszy wnuk Ludwika Świętego, Filip Piękny, wydał im wojnę. Niespodziewanie, pewnej piątkowej nocy 13 października 1307 roku, zaaresztował wszystkich znacniejszych templariuszy w całym kraju, w tym Wielkiego Mistrza Jacquesa de Molaya, który akurat przybył z Cypru do Francji. Oskarżyciele królewscy zarzucali zakonowi tajemne rytuały, w których kandydaci na braci mieli jakoby zapierać się Chrystusa, pluć na krucyfiks i całować w zadek superiora. Oskarżano ich również o sodomie i tajne porozumienia z muzułmanami. Zeznania wydobywano torturami. Z aprobatą papieża Klemensa V większość braci zginęła na stosie, reszta została dożywotnio wtrącona do więzień, zakon rozbity w całej Europie, a jego majątek przejęty przez koronę francuską. Kiedy w 1313 roku palono na stosie Jacquesa de Molaya, krzyknął ze stosu, że Filip Piękny i Klemens V, nim rok upłynie, staną obok niego na Sądzie Ostatecznym. Rok nie minął, jak król i papież nie żyli. W ciągu czternastu lat zmarli też wszyscy bezpośredni potomkowie Filipa. Dom Kapetów, który rządził Francją od X wieku, przestał istnieć, a korona przeszła na Walezjuszy.

Historycy ciągle nie są zgodni co do tego, czy oskarżenia przeciwko templariuszom były prawdziwe. Niektórzy z nich sugerują, że templariusze byli gnostykami, inni, że w zakonie istniała wewnętrzna, tajemna reguła, znana tylko wąskiemu kręgowi wtajemniczonych łoża Ordo Templi Orientalis i bawarscy Iluminaci widzieli w templariuszach poprzedników masonerii.

Ludwik XVI, ostatni król Francji był w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej więziony w paryskiej Tempie, skąd powiedziano go na gilotynę.

KATAROWIE: Kataryzm wywodzi swe początki od pierwszych sekt gnostyków, którzy nauczali, że każdemu człowiekowi dana jest możliwość bezpośredniej komunikacji z Bogiem, oraz od manichejczyków, którzy wierzyli w dwudzielność świata zła i dobra. Kataryzm powstał we wschodniej Europie, stąd zwano ich niekiedy we Francji Bugresami (Bułgarami). Od słowa „bougre” powstało słowo „buggery” oznaczające stosunek analny, katarów oskarżano bowiem o homoseksualizm.

Kataryzm rozprzestrzenił się w XII wieku w Langwedocji, a w XIII wieku zyskał tam tak wielu wyznawców, że papież Innocenty III rozpoczął prześladowania sekty. To on polecił bratu Dominikowi de Guzman, późniejszemu świętemu Dominikowi, powołanie zakonu kaznodziejskiego, który miał za zadanie pracę misjonarską w Langwedocji. W 1209 roku papież ogłosił krucjatę przeciwko katarom, deklarując, „że gorsi są od samych Saracenów”. Zachęceni łatwym łupem w bogatej południowej Francji, gotowi zwalczyć rywalizującą wiarę, baronowie pod wodzą Szymona de Montforta najechali Langwedocję. Katolicy i katarowie południowej Francji zjednoczyli się w obronie przed najeźdźcami, zostali jednak pobici, krucjata zakończyła się oficjalnie w 1229 roku, kiedy Rajmund VII, hrabia Tuluzy, uznał formalnie zwierzchność królowej Blanki i małego Ludwika.

Od tamtej chwili armia francuska okupowała Langwedocję, a Inkwizycja, w większości obsadzona przez dominikanów, kontynuowała dzieło tępienia katarów. W połowie XIV wieku kataryzm właściwie przestał istnieć, ale opozycja religijna przetrwała, dając początek protestanckiej Reformacji.